



# HERBATKA

*o piątej!*



**Bill Bryson**



**BILL BRYSON**

# **HERBATKA**

---

*o piątej!*

**WIĘCEJ ZAPISKÓW Z MAŁEJ WYSPY**

Tłumaczenie  
Tomasz Bieroń

---

**ZYSK I S-KA**  
**WYDAWNICTWO**

---

Bill Bryson  
Herbatka o piątej

Tytuł oryginału  
*The Road To Little Dribbling*

ISBN 978-83-65676-28-3

Copyright © Bill Bryson, 2015  
*All rights reserved*

Copyright © for the Polish translation  
by Zysk i S-ka Wydawnictwo s.j., Poznań 2016

Redakcja  
Magdalena Wójcik

Projekt okładki  
Paulina Radomska-Skierkowska

Zdjęcie na okładce  
Flickr.com/Lee Roberts (CC BY-SA 2.0)

Opracowanie graficzne i techniczne, projekt mapy  
Paweł Uniejewski

Wydanie 1

Zysk i S-ka Wydawnictwo  
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań  
tel. 61 853 27 51, 61 853 27 67  
faks 61 852 63 26  
dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90  
sklep@zysk.com.pl  
www.zysk.com.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w Zysk i S-ka Wydawnictwo.

# Spis treści

Strona tytułowa

Dedykacja

Strona redakcyjna

Mapa

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Krótkie posłowie i podziękowania

*Dla Jamesa, Rosie i Daphne. Witajcie.*



# Prolog

## I

**I**m jesteś starszy, tym więcej odkrywasz nowych sposobów na zrobienie sobie krzywdy. Otóż byłem niedawno we Francji i dostałem w głowę automatycznym szlabanem — sędzę, że w czasach, kiedy byłem młodszy i czujniejszy, nie doszłoby do niczego podobnego.

Zasadniczo istnieją dwa sposoby na oberwanie po głowie szlabanem parkingowym. Pierwszy z nich to stanąć pod podniesioną barierką i poczekać, aż na ciebie spadnie. Nie muszę chyba tłumaczyć, że jest to sposób łatwiejszy. Druga metoda — i tutaj bardzo się przydaje odrobina starczego otępienia — to zapomnieć, że szlaban właśnie się podniósł, zająć opuszczone przez niego miejsce, przystąpić do rozważań nad swoim następnym krokiem i z najwyższym zdumieniem skonstatować, że szlaban spada nam na głowę jak kafar na wbijany w ziemię pal. Ja wybrałem ten drugi wariant.

Spieszę zaznaczyć, że szlaban nie był zbyt okazały — coś na kształt rurki rusztowania plus moment obrotowy — lecz nie tyle spadł, ile trzasnął o swoje widelki. Scenerią tego ćwiczenia z urazów czaszkowych był parking w ładnym nadmorskim miasteczku normandzkim Étretat, niedaleko Deauville, do którego wyjechaliśmy z żoną na kilka dni. W tym momencie byłem jednak sam i próbowałem dotrzeć do ścieżki na szczycie skarpy po drugiej stronie parkingu, ale drogę zagradzał mi szlaban, który był za niski, żeby precyzyjnie się pod nim mężczyzna mojej postury, i zdecydowanie za wysoki, żeby przeskoczyć górą. Kiedy tak stałem niezdecydowany, przyjechał samochód, kierowca pobrał bilet, barierka się podniosła i kierowca wjechał na parking. Wybrałem ten moment, żeby podejść do przodu, stanąć i zacząć rozważać swój następny ruch, nie zdając sobie sprawy, że wektor tego ruchu będzie przebiegał przede wszystkim w dół.



Nigdy nie zostałem uderzony tak zaskakująco i tak mocno. W jednej chwili stałem się jednocześnie najbardziej zdezorientowaną i najbardziej błogą osobą we Francji. Nogi się pode mną ugięły, a ramiona w tak wielkim stopniu wybiły się na niepodległość, że oberwałem po twarzy własnymi łokciami. Przez następne kilka minut bez większego udziału swojej woli poruszałem się przede wszystkim na boki. Pewna życzliwa pani pomogła mi usiąść na ławce i dała mi kosteczkę czekolady, którą z zaskoczeniem poczułem w zaciśniętej dłoni następnego dnia rano.

Wjechał następny samochód i szlaban opadł na swoje miejsce z dudniącym brzękiem. Wydawało się niemożliwe, że przeżyłem tak potężny cios. Ponieważ jednak mam w sobie trochę paranoika i lubię odgrywać teatr przed samym sobą, nabrałem przekonania, że doznałem poważnych obrażeń wewnętrznych, które jeszcze się nie objawiły. Krew wzbiera w mojej głowie jak woda w wannie i niedługo wywinę oczami do góry, wydam z siebie stłumiony jęk i klapnę na ziemię, by już nigdy się nie podnieść.

Konstatacja, że za chwilę umrzesz, ma tę zaletę, że rozkoszujesz się każdą sekundą życia, które ci jeszcze zostało. Przez następne trzy dni żarłocznie chłonałem oczami Deauville, zachwycam się tym czystym i bogatym miasteczkiem, chodziłem na długie spacery po plaży i promenadzie albo po prostu siedziałem i obserwowałem falujące morze i błękitne niebo. Deauville to bardzo ładne miasteczko. Istnieją o wiele gorsze miejsca na pożegnanie ze światem.

Pewnego dnia, kiedy siedzieliśmy z żoną na ławce i patrzyliśmy na kanał La Manche, wpadłem w typowy dla mnie w tych dniach refleksyjny nastrój i powiedziałem:

— Założę się, że miejscowość, która leży dokładnie naprzeciwko po angielskiej stronie, jest tak samo smutna i zapyziała, jak Deauville jest urocze i bogate. Jak myślisz, skąd się to bierze?

— Nie mam pojęcia — odparła moja żona, która czytała powieść i nie przyjmowała do wiadomości, że zaraz umrę.

— Właściwie co jest naprzeciwko? — zapytałem.

— Nie mam pojęcia — powtórzyła i przewróciła kartkę.

— Weymouth?

— Nie mam pojęcia.

— A może Hove?

— Która część sformułowania „nie mam pojęcia” sprawia ci największy kłopot?

Zajrzałem do jej smartfona. (Mnie nie wolno mieć smartfona, bo bym go zgubił). Nie wiem, jak dokładne są mapy — często nas zachęcają, żebyśmy pojechali do Michigan albo Kalifornii, kiedy szukamy jakiejś miejscowości w Worcestershire — ale na ekranie wyświetliło się Bognor Regis.

Wtedy nie przywiązywałem do tego większej wagi, ale niedługo wydało mi się to niemal prorocze.

## II

Po raz pierwszy przyjechałem do Anglii na drugim końcu życia, kiedy byłem jeszcze całkiem młody, a mianowicie miałem zaledwie dwadzieścia lat.

W tamtych czasach, przez krótki, ale burzliwy okres, bardzo wysoki odsetek wszystkich godnych uwagi rzeczy na całym świecie pochodził z Wielkiej Brytanii. Beatlesi, James Bond, Mary Quant i minispódniczki, Twiggy i Justin de Ville-neuve, życie miłosne Richarda Burtona i Elizabeth Taylor, życie miłosne księżniczki Małgorzaty, Rolling Stones, Kinks, marynarki bez kołnierzy, seriale telewizyjne *The Avengers* i *The Prisoner*, powieści szpiegowskie Johna le Carré i Lena Deightona, Marianne Faithfull i Dusty Springfield, zwichrowane filmy z Davidem Hemmingsem i Terence'em Stampem, które nie do końca kumaliśmy w Iowa, sztuki teatralne Harolda Pintera, których w ogóle nie kumaliśmy, Peter Cook i Dudley Moore, program publicystyczny *That Was the Week That Was*, skandal z ministrem wojny Profumo — w gruncie rzeczy prawie wszystko.

W takich czasopismach jak „New Yorker” i „Esquire” jak nigdy wcześniej ani później dominowały brytyjskie produkty — gin Gilbey’s i gin Tanqueray, garnitury od Harrisa, linie lotnicze BOAC, kombinezony dla pływaczek Aquascutum

i koszule Viyella, filcowe kapelusze Keens, swetry Alan Paine, spodnie Daks, samochody sportowe MG i Austin Healey, sto gatunków szkockiej whisky. Nikt nie miał wątpliwości, że jeżeli pragnie w życiu luksusu i elegancji, w dużym stopniu zapewnią mu to towary brytyjskie. Należy dodać, że już wtedy nie wszystkie te reklamy brzmiały przekonująco. Pewna popularna w tamtych czasach woda kolońska nazywała się Pub. Trudno mi ocenić, jakie miało to wywołać skojarzenia. Chodzę do pubów od czterdziestu lat i nigdy nie napotkałem tam niczego, co chciałbym sobie wetrzeć w twarz.

Ponieważ poświęcaliśmy Wielkiej Brytanii mnóstwo uwagi, wydawało mi się, że wiem o tym kraju całkiem sporo, ale po przybyciu na miejsce szybko się przekonałem, że jestem w głębokim błędzie. Nawet mój angielski okazał się niezbyt przydatny. Przez pierwsze kilka dni nie potrafiłem odróżnić *collar* od *colour*, *khaki* od *car key*, *letters* od *lettuce*, *bed* od *bared* i *karma* od *calmer*.

Pewnego razu wybrałem się w Oksfordzie do damsko-męskiego salonu fryzjerskiego. Właścicielka, obszerna i trochę groźna kobieta, usadowiła mnie w fotelu i poinformowała rzeczowym tonem:

— Dzisiaj obetnie panu włosy *a vet*.

Wiedziałem, że Anglicy są ekscentryczni, ale nie sądziłem, że do tego stopnia.

— Chodzi o człowieka, który leczy chore zwierzęta? — upewniałem się lekko przerażony.

— Nie, ma na imię Yvette — odparła i zasygnalizowała zdawkowym spojrzeniem, że od dłuższego czasu nie spotkała takiego męczącego idioty.

W pubie zapytałem, czy mają kanapki.

— Z szynką i serem — odparł kelner.

— W takim razie poproszę — powiedziałem.

— Poproszę co? — zapytał.

— Poproszę z szynką i serem — odparłem już trochę mniej stanowczo.

— Można albo z szynką, albo z serem — wyjaśnił.

— Z jednym i drugim się nie da?

— Nie.

— Aha — skomentowałem zaskoczony, a potem pochyliłem się i zapytałem konfidencjonalnym tonem: — Dlaczego? Za duży luksus?

Zgromił mnie wzrokiem.

— W takim razie niech pan da z serem — podsumowałem skruszony.

Kanapka w końcu przybyła i ser okazał się gruntownie pokawałkowany — nigdy wcześniej nie widziałem, żeby ktoś maltretował nabiał przed jego podaniem — a także przyozdobiony czymś, co wyglądało na wyciągnięte z kolanka pod zlewem — teraz już wiem, że były to pikle Branston.

Na próbę odgryzłem kawałek i z przyjemnością odkryłem, że kanapka jest pyszna. Zaczęło mi świtać, że znalazłem kraj, który jest mi zupełnie obcy, ale w jakimś niewytłumaczalnym sensie cudowny. Uczucie to do tej pory mnie nie opuściło.

Czas spędzony przeze mnie w Wielkiej Brytanii przypomina krzywą Gaussa: u dołu po lewej mamy strefę „nie wie prawie nic”, a potem linia unosi się łukowato ku „całkiem zażyłej znajomości”. Po osiągnięciu tego szczytu sądziłem, że zostanę tam na stałe, ale niedawno zacząłem się zsuwać po drugiej stronie ku ponownej niewiedzy i niepewności, ponieważ coraz częściej stwierdzam, że żyję w kraju, który nie do końca rozpoznaję. Jest to kraj pełen celebrytów, których nazwisk nie znam, a talentów nie dostrzegam, skrótów (BFF, TMI, TOWIE<sup>1</sup>), których znaczenie trzeba mi tłumaczyć, ludzi, którzy wydają się żyć w innej rzeczywistości od mojej.

W tym nowym świecie jestem nieustannie zagubiony. Niedawno zamknąłem drzwi przed nosem pewnemu człowiekowi, ponieważ nic innego nie przyszło mi do głowy. Chciał odczytać licznik. Na początku byłem zadowolony z jego widoku. Tego rodzaju gościa nie witaliśmy w naszym domu od czasów, kiedy premierem był Edward Heath, więc z radością go wpuściłem, a nawet przyniosłem drabinę, żeby ułatwić mu zadanie. Dopiero kiedy sobie poszedł i wrócił minutę później, zacząłem żałować, że zawarłem tę znajomość.

— Przepraszam, ale muszę jeszcze odczytać licznik w męskiej toalecie —

zakomunikował.

— Słucham?

— Mam tu napisane, że w męskiej toalecie jest drugi licznik.

— Nie mamy męskiej toalety, to jest prywatny dom.

— Mam tu napisane, że to jest szkoła.

— Nie zmienia to faktu, że to jest prywatny dom. Przed chwilą był pan w środku. Widział pan sale pełne młodzieży?

Zamyślił się.

— Miałby pan coś przeciwko temu, żebym się rozejrzał?

— Słucham?

— Tylko zerknę. To nie potrwa dłużej niż pięć minut.

— Myśli pan, że pan znajdzie męską ubikację, którą przeoczyliśmy?

— Nigdy nic nie wiadomo! — powiedział radośnie.

— Zamykam drzwi, bo nic innego nie przychodzi mi do głowy — oznajmiłem i zamknąłem. Usłyszałem przez drzwi, że mężczyzna wydaje z siebie delikatne beczące dźwięki.

— Poza tym mam ważne spotkanie! — zawołałem.

Nie okłamałem go. Rzeczywiście miałem ważne spotkanie — ściśle związane z tematem niniejszej książki.

Wybierałem się do Eastleigh, żeby zdać egzamin na obywatelstwo brytyjskie.

Paradoksalność tej sytuacji nie uszła mojej uwadze. Akurat kiedy współczesna Wielka Brytania stawała się dla mnie coraz bardziej zagadkowa, wezwano mnie do wykazania, że rozumiem ten kraj.

### III

Przez wiele lat istniały dwa sposoby na to, żeby zostać obywatelem brytyjskim. Metoda pierwsza, bardziej ryzykowna, ale z jakichś niewyjaśnionych powodów częściej wybierana, polegała na tym, żeby znaleźć drogę do jakiejś brytyjskiej macicy i zaczekać dziewięć miesięcy. Sposób drugi polegał na wypełnieniu iluś

tam formularzy i złożeniu przysięgi. Ale od 2005 roku osoby należące do drugiej kategorii dodatkowo muszą zademonstrować biegłość w posługiwaniu się językiem angielskim i zdać egzamin z wiedzy krajoznawczej.

Egzamin językowy mi darowano, ponieważ angielski jest moim rodzimym językiem, ale od testu z wiedzy, bardzo trudnego, nie można się wymigać. Choćby ci się wydawało, że znasz Wielką Brytanię jak własną kieszeń, nie wiesz tego wszystkiego, co musisz wiedzieć, żeby zdać Life in Britain Knowledge Test. Musisz na przykład wiedzieć, kto to był Sake Dean Mahomet. (Człowiek, który sprowadził do Wielkiej Brytanii szampon. Serio). Musisz wiedzieć, jak inaczej nazywa się ustawa o szkolnictwie z 1944 roku. (Ustawa Butlera). Musisz wiedzieć, w którym roku stworzono dożywotni (w odróżnieniu od dziedzicznego) tytuł lordowski (1958) i w którym roku maksymalną długość dnia pracy dla kobiet i dzieci skrócono do dziesięciu godzin (1847). Musisz potrafić rozpoznać Jenson Buttona (nie pytaj dlaczego). Mogą ci odmówić obywatelstwa, jeśli nie znasz liczby państw członkowskich Brytyjskiej Wspólnoty Narodów, jeśli nie wymienisz wrogów Wielkiej Brytanii podczas wojny krymskiej, jeśli nie znasz odsetka ludności sikhijskiej, muzułmańskiej, hinduskiej i chrześcijańskiej albo prawdziwej nazwy Big Bena. (To Elizabeth Tower). Musisz nawet wiedzieć parę rzeczy, które są nieprawdziwe. Jeśli cię na przykład zapytają, jakie są najbardziej odległe od siebie punkty na brytyjskim stałym lądzie, musisz odpowiedzieć: „Land’s End i John O’Groats”, mimo że to nieprawda. Jak powiadam, test jest bardzo trudny.

W ramach przygotowań zamówiłem pełen zestaw podręczników, złożony z książki w błyszczącej miękkiej oprawie zatytułowanej *Life in the United Kingdom: A Guide for New Residents* („Życie w Zjednoczonym Królestwie: przewodnik dla nowych mieszkańców”) i dwóch tomów dodatkowych: *Official Study Guide* (oficjalne wytyczne), z którego się dowiesz, jak korzystać z pierwszej książki (zasadniczo należy zacząć od strony pierwszej i według kolejności przerabiać dalsze strony), oraz *Official Practice Questions and Answers* („Oficjalne ćwiczenia w pytaniach i odpowiedziach”), z jedenastoma testami próbnymi. Oczywiście spróbowałem zrobić parę testów, zanim zabrałem się do lektury

podręcznika, i z przerażeniem stwierdziłem, że idzie mi bardzo kiepsko. (Kiedy cię zapytają, jak się nazywają walijscy parlamentarzyści, pamiętaj, że wbrew pozorom odpowiedź wcale nie brzmi: „Na ogół Gareth i Dafydd”).

Podręcznik to ciekawa książka, uroczo bezpretensjonalna, miejscami trochę wodolejska, ale serce ma po właściwej stronie. Jak się dowiadujesz, Wielka Brytania to kraj, który ceni sobie fair play, ma niezgorsze osiągnięcia w dziedzinie sztuki i literatury, przykładą dużą wagę do dobrych manier i często wykazuje imponującą pomysłowość, zwłaszcza związaną z różnymi rzeczami napędzanymi parą. Ludzie generalnie są przyzwoici, uprawiają ogródek, chodzą na spacery poza miastem, a w niedzielę jedzą pieczoną wołowinę i pudding Yorkshire (chyba że są Szkotami, wtedy mogą się zdecydować na owcze podroby). Wakacje spędzają nad morzem, przestrzegają Kodeksu Zielonego Krzyża, cierpliwie stoją w kolejkach, rozsądnie głosują, szanują policję, otaczają czcią monarchę i we wszystkich sprawach zachowują umiar. Od czasu do czasu idą do pubu wypić góra dwie jednostki dobrego angielskiego piwa i zagrać w bilard albo kręgle (momentami człowiek sobie myśli, że autorzy podręcznika powinni częściej wychodzić między ludzi).

W niektórych fragmentach autorzy tak bardzo uważają na to, żeby nikogo nie urazić, że w gruncie rzeczy nic nie mówią, na przykład w opisie współczesnej sceny muzycznej, przytoczonym tutaj *in extenso*: „Jest wiele różnych sal koncertowych i wydarzeń muzycznych, które odbywają się na terenie Zjednoczonego Królestwa”. Bardzo dziękuję za to przenikliwe spostrzeżenie. (Nie jestem purystą językowym, lecz sale koncertowe nie odbywają się, tylko po prostu są). Czasami autorzy zwyczajnie się mylą, na przykład, kiedy informują, że dwa najbardziej odległe od siebie punkty Wielkiej Brytanii to Land’s End i John O’Groats, a czasami wysuwają dyskusyjne tezy, na przykład, kiedy w gronie osób, z których Brytyjczycy mogą być dumni, wymieniają Anthony’ego Hopkinsa, nie poświęcając ani chwili refleksji temu, że Anthony Hopkins jest teraz obywatelem amerykańskim i mieszka w Kalifornii. Poza tym robią błąd w pisowni jego imienia. Kryptę dla literatów w opactwie westminsterskim nazywają „Poet’s Corner”

(w liczbie pojedynczej), być może w przekonaniu, że spoczywa tam tylko jeden poeta naraz. Ogólnie rzecz biorąc, staram się za bardzo nie wybrzydzać w kwestii poprawności językowej, ale skoro od egzaminowanych wymaga się biegłej znajomości angielskiego, to być może należałoby zadbać o to, żeby podobną biegłością wykazywali się twórcy testu.

Uczyłem się zatem pilnie przez miesiąc, a potem przyszedł dzień egzaminu. Otrzymałem zawiadomienie, że o wyznaczonej porze mam się stawić w Wessex House w Eastleigh (hrabstwo Hampshire), ośrodka egzaminacyjnym najbliższym mojemu domu. Eastleigh to miasteczko satelickie Southampton, które podczas drugiej wojny światowej zostało poważnie zbombardowane, chociaż niektórzy może powiedzą, że niedostatecznie. Miejscowość jest ciekawa ze względu na swoją przeciętność — ani rażąco brzydka, ani ładna, ani piszcząca biedą, ani zamożna, ani kompletnie martwa w centrum, ani tętniąca życiem. Rolę dworca autobusowego pełni zewnętrzna ściana supermarketu Sainsbury's zwieńczona szklanym baldachimem, który prawdopodobnie służy temu, żeby gołębie miały jakieś suche miejsce do srania.

Jak wiele innych brytyjskich miast, Eastleigh pozamykało swoje fabryki i warsztaty, kierując całą energię gospodarczą w robienie i picie kawy. Zakłady usługowe w mieście dzielą się na dwie kategorie: nieczynne i kawiarniane. Jak można było przeczytać w witrynach, niektóre z tych pierwszych przekształcono w kawiarnie, a niektóre z tych drugich, sądząc po liczbie klientów, zmierzały w odwrotnym kierunku. Nie jestem ekonomistą, ale zgaduję, że zadziałał tutaj proces zwany dodatnim sprzężeniem zwrotnym. Paru odważniejszych przedsiębiorców otworzyło sklepy ze wszystkimi towarami w cenie jednego funta albo zakłady bukmacherskie, a kilka fundacji przejęło opustoszałe lokale, ale zasadniczo Eastleigh sprawiało wrażenie miejscowości, w której można albo napić się kawy, albo usiąść i popatrzeć, jak gołębie defekują. Ja zamówiłem kawę, żeby wesprzeć lokalną gospodarkę, toteż defekację gołębi musiałem obserwować przez ulicę, a następnie stawiłem się w Wessex House na egzamin.



Tego konkretnego przedpołudnia przybyło nas pięcioro. Zaprowadzono nas do sali z biurkami, monitorami i myszkami komputerowymi i tak rozsadzono, żebyśmy nie widzieli cudzych monitorów. Na początek zadano nam cztery pytania testowe, żebyśmy mogli się oswoić z funkcjonowaniem myszki i podkładki. Na tym etapie nie chciano nas zanadto obciążać intelektualnie, toteż pytania były zachęcająco łatwe, typu:

*Manchester United to:*

*a) partia polityczna*

*b) zespół taneczny*

*c) angielska drużyna piłkarska*

Czworgu z nas odpowiedź na pytania testowe zajęła około piętnastu sekund, ale jedna pani, sympatyczna, w średnim wieku, pulchnawa, prawdopodobnie z jednego z tych bliskowschodnich krajów, w którym jedzą dużo lepkich słodyczy — męczyła się z nimi znacznie dłużej. Egzaminator podchodził do niej dwa razy, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Ja dyskretnie przejrzałem szuflady mojego biurka — były otwarte, ale puste — po czym sprawdziłem, czy można się pobawić przesuwaniem kursora po pustym ekranie. Nie było można.

Kobieta w końcu oznajmiła, że skończyła, i egzaminator podszedł sprawdzić jej dokonania. Pochylił się w stronę monitora i tonem, z którego przebijało stoickie osłupienie, powiedział:

— Wszystko pani pokręciła.

Uśmiechnęła się niepewnie, ponieważ nie była na sto procent przekonana, czy to jest pochwała.

— Chce pani spróbować jeszcze raz? — zapytał zyczliwie egzaminator. — Ma pani prawo do jeszcze jednej próby.

Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że kobieta nie ma pojęcia, co jest grane, ale dzielnie postanowiła walczyć dalej. Egzamin mógł się rozpocząć.

Pytanie pierwsze brzmiało: „Widziałeś/aś Eastleigh. Jesteś pewien/na, że chcesz zostać w Wielkiej Brytanii?”. Tak naprawdę nie pamiętam, jakie było pierwsze

pytanie ani kolejne. Na salę egzaminacyjną nie wolno było niczego wносить, toteż nie mogłem robić notatek ani z zamyśleniem stukać w zęby ołówkiem. Test składał się z dwudziestu czterech pytań wielokrotnego wyboru i wypełnienie go zajmowało około trzech minut. Albo znasz odpowiedzi, albo nie znasz. Po wstukaniu wszystkich odpowiedzi podszedłem do stolika egzaminatora i zczekaliśmy razem, aż komputer sprawdzi, jak mi poszło, co zajęło mniej więcej tyle samo, co sam test. W końcu egzaminator powiedział z uśmiechem, że zdałem, ale nie podał mi dokładnego wyniku, bo komputer informował tylko o tym, czy egzamin został zdany, czy oblany.

— Zaraz wydrukuję panu wynik — powiedział egzaminator.

To również trwało całe wieki. Miałem nadzieję, że dostanę elegancki dyplom na papierze czerpanym, z gatunku tych, jakie się dostaje po wejściu na most w Sydney albo po ukończeniu kursu gotowania w sieci supermarketów Waitrose, ale otrzymałem tylko wydrukowany trochę rozmytą czcionką dokument potwierdzający, że moja sprawność intelektualna pozwala mi mieszkać we współczesnej Wielkiej Brytanii.

Promiennie uśmiechnięty jak pani z Bliskiego Wschodu (która szukała chyba klawiatury, kiedy ostatni raz zerknąłem w jej stronę), opuściłem budynek z uczuciem zadowolenia, a może nawet lekkiego uniesienia. Słońce jasno świeciło. Na dworcu autobusowym po drugiej stronie ulicy dwaj mężczyźni w kurtkach pilotkach sączyli poranny aperitif z odpowiednio dobranych kolorystycznie do odzieży puszek piwa, a gołąb dziobał niedopałek papierosa i strzyknął odrobiną gówna. Życie we współczesnej Wielkiej Brytanii wydawało mi się całkiem przyjemne.

## IV

Parę dni później spotkałem się z moim wydawcą — serdecznym i bardzo lubianym obywatelem, który nazywa się Larry Finlay — na lunchu w Londynie, żeby porozmawiać o temacie mojej następnej książki. Larry’emu śni się po nocach, że

zapropnuję jakiś kosmicznie niekomercyjny temat — na przykład biografię Mamie Eisenhower albo coś o Kanadzie — toteż na początek zawsze przewencyjnie sugeruje coś od siebie.

— Wiesz — powiedział — że minęło już dwadzieścia lat, odkąd napisałeś *Zapiski z małej wyspy*?

— Naprawdę? — odparłem zdumiony, jak wielki bagaż przeszłości potrafimy nagromadzić bez żadnego wysiłku z naszej strony.

— Myślałeś kiedyś o dalszym ciągu?

Jego ton był pozbawiony emocji, ale tam, gdzie Larry normalnie miał źrenice, zobaczyłem świecące znaczki funta.

— Tak się złożyło, że rzecz jest całkiem na czasie — powiedziałem po chwili zastanowienia. — Niedługo przyznają mi brytyjskie obywatelstwo.

— Naprawdę? — zdziwił się Larry. Znaczki funta pojaśniały i zaczęły delikatnie pulsować. — Rezygnujesz z obywatelstwa amerykańskiego?

— Nie, będę miał podwójne.

Larry zaczął wybiegać myślami w przyszłość. Układał w głowie plany marketingowe. Wymyślał projekty plakatów w metrze (tych mniejszych, koło schodów ruchomych, nie tych wielkich na peronach).

— Mógłbyś zrobić bilans swojej nowej ojczyzny.

— Nie chciałbym wracać do tych samych miejsc i pisać o tych samych rzeczach.

— No to pisz o innych miejscach — zgodził się Larry. — Na przykład — poszukał w głowie miejscowości, w której nikt wcześniej nie był — Bognor Regis.

Spojrzałem na niego z zainteresowaniem.

— Jest to druga wzmianka o Bognor Regis, którą słyszę w tym tygodniu — powiedziałem.

— Uznaj to za znak — podsumował Larry.

Po powrocie do domu wyjąłem przedpotopowy i rozsypujący się *AA Complete Atlas of Britain* (taki stary, że autostrada M25 istnieje w nim dopiero jako kropkowana wizja przyszłości), żeby do niego zerknąć. Poza wszystkim byłem

ciekawym, jaka jest największa odległość do pokonania w prostej linii w Wielkiej Brytanii. Na pewno nie jest to dystans z Land's End do John O'Groats, wbrew temu, co można przeczytać w oficjalnym podręczniku obywatelstwa. (Dla porządku cytuję: „Największa odległość na stałym lądzie jest z Land's End na północnym wybrzeżu Szkocji do John O'Groats w południowo-zachodnim rogu Anglii. Wynosi około 870 mil”). Po pierwsze, najbardziej wysuniętym punktem na północy nie jest Land's End, lecz Dunnet Head, trzynaście kilometrów na zachód, a na tym samym odcinku wybrzeża znajduje się co najmniej sześć cypli położonych bardziej na północ niż Land's End. Istotniejszy problem polega jednak na tym, że podróż z Land's End do John O'Groats wymaga serii zygzaków, bo inaczej utonęlibyśmy w morzu. Jeśli dopuszczamy zygzaki, to możemy hasać po kraju dowolną trasą i dystans jest w gruncie rzeczy nieskończony. Chciałem sprawdzić, jaka jest maksymalna odległość, którą można w całości pokonać po stałym lądzie. Położyłem na mapie liniijkę i z zaskoczeniem odkryłem, że odchyła się od linii z Land's End do John O'Groats jak igła kompasu w obecności źródła magnetyzmu. Najdłuższa linia prosta zaczyna się w górnym lewym rogu mapy od samotnego szkockiego cypla Cape Wrath, a kończy, co jeszcze ciekawsze, na Bognor Regis.

Larry miał rację. To był znak.

Przez bardzo krótką chwilę rozważałem możliwość podróży przez Wielką Brytanię wzdłuż nowo odkrytej linii (Linii Brysona, jak powinna być powszechnie nazywana, ponieważ to ja ją odkryłem), ale prawie natychmiast się zorientowałem, że nie byłoby to wygodne ani nawet warte wysiłku. Gdybym zabrał się do tego zbyt dosłownie, musiałbym przechodzić ludziom przez domy i ogrody, deptać uprawy i przeprowiać wpływ przez rzeki, co byłoby kompletnym wariactwem. Gdybym natomiast próbował jak najbliżej trzymać się tej linii, musiałbym co rusz przedzierać się przez przedmieścia takich miejscowości jak Macclesfield i Wolverhampton, co również nieszczerze mi się uśmiechało. Z całą pewnością mogłem wykorzystać Linię Brysona jako swego rodzaju odniesienie. Postanowiłem, że skrajne punkty tego odcinka wyznaczą początek i koniec mojej wyprawy, a od czasu do czasu zahaczę o Linię Brysona, kiedy nie będzie to

wymagało żadnej ekwilibrystyki (i nie wypadnie mi z głowy), ale nie będę się nabożnie trzymał dogmatycznie wytyczonej trasy. Było to moje *terminus ad quem*, cokolwiek to znaczy. Postanowiłem również, że będę w miarę możliwości unikał miejsc, które odwiedziłem podczas pierwszej podróży (za duże ryzyko, że stanę na rogu i zacznę zrzedzić, że wszystko zeszło na psy, odkąd ostatni raz tam byłem), i skupię się na miejscach, w których nigdy nie byłem, licząc na to, że spojrzę na nie świeżym, nieuprzedzonym okiem.

Szczególnie spodobał mi się pomysł z Cape Wrath. Nic o nim nie wiedziałem — jak dla mnie mógł to być park przyczep — ale nazwa brzmiała dziko, groźnie i niedostępnie, czyli w sam raz dla poważnego wędrowca. Kiedy ludzie mnie spytają, dokąd zmierzam, z kamienną miną sięgnę wzrokiem ku północnemu horyzontowi i powiem: „Cape Wrath, jak Bóg da”. Słuchacze gwizdną z podziwu i odpowiedzą: „Kurczę, to kawał drogi”. Ja pokiwam głową z miną człowieka, który doskonale wie, na co się pisze.

— Nie jestem nawet pewien, czy mają tam herbaciarnię.

Ale przed tą daleką przygodą czekały mnie setki kilometrów zabytkowych miast i pięknego krajobrazu, a także zwiedzanie sławnego angielskiego wybrzeża koło Bognor Regis.

---

<sup>1</sup> Best Friend Forever, Too Much Information, The Only Way Is Essex. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

## Rozdział 1

# Pieprzyć Bognor!

Zanim tam po raz pierwszy pojechałem, o Bognor Regis wiedziałem tylko tyle (poza pisownią nazwy), że w jakimś bliżej nieokreślonym momencie brytyjskiej historii któryś monarcha, w przedśmiertnym przyływie zgryźliwości, wypowiedział słowa „Pieprzyć Bognor”, ale który to był monarcha oraz dlaczego jego ostatnim życzeniem na łożu śmierci był akt sodomii na średniej wielkości nadmorskim letnisku — na te pytania nie znałem odpowiedzi.

Jak się później dowiedziałem, rzezonym monarchą był król Jerzy V, który w 1929 roku pojechał do Bognor za radą swojego lekarza, lorda Dawsona of Penn. Dawson przekonywał, że morskie powietrze pomoże królowi wyleczyć się z ciężkiej choroby płuc. Fakt, że Dawson nie był w stanie zaproponować lepszej terapii niż zmiana otoczenia, być może odzwierciedlał jego najbardziej charakterystyczną cechę jako lekarza, a mianowicie niekompetencję. Tak bardzo zasłynął z medycznej nieudolności, że skomponowano na jego cześć następującą piosneczkę:

*Lord Dawson of Penn*

*Niejednego utrupił*

*I dlatego śpiewamy*

*Boże chroń króla.*

Król wybrał Bognor nie dlatego, że darzył tę miejscowość jakąś szczególną estymą — jego bogaty kumpel sir Arthur du Cros miał tam pałac Craigweil House, który udostępnił królowi. Ze źródeł wynika, że rezydencja Craigweil była brzydka

i mało komfortowa, a Jerzemu V nic się tam nie podobało, ale morskie powietrze rzeczywiście dobrze mu zrobiło i po kilku miesiącach na tyle odzyskał siły, że mógł wrócić do Londynu. Jeśli po Bognor zostały mu jakieś miłe wspomnienia, to nie podzielił się nimi ze światem.

Sześć lat później, kiedy choroba znowu się odezwała i król leżał umierający, Dawson zapewniał go obłudnie, że niedługo na tyle wydobrzeje, iż będzie mógł znowu wyjechać do Bognor. „Pieprzyć Bognor”, rzekł ponoć król i wyzionął ducha. Większość historyków uznaje tę historię za zmyśloną, ale jeden z biografów Jerzego V, Kenneth Rose, przekonuje, że może być prawdziwa oraz że byłaby absolutnie zgodna z tym, co wiemy o królu.

Ze względu na krótki pobyt króla Bognor wystąpiło o dodanie do nazwy miejscowości słowa Regis i w 1929 roku wniosek został uznany — a zatem nobilitacja miejscowości i początek jej upadku niemal zbiegły się w czasie.

Podobnie jak znaczna część nadmorskiej Wielkiej Brytanii, także Bognor najlepsze czasy ma już za sobą. Dawno, dawno temu do miasta ściągaly wesole, elegancko odziane tłumy, żeby tu spędzić beztroski weekend. Bognor mogło się poszczycić teatrem królewskim, wielkim pawilonem z parkietem tanecznym, który uchodził za najlepszy na południu Anglii, oraz renomowaną Kursaal, której nazwa jest trochę myląca, albowiem klienci nie poddawali się tam żadnym kuracjom, tylko jeździli na wrotkach do dźwięków granej przez orkiestrę na żywo muzyki, a następnie wieszali pod olbrzymimi palmami. Dzisiaj wszystko to ginie w pomroce dziejów.

Molo w Bognor przetrwało, ale ledwo ledwo. Kiedyś miało trzysta metrów długości, ale kolejni właściciele ucinali je po kawałku po pożarach albo sztormach i dzisiaj został zaledwie stumetrowy kikut, który nie dosięga do morza. Przez wiele lat odbywały się w Bognor coroczne konkursy latania, którego uczestnicy próbowali wzbic się z mola w powietrze za pomocą różnej roboty ustrojstw — rowerów z przypiętymi po bokach rakietami i tym podobnych. Zawodnicy nieodmiennie przebywali w powietrzu zabawnie krótki dystans

i z chlupotem wpadali do wody ku ucieście widowni, ale po kolejnym skróceniu mola awaryjne lądowania odbywały się na piasku i kamieniach, co budziło raczej niepokój niż rozbawienie. W 2014 roku konkurs odwołano i wygląda na to, że przeniósł się na stałe do oddalonego o kilka kilometrów Worthing, gdzie nagrody są większe, a molo sięga do morza.

Aby powstrzymać długi, łagodny upadek Bognor, rada okręgu Arun w 2005 roku powołała Grupę Zadaniową do spraw Rewitalizacji Bognor Regis z zadaniem sprowadzenia do miasta pięciuset milionów funtów inwestycji. Kiedy stało się oczywiste, że o takiej skali można tylko pomarzyć, poprzeczkę po cichu obniżono najpierw do stu milionów, a później do dwudziestu pięciu milionów. Ten cel również okazał się nadmiernie ambitny. Ostatecznie uznano, że najbardziej realistyczna będzie suma zbliżona do zera, a ponieważ ten poziom inwestycji został już osiągnięty, grupę zadaniową rozwiązano, podziękowawszy jej za dobrze wykonaną robotę. Teraz można odnieść wrażenie, że władze ograniczają się do utrzymywania Bognor przy życiu jak pacjenta na intensywnej terapii.

Ale przy tym wszystkim Bognor nie jest wcale takie złe. Ma długą plażę i krętą betonową promenadę oraz centrum, które nie tętni wprawdzie życiem, ale jest zwarte i schludne. Niedaleko od morza ciągnie się leśna głusza zwana Hotham Park, z krętymi alejkami, wielkim stawem, po którym można pływać łódkami, i z kolejką dla dzieci. Z drugiej strony to już chyba wszystko. Jeśli wpiszesz w internecie „atrakcje w Bognor”, wyskoczy ci Hotham Park i sklep ze skuterami.

Poszedłem nad morze. Przechadzało się tam całkiem sporo ludzi, korzystając ze słońca. Szykowało się piękne lato i już teraz o wpół do jedenastej przed południem było widać, że czeka nas upalny jak na Anglię dzień. Mój pierwotny plan polegał na tym, żeby przejść wzdłuż morza do Craigweil i zobaczyć miejsce, w którym kurował się król, ale moje nadzieje pierzchły, kiedy usłyszałem, że pałac rozebrano w 1939 roku, a teraz stoi w tym miejscu osiedle mieszkaniowe. Zamiast na zachód, poszedłem więc promenadą na wschód w stronę Felpham, ponieważ tam zmierzali wszyscy spacerowicze i uznałem, że wiedzą, co robią.

Po jednej stronie ciągnęła się plaża i roziskrzone morze, a po drugiej rząd



eleganckich nowoczesnych domów, z wysokimi ogrodzeniami, które miały chronić mieszkańców przed wścibskim wzrokiem spacerowiczów. Właściciele nie wzięli jednak pod uwagę, że mur zaprojektowany w celu zasłaniania widoku turystom zasłoni również widok im samym. Jeżeli mieszkańcy eleganckich domów chcieli spojrzeć na morze, musieli wejść na piętro i usiąść na balkonie, ale to oznaczało wystawienie się na nasze spojrzenia. Mogliśmy dowiedzieć się na ich temat wszystkiego — są opaleni czy może bladzi, piją coś zimnego czy ciepłego, czytają tabloidy czy prasę opiniotwórczą. Ludzie na balkonach udawali, że im to nie przeszkadza, ale dało się poznać, że przeszkadza. Postawili sobie zresztą bardzo trudne zadanie. Musieli udawać, że balkony w jakiś sposób czynią ich niewidzialnymi dla nas, a ponadto musieli udawać, że jesteśmy nic nieznaczącymi elementami panoramy, toteż nie zauważają, że na nich patrzymy. Tyle udawania naraz to spory wysiłek.

Postanowiłem przeprowadzić mały test i spróbować nawiązać kontakt wzrokowy z ludźmi na balkonach. Uśmiechałem się do nich tak, jakbym chciał powiedzieć: „Halo, widzę was!”, ale oni zawsze natychmiast odwracali wzrok albo udawali, że mnie nie widzą, ponieważ zaabsorbowało ich coś po drugiej stronie kanału, w okolicy Dieppe albo Deauville. Czasami sobie myślę, że los Anglika musi być trochę męczący. Niewątpliwie, my z promenady mamy znacznie lepiej, ponieważ cały czas widzimy morze bez wchodzenia na wyższe kondygnacje i nie musimy udawać, że nikt nie może nas zobaczyć. A naszą największą przewagą jest to, że w dowolnym momencie możemy wsiąść w samochód i wrócić do domu, który nie znajduje się w Bognor Regis.

Po wizycie w Bognor planowałem pojechać autobusem wzdłuż wybrzeża do Brighton i ostrzyłem sobie na to zęby. Nigdy wcześniej nie widziałem tego odcinka wybrzeża i wiązałem z nim wielkie nadzieje. Wydrukowałem sobie rozkład jazdy i po długich rozważaniach uznałem, że najodpowiedniejszy z punktu widzenia moich celów będzie autobus o dwunastej dziewiętnaście. Ale kiedy niespiesznym krokiem dotarłem na przystanek, sądząc, że mam kilka minut zapasu, z łagodną rozpaczą zobaczyłem, że mój autobus właśnie odjechał w chmurze czarnego dymu.

Zajął mi dłuższą chwilę, zanim ustaliłem, że mój zegarek się spóźnia — bateria najwyraźniej dogorywała. Do odjazdu następnego autobusu zostało mi pół godziny, więc poszedłem do jubilera, gdzie niezbyt pogodnie nastawiony do życia sprzedawca obejrzał mój zegarek i poinformował mnie, że wymiana baterii będzie kosztowała trzydzieści funtów.

— Ale ja za cały zegarek tyle nie zapłaciłem — wykrztusiłem.

— Być może to tłumaczy, dlaczego nie działa — odparł i oddał mi zegarek z wyniosłą obojętnością.

Zaczekałem, żeby sprawdzić, czy ma mi coś jeszcze do powiedzenia, czy jest w nim choćby iskierka zainteresowania tym, żeby mi pomóc na powrót zsynchronizować czas na moim nadgarstku z czasem obiektywnym, a przy okazji trochę na mnie zarobić. Okazało się, że nie ma.

— Trudno, na razie z tym zaczekam — powiedziałem. — Widzę, że jest pan bardzo zajęty.

Jeżeli moje poczucie humoru przypadło mu do gustu, to nie okazał tego. Wzruszył ramionami i na tym zakończyła się nasza znajomość.

Byłem głodny, ale do odjazdu autobusu zostało mi już tylko dwadzieścia minut, więc poszedłem do McDonalda, żeby oszczędzić na czasie. To był błąd. Cóż, mam niewiele osobistych doświadczeń z McDonaldem. Kilka lat temu, wracając z dużej rodzinnej wycieczki, zatrzymaliśmy się przy McDonalddie w odpowiedzi na wołania wnucząt z tylnego siedzenia, że mają ochotę na coś niezdrowego, i odpowiedzialność za złożenie zamówienia spadła na mnie. Szczegółowo odpytałem wszystkich uczestników wyprawy — było nas około dziesięciorga, dwoma samochodami — spisałem zamówienie na odwrocie starej koperty i podszedłem do kasy.

— No więc tak — powiedziałem stanowczym tonem do młodego sprzedawcy, kiedy przyszła na mnie kolej. — Poproszę pięć big maców, cztery cheeseburgery z podwójnym serem, dwa shaki czekoladowe...

W tym momencie ktoś podszedł do mnie z informacją, że jedno z dzieci zamiast big maca chce nuggetsy.

— Przepraszam, jeszcze raz: cztery big maki, cztery cheeseburgery z podwójnym serem, dwa shaki czekoladowe...

Ktoś szarpnął mnie za rękaw i powiedział, że chce shake truskawkowy, a nie czekoladowy.

— No to jeszcze raz: cztery big maki, cztery cheeseburgery z podwójnym serem, jeden shake czekoladowy, jeden shake truskawkowy, trzy porcje nuggetsów...

Ta sekwencja wydarzeń powtórzyła się jeszcze parę razy, ale udało mi się dotrzeć do końca i w całości złożyć zamówienie.

Po jego skompletowaniu młodzieniec postawił przede mną około jedenastu tac z trzydziestoma albo czterdziestoma produktami.

— Co to jest? — zapytałem.

— Pańskie zamówienie — odparł i odczytał z wyświetlacza na kasie: — Trzydzieści cztery big maki, dwadzieścia cheeseburgerów z podwójnym serem, dwanaście shake'ów czekoladowych...

Jak się okazało, zamiast skorygować zamówienie, za każdym razem je uzupełniał.

— Nie poprosiłem o dwadzieścia cheeseburgerów z podwójnym serem, tylko pięć razy poprosiłem o cztery cheeseburgery z podwójnym z serem.

— Wychodzi na to samo — błysnął znajomością tabliczki mnożenia.

— To wcale nie jest to samo. Niemożliwe, żeby pan był aż taki głupi.

Dwie spośród osób stojących za mną w kolejce wzięły stronę młodego sprzedawcy.

— Kiedy pan naprawdę to wszystko zamówił — powiedziała jedna z nich.

Z zaplecza wyłonił się kierownik zmiany i spojrzał na kasę.

— Tutaj jest napisane: dwadzieścia cheeseburgerów z podwójnym serem — powiedział takim tonem, jakby znalazł pistolet z moimi odciskami palców.

— Wiem, co tam jest napisane, ale ja tego nie zamawiałem.

Jeden z moich dorosłych synów przyszedł sprawdzić, co jest grane. Wyjaśniłem mu sytuację, a on po wszechstronnym rozpatrzeniu sprawy doszedł do wniosku, że *per saldo* wina leży po mojej stronie.

— Nie wierzę, że wszyscy jesteście tacy głupi — powiedziałem do publiczności, która teraz składała się z około szesnastu osób, w tym nowo przybyłych, które mimo to już występowały przeciwko mnie. Ostatecznie podeszła moja żona i odciągnęła mnie za łokieć, tak jak kiedyś prowadziła bełkocących pacjentów psychiatrycznych do izolatki. Przyjaźnie załatwiła sprawę z kierownikiem i sprzedawcą, mniej więcej w trzydzieści sekund zniosła na stół dwie tace z jedzeniem i poinformowała mnie, że już nigdy nie wolno mi przekroczyć progu McDonalda, ani w pojedynkę, ani pod nadzorem.

A jednak, po raz pierwszy od tamtej awantury, znalazłem się w McDonalddie. Poprzysiągłem sobie, że będę grzeczny, ale McDonald po prostu mnie przerasta. Zamówiłem kanapkę z kurczakiem i dietetyczną colę.

— Życzy pan sobie do tego frytki? — zapytał obsługujący mnie młody mężczyzna.

Po chwili wahania odparłem zbolalym, ale cierpliwym tonem:

— Nie. I właśnie dlatego nie poprosiłem o frytki.

— Każą nam pytać, czy klient chce.

— Mam taką zasadę, że kiedy chcę frytki, mówię coś w rodzaju: „Poproszę jeszcze frytki”. Taki mam system.

— Każą nam pytać, czy klient chce — powtórzył.

— Chce się pan dowiedzieć, jakich innych rzeczy nie chcę? Lista jest całkiem długa. Zawiera wszystko, co podajecie, oprócz tych dwóch rzeczy, które zamówiłem.

— Każą nam pytać, czy klient chce — powtórzył kolejny raz, ale mniej sympatycznym tonem. Położył zamówione przeze mnie dwa produkty na tacy i bez śladu szczerości w głosie życzył mi miłego dnia.

Zdałem sobie sprawę, że chyba nie jestem jeszcze całkiem gotowy na McDonalda.

Autobus z Bognor do Brighton przez Littlehampton jest reklamowany jako Coastliner 700, co sugeruje nowoczesny, luksusowy pojazd z turbodoładowanym

silnikiem. Wyobraziłem sobie, że siedzę wysoko nad ziemią w klimatyzowanym, tapicerowanym welurem komforcie, chłonę widoki na błękitne morze i pagórkowaty krajobraz przez delikatnie przyciemnioną szybę — tak delikatnie, że mam ochotę odwrócić się do sąsiada i zapytać: „Ta szyba jest lekko przyciemniona czy Littlehampton trochę niebieskawe?”.

Rzęzący autobus, który zatrzymał się na przystanku, w żadnym punkcie nie spełniał wyobrazonej przeze mnie specyfikacji. Był zatłoczony, duszny, jednopoziomowy, pełen metalowych kantów i plastikowych siedzeń. W tego rodzaju pojeździe możesz się znaleźć podczas transportu z więzienia do więzienia. Na jego korzyść przemawiał fakt, że był tani — cztery funty i czterdzieści pensów za podróż do Hove, czyli mniej niż poprzedniego wieczoru wydałem w Londynie na jedno piwo.

Mój entuzjazm nie został jednak całkowicie zgaszony, ponieważ miałem zaraz podróżować przez szereg małych i — miałem nadzieję — uroczych miejscowości letniskowych: Littlehampton, Goring-by-Sea, Angmering, Worthing, Shoreham. Wyobraziłem sobie szczęśliwie miasteczka z gatunku przedstawianych w książeczkach dla dzieci z lat pięćdziesiątych — główna ulica z sympatycznymi herbaciarniami, w sklepach z pasiastymi markizami sprzedają wiatraczki i piłki plażowe, a ludzie przechadzają się z kulkami żółtych lodów w wafelku. Tymczasem jechaliśmy obwodnicami i drogami szybkiego ruchu przez niekończące się przedmieścia, mijając wyłącznie supermarkety (jest to jedno z najbardziej nieadekwatnych określeń we współczesnym brytyjskim życiu), stacje benzynowe, salony samochodowe i całą resztę nieodłącznej od naszej epoki szpetoty. Poprzedni pasażer zostawił w kieszeni fotela parę kolorowych czasopism, więc z ciekawością zrodzoną ze znudzenia wyjąłem teraz jedno z nich. Było to jedno z tych pisemek o dziwnie emfatycznych tytułach — „Hello!”, „OK!”, „Now!”, „What Now!”, „Not Now!” — i większość tekstów dotyczyła celebrytek, które mocno przybrały ostatnio na wadze, chociaż na wcześniejszych zdjęciach też nie wyglądały zbyt szczupło. O żadnej z nich wcześniej nie słyszałem, ale o ich życiu fascynująco się czytało. Najbardziej podobał mi się artykuł — być może

umieszczę go na pierwszym miejscu listy moich ulubionych tekstów — o aktorce, która zemściła się na swoim nieodpowiedzialnym partnerze, przerzucając na niego opiewający na siedem i pół tysiąca funtów rachunek za waginoplastykę. To się dopiero nazywa zemsta. Ciekawe, co się dostaje w pakiecie z waginoplastyką. Darmowe Wi-Fi? Saunę? Niestety artykuł tego nie precyzował.

Połąknąłem haczyk. Wciągnęły mnie spaprane z rozmachem losy celebrytek, których wspólnymi mianownikami wydawały się mikroskopijne mózgi, gigantyczne cycki i imponująca umiejętność fatalnego doboru partnerów. W tym samym numerze natrafiłem na wpadający w oko tytuł: *Nie zabijaj swojego dziecka dla sławy!* Okazało się, że jest to porada od Katie Price (jak dla mnie sobowtórki świętej pamięci modelki Donny Jordan) dla wschodzącej gwiazdy Josie. Pani Price nie należy do osób, które przebierają w słowach. „Posłuchaj mnie uważnie, Josie — napisała. — Uważam, że jesteś absolutnie odrażająca. Fakt, że masz cycki i zrobiłaś sobie skrobankę, nie czyni cię sławną!” Chociaż byłem intelektualnie i emocjonalnie skłonny podzielić stanowisko pani Price w tej sprawie, artykuł sugerował, że Josie stanowi żywe zaprzeczenie tej tezy.

Na zdjęciach widniała młoda kobieta z piersiami jak balony i ustami przywodzącymi na myśl te unoszące się na wodzie rurki, których kiedyś używano do ogradzania plam rozlanej ropy na morzu. Z artykułu wynikało, że Josie spodziewa się „trzeciego syna w ciągu dwóch miesięcy” — wszyscy się chyba zgodzimy, że nawet jak na mieszkankę Essex jest to godne podziwu tempo reprodukcji. W dalszej części tekstu można było przeczytać, że Josie chciała mieć dziewczynkę, a nie kolejnego chłopca, i tak się rozczarowała, że zaczęła znowu pić i palić w ramach sygnału niezadowolenia dla swojego systemu rozrodczego. Rozważała nawet aborcję i właśnie z tego powodu pani Price tak emocjonalnie włączyła się do dyskusji. W artykule odnotowano mimochodem, że dwa wydawnictwa zaproponowały młodej Josie napisanie książki. Jeżeli się okaże, że jest wśród nich moje, osobiście podpale jego siedzibę.

Nie znoszę gadać jak stary zgred, ale dlaczego ci ludzie są sławni? Którymi spośród posiadanych przez siebie przymiotów zjednują sobie świat? Możemy od

razu wykluczyć talent, inteligencję, atrakcyjność i urok, więc co nam zostaje? Zgrabne stópki? Świeży, miętowy oddech? Nie ogarniam tego. Pod względem anatomicznym część z nich sprawia takie wrażenie, jakby należała do innego gatunku. Wiele z tych osób nosi imiona, które sugerują przybyszów z odległej galaktyki: Ri-Ri, Tulisa, Naya, Jai, K-Pez, Chlamydia, Toss-R, Mo-Ron (być może niektóre zmyśliłem). Kiedy czytałem to pismo, cały czas słyszałem w głowie głos jak ze zwiastuna filmu klasy B z lat pięćdziesiątych: „Pochodzą z planety Imbecile!”.

Nie wiem, gdzie takich sięgają, ale są ich dzisiaj całe chmury. Jakby dla zilustrowania mojej tezy tuż za Littlehampton wsiadł młody człowiek w workowatych spodniach, zblazowanym krokiem przeszedł przez środek i rozwalił się na siedzeniu naprzeciwko mnie. Na głowie miał o kilka rozmiarów za dużą czapkę bejsbolową. Gdyby nie nadmiarowe uszy, czapka zasłaniałaby mu oczy. Daszek był zwalcowany na płask, a z czapki nadal zwisała błyszcząca metka podobna do hologramu. Nad daszkiem widniało wypisane dużymi literami słowo „OBEY” („bądź posłuszny”). Słuchawki wysyłały dudniące fale dźwiękowe do majestatycznej międzygwiazdnej pustki jego czaszki i usiłowały odnaleźć w niej ziarenko mózgu. Musiało to trochę przypominać polowanie na bozon Higgsa. Gdyby tych wszystkich młodzieńców z Południowej Anglii, z ich czapkami i zblazowanym krokiem, zgromadzić w jednym pokoju, ich łączne IQ wciąż nie wystarczyłoby dla półgłówka.

Wyjąłem drugie czasopismo, zatytułowane „Zatkaj Mordę!”. Dowiedziałem się z niego, że pani Price być może nie jest tak wspaniałą krynicą dobrej rady, jak do tej pory sądziłem. Czytelników czekała wycieczka po oszałamiająco bujnym życiu miłosnym pani Price. Obejmowało ono trzy małżeństwa, dwa przypadki zerwanych zaręczyn, gromadę dzieci i siedem innych ważnych, ale krótkotrwałych związków — a tekst dotyczył tylko ostatniego okresu jej pracowitego życia. Wszystkie związki pani Price były nad wyraz niezadowolające, zwłaszcza ostatni. Pani Price wyszła za niejakiego Kierana, którego główny talent w moim odczuciu polega na umiejętności ciekawego stawiania włosów do góry. Niedługo po tym, jak

zamieszkali razem w liczącej tysiąc sto pokoi rezydencji Katie, pani Price odkryła, że Kieran posuwa jej najlepszą (teraz zapewne była najlepszą) przyjaciółką. Jakby tego nie było dosyć (w świecie pani Price nigdy niczego nie jest dosyć), Katie odkryła, że jeszcze jedna spośród jej najlepszych przyjaciółek urządza sobie jazdy próbne z Kieranem. Pani Price wpadła w zrozumiałą furję. Sądzę, że mamy tutaj do czynienia z Pałacem Buckingham waginoplastyki.

Przewróciłem kartkę i natrafiłem na krzepiący reportaż o Sam i Joeyu, których talentów za żadne skarby nie potrafiłem zidentyfikować. Chętnie bym się dowiedział, czy ktokolwiek potrafi. Sam i Joey najwyraźniej zrobili wielką karierę, ponieważ szukali dużej nieruchomości w Essex — „najlepiej zamku”, informował jeden z ich znajomych. W tym momencie zdałem sobie sprawę, że mózg skapuje mi na papier, więc odłożyłem czasopismo i zacząłem oglądać podmiejski krajobraz, który przesuwał się za oknem.

Powoli, bezsilnie i z wieloma podskokami głowy, zapadłem w głęboki sen.

Obudziłem się z szarpnięciem i stwierdziłem, że jestem w jakimś nieznanym miejscu. Autobus zatrzymał się koło miejskiego parku, dużego, prostokątnego, zielonego i zatłoczonego. Z trzech stron ograniczały go niewielkie hotele i apartamentowce, a z czwartej strony morze. Wyglądało to uroczo. Za moim oknem odchodziła od parku pieszka alejka, również sympatyczna. Być może było to Hove. Słyszałem wcześniej, że Hove jest bardzo ładne. Szybko wysiadłem i trochę pospacerowałem, zachodząc w głowę, jak mógłbym się dowiedzieć, gdzie jestem. Nie potrafiłem zdobyć się na to, żeby podejść do kogoś i zapytać: „Przepraszam, gdzie ja jestem?”, wędrowałem więc po miasteczku, aż dotarłem do tablicy informacyjnej, która mnie poinformowała, że jestem w Worthing.

Spenetrowałem wspomnianą pieszą alejkę, która nazywała się Warwick Street, wypiliśmy herbatę, a potem pospacerowałem nad morze, gdzie dominował porażająco brzydki wielopiętrowy parking. Ciekawe, jak sobie kombinują urzędnicy od planowania przestrzennego. „Wiecie co, mam pomysł. Zamiast ładnych hoteli i apartamentowców postawmy nad morzem wielki parking bez okien. Ściągniemy w ten sposób tłumy!” Pomyślałem o tym, żeby resztę drogi do



Brighton przejść na piechotę, ale potem sobie uzmysłowiłem, że chociaż Brighton rzeczywiście majaczy na horyzoncie, dzieli mnie od niego dość długa droga — według mojej niezawodnej mapy Ordnance Survey około trzynastu kilometrów, czyli znacznie więcej, niż miałem ochotę pokonać pieszo na tym etapie życia.

Wsiadłem więc do innego autobusu, prawie takiego samego jak pierwszy, i podjąłem zmotoryzowaną podróż. Zaczęło się obiecująco, ale po chwili nadmorska droga zamieniła się w długi ciąg złomowisk, magazynów z materiałami budowlanymi i warsztatów samochodowych, a kiedy wjeżdżaliśmy do Shoreham, zobaczyłem wielką elektrownię. Z powodu robót drogowych utknęliśmy w długim korku i znowu zasnąłem.

Obudziłem się w Hove, dokładnie tam, gdzie chciałem być, i wysiadłem z autobusu, jak zwykle potykając się w pośpiechu. Przypadkiem czytałem niedawno o George'u Evereście, człowieku, któremu zawdzięcza swoją nazwę Mount Everest, i dowiedziałem się, że leży pochowany w kościele św. Andrzeja w Hove — pomyślałem, że rzucę okiem na jego grób. Nigdy się wcześniej nie zastanawiałem, skąd Czomolungma wzięła swoją angielską nazwę. Okazało się, że jej związki z tym człowiekiem były w najlepszym razie nikłe. Przede wszystkim nie widział jej na oczy. Góry, ani indyjskie, ani inne, nie odgrywały większej roli w jego życiu.

Everest urodził się w 1790 roku w Greenwich, z ojca prawnika. Wykształcenie pobierał w szkołach wojskowych w Marlow i Woolwich, po czym wysłano go na Daleki Wschód, gdzie pracował jako geodeta. W 1817 roku trafił do Hajdarabadu i objął funkcję głównego asystenta w przedsięwzięciu o nazwie Wielki Pomiar Trygonometryczny. Celem projektu było zmierzenie wygięcia łuku południka na terenie Indii, co miało służyć do wyliczenia obwodu Ziemi. Taki cel życiowy postawił sobie William Lambton, człowiek, o którego życiorysie prawie niczego nie wiemy na pewno. W *Oxford Dictionary of National Biography* można przeczytać, że urodził się pomiędzy 1753 i 1769 rokiem — zaskakująco szeroki margines błędu. Z całą pewnością możemy jednak powiedzieć, że nie wiemy, gdzie

się wychowywał i kształcił. Musimy zadowolić się informacją, że w 1781 roku zaciągnął się do wojska, pojechał do Kanady wytyczać granicę z nowo powstałymi Stanami Zjednoczonymi, a potem odkomenderowano go do Indii. Tam wpadł na pomysł zmierzenia łuku południka. Pracowicie się tym zajmował mniej więcej przez dwadzieścia lat, by w 1823 roku nagle umrzeć w Północnych Indiach — dokładnego miejsca, daty i przyczyny znowu jednak nie znamy. George Everest tylko dokończył cudzy projekt. Było to ważne przedsięwzięcie, ale nawet nie zbliżyło się do Himalajów.

Na fotografiach Everesta z późnego okresu jego życia widzimy smętną twarz obwiedzioną niemal idealnym okręgiem siwych włosów i brody. Indyjskie warunki wyraźnie mu nie służyły. Przez dwadzieścia spędzonych tam lat prawie cały czas coś mu dolegało. Chorował na tyfus i co chwila zapadał na chorobę, którą brytyjscy koloniści nazywali gorączką z Yellapuru, oraz biegunkę. Długie okresy spędzał w kraju na chorobowym. W 1843 roku, na długo zanim nazwano od niego Czomolungmę, wrócił do Anglii na stałe. Jest to jedna z bardzo nielicznych gór w Azji, które mają angielskie nazwy. Brytyjscy kartografowie generalnie byli całkiem skrupulatni w kwestii zachowywania rdzennego nazewnictwa, ale Mount Everest funkcjonował pośród okolicznej ludności pod wieloma nazwami — Deodhunga, Devadhunga, Bairavathan, Bhairavlangur, Gnalthamthangla, Czomolungma i jeszcze kilka — toteż każdy wybór byłby arbitralny. Brytyjczycy najczęściej mówili na niego Wierzchołek XV. W tamtym okresie nikt nie miał pojęcia, że jest to najwyższa góra świata, a tym samym zasługuje na szczególną uwagę, więc kiedy ktoś napisał na mapie nazwisko Everest, nie traktowano tego jako doniosłego wydarzenia. Ostatecznie stwierdzono, że pomiar trygonometryczny był obarczony wieloma błędami, co oznacza, że Lambton i Everest nie osiągnęli w życiu zbyt wiele.

Nawiasem mówiąc, George Everest w odróżnieniu od nas nie wymawiał swojego nazwiska jako trzysylabowego, lecz połykał środkowe „e” — co dawało w efekcie „Ewrest”. Góra jest zatem nie tylko błędnie nazwana, ale również błędnie wymawiana. Everest zmarł w wieku siedemdziesięciu sześciu lat w londyńskich

Hyde Park Gardens, ale pochowano go w Hove. Nikt nie wie dlaczego. Nie mamy żadnych informacji o jego związkach z tą miejscowością ani żadnym innym obszarem Sussex. Bardzo mi się spodobało, że najsłynniejsza góra świata została nazwana od człowieka, który nie miał z nią nic wspólnego i którego nazwisko niepoprawnie wymawiamy. Fantastyczna sprawa.

St. Andrews to interesujący kościół, wielki i szary, z ciemną kwadratową wieżą. Koło bramy stała duża tablica z napisem „Witamy w Kościele Św. Andrzeja”, ale miejsca na nazwisko proboszcza, pory nabożeństw i numer telefonu kościelnego były puste. Na przykościelnym cmentarzu stały trzy grupki meneli, którzy pili i korzystali ze słońca. Dwóch facetów z grupy najbliżej mnie zażarcie się o coś sprzeczało, ale nie słyszałem o co. Próbowałem odczytać napisy nagrobne, ale większość z nich zatarły żywioły. Grób Everesta był wystawiony na działanie słonego powietrza Hove od prawie stu pięćdziesięciu lat, wydawało się zatem mało prawdopodobne, aby przetrwał w rozpoznawalnej postaci. Jeden z dwóch polemistów wstał i odlał się pod murem granicznym. W trakcie tej czynności skierował zainteresowanie na moją osobę i lekko nieprzyjaznym tonem wypytywał mnie przez ramię, czego tam szukam.

Wyjaśniłem, że szukam grobu niejakiego George'a Everesta. Zaskoczył mnie, odpowiadając z całkiem niezłą artykulacją:

— Tu zaraz. — Skinął głową w stronę jakiegoś nagrobka parę metrów ode mnie.  
— Nazwali od niego Mount Everest, ale on nigdy go nie widział.

— Tak właśnie wyczytałem.

— Kretyn zasrany — powiedział niezbyt dla mnie jasno i z wyrazem zadowolenia na twarzy schował wacka z powrotem do spodni.

Tak zakończył się mój pierwszy dzień jako turysty w Wielkiej Brytanii. Miałem nadzieję, że przynajmniej niektóre z kolejnych okażą się lepsze.

## Rozdział 2

# Seven Sisters

**P**ewna kobieta, której nie miałem okazji poznać, regularnie przesyła mi e-mailem listę objawów ostrzegawczych wylewu krwi do mózgu.

„Jeżeli czujesz świerzbienie w palcach — mówi jeden z punktów — być może masz *WYLEW. NATYCHMIAST* zgłoś się do lekarza”. (W ostrzeżeniach jest mnóstwo kursywy i dużych liter, zapewne dla podkreślenia, że sprawa jest niezwykle poważna). W innym punkcie czytamy: „Jeżeli nie możesz sobie przypomnieć, gdzie zaparkowałeś samochód na parkingu wielopoziomowym, prawdopodobnie *MASZ WYLEW. BEZZWŁOCZNIE* udaj się na pogotowie”.

To niesamowite, w jak ogromnym stopniu te sygnały pokrywają się z moimi doświadczeniami. Doznaję wszystkich objawów, a są ich setki i co parę dni dochodzi kilka nowych.

„Jeżeli odnosisz wrażenie, że wytwarzasz więcej woskowiny usznej niż zazwyczaj...”

„Jeżeli zdarza ci się niespodziewanie kichnąć...”

„Jeżeli w ciągu ostatnich sześciu miesięcy jadłeś tost...”

„Jeżeli co roku obchodzisz urodziny w tym samym dniu...”

„Jeżeli martwisz się o wylew po przeczytaniu ostrzeżeń o wylewie...”

„Jeżeli wystąpiły u ciebie którekolwiek z tych objawów — albo *jakiegokolwiek inne* objawy — natychmiast udaj się do lekarza. Zator zmierza prosto do twojej kory mózgowej! *WIELKOŚCI KACZEGO JAJA*”.

Razem wzięwszy, z wytycznych tych wynika, że najlepszym wskaźnikiem wylewu jest to, co robiłeś tuż przed wylewem. Od pewnego czasu ostrzeżeniom towarzyszą otrzeźwiająca relacje o ludziach, którzy zlekceważyli sygnały. „Kiedy

mąż Doreen Harold zauważył, że po wyjściu spod prysznic ma czerwone uszy — czytamy w jednym z nich — nie wziął sobie tego do serca. Jakże później oboje tego żalowali! Parę minut później Doreen znalazła Harolda, za którego wyszła czterdzieści siedem lat wcześniej, z twarzą w misce płatków z mlekiem. Harold **MIAŁ WYLEW!** Przewieziono go do szpitala, ale krytyczne minuty zostały zmarnowane i teraz jest **WARZYWEM**, które spędza popołudnia na oglądaniu *Countdown*. Nie pozwól, żeby to samo dotknęło ciebie!”

Nie potrzebuję przypomnień, aby wiedzieć, że z moim organizmem nie jest najlepiej. Wystarczy, że stanę przed lustrem, odchyłę głowę do tyłu i zajrzę sobie do nosa. Spieszę dodać, że nie robię tego zbyt często, ale kiedyś widziałem tam dwie niewielkie, ciemne jamy. Dzisiaj staję mi przed oczyma prywatny las deszczowy. Moje nozdrza są wypełnione włóknistym materiałem — nie można tego nawet nazwać włosami — podobnym do włókna kokosowego na wycieraczki. Gdyby ktoś zechciał zostać moim sobowtórem, to powinien starannie zdemontować taką wycieraczkę na pojedyncze włókna, czterdzieści procent z nich włożyć do jednej dziurki w nosie, czterdzieści procent do drugiej, a resztę do uszu, tak żeby z każdego otworu trochę wystawało.

Ktoś musi mi wyjaśnić, dlaczego organizm starzejącego się człowieka jest tak wydajnym hodowcą włosów w nosie i uszach. Można by pomyśleć, że Bóg chce sobie ze mnie okrutnie zakpić, powiedzieć: „No cóż, Bill, zła wiadomość jest taka, że od tej pory będziesz miał ogromne kłopoty z trzymaniem moczu, po kolei utracisz wszystkie władze umysłowe, a seks będziesz uprawiał tylko podczas zaćmienia Księżyca, ale dobra wiadomość jest taka, że włosy w nosie będziesz mógł sobie zaplatać w warkoczyki”.

Inną sprawnością, która poprawia się z wiekiem, jest wzrost paznokci u nóg. Nie mam pojęcia dlaczego. Moje są teraz twardsze od żelaza. Iskry lecą, kiedy je obcinam. Mógłbym ich używać w funkcji zbroi, gdybym zdołał nakłonić wrogów, żeby strzelali mi w stopy.

W starzeniu się najgorsza jest świadomość, że cała twoja dalsza droga biegnie w dół. Kompletnie się sypię, ale jestem okazem zdrowia w porównaniu do

człowieka, którym będę za tydzień. Uświadomiłem sobie niedawno z konsternacją, że jestem już za stary na przedwczesną demencję. Jeśli przyjdzie demencja, to punktualnie. Ogólne prognozy mówią o niemocy, plamach wątrobowych, łysieniu, zniedołężnieniu, nietrzymaniu moczu, fioletowych plamach na rękach i głowie, tak jakby żona mnie biła drewnianą łyżką (nie odmawiajmy jej tej możliwości), i przekonaniu, że cały świat mówi za cicho. To znaczy tak brzmi najlepszy scenariusz, który wymaga, żeby wszystko przebiegało idealnie. Inne scenariusze zawierają cewniki, łóżka z bocznymi poręczami, plastikowe rurki z moją krwią, domy opieki, bycie wysadzonym na kibelek i konieczność zgadywania, jaka jest pora roku na zewnątrz — przy czym nadal znajdujemy się po korzystniejszej stronie spektrum scenariuszy.

Zdeprymowany moim dossier sygnałów ostrzegających przed wylewem przeprowadziłem badania i wyszło na to, że istnieją dwa zasadnicze sposoby uniknięcia wylewu. Pierwszy z nich to umrzeć wcześniej na coś innego, drugi to trochę poćwiczyć. Wybrałem tę drugą metodę i postanowiłem wprowadzić w moje życie element chodzenia. Po przyjeździe z Bognor do Hove można mnie było znaleźć dwadzieścia kilometrów dalej na wschód — stromą ścieżką wspinałem się zdyszany na osmagany wiatrem wierzchołek Haven Brow, pierwszy z serii słynnych wyniosłości ozdabiających wybrzeże Sussex zwanych Seven Sisters. Seven Sisters to jeden z najwspanialszych szlaków turystycznych w Anglii. (Wierzchołki te widnieją na okładce tej książki i, jak widać, są całkiem spore). Widok z Haven Brow jest po prostu rewelacyjny. Rozciąga się przed tobą rozmyta nieskończoność falujących wzgórz zakończonych od strony morza urwiskiem z białej kredy. W taki słoneczny dzień jak tamten jest to świat prostych, jasnych elementów: zielony ląd, białe klify, ciemnoniebieskie morze i błękitne niebo.

W Wielkiej Brytanii nie ma nic — absolutnie nic — bardziej niezwykłego niż piękno krajobrazu. Mimo że nigdzie na świecie krajobraz nie jest tak intensywnie użytkowany — podziurawiony przez kopalnie i kamieniołomy, zaorany, pokryty miastami i huczącymi fabrykami, poprzecinany autostradami i torami kolejowymi — na większości swojego obszaru pozostaje dogłębnie i niezawodnie cudowny.

Zrządziła tak historia. Bo widzicie, jeżeli chodzi o cuda natury, Wielka Brytania nie ma zbyt wiele do zaoferowania. Nie olśniewa alpejskimi szczytami, szerokimi dolinami polodowcowymi, potężnymi wąwozami i grzmiącymi wodospadami. Rzeźba terenu nie ma w sobie niczego monumentalnego. A przecież dzięki swoim bezpretensjonalnym wrodzonym talentom, wielkiej cierpliwości i niezawodnemu instynktowi melioracyjnemu budownicy Wielkiej Brytanii stworzyli najwyższej klasy parkowe krajobrazy, znakomicie uporządkowane miasta, najurodziwsze miejscowości na prowincji, radosne nadmorskie letniska, najdostojniejsze gmachy publiczne, najbardziej romantycznie porośnięte wieżami, katedrami, zamkami, opactwami, leśnymi samotniami, drzewami, pastwiskami, szerokimi żywopłotami i bujnym kwieciami sto trzydzieści tysięcy trzysta dwadzieścia kilometrów kwadratowych, jakie zna świat — prawie żadnemu z tych przedsięwzięć nie przyświecały cele estetyczne, ale łączny efekt całkiem często jest doskonały. Cóż za niebywałe osiągnięcie!

Jakaż to radość spacerować pośród tego wszystkiego. W Anglii i Walii jest dwieście dziewięć tysięcy kilometrów publicznych ścieżek, co daje około dwa i dwie dziesiąte mili ścieżki na milę kwadratową powierzchni. Mieszkańcy Wielkiej Brytanii nie zdają sobie sprawy, jakie to niezwykle. Gdybyś powiedział komuś ze Środkowego Zachodu USA, z którego pochodzę, że zamierzasz spędzić dzień na chodzeniu pośród pól uprawnych, spojrzaliby na ciebie jak na wariata. Byłoby to zresztą niewykonalne. Każde pole kończyłoby się barierą z drutu kolczastego. Nie znalazłbyś pomocnych przełazów, furtek, kuszących drewnianych słupków wskazujących drogę. Spotkałbyś tylko farmera ze strzelbą, który by się zastanawiał, co ci strzeliło do głowy, żeby łązić po jego lucernie.

Podsumowując, największą zaletą Wielkiej Brytanii jest dla mnie to, że można tam sobie chodzić na świeżym powietrzu. W tym dniu znajdowałem się na South Downs Way, która ciągnie się na sto sześćdziesiąt kilometrów z Winchester do Eastbourne przez falujące kredowe niziny południowego wybrzeża. Szlak ten przemierzyłem etapami przez wiele lat, ale to jest mój ulubiony odcinek. Po lewej miałem biuściaste zielono-złote wzgórza, po prawej rozgwieżdżoną tafłę

jasnoniebieskiego morza. Środkiem przebiegały oślepiająco białe klify. Jeżeli komuś starczy odwagi, może podejść na skraj klifu i spojrzeć w dół. Na ogół zobaczy kilkudziesięciometrową pionową skarpe, która kończy się na kamienistej plaży. Ale prawie nikt tego nie robi, bo to rozstrajające i za bardzo niebezpieczne, ponieważ klify się osypują. Nawet rozhasane psy hamują i zmykają na widok skarpy. Na całym tym odcinku wybrzeża ścieżka jest trawiasta, przystrzygana przez owce, czasem szeroka na kilkadziesiąt metrów, więc nawet najbardziej roztargniony piechur — na przykład osoba, której nie należy dopuszczać zbyt blisko automatycznych szlabanów — może się tamtędy przemieszczać w stanie błogiej nieświadomości i pozostać bezpieczna.

South Downs Way nie tylko jest przepiękna, ale staje się coraz lepsza. Na przełęczy Birling Gap, z grubsza w połowie drogi między początkiem Seven Sisters a Eastbourne, znajdowała się kiedyś dosyć okropna restauracja, ale National Trust wziął ją pod swoją gustowną opiekę i przekształcił w raj dla ludzi, którzy wyglądają tak, jakby właśnie zeszli ze strony katalogu Barbour. Teraz mamy tam elegancką jadalnię samoobsługową z lśniącymi drewnianymi stołami i z cudownymi widokami na morze, czystymi ubikacjami, sklepem z pamiątkami dla ludzi, którzy uważają, że dziesięć funtów nie jest wygórowaną ceną za sześć pierniczków, pod warunkiem że sprzedają je w ładnej puszcze, oraz z małym, ale interesującym muzeum. Na początek poszedłem do muzeum, które było zaaranżowane inteligentnie i z pomysłem. Można się tam dużo dowiedzieć o geologii wybrzeża Sussex, m.in. tego, że erozja postępuje w tempie dwóch piątych metra rocznie, aczkolwiek sama Birling Gap osypuje się do morza prawie dwa razy szybciej. Naprzeciwko restauracji National Trust ciągnął się kiedyś rząd domów na szczycie klifu. Teraz zostały zaledwie cztery, a dom numer cztery sprawia takie wrażenie, jakby niedługo miał zostać przemianowany na Chatę na Plaży.

Z zainteresowaniem dowiedziałem się również, że Seven Sisters — czyli Haven Brow, Short Brow, Rough Brow, Brass Point, Flat Hill, Bailey's Hill i Went Hill — nie obejmują Belle Tout i Beachy Head, dwóch największych wzniesień na tym



odcinku wybrzeża, co oznaczało, że byłem w trakcie wspinaczki na dziewięć, a nie siedem wierzchołków. Nic dziwnego, że nie czułem nóg. Informacja ta trochę mnie otrzeźwiła i pokrzepiłem się w restauracji National Trust wykwintną kanapką oraz butelką organicznego napoju, a następnie wróciłem na długi, samotny szlak.

Kawałek za Birling Gap ścieżka dociera do rozległej panoramy, która prawie wszystkim wydaje się znajoma, nawet jeżeli nigdy tędy nie szli. Widok ten unieśmiertelnił plakat z okresu drugiej wojny światowej autorstwa artysty Franka Newboulda. Plakat ukazuje pasterza prowadzącego przez wybrzeże Sussex stado owiec. Na drugim planie widać ładny dom na farmie, a wzgórze w oddali wieńczy ikoniczna latarnia morska Belle Tout. Morze jest widoczne tylko jako kreska w poprzek dalekiej doliny. Podpis brzmi: „Twoja Brytania — walcz o nią”. Zawsze wydawało mi się ciekawe, że ze wszystkich rzeczy, za które warto było umierać w 1939 roku, wybrano krajobraz. Zastanawiam się, ile osób podzielałoby to przekonanie dzisiaj. Newbould pozwolił sobie na odrobinę licencji artystycznej — udoskonalił kształt wzgórz, uporządkował gospodarstwo rolne, trochę zmienił przebieg ścieżki, ale nie w takim stopniu, żeby widok stał się fikcyjny. Naród brytyjski może sobie poczytywać za powód do chluby, że siedemdziesiąt lat po tym, jak Newbould namalował tę panoramę, jest ona równie piękna jak wtedy.

Największym zagrożeniem dla angielskiego krajobrazu prawdopodobnie jest powszechne przekonanie, że zawsze pozostanie taki sam. To smutny paradoks, ale większość rzeczy, którym brytyjski krajobraz zawdzięcza swoją urodę i niepowtarzalność, jest już w gruncie rzeczy niepotrzebna. Żywopłoty, wiejskie kościoły, kamienne stodoły, łąki pełne kiwających głowami polnych kwiatów i ptasiego śpiewu, owce hasające po smaganych wiatrem wzniesieniach, wiejskie sklepy i urzędy pocztowe plus mnóstwo innych rzeczy, których istnienie bardzo rzadko da się uzasadnić względami ekonomicznymi, a dla większości polityków tylko te względy się liczą. Z ekonomicznego punktu widzenia nie potrzebujemy nawet rolników. Rolnictwo wytwarza zaledwie siedem dziesiątych procent PKB Wielkiej Brytanii, więc gdyby jutro przestało istnieć, gospodarka brytyjska ledwo by to zauważyła. Kolejne rządy nie robią prawie nic w kwestii zachowania tego

wszystkiego. Istnieje jakaś dziwna, zaślepiona, głupia skłonność do myślenia, że cechy składające się na brytyjski krajobraz będą się w nieskończoność same odtwarzały, że nigdy nie znikną, po wsze czasy ciesząc nas swoim wdziękiem i urodą. Ja bym na to nie liczył.

Niewiele brakowało, a nie przetrwałaby latarnia morska Belle Tout. W pierwszej dekadzie XX wieku wyłączono ją z użytku i popadła w ruinę. Podczas drugiej wojny światowej kanadyjscy żołnierze używali jej jako tarczy do ćwiczeń strzeleckich. Po wojnie ją odrestaurowano, ale pod koniec stulecia zagroził jej upadek do morza i jakaś poczciwa dusza zapłaciła fortunę za przeniesienie budynku na bezpieczną odległość od skarpy. Upłynie kilkadziesiąt lat, zanim wietrzejące klify znowu do niej podpełzną.

Za Belle Tout zaczyna się długie zejście prawie na poziom morza, a potem jednostajna wspinaczka na szczyt Beachy Head. Marsz po szerokim pasie trawy jest dosyć monotony — czułem się jak na polu golfowym — ale wysiłek z nawiązką wynagradzają niesamowite widoki ze słynnej latarni Beachy Head w różne biało-czerwone pasy, stojącej w morzu u stóp klifu.

Na płaskim wierzchołku góry jest duży parking, na którym zatrzymują się autokary ze szkolnymi wycieczkami, dzieci z nich wyskakują i zostawiają po sobie trochę śmieci — podejrzewam, że taka obowiązuje tradycja. Szkolne wycieczki przyjeżdżają z różnych zakątków kraju, żeby wypuszczone bez nadzoru rozkoszne pędraki mogły porzucić w krzewach janowca i ostrężnicach opakowania po chipsach i sreberka po batonikach. Muszę jednak przyznać, że było to jedyne miejsce na całym szlaku, gdzie widziałem śmieci.

Za wierzchołkiem Beachy Head krajobraz opada szerokim, parkowym pasem w stronę starego letniska Eastbourne, do którego można dojść ze szczytu kilkoma szlakami. Widoki na brzeg morza w miasteczku, ze złocistą plażą i grzywaczami nadpływających fal, też są bardzo ładne, aczkolwiek oszpecone przez samotny wysokościowiec apartamentowca South Cliff Tower, który wpycha się na pierwszy plan. Ten paskudny budynek nigdy nie powinien zaistnieć, ale cóż poradzić. Na świecie jest pełno chłamu, który nigdy nie powinien zaistnieć. Spójrzmy na Erica

Picklesa.

Ale pod prawie wszystkimi innymi względami Eastbourne jest w porządku. Po jednej stronie zadbanej promenady ciągną się duże domy i eleganckie hotele, a po drugiej szerokie plaże, zakończone staroświeckim mołem, jednym z nielicznych naprawdę klasycznych okazów, które się ostały. Po mojej wizycie moło zostało poważnie uszkodzone przez pożar — angielskie mola nie wiedzieć czemu są niezwykle łatwopalne — ale z doniesień prasowych wynika, że zostanie troskliwie odrestaurowane. No raczej — byłoby tragedią, gdyby go zabrakło.

Urok Eastbourne zasadza się na jego staroświeckości, najlepiej ucieleśnionej przez restaurację, do której zawsze chodzę, a mianowicie Favo'loso. Znakomity lokal. Wewnątrz czas się zatrzymał w 1957 roku. Człowiek czuje się tak, jakby wszedł na plan filmu Cliffa Richarda zatytułowanego *Letnie koktajle mleczne, Wakacje z lodami* czy coś w tym guście. Favo'loso jest czyściutka, wypucowana i błyszcząca; pławi się w blasku retro. Jedzenie jest znośne, kelnerzy kompetentni i przyjaźni, ceny niewygórowane. Czego więcej można oczekiwać? To mój ulubiony lokal we wschodnim Sussex, jeżeli nie na całym południowym wybrzeżu. Dwa dni przed wyruszeniem w podróż wygooglowałem Favo'loso, żeby sprawdzić adres, i oczywiście na pierwszym miejscu wyskoczył TripAdvisor, z którego dowiedziałem się zdruzgotany, że większość ludzi wcale nie ocenia tej restauracji pozytywnie. Pewien niedawny klient określił się jako „rozczarowany” tym doświadczeniem. Wprowadzam nową zasadę: jeżeli ktoś jest za głupi, żeby poprawnie napisać „rozczarowany”, to nie ma prawa uczestniczyć w debacie publicznej na jakimkolwiek poziomie.

Przeglądając recenzje, stwierdziłem, że prawie nikt nie wyrażał się ciepło o starannie pielęgnowanej atmosferze Favo'loso. Większość odniosła się krytycznie do wystroju wnętrza, nazywając je staroświeckim i wymagającym modernizacji. Naprawdę wpędma mnie to w rozpacz. Żyjemy w świecie, który prawie w ogóle nie docenia jakości, tradycji czy klasy, w świecie, w którym ludzie niepotrafiący poprawnie napisać nawet pospolitych słów, współdecydują o tym, co ma przetrwać. Dokąd my zmierzamy? Jak mógłby to ująć korespondent

TripAdvisora, byłem głęboko zmartwiony.

## Rozdział 3

# Dover

**O**to pytanie, na które trudniej jest odpowiedzieć, niż mogłoby się wydawać: czy Wielka Brytania jest dużym czy małym krajem?

Z jednej strony ewidentnie jest mała — umiarkowanych rozmiarów kawałek ziemi unoszący się w chłodnych wodach koło północno-zachodniego krańca Europy. Wielka Brytania zajmuje zaledwie 0,0174069 procent powierzchni Ziemi (zaznaczam, że nie dałbym sobie głowy uciąć za te dane. Wyliczał je parę lat temu mój syn na potrzeby artykułu, który wówczas pisałem. Miał wtedy tylko trzynaście lat, ale posiadał kalkulator z ponad dwustoma przyciskami i sprawiał wrażenie, że wie, co robi).

Ale według innych kryteriów Wielka Brytania bezsprzecznie należy do tytanów. Trudno w to uwierzyć, ale zajmuje trzynaste miejsce na liście największych mas lądowych naszej planety, obejmującej cztery kontynenty — Australię, Antarktydę, Amerykę i Eurazję-Afrykę (którą geografowie, jako ludzie zatrzymani na analnej fazie rozwoju i pozbawieni wyobraźni, klasyfikują jako jedną masę lądową). Na całym świecie jest tylko osiem większych wysp: Grenlandia, Nowa Gwinea, Borneo, Madagaskar, Wyspa Baffina, Sumatra, Honsiu i Vancouver. Pod względem liczby ludności Wielka Brytania to czwarte największe państwo wyspiarskie, za Indonezją, Japonią i Filipinami. Pod względem bogactwa zajmuje drugą pozycję. W takich kategoriach jak znośna muzyka, stare kamienne budynki, różnorodność gotowanych słodczy i pogodowe preteksty do tego, żeby nie iść do pracy, z ogromną przewagą wyprzedza wszystkich wyspiarskich konkurentów. A przecież ma zaledwie tysiąc sto kilometrów z dołu do góry, a z profilu jest taka szczupła, że nie sposób znaleźć się dalej niż sto dziesięć kilometrów od któregoś jej

końca.

Biorąc to wszystko pod uwagę, już dawno doszedłem do wniosku, że Wielka Brytania jest krajem o idealnych rozmiarach — dostatecznie małym, żeby był przytulny i łatwy do ogarnięcia, a jednocześnie wystarczająco dużym, żeby zbudować prężną i niezależną kulturę. Gdyby reszta świata jutro się rozplynęła i została tylko Wielka Brytania, nadal by istniały dobre książki, dobry teatr, dobre kabarety, dobre uniwersytety, dobrzy chirurdzy i tak dalej (poza tym Anglia zawsze by wygrywała piłkarskie mistrzostwa świata, a Szkocja zawsze by się do nich kwalifikowała). O wielu innych krajach nie można tego powiedzieć. Gdyby ze wszystkich krajów przetrwała tylko Kanada, świat byłby miłszym i bardziej uprzejmym miejscem, ale ludzie by rzygali hokejem. Gdyby ostała się tylko Australia, świetnie by się grillowało i surfowało, ale sytuację, w której odpowiedzialność za muzyczną rozrywkę w większości spoczywa na barkach Kylie Minogue, z całym szacunkiem należy uznać za daleką od ideału.

Co ciekawe, optymalność rozmiarów Wielkiej Brytanii jako kraju uświadomiłem sobie dzięki rzadko omawianej kwestii ataków krów. Tematowi temu poświęcamy chyba mniej uwagi, niż powinniśmy. O atakach krów po raz pierwszy usłyszałem kilka lat temu, kiedy przemierzałem South Downs Way z dziennikarzem czasopisma dla piechurów. Właśnie zostałem prezesem Kampanii na rzecz Ochrony Wiejskiej Anglii i człowiek ten robił ze mną wywiad na temat wsi. W pewnym momencie — przechodziliśmy przez pole w okolicy Devil's Dyke koło Brighton, jeśli dobrze pamiętam — wspomniał, że powinniśmy uważać, ponieważ na polu jest byk.

— Wygłupiasz się — pisałem, ale rzeczywiście: z około piętnastu metrów smętnie nas obserwowała wielka, kanciasta bryła wołowiny.

— Idź normalnie — poinstruował mnie mój towarzysz napiętym szeptem — żeby nie przyciągać uwagi.

— Przecież my jesteśmy na szlaku turystycznym — zaprotestowałem, ponieważ poczucie niesprawiedliwości na chwilę przewyciężyło instynkt samozachowawczy. — Jak rolnik może wypuścić byka na pole, przez które

przebiega szlak? — oburzyłem się.

Odwróciłem się, żeby posłuchać, co mój towarzysz ma do powiedzenia na ten temat, i odkryłem, że jest jakieś siedemdziesiąt metrów dalej i biegnie jak szalony. Poczłapałem żwawo za nim, oglądając się przez ramię, ale byk stał jak wrośnięty.

Kiedy obaj znaleźliśmy się po drugiej stronie murku granicznego, powtórzyłem swoją skargę:

— Wypuszczanie byków na pola ze szlakami turystycznymi z pewnością jest nielegalne.

— Nie do końca — odparł dziennikarz. — Przepis mówi, że byki można wypasać na polach z publicznym prawem użytkowania pod warunkiem, że towarzyszą im krowy mięsne, a nie mleczne.

Nie muszę chyba tłumaczyć, że mnie to zaskoczyło.

— Dlaczego mięsne wolno, a mlecznych nie? — zapytałem.

— Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że prawdziwe zagrożenie stwarzają krowy. Krowy zabijają dużo więcej ludzi niż byki.

Nie wiem, jak nazywa się stopień wyżej od skrajnego niedowierzania, ale w tym momencie osiągnąłem ten poziom. Przez lata śmiało kroczyłem między stadami krów w przekonaniu, że w grupie zwierząt większych od kur jest to jedyny gatunek, który potrafię odstraszyć machnięciem kija, a teraz przekonanie to mi odebrano.

— Wyglupiasz się — powtórzyłem.

— Niestety nie — odparł solennym tonem człowieka doświadczonego w danej dziedzinie. — Krowy bardzo często atakują.

Następnego dnia zrobiłem coś, czego pod żadnym pozorem robić nie należy: poszukałem dalszych informacji w internecie. Mój rozmówca miał rację. Wygląda na to, że w Wielkiej Brytanii krowy co chwila zabijają piechurów. W pewnym ośmioletnim okresie w 2009 roku cztery osoby zostały zdeptane na śmierć. Wśród tych pechowców była pani weterynarz, która wyprowadziła psy na spacer na Pennine Way w Yorkshire. Ta kobieta rozumiała i lubiła zwierzęta, prawdopodobnie miała w kieszeni smakołyki dla krów — a jednak ją stratowały.

Parę lat później emerytowany wykładowca uniwersytecki Mike Porter został stratowany na śmierć przez rozjuszone — tak, rozjuszone — stado krów na polu w pobliżu kanału Kennet-Avon w Wiltshire, czyli w miejscu, w którym zaledwie rok wcześniej spacerowałem. „Wyglądało to tak, jakby chciały go zabić”, powiedział pewien osłupiały naoczny świadek dziennikarzowi „Daily Telegraph”. Był to czwarty poważny atak na przechodniów w ciągu pięciu lat w wykonaniu tylko tego jednego stada.

Z całą pewnością zadajecie sobie pytanie, co to ma wspólnego z optymalnymi rozmiarami Wielkiej Brytanii jako kraju. Proszę o jeszcze trochę cierpliwości. Parę tygodni później byłem w Kolorado — poleciałem z wizytą do mojego syna Sama, który pracuje w Vail — i natrafiłem w „Denver Post” na artykuł o niejakim Dexterze Lewisie, który trafił do więzienia za to, że tuż przed godziną zamknięcia wszedł do baru Fero, kazał barmanowi i czterem ostatnim klientom położyć się na ziemi, zabił ich z zimną krwią i zabrał z kasy pieniądze. W Anglii taka masakra trafiłaby na czołówki gazet w całym kraju. Tymczasem w Ameryce makabryczne morderstwo popełnione w Denver raczej nie zainteresuje prasy w Memphis, Detroit i generalnie poza Kolorado. Inne stany mają swoje morderstwa, którymi mogą się ekscytować. Materiał w „Denver Post” nie był zbyt długi.

To wtedy przyszło mi do głowy, że nie chodzi o to, jak często zdarzają się tragedie, ale jak często donoszą o nich w mediach, a to oczywiście zupełnie inna para kaloszy. W Ameryce stratowanie człowieka przez krowy trafiłoby do prasy ogólnokrajowej tylko w wyjątkowych okolicznościach, na przykład gdyby ofiarą był Dick Cheney (zawsze możemy sobie pomarzyć). Ale gdyby pod kopytami krów zginął jakiś facet wyprowadzający psa na spacer w miejscowości Sodom w stanie Indiana, to nikt poza Indianą — a być może poza hrabstwem Sodom — by się o tym nie dowiedział. Nawet gdyby wybuchła epidemia stratowań przez krowy, nikt by się o tym nie dowiedział, ponieważ informacje o poszczególnych ogniskach choroby nie rozprzestrzeniałyby się dostatecznie szybko, aby trendy stały się widoczne. Tymczasem w Wielkiej Brytanii wystarczy, że jedna krowa zdepta człowieka w dowolnym miejscu w kraju, aby informacja o tym zdarzeniu trafiła na



czołówek gazet. Historię o pani weterynarz zabitej w Yorkshire podchwyciły wszystkie gazety ogólnokrajowe z wyjątkiem „Daily Star”, a i to prawdopodobnie tylko dlatego, że dziennikarze „Star” nie wiedzą, jak się pisze „weterynarz”.

Lubię mieszkać w kraju, w którym informacja o bydłym ataku szybko się rozchodzi. To mam na myśli, kiedy mówię, że Wielka Brytania jest przytulna. To miło, kiedy nasz kraj posiada tę cechę. Ta sytuacja ma wszakże jedną złą stronę: Brytyjczycy boją się rzeczy, które im się nigdy nie zdarzą. Tak naprawdę ataki krów są dosyć rzadkie i właśnie dlatego przykuwają uwagę. Ale ponieważ ludzie czytają o bydłych atakach w regularnych odstępach czasu, postrzegają je jako zjawisko powszechne.

W ramach eksperymentu zadałem kilku brytyjskim znajomym następujące pytanie:

— Jakie jest prawdopodobieństwo, że jeżeli będziesz przechodził przez pastwisko, krowy cię zaatakują?

Wszyscy natychmiast się ożywili i powiedzieli coś w tym guście:

— Zaskakująco wysokie. Czytałem o tym w gazetach. To się zdarza znacznie częściej, niżbyś się spodziewał.

Co odpowiedziały na to pytanie Amerykanin?

— A skąd ja bym się wziął na pastwisku?

W swoim czasie powrócimy do tej kwestii, ale na razie złożymy wizytę w Dover.

Pamiętam, co napisałem na początku: zamierzam unikać miejsc, które odwiedziłem w *Zapiskach z małej wyspy*. Uznałem jednak, że muszę zajrzeć do Dover, skoro jestem tak blisko. Miasto to budzi moją szczególną sympatię, a może raczej zatroskanie, którego nie potrafię do końca wyjaśnić. Po części wynika to zapewne z faktu, że właśnie w Dover po raz pierwszy postawiłem stopę na angielskiej ziemi, więc w najdosłowniejszym sensie znam je najdłużej. Spędziłem tam moje pierwsze czterdzieści osiem godzin w Wielkiej Brytanii i Dover całkiem mi się spodobało. Oczywiście na tamtym etapie nie znałem reszty Wielkiej Brytanii, a Dover nie było

wtedy wcale takie złe. Miało kina, puby, restauracje i ruchliwą główną ulicę. Terminal promów przyciągał do miasta ludzi i nakręcał gospodarkę. Z każdą kolejną wizytą widziałem jednak, że Dover wyraźnie podupada. Cały czas mam nadzieję, że zobaczę tętniące życiem, zamożne małe miasto, które mnie powitało na brzegach Albionu, a tymczasem napotykam smętną atmosferę upiornej degrengolady.

W *Zapiskach z małej wyspy* odnotowałem, że dopłynąłem późnym wieczorem, tęsknie zajrzałem w okna ekskluzywnego hotelu na nabrzeżu i zobaczyłem ludzi jedzących kolację pośród luksusów zdecydowanie przekraczających moje możliwości finansowe. Hotel nazywał się Churchill. Jakies siedem albo osiem lat temu, po przybyciu do Dover promem samochodowym z Calais, naszła mnie ochota, żeby zaglądnąć do Churchilla na obiad — zafundować sobie trochę tej ekskluzywności, na którą przed laty nie było mnie stać. Przedziwne doświadczenie. Hotel nadal próbował udawać elegancki, ale były to raczej pobożne życzenia. Restauracja świeciła pustkami. Kiedy przyniesiono mi menu, okazało się, że nie jest to oprawiony w sztuczną skórę album, tylko pojedyncza laminowana karta z rodzaju tych, które można znaleźć w barze szybkiej obsługi, pełna błędów ortograficznych. Zamówiłem sałatkę Cezar. Kiedy w końcu stanęła na stole, nie było jej czym zjeść. Na widok mojej zdezorientowanej miny kelnerka zapytała:

— Życzy pan sobie do tego sztucce?

— Raczej tak, to jest sałatka.

— Nie wiedziałam, czy nie ma pan swoich — burknęła, jakby to była moja wina, i poczłapała po sztucce.

Potrawa okazała się czymś w rodzaju zupy sałatowej z drobinami kurczaka na wierzchu. Na pocieszenie pomyślałem sobie, że choćbym żył wiecznie, gorszej sałatki nigdy mi nie zaserwują. W tym obszarze życia mogło być już tylko lepiej. Miałem wszelkie powody sądzić, że po tym doświadczeniu już nigdy nie zapuszczę się do Churchilla, ale podczas tej ostatniej wizyty stwierdziłem, że bezwiednie kieruję kroki w jego stronę, jakby mnie ciągnął jakiś masochistyczny magnetyzm — na przekór wszystkiemu wciąż miałem nadzieję, że od mojej ostatniej wizyty

sytuacja się poprawiła.

Niestety Churchilla zlikwidowano. Zniknął ostatni powiew elegancji w Dover. Mężczyzna, który akurat przechodził obok z małym pieskiem, powiedział mi, że Churchilla zamknięto pięć lat wcześniej, czyli najwyraźniej nikt się nie spieszył z przejęciem lokalu.

Czas zostawia Dover za sobą. Tanie loty do Europy i tunel pod kanałem La Manche powoli zabijają przewozy promowe. Poduszkowce przestały kursować w 2000 roku, a w ciągu następnej dekady liczba pasażerów zwykłych promów spadła o jedną trzecią, chociaż potem nieco wzrosła. Spadek obrotów niewątpliwie był ciosem dla miasta, ale wygląda na to, że Dover na własną rękę robi, co może, żeby doprowadzić się do ruiny. Niedługo przed moją wizytą na nabrzeżu zainstalowano ławki zaprojektowane pod tym kątem, żeby nie siedziało się na nich zbyt wygodnie. Na pytanie dziennikarza miejscowej gazety, dlaczego wybrano niewygodne ławki, jeden z członków rady miasta udzielił zdumiewającej odpowiedzi: „Gdyby były za bardzo wygodne, wiadome towarzystwo spędzałoby na nich cały dzień”. Historia ta prawdopodobnie wystarczy do zrozumienia, dlaczego Dover umiera.

Poszedłem w stronę starej latarni morskiej South Foreland, którą kilka lat temu wyłączono z użytku i teraz znajduje się pod opieką National Trust. Przez wiele lat był to najwyższy położony punkt świetlny w Anglii, chociaż wynikało to bardziej z wysokości klifu niż samego budynku, który w kategorii latarni morskich należy do tych bardziej przysadzistych. South Foreland była scenerią ważnego, ale zapomnianego kawałka historii. To tutaj po raz pierwszy w dziejach świata zastosowano światło elektryczne — już w 1858 roku, na długo zanim Thomas Edison dał światu żarówkę. Była to lampa łukowa, wynaleziona przez kolejnego ważnego człowieka, o którym prawie nic nie wiadomo, a mianowicie Fredericka Hale’a Holmesa. Lampa łukowa była zbyt jasna do użytku domowego, lecz idealnie się nadawała do latarni morskich. Było to jednak urządzenie kapryśne i kosztowne, toteż w końcu z niego zrezygnowano, ale mniej więcej przez dekadę

latarnia South Foreland była jedynym miejscem na świecie, w którym można było zobaczyć światło elektryczne. Z grubsza ćwierć wieku później South Foreland znowu trafiła do kronik historycznych, kiedy Guglielmo Marconi wysłał stąd pierwszy międzynarodowy sygnał radiowy — do odbiornika we francuskim Wimereux koło Boulogne.

O Fredericku Holmesie i South Foreland po raz pierwszy usłyszałem około pięciu lat temu podczas pracy nad inną książką i wybrałem się tam wtedy. Zapaleniec z National Trust oprowadzał naszą kilkusobową grupę. Ten wolontariusz nie wiedział zbyt wiele na temat Holmesa i Marconiego, ale był istną krynicyą wiedzy na temat mechanicznej obsługi latarni. Sto dziewięć obrotów korby pozwalało się lampie obracać przez dwie i pół godziny, przy czym jeden obrót trwał czterdzieści sekund. Dowiedzieliśmy się również, że żadne dwie latarnie morskie położone w odległości mniejszej niż sto sześćdziesiąt kilometrów od siebie nie miały identycznej sekwencji sygnałów.

— Wielki Boże! — skomentowaliśmy z podziwem.

Przewodnik pokazał nam akumulatory, zębaki i takie tam. Moc światła latarni wynosiła milion świeczek, powiedział. Całe to oprzyrządowanie tak mi zaimponowało, że zrobiłem zdjęcie.

Wyciągnął rękę jak ochroniarz, który ma do czynienia z paparazzi.

— Nie wolno fotografować.

— Dlaczego? — zapytałem zdumiony.

— Polityka National Trust — wyjaśnił.

— Ale to jest latarnia morska, a nie tkanina z Bayeux — zaprotestowałem.

— Polityka National Trust — powtórzył tonem człowieka, który dźgnąłby żonę w oko szpikulcem do lodu, gdyby jego przełożeni mu powiedzieli, że w firmie taka obowiązuje polityka. Miałem mu wytłumaczyć, że właśnie z tego napuszonego poczucia własnej ważności National Trust tak mnie denerwuje, ale wyobraziłem sobie, że moja żona chwyta mnie za łokieć i wyprowadza na świeże powietrze, żebym mógł się ponapawać widokiem na morze, toteż nic już więcej nie powiedziałem. Moja żona od tylu lat chwyta mnie za łokieć i odciąga od

napuszonych idiotów — w tym wielu zatrudnionych przez National Trust — że jej fizyczna obecność przestała być konieczna. Moja połowica wyrobiła we mnie swoisty odruch Pawłowa.

Wyszedłem więc na zewnątrz, a że był piękny, bezchmurny dzień, od razu poczułem się dużo lepiej. Oddalona o trzydzieści trzy kilometry Francja była zaskakująco wyraźnie widoczna. Prawie dało się pomachać ludziom w Calais. Wielu starszych angielskich turystów wokół mnie spoglądało w stronę francuskiego wybrzeża ponurym okiem, jakby byli bardzo niezadowoleni, kiedy się zorientowali, że to jest tak blisko. Wielu miało takie miny, jakby sądzili, że Francja cichcem podpełza coraz bliżej i kradnie angielską wodę.

Podczas obecnej wizyty stwierdziłem jednak, że latarnia morska jest zamknięta — w sumie może i dobrze. Stałem więc sobie i oglądałem widoki. Z zadowoleniem zauważyłem, że od tamtej przygody Francja nie zmieniła w widocznym stopniu swojego położenia.

Z wyżyn klifu zobaczyłem brązowawy pas wyznaczający miejsce zdradliwej mielizny Goodwin Sand. W taki bezwietrzny dzień nikomu nie przysłoby to do głowy, ale w historycznej perspektywie łacha ta należy do najbardziej zabójczych miejsc na całej planecie i może się poszczycić największą koncentracją wraków statków na całym globie — rozbiło się tam ponad tysiąc jednostek. Najgorsza katastrofa miała miejsce 27 listopada 1703 roku, kiedy najsilniejszy sztorm w dotychczasowych dziejach ludzkości zepchnął na mieliznę pięćdziesiąt statków, które przewróciły się na bok i roztrzaskały na kawałki. Zginęły ponad dwa tysiące marynarzy. Tej nocy królewska marynarka wojenna straciła dwadzieścia procent swoich zasobów kadrowych.

Henry Winstanley, projektant i budowniczy sławnej latarni morskiej Eddystone w Devon, przypadkiem znajdował się tej nocy w swoim dziele. Od dawna wyrażał ochotę, żeby posiedzieć w latarni podczas silnego sztormu. Tej nocy jego pragnienie się spełniło, ale z dodatkowymi konsekwencjami, których prawdopodobnie by sobie nie życzył: wiatr i fale porwały latarnię, co Winstanley i pięć innych osób przypłaciło życiem.

Po tej opowieści ku przestrodze przenieśmy się do Londynu.

## Rozdział 4

# Londyn

Jedną z tajemnic londyńskiego metra jest dzisiaj kwestia, co się stało z pociągami Circle Line. Kiedyś przyjeżdżały co kilka minut, ale teraz na ogół trzeba na nie czekać całe wieki. Tego konkretnego przedpołudnia, kiedy nasza opowieść znowu rusza z kopyta, spory tłum ludzi czekał około dwudziestu pięciu minut na peronie stacji Gloucester Road, gdzie kompletnie nic się nie działo.

— Pamiętam czasy, kiedy jeździły tędy pociągi — powiedziałem do sąsiada różnym tonem.

— A teraz nie jeżdżą? — zapytał spanikowany.

Był Amerykaninem, najwyraźniej świeżym przybyszem do brytyjskiej stolicy, a także do krainy humoru.

— Żartowałem — powiedziałem życzliwie i pokazałem na tych wszystkich ludzi, którzy stali razem z nami na peronie. — Nie stalibyśmy wszyscy tutaj, gdyby nie przejeżdżały tędy pociągi.

— Ale przecież wszyscy tutaj stoimy, a żadne pociągi nie przejeżdżają.

Nie przyszła mi do głowy żadna odpowiedź, więc milczałem, patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem. Przed laty czas oczekiwania na pociąg skracałem sobie lekturą dziennika „Metro”, dopóki sobie nie uświadomiłem, że gapienie się przed siebie daje mniej więcej tyle samo satysfakcji bez brudzenia sobie palców tuszem drukarskim. Mój nowy amerykański znajomy rozłożył planik metra i zaczął go studiować — najwyraźniej postawił krzyżyk na Circle Line.

— Jak się dostanę do Piccadilly Line? — zapytał w końcu.

— W tej chwili pociągi Piccadilly Line tutaj się nie zatrzymują.

Przyjrzał mi się uważnie, podejrzewając, że to kolejny dowcip.

— Wymieniają windy, więc pociągi Piccadilly Line nie będą się zatrzymywały na tej stacji przez następne pół roku.

— Wymiana wind zajmie im pół roku? — dociekał z nieskrywanym zdumieniem.

— Są aż dwie — odparłem w duchu rzetelności i sprawiedliwości. Zaczął znowu studiować plan metra. — Być może zainteresuje pana również fakt, że Circle Line nie jeździ w kółko — dodałem pomocnie. — Podniósł głowę z prawdziwym zainteresowaniem. — Kiedyś pociągi jeździły w kółko w sposób ciągły, ale teraz wszystkie się zatrzymują na Edgware Road i ludzie muszą się przesiąść do innego pociągu.

— Dlaczego?

— Nikt tego nie wie.

— Pokręcony kraj — podsumował.

— Absolutnie — radośnie się z nim zgodziłem.

Chwilę później przyjechał pociąg i wszyscy zabrali się do wsiadania.

— Życzę udanej jazdy — powiedziałem do nowego znajomego.

Wsiadł bez słowa, nie podziękował ani się nie pożegnał. W sumie mam nadzieję, że zabłądził.

Naprawdę lubię londyńskie metro. Odkładając na bok pociągi Circle Line (zresztą najwyraźniej to samo robi ostatnio London Underground), jest to wspaniała instytucja. Ludzie zapominają, jak fatalnie funkcjonowało kiedyś londyńskie metro. Kiedy pierwszy raz przyjechałem do Wielkiej Brytanii, było brudne, źle zarządzane i często niebezpieczne. Na niektóre stacje — chociażby Camden Town, Stockwell i Tooting Bec — zdecydowanie nie należało się zapuszczać wieczorami. W 1982 roku metro wozilo mniej niż pięćset milionów pasażerów rocznie, co oznaczało spadek o pięćdziesiąt procent w porównaniu do początku lat pięćdziesiątych. Pożar na dworcu King's Cross w 1987 roku, który pochłoniął trzydzieści jeden ofiar, kiedy nieuprzątnięte śmieci pod drewnianymi schodami ruchomymi zapaliły się od wyrzuconego niedopałka papierosa, unaocznili skandaliczny poziom zarządzania



metrem.

A dzisiaj? Perony to najczystsze miejsca publiczne w Londynie. Pociągi kursują punktualnie. Obsługa zawsze jest pomocna i uprzejma, a przynajmniej tak wynika z moich doświadczeń. Liczba pasażerów wzrosła do niewiarygodnego poziomu jednego miliarda dwustu milionów rocznie, czyli więcej, niż przewożą koleje naziemne w całym kraju. Według czasopisma „Time Out” na terenie metra w każdym momencie znajduje się sześćset tysięcy osób, dzięki czemu jest to ludniejsze i ciekawsze miejsce niż Oslo. Czytałem w „Evening Standard”, że średnia prędkość pociągu metra wynosi zaledwie trzydzieści cztery kilometry na godzinę — wydaje się, że to niewiele (chyba że ktoś regularnie podróżuje pociągiem między Liss i Waterloo, bo wtedy czuje się w metrze jak w rakiecie kosmicznej), ale wynika to ze stosunkowo niewielkiej odległości między przystankami, a ponadto transportowanie tak potężnej liczby ludzi tak ogromnym i przestarzałym systemem bez większych wpadek to niezwykle osiągnięcie.

Taki jest właśnie los Londynu: mnóstwo rzeczy robi naprawdę dobrze, ale mało kto to docenia. Pozwolę sobie zatem zadeklarować z tego miejsca, że moim zdaniem Londyn jest najlepszym miastem na świecie. Wiem, że nie ma w sobie magnetyzmu i podminowanej dynamiki Nowego Jorku, portu i piaszczystych plaż Sydney czy paryskich bulwarów, ale ma więcej prawie wszystkiego, dzięki czemu w danym mieście dobrze się mieszka — na przykład zieleni. Nikt nie zdaje sobie z tego sprawy, ale Londyn to jedno z najmniej zatłoczonych miast na świecie. W Nowym Jorku na jeden hektar powierzchni przypadają dziewięćdziesiąt trzy osoby, w Paryżu osiemdziesiąt trzy, a w Londynie zaledwie czterdzieści trzy. Przy paryskiej gęstości zaludnienia Londyn liczyłby trzydzieści pięć milionów. Zamiast tego ma parki — w liczbie stu czterdziestu dwóch — i ponad sześćset placów. Zieleni zajmuje prawie czterdzieści procent powierzchni Londynu. Idziesz sobie pośród metropolitalnej wrzawy i rwetesu, a za rogiem słyszysz śpiew ptaków. Życie nie umierać.

Śmiem twierdzić, że Londyn jest największym miastem na świecie. Nie pod względem rozległości — aczkolwiek ma jej pod dostatkiem — czy liczby

mieszkańców, ale pod względem gęstości, złożoności i głębi swojej historii. Jest ogromny nie tylko w poziomie, ale również w wymiarze czasowym. Historia nagromadziła w nim mnóstwo pomieszania z poplątaniem. Są to właściwie dwa miasta — Westminster i City of London — i w gruncie rzeczy nieskończona ilość pochłoniętych wsi, gmin, dzielnic, parafii czy elementów topograficznych, dzięki którym plan miasta jest upstrzony dziwacznymi i urokliwymi nazwami: Parsons Green, Seven Dials, Swiss Cottage, Barking, Tooting Bec, Chalk Farm, tajemniczo galijskie Theydon Bois. Większość najbardziej znanych dzielnic — West End, Bloomsbury, Whitechapel — oficjalnie nie istnieje i nie ma formalnie wytyczonych granic. Po prostu są. W sensie politycznym Londyn jest luźnym konglomeratem trzydziestu dwóch rad gminy oraz Corporation of the City of London, których kompetencje są rozdzielone pomiędzy Greater London Authority, London Assembly, siedemdziesiąt trzy parlamentarne okręgi wyborcze i sześćset dwadzieścia cztery rady dzielnicowe. Krótko mówiąc, jeden wielki bajzel. Na czele tego wszystkiego stoi Boris Johnson, człowiek, którego język, zachowanie, a nawet fryzura stanowią pomnik bałaganu. A przecież jakoś to wszystko działa. Londyn to naprawdę wspaniałe miasto.

Miałem do dyspozycji dwa tygodnie, przynajmniej nominalnie. Obie moje córki zdołały zająć w ciążę jednocześnie (aczkolwiek w osobnych budynkach) i miały urodzić mniej więcej w tym samym czasie w różnych londyńskich szpitalach, zostałem zatem postawiony w stan gotowości — chociaż nie bardzo wiem do czego. Może do zagotowania wody albo do stania obok w ochoczej, ale bezużytecznej pozie. Skąd mam to wiedzieć? Razem wzięwszy, przez te dwa tygodnie mogłem robić, co tylko zechcę, byłem nie przekraczał stężenia alkoholu we krwi dopuszczalnego u kierowców i nie oddalał się za bardzo.

Jakiś nieznanymi impuls skłonił mnie do tego, żeby zacząć od wycieczki do Leighton House, domu wiktoriańskiego artysty Fredericka Leightona przy Holland Park Road w West Kensington. Nic o nim nie wiedziałem i nie miałem pewności, czyja to wina: moja czy jego. Okazuje się, że był najbardziej znanym artystą swojej

epoki. Kto by pomyślał? Mijałem wcześniej ten dom kilka razy i zawsze wydawał mi się intrygujący — jest duży i roztacza wokół siebie taką aurę, jakby służył za mieszkanie osobie, którą naprawdę wypada znać — więc umieściłem go na liście Rzeczy, Które Powinienem Zaliczyć (Ale Prawdopodobnie Tego Nie Zrobię). Rzadko cokolwiek usuwam z tej listy, byłem więc zadowolony z siebie, że ta wyprawa przyszła mi do głowy. Poza tym padał deszcz: dobry dzień na wizytę w muzeum.

Leighton House natychmiast mi się spodobał, w dużym stopniu dlatego, że ze względu na mój zaawansowany wiek zapłaciłem za bilet nie dziesięć, lecz tylko sześć funtów. Dom jest posępny i wielki, ale interesująco ekscentryczny, na przykład ma tylko jedną sypialnię. Wystrój nazwałbym połączeniem stylu pałacu sułtana i burdelu w Nowym Orleanie. Pełno tam arabskich kafelków, jedwabnej tapety, kolorowej ceramiki i dzieł sztuki, w większości przedstawiających młode kobiety z gołymi piersiami, a tego nigdy w życiu za wiele.

Leighton nie jest dzisiaj szczególnie pamiętany po części dlatego, że wiele jego obrazów wylądowało w dziwnych miejscach, takich jak Baroda Museum w indyjskim Gudżaracie czy Agnes Scott College w Decatur, stan Georgia, gdzie niewielu z nas chodzi oglądać obrazy, a po części dlatego, że dzieła te są trochę za bardzo patetyczne jak na współczesny gust. Epatują rozpostartymi ramionami i błagalnymi twarzami i noszą takie tytuły jak *Morze wyrzuciło zmarłych, którzy w nim byli* czy *Perseusz na Pegazie spieszy na ratunek Andromedzie*.

Za życia Leighton cieszył się jednak ogromną estymą. W 1878 roku wybrano go na prezesa Królewskiej Akademii Sztuki, a w 1896 roku jako pierwszy — i na razie jedyny — artysta uzyskał tytuł szlachecki w ramach listy noworocznej. Uszlachconym życiem nie cieszył się zbyt długo — zmarł niecały miesiąc później i jako skarb narodowy z wielką pompą pochowano go w katedrze św. Pawła. *Oxford Dictionary of National Biography*, konsekwentnie dążąc do tego, żeby być co najmniej pięćdziesiąt lat do tyłu, poświęca mu osiem tysięcy dwieście słów, czyli o tysiąc więcej niż prawie wszystkim jemu współczesnym.

Leighton przez trzydzieści lat mieszkał w Leighton House sam. Jego seksualność

zawsze była trochę zagadkowa dla wszystkich, którzy się nią zainteresowali. Według dostępnych nam danych przez kilkadziesiąt lat zachowywał wstrzeźliwość, a potem zaczął sobie używać, kiedy poznał młodą piękność z East Endu, która nazywała się Ada Pullen (później, z nieznanych powodów, zmieniła nazwisko na Dorothy Dene). Leighton ją wyszorował, zakupił piękne stroje, wyszkolił z dykcji i innych elementów ogłady, a następnie wprowadził do towarzystwa. Jeżeli przychodzi wam to na myśl profesora Henry'ego Higginsa i Elizę Doolittle, to jesteście na dobrym tropie: George Bernard Shaw podobno oparł na tym związku swoją sztukę *Pigmalion*. Nie wiadomo, w jakim stopniu znajomość została skonsumowana, ale nie ulega wątpliwości, że Leighton uwielbiał malować panią Dene bez ubrania, o czym entuzjastycznie zaświadczają zbiory zgromadzone w jego domu. Po śmierci Leightona jego majątek został wystawiony na licytację, jeżeli zaś chodzi o jego dom, to najpierw panoszyli się w nim kolejni właściciele, a podczas drugiej wojny światowej trafiła w niego niemiecka bomba, co oznaczało, że po zakończeniu wojny nie bardzo było co oglądać. Później jednak przez kilkadziesiąt lat troskliwie przywracano rezydencję do jej pierwotnego, prześwietnego stanu. Nie mogę powiedzieć, żeby zbyt wiele dzieł sztuki przypadło mi do gustu, ale zwiedzanie było bardzo przyjemne, a kiedy wyszedłem na zewnątrz, deszcz już nie padał, słońce świeciło i Londyn wyglądał fantastycznie, jego ulice połyskujące i oczyszczone (no, powiedzmy lekko przepłukane).

Każdego dnia, bez jakiegoś szczególnego zamysłu, zajmowałem się czymś, czego nie robiłem nigdy wcześniej albo od wielu lat. Przespacerowałem się przez park Battersea, a potem nad rzeką do galerii Tate Modern. Wyszedłem na Primrose Hill, żeby popodziwiać widok. Spenetrowałem Pimlico i zaginiony świat Westminsteru wokół Vincent Square. Poszedłem do Narodowej Galerii Portretu i wypilem herbatę w krypcie kościoła St Martin-in-the-Fields na Trafalgar Square. Przeszedłem przez wszystkie Inns of Court (sądy) i zwiedziłem Muzeum Królewskiego Kolegium Chirurgów, bo akurat tamtędy przechodziłem. Wspaniałe przeżycia. Z całego serca polecam.

Pewnego dnia pojechałem do Southall zjeść obiad z moim przyjacielem Aosafem

Afzalem, który się tutaj wychowywał, i zaproponował, że mnie oprowadzi. Southall to najdogłębniej azjatyckie miejsce w Wielkiej Brytanii. Przez wiele lat był tam nawet pendzabski pub Glass Junction, gdzie można było płacić funtami albo rupiami, ale w 2012 roku go zlikwidowano.

— W kulturze azjatyckiej raczej nie chodzi się do pubów — wyjaśnił Aosaf.

Było to z pewnością najbardziej ożywione i kolorowe miejsce, jakie kiedykolwiek widziałem w Wielkiej Brytanii; sklepy zastawione pod sufit niezwykłym asortymentem towarów, które wysypują się na chodniki — wiadra, mopy, sari, pojemniki na lunch, miotły, słodycze, do wyboru, do koloru. Wyglądało na to, że każdy sklep handluje dokładnie tym samym surrealistycznym zestawem towarów. Można było odnieść wrażenie, że interes idzie całkiem dobrze, ale za całą tą krzątaniną kryje się niemało biedy, nie tylko w Southall, ale także w sąsiednim Hounslow, gdzie Aosaf się wychował i gdzie nadal mieszka. Miasto Hounslow (w odróżnieniu od znacznie większej gminy Hounslow, w której skład wchodzi również bogate miejscowości takie jak Chiswick) zajmuje drugie miejsce na liście najszybciej się degradujących (nie wiem, jak to wyliczają) miejscowości w Wielkiej Brytanii, powiedział mi Aosaf.

— W Hounslow mieszka pięćdziesiąt tysięcy osób, ale nie ma tu księgarni ani kina.

— To dlaczego tu mieszkasz? — zapytałem.

— Bo tutaj jest mój dom — odpowiedział po prostu. — Stąd pochodzę i tutaj mieszka moja rodzina. I podoba mi się tutaj.

Uświadomiłem sobie, że kiedy ja i Aosaf myślimy o Londynie, myślimy o dwóch zupełnie różnych miastach, co potwierdza moją wcześniejszą tezę: Londyn nie jest jednym dużym miejscem, tylko milionem małych miejsc.

Podczas tych szczęśliwych dwóch tygodni zdarzało mi się zajmować zwykłymi, codziennymi sprawami. Pewnego dnia, kiedy szedłem Kensington High Street, przypomniałem sobie, że żona kazała mi kupić coś gotowego do jedzenia, więc wstąpiłem do Marksa i Spencera. Odkąd ostatni raz tam byłem, najwyraźniej

zrobili duży remont. Na środku parteru, gdzie kiedyś była winda, teraz zobaczyłem schody, co mnie zaskoczyło — zamieniać windę na schody? — ale największa niespodzianka czekała mnie na poziomie -1, okazało się mianowicie, że zniknęła strefa gastronomiczna. Złaziłem cały poziom, ale sprzedawali tam wyłącznie ubrania.

Podszedłem do ekspedienta, który składał podkoszulki, i zapytałem, gdzie jest strefa gastronomiczna.

— Nie mamy strefy gastronomicznej — odparł bez podnoszenia głowy.

— Zlikwidowaliście strefę gastronomiczną? — spytałem zaskoczonym tonem.

— Nigdy nie mieliśmy.

Od razu przyznam, że już nie lubiłem tego młodego człowieka, ponieważ w jego postawie było coś aroganckiego. Poza tym miał mnóstwo żelu we włosach. Moja rodzina mi mówi, że nie można nie lubić ludzi tylko dlatego, że mają żel we włosach, ale dla mnie ten powód jest równie dobry, jak każdy inny.

— Bzdura — polemizowałem. — Tu zawsze była strefa gastronomiczna.

— Nigdy nie było — odparł zblazowanym tonem. — W żadnym z naszych sklepów nie ma strefy gastronomicznej.

— Pan wybaczy, ale idiota z pana — stwierdziłem rzeczowym tonem. — Przychodziłem tutaj od początku lat siedemdziesiątych i zawsze była strefa gastronomiczna. Każdy Marks and Spencer w kraju ma strefę gastronomiczną.

Spojrzał na mnie po raz pierwszy, z kielkującym zainteresowaniem.

— To nie jest Marks and Spencer — powiedział z nieskrywaną przyjemnością. — To jest H&M.

Wpatrywałem się w niego przez długą chwilę, włączając tę informację w swoje struktury wiedzy.

— Marks and Spencer jest obok — dodał.

Milczałem przez jakieś piętnaście sekund.

— I tak idiota z pana — powiedziałem spokojnym tonem i odwróciłem się na pięcie, ale moje słowa raczej nie wywarły druzgocącego efektu, na który liczyłem.

Po tej przygodzie zacząłem znowu chodzić po mieście, ponieważ nie wymaga to zbyt częstych kontaktów z obcymi ludźmi. Pewnego popołudnia, kiedy poszedłem na skróty z Euston Road na Tottenham Court Road, przypadkowo natrafiłem na Fitzroy Square, duży plac otoczony kremowymi kamienicami, z których każda była opatrzona niebieską tabliczką. W różnych okresach Fitzroy Square gościł takich ludzi jak George Bernard Shaw, Virginia Woolf, James McNeill Whistler, Duncan Grant, Roger Fry, Ford Madox Brown i August Wilhelm von Hofmann, chemik pochodzenia niemieckiego, który robił nowatorskie, przełomowe rzeczy z izomerami ortotoluidyny i pochodnymi trójfenylu. Nazwy te prawdopodobnie nic wam nie mówią, tak samo jak mnie, ale jeżeli tę stronę czytają w tej chwili jacyś chemicy, to mają orgazm. Na jednym z rogów placu była indyjska YMCA — YMCA tylko dla ludzi z Indii; coś fantastycznego! — a po drugiej stronie pomnik Francisco de Mirandy, wyzwoliciela Wenezueli, który również tutaj mieszkał. W późniejszym okresie miejsce to upodobał sobie L. Ron Hubbard, ukochany ojciec scjentologii. Wielkie nieba, co za miasto!

Kawałek za Fitzroy Square ciągnęła się cicha i anonimowa Cleveland Street. Nazwa wydawała mi się znajoma i po powrocie do domu sprawdziłem, z czego to może wynikać. Wszystko mi się przypomniało: na Cleveland Street rozegrał się jeden z największych skandali w XIX wieku. Latem 1889 roku policjant zatrzymał chłopca roznoszącego depesze i stwierdził, że delikwent ma w kieszeni podejrzanie dużo pieniędzy. Chłopiec wyznał, że zarobił te pieniądze pracą w homoseksualnym burdelu przy Cleveland Street 19. Śledztwo policyjne wykazało, że do tego przybytku zachodziła cała rzesza mężczyzn z wyższych sfer, w tym synowie dwóch diuków. Pikanterii całej sprawie dodawało rozpowszechnione przekonanie, o którym napomykały wszystkie gazety, że do stałych bywalców Cleveland Street należał książę Albert Wiktor, syn księcia Walii i drugi na liście następców tronu. Ten sam Albert był później typowany (na podstawie skąpych dowodów i jako jeden z wielu kandydatów) na Kubę Rozpruwacza, można go więc chyba zaliczyć do grona najmniej dystygowanych członków rodziny królewskiej. Tak czy owak książę został wymownie szybko wysłany na długi objazd imperium, a po powrocie

zmuszony do ożenku z księżną Wiktoria Marią z Teck. Jednak miesiąc po ogłoszeniu zaręczyn nieszczęsny książę zachorował na zapalenie płuc i zmarł, sprawiając ulgę prawie całemu społeczeństwu. Zdumiewająca sprawa — w każdym razie dla mnie — ale księżna Wiktoria Maria poślubiła jego brata, który został później królem Jerzym V, naszym starym znajomym od „pieprzyć Bognor”. To wszystko być może w jakimś stopniu tłumaczy, skąd w rodzinie królewskiej od czasu do czasu pojawiają się nieco dziwne i niezrównoważone emocjonalnie osobniki.

Bynajmniej nie twierdzę, że Londyn jest najlepszym miastem na świecie dlatego, że doszło tam do skandalu z homoseksualnym burdelem, że Virginia Woolf i L. Ron Hubbard mieszkali o rzut beretem od siebie czy coś w tym guście. Moja teza brzmi, że żadne inne miasto nie może się równać z Londynem pod względem liczby nawarstwień historii i tajnych zakamarków. Poza tym ma puby i mnóstwo drzew i bywa prześliczny. To jest nie do pobicia.

Moje ukochane córki — jak się rzekło, obie w ciąży — mieszkają w Putney i Thames Ditton (koło Hampton Court), czyli w odległości kilkunastu kilometrów od siebie. Pewnego dnia postanowiłem, że przejdę od jednej do drugiej na piechotę, i okazało się, że drogę tę można pokonać w większości przez tereny parkowe. Zachodni Londyn jest wyjątkowo szczerze obdarzony otwartymi przestrzeniami. Putney Heath i Wimbledon Common łącznie zajmują powierzchnię prawie sześciu kilometrów kwadratowych. Z lotu ptaka zachodni Londyn nie wygląda jak miasto, tylko jak las z budynkami.

Nigdy wcześniej nie byłem na Putney Heath ani Wimbledon Common — parki te są ze sobą połączone — i absolutnie się nie rozczarowałem. W niczym nie przypominały wypielegnowanych parków, do których przywykłem w Londynie, były bowiem puszczone na żywioł i mocno zdziczałe, a dzięki temu jeszcze sympatyczniejsze. Maszerowałem po wrzosowiskach i przez las, nigdy nie będąc do końca pewien, gdzie się znajduję, mimo że zabrałem ze sobą mapę Ordnance Survey. Im dłużej szedłem, tym większe miałem wrażenie, że trafiłem na jakieś



odludzie.

W pewnym momencie uświadomiłem sobie, że mniej więcej od pół godziny nikogo nie widziałem, nie słyszę samochodów i nie mam pojęcia, w którym miejscu powrócę na łono cywilizacji. Wystartowałem z ogólnym planem, że przejdę obok miejsca zakwaterowania Dwighta D. Eisenhowera podczas drugiej wojny światowej, które leżało, jak się niedawno przypadkiem dowiedziałem, mniej więcej na mojej trasie. Czytałem w bibliotece o warunkach mieszkaniowych Eisenhowera podczas wojny. Mógł sobie wybrać jakąś dostojną rezydencję typu Syon House czy Cliveden, ale postanowił zamieszkać sam — bez służby — w zwykłym domu o nazwie Telegraph Cottage na skraju Wimbledon Common.

Dom znajdował się na końcu długiego podjazdu pod górę, a bramy strzegł jeden żołnierz stojący koło ręcznego szlabanu. Na tym kończyła się ochrona Naczelnego Dowódcy sił sojuszniczych. Niemieccy zamachowcy mogliby wylądować na spadochronach na Wimbledon Common, wejść od tyłu na teren posesji Eisenhowera i zamordować go w łóżku. Uważam, że to fantastyczna sprawa — nie, że Niemcy mogli to zrobić, ale że tego nie zrobili.

Nie skorzystali z okazji do przeprowadzenia zamachu na Eisenhowera, ale prawdopodobnie niewiele brakowało, żeby rzucili na niego bomby. Bez wiedzy Eisenhowera i chyba wszystkich innych alianckich wojskowych obrona cywilna postawiła makietę działa przeciwlotniczego na polanie tuż za żywoplotem domu generała. Makiety takie rozstawiono po całym Londynie, żeby zmylić niemieckie rozpoznanie i nakłonić wroga do marnowania bomb na bezwartościowe cele. Na szczęście dla Eisenhowera Luftwaffe najwyraźniej przeoczyło tę makietę.

Jeśli zważyć, że generalnie zablądziłem, to możecie sobie wyobrazić, jaki byłem zachwycony, kiedy przez klub rugby opuściłem Wimbledon Common i odkryłem, że wylądowałem w okolicy lokalizacji domu Eisenhowera. Telegraph Cottage spłonęła jakiś czas temu i dzisiaj stoją tam nowe domy, ale pospacerowałem po okolicy i byłem zadowolony, że mniej więcej trafiłem w cel, czego nie można powiedzieć o Niemcach — i chwała Bogu.

Pokrzepiony moim odkryciem, szedłem dalej do Thames Ditton przez Richmond

Park, a potem nad Tamizą. Bardzo miło wspominać ten dzień. Całe dwa tygodnie były złożone z bardzo miłych dni, a na dodatek mogłem udawać przed sobą i światem, że pracuję. Właśnie dlatego w ten sposób zarabiam na życie.

Oczywiście nie wszystko jest w Londynie idealne. Około dwudziestu lat temu moja żona i ja kupiliśmy małe mieszkanie w South Kensington. Wtedy mi się wydawało, że to wielka rozrzutność, ale po dwóch dekadach wzrostu cen nieruchomości wyszliśmy na finansowych geniuszy. Z drugiej strony zmienił się charakter dzielnicy. W rynsztokach jest pełno śmieci, w tym przywleczonych przez lisy, ale generalnie pozostawionych przez ludzi pozbawionych mózgow i poczucia dumy (a także strachu przed karą). Robotnicy od paru lat niespiesznie malują ulicę na biało, zużywając jedno wiadro farby w jednym rzucie. Najbardziej boli mnie jednak zniknięcie ogrodów przed domami. Ludzie najwyraźniej chcą parkować samochody jak najbliżej pokojów dziennych i żeby osiągnąć ten cel, zastępują ogródki podjazdami, na których oprócz aut mieszczą się również kubły na kółkach. Nie bardzo rozumiem, dlaczego wolno im to robić, bo gdyby ktoś chciał specjalnie pogorszyć warunki życia na londyńskiej ulicy, lepszego sposobu by nie znalazł. Niedaleko nas jest ulica Hurlingham Gardens, która tak naprawdę powinna się nazywać Obszarem Stacjonowania Kubłów Na Śmieci Hurlingham, ponieważ prawie każdy właściciel usunął sprzed swojego domu wszystko, co mogłoby przydawać tym budynkom urody. Zanik poczucia estetycznego zobowiązania wobec własnej ulicy to chyba najsmutniejsza ze zmian, do których doszło za mojego pobytu w Wielkiej Brytanii.

Jednak w większej skali sytuacja w Londynie ogromnie się poprawiła. W okresie około dwudziestu lat Londyn dorobił się wspaniałej sylwetki na tle nieba. Stolica Wielkiej Brytanii nie ma zbyt dużej liczby wysokich budynków, ale te, którymi może się poszczycić, są rozmieszczone na rozległym obszarze. Nie walczą ze sobą o uwagę, jak to się dzieje w większości innych miast, ale stoją samotnie, dzięki czemu można je podziwiać jako samoistne dzieła architektury, jak gigantyczne rzeźby. Było to genialne posunięcie. Dzięki niemu ciekawe widoki rozciągają się

z przeróżnych miejsc — z Putney Bridge, z Round Pond w Ogrodach Kensingtonskich, z peronu dwunastego na Clapham Junction — które kiedyś żadnych widoków nie oferowały. Rozsiane po całym mieście drapacze chmur mają tę dodatkową zaletę, że pozwalają rozdzielić bogactwo między większą liczbę ludzi. Nowy drapacz chmur w centrum Londynu tylko dosypuje ludzi zatłoczonym ulicom i stacjom metra, ale duży nowy budynek w Southwark, Lambeth i Nine Elms stanowi bodziec ekonomiczny, który podnosi poziom życia całej dzielnicy, stwarza popyt na bary i restauracje i powoduje, że ludzie chętniej tam mieszkają i przyjeżdżają.

Procesy te nie były do końca zaplanowane. Są skutkiem ubocznym londyńskiego planu zagospodarowania przestrzennego, który przewiduje, że wysokie budynki nie mogą zasłaniać chronionych prawem widoków. Jeden z takich widoków roztacza się spod pewnego dębu na Hampstead Heath. (Właściwie czemu nie?) Nie wolno zbudować niczego, co zakłócałoby widok spod tego drzewa na katedrę św. Pawła albo parlament. Podobny przepis dotyczy Richmond Park, tak bardzo oddalonego od centrum, że nawet nie wiedziałem, że widać stamtąd te obiekty. Londyn przecina całe mnóstwo takich chronionych perspektyw, co w praktyce oznacza, że wysokie budynki muszą stać daleko od siebie. Jest to tylko pomyślny zbieg okoliczności, ale historia Londynu obfituje w takie pomyślne zbiegi okoliczności.

Najbardziej niezwykły jest fakt, że bardzo niewiele brakowało, a sporo z tego zostałyby stracone. W latach pięćdziesiątych Wielką Brytanię ogarnęła obsesja modernizacyjna i uznano, że większość tego, czego Niemcom nie udało się zbombardować, należy zburzyć, a następnie zabudować żelazobetonem.

W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych powstawały kolejne plany zrównania z ziemią i odbudowania wielkich połaci Londynu. Piccadilly Circus, Covent Garden, Oxford Street, Strand, Whitehall i znaczna część Soho — w różnych okresach wszystkie te miejsca proponowano przebudować. Na Sloane Square miał powstać dom handlowy i dwudziestosześcioletni blok mieszkalny. Na obszarze pomiędzy opactwem westminsterskim i Trafalgar Square planowano zbudować nową dzielnicę rządową, „brytyjski Stalingrad z betonu i tafli szkła”, jak to

sformułował Simon Jenkins. Stolicę miało przeciąć sześćset pięćdziesiąt kilometrów nowych autostrad, a półtora tysiąca kilometrów istniejących dróg, w tym Tottenham Court Road i Strand, zamierzano poszerzyć, a także zmniejszyć limit ograniczenia prędkości — w gruncie rzeczy zamienić je w drogi ekspresowe w samym sercu miasta. W całym centrum Londynu ludzie pragnący przejść na drugą stronę ruchliwej ulicy byłiby kierowani do podziemnych tuneli albo na metalowe bądź betonowe kładki. Spacerowanie po Londynie przypominałoby przechodzenie z peronu na peron na wielkim dworcu kolejowym.

Dzisiaj wszystko to wydaje nam się szaleństwem, ale plany te napotykały zaskakująco niewielki sprzeciw. Colin Buchanan, najbardziej wpływowy brytyjski urbanista, obiecywał, że wymiana nagromadzonych przez stulecia gratów i budowa nowych, połyskujących miast z betonu i stali „napełni naród brytyjski dumą i zapewni mu gospodarczą i moralną podporę, której tak bardzo mu potrzeba”. Kiedy deweloper Jack Cotton zaproponował zlikwidowanie większości Piccadilly Circus i budowę w tym miejscu ponad pięćdziesięciometrowego wieżowca, który wyglądał jak skrzyżowanie radia tranzystorowego ze skrzynką na narzędzia, jego pomysł uzyskał błogosławieństwo Królewskiej Komisji Sztuk Pięknych i został zaakceptowany bez jednego głosu sprzeciwu na tajnym spotkaniu wydziału planowania przestrzennego Westminsteru. Zgodnie z koncepcją Cottona pomnik Erosa miał zostać postawiony na nowej pieszej platformie zintegrowanej z siecią alejek i kładek separujących ludzi od samochodów na dole.

W 1973 roku, kiedy po raz pierwszy zamieszkałem w Wielkiej Brytanii, ogłoszono najbardziej kompleksowy plan: Plan Zagospodarowania Przestrzennego Aglomeracji Londyńskiej. Było to rozwinięcie wszystkich wcześniejszych propozycji przewidujące budowę czterech koncentrycznych obwodnic i dwunastu promienistych dróg ekspresowych — w tym systemie ze wszystkich docierających do stolicy autostrad (M1, M3, M4, M11 i M23) można by się szybko przedostać w dowolne miejsce. Drogi ekspresowe, w większości na estakadach, przecinałyby Hammersmith, Fulham, Chelsea, Earls Court, Battersea, Barnes, Chiswick, Clapham, Lambeth, Islington, Camden Town, Hampstead, Belsize Park, Poplar,

Hackney, Deptford, Wimbledon, Blackheath, Greenwich — prawie wszystkie dzielnice. Sto tysięcy osób straciłoby domy. Prawie wszędzie słyhać byłoby ryk pędzących samochodów. Trudno w to uwierzyć, ale mnóstwo ludzi po prostu nie mogło się tego doczekać. Dziennikarz „Illustrated London News” przekonywał, że ludzie „lubią być blisko ruchliwych dróg”, i przywołał nowe skrzyżowanie Spaghetti Junction w Birmingham jako miejsce, które dzięki napływowi pędzących samochodów ożywiło się i nabrało kolorytu. Dziennikarz zwrócił również uwagę na skłonność Brytyjczyków do urządzania pikników na poboczach, zinterpretowaną przez niego jako upodobanie do „hałasu i ruchu”, zamiast stwierdzić, że najwyraźniej powariowali.

Realizacja Planu Zagospodarowania Przestrzennego Aglomeracji Londyńskiej kosztowałaby kolosalną na tamte czasy sumę dwóch miliardów funtów i byłaby największą inwestycją publiczną w dziejach Wielkiej Brytanii. I właśnie ten koszt uratował stolicę. Państwa nie było stać na taki wydatek. Wizjonerzy padli ofiarą przerośniętej skali swoich ambicji.

Można oczywiście się tylko cieszyć, że żadna z tych wielkich koncepcji się nie ziściła. Schowała się wśród nich jednak propozycja zupełnie odmienna od innych i być może warta wypróbowania. Nazywała się Motopia i stanowiła cel mojej kolejnej wyprawy.

## Rozdział 5

# Motopia

**W**siadłem do pociągu o godzinie ósmej dwadzieścia osiem z Waterloo do Wraysbury, z wieloma stacjami pośrednimi. Był poranny szczyt, ale tylko w przeciwnym kierunku. Ja miałem pociąg prawie wyłącznie dla siebie. Wnętrza brytyjskich pociągów były kiedyś ciężkie i posępne, dzięki czemu doskonale pasowały do nudnego, bezradosnego, statecznego zajęcia, jakim jest codzienne dojeżdżanie do pracy. Teraz dominują jasne oranże i różne odcienie czerwieni. Mój pociąg był utrzymany w irytująco jarmarcznej kolorystyce, przez co czułem się jak pasażer kolejki w wesołym miasteczku. W pierwszym odruchu zacząłem się rozglądać za zabawkową kierownicą i krótkim pasem bezpieczeństwa.

Jako jedyny wysiadłem na stacji w Wraysbury, bezobsługowej i dosyć upiornie pustej. Stacja znajdowała się grubo ponad kilometr od wsi, ale cienistą dróżką przyjemnie się szło. Wraysbury to dziwna, odcięta od świata miejscowość. Leży nad Tamizą naprzeciwko Runnymede i w prostej linii zaledwie trzy kilometry od zamku windsorskiego, ale pod względem niedostępności mogłaby iść w zawody z Caithness. Odgradza ją od świata wręcz nedorzeczna liczba barier — dwie autostrady (M4 i M25), linia kolejowa, całe hektary żwirowisk, pozbawiony mostów odcinek Tamizy, trzy ogromne zbiorniki z wysokimi trawiastymi wałami otoczonymi kilometrami płotów z drutu kolczastego i wreszcie wielki, nieprzebyty kompleks lotniska Heathrow z całą jego dodatkową infrastrukturą. Drogi docierające do Wraysbury przebiegają przez strefy przemysłowe z cementowniami, przepompowniami, magazynami i innymi obiektami opatrzonymi znakami „Wstęp wzbroniony”. Nikt nie trafia do Wraysbury przez przypadek i niewielu wybiera się tam w celach innych niż zawodowe, ale jeśli ktoś już się przebije przez okoliczny

pył i chaos, niespodziewanie znajdzie się w oazie przyjemnej ciszy i spokoju — to znaczy do wysokości mniej więcej stu pięćdziesięciu metrów, ponieważ okoliczne niebo jest tłoczne od samolotów rozpoczynających i kończących swoją podróż w Heathrow.

Ale jeżeli ktoś potrafi się przyzwyczaić do hałasu nad głową, Wraysbury jest dosyć uroczą i sympatyczną miejscowością. W centrum stoi kościół i ciągną się szerokie błonia z pawilonem krykietowym, paroma niezłymi pubami i grupą sklepów. Okoliczne zbiorniki zalano wodą i nad powstałymi w ten sposób jeziorami zadomowiło się wiele klubów żeglarskich i windsurfiingowych. Jest tam sporo dużych, atrakcyjnych domów, zwłaszcza nad wodą. Moja żona wychowywała się po drugiej stronie Tamizy w Egham. Z jej strony rzeki widać między drzewami dachy Wraysbury. Sam je tysiąc razy oglądałem, ale nigdy wcześniej tam nie zawitałem, bo nie było powodu.

— Spodoba ci się — obiecała moja żona.

Wiedziała coś na ten temat, bo z Wraysbury pochodził jej ojciec. Dorastał w małej, ciemnej, walącej się chacie z owdowiałą matką i starszą siostrą, na końcu dróżki kilkaset metrów od centrum wsi. Nie mieli prądu ani bieżącej wody. Rolę ubikacji pełnił wychodek na końcu ogrodu. Mój teść opowiadał, jak to w sobotę po południu szedł jedenaście kilometrów do Staines i z powrotem po torebkę suchych bułek na kolację, bo na nic więcej nie było ich stać. To był inny świat.

Żona mi powiedziała, gdzie stała chata, i udałem się teraz na to miejsce — puste, ponieważ w 1943 roku na chatę spadła niemiecka bomba. W Wraysbury nie było żadnych strategicznych celów, więc bombowiec albo zabłądził, albo zrzucił niewykorzystany ładunek przed powrotem do bazy. W każdym razie bomba trafiła w punkt i anihilowała chatę mojego teścia. Na szczęście w środku nikogo nie było, ale rodzina straciła cały dobytek i musiała się przenieść. Mój teść poznał dzięki temu dziewczynę, której w innych okolicznościach by nie poznał, a potem się pobrali i spłodzili dwójkę dzieci, z których jedno po osiągnięciu dorosłości wyszło za mnie. Innymi słowy, moje losy, już nie wspominając o samym istnieniu moich dzieci, wnuków i tak dalej, zostały w dużym stopniu wyznaczone przez niemiecką

bombę, która przypadkowo spadła na Wraysbury w pewien letni wieczór przed laty. Co prawda każde życie jest efektem długiego łańcucha nieprawdopodobnych zbiegów okoliczności, ale ten przypadek wydał mi się dosyć niezwykły — kiedy patrzyłem na miejsce po chacie, pomyślałem, że gdyby bomba spadła sto metrów dalej albo tam, gdzie Niemcy pierwotnie zaplanowali, moja żona by nie zaistniała, a ja nie byłbym w tym momencie we Wraysbury. Pomyślałem również, że każda bomba, która spadła podczas drugiej wojny światowej, po obu stronach kanału La Manche, zmieniła w ten sposób czyjeś życie.

Z tymi filozoficznymi refleksjami w głowie zawróciłem i wyruszyłem ku zapomnianemu miejscu, w którym miała powstać Motopia. Gdyby ją zbudowano, wszyscy wiedzieliby dzisiaj o Wraysbury. Motopia miała być wzorcową miejscowością opartą na zaskakującej dla nas koncepcji rezygnacji z samochodów. Marzenie to wykuło się w głowie Geoffreya Jellicoe, który nie był urbanistą, tylko architektem krajobrazu, co bez wątplenia tłumaczy, dlaczego samochody znajdowały się bardzo nisko na liście jego priorytetów. (Jakoś nikt nie zauważył, że Motopia to dziwna nazwa dla miejscowości zasadniczo niezmotoryzowanej). Niezwykły pomysł Jellicoe polegał na tym, żeby drogi poprowadzić na dachach, na wysokości pięciu kondygnacji. Motopia miała być jednym gigantycznym budynkiem w kształcie kratownicy wśród niebiesko-zielonego rajy jezior i parków. Jeziora miały powstawać przez zalanie wyeksploatowanych żwirowisk, co w tamtych czasach również było nowatorskie. Jellicoe wysunął zatem dwie wielkie koncepcje, które zasadniczo kłóciły się z duchem epoki — znalezienie innego użytku dla starej infrastruktury przemysłowej i usunięcie samochodów z codziennego krajobrazu. Nikt wtedy w ten sposób nie myślał.

Motopia miała zapewnić mieszkania, sklepy, biura, teatry, biblioteki, kina i szkoły dla trzydziestu tysięcy mieszkańców. Jellicoe wyobrażał sobie, że ludzie będą się przemieszczali z miejsca na miejsce ruchomymi chodnikami albo taksówkami wodnymi pływającymi po jeziorach i niewielkiej sieci kanałów. Drogi na dachach nazywał „autostradami na niebie” — dosyć absurdalnie, ponieważ całe miasto w najszerszym miejscu miałoby zaledwie kilka kilometrów, a co



kilkadziesiąt metrów projektant przewidział rondo, więc do prędkości autostradowej raczej nie dałoby się rozpędzić, ale sprawa ta pokazuje, że Jellicoe miał serce po właściwej stronie. Całą propozycję potraktowano na tyle poważnie, że wybrano lokalizację (Wraysbury) i opracowano szczegółowy projekt. Fantastyczna sprawa, chociaż może trochę niepraktyczna. Z pewnością warto byłoby spróbować. Ludzie przyjeżdżaliby z całego świata, żeby to zobaczyć, skoro mnie zainteresowało samo miejsce pod ten projekt.

Znaczna część obszaru przewidywanego pod Motopię leży dzisiaj pod autostradą M25 i zbudowanym w 1967 roku zbiornikiem Wraysbury, ale na części — Staines Moor na wschód od wsi — nic nie zbudowano. Dotarłem tam zaskakująco ładną zieloną dróżką z dużymi, zadbanymi domami po jednej stronie i jeziorkiem — pływały po nim łódzie i deski z żaglem — po drugiej. Z ogłuszającym rykiem samochodów w uszach przeszedłem pod autostradą i dotarłem do metalowej bramki z tablicą informacyjną — zamieszczoną przez radę gminy Spelthorne — zapraszającą mnie do wstąpienia na błotnistą ścieżkę do Staines Moor. Ścieżka prowadziła do kładki nad linią kolejową, a następnie do tunelu pod ruchliwą obwodnicą Staines.

Nie wyglądało to zbyt obiecująco i już miałem zawrócić, kiedy zauważyłem, że w tunelu jest jakiś mural, i z grzeczności poszedłem go obejrzeć. Przedstawiał zwierzęta mieszkające na wrzosowisku po drugiej stronie i wykonał go z miłością prawdziwie utalentowany artysta, który najwyraźniej żywił ciepłe uczucia do tego kawałka ziemi za torami. Zaintrygowany przeszedłem przez tunel i moim oczom ukazał się zaskakujący widok — połączyć zielono-żółtego krajobrazu, kraina drzew i wody rozpościerająca się aż do niskich zielonych wzgórz (a w rzeczywistości wałów zbiorników wodnych). Wyglądało to tak, jakby ktoś wyciął kilometr kwadratowy najlepszego krajobrazu Suffolk i rzucił go pomiędzy A30 i M25. Niedaleko mnie rzeczulka Colne stworzyła coś w rodzaju bagnistego rozlewiska. Czapla spojrzała na mnie poirytowanym wzrokiem i kilkoma leniwymi machnięciami skrzydeł oddaliła się o sto metrów. W oddali widziałem startujące z Heathrow samoloty — odgłos ich silników docierał do mnie jak cichy warkot.

Hektary falującej trawy tłumili ryk autostrady do poziomu znośnego buczenia.

Dopiero po kilku chwilach przypomniałem sobie, że stoję w miejscu przeznaczonym pod centrum Motopii, i nagle sobie uświadomiłem, że gdyby poświęcili to zapomniane wrzosowisko i zbudowali tutaj miasto, byłaby wielka szkoda. Dwudziestu tysiącom mieszkańców Staines łąki te zapewniały jedyny kawałek wiejskiego krajobrazu w odległości wielu kilometrów, ale to nie wszystko. Z tablicy informacyjnej nad rozlewiskiem wynikało, że tereny te od tysięcy lat nie uległy żadnym zmianom. Zarejestrowano tutaj sto trzydzieści gatunków ptaków i trzysta gatunków roślin.

Spotkałem faceta z tysiącem tatuaży, który prowadził groźnie wyglądającego psa, ale pozdrowił mnie przyjaźnie.

— Bardzo tu pięknie — powiedziałem.

— No — zgodził się ze mną. — Byłaby szkoda, gdyby to zabudowali.

— Jest takie niebezpieczeństwo? — spytałem szczerze zaniepokojony.

— Chcą tu dać pas startowy.

— Tutaj?

Nie sądziłem, że pas startowy może się ciągnąć tak daleko od lotniska. Mój rozmówca pokiwał głową.

— Może następnym razem będzie się pan musiał uchylać przed odrzutowcami — powiedział zadowolony ze swojej inwencji.

Sprawdziłem później w internecie i okazało się, że miał rację. Staines Moor to lokalizacja tak zwanej opcji południowo-zachodniej na pas startowy Heathrow. W ramach tej propozycji Staines Moor całkowicie by zniknęło. Nowy pas startowy powiększyłby teren lotniska o półtora kilometra na południe i półtora kilometra na zachód, podsuwając je pod samo Wraysbury. Zniknęłyby wszystkie te śliczne domy, które właśnie minąłem, a także połowa zbiornika Wraysbury. Mieszkańcy znajdowaliby się tak blisko końca pasa startowego, że samoloty zdmuchiwałyby im czapki z głów. Hałas z pewnością byłby nie do wytrzymania. Staines Moor przestałoby istnieć.

Ziemia niczyja między obwodnicą Staines a M25 nie jest światem stworzonym pod kątem pieszych. Istnieje dla zmotoryzowanych i dla ludzi, którzy potrzebują się pozbyć dużej liczby opon, starych materaców i pozostałości po remoncie kuchni. Pośród kałuż i odpadów nieoczekiwanie natrafiłem na drogowskaz kierujący w stronę Egham przez most na Tamizie. Ścieżka przebiegała dokładnie równoległe do M25, ale około ośmiu metrów poniżej było tam zaskakująco cicho i całkiem ładnie. Odgłos samochodów nad głową był słyszalny, ale dziwnie i przyjemnie odległy. Znalazłem się w świecie zieleni — małym tunelu przez las. Między łodygami budlei trzepotały motyle, a chmary małych owadów pulsowały w świetle słońca.

Po kilkuset metrach ścieżka szła do góry i nagle wybiegała na most autostradowy, oddzielona od jezdni barierą sięgającą do pasa. Wszedłem na most, na którym czekało mnie niezwykle przeżycie. Po lewej stronie miałem ryk dziesięciu pasów najruchliwszego odcinka drogi w Europie, a po prawej, w odległości parudziesięciu metrów, wręcz idylliczny krajobraz — kawałek Tamizy uchwycony w momencie letniej doskonałości. Około stu metrów ode mnie znajdowała się śluza i ładny jaz. W śluzie kołysała się łódź motorowa, której właściciele robili różne rzeczy z linami i korbami. Obok śluzy stał hotel z tarasem, na którym ludzie jedli w słońcu obiad. Na drugim brzegu rzeki cumowały łodzie i ładne, stare wiejskie domy. Przeurocza kompozycja. Gdyby ktoś podszedł do stojaka z pocztówkami, wybrałby właśnie ten widok. A przecież tuż za mną, na tyle blisko, by podwiewało mi kurtkę, płynął nieprzerwany strumień aut. Znajdowałem się na granicy między dwoma światami zupełnie nieświadomymi siebie nawzajem. Surrealistyczne doświadczenie.

Nie sądzę, żeby ktokolwiek przechodził przez ten most na piechotę. Ścieżka była tak zarośnięta, że nie było jej widać. Brodziłem w gęstwinie kwiatów, spośród których wyróżniały się stokrotki. Ogród na betonie mienił się fioletami, żółcieniami i delikatnymi błękitami. Najbardziej frapującą cechą charakteru Wielkiej Brytanii jest to, że chce być ogrodem. Kwiaty kwitną w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach — na bocznicach kolejowych, na śmietniskach, pośród gruzu i kamieni.

Kępy kwietnego życia można zobaczyć nawet na bokach porzuconych magazynów i starych wiaduktów. Gdyby wszyscy mieszkańcy Zjednoczonego Królestwa dzisiaj w nocy zniknęli, Wielka Brytania wciąż byłaby ukwiecona. Jaskrawo kontrastuje to z Ameryką, gdzie natura jest dzika i brutalna. Tam, skąd pochodzę, chwasty można wyplenić tylko za pomocą miotaczy płomieni. Tutaj niezaplanowane piękno natury ciągnie się kilometrami. Fantastyczna sprawa.

Na drugim końcu mostu zszedłem na dół z autostrady i przed oczyma stanął mi jeden z moich ulubionych widoków — trawiasta, dziewicza łąka Runnymede ciągnąca się aż po butelkowozielone, majestatyczne Cooper Hill, najwyższe wzniesienie w tej części Surrey. Znałem te tereny od lat, ale nigdy wcześniej nie dotarłem tam pod tym kątem ani nie przemierzyłem Runnymede na piechotę i bardzo się ucieszyłem, że mam teraz taką możliwość. Jest to po prostu wielkie, puste pole, obecnie znajdujące się pod pieczęcią National Trust, ale niewypowiedzianie piękne, zwłaszcza w tak pogodny dzień jak wtedy. Na wierzchołku Cooper Hill stoi jeden z mało znanych w kraju pomników, Air Forces Memorial z wygrawerowanymi w kamieniu nazwiskami dwudziestu tysięcy czterystu pięćdziesięciu sześciu lotników, którzy zginęli podczas drugiej wojny światowej, ale nie mają grobu. Piękny i poruszający widok — ze szczerego serca polecam — ale pomnik stoi na szczycie wysokiego, stromego wzgórza, do którego miałem za daleko, żeby się na nie wspiąć tamtego dnia. Zamiast na Cooper Hill przeszedłem przez pole pod pomnik Magna Carta, niewielką rotundę zbudowaną w 1957 roku przez Amerykańskie Stowarzyszenie Adwokatów i dzisiaj godne uwagi jako jedyna przyjemna rzecz, którą zrobili prawnicy. Upamiętnia oczywiście podpisanie wielkiej karty swobód gdzieś w okolicy. (Nie wiemy dokładnie, gdzie to było, bo upłynęło już tyle lat). Byłem tam sam i podejrzewam, że przez większość dni w roku nikt tam nie przychodzi.

Trochę dalej stał bardziej dla mnie interesujący pomnik Kennedy'ego, wzniesiony niedługo po zamachu. Dociera się do niego dosyć stromą ścieżką przez las. Ucieszyło mnie odkrycie, że zaprojektował go nikt inny, jak tylko nasz stary znajomy Geoffrey Jellicoe.

Jellicoe nie dysponował zbyt dużym budżetem i miał mało czasu — pomnik postawiono tuż po śmierci Kennedy’ego — ale maksymalnie wykorzystał dostępne środki. Ścieżka jest zrobiona z sześćdziesięciu tysięcy granitowych kostek tworzących stopnie i przyjemnie idzie się pod górę. Na szczycie wzgórza leży wielki blok granitu, miejscami popękany i tu i ówdzie noszący widoczne ślady remontów. Wygrawerowano na nim fragment mowy inauguracyjnej Kennedy’ego. Obok stała ławka i rósł głóg. Również tutaj nikogo innego nie widziałem. Miałem wrażenie, że pomnik od wielu lat nie był odwiedzany.

Po powrocie na dół spotkałem dwie puszyste młode kobiety, które spoglądały w górę pokrytego zaroślami zbocza takim wzrokiem, jakby sądziły, że mogą tam być niedźwiedzie. Obie miały na sobie szorty w kolorze khaki, T-shirty i adidas, a na grzbiecie małe plecaki.

— Wraca pan spod pomnika? — spytała jedna z nich.

„Nie, robiłem kupę w krzakach” — chciałem powiedzieć, ale oczywiście nie powiedziałem.

— Tak — potwierdziłem. Mówiła z amerykańskim akcentem, więc też próbowałem brzmieć po amerykańsku. — Całkiem fajny.

Słowa „fajny” użyłem po raz pierwszy od siódmej klasy i całkiem mi się to spodobało.

— Bardzo daleko?

— Nie bardzo, ale są schody.

Lekka panika w oczach.

— Ile?

— Nie wiem... jakieś pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt.

Spojrzały na siebie i odbyły naradę. Jedna postanowiła udać się do pobliskiej herbaciarni, a druga podjęła odważniejszą decyzję i wyruszyła na górę. Po kilku krokach zaczęła wydawać z siebie stęknienia typowe dla tenisistek, które serwują na ważny punkt podczas turnieju wielkoszlemowego. Przez kilka chwil przysłuchiwałem się jej poczynaniom, a potem się odwróciłem, żeby pozdrowić jej towarzyszkę na pożegnanie, ale już dawno o mnie zapomniała zaprzątnięta

wyzwaniem, jakim było dla niej pokonanie stu pięćdziesięciu metrów otwartej przestrzeni, która ją dzieliła od krzesła i napoju orzeźwiającego. Nie miałem serca jej mówić, że napój orzeźwiający prawie na pewno okaże się mały i podany w temperaturze pokojowej.

Nawiasem mówiąc, Runnymede to kolejne miejsce, które cudem przetrwało. W 1918 roku ogłoszono plany zabudowania łąki domami. Urban Broughton, Brytyjczyk, który dorobił się fortuny w Ameryce, wykupił ją od dewelopera, żeby ją uratować. Kiedy umarł, wdowa po nim, Amerykanka, przekazała łąkę narodowi. A zatem jedno z najbardziej nasiąkniętych historią miejsc w Wielkiej Brytanii zachowało się w stanie nienaruszonym dzięki wielkoduszności pewnej amerykańskiej staruszki.

Z tą patriotyczną myślą w głowie poprawiłem plecak i ruszyłem w stronę Windsoru.

## Rozdział 6

# Wielki park

**W** 1971 roku uruchomiono krótki, nieprawdopodobny łańcuch wydarzeń: brytyjskie Ministerstwo Zdrowia rozesłało do amerykańskich wyższych uczelni plakat z napisem „Chciałabyś się wyszkolić na pielęgniarkę psychiatryczną w Anglii?”.

Pytanie było retoryczne („Chyba zwariowaliście”), toteż plakat nie wzbudził większej uwagi. Podejrzewam, że większość wyrzucono do śmieci zaraz po otrzymaniu przesyłki. Ale jeden jakimś cudem trafił na zatłoczoną tablicę informacyjną w akademiku Uniwersytetu Iowa, gdzie zobaczyły go dwie moje znajome z Des Moines, Elsbeth „Buff” Walton i Rhea Tegerstrom, i postanowiły się zgłosić, bardzo możliwe, że jako jedyne. Kilka tygodni później dosyć niespodziewanie znalazły się pięć tysięcy kilometrów od domu dumnie odziane w błękitne fartuchy i wykrochmalone białe czapki pielęgniarek stażystek w szpitalu Holloway w Virginia Water, hrabstwo Surrey.

Wiele elementów mojego życia jest rezultatem stanowczych działań podjętych przez innych, ale najwięcej zawdzięczam odważnej przeprowie Buff i Rhei przez ocean, ponieważ ich decyzja całkowicie odmieniła również moje życie. Gdyby nie one, nie zamieszkałbym w Anglii i nie poznałbym mojej żony, a ta książka prawdopodobnie miałaby tytuł „Moje czterdzieści lat w Peorii”. Niech Bóg błogosławi je obie.

W szczęśliwą i ekscentryczną orbitę Buff i Rhei zostałem wciągnięty rok później, kiedy je odwiedziłem pod koniec lata spędzonego na jeździe autostopem po Europie. Planowałem powrót do Des Moines, ale podczas niezwykle sympatycznego wieczoru w pubie Barley Mow w Englefield Green zaproponowały,

żebym też załatwił sobie pracę w szpitalu. Zapewniały mnie, że w szpitalach psychiatrycznych zawsze brakuje pracowników. Następnego dnia zgłosiłem się zatem do pracy i ku pewnemu mojemu zaskoczeniu zostałem od ręki przyjęty. Przypominało to zaciągnięcie się do wojska. Wysłano mnie do magazynu w podziemiu, gdzie otrzymałem dwa popielate garnitury, jeden cienki czarny krawat, dwie białe koszule, trzy starannie złożone białe fartuchy, pościel, zestaw kluczy i tyle różnych innych rzeczy, że niesiona przeze mnie sterta zasłaniała mi widok. Przydzielono mi pokój w hotelu pracowniczym dla mężczyzn i kazano się zgłosić na oddział Tuke. Byłem teraz pracownikiem Narodowej Służby Zdrowia, mieszkańcem Anglii, człowiekiem w jakimś sensie dorosłym i pełnokrwistym cudzoziemcem — zaledwie dobę wcześniej żadnej z tych czterech rzeczy zupełnie się nie spodziewałem. Niewiele później poznałem radośnie nastawioną do życia stażystkę Cynthię i stwierdziłem, że zakochuję się w niej, a jednocześnie w Anglii. Po czterdziestu latach nadal jestem z nimi obiema.

A zatem w tej części świata zaczęło się moje angielskie życie. Od wielu lat tutaj nie byłem i bardzo cieszyła mnie perspektywa, że pospaceruję sobie po moim dawnym życiu. Innego jasnego letniego poranka — pogoda była mocno nie po angielsku przychylna — wyruszyłem z hotelu w Windsorze pogrążonymi jeszcze w ciszy uliczkami i dotarłem do traktu procesyjnego zwanego Long Walk, prowadzącego z samego miasta do Windsor Great Park i do położonego tuż za nim świata mojej przeszłości.

Windsor Great Park to pozostałości pradawnego lasu windsorskiego i część majątku królewskiego. Ten uroczy zakątek wygląda jak scenografia baśni — pagórkowata, ponadczasowa krainach lasów, pól i malowniczych chat pracowników majątku, połączonych krętymi drózkami, po których prawie nic nie jeździ. (Można z nich korzystać tylko w celach służbowych). Jest tam jezioro, ogromne trawniki do gry w polo, rozsiane tu i ówdzie posągi i inne ozdoby, stada pasących się jeleni i odgradzone murem królewskie samotnie takie jak Royal Lodge, gdzie mieszkała w dzieciństwie królowa. Sto kilometrów kwadratowych pięknej zieleni znajduje się na skraju Londynu, ale stosunkowo niewielu ludzi tam



przyjeżdża, a już prawie nikt nie zagłębia się w lesiste wnętrze.

Long Walk kończy się niezbyt stromym podejściem na wierzchołek Snow Hill, zwieńczony wielkim pomnikiem konnym króla Jerzego III. Ze szczytu rozciąga się panoramiczny widok na zamek windsorski i całą okolicę. Zgodnie z legendą Henryk VIII wjechał konno na to wzgórze, żeby posłuchać, jak londyńskie armaty ogłaszają egzekucję Anny Boleyn. Wszystko było cudowne z wyjątkiem nieba. Tuż nad głową sunęły samoloty i ciągnęły po ziemi cienie, schodząc do lądowania na oddalonym o osiem kilometrów na wschód lotnisku Heathrow. Leciwały tak nisko, że mogłem przeczytać numery seryjne na ich podwoziu, i hałasowały głośniej niż w Wraysbury, ponieważ Windsor znajduje się dokładnie pod trasą ich przelotu. Nie wiem, jak mieszkańcy zachodniego Londynu to wytrzymają, jeśli Heathrow sprawi sobie trzeci pas startowy. Już teraz odbywa się prawie pół miliona lotów rocznie. Trzeci pas startowy zwiększyłby tę liczbę do siedmiuset czterdziestu tysięcy. W którym momencie ludzie uznają, że co za dużo, to niezdrowo?

Myślę, że dotarliśmy już do tego punktu. Przypomnijcie sobie, jak ostatni raz rezerwowaliście lot z Londynu do Nowego Jorku, Paryża albo Melbourne. Mielicie mnóstwo możliwości wyboru, prawda? Mogliście wybrać różne linie lotnicze, pory wylotu i godziny przylotu. Czy potrzebujecie pięćdziesięciu procent więcej możliwości wyboru? Argument brzmi, że jeżeli Heathrow się nie rozbuduje, to inne europejskie lotniska przejmą jego pasażerów. Jak słyszymy, lotnisko Charles'a de Gaulle'a obsługuje dziesięć milionów pasażerów rocznie mniej niż Heathrow, ale ma cztery pasy startowe, czyli dwa razy więcej. Amsterdam ma dwadzieścia milionów pasażerów mniej i sześć pasów startowych. Jeżeli Heathrow nie zbuduje kolejnych pasów startowych, przekonują nas, to przestanie być konkurencyjne. Nasuwa się pytanie, dlaczego już nie przestało być konkurencyjne.

Powiem wam, jakie będą skutki budowy nowego pasa startowego. Wzrośnie liczba startów i lądowań, ale mniejszymi samolotami. Tak się właśnie stało w Ameryce. Kiedyś były cztery czy pięć lotów dziennie z Chicago do Denver czy z St. Louis do Minneapolis, normalnej wielkości samolotami. Teraz lotów jest kilkanaście albo i więcej, ale samoloty zabierają trzydzieści osób, które wciskają

kolana w brody. Będziemy zatem mieli większy wybór, ale znacznie gorszą jakość obsługi. Przy małych samolotach znacznie łatwiej jest na przykład anulować lot z niewielką liczbą pasażerów i wsadzić wszystkich do następnego samolotu.

Nawiasem mówiąc, wiecie, dlaczego Heathrow zbudowano tam, gdzie zbudowano? Po wojnie zadanie wyboru lokalizacji pod nowe londyńskie lotnisko otrzymał Alfred Critchley, urodzony w Kanadzie przedsiębiorca, który zrobił fortunę najpierw na promowaniu wyścigów chartów, a potem na handlu cementem. Całą chmarę małych cementowni połączył w gigantyczny koncern Blue Circle, zbijając przy okazji ogromny majątek. Podczas wojny współorganizował szkolenia dla lotników, a ponieważ słabo się znał na awiacji, natomiast na temat wylewania betonu wiedział wszystko, po zakończeniu wojny pozwolono mu zdecydować, gdzie należy zbudować nowe lotnisko, które zastąpiłoby stary aerodrom w Croydon. Zawsze sądziłem, że Heathrow wybrano z jakiejś ważnej przyczyny praktycznej — porowatość podglebia, położenie wód głębinowych czy coś w tym guście — a tymczasem Critchley wybrał to miejsce dlatego, że znajdowało się w połowie drogi między jego domem w Sunningdale a biurem w Londynie.

Critchley zmarł w 1963 roku, zanim Heathrow stało się kolosem, jakim jest dzisiaj, nie miał zatem świadomości, jaki los zgotował światu. W tamtych czasach Heathrow należało do kategorii zjawisk przyjemnych i ekscytujących. Tak się składa, że jestem właścicielem sześciu kompletów dysków Viewmaster pokazujących Heathrow z tamtego okresu i wspaniale się je ogląda, ponieważ widać na nich, że Heathrow było lotniskiem z mniej więcej szesnastoma samolotami i kilkudziesięcioma elegancko ubranymi klientami. Wszystko wskazywało na to, że wieżą kontroli lotów w pojedynkę zawiaduje pewien mężczyzna z zabójczym wąsem. Terminale były wymuskane, nowoczesne i prawie puste. Wszystkie osoby uczestniczące w procesie kontroli paszportowej i bagażowej sprawiały wrażenie niezmiernie szczęśliwych. Jeszcze radośniejsza atmosfera panowała na pokładach samolotów. Stewardesa nie tylko podawała pasażerowi wielką tacę z jedzeniem, ale również stała z uśmiechem koło jego fotela i obserwowała konsumpcję.

Cóż to był za wspaniały świat i jakże się różnił od dzisiejszego! Trudno uwierzyć, że ludzie kiedyś ze smakiem jedli to, co im podano w samolocie, stewardesy cieszyły się na widok pasażerów, a podróż lotnicza była okolicznością, na którą wkładało się najlepsze ubranie. Ja dorastałem w świecie, w którym wszystko takie było: galerie handlowe, gotowe dania z supermarketu, same supermarkety, telewizja, autostrady, klimatyzacja, kina drive-in, firmy 3D, radia tranzystorowe, grillowanie w ogródku za domem, podróże lotnicze dla wszystkich — te najnowsze osiągnięcia cywilizacji niezmiernie wszystkich ekscytowały. Aż dziw bierze, że nie udławiliśmy się wszyscy na śmierć wszystkimi tymi nowinkami i cudami techniki. Pamiętam dzień, kiedy mój ojciec przyniósł do domu urządzenie, które włączało się do prądu, a potem, po paru minutach potwornego hałasu, wyciągało z niego pokruszone na drobno kostki lodu, co nas szalenie podniecało. Może byliśmy idiotami, ale jakże szczęśliwymi!

Po przyjemnej przechadzce przez park opuściłem go w Bishop's Gate i zagłębiłem się w plątaninie leśnych uliczek, które prowadziły do Englefield Green. Rozległe błonia, którym wieś zawdzięcza swoją nazwę, są jej zdecydowanie najlepszym atrybutem. Mają jakieś półtora hektara powierzchni, a przy każdym boku stoją duże domy. Jeden z tych budynków to pub Barley Mow, mniejszy, niż zapamiętałem, ale wciąż urodziwy. Przeszedł mnie dreszcz, kiedy sobie uświadomiłem, że upłynęło prawie czterdzieści lat, odkąd ostatni raz piłem tam piwo. Mieli jeszcze zamknięte, ale zajrzałem przez okna i z zadowoleniem zobaczyłem, że wystrój nie uległ radykalnym zmianom. Po drugiej stronie błoni, za linią kłębiastego żywopłotu, stał wielki dom, w którym, jak się pewnego razu dowiedziałem od chłopaka Buff, Bena, mieszkał Leslie Charteris, autor serii kryminałów o Świętym. Głęboko mnie to poruszyło. W Iowa nie przywykliśmy do widoku domów sławnych ludzi, ponieważ w naszym stanie nie było żadnych sławnych ludzi.

Nie mogę powiedzieć, że byłem fanem Lesiego Charterisa albo że cokolwiek o nim wiedziałem, ale moja mama co miesiąc kupowała czasopismo „Saint” (w supermarkecie po dwadzieścia pięć centów) i z wypiekami na twarzy czytała te

opowiadania, co było dla mnie wystarczającą rekomendacją. Ten człowiek był nie tylko sławnym autorem, ale również *czasopismem*. Przechodząc później koło tego domu, zawsze na chwilę przystawałem w nadziei, że zobaczę nieuchwytnego Charterisa, ale nigdy nie miałem tyle szczęścia. Wyobrażałem go sobie jako wykwintnego Anglika w stylu stworzonej przez niego postaci Simona Templara, ale jak się później dowiedziałem, był w połowie Chińczykiem, urodził się w 1909 roku w Singapurze jako Leslie Yin. A zatem nawet gdyby mi się udało go zobaczyć, prawdopodobnie wziąłbym go za zielarza Charterisa czy kogoś w tym rodzaju. Wtedy nie mogłem o tym wiedzieć, ale Charteris był odludkiem i szowinistą. Dzięki serialowi telewizyjnemu z udziałem Rogera Moore'a osiągnął wyżyny sławy, ale już dawno przestał pisać książki, zostawiając to murzynom. (Praktyka ta jest powszechniejsza, niż mogłoby się wydawać. Tę książkę napisał Andy McNab).

Jeśli pominąć błonia, Englefield Green nigdy nie porażało urodą, a od jakiegoś czasu najwyraźniej przestało o nią dbać. Kiedyś były tu banki, masarnie i spożywcza, ale w większości wyparły je kawiarnie, małe restauracje i wystawiane przed budynki niepolczone kubły na śmieci. Nie mam pojęcia, czym zajmują się mieszkańcy, ale z całą pewnością produkują przy tym mnóstwo odpadków.

Za Englefield Green, przy ruchliwej A30 na wierzchołku Egham Hill, znajduje się kampus Royal Holloway College, filii Uniwersytetu Londyńskiego. Kiedyś był to jeden ogromny budynek, rodzaj angielskiego Wersalu na podlondyńskim wzniesieniu, dar dla stolicy od producenta leków patentowych Thomasa Hollowaya. W XIX wieku Holloway College należał do najokazalszych budynków na całej planecie i nadal robi niemałe wrażenie. Elewacja ma sto pięćdziesiąt metrów szerokości, a obwód wynosi ponad pół kilometra. Wewnątrz znajduje się osiemset pięćdziesiąt osiem sal i dwa rozległe dziedzińce. Ale podczas gdy Wersal zbudowano dla królów, fundatorowi Holloway College przyświecały szlachetniejsze cele, a mianowicie zbudowanie uczelni dla kobiet w czasach, kiedy takie placówki należały do rzadkości. Nie wiadomo, dlaczego Thomas Holloway

i jego żona Jane postanowili utopić znaczną część swojego majątku w uczelni dla kobiet, nie wiadomo również, dlaczego postanowili ufundować Sanatorium Holloway, położony w oddalonej o cztery kilometry wsi Virginia Water szpital dla obłąkanych z zamożnych rodzin.

Gmach zaprojektował architekt William Henry Crossland, który po tych osiągnięciach artystycznych popadł w zagadkową niemoc twórczą. Przeżył jeszcze dwadzieścia dwa lata, ale nic już nie zaprojektował. Być może wynikało to z faktu, że swoją energię skierował gdzie indziej, a mianowicie związał się z osiemnaście lat od niego młodszą aktorką Elizą Ruth Hatt i założył z nią drugą rodzinę, nie zrywając więzi z pierwszą, to znaczy na przemian mieszkał w jednym albo drugim domu. Taki wyczerpujący tryb życia spowodował, że skończyły mu się siły fizyczne i zasoby finansowe, a prawdopodobnie również cierpliwość żony i kochanki, ponieważ w 1908 roku zmarł w samotności i nędzy.

Z historii tej na pewno płynie jakiś morał.

Do Virginia Water doszedłem wzdłuż Bakeham Lane, która na kapryśną modłę angielskich dróg mniej więcej w połowie zmienia nazwę na Callow Hill. Okazała się bardziej ruchliwa niż kiedyś i miała znacznie bardziej zaśmiecone pobocza, ale pozostała cienista i przyjemna. To niesamowite, jak głęboko potrafią zapaść w pamięć szczegóły często przemierzanej drogi, bo wydawało mi się, że prawie wszystko zapamiętałem — krzywiznę podjazdów, stopień nachylenia dachów, kołatki na drzwiach frontowych. Jest to tym bardziej niezwykle, że od parudziesięciu lat nie poświęciłem temu wszystkiemu ani jednej myśli, a jednocześnie nie potrafię sobie przypomnieć, co jadłem na śniadanie albo jak się nazywają spotkania w ciągu ostatnich dwóch tygodni ludzie, z którymi spędziłem mniej niż pół godziny.

W końcu dotarłem do Christchurch Road, prostej, dostojnej alei prowadzącej do miasteczka Virginia Water. Swego czasu była to prześliczna droga, z dwukilometrowym szpalerem bajkowych domów z galimatiasem ścian szczytowych, ganków i sterczących kominów, każdy we własnym rajku kłębiastych

krzewów i pękających róż. Jak stwierdziłem w *Zapiskach z małej wyspy*, czułem się tak, jakbym wszedł na łamy egzemplarza „House Beautiful” z 1937 roku. Większości z tych domów już nie ma, wydano na nie fortunę tylko po to, żeby je zburzyć i zastąpić rezydencjami w stylu Russian Gangster.

Centrum miasteczka również uległo sporym przeobrażeniom. Zniknęło prawie wszystko to, co z czułością zapamiętałem. Tudor Rose, najbardziej ujmująco okropna restauracja na świecie, gdzie wszystkie potrawy były czarne albo ciemnobrązowe (nie licząc popielatego groszku), dawno odeszła z tego świata i bardzo mi jej brakuje, w czym prawdopodobnie jestem odosobniony. Nie ma również sklepów z rybami, agencji turystycznych i spożywczaaków. Jeden z tych ostatnich — nie pamiętam który — chlubił się przywilejem królewskim wystawionym przez Królową Matkę, co zawsze mi imponowało. Barclay, jedyny bank w miasteczku, właśnie zwinął interes. Wywieszka na drzwiach informowała, że jeżeli ktoś ma do załatwienia jakąś bankową sprawę, powinien udać się do Chertsey. Jeszcze większą tragedią było zniknięcie księgarni, która należała do pisarza, aktora i reżysera filmowego Bryana Forbesa. W tym rajku dla bibliofilów spędzałem wiele godzin z rzędu, czytałem tam całe książki. Od czasu do czasu miałem okazję zobaczyć samego Bryana Forbesa, co dla chłopca z Iowa zawsze było ekscytującą chwilą. Raz widziałem, jak rozmawia z Frankiem Muirem, i prawie zemdlałem z przejęcia.

W księgarni tej dałem kiedyś największy popis męskości w całym moim życiu. Pewnego dnia, kiedy wertowałem książki, wszedł do środka pacjent szpitala dla obłąkanych, którego nazwę Arthurem. Arthur był człowiekiem w średnim wieku i niespodziewanie dystygowanym. Jak wielu innych pensjonariuszy pochodził z bogatej rodziny (do końca lat czterdziestych szpital był prywatny) i ubierał się jak przedstawiciel klasy właścicieli ziemskich. Zupełnie nie wyglądał na wariata. Miał jednak pewną osobliwą cechę, która powodowała, że był permanentnie hospitalizowany: nie znosił, kiedy odzywała się do niego obca osoba. Wystarczyło, żeby ktoś się uśmiechnął i powiedział dzień dobry, Arthur eksplodował pianą i furią, wylewał z siebie kaskadę zaskakująco oryginalnych zniewag. Wszyscy

mieszkańcy wsi o tym wiedzieli, więc go nie zaczepiali podczas jego codziennych peregrynacji. Tak się wszakże złożyło, że tego dnia księgarnia znajdowała się pod pieczę uroczej młodej kobiety, która pracowała tam od niedawna i nie miała pojęcia o dziwactwach Arthura, toteż zapytała go, czy potrzebuje pomocy w znalezieniu jakiejś pozycji.

Arthur rzucił się na nią bardziej zdumiony niż rozgniewany. Minęło wiele lat, odkąd po raz ostatni ktoś się do niego zwrócił w miejscu publicznym.

— JAK ŚMIESZ DO MNIE MÓWIĆ, ZDZIROWATA SUKO — syknął, a potem na dobre się rozkręcił. — NIE ZBLIŻAJ SIĘ DO MNIE, TY KOSTROPATA, ROZLAZŁA CÓRKO SZATANA!

Kiedy Arthur był pobudzony, stosował szeroką paletę środków ekspresji. Pani spojrzała na niego z miną, jaką widziałem u kobiety tylko w horrorach w momencie pomiędzy szarpnięciem za zasłonę i opadnięciem sztyletu.

Podszedłem do niego i powiedziałem ostro:

— Arthur, odłóż tę książkę i natychmiast wyjdź!

Niczego więcej nie było potrzeba — do Arthura wystarczyło przemówić stanowczym tonem. Potulnie odłożył książkę na półkę i wyszedł bez słowa.

Młoda kobieta spojrzała na mnie ze szczerym, prostolinijnym zdumieniem.

— Dziękuję — wysapała.

Obdarzyłem ją pełnym satysfakcji, a jednocześnie skromnym uśmiechem, jaki widziałem u Gary'ego Coopera.

— Cieszę się, że mogłem pomóc — powiedziałem.

Gdybym miał na głowie kowbojski kapelusz, to dotknąłbym ronda.

Drzwi się otworzyły i Arthur wsunął głowę do środka.

— Czy dostanę dzisiaj wieczór deser? — spytał lękliwie.

— Jeszcze nie zdecydowałem — odparłem nie mniej stanowczo. — Zobaczymy, jak się będziesz sprawował.

Arthur chciał się ponownie oddalić, ale wezwałem go z powrotem.

— Arthur, już nigdy nie wolno ci niepokoić tej młodej damy — dodałem. — Rozumiemy się?

Wydukał jakieś żałosne przeprosiny i spłynął. Poczęstowałem kobietę kolejnym uśmiechem Gary'ego Coopera. Patrzyła teraz na mnie z najszczerzą adoracją. To dziwne, ale czasem życie podsuwa nam chwile, w których potrafimy natychmiast wszystko zmienić. Kto wie, jak by się skończyło to spotkanie w innych okolicznościach? Na szczęście miała z grubsza metr dwadzieścia wzrostu i była prawie okrągła, więc po prostu uściśnąłem jej dłoń i życzyłem dobrego dnia.

\*

Miejscowość Virginia Water zawsze była siedliskiem wielkich pieniędzy. Gigantyczne domy stały przy prywatnych drogach wijących się wokół ekskluzywnego pola golfowego Wentworth. Ale na obrzeżach miasteczka są enklawy skromniejszych domów. W jednym z nich, przedwojennym bliźniaku z cegły, moja żona i ja spędziliśmy pół tuzina szczęśliwych lat, kiedy moja żona i dzieci były małe, a ja pracowałem w redakcji „The Times”. Nasz przysiółek nazywał się Trumps Green i teraz z wielkim zadowoleniem zobaczyłem, że prawie się nie zmienił, poza tym że na naszej drodze stało znacznie więcej samochodów niż wtedy. Za rogiem mieliśmy rząd sklepów, które z grubsza zaspokajały wszystkie nasze codzienne potrzeby — masarnię, pocztę, kiosk z gazetami, spożywcza i znakomicie zaopatrzonej sklep przemysłowy, któremu przewodniczył niejaki pan Morley, bardzo życzliwy mężczyzna.

Uwielbiałem sklep pana Morleya. Nigdy się na nim nie zawiodłem. Niezależnie od tego, co się znalazło na mojej liście sprawunków — olej lniany, dwucalowe gwoździe, szufelka do węgla, mała puszka zmywacza rdzy i śniedzi — pan Morley zawsze to miał. Jestem pewien, że gdybym powiedział do niego: „Potrzebuję stu dwudziestu pięciu metrów drutu kolczastego, kotwicę i strój dominy rozmiar osiem”, znalazłby to wszystko po kilku minutach grzebania wśród karmy dla ptaków i worków mączki kostnej.

Pan Morley zawsze był pogodny i optymistyczny. Interes zawsze szedł „nieźle, mogłoby być gorzej”. Pan Morley wydawał mi się ostatnim bastionem



zanikającego świata. Potraficie więc sobie wyobrazić, jak bardzo się ucieszyłem na widok szyldu „Morley Hardware” i witryn nadal zagraconych narzędziami i innymi użytecznymi towarami. Kiedy cywilizacja w końcu upadnie, kiedy zmarli powstaną, a Morze Północne zaleje brytyjskie brzegi, pan Morley nadal będzie sprzedawał kulki na mole, packi na muchy, nasiona i galwanizowane taczki. Kiedy Wielka Brytania utonie w odmętach, pan Morley, stojący na najwyższej ze swoich licznych drabin, pogrąży się jako ostatni.

Wszedłem do środka zachwycony, że się z nim zobaczę. Pan Morley zawsze mnie pamięta. Sądzę, że pamięta wszystkich swoich starych klientów. Ku mojemu zaskoczeniu za ladą stał inny mężczyzna. Nigdy się nie zdarzyło, żebym zobaczył tam kogoś innego niż pan Morley. Przysięgam, że gdybyście weszli do tego sklepu o północy, pan Morley stałby w ciemnościach za ladą i czekał na porę otwarcia.

— Pan Morley jest na wakacjach? — zapytałem.

— Pan Morley odszedł — odparł mężczyzna cichym, poważnym tonem.

— Odszedł?

— Niestety nie żyje. Ciężki zawał. Jakies cztery lata temu.

Na chwilę zaniemówiłem.

— Biedny człowiek — wydusiłem w końcu, tak naprawdę mając na myśli siebie samego. Pan Morley i ja byliśmy mniej więcej w tym samym wieku. — Jaka szkoda.

— Tak.

— Co za straszna historia. Biedny człowiek.

— Tak.

Nie wiedziałem, co jeszcze mogę powiedzieć. Przyszło mi do głowy, że absolutnie nic nie wiem o panu Morleyu — czy miał rodzinę, gdzie mieszkał i tak dalej. Ale skąd miałbym się tego dowiedzieć? „Dzień dobry, panie Morley, czy mogę prosić paczkę kulek na mole i czy jest pan w szczęśliwym stałym związku, heteroseksualnym bądź innym?” Nie dysponowałem żadnymi informacjami o jego istnieniu poza sklepem. Podziękowałem i wyszedłem w ponurym nastroju.

Pomaszerowałem do samego miasteczka, pod dawny szpital dla obłąkanych, dzisiaj eleganckie ogrodzone osiedle o nazwie Virginia Park. W 1980 roku szpital zamknięto, a budynek zaadaptowano na mieszkania. Jak można przeczytać w wydanej na błyszczącym papierze broszurze, za osiemset dziewięćdziesiąt pięć tysięcy funtów można kupić „Wspaniały apartament w tej odrestaurowanej rezydencji wpisanej na listę zabytków”. Żebyśmy mieli jasność: to nie jest żadna odrestaurowana rezydencja. W tym budynku mieszkali kiedyś obłąkani ludzie, w tym pochodzący z najlepszych brytyjskich rodów. Niewykluczone, że w miejscu, w którym kładziesz dzisiaj głowę na dobranoc, lady Boynton trzy razy dziennie robiła pod siebie.

W swoim czasie był to jednak wspaniały przybytek. Jeśli ktoś postradał zmysły, nie mógł trafić w piękniejsze miejsce. Z dwóch wybitnych projektów Williama Henry’ego Crosslanda dla Thomasa Hollowaya szpital dla obłąkanych moim zdaniem jest znacznie bardziej udany. Przednia elewacja, również bardzo długa, jest rozczłonkowana wysoką wieżą na środku i ścianami szczytowymi, co czyni ją ciekawszą i mniej przytłaczającą. Pewnego czerwcowego wieczoru, kiedy byłem tam jeszcze nowy, wyglądałem przez okno na wysokim piętrze budynku i myślałem sobie, że nigdy w życiu nie miałem przed oczyma tak pięknego widoku. Mecz krykieta między personelem Holloway i personelem jakiegoś innego szpitala niespiesznie zbliżał się do rozstrzygnięcia. Na trawniku kładły się długie cienie końcówki dnia. Ogrodnicze pułki — niesubordynowana armia pacjentów, którym nie zważając na śmiertelne zagrożenie, powierzono kosy, motyki i sekatory — w niezbornym szyku wracały z ogródka warzywnego. W tym momencie Wielka Brytania naprawdę wydawała się idealnym krajem.

Niestety wszystko to dawno przepadło. Kiedy szpital dla obłąkanych zamknął podwoje, pacjentów przeniesiono na nowy oddział szpitala ogólnego w Chertsey. Początkowo pozwolono im się poruszać po całym budynku, podobnie jak w Virginia Water, ale trzeba było położyć temu kres, ponieważ wyrwani ze znajomego otoczenia pacjenci chodzili tam, gdzie nie powinni, i zaczepiali ludzi w poczekalniach, kazali się poczęstować papierosem, nazywali ich kostropatami

kurwami i robili szereg innych rzeczy, które nie dadzą się pogodzić z profesjonalnym zarządzaniem nowoczesnym szpitalem ogólnym. No i trzeba ich było zamknąć na oddziale, skutkiem czego większość z nich błyskawicznie zapadła w permanentny stupor, z którego nikt nie miał czasu ich wydobywać.

Ale póki się nie skończyło, naprawdę było wspaniale. Z obecnej perspektywy naprawdę uważam, że mniej więcej w okresie mojego przybycia na wyspę Wielka Brytania osiągnęła swego rodzaju doskonałość. Dziwna rzecz, ponieważ kraj był wtedy w fatalnym stanie. Funkcjonował od kryzysu do kryzysu. Nazywano go chorym człowiekiem Europy. Był pod każdym względem biedniejszy niż dzisiaj. Z drugiej strony mieliśmy klomby kwiatowe na rondach, biblioteki i urzędy pocztowe w każdej wsi, mnogość wiejskich szpitali czy mieszkania komunalne dla wszystkich, którzy ich potrzebowali. Wielka Brytania była krajem tak komfortowym i oświeconym, że szpitale utrzymywały boiska do krykieta dla personelu, a pacjenci psychiatryczni mieszkali w wiktoriańskich pałacach. Skoro wtedy było nas na to stać, to dlaczego nie stać nas teraz? Ktoś musi mi wytłumaczyć, dlaczego im Wielka Brytania staje się bogatsza, za tym biedniejszą się uważa.

Wszyscy wieloletni pacjenci Holloway byli mocno obłąkani — inaczej by ich tam nie trzymano przez wiele lat — ale generalnie doprowadzeni do takiego stanu, że pozwalano im codziennie chodzić do miasteczka po słodycze albo gazetę czy też na herbatę do Tudor Rose. Osobom z zewnątrz to się musiało wydawać niezwykle — normalni mieszkańcy załatwiają swoje codzienne sprawy, a pośród nich solidna dawka wyraźnie zwichrowanych ludzi, którzy prowadzą ożywioną rozmowę sami ze sobą albo stoją za piekarnią z nosem przyciśniętym do ściany. Trudno sobie wyobrazić bardziej cywilizowaną społeczność od takiej, w której pod koniec letniego dnia personel szpitala gra w krykieta, a wariaci mogą chodzić po miasteczku, nie wywołując komentarzy ani nie budząc zaniepokojenia. To było cudowne, być może doskonałe. Naprawdę.

Do takiej Wielkiej Brytanii przyjechałem. Chciałbym, żeby znowu taka była.

## Rozdział 7

# Do lasu

### I

Parę razy w roku urządzamy pieszą wyprawę z moimi starymi przyjaciółmi Danielem Wilesem i Andrew Ormem, a czasami, na przykład w tym roku, dołącza do nas inny znajomy z Kalifornii, John Flinn. Zaliczyliśmy Offa's Dyke i Ridgeway, przemierzyliśmy Peak District i Yorkshire Dales, przeszliśmy wzdłuż biegu Tamizy od źródła do ujścia (a dokładnie do Woolwich), wspięliśmy się na najwyższe góry Dorset, sprostaliśmy wielu innym wyzwaniom i przeżyliśmy mnóstwo przygód. Pewnego razu przegonił nas ze ścieżki nad Tamizą rozjuszony łabędź — uwierzcie mi, wy też byście uciekli — ale generalnie daliśmy świadectwo wytrzymałości, hartu ducha i odwagi w obliczu bydła, ze śladowymi ilościami marudzenia.

W tym roku z rozmaitych powodów mogliśmy się razem wyrwać tylko na trzy dni, postanowiliśmy zatem, że spotkamy się w hotelu w Lyndhurst w samym środku New Forest, co niezmiernie mnie ucieszyło. Przez dwa lata mieszkałem na skraju New Forest koło Christchurch, kiedy pracowałem w Bournemouth, i niejedną sobotę spędziłem na radosnych włóczęgach. Okolica jest przepiękna. Jeżeli ktoś pochodzi z innego kraju, to prawdopodobnie trzeba mu wyjaśnić, że New Forest w rzeczywistości nie jest nowy, a nawet nie do końca zasługuje na miano lasu. Nie jest nowy od czasu podboju normandzkiego i chociaż znaczną część terenu porastają drzewa, to pozostałe obszary należałoby raczej nazwać wrzosowiskiem. Słowo *forest* pierwotnie oznaczało każdy teren zarezerwowany na polowania, mógł być zalesiony, ale nie musiał. Prawie wszystkie niegdyś wielkie

lasy Wielkiej Brytanii — Sherwood Forest, Charnwood, Las Ardeński Szekspira — zniknęły albo zajmują dzisiaj znacznie mniejszą powierzchnię. Tylko New Forest zachował trochę swoich dawnych rozmiarów.

Przez znaczną część swojej historii New Forest słynął z dzikich kuców, które pasą się, gdzie chcą, i malowniczo truchtają przez wsie. Dzisiaj słynie również z natężenia ruchu w Lyndhurst, nieoficjalnej stolicy lasu. Ludzie ściągają z całej Wielkiej Brytanii, żeby doświadczyć słynnych korków w tej miejscowości, aczkolwiek dla większości jest to przeżycie nieplanowane. W całym Zjednoczonym Królestwie nie ma chyba innego miasta, które przez tyle lat byłoby zakorkowane, a jego władze nie potrafiłyby w tej sprawie wymyślić niczego rozsądnego. W typowy letni dzień przez skrzyżowanie głównej ulicy z jednostronną boczną ulicą, z sygnalizacją świetlną, przejeżdża około czternastu tysięcy pojazdów.

Niestety ze wszystkich ludzi na świecie, których władze mogły wybrać do rozwiązania problemu, zdecydowano się na inżynierów autostradowych. Z mojego doświadczenia wynika, że jeżeli masz do rozwiązania jakiś problem, zwłaszcza związany z drogami, inżynierowie autostradowi są ostatnimi ludźmi na świecie, do których powinieś się zwrócić. Inżynierowie autostradowi działają zgodnie z zasadą, że żadnego problemu z ruchem drogowym nie da się do końca rozwiązać, ale można go rozproszyć na znacznie większym terenie. W Lyndhurst jakiś czas temu wprowadzili zdumiewająco okrężny system jednokierunkowy, który sprawia wrażenie opartego na następującym kryterium: przyjezdny powinien podczas jednej wizyty odwiedzić możliwie najwięcej dzielnic mieszkalnych, w których dawniej panowała cisza i spokój. System został tak zaprojektowany, że jeżeli ktoś znajdzie się na niewłaściwym pasie, a za pierwszym razem prawie nie da się tego uniknąć, całą rundę będzie musiał wykonać jeszcze dwa razy — pierwszy raz w celu odkrycia, w którym miejscu należy zacząć wykonywać manewr, żeby się znaleźć na odpowiednim pasie. Przyszło mi do głowy, że z tymi czternastoma tysiącami pojazdów to prawdopodobnie ściema — parę tysięcy samochodów wiele razy pokonuje tę samą trasę.

Ludzie znający okolicę mieli zwyczaj skręcać w boczne drogi przed dojazdem

do Lyndhurst, całkowicie omijając miasto, dzięki czemu szybciej docierali do celu. W miejscowości Pikes Hill skręciłem w boczną drogę w stronę Emery Down, ale natychmiast się zorientowałem, że inżynierowie autostradowi, te cwaniaki, zwężili boczne drogi do jednego pasa z okazjonalnymi mijankami, żeby zniechęcić kierowców do jazdy na orientację, skutkiem czego korki na bocznych drogach zrobiły się nie mniejsze niż w samym Lyndhurst. Nie żartuję, kiedy mówię, że tak działają te półgłówki — dążą do tego, żeby wszędzie było tak źle, jak w miejscu, w którym powstał problem. Pokonanie ostatnich dwóch kilometrów, które mnie dzieliły od hotelu na głównej ulicy, zajęło mi godzinę i piętnaście minut.

Moi towarzysze wyprawy nie uniknęli podobnych niedogodności. Spotkaliśmy się dopiero przed pierwszą i byliśmy głodni jak wilki, toteż najpierw trzeba było znaleźć jakieś miejsce na obiad. Na skraju Lyndhurst znajduje się znany piękny zakątek zwany Swan Green, czyli łąka, przy której stoi grupka krytych strzechami chat. Widok ten trafił na niejedną puszkę z toffi. Naprzeciwko chat znajduje się Swan Inn, do której się teraz udaliśmy, szczęśliwi, że jesteśmy razem, i zadowoleni, że będziemy mogli zaspokoić głód po długiej jeździe samochodami. Uważnie przestudiowaliśmy kartę dań, a następnie podeszliśmy do baru złożyć zamówienie.

— W tej chwili nie przyjmujemy zamówień — powiedział nam młody barman.

— W kuchni mają urwanie głowy — dodał tytułem wyjaśnienia.

Rozejrzeliśmy się wokół siebie. Nie zauważyliśmy zbyt dużego tłoku.

— Ile to potrwa? — dociekaliśmy.

Powiódł wzrokiem po pustawej sali.

— Trudno powiedzieć. Jakies trzy kwadransy.

Sytuacja była dla nas o tyle trudniejsza do zrozumienia, że Swan Inn należy do tych pubów, które chcą być traktowane jak restauracje — wszędzie tablice z ofertami dnia, jadłospisy i sztuczce na stołach.

— Chciałbym się upewnić, czy wszystko dobrze zrozumiałem — powiedziałem.

— W niedzielę po południu, w szczycie sezonu turystycznego, zjawia się tutaj trochę ludzi, którzy chcą zjeść obiad, a was to zaskakuje?

— Mamy mało personelu, bo jest niedziela.

— Czy w niedzielę ruch nie jest największy?

Pokiwał empatycznie głową.

— No pewnie.

— A mimo to wszyscy biorą sobie wolne?

— Bo jest niedziela — powtórzył, jakby sądził, że za pierwszym razem to do mnie nie dotarło.

Andrew ciągnął mnie już delikatnie za łokieć. Zapewne podpatrzył kiedyś moją żonę. Wróciliśmy na piechotę do Lyndhurst i znaleźliśmy lokal, który był w stanie podać nam obiad bez wywoływania paniki w kuchni, a potem, zregenerowani, urządziliśmy sobie zdrową przechadzkę po ciemnym lesie i rozświetlonym wrzosowisku.

Chodzenie sprawia mi wielką radochę. Wszystkie troski życiowe, wszyscy beznadziejni, niepozbitani kretyni, których Bóg postawił na poboczu Autostrady Życia Billa Brysona, nagle wydają się dalecy i nieszkodliwi, a świat jawi się jako spokojny, życzliwy i dobry. Towarzystwo dobrych przyjaciół stokrotnie pomnaża przyjemność z marszu. W Lyndhurst kłębiło się od ludzi, zwłaszcza wokół uroczego zakątka na skraju miasta o nazwie Bolton's Bench, gdzie jest sławny cis, ale także, co istotniejsze, parking. Czytałem kiedyś, że największa odległość, jaką przeciętny Amerykanin jest gotów pokonać bez wsiadania do samochodu, wynosi sto osiemdziesiąt metrów, i mam obawy, że współcześni Brytyjczycy podążają w tym samym kierunku, z tym że w drodze powrotnej do auta Brytyjczycy porzucą trochę śmieci i zrobi sobie tatuaż.

Ale kiedy wydostaliśmy się z tego tłumu, mieliśmy las w większości dla siebie, co było nie lada gratką. Lepszej pogody na spacer nie mogliśmy sobie wymarzyć. Słońce świeciło i było ciepło, ale nie gorąco. Widzieliśmy dużo pasących się dzikich kuców. Polne kwiaty wypełniały rozświetlone polany i pochylały głowy w stronę ścieżki. Andrew, nasz ekspert od przyrody, recytował ich nazwy. Odleżyny starszej pani, żółta febrylla, majtki-łachotki, kichnień, szpara staruszka.

Nie miałem przy sobie notesu, więc w niektórych nazwach mogłem się pomylić, ale z grubsza tak to brzmiało.

Teraz pozwolę sobie przedstawić moich towarzyszy:

Daniel Wiles jest emerytowanym reżyserem filmów dokumentalnych. Poznałem go dwadzieścia lat temu, kiedy robiliśmy razem *South Bank Show* i od tej pory się przyjaźnimy. Lubi popołudniowe lody i drzemki.

Andrew Orme to stary znajomy Daniela — bardzo stary znajomy, bo poznali się w szkole z internatem, kiedy byli małymi, bladymi, chudymi, przerażonymi chłopcami. Dużo rozmawiają o tamtych czasach. Andrew jest z nas zdecydowanie najmądrzejszy — studiował w Oksfordzie, jak zawsze z dumą oznajmiamy właścicielkom pensjonatów — więc pozwalamy mu nosić mapę i podejmować wszystkie strategiczne decyzje.

John Flinn przez wiele lat był redaktorem działu podróży „San Francisco Chronicle”, ale teraz jest na emeryturze. Dalej dużo pisze o podróżach i od czasu do czasu zahacza o Anglię, dzięki czemu może do nas w miarę regularnie dołączać. Kocha bejsbol i podziela mój niegasnący podziw dla modelki Cheryl Tiegs, która w naszej pamięci zawsze będzie wyglądała tak, jak przed czterdziestu laty.

Pomiędzy naszymi paroma wyprawami rocznie zasadniczo się nie widzimy, więc zawsze mamy dużo do nadrobienia. Daniel i Andrew rozmawiali o swoich doświadczeniach z prywatnej szkoły — domyślam się, że głównie o chłocie i puddingu na parze. Potrafią o tym nawijać przez wiele godzin. John i ja rozmawialiśmy o bejsbolu i amerykańskiej polityce. John pochodzi z Kalifornii, dzięki czemu zawsze sypie świetnymi opowieściami o ludziach robiących dziwne rzeczy. Tym razem opowiedział mi o człowieku, który w parku niedaleko domu Johna o mało nie został zabity paralizatorem przez strażniczkę parkową, ponieważ nie trzymał psa na smyczy.

— Potraktowano go paralizatorem, bo nie trzymał psa na smyczy? — zapytałem. Na kalifornijskie opowieści zawsze trzeba się trochę przestawić mentalnie.

— To znaczy strażniczka nie chciała go zabić, tylko uniemożliwić mu oddalenie



się. Użyła paralizatora, a on miał atak serca i prawie umarł.

— Czy funkcjonariusze często używają paralizatorów w parkach publicznych?

— Jest kampania, żeby ludzie trzymali psy na smyczy. Władze chcą się rozprawić z nieodpowiedzialnymi właścicielami psów.

— Zbrojnie?

— Na ogół nie używają paralizatorów. Strażniczka go poprosiła, żeby zaczekał, dopóki ona nie sprawdzi jego tożsamości...

— Strażnicy parkowi mogą legitymować ludzi?

— Na to wychodzi. Z jakiegoś powodu chwilę to trwało, facetowi w końcu znudziło się czekanie i powiedział do niej: „Niech mi pani da mandat albo mnie puści”. Strażniczka nie chciała jednak zrobić ani jednego, ani drugiego, więc po kilku kolejnych minutach powiedział: „Mam inne rzeczy do roboty, niż stracić tutaj czas, a poza tym nie sądzę, żeby pani miała uprawnienia do zatrzymania mnie, bo jest pani tylko strażniczką parkową, więc idę sobie”. Potem się odwrócił i zaczął odchodzić.

— A ona go trach paralizatorem?

— Prosto między łopatki, jak sądzę.

Podumaliśmy o tym przez chwilę, a potem porozmawialiśmy o Cheryl Tiegs.

Późno wyruszyliśmy, więc nie zaszliśmy zbyt daleko — trochę ponad pięć kilometrów do miejscowości Balmer Lawn koło Brockenhurst. W słońcu późnego popołudnia wyglądała prześlicznie. Przez chwilę staliśmy i podziwialiśmy widok, a potem zawróciliśmy do Lyndhurst. Uznaliśmy, że na początek dobre i to.

Po powrocie do hotelu wziąłem prysznic, a potem usiadłem na skraju łóżka i oglądałem telewizję, czekając, aż przyjdzie pora, żeby się czegoś napić, i zastanawiając się, ile tysięcy dni minęło, odkąd BBC One pokazało program, który chciałby oglądać ktoś niebędący w trakcie leczenia farmakologicznego. Przeskakiwałem z kanału na kanał i w końcu za najlepszą opcję uznałem Michaela Portillo, który ze starym przewodnikiem w garści jechał pociągiem w północnej Anglii odziany w różową koszulę i żółte spodnie. Od czasu do czasu wysiadał

i spędzał około czterdziestu sekund z miejscowym historykiem, który mu tłumaczył, dlaczego nie ma tam już czegoś, co kiedyś było.

„Czyli tutaj stała kiedyś największa fabryka protez w Lancashire?” — mówił Michael.

„Tak. W okresie największej świetności zakładu pracowało tutaj czternaście tysięcy dziewcząt”.

„O kurczę. A teraz jest tutaj hipermarket Asda?”

„Tak”.

„O kurczę. I to ma być postęp? Dobra, ruszam do Oldham, żeby zobaczyć miejsce, w którym robili kiedyś chodaki dla owiec. Czołem”.

Naprawdę nie było niczego lepszego.

Poruszyłem ten temat przy kolacji.

— Lubię Michaela Portillo — powiedział Daniel, ale Daniel wszystkich lubi.

Wyjaśnił nam, że programy na niektórych kanałach satelitarnych są przeznaczone bardziej dla pracowników studia niż dla widzów w domach.

Wspomniałem o moim spostrzeżeniu, że świat zdaje się wypełniać imbecylami. Wyjaśnili mi, że jest to przypadłość związana z wiekiem. Im jesteś starszy, tym bardziej ci się wydaje, że świat należy do innych. Wyszło na jaw, że u Daniela dolegliwość ta objawia się znacznie ostrzej niż u mnie. Sporządził całą listę postulatów, które miały skierować świat z powrotem na właściwe tory. Nie pamiętam ich dokładnie, ale jestem w miarę pewien, że obejmowały wyjście z Unii Europejskiej, powrót do parytetu złota, przywrócenie kary śmierci, imperium brytyjskiego i rozwożenia mleka do domów tudzież zakaz imigracji.

Zwróciłem mu uwagę, że jestem imigrantem. Pokiwał posępnie głową.

— Ty możesz zostać — zgodził się w końcu łaskawie. — Ale musisz pamiętać, że twój pobyt zawsze będzie warunkowy.

Zapewniłem go, że nigdy nie rościłem sobie prawa do innego statusu.

Przez resztę wieczoru generalnie piliśmy za dużo i opisywaliśmy sobie nawzajem swoje dolegliwości, ale ponieważ moje dolegliwości wiążą się przede wszystkim z pamięcią, nie przypominam sobie szczegółów.

## II

Wiele lat temu mieszkałem po sąsiedzku z Ringo Starrem i mniej więcej przez pół roku o tym nie wiedziałem. Było to w relatywnie krótkim okresie mojego życia, kiedy wraz z żoną mieszkaliśmy w rzędzie starych chat dla robotników rolnych w Sunningdale (Berkshire) — „po sąsiedzku” oznacza tutaj, że nasze tylne ogrodzenie graniczyło z majątkiem Ringo Starra. Sam dom Beatlesa stał kilkaset metrów dalej na trawiastym zboczu ukryty za drzewami, ale mieliśmy chyba pełne prawo nazywać się sąsiadami muzyka. O tym, że właścicielem majątku jest Ringo Starr, dowiedziałem się od Dougie, która mieszkała w domu obok, była więc naszą sąsiadką w bardziej tradycyjnym sensie tego słowa.

— Dziwię się, że go nie spotkaliście — powiedziała Dougie. — Często bywa w Nag’s Head. Miły gość.

Wszedłem do domu i powiedziałem do żony:

— Zgadnij, kto mieszka w tym wielkim domu na wzgórzu.

— Ringo Starr — odparła.

— Wiedziałaś?

— Oczywiście. Ciągle go tutaj widzimy. Stałam kiedyś za nim w kolejce w sklepie żelaznym. Kupował młotek. Miły człowiek. Powiedział mi cześć.

— Ringo Starr powiedział do ciebie cześć? Beatles powiedział do ciebie cześć?

— Nie jest już Beatlesem.

Oczywiście to zignorowałem.

— Beatles Ringo Starr kupił młotek w naszym sklepie żelaznym, powiedział do ciebie cześć, a ty mi nic nie mówisz?

— To był tylko młotek.

Na tym polega problem z Brytyjczykami. Wszyscy mają w zanadrzu takie historie. Powiem więcej, wszyscy mają w zanadrzu jeszcze lepsze historie. Nie pamiętam, skąd się pojawił temat Beatlesów, ale następnego dnia, kiedy szliśmy przez gęsty las drogą do zwózki drewna, wspomniałem o mojej historii z Ringo Starrem. Moi towarzysze pokiwali głowami z uznaniem. Daniel pozwolił moim

słowom wybrzmieć, ponieważ jest uprzejmym człowiekiem, a potem powiedział:

— Kiedy byłem na studiach, spędziłem popołudnie z Johnem Lennonem.

Od razu się zorientowałem, że przebija mnie o tysiąc procent.

— Naprawdę? — spytałem. — Jakim cudem?

— Zrobiłem z nim rozmowę. Funkcjonuje dzisiaj jako „zaginiony wywiad”.

Dobra, niech będzie dziesięć tysięcy procent.

— Przeprowadziłeś „zaginiony wywiad” z Johnem Lennonem?

— Na to wychodzi.

— Jakim cudem?

— To było w 1967 roku. Beatlesi właśnie nagrali *Sierżanta Pieprza*. Studiowałem na Uniwersytecie Keele. Inny student, Maurice Hindle, i ja napisaliśmy do Johna Lennona z prośbą o udzielenie wywiadu do gazetki studenckiej i nie sądziliśmy, że w ogóle nam odpowie, a co dopiero udzieli wywiadu, a on nam odpisał: „Jasne, przyjedźcie do mojego domu w Weybridge”. No to wsiedliśmy w pociąg do Weybridge, a on przyjechał po nas na stację.

— John Lennon przyjechał po was na stację w Weybridge?

— Morrisem mini. Wszystko to było trochę surrealistyczne. Spędziliśmy popołudnie w jego domu na St. George Hill. Był bardzo miły i zupełnie normalny. Miał niewiele więcej lat niż my i podejrzewam, że trochę tęsknił za normalną rozmową. W domu miał sajgon. Niedawno rozstał się z Cynthią, nie mył naczyń i w ogóle. W pewnym momencie postanowiliśmy, że napijemy się herbaty, ale nie było żadnych czystych kubków, więc musieliśmy sobie umyć. Pamiętam, że pomyślałem: „Wow, stoję przy kuchennym zlewie i myję kubki z Johnem Lennonem”. Moim zadaniem było zajmować się nagrywaniem, a Maurice robił zdjęcia. Kiedy wróciliśmy do Keele, Maurice postanowił sam wywołać film, żeby zaoszczędzić pieniądze, i wszystko prześwietlił. Czyli po jednym z najwspanialszych dni mojego życia nic nie zostało. Cały czas sobie myślałem, że będę musiał zabić Maurice’a. — Wszyscy zasygnalizowaliśmy, że go rozumiemy. — John Lennon nigdy później nie zrobił czegoś takiego — ciągnął Daniel. — Rozmowę nazwano zaginionym wywiadem, chociaż wcale nie zaginęła, bo

zachowałem taśmy. Czterdzieści lat później sprzedaliśmy je w Londynie na licytacji za dwadzieścia siedem tysięcy funtów. Kupiła je Hard Rock Cafe.

— Wow — powiedzieliśmy wszyscy.

Uznałem, że nie będę próbował zaimponować kolegom moją historią o Lesliem Charterisie.

— Ale twoja historia o Ringo Starze jest urocza — powiedział wielkodusznie Daniel.

John przypomniał sobie moment, kiedy jako czternastoletni chłopiec mieszkający na Manhattanie zobaczył, jak Cheryl Tiegs wychodzi z kamienicy i śledził ją przez kilka przecznic, dopóki nie zniknęła w innym budynku. Cheryl Tiegs nic nie znaczyła dla Daniela i Andrew, więc zaczęli rozmawiać o chłości i lodowatych porannych prysznicach, ale ja oczywiście byłem cały rozemocjonowany i kazałem Johnowi kilka razy powtórzyć fragment o tym, jak to wielokrotnie wyprzedzał ją truchtem o jakieś dwadzieścia albo trzydzieści metrów, a potem odwracał się i szedł do tyłu, żeby móc zobaczyć jej twarz. Zrobił to jakieś jedenaście razy na odcinku paruset metrów, ale jest przekonany, że nic nie zauważyła, ponieważ zachowywał się z wystudiowaną nonszalancją. Byłem zachwycony tą historią.

Tak minął radosny poranek spacerowania po lesie.

Tego dnia naszym celem było Minstead, wieś na polanie w północnej części lasu. Andrew przeczytał, że trasa jest przyjemna — co się potwierdziło — oraz że we wsi jest śliczny kościół, a na dodatek znajduje się tam grób Arthura Conan Doyle'a, twórcy Sherlocka Holmesa.

Do New Forest sprowadził Doyle'a spirytualizm, który sto lat temu było zaskakująco modne. Do jego zagorzałych wyznawców zaliczał się nie tylko Arthur Conan Doyle, ale również przyszły premier Arthur Balfour, przyrodnik Alfred Russel Wallace, filozof William James i znany chemik sir William Crookes. Około 1910 roku w Wielkiej Brytanii mieszkało tylu zapalonych spirytualistów, że na serio rozważali założenie partii politycznej. Nikt jednak nie mógł przebić

Doyle'a pod względem spirytualistycznego zapachu. Doyle napisał na ten temat około dwudziestu książek, został przewodniczącym Międzynarodowego Kongresu Spirytualistów i otworzył poświęcone tej tematyce muzeum z księgarnią niedaleko opactwa westminsterskiego w Londynie. (Podczas drugiej wojny światowej budynek zniszczyła bomba. Czemu Doyle tego nie przewidział?).

Problem polegał na tym, że nawet według elastycznych i wyrozumiałych kryteriów spirytualizmu i parapsychiki poglądy Doyle'a były coraz bardziej zwichrowane. Nabral przekonania, że rusałki i inne leśne stwory istnieją naprawdę, i napisał książkę *Nadejście rusałek*, w której udowydniał ich istnienie. Podczas seansów spirytystycznych zaprzyjaźnił się z mieszkańcem starożytnej Mezopotamii Pheneasem, który udzielał mu porad życiowych i ostrzegał go przed nadchodzącym kataklizmem. W książce *Pheneas przemawia* Doyle ujawnił, że w 1927 roku świat dotkną powódzie i trzęsienia ziemi, skutkiem czego jeden z kontynentów zatonie. Kiedy prorocтва te się nie spełniły, Doyle przyznał, że Pheneas pomylił rok (najwyraźniej posługiwał się kalendarzem mezopotamskim), ale przedstawiony przez niego scenariusz na pewno się ziści.

Za radą Pheneasa Doyle kupił dom koło Minstead i w ciągu dnia czatował z aparatem fotograficznym na rusałki (nigdy się nie pojawiły), a wieczorami urządzał seanse, podczas których komunikował się z najwybitniejszymi brytyjskimi zmarłymi. Charles Dickens i Joseph Conrad poprosili go o dokończenie ich powieści, a niedawno zmarły Jerome K. Jerome, który za życia szydził z Doyle'a, teraz przekazał przez pośrednika następującą wiadomość: „Powiedz Arthurowi, że się myliłem”. Doyle uznał to wszystko za jednoznaczną rehabilitację jego przekonań. Najdziwniejsze jest to, że do końca życia pisał słynne opowiadania o Sherlocku Holmesie, który rygorystycznie posługuje się zasadami racjonalnego myślenia i ani razu nie próbuje rozwiązać sprawy za pomocą metod spirytualistycznych, chociaż pokusa musiała być wielka.

W 1930 roku Doyle zmarł (to znaczy spirytualiści nie umierają, tylko dyskretnie usuwają się w cień) i został pochowany w ogrodzie jego głównego domu w Crowborough (Sussex). Kiedy przyszła pora na jego żonę, dorzucono ją obok

niego, ale w 1955 roku dom został sprzedany, a nowym właścicielom nie uśmiechała się perspektywa klekoczących w ogrodzie szkieletów, więc Arthura i jego żonę wykopano i ponownie pochowano na cmentarzu przy kościele Wszystkich Świętych w Minstead — posunięcie trochę kontrowersyjne, ponieważ spirytualiści, którzy uparcie nie chcą umierać, tak naprawdę nie są chrześcijanami. Trzeba jednak uczciwie przyznać, że państwo Doyle przebywają na cmentarzu w Minstead już ponad pół stulecia i nie przysparzają żadnych kłopotów.

Kościół Wszystkich Świętych jest bardzo ładny, z piękną wielopoziomową kazalnicą i nietypowym bocznym pomieszczeniem o nazwie „ławka-salonka”, które jest w gruncie rzeczy małym salonem z meblami i kominkiem, z którego właściciele pobliskiego zamku Malwood mogli słuchać mszy w komfortowych warunkach. Zwiedziliśmy świątynię gruntownie i z uznaniem, a następnie udaliśmy się na obiad do pobliskiego pubu Trusty Servant. Ten stary lokal zmodernizowano w sztucznym stylu, który mnie trochę drażni, tak samo jak kiedy w hotelowym barze stawiają kilka książek i nazywają go biblioteką. Ceny były astronomiczne. Burger z kurczakiem, pesto i mozzarellą kosztował dwanaście funtów i siedemdziesiąt pięć pensów, a confit z kaczki, marynowanego rabarbaru i czerwonych porzeczek szesnaście funtów i dwadzieścia pięć pensów. Chętnie zapłaciłbym za to, żeby część tych rzeczy zabrano z mojego talerza. A jednak sala była pełna ludzi, którzy radośnie to wszystko pałaszowali. Zdrowo sobie pomarudziłem, a następnie wysupłałem osiem i pół funta na kanapkę z serem. Po obiedzie poszliśmy popatrzeć na Kamień Wilhelma Rudego, który stoi na polanie około czterech kilometrów od Minstead i wyznacza miejsce, w którym król Rufus — a bardziej oficjalnie król Wilhelm II, syn Wilhelma Zdobywcy — latem 1100 roku miał zły dzień. Rufus polował z kumplami, kiedy strzała wypuszczona przez niejakiego Waltera Tyrrella zatrzepotała w jego piersi i z grubsza od razu go zabiła. Rufusa zbytnio nie opłakiwano. Był niski i gruby, miał proste rude włosy i rumianą cerę. Rufus był bezbożny, rozwiązły i zniewieściał. Tyrrell utrzymywał, że śmierć króla była niefortunnym wypadkiem — strzała odbiła się rykoszetem od drzewa — ale mało kto dał się nabrać na tę wersję. Na wszelki wypadek Tyrrell uciekł do

Francji, podobno na koniu z podkowami tyłem do przodu dla zmylenia tropów.

Kamień Wilhelma Rudego to prosty czarny obelisk, który ma trochę ponad metr wysokości i wygrawerowane na trzech bokach napisy. Wcale nie ma pewności, że Rufus poległ właśnie w tym miejscu czy choćby w pobliżu. Według niektórych historyków zginął w Beaulieu kilkanaście kilometrów na południowy wschód. Wiem, że to było dawno, ale intryguje mnie, że angielskiego króla tak skromnie upamiętniono.

\*

Chodzenie ma to do siebie, że znacznie przyjemniej się to robi, niż o tym czyta, nie będę więc nadużywał waszej cierpliwości relacjami z trzeciego dnia; ograniczę się do stwierdzenia, że było bardzo miło i że mijaliśmy po drodze kolejny obiekt związany z historią literatury, a mianowicie zrujnowany majątek Cuffnells. Mieszkała tutaj kiedyś Alice Liddell, zapamiętana przez potomność jako bohaterka *Alicji w Krainie Czarów*. Wiedziałem, że jako dziecko w Oksfordzie Alice wzbudzała niezdrowe ciągoty w Charlesie L. Dodgsonie, jękającym się matematyku, i że pisał dla niej opowiadania, z których zrodziły się obie książki o Alicji. Nigdy się jednak nie zastanawiałem, jakie były jej dalsze losy. Odpowiedź brzmi, że wyrosła na prawdziwą piękność i wiodła dosyć nieszczęśliwy żywot w New Forest.

Wszystko mogło się jednak potoczyć inaczej. Kiedy Alicja była młodą kobietą, uganiał się za nią Leopold, diuk Albany, najmłodszy syn królowej Wiktorii. Młoda panna Liddell była nie tylko piękna, ale również inteligentna i jej wkład genetyczny z pewnością by nie zaszkodził rodzinie królewskiej. Królowa odrzuciła ją jednak jako człowieka z gminu, toteż Leopold zmuszony był pomnażać swój ród z kim innym, natomiast Alice trafiła na ślubny kobierzec z Reginaldem Hargreavesem, poczciwym nieudacznikiem.

Hargreaves wychowywał się w Cuffnells i odziedziczył majątek, okazałą rezydencję z rozległymi gruntami około kilometra od Lyndhurst. Był to kiedyś



jeden z najwspanialszych dworów w okolicy, z dwunastoma sypialniami, ogromnymi salonami i jadalniami i trzydziestometrową oranżerią. Reginald i Alice prowadzili spokojne, nudne i coraz mniej dostatnie życie. Wygląda na to, że Reginald nie miał zbyt wielkiego zmysłu do interesów, w związku z czym zmuszony był po kawałku wyprzedawać majątek, aż w końcu niewiele z niego zostało. Mieli trzech synów. Dwaj zginęli na frontach pierwszej wojny światowej, a trzeci wiódł żywot utracjusza w Londynie. W 1926 roku Reginald również zmarł nagłą śmiercią, zostawiając Alice samą i nieszczęśliwą w sypiącym się domu. Na starość zrobiła się z niej samotniczka i jędza, która źle traktowała służbę. W 1934 roku zmarła w wieku osiemdziesięciu dwóch lat. Trochę później rozpadający się pałac Cuffnells rozebrano. Dzisiaj miejsce to porasta las i nie sposób się domyślić, że stał tam kiedyś wielki dom.

Następnego dnia rozjechaliśmy się każdy w swoją stronę, ale istnieje postscriptum do naszej leśnej przygody. Hotel, w którym mieszkaliśmy w Lyndhurst, nazywał się Crown Manor House. Wszyscy uznaliśmy go za przyzwoity — nie jakoś szczególnie życzliwy, uroczy albo dobrze zarządzany, ale znośny — jednak niedługo po naszej wizycie Andrew rozesłał do nas wszystkich ciekawy artykuł z „Southern Daily Echo” w Southampton, dotyczący przywiązania obsługi hotelu do higieny. Można w nim przeczytać co następuje:

Sąd nakazał hotelowi w Hampshire zapłacić ponad 20 000 funtów grzywny i kosztów postępowania za przygotowywanie posiłków w pomieszczeniach opanowanych przez szczury. Crown Manor House w Lyndhurst, który dwa razy musiał zamknąć swoją kuchnię po inspekcji sanitarnej, przed Sądem Rejonowym w Southampton przyznał się do pięciu naruszeń przepisów BHP. Dwa naruszenia dotyczyły przygotowywania, przetwarzania i wydawania żywności w pomieszczeniach, w których „gnieździły się szczury”.

„Tak mi się właśnie wydawało, że pieprz jakoś dziwnie smakował”, zażartowałem radośnie, ale byłem poruszony, kiedy to przeczytałem — z dwóch powodów. Po pierwsze, jak łatwo sobie wyobrazić, lekko mnie zasmuciło, że przebywałem w tak obskurnym hotelu, lecz niewiele mniejsze zdumienie wzbudził we mnie fakt, że mogłem przeczytać o takiej sprawie w codziennej gazecie. W latach siedemdziesiątych przez dwa lata pracowałem w mutacji „Southern Daily Echo” w Bournemouth i z tego, co pamiętam, nie opublikowaliśmy w tym okresie ani jednego artykułu o niehigienicznych warunkach w jakimś hotelu czy restauracji. Jestem przekonany, że nie zabrakłoby nam kandydatów, ale takie rzeczy trzymało się w tajemnicy.

W tamtych czasach w Wielkiej Brytanii wszystko trzymało się w tajemnicy. Wszystko. Ludzie prowadzili tajemne życie. Chowali domy za wysokimi żywopłotami i wieszali w oknach firanki, żeby nikt nie mógł zaglądnąć do środka. W tajemnicy trzymano prawie wszystko, co robił rząd. Ustawa o tajemnicy państwowej przewidywała, że władza właściwie niczego nie musiała ujawniać. Z obecnej perspektywy wydaje się to absolutnie niezwykle. Tajemnicą państwową objęte były między innymi takie sprawy, jak stężenie chemicznych dodatków w żywności, liczba starszych ludzi zmarłych na skutek wychłodzenia organizmu, poziom dwutlenku węgla w dymie papierosowym, wskaźniki zachorowań na białaczkę w pobliżu elektrowni jądrowych czy niektóre statystyki wypadków drogowych, a nawet część propozycji poszerzenia dróg. Paragraf drugi ustawy był tak sformułowany, że wszystkie informacje na temat władzy były tajne, dopóki władza nie zdecydowała inaczej.

Czasami prowadziło to do absurdów. Podczas zimnej wojny Wielka Brytania budowała rakiety do przenoszenia głowic bojowych i oczywiście musiała je przetestować. Formalnie program był ściśle tajny i miał nawet szpanerski kryptonim Czarny Rycerz. Szkopuł w tym, że Wielka Brytania jest mała i nie dysponuje ogromnymi pustyniami, na których mogłaby robić tajne testy. Na Wyspach nie ma właściwie ani jednego miejsca, które można by nazwać tajnym. Z różnych powodów postanowiono, że najlepszym miejscem do przetestowania

rakiet będzie słynna atrakcja turystyczna na wyspie Wight zwana Needles. Słupy Needles są wyraźnie widoczne z brytyjskiego stałego lądu, toteż mieszkańcy tych obszarów Anglii mogli zobaczyć, a nawet usłyszeć wystrzelone rakiety. Znajomy mi powiedział, że w południowym Hampshire ludność całych miejscowości wychodziła na plażę, żeby popatrzeć na dym i płomienie. Innymi słowy, tysiące ludzi oglądały oficjalnie tajne testy, ale żadna gazeta nie mogła o nich napisać i żaden urzędnik nie mógł się na ich temat wypowiadać.

Jeszcze lepsza była historia z Wieżą Poczтовую w Londynie, przez półtora dekady najwyższym budynkiem w Europie, dominującym nad stołeczną panoramą, ale ponieważ wykorzystywano ją do komunikacji satelitarnej, jej istnienie oficjalnie utajniono. Na mapach Ordnance Survey pojawiła się dopiero w 1995 roku.

Byłem więc zachwycony, kiedy się dowiedziałem, że brytyjska Agencja Norm Żywnościowych upublicznia wszystkie raporty ze swoich inspekcji. Można sprawdzić każdą restaurację i dystrybutora żywności w kraju. Jak się przekonałem, rozrywka ta potrafi człowieka pochłonąć na wiele godzin. Sprawdziłem wszystkie restauracje, w których w życiu byłem, i okazało się, że dwa spośród moich ulubionych lokali nie przywiązują tak wielkiej wagi do higieny, jak bym sobie tego życzył — i właśnie z tego powodu w żadnej z nich już mnie nie widujecie. Zaskoczyło mnie, że wiele raportów nie poraża aktualnością, całkiem sporo datuje się na dwa albo trzy lata wstecz. Wynika to z faktu, że lokalnym inspektoratom żywnościowym obcięto fundusze. W tej dziwnej epoce, w której żyjemy, oszczędzanie pieniędzy podatników najwyraźniej jest ważniejsze od zagwarantowania tymże podatnikom, że restauracje ich nie otrują.

Kiedy przeczytałem o sprawie sądowej przeciwko Crown Manor House, tak mnie to poruszyło, że postanowiłem zrobić coś, czego nigdy wcześniej nie zrobiłem: otworzyłem konto na TripAdvisor i napisałem recenzję. A raczej nie recenzję, tylko ostrzeżenie dla klientów, że hotelowi wlepiono grzywnę za hodowanie w kuchni szczurów, zawierające link do wspomnianego artykułu. Uznałem, że gdybym rozważał rezerwację pokoju w hotelu, który został niedawno ukarany grzywną za hodowanie w kuchni szczurów, byłbym bardzo wdzięczny

człowiekowi, który zwróciłby moją uwagę na ten fakt. Kilka dni później TripAdvisor przysłał mi następującej treści e-mail: „Postanowiliśmy nie publikować Pańskiej recenzji, ponieważ nie spełnia naszych wytycznych... Akceptujemy recenzje zawierające doświadczenia z pierwszej ręki związane z pomieszczeniami albo obsługą danego lokalu. Ogólne uwagi, które nie zawierają szczegółów ważnego doświadczenia, nie zostaną opublikowane. Nie akceptujemy informacji z drugiej ręki ani pogłosek (niezweryfikowanych informacji, plotek albo cytatów z innych źródeł i przytoczonych opinii/doświadczeń innych osób)”.

Masz babo placek. Na portalu z rankingiem hoteli i restauracji nie ma miejsca na wyroki sądowe, raporty z oficjalnych inspekcji sanitarnych i inne informacje z drugiej ręki. Kiedy piszę te słowa, TripAdvisor wysoko ocenia hotel Crown Manor House pod względem jakości i czystości. Próżno tam szukać informacji, że jeszcze całkiem niedawno z tą czystością wcale nie było tam różowo.

Zatrzymajmy się na chwilę i ujmijmy tę sprawę w szerszym kontekście. Wyobraźcie sobie, że jesteście kompletnie pijani i późno w nocy idziecie na kebaba. Choć mięso jest tak nieświeże, że prawie się rusza, a zarówno lokal, jak i jego pracownicy wyglądają na niemytych od wielu lat, kupujecie kebaba i żarłocznie zjadacie. Jeszcze teraz niedobrze wam się robi na samo wspomnienie. Lokal ten nigdy nie dostał grzywny w wysokości szesnastu tysięcy funtów plus cztery tysiące funtów kosztów sądowych za rażące naruszenia przepisów sanitarnych. Nigdy w życiu nie byliście w tak obskurnym lokalu, żeby dostał zero punktów, a jego kuchnię dwa razy zamykano.

Z drugiej strony może właśnie przeczytaliście zamieszczone na TripAdvisor doświadczenia klienta z pierwszej ręki.

## Rozdział 8

# Nad morzem

**A**nglia to skomplikowany kraj. Istnieje tam pięć rodzajów hrabstw, z różnymi historiami, funkcjami i granicami. Grupa pierwsza to hrabstwa historyczne, takie jak Surrey, Dorset i Hampshire. Większość z nich nadal widnieje na mapach, ale część pokrojono na kawałki lub całkowicie skreślono i dzisiaj istnieją tylko jako resztkówki albo czułe wspomnienia. Huntingdonshire czterdzieści lat temu zostało pochłonięte przez Cambridgeshire, ale ludzie do dzisiaj mówią, że tam mieszkają. Middlesex nie jest hrabstwem od 1965 roku, ale nadal mamy Middlesex County Cricket Club i Middlesex University.

Grupa druga to hrabstwa administracyjne, istniejące przede wszystkim po to, żeby wyznaczać terytorium podlegające danemu organowi samorządu. Hrabstwa administracyjne pojawiają się i znikają jak bańki mydlane. Humberside stworzono w 1974 roku, ale dwadzieścia dwa lata później rozwiązano. Odwrotnie było z Rutland, w 1974 roku zlikwidowanym i w 1996 roku wskrzeszonym.

Grupa trzecia to hrabstwa pocztowe, których granice mogą przebiegać jeszcze inaczej. Na przykład kontury Cheshire na mapie pocztowej są zupełnie inne od konturów Cheshire na mapie historycznej, a te z kolei różnią się od granic administracyjnych.

Grupa czwarta to hrabstwa ceremonialne, z których każde ma swojego Lorda Porucznika (albo Urzędowego Cymbała), który przewodniczy wizytom członków rodziny królewskiej albo innym wielkim uroczystościom wymagającym obecności osoby z mieczem i kurtką z epoletami, ale poza tym hrabstwa ceremonialne, podobnie jak lordowie porucznicy, nie pełnią żadnej funkcji, o której byłoby wiadomo.

I wreszcie jest Kornwalia, która nie nazywa się hrabstwo, ale księstwo — Kornwalijszczyki są bardzo wrażliwi na punkcie tego rozróżnienia. (I trudno im się dziwić — gdybyś nazwał pułkownika sierżantem, też by się obraził).

Na razie omówiliśmy tylko hrabstwa angielskie. Hrabstwa walijskie i szkockie wnoszą dodatkowy element skomplikowania. Nic dziwnego, że czasem powstają pewne nieporozumienia. Kiedy pracowałem w dziale gospodarczym „Timesa”, przy stole redakcyjnym często toczyliśmy rozmowy, które przebiegały z grubsza tak:

— Gdzie jest Hull?

— Na północy — odpowiadał ktoś z przekonaniem.

— Ale w jakim hrabstwie?

— No, nie wiem.

— Myślę, że we Wschodnim Yorkshire — włączał się ktoś inny.

— Nie ma Wschodniego Yorkshire — rzucała czwarta osoba.

— Naprawdę?

— Raczej nie. A może? W sumie to nie wiem.

— To nie ma znaczenia — wtrącała się jeszcze inna osoba — bo Hull nie leży we Wschodnim Yorkshire, nawet jeżeli jest Wschodnie Yorkshire, chociaż nie ma. Hull leży w Lincolnshire.

— Moim zdaniem w Humberside. Albo w Cleveland — dodawała piąta albo szósta osoba.

— Cleveland to miasto w Stanach Zjednoczonych — zgłaszał się do dyskusji kolejny dziennikarz.

— Na północy też jest Cleveland.

— Naprawdę? Od kiedy?

— Nie mam pojęcia. Nie jestem pewien, czy to jest hrabstwo, czy tylko jednostka administracyjna.

Takie rozmowy potrafiły się ciągnąć godzinami i na ogół kończyły się na tym, że inicjator dyskusji pisał po prostu „Hull” bez podawania hrabstwa.

Jedynym zakątkiem kraju, który dobrze znałem, było Bournemouth i jego

mniejszy sąsiad Christchurch, ponieważ w tym pierwszym pracowałem, a w drugim mieszkałem. Do 1974 roku Bournemouth i Christchurch należały do Hampshire, ale potem granice angielskich hrabstw zmieniono, skutkiem czego Bournemouth i Christchurch trafiły do Dorset. Chodziło o to, żeby przenieść część ludzi ze zbyt gęsto zaludnionego Hampshire do zbyt rzadko zaludnionego Dorset. Wiadomość o tej zmianie nie do wszystkich jednak dotarła, więc jeszcze w latach osiemdziesiątych dziennikarze „Timesa” umieszczali Bournemouth w Hampshire. Po kolejnej takiej wpadce udałem się do działu krajowego i zwróciłem uwagę jego szefowi, że napisali o Bournemouth jako mieście w Hampshire.

— I co budzi w tym swoje zastrzeżenia? — zapytał.

— Bournemouth nie leży w Hampshire — rozwinąłem temat.

— Pozwolę sobie wyrazić pogląd, że się mylisz — powiedział i wrócił do swoich zajęć.

— Bournemouth jest w Dorset. Przez dwa lata pracowałem tam w gazecie. Jednym z warunków zatrudnienia była wiedza o tym, gdzie jesteśmy.

Redaktorzy działu krajowego nie darzyli redaktorów działu gospodarczego zbyt wielkim szacunkiem i muszę przyznać, że troszkę ich rozumiem. Wyglądaliśmy trochę jak drużyna Vince’a Vaughna w *DodgeBall*.

— Sprawdźmy to — powiedział do mnie szef działu krajowego.

— Nie musicie sprawdzać. To jest fakt.

— Powiedziałem, że sprawdzimy.

Minęło już tyle lat, że nie pamiętam dokładnie słów, których wtedy użyłem, ale mam prawo przypuszczać, że pojawił się tam „odbyt”.

— Drażliwy kretyn — rzucił za mną szef działu krajowego na odchodnym.

— To Amerykanin — poinformował go jeden z kolegów poważnym tonem.

Następnego dnia zajrzałem do gazety i Bournemouth nadal leżało w Hampshire. Dziennikarze z działu krajowego zasadniczo byli palantami, nie licząc tych kilku, którzy nie zasługiwali na to zaszczytne miano.

W każdym razie Christchurch niewątpliwie znajduje się w Dorset i po czterdziestu minutach od wyjazdu z Lynhurst ja również tam się znajdowałem.

\*

Jestem do zgonnie przywiązany do Christchurch. Niedługo po ślubie, kiedy dostałem moją pierwszą dorosłą pracę w dzienniku „Evening Echo” w Bournemouth, przez sześć miesięcy wynajmowaliśmy mieszkanie nad lokalem z rybami i frytkami w podmiejskiej dzielnicy Purewell, a potem kupiliśmy parterowy dom w jeszcze bardziej podmiejskiej wsi Burton. Była to urocza, biała chata z ładnym ogrodem i charakterystycznym bukiem na trawniku z przodu — idealny pierwszy dom. Kupiliśmy go od małżeństwa poczciwych siwowłosych staruszków, którzy mieszkali tam przez kilkadziesiąt lat i bardzo im zależało, żebyśmy się opiekowali ogrodem, a my daliśmy im słowo honoru, że będziemy o niego dbali, i z miłością wywiązywaliśmy się z tej obietnicy przez dwa lata zamieszkiwania w Burton.

Od lat nie widziałem tego domu i zastanawiałem się, czy nie wyglądałby dzisiaj na mały, jak to często bywa z miejscami, które miło się zapisały w naszej pamięci. Ostatecznie w ogóle go nie rozpoznałem. Dwa razy przejechałem przez całą ulicę i go nie zauważyłem, więc w końcu wysiadłem, żeby przyjrzeć się sprawie z bliska. Jedyna nieruchomość, przed którą rósł buk, w ogóle nie przypominała naszej.

Sprawdziłem na kartce, czy nie pomyliłem numeru i okazało się, że nie. Budynek nie miał jednak nic wspólnego z domem, w którym mieszkaliśmy i którym troskliwie się opiekowaliśmy. Ogród z przodu zalano asfaltem. Najbardziej dekoracyjnymi elementami były dwa kubły na kółkach i doniczka z terakoty ze zwiędniętym kwiatkiem. Mały przeszklony ganek, który pełnił funkcję szklarni, został zdemontowany bez widocznego powodu. Zniknęło również dziarskie okno wykuszowe, wizytówka naszego domu, zastąpione prostokątem podwójnego szkła w aluminiowej ramie.

Prawie wszystkie inne domy przy tej ulicy zostały podobnie z maltretowane przez właścicieli, którzy chcieli mieć więcej miejsca do parkowania i mniej roboty do wykonania. Wszystkie te wymuszkane, śliczne ogródki poznikały. Naprawdę się nie oplaca wracać do miejsc, które nas kiedyś zachwyciły, bo jest raczej mało



prawdopodobne, że zachwycą nas dzisiaj.

Ruszyłem dalej do Christchurch, obawiając się najgorszego, ale na szczęście miło się rozczarowałem. Większość ładnych rzeczy nadal stała, a część brzydkich — przede wszystkim obszar przemysłowy dawniej zdominowany przez wielki jasnoniebieski gazomierz — usunięto. Strefę gazomierza zajmowały teraz eleganckie apartamentowce i domy opieki z malowniczymi, aczkolwiek zupełnie oderwanymi od rzeczywistości marynistycznymi nazwami takimi jak Kotwiczowisko czy Łąki z Widokiem na Morze, co z pewnością brzmi bardziej romantycznie i chwytliwie niż Ulica Gazomierza albo Bóg Raczy Wiedzieć Co Jest Zakopane Pod Tymi Chatami.

Główna ulica na pierwszy rzut oka wydawała się prawie niezmienną. Budynki prezentowały przyjemnie eklektyczną mieszankę stylów, rozmiarów i materiałów, jednak tworzyły przytulną i spójną całość — brytyjskie miasteczka przez stulecia bez wysiłku to osiągały, a dzisiaj rzadko im się to udaje. W niezmiennych budynkach zdomowały się jednak inne zakłady. To niezwykle, ile sklepów zniknęło z brytyjskich głównych ulic w ciągu zaledwie kilku lat: większość masarni, warzywniaków, sklepów rybnych, sklepów żelaznych, warsztatów naprawczych, biur gazowni i elektrowni, towarzystw budownictwa społecznego, agencji turystycznych, niezależnych księgarń i mnóstwa sławnych niegdyś nazw — Freeman, Hardy and Willis, Woolworth's, księgarnie Dillons i Ottakar's, Lunn Poly, Dolcis, Radio Rentals, Richard Shops, sklepy z zabawkami Beatties, Netto, John Menzies, Army and Navy Stores czy Rumbelows, by wymienić tylko część. Chyba nigdy nie byłem w Rumbelows — nie jestem nawet pewien, co tam sprzedawali — ale trochę mi ich brakuje. Na pewnym ważnym rogu Christchurch za naszych czasów znajdował się salon meblowy Court's, ale dawno go zlikwidowano. Tam również nigdy nie byłem. Chyba w ogóle nikt tam nie chodził i pewnie dlatego salonu już nie ma.

Koło Court's była poczta, która również zniknęła. Wiem, że należy opłakiwać utratę urzędów pocztowych przy głównych ulicach, i skwapliwie przyłączam się do tych lamentów pod warunkiem, że sam nigdy nie muszę tam chodzić. Nigdy nie

było mniej przyjemnego, bardziej sowieckiego otoczenia na spędzenie trzydziestu minut niż kolejka na brytyjskiej poczcie. Zapewne o tym nie wiedzieliście, ale w okresie największego rozkwitu tej instytucji w brytyjskim urzędzie pocztowym można było załatwić dwieście trzydzieści jeden rodzajów transakcji — zapłacić abonament telewizyjny, pobrać emeryturę, rentę i zasiłek, zapłacić podatek od samochodu, wpłacić albo wypłacić pieniądze z rachunku oszczędnościowego, kupić obligacje państwowe, nadać paczkę. Wymagano od ciebie tylko tego, żebyś miał siwe włosy, nie dosłyszał i potrafił spędzić godzinę na szukaniu monety dwudziestopensowej w malutkiej portmonetce.

Mimo wszystkich tych przemian w handlu detalicznym główna ulica Christchurch wyglądała kwitnąco. Stare kino Regent, w którym za moich czasów mieściła się kiczowata sala do gry w bingo o nazwie Mecca, zostało wyremontowane w ramach wspólnego przedsięwzięcia rady dzielnicy i specjalnie powołanej na ten cel fundacji non-profit. Teraz odbywają się tam projekcje nowych i starych filmów, spektakle teatralne, odczyty, transmisje z Opery Królewskiej i Królewskiej Kompanii Szekspirowskiej oraz wiele innych imprez. Byłem pod wrażeniem. Restauracje w Christchurch są wyraźnie lepsze niż kiedyś, puby czystsze, supermarkety bardziej egzotycznie zaopatrzone. Uznałem Christchurch za moją nową wzorcową miejscowość.

Rozejrzałem się po Christchurch Priory — z tego, co mi wiadomo, największym kościele parafialnym w Anglii, a do tego bardzo ładnym — i po nabrzeżu, przeszedłem koło wspomnianego mieszkania, które wynajmowaliśmy kiedyś z żoną (z zadowoleniem zobaczyłem, że na dole dalej sprzedają rybę z frytkami), a potem rzadko używaną drogą wokół podmokłych terenów portowych ruszyłem do sąsiedniej wioski Mundeford, z długimi, baśniowymi widokami nad wodą na dostojną szarą bryłę kościoła — pomyślałem, że kiedy Anglia jest taka cudowna, nie istnieje miejsce, w którym wolałbym być.

Zjadłem obiad w sympatycznej nadbrzeżnej restauracji w Mundeford, a potem wróciłem do samochodu i pokonałem mniej więcej ośmiokilometrowy dystans do

Bournemouth. Kiedy powstawały *Zapiski z małej wyspy*, zatrzymałem się w hotelu Pavilion w Bournemouth. Pomyślałem, że znowu przenocuję w tym przyjemnym, staroświeckim pensjonacie, ale się okazało, że w 2005 roku go zburzono. Upłynęła dłuższa chwila, zanim to do mnie dotarło, ponieważ kiedy wygooglowałem „hotel Pavilion, Bournemouth”, siedemnaście portali rezerwacyjnych solennie mi obiecało, że załatwią mi pokój w hotelu Pavilion po bardzo atrakcyjnej cenie. Pierwsza pozycja na liście dotyczyła hotelu Pavilion w kalifornijskim Avalon.

Internet nie przestaje mnie zadziwiać. Jak to możliwe, że coś jest jednocześnie takie użyteczne i takie głupie? Czy ktoś ze świata Google naprawdę myśli, że szukam dowolnego hotelu na świecie o nazwie Pavilion i ten w Kalifornii pasuje mi tak samo, jak ten w Bournemouth? Wiem, że zarządza tym algorytm, ale ktoś musi mu podać parametry. I właśnie na tym polega problem z internetem — jest to tylko nagromadzenie cyfrowej informacji, bez mózgu i bez uczuć, zresztą zupełnie jak informatyk.

Podsumowując, siedemnaście portali rezerwacyjnych obiecało mi, że jak wejść na ich strony, to załatwią mi nocleg w hotelu, który już nie istnieje. W rankingu TripAdvisor hotel Pavilion w Bournemouth został oceniony na cztery i siedemdziesiątych punkta na pięć możliwych. „Zarezerwuj hotel Pavilion i oszczędź na hotelu Pavilion!”, krzyczano do mnie toporną angielszczyzną, więc z ciekawości kliknąłem i się okazało, że jeżeli dotrzesz do odpowiedniego miejsca na stronie, nie znajdziesz tam Pavilionu, bo już go nie ma. Właśnie to doprowadza mnie w internecie do szału: komercyjne strony wychodzą z założenia, że nie ma jakiejś szczególnej konieczności, aby były rzetelne, prawdopodobne i wiarygodne. Od kiedy tak jest w porządku?

Na szczęście Bournemouth dysponuje obfitością innych noclegów i żona zarezerwowała mi pokój w hotelu butikowym — moim zdaniem pasowałaby do niego nazwa *Puszmy Się Trochę Na Wyrast* — na wschodnim klifie. Zaniósłem bagaże do pokoju, z uznaniem obejrzałem aranżację gałązek w misie koło drzwi i poszedłem zwiedzić miasto. Tak się złożyło, że hotel był koło przystanku, na którym wysiadałem co rano do pracy, toteż postanowiłem jeszcze raz pokonać trasę

z przystanku do redakcji, żeby sprawdzić, ile zapamiętałem.

W tamtych czasach uwielbiałem chodzić do pracy. Byłem młody, świeżo po ślubie, w pierwszej prawdziwej pracy mojego życia. Angielskie wybrzeże nadal było wtedy czymś wyjątkowym. Bournemouth zasiadało na tronie królowej miejscowości wypoczynkowych na południowym wybrzeżu i czułem się szczęściarzem, przebywając na co dzień w mieście, na przyjazd do którego ludzie przez cały rok oszczędzali pieniądze. Każdego dnia rano jechałem tam piętrowym autobusem z Christchurch, via Tuckton, Southbourne i Boscombe. Zawsze siedziałem na górze, zwykle z przodu, i każdą jazdę przeżywałem jak siedmiolatek na szkolnej wycieczce. Wysiadałem na wzgórzu blisko morza i pokonywałem kilkaset metrów dzielących mnie od całkiem okazałego budynku redakcji „Echo” przy Richmond Hill, utrzymanego w stylu art deco — należałem do kilkusetosobowej grupy ludzi, na których spoczywało doniosłe zadanie postawienia miasta na nogi każdego dnia rano. Napawałem się tą odpowiedzialnością.

Dosyć szybko odkryłem skrót przez zadrzewiony cmentarz opadający w dół zbocza za kościołem św. Piotra. Pewnego dnia rano, kiedy przystanąłem, żeby zawiązać sobie sznurówkę, stwierdziłem, że patrzę na grób Mary Shelley, twórczyni Frankenstein i wdowy po poecie Percym Bysshe Shelleyu. Nie miałem pojęcia, że jest tam pochowana, ale mało kto o tym wie. Mary Shelley pojechała do Bournemouth tylko raz, żeby odwiedzić mieszkającego tam syna, ale wyraziła wolę zostania pochowaną w tej miejscowości razem z rodzicami, pisarzem Williamem Godwinem i znaną feministką Mary Wollstonecraft Godwin — prośba dosyć osobliwa, ponieważ dawno nie żyli i również nie mieli żadnych związków z Bournemouth. Syn Mary posłusznie jednak kazał sprowadzić z Londynu jej doczesne szczątki i złożył je w grobie obok jej matki. Ktoś dorzucił również serce Percy’ego Bysshe (jedyne go poety, którego imię naśladuje odgłos wpadającej do wody zapalki), który prawie trzydzieści lat wcześniej utopił się w morzu u wybrzeża Włoch. Dla niego również była to pierwsza wizyta w Bournemouth. Innymi słowy, w najśłynniejszym (i prawdopodobnie najbardziej zatłoczonym) grobie w Bournemouth spoczywają doczesne szczątki czterech osób, które nie

miały z tą miejscowością nic wspólnego, a trzy spośród nich nie widziały jej na oczy. Przez lata traktowałam to jako moją małą tajemnicę — jak się okazało, nawet mieszkańcy Bournemouth nie wiedzieli o grobie Shelleyów — ale teraz z zainteresowaniem zauważyłem, że na płycie nagrobnej położono dwa bukiety kwiatów, a zatem ktoś musiał tęsknić za Mary. Inni żałobnicy najwyraźniej nie mieli przy sobie kwiatów, bo zostawili puste opakowania po chipsach, a ktoś inny umieścił butelkę po piwie Carlsberg na grobie niejakiego Ducketta, który zgodnie z napisem nagrobnym w 1890 roku dostąpił niebiańskiej chwały.

Naprzeciwko cmentarza były kiedyś International Stores, ale dzisiaj znajduje się tam duży Wetherspoon's nazwany Mary Shelley. Wynika z tego, że Bournemouth odkryło ją na nowo. Za rogiem była kiedyś kawiarnia Forte's, w której ekspres do kawy wydawał z siebie taki odgłos jak startujący odrzutowiec (a kawa smakowała jak paliwo lotnicze z mlekiem) i do której zachodziłem codziennie rano, żeby wypić kawę i przeczytać parę opiniotwórczych gazet w rozpaczliwym dążeniu do bycia na bieżąco z sytuacją w kraju. Stamtąd, nagle jakiś podenerwowany, udawałem się do pracy.

Nie posunąlbym się do stwierdzenia, że praca szeregowego redaktora „Bournemouth Evening Echo” była najbardziej stresująca i obciążająca w całym dziennikarstwie z lat siedemdziesiątych, ale mnie mocno stresowała. Problem tkwił w tym, że wiedziałem znacznie mniej, niż powinienem wiedzieć, żebym mógł bezpiecznie pracować jako dziennikarz w Wielkiej Brytanii, w związku z czym żyłem w nieustannym strachu, że pracodawcy zorientują się w skali mojej ignorancji i odeślą mnie do Iowa. Zatrudnienie mnie było z ich strony aktem miłosierdzia. Tylko w podstawowym stopniu opanowałem brytyjską ortografię, interpunkcję, gramatykę i frazeologię, a ogromne połacie brytyjskiej historii, polityki i kultury pozostawały dla mnie *terra incognita*.

Dostałem kiedyś do opracowania materiał agencji informacyjnej, z którego nic nie rozumiałem — a raczej rozumiałem tylko niektóre fragmenty, co jeszcze bardziej utrudniało sprawę. Dotyczył kurczących się zasobów owoców morza przy zachodnim wybrzeżu Kornwalii — pamiętam, że pojawiały się tam takie słowa jak

małże i mięczaki — ale co jakiś czas napotykałem nazwę pewnego znanego dworca kolejowego na północy, którego w żaden sposób nie umiałem powiązać z treścią materiału. Nie wiedziałem, czy to pomyłka, czy też agencja informacyjna uprawia jakąś jeszcze dla mnie niezrozumiałą grę. Nie miałem pojęcia, co z tym zrobić, więc po prostu czytałem tekst kolejne razy. Przez dwa albo trzy akapity nadażałem za fabułą, lecz nagle pojawiało się to tajemnicze, z pozoru bezsensowne odniesienie do dworca kolejowego.

Kiedy tak siedziałem, pogrążony w bezradnej niepewności, przechodzący depešowiec rzucił na moje biurko pasek papieru i nagle wszystko się wyjaśniło. Agencja przysłała następujące sprostowanie: „W materiale o kornwalijskim rybołówstwie zamiast »Crewe Station« wstawić »crustacean« <sup>2</sup>”.

„Nigdy nie ogarnę tego kraju”, pomyślałem i miałem rację. Do tej pory nie ze wszystkim sobie radzę. Na szczęście moi koledzy byli życzliwi i cierpliwie się mną opiekowali. Smutnym zbiegiem okoliczności dwaj z nich, Jack Straight i Martin Blaney, na początku 2015 roku zmarli w odstępie paru tygodni i dlatego piszę o nich w tym miejscu — żeby oddać cześć ich pamięci.

Szukałem teraz kawiarni, do której zachodziłem przed laty na poranną kawę, ale nie mogłem jej znaleźć — nie widziałem nawet podcieni z lat pięćdziesiątych, w których się znajdowała — w związku z czym wygramoliłem się na Richmond Hill i obejrzałem starą, bardzo nieznacznie zwietrzałą redakcję „Echa”.

Kilka lat temu usunęli z tytułu słowo „Evening”, kiedy do nich dotarło, że nikt nie chce już czytać wieczornych gazet, ale nie są w stanie nic zaradzić na to, że ich gazety prawie nikt nie chce czytać nawet w wersji porannej. Za moich czasów nakład „Echa” wynosił około sześćdziesięciu pięciu tysięcy, czyli również nie był zbyt imponujący, a dzisiaj lokuje się poniżej dwudziestu tysięcy. W ciągu ostatniego półrocza spadł o dwadzieścia jeden procent. Redakcja zajmowała kiedyś cały budynek, ale dzisiaj na parterze mieści się Ink Bar i restauracja Print Room — jedno i drugie było w remoncie, kiedy tamtędy przechodziłem. Od 2008 roku w Anglii zlikwidowano sto pięćdziesiąt lokalnych gazet, w tym takie niegdyś

wpływowo tytuły jak „Surrey Herald” i „Reading Post”. To nie jest dobre. Bez prasy lokalnej znikąd się nie dowiesz, że ktoś został ukarany grzywną za plagę szczurów w kuchni.

„Echo” nie jest chyba jedyną rzeczą w Bournemouth, która podupadła. Całe centrum miasta sprawiało wrażenie dziwnie wymarłego jak na popołudnie w dzień roboczy. Za moich czasów na ulicach Bournemouth prawie zawsze panował tłok — kiedy zamknę oczy, zawsze jest słonecznie, mężczyźni chodzą w garniturach, a kobiety w letnich sukienkach — ale teraz w centrum było tak pusto, jak dawniej w niedziele. Interesujące centrum Bournemouth składa się z dwóch obszarów sklepowych rozdzielonych Pleasure Gardens, uroczym długim parkiem z estradą, klombami i niewielkim strumieniem. Kiedyś można tam było zaznać przyjemnej chwili wytchnienia od zakupowego szału, na przykład podczas przechodzenia z domu handlowego Dingle po jednej stronie ogrodów do Habitat albo Home Stores po drugiej. Ale takie tempo życia należy już do przeszłości. Dzisiaj ludzie chcą załatwić wszystko jak najszybciej i nie lubią, kiedy drzewa i trawniki im w tym przeszkadzają, toteż całkowicie porzucili centrum, po obu stronach parku.

Kilka lat temu na Old Christchurch Road, sympatycznie krętej ulicy handlowej, wprowadzono zakaz ruchu, postawiono ławki i donice z kwiatami, a jezdnię wybrukowano elegancką kostką, ale po każdym remoncie, który wymaga zerwania nawierzchni, powstałe w ten sposób dziury zalewane są asfaltem, co daje niezbyt estetyczny efekt. Na tym polega problem z Wielką Brytanią, która wypisała na swoich sztandarach oszczędności budżetowe: remontów albo się nie przeprowadza, albo robi się je byle jak. Następuje proces powolnej degradacji i w pewnym trudnym do precyzyjnego wskazania momencie dane miejsce z przyjemnego staje się zapuszczone i przygnębiające. Wielu radom miejskim się wydaje, że jeżeli po cichu obetną wydatki, ludzie tego nie zauważą albo się nie przejmą. I prawdopodobnie mają rację, z tragicznymi skutkami dla całego kraju.

Ale może jednak nie mają racji. W ostatnich latach liczba turystów odwiedzających Bournemouth drastycznie spadła, z pięciu milionów sześciuset tysięcy osób w 2000 roku do trzech milionów trzystu tysięcy osób w 2011 roku,

a w osobodniach w tym samym okresie obniżyła się o ponad połowę — z dwudziestu trzech milionów do jedenastu milionów czterystu tysięcy. Za moich czasów Bournemouth chlubiło się szerokim wachlarzem i wytwornością swoich rozrywek. Miało dobre teatry, eleganckie sklepy i restauracje, znaną orkiestrę symfoniczną, ale o wielu z tych rzeczy należy dzisiaj mówić w czasie przeszłym. W 1999 roku zlikwidowano orkiestrę. W 2002 roku zniknęły ogrody zimowe. Niedawno w ich ślady poszedł teatr Pier. W 2002 roku na nabrzeżu stanęło gigantyczne kino Imax, ale prawie natychmiast popadło w tarapaty finansowe i trzy lata później zostało zamknięte. W 2013 roku rada miejska zapłaciła siedem i pół miliona funtów za rozebranie budynku. Dzisiaj jest tam tylko wielka dziura w ziemi.

Na szczęście ostało się morze. Bournemouth chlubi się ponad dziesięcioma kilometrami złocistych plaż z klifami, koszami plażowymi i tu i ówdzie wciskającymi się w wydmy lesistymi dolinami o nazwie *chines*. Na zboczach tych dolin nadal można znaleźć bardzo ładne osiedla domów. Postanowiłem teraz przejść sześć kilometrów promenadą wzdłuż plaży do Canford Cliffs, bogatego osiedla starych domów na szczycie Branksome Chine, a następnie wrócić górą.

Dzień lepiej się nadawał na chodzenie niż na kąpiel — był chłodny i zachmurzony. Mimo to na plaży widziałem całkiem sporo ludzi. Część z nich udawała, że dobrze się bawi. Część z nich uparcie próbowała się opalać, mimo że niebo zaciągała kołdra chmur. Paru chojraków nawet pływało, a przynajmniej pluskało się w wodzie. Przed laty moja żona, kiedy jeszcze byliśmy narzeczonymi, zabrała mnie na jednodniową wycieczkę nad morze do Brighton. Po raz pierwszy w życiu miałem okazję zobaczyć Brytyjczyków bawiących się w środowisku słonowodnym. Dzień był względnie ciepły — słońce od czasu do czasu wychodziło zza chmur na całe kilka minut — i w morzu znajdowała się wielka rzesza ludzi. Wydawali z siebie odgłosy, które zinterpretowałem jako piski radości, ale parę minut później sobie uświadomiłem, że krzyczeli z bólu. Naiwnie zdjąłem koszulkę i wbiegłem do wody — jakbym się zanurzył w płynnym azocie. Ten jeden raz w życiu poruszałem się jak człowiek na puszczonym do tyłu filmie. Dałem nura do



wody i natychmiast wyskoczyłem, by już nigdy nie wejść do angielskiego morza.

Od tego dnia wyznaję zasadę, że jeżeli grupa Anglików sprawia wrażenie dobrze się bawiących, są to tylko pozory — założenie to na ogół się potwierdza.

Tego samego dnia ta śliczna, młoda angielska dziewczyna, osoba, której miałem powierzyć swoje szczęście i pomyślność, zabrała mnie do budki z owocami morza i kupiła mi małą porcję trąbików. Jeżeli nigdy nie mieliście okazji skosztować tego smakołyku, to znajdźcie starą piłkę golfową, usuńcie z niej wierzchnią warstwę i zjedzcie to, co zostanie. Trąbik jest najbardziej pozbawioną smaku i niezniszczalną rzeczą, którą zakwalifikowano jako żywność. Nie jestem pewien, ale chyba dalej mam jednego w kieszeni kurtki.

Po drodze do Canford Cliffs w pewnym momencie opuszcza się Bournemouth i wchodzi do sąsiedniego miasteczka Poole. Kiedyś uważałem Canford Cliffs za idealne miejsce, nie licząc zagadkowego niedoboru pubów. Mieli tam przyjemne ulice z domami mieszkalnymi na zalesionych klifach, uroczą małą bibliotekę i centrum z prawdziwego zdarzenia. Kiedy odrobinę zdyszany dotarłem stromą drogą z plaży do miasteczka, z radością zobaczyłem, że po trzydziestu kilku latach pozostało z grubsza takie samo. Zmartwiło mnie jednak, aczkolwiek nie do końca zaskoczyło, że w centrum zlikwidowano mnóstwo sklepów — nie było warzywniaka, masarni, księgarni, żelaznego ani herbaciarni, czyli tych wszystkich rzeczy, które musi mieć każde miasteczko, jeśli łaknie mojej życzliwości i odwiedzin. Dawno, dawno temu, kiedy Canford Cliffs tym wszystkim dysponowało, wyobrażałem sobie, jak przyjemnie byłoby mieszkać tam w dużym domu i codziennie chodzić do centrum po sprawunki, ale dzisiaj większość tych lokali zajmują agencje nieruchomości. Innymi słowy, jedyną rzeczą, jaką można dzisiaj bez trudu załatwić w Canford Cliffs, jest zakup nieruchomości, ale nie jest to zbyt przydatne dla kogoś, kto już tam mieszka. Albo chce się tylko napić herbaty.

Jedynym miejscem, w którym mogłem liczyć na jakiś ciepły napitek, był skromny lokal o nazwie Coffee Saloon — jak sama nazwa wskazuje, był to saloon

z Dzikiego Zachodu serwujący kawę. Okazało się na szczęście, że herbatę też podają, a obsługa była miła, ale nie całkiem o taką atmosferę mi chodziło. Kiedy piłem herbatę i starałem się za bardzo nie myśleć o tym, że miałem w życiu przyjemniejsze chwile, zadzwoniła moja komórka.

To się nigdy nie zdarza, toteż nie miałem pojęcia, gdzie ona jest. Obmacałem wszystkie kieszenie i przeszukałem plecak, zanim ją wreszcie zlokalizowałam — była na samym dnie pod paroma starymi trąbikami, mniej więcej w piętnastej warstwie. Dzwoniła moja żona. Sprawiała wrażenie szczęśliwej.

— Masz nową wnuczkę — powiedziała. — Wracaj do domu.

---

<sup>2</sup> Skorupiak.

# Jednodniowe wycieczki

## I

**J**eżeli staniesz na wschodnich zboczach Noar Hill w Hampshire, twoim oczom ukaże się widok, którego raczej nie sposób udoskonalić. Sady, pola i ciemne lasy znakomicie komponują się z całością krajobrazu. Spomiędzy drzew tu i ówdzie sterczą dachy domów i wieże kościelne. Jak to często bywa w Anglii, widok jest śliczny, ponadczasowy, przestronny i napawający spokojem. Masz wrażenie, że znajdujesz się na głębokiej prowincji, a tymczasem niedaleko za Surrey Hills jest Londyn. Wsiądź w samochód, a w godzinę dotrzesz na Piccadilly Circus albo Trafalgar Square. Dla mnie to cud, że miasto tak ogromne i trudne we współżyciu jak Londyn z każdej strony otaczają takie widoki.

Urodę stołecznego krajobrazu w znacznym stopniu tłumaczy Metropolitan Green Belt, złożona przede wszystkim z lasów i pól uprawnych strefa ochronna otaczająca Londyn i szereg innych angielskich miast, żeby się jeszcze bardziej nie rozlewały. Koncepcja zielonych pasów została zapisana w ustawie o zagospodarowaniu przestrzennym z 1947 roku i uważam ją za najinteligentniejszą, najbardziej dalekowzroczną i najbardziej udaną koncepcję w historii urbanistyki.

Dzisiaj wiele osób chce od niej odejść.

Na przykład „Economist” od lat przekonuje, że zielone pasy należy zlikwidować jako przeszkodę dla rozwoju. Jeden z dziennikarzy tego czasopisma, mieszkaniec podlondyńskiej enklawy dla cierpiących na demencję, snuje następujące publicystyczne wywody: „Zielone pasy, które wstrzymują rozwój wokół wielkich miast, powinny zniknąć, a przynajmniej zostać znacznie osłabione. Wydłużają czas

podróży, nie przyczyniając się do ludzkiego szczęścia”.

Do mojego szczęścia przyczyniają się w bardzo dużym stopniu, ty kretyński dyplomowany bufonie. Przyczyną, dla której widzę tę sprawę inaczej, być może jest fakt, że pochodzę z krainy szokującej rozlazłości miast. Ostatnimi laty od czasu do czasu jadę z żoną samochodem z lotniska w Denver do Vail, położonego wysoko w Górach Skalistych na terenie stanu Kolorado, aby odwiedzić naszego syna Sama. Podróż trwa dwie godziny, przy czym pierwszą godzinę zajmuje wydobycie się z Denver. Nie przestaje mnie zadziwiać, jak wielkiego zaplecza infrastrukturalnego wymaga amerykański styl życia — galerie handlowe, centra dystrybucji, magazyny, stacje benzynowe, multipleksy z setkami sal, siłownie, kliniki wybielania zębów, parki biznesowe, motele, przechowalnie butli gazowych, parkingi naczep tirów, furgonetki firm kurierskich, szkolne autobusy, salony samochodowe, milion typów placówek gastronomicznych i bezkresne kilometry podmiejskich domów, z których każdy chce mieć widok na dalekie góry.

W odległości kilkudziesięciu kilometrów od Londynu masz Windsor Great Park, Epping Forest czy Box Hill. W odległości kilkudziesięciu kilometrów od Denver masz Denver. Przypuszczam, że Wielka Brytania również oferuje całą tę infrastrukturę, ale nie mam zielonego pojęcia, gdzie się znajduje większość z niej. Wiem natomiast, że nie uświadczysz jej w lasach i na polach otaczających każde duże miasto. Jeżeli to nie jest pozytywne, to nie wiem, co można nazwać pozytywnym.

Arytmetyka brytyjskiego krajobrazu jest prosta i ujmująca. Wielka Brytania ma około sześćdziesięciu milionów akrów ziemi i około sześćdziesięciu milionów mieszkańców — jeden akr na osobę. Kiedy oddajesz dziesięć akrów niezabudowanej działki pod galerię handlową, dziesięć osób traci swoje akry. Zabudowując prowincję, zmuszasz kolejnych ludzi, żeby się dzielili coraz mniejszą przestrzenią. Próby ograniczenia tego procesu to nie jest postawa typu „wara od mojego podwórka”, tylko zdrowy rozsądek.

Gdyby do likwidacji zielonych pasów nawoływał tylko „Economist”, jakoś uporałbym się ze swoją rozpaczą, ale do grona zwolenników tej masakry dołączył

ostatnio „Guardian”, przekonując w serii artykułów, że zielony pas to swego rodzaju spiszek elity, który uniemożliwia budowę tanich mieszkań i domów. Na przykład profesor Paul Cheshire z London School of Economics powiedział na łamach tej gazety: „Zielony pas w istocie stanowi bardzo brytyjską formę dyskryminacyjnej polityki przestrzennej, która ma na celu niewpuszczenie wielkomiejskiej biedoty do Home Counties”. Zdążyłem w życiu wypowiedzieć całę mnóstwo bzdur, lecz chylę kapelusza przed profesorem Cheshire’em.

Mądrego profesora zacytowano w artykule Colina Wilesa, konsultanta planistycznego, zatytułowanym *Sześć powodów, dla których powinniśmy budować w zielonym pasie*. To nie jest książka polemiczna, w związku z tym nie zamierzam wyliczać wszystkich argumentów za zniszczeniem zielonego pasa i po kolei ich obalać (choć uważałem, że bym potrafił), ale dwa spośród tych argumentów są tak bardzo szkodliwe i błędne, a jednocześnie tak silnie ugruntowane w świadomości społecznej, że nie mogę ich puścić bez komentarza.

Pierwszy i najbardziej niebezpieczny zarzut przeciwko zielonemu pasowi mówi, że zielony pas nie jest niczym szczególnym, ponieważ w dużym stopniu składa się z jałowych, zdegradowanych terenów. Osądźcie sami. Z badań Kampanii na rzecz Ochrony Wiejskiej Anglii wynika, że angielskie zielone pasy obejmują trzydzieści tysięcy kilometrów szlaków pieszych, dwieście dwadzieścia tysięcy hektarów lasu, dwieście pięćdziesiąt tysięcy hektarów najwyższej jakości ziem rolnych i osiemdziesiąt dziewięć tysięcy hektarów obszarów o szczególnym znaczeniu naukowym. Jak dla mnie są to rzeczy warte zachowania. Jeżeli jakieś tereny zielonego pasa są zdegradowane, to rozwiązanie z pewnością nie polega na tym, żeby je zabudować, tylko żeby właściciel zaczął się nimi lepiej opiekować albo sprzedał je komuś, kto to za niego zrobi. Zezwalanie właścicielom na czerpanie zysków ze źle zarządzanych gruntów to najszybsza droga do tego, żeby znacznie więcej gruntów było źle zarządzanych.

Drugi często stawiany zarzut brzmi, że koncepcja zielonego pasa nie działa, ponieważ zmusza ludzi do coraz większego oddalania się od dużych miast w celu znalezienia mieszkania po przystępnej cenie. Wiles nie podaje żadnych dowodów

na poparcie tej tezy poza spostrzeżeniem, że mnóstwo ludzi mieszka poza Londynem. Gdyby stwierdzenie Wilesa było prawdziwe, to jak wyjaśnić fakt, że Amerykanie, którzy nie mają i nigdy nie mieli zielonych pasów, od ponad stu lat coraz bardziej oddalają się od swoich miast? Nie wypychają ich ceny domów, ponieważ nieruchomości z reguły najtaniej można kupić na najdalszych przedmieściach. Ludzie, którzy się stamtąd wynoszą, w rzeczywistości szukają czegoś, co Anglia już ma: krajobrazu pozamiejskiego.

Jedyny zasadny zarzut wobec zielonego pasa jest taki, że wiele gruntów nie trafia na rynek. Owszem, to prawda. W całej tej koncepcji właśnie o to chodzi. Ale grunty te nie leżą beczynnienie, lecz dają schronienie faunie, wydychają tlen, pochłaniają dwutlenek węgla i toksyny, wytwarzają żywność, dostarczają zacisznych drózek do jazdy na rowerze i spacerowania, nasycają krajobraz pięknem i spokojem. Już teraz ledwo zipią. W ciągu ostatnich dziesięciu lat na gruntach zielonego pasa zbudowano pięćdziesiąt tysięcy domów. Tylko Sussex straciło w tym okresie trzynaście pradawnych lasów, zagarniętych przez deweloperów. Powinniśmy być tym wszystkim przerażeni, a nie domagać się jeszcze większej dewastacji.

Południowo-wschodnia Anglia już teraz dorównuje Holandii pod względem gęstości zaludnienia, ale dzięki ochronnemu działaniu zielonego pasa wielkie jej połacie pozostają zielone, atrakcyjne i ponadczasowe — uosabiają Anglię, którą większość z nas ceni i kocha. Absolutnie nie ma potrzeby tego wyrzucać. Z najbardziej zachowawczych oszacowań wynika, że uzbrojonych gruntów pod inwestycje — tak zwanych *brownfield* — wystarczy w Anglii na milion domów przy przeciętnej gęstości zabudowy. W artykule Colina Wilesa nawet nie wspomniano o możliwości stawiania domów na *brownfield*. Dlaczego?

Ludzi najzwyczajniej w świecie wprowadza się w błąd. Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy „Guardian” opublikował artykuł Wilesa, na łamach tego samego dziennika ukazał się tekst zatytułowany *Dlaczego w Surrey jest więcej ziemi na pola golfowe niż na domy*. Artykuł opierał się na badaniach Paula Cheshire’a, cytowanego powyżej profesora, który oznajmił, że domy w Surrey

zajmują około 2,5 procent powierzchni hrabstwa, czyli mniej niż pola golfowe. Chciano w ten sposób pokazać, że w sposobie użytkowania ziemi przez Brytyjczyków nastąpił niebezpieczny przechył. Jednak autorzy jak zawsze rzetelnego programu *More or Less* w Radio 4 przyjrzeni się danym liczbowym i ustalili, że profesor Paul Cheshire był cokolwiek wybiórczy w swoich obliczeniach, a mianowicie uwzględnił tylko ziemię dosłownie zajętą przez same domy, bez ogrodów i innych gruntów dookoła nich. Innymi słowy, gdyby wszystkie domy w Surrey stłoczyć na kupę, istotnie zajmowałyby mniej przestrzeni niż pola golfowe, ale nie takie były intencje autorów raportu i z całą pewnością nie tak go zinterpretował „Guardian” i inne media. Przy uwzględnieniu ogrodów nieruchomości mieszkalne w Surrey zajmują czternaście procent ziem hrabstwa, czyli około trzech razy więcej od średniej dla całej Anglii. Krótko mówiąc, z zabudową mieszkaniową w Surrey wszystko jest w porządku, a teza o rozrzutnym wykorzystywaniu ziemi dla zaspokojenia rozrywkowych potrzeb najbogatszych nie znajduje żadnego uzasadnienia. Tymczasem oszukańcze stwierdzenie profesora Paula Cheshire’a robi furorę w internecie. Delikatnie mówiąc, jest to godne ubolewania.

\*

Ale wystarczy już tego zrzędzenia. Chodźmy na spacer i cieszymy się tym cudownym krajobrazem, póki jeszcze możemy. Po narodzinach mojej nowej wnuczki (dziękuję ci, Rosie, moja śliczna) wydano mi polecenie, że przez kilka dni mam przebywać blisko domu, na wypadek, gdyby ktoś wymyślił jakiś pożyteczny sposób wykorzystania mojej osoby, postanowiłem więc wybrać się na parę wycieczek po okolicznych lasach, poczynając od literackiej przechadzki do domów dwóch najbardziej znanych lokalnych autorów, Gilberta White’a i Jane Austen. I oto stałem na Noar Hill, rozkoszowałem się widokiem i dziękowałem Bogu, że wielkowiejskiej biedocie nie wolno go oglądać.

Jakieś półtora kilometra za Noar Hill leży Selborne, ładna wieś z dwoma pubami

i dobrze zaopatrzonym sklepem połączonym z urzędem pocztowym. W połowie głównej ulicy stał dom Gilberta White'a, najślynniejszego syna Selborne. Gilbert White należy do osób, o których większość ludzi wie albo bardzo dużo, albo nic, aczkolwiek myślę, że wielu spośród członków tej pierwszej kategorii lepiej czułoby się w drugiej. White był wiejskim pastorem, urodził się w 1720 roku w Selborne, zmarł siedemdziesiąt trzy lata później, a w okresie między tymi momentami nie robił zbyt wiele poza sadzeniem warzyw i obserwowaniem zmieniających się pór roku. Wiódł spokojny żywot, nigdy się nie ożenił i był takim straszonym prowincjuszem, że Sussex Downs uważał za „potężne pasmo górskie”. Przez większość życia prowadził notatnik i pisał listy, które stały się podstawą jego zdumiewająco poczytnej książki *The Natural History and Antiquities of Selborne*, nazwanej przez Richarda Mabeya „jedną z najdoskonalej zrealizowanych celebracji natury w języku angielskim”.

White pracował nad tą książką prawie przez całe życie. Ukazała się w 1788 roku, kiedy miał sześćdziesiąt osiem lat i zostało mu już tylko pięć wiosen na tym padole. *Natural History* przybiera postać listów do innych przyrodników, często o charakterze eseistycznym, ułożonych bez widocznego porządku, ale książka ta zajmuje zaskakująco ważne miejsce w dziejach brytyjskiej kultury. Do jej wielkich miłośników zaliczali się Samuel Taylor Coleridge, John Constable i Virginia Woolf. Charles Darwin powiedział, że dzięki niej został przyrodnikiem. Od dwustu dwudziestu lat nieustannie jest wznawiana. Według jednego z obliczeń pod względem liczby nakładów zajmuje czwarte miejsce wśród wszystkich książek anglojęzycznych.

W domu White'a, o nazwie Wakes, mieści się dzisiaj muzeum, trochę zaskakująco poświęcone również podróżnikom Frankowi i Lawrence'owi Oatesom, którzy nie mieli żadnych związków z Gilbertem White'em, Selborne czy choćby Hampshire. Trafili do tej ekspozycji dlatego, że w 1955 roku zamożny członek klanu Oatesów, Robert Washington Oates, dał pieniądze na zakup domu pod warunkiem, że w muzeum upamiętnieni zostaną jego kuzyn Lawrence i wuj Frank.

Ten z pozoru niezborny melanż sprawdził się zaskakująco dobrze. Większość



muzeum jest poświęcona Gilbertowi White'owi. W jednym z pokoi na parterze z przodu znajduje się naturalnych rozmiarów rzeźba samego pastora. Z zaskoczeniem stwierdziłem, że był człowiekiem bardzo niskim i drobnym — niewiele ponad metr pięćdziesiąt i na oko czterdzieści pięć kilo — a jeżeli rzeźba jest pod tym względem wiarygodna, miał otwarte do ludzi i przyjazne usposobienie (to już mnie oczywiście nie zaskoczyło).

W gablocie niedaleko rzeźby leżał oryginalny rękopis *Natural History* i oprawione egzemplarze prawie wszystkich dotychczasowych wydań (a były ich setki). Jak informował opis, manuskrypt oprawiono w skórę spaniela autora. Zgaduję, że spaniel zdechł w dogodnym momencie, a nie został poświęcony specjalnie na ten cel, ale z opisu wprost to nie wynikało.

White mieszkał w tym domu przez znaczną część życia, a pokoje zostawiono w prawie niezmiennym stanie. Gość muzeum może na przykład wejść do przytulnego gabinetu Gilberta i zobaczyć pozostawione na biurku pióra, pergamin i okulary, tak jakby pastor dopiero co opuścił pomieszczenie. Dalszy koniec domu nagle przeradza się w terytorium Oatesów — sądziłem, że efekt będzie idiotyczny, ale całkiem dobrze się bawiłem. Z dwóch upamiętnionych Oatesów Frank był bez wątpienia mniej wybitny. Żył od 1840 do 1875 roku i większość swojego krótkiego istnienia spędził na walce z chorobami. Po Afryce i Ameryce podróżował w ramach osobliwej i opartej na błędnych przesłankach próby podreperowania zdrowia świeżym powietrzem i przygodami, co skończyło się na tym, że złapał jakiegoś wirusa i zmarł gdzieś w górnym biegu rzeki Zambezi.

Znacznie więcej osiągnął jego krewny, kapitan Lawrence Oates, chociaż żył jeszcze krócej. Wziął udział w nieudanej wyprawie Roberta Falcona Scotta na Antarktydę w 1910 roku — z najwyższym trudem dotarli na Biegun Południowy i zobaczyli tam norweskie flagi pozostawione wcześniej przez wyprawę pod kierunkiem Roalda Amundsena. Ogromnie rozczarowani i fizycznie wyczerpani, Scott i czterech jego towarzyszy zawróciło, ale pogoda tak bardzo im nie sprzyjała, że posuwali się w ślimaczym tempie. Zaczęło im brakować żywności, do czego doszły paskudne odmrożenia. Szczególnie ucierpiał Oates i postanowił się

poświęcić, żeby zwiększyć szanse innych na przeżycie. Podeszedł do drzwi namiotu i powiedział: „Wychodzę na zewnątrz i przez jakiś czas mnie nie będzie”. Jak napisał Scott w swoim dzienniku, było to „zachowanie godne angielskiego dżentelmena”. Nie mam wątpliwości, że Oates miał na sobie smoking. Jego ciała nigdy nie znaleziono. Scott i inni zmarli niewiele później — niedaleko miejsca, w którym podczas marszu na biegun zostawili zapasy — bo złapała ich śnieżycą. Jak się później okazało, Oates nie znosił Scotta i obwinił go o błędy w przygotowaniach do wyprawy.

Osobą, która mnie najbardziej zaintrygowała, nie był jednak ani Gilbert White, ani któryś z Oatesów, lecz niejaki Herbert George Ponting, oficjalny kamerzysta ekspedycji Scotta. Ponting był kompetentnym fotografem, ale nie znał się na filmach — w 1910 roku prawie nikt się nie znał — toteż uczył się metodą prób i błędów, co zaowocowało znakomitymi materiałami na temat przygotowań Scotta i jego zespołu do epickiej wyprawy w bazie na Antarktydzie.

Ponting przez wiele lat opracowywał ten materiał i zrobił z niego film zatytułowany *Dziewięćdziesiąt stopni szerokości południowej*. W pokoju na górze cały czas wyświetlany jest dziesięciominutowy skrót z tego filmu. Usiadłem z czystej ciekawości i natychmiast mnie pochłonął. Ludzie, o których przed chwilą czytałem, nagle ożyli i stali się realni. Machali, uśmiechali się i chodzili, trochę szarpanymi ruchami, w radosnych nastrojach i wyraźnie nieświadomi, że niedługo będą martwi. Ponting tak długo przemontowywał materiał, że zanim był gotów podzielić się ze światem swoim dziełem, świat stracił zainteresowanie i film poniósł porażkę kasową. Ponting był zrujnowany fizycznie i finansowo, zmarł w nędzy. Muzeum Gilberta White’a to prawdopodobnie jedyne miejsce na świecie, w którym się o nim wspomina.

Opuściłem Selborne Ulicą Pełną Wdzięku (Gracious Street), która nie tylko ładnie się nazywa, ale też biegnie między ładnym szpalerem chat, w większości z urodziwą czapką ze strzechy. Potem czekała mnie długa wspinaczka stromym zboczem i dalej na pola uprawne z kolejnym rozległym widokiem. Tutaj jednak

biła po oczach kolumna skutych ze sobą słupów elektrycznych, które maszerowały posępnie na pierwszym planie. Dalej mam stary wycinek z „The Economist” — wiem, że dopiero co pomstowałem na tę gazetę, ale w tej kwestii ich popieram — z czasów, kiedy pani Thatcher prywatyzowała dystrybucję energii: autor stwierdził, że gdyby na spółki energetyczne nałożyć wymóg przeznaczania pół procent przychodów na zakopywanie kabli do ziemi, środków tych wystarczyłoby na zakopanie tysiąca sześciuset kilometrów kabla rocznie. Gdyby rząd wprowadził wtedy taki przepis, dziś wszystkie kable biegłyby pod ziemią.

Ale jak na jeden rozdział dosyć się już namarudziłem o atakach na krajobraz, więc zasłońmy oczy i pospieszmy na dół do przyjemnej wioski Farrington. Miejscowość nie jest zbyt duża, ale zobaczyłem jej więcej, niż zamierzałem, ponieważ się zgubiłem i spenetrowałem cały szereg uliczek. Na szczęście to oznaczało, że przypadkiem trafiłem na niezwykły budynek, który, jak teraz już wiem, nazywa się Massey’s Folly. Duża, ozdobna i zbudowana z cegły, konstrukcja ta olśniewa urodą i nie spełnia żadnej oczywistej funkcji. Pod niektórymi kątami wygląda na budynek mieszkaniowy, a pod innymi na przemysłowy, na przykład wiatrak czy pompownię.

Przechodząc obok dwóch pań wyprowadzających na spacer psy, zapytałem je o Massey’s Folly. Wiedziały niewiele, więc później poszperałem trochę w internecie i oto, czego się dowiedziałem. Osobliwość tę zbudował bogaty i ekscentryczny miejscowy duchowny Thomas Hackett Massey, który mieszkał w Farrington przez sześćdziesiąt dwa lata, od 1857 do 1919 roku. W jego zamierzeniach miał to być rodzaj świetlicy i przedszkola, ale pastor po kawałku dobudowywał różne przypadkowe elementy. Massey był nie tylko ekscentrykiem, ale również odludkiem, co u duchownego musi zaskakiwać. W miejscowym kościele postawił parawan, żeby wierni słyszeli jego kazania, ale nie widzieli jego samego. W 2014 roku Massey’s Folly wystawiono na sprzedaż. Do momentu oddania książki do druku budynek nie znalazł nabywcy.

Wspomniane panie nie wiedziały wprawdzie zbyt wiele na temat miejscowej ciekawostki architektonicznej, ale znały drogę do Chawton i wyprowadziły mnie na

skraj wsi, żeby pokazać mi ścieżkę przez osiedle mieszkaniowe i dalej przez las; potem pomachaliśmy sobie nawzajem na pożegnanie i ruszyłem w dalszą drogę.

Po kilkuset metrach przeciąłem wąską, ale podniecająco ruchliwą szosę i brnąłem dalej w stronę starej, nieużywanej linii kolejowej. Przebiegała tędy Meon Valley Railway, łącząca miasto targowe Alton na północy Hampshire z Gosport na południu. Ponieważ niewiele osób chciało podróżować między tymi dwiema miejscowościami, w 1955 roku, nieco ponad pół stulecia od powstania, linię zamknięto dla ruchu pasażerskiego. Tory przebiegały pod uroczymi ceglanyimi wiaduktami, dzisiaj tak zarosniętymi, że w gruncie rzeczy należą do naturalnego krajobrazu. Ozdobiono je pasami cegieł w kontrastujących ze sobą odcieniach — szczypta estetyki, której nie widział nikt poza maszynistami i robotnikami naprawiającymi tory. To niesamowite, ile wiktoriańscy inżynierowie zadawali sobie trudu, żeby ich wytwory były miłe dla oka. Dzięki temu, że linia Meon Valley jest tak mało znana, przeżyła swój moment chwały. Cztery dni przed inwazją aliantów w Normandii przywódcy sojusznicznych krajów — Winston Churchill, Dwight D. Eisenhower, Jan Smuts z Republiki Południowej Afryki i król Kanady William Lyon Mackenzie — spotkali się w Pociągu Królewskim kawałek na południe od miejsca, w którym się teraz znajdowałem, żeby domówić szczegóły operacji. Linię Meon Valley wybrano dlatego, że prawie nikt o niej nie słyszał, a zatem była bezpieczna — co mi się całkiem spodobało. Być może cały region powinien się reklamować takim oto hasłem: „Witamy we Wschodnim Hampshire. Nikt o nas nie słyszał, więc jest tutaj bezpiecznie”.

Spojrzałem na mapę i odkryłem, że w dużo większym stopniu, niż się spodziewałem, idę śladami historii, znajdowałem się bowiem na tak zwanej Drodze św. Swithuna. Jest to część trasy pielgrzymkowej z Winchesteru do Canterbury przez North Downs, będącej z kolei częścią znacznie starszego szlaku do Stonehenge i Avebury. Przez co najmniej tysiąc lat była to autostrada M4 pieszego świata.

Być może sam św. Swithun stawiał stopy w tych samych miejscach, co ja teraz. Pewnego dnia spotkał kobietę, która była w rozpaczy, ponieważ stłukły jej się jaja

w koszyku. Święty Swithun wykonał falujący gest dłonią i jaja na powrót poskładały się w całość. Przyznaję, że była to świetna sztuczka, ale nie wiem, czy naprawa potłuczonych jajek skłoniłaby mnie do wyruszenia na dwustukilometrową wyprawę z Canterbury do Winchester, żeby oddać hołd biskupowi, a przecież w średniowieczu ludzie ciągle to robili. Święty Swithun stał się obiektem kultu. Katedry w całej Anglii ubiegały się o jego relikwie. Głowa trafiła do Canterbury, jedno ramię do Peterborough, a pozostałe członki do rozmaitych świątyń na terenie całego kraju. Cóż za paradoks: człowiek, który potrafił poskładać do kupy jajka, siebie samego nie umiał zachować w jednym kawałku.

W 971 roku kości św. Swithuna przechowywane w katedrze winchesterskiej przeniesiono z jednej części kościoła do innej, co zbiegło się z potężną burzą. Dzień ten, 15 lipca, stał się dniem św. Swithuna, a wydarzenie to dało początek legendzie opisanej w poniższym wierszu:

*St Swithun's Day, kiedy luniesz deszczem,  
Przez czterdzieści dni popada nam jeszcze.  
St Swithun's Day, gdy rozpędzisz chmury,  
Przez czterdzieści dni nic nie spadnie z góry.*

Chawton to kolejna urocza wieś — roi się od nich w tej części świata — schowana przy bocznej drodze i na pierwszy rzut oka prawie taka sama, jak w czasach Jane Austen. Chawton Cottage, gdzie powieściopisarka mieszkała ze swoją matką i siostrą, jest zbudowana z jasnej cegły i stoi niedaleko drogi. Wnętrze jest prosto urządzone, tak jak w czasach Austen, z kilkoma ładnymi meblami, ale jednocześnie z dziwnym klimatem pustki, uwydatnianej przez gołe podłogi i puste kominki. Rzuca się w oczy brak bibelotów i przedmiotów osobistych na stołach i kominkach, zapewne dlatego, że wszystko, co zostało, rozkradziono. W rezultacie, jak to często bywa z domami sławnych ludzi, zyskujemy pewne wyobrażenie na temat rozkładu pomieszczeń, ale prawie niczego się nie dowiadujemy o osobie, która tam mieszkała. Nie jest to smutna skarga, tylko spostrzeżenie. Nie może być inaczej.

Jane Austen mieszkała w tym domu przez osiem lat, od 1809 do 1817 roku, i stworzyła w tym okresie swoje najwybitniejsze dzieła: napisała *Emmę*, *Perswazje* i *Mansfield Park*, a także zredagowała i przygotowała do publikacji *Rozważną i romantyczną*, *Dumę i uprzedzenie* oraz *Opactwo Northanger*. Wizytówką muzeum jest okrągły stoliczek, na którym powstały wszystkie książki pisarki. Kiedy tam wszedłem, otaczała go grupka japońskich turystów, dyskutujących nabożnym szeptem — jak wynika z moich doświadczeń, Japończycy są w tym wyjątkowo dobrzy. Żadna inna nacja nie potrafi tyle wycisnąć z paru chrząknięć i zaokrąglonych samogłosek, rozciągniętych i wypowiedzianych tonem zaskoczenia albo konsternacji. Japończycy potrafią prowadzić najbardziej skomplikowane rozmowy, obejmujące pełen zakres ludzkich emocji — zaskoczenie, entuzjazm, serdeczna pochwała czy stanowcza niezgoda — tonem, który do złudzenia przypomina odgłos tłumionego orgazmu.

Podążałem za nimi z pokoju do pokoju, zuroczony ich rozmową, dopóki nie zdałem sobie sprawy, że zaczynam się w nią włączać, a oni rzucają zakłopotane spojrzenia w moją stronę, ukloniłem się zatem przepaszajaco i zostawiłem ich, żeby mogli podziwiać stary kominek z cichymi stęknieniami ekspresyjnej rozkoszy.

Jane Austen opuściła ten dom latem 1817 roku, aby wyjechać do oddalonego o dwadzieścia pięć kilometrów na zachód Winchesteru i umrzeć. Miała zaledwie czterdzieści jeden lat. Przyczyny śmierci nie znamy. Mogła to być choroba Addisona, chłoniak Hodgkina, tyfus, a może zatrucie arsenikiem, w tamtych czasach zaskakująco częste, ponieważ substancję tę powszechnie stosowano do wyrobu tapet i barwienia tkanin. Pojawiła się nawet hipoteza, że charakterystyczna dla epoki romantyzmu ogólna atmosfera *ennui* i słabowitości wynikała z faktu, że kolejne pokolenia kobiet spędzały za dużo czasu w czterech ścianach i wdychały łagodnie toksyczne wyziewy. W każdym razie trzy dni po św. Swithunie w 1817 roku Jane Austen wyzionęła ducha.

Byłem bardzo zadowolony, że zwiedziłem dom powieściopisarki, ale znacznie mniej ucieszył mnie fakt, że niebo mocno przez ten czas pociemniało i czekało mnie kilkanaście kilometrów marszu w deszczu.

## II

National Trust to wspaniała instytucja. Nie może być co do tego żadnych wątpliwości. Opiekuje się stu sześćdziesięcioma zabytkowymi budynkami, czterdziestoma tysiącami stanowisk archeologicznych, tysiąc dwieście czterdziestoma siedmioma kilometrami wybrzeża i dwieście pięćdziesięcioma tysiącami hektarów krajobrazu. Jest nawet właścicielem i zarządcą pięćdziesięciu dziewięciu miejscowości. Dzięki istnieniu National Trust świat bez wątpienia jest lepszym miejscem. Pozwolę sobie w związku z tym zadać następujące pytanie: dlaczego National Trust musi być tak strasznie irytujący?

Wspominam o tym dlatego, że następnym portem, do którego zawinąłem, była znajdująca się pod pieczęcią National Trust prehistoryczna osada i megalityczne stanowisko Avebury, w jednakowej mierze zachwycające i denerwujące. Wieś Avebury to atrakcyjna miejscowość z urzędem pocztowym, sklepem, estetycznymi chatami, dworem czy krytym strzechą pubem. Byłaby to najzupełniej zwyczajna wieś, gdyby nie rozsiane na jej terenie i wokół niej wielkie, kanciaste, stojące na sztorc kamienie. Niektóre są całkiem ciężkie i ustawienie ich w danym miejscu z pewnością wymagało ogromnego wysiłku. Największe ważą około stu ton.

Megality w Avebury nie są takie gładkie i malowniczo pogrupowane jak te w Stonehenge, ale szorstka faktura i zróżnicowane rozmiary nadają im bardziej prymitywną i groźną aurę. W Avebury dech zapiera nie uroda kamieni, lecz ich skala. Zewnętrzny krąg megalitów zajmuje powierzchnię jedenastu hektarów, a to tylko niewielka część tej prehistorycznej instalacji. W najbliższej okolicy znajdowały się dwa inne fragmentaryczne kamienne kręgi, gigantyczne wały i rowy, procesyjne aleje i kurhany. A przecież Avebury jest tylko cieniem dawnego siebie. Z ponad sześciuset megalitów ostało się tylko siedemdziesiąt sześć. Mimo to nadal jest największym kamiennym kręgiem w Europie, czternaście razy większym od Stonehenge.

Świątynia jest wielka i skomplikowana, a na dodatek w środku niej znajduje się wieś, co niezmiernie utrudnia orientację, w której National Trust prawie w ogóle

nie pomaga. Nie ma tablic informacyjnych ani map z rozkładem zabytku, nie ma też absolutnie żadnych objaśnień. Jeżeli ktoś chce wiedzieć, na co patrzy, musi kupić przewodnik. Drogowskazy kierują tylko do tych miejsc, w których można wydać pieniądze — do sklepu, muzeum, restauracji. Byłyby miło, gdyby w ramach biletu za parking i wstęp dawali też mapkę obiektu, ale National Trust nie działa w ten sposób. Oni lubią za wszystko liczyć osobno. Tylko czekać, aż w toi-toi obsługiwanym przez wolontariusza trzeba będzie płacić za porcję papieru toaletowego.

W ciągu paru minut po przyjeździe zdążyłem zapłacić siedem funtów za parking, dziesięć funtów za bilet do dworu i ogrodu oraz cztery funty dziewięćdziesiąt pensów za wstęp do małego muzeum, ale dalej się nie orientowałem w układzie megalitów, więc poszedłem do sklepu z pamiątkami i za dziewięć funtów dziewięćdziesiąt dziewięć pensów kupiłem dużą, elegancko wydaną mapę, co oznacza, że wydałem w Avebury trzydzieści jeden funtów osiemdziesiąt jeden pensów, nie wypiwszy nawet herbaty. No to poszedłem na herbatę (dwa i pół funta) i przestudiowałem mapę. Następnie, odrobinę naburmuszony, ruszyłem powąłęsać się między kamieniami i wszelkie pretensje do świata nagle ze mnie wyparowały, ponieważ Avebury jest po prostu niesamowite.

Dzisiejszy kształt Avebury jest prawie wyłączną zasługą pewnego niezwykłego człowieka, który nazywał się Alexander Keiller. Keiller urodził się w 1889 roku w wannie z marmoladą, że się tak wyrażę. Jego rodzina produkowała w Dundee słynną marmoladę Keillera, ale rodzice szybko go odumarli i Keiller dorastał jako bardzo bogata sierota. Po osiągnięciu pełnoletności zostawił prowadzenie interesów jednemu z wujków, a sam poświęcił się szybkim samochodom, jeździe na nartach, nadzwyczaj aktywnemu życiu seksualnemu i szeregowi poronionych pomysłów biznesowych. Zainwestował między innymi w „wóz wiatrowy”, samochód napędzany zamontowanym z tyłu śmigłem samolotowym. Jedyne problemy polegały na tym, że śmigło miało brzydki zwyczaj kroić Bogu ducha winnych przechodniów na plasterki salami, przez co interes upadł. Następnie Keiller postanowił produkować samochody z siedzeniami, które można było rozłożyć do spania, ale



niestety położył to przedsięwzięcie, zanim klienci zdążyli się położyć w jego autach.

W przerwach między topieniem kasy w idiotycznych przedsięwzięciach Keiller zajmował się „zglobianiem szerokiego wachlarza praktyk seksualnych”, jak to eufemistycznie ujmuje *Dictionary of National Biography*. Według Lyndy J. - Murray, autorki jego biografii, Keiller zaskoczył pewną młodą kobietę, niejaką Antonię White, prośbą o to, żeby weszła do kosza na bieliznę „w samym płaszczu przeciwdeszczowym, żeby mógł ją szturchać parasolem między włóknami wikliny”. Pani Murray, w innych miejscach niezwykle skrupulatna, niestety nie podejmuje kwestii, w jaki sposób Keiller czerpał z tego przyjemność ani czy pani White spełniła jego prośbę. Z grupą mężczyzn o podobnych upodobaniach założył klub, którego członkowie po kolei uprawiali seks z ochoczą (i zapewne zaprawioną w bojach) prostytutką, a następnie siadali przy szklaneczkach whisky i dzielili się refleksjami na temat przeżytych doznań. Mimo tych wszystkich dewiacji (a może dzięki nim) Keiller miał cały sznur kochanek i cztery żony.

W 1924 roku, w wieku trzydziestu pięciu lat, Keiller po raz pierwszy odwiedził Avebury i natychmiast znalazł nowe powołanie życiowe. Avebury nie było wtedy wspaniałym, wypielęgnowanym skarbem, który możemy oglądać dzisiaj. Jak relacjonuje Murray, kamienie stały pośród „chaosu świńskich chlewów, rozpadających się bud z blachy falistej, zaniedbanych chat i starego garażu, któremu przydałby się remont. Wszystko było zarośnięte krzakami i drzewami, a te megality z kręgu, które się ostały, zasłaniał jakiś nieokreślonego przeznaczenia budynek”. Wiele kamieni się przewróciło, a część pozostałych pokruszono w dawnych wiekach na materiał budowlany. W momencie wizyty Keillera stało tylko piętnaście megalitów.

Keiller kupił dwór w Avebury i zainwestował swój majątek, a także swoją niemałą energię, w dalekowzroczny program wykopaliskowo-renowacyjny. Dziedzic marmoladowej fortuny nie był zbyt lubiany ze względu na swoją skłonność do burzenia chat i stodół, które przeszkadzały w pracach wykopaliskowych, a także dlatego, że ze stojącego na dworskich gruntach domu

wykopał pewne stare małżeństwo, aby zainstalować tam swoją kochankę. Nie ulega jednak wątpliwości, że sfinansowane przez niego prace archeologiczne były na światowym poziomie i uczyniły z Avebury dzisiejszy bezcenny zabytek. Keiller zajmował się tymi pracami prawie dwadzieścia lat, do 1943 roku, kiedy ze względu na pogarszający się stan zdrowia sprzedał obiekt National Trust. Zmarł w 1955 roku, w gruncie rzeczy zapomniany.

Bardzo chciałem obejrzeć dwór, sądziłem bowiem, że zobaczę tam pamiątki po Keillerze i skarby archeologii. O, święta naiwności! National Trust zrobiło w Avebury najdurniejszą rzecz w całej swojej historii, a mianowicie pozwoliło zamienić dwór w scenografię dla zapomnianego dzisiaj serialu BBC. Idea serialu była taka, żeby urządzić każdy pokój w stylu z innej epoki od momentu powstania dworu. Na pierwszy rzut oka pomysł mógł się wydawać świetny. Problem w tym, że najwyraźniej zrealizowali go projektanci i technicy, którzy budową scenografii zarabiają na życie. Pierwszą rzeczą, która rzuca się w oczy po wejściu do studia telewizyjnego, jest tandetność tego wszystkiego. Rekwizyty i sprzęty, które na ekranie wyglądają zupełnie w porządku, z bliska okazują się atrapami. Byłem kiedyś na planie programu *University Challenge*. Od przodu super, ale od tyłu można zobaczyć, że wszystko jest zrobione ze sklejki i taśmy izolacyjnej.

Każdy pokój w dworze wyglądał tak, jakby go urządzono mniej więcej w dwadzieścia minut. Okresowi pobytu Keillera poświęcono tylko jedno niewielkie pomieszczenie, w którym nie było prawie żadnych informacji o tym, dlaczego przyjechał do Avebury i co tam osiągnął. Inne pokoje nie miały zupełnie nic wspólnego z zabytkami na zewnątrz.

Mieszczące się w pobliskich stajniach muzeum było tylko odrobinę mniej rozczarowujące. Avebury nie bez powodu zostało wpisane na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO. Muzeum poświęcone temu niezwykłemu, fascynującemu miejscu sprawiało wrażenie zrobionego niedbale i bez pomysłu, jakby ktoś chciał tylko odbębnić swoją robotę, a nie podzielić się ze światem swoim entuzjazmem. Prawie nic nie wiemy o ludziach, którzy zbudowali Avebury, jakim językiem mówili, jak wyglądała ich kultura i wierzenia, jak spędzali czas, skąd pochodzili

czy choćby jak się ubierali. Są dla nas absolutną zagadką, a przecież mieli ambicje i możliwości organizacyjne pozwalające wybudować największy kamienny krąg w Europie. Tymczasem po muzealnikach zupełnie nie widać, żeby budziło to w nich jakieś żywsze emocje, toteż muszą o nie zadbać sami goście, a tych, muszą przyznać, było mnóstwo.

Zaskoczyło mnie, jak popularne stało się Avebury. Koło jedenastej kłębił się tam całkiem gęsty tłum. Musiałem stanąć w kolejce, żeby przejść przez kołowrót i pogratulowałem sobie, że wypilem wcześniej herbatę, bo w restauracji też zdążyła się ustawić całkiem spora kolejka.

Niecałe dwa kilometry dalej znajduje się coś równie niesamowitego i być może nawet bardziej zapadającego w pamięć niż samo Avebury: Silbury Hill. Nie należy do National Trust, więc instytucja ta nie informuje o nim, a szkoda, bo Silbury Hill to istne чудо. Ma pięćdziesiąt metrów wysokości, mniej więcej tyle, ile dziesięciopiętrowy budynek — i zostało usypane przez człowieka, co czyni z niego najwyższy prehistoryczny kopiec na świecie. Na całym ziemskim globie nie ma niczego podobnego. W całości porośnięty trawą kopiec ma bardzo regularny kształt. Nie mogłem oderwać od niego oczu. Jest po prostu doskonały i zasługuje na to, żeby cały świat o nim wiedział.

Do Silbury Hill można bez problemu dojść z Avebury przez pola uprawne. Spacerowało mi się całkiem przyjemnie, ale ścieżka była mocno zarośnięta, co sugeruje, że jest rzadko uczęszczana. Miejscami musiałem się przedzierać przez pokrzywy i ostrężyny. Po drodze nikogo nie spotkałem, a pod samym kopcem też nie było żywej duszy. Na Silbury Hill nie można wchodzić — jest zbyt delikatny — ale można za darmo na niego patrzeć, ile tylko chcesz. Myślę, że mógłbym tam spędzić większość dnia — taki jest fascynujący. Budowa kopca wymagała wprost niewyobrażalnej ilości pracy, ale jego funkcji nie znamy. Nie jest to kurhan nagrobny. W środku nie ma skarbów. Po prostu ziemia i kamienie pieczołowicie ułożone w kopiec o kształcie puddingu. Z całą pewnością można powiedzieć tylko tyle, że w jakiejś bardzo odległej przeszłości, z nieznanых powodów, jacyś ludzie postanowili usypać w tym miejscu wzgórze. Nie potrafimy nawet odpowiedzieć na

pytanie, skąd wzięły się materiały potrzebne do budowy kopca. W okolicy próżno szukać głębokiej na pięćdziesiąt metrów dziury. Krajobraz jest zupełnie nienaruszony, a przecież ludzie skądś przytargali ziemię i kamienie wystarczające do usypania małej góry. Coś niezwykłego.

Ale to nie wszystko. Po drugiej stronie ruchliwej szosy — trzeba tak szybko przesmygnąć, że aż plecak podskakuje — jakieś pół kilometra do góry stromą ścieżką znajduje się West Kennet Long Barrow, duża komora grobowa. Również ten zabytek miałem wyłącznie dla siebie. Z jego wierzchołka rozciągał się przepiękny widok. Na pierwszym planie — Silbury Hill, kształtny, majestatyczny kopiec. Spory kawałek dalej kilkaset połyskujących na słońcu samochodów zaparkowanych na parkingu National Trust i cały czas przyjeżdżają kolejne. Na horyzoncie we wszystkich kierunkach śliczne niskie wzgórza i szeroka paleta pól uprawnych.

Jednak sam kopiec na pierwszy rzut oka nie wydawał się szczególnie fascynujący. Ta długa, trawiasta wyniosłość tak mocno wpisała się w krajobraz, że nie wyglądała na dzieło rąk ludzkich. Ale kiedy się uważnie przyjrzałem, odkryłem częściowo ukryte za potężnym kamieniem wejście do środka. A tam — rewelacja. Zobaczyłem, że kopiec jest zbudowany z gigantycznych kamieni, w tym również nie mniejszych od megalitów w Avebury, tworzących ściany i stropy. Ma sto metrów długości. Było to gigantyczne przedsięwzięcie. Zbudowano go pięć tysięcy pięćset lat temu, ale wszystko wskazuje na to, że pochowano w jego wnętrzu mniej niż pięćdziesiąt osób w okresie zaledwie dwudziestu kilku lat. Zwłoki posegregowano według płci i wieku. Nic więcej nie da się ustalić.

Bardzo się ucieszyłem, że tam polazłem. Ponownie wspiałem się na wierzchołek kopca i chłonałem ten widok, czując się jak zdobywca, zadowolony, że mam to wszystko wyłącznie dla siebie.

— Ta część dnia nie kosztowała mnie ani pensa — powiedziałem dumny z dłońmi na biodrach.

## Na zachód

### I

Pewnego dnia natrafiłem w London Library na dwie książki, które odmieniły moje życie, a przynajmniej tę niewielką jego część, która dotyczy brytyjskich szos.

Pierwsza z nich to szczupły tom zatytułowany *Raport komisji ministerialnej o drogach (1944)*, opublikowany przez His Majesty's Stationery Office i poświęcony kwestii numeracji dróg oraz koncepcjom jej powojennego usprawnienia. Zafascynowała mnie myśl, że podczas gdy cała reszta alianckiego świata ćwiczyła przed inwazją normandzką, komisja parlamentarna w Westminsterze skupiła się na prawdopodobnie trochę mniej pilnej kwestii powojennej numeracji dróg. Wyobraziłem sobie dwudziestu mężczyzn siedzących wokół stołu w jakimś podziemnym bunkrze, z tynkiem osiadającym im na głowach i ramionach po każdym pobliskim wybuchu niemieckiej bomby, i przewodniczącego, który mówi: „Teraz zajmiemy się kwestią, czy B3601 należy nadać kategorię arterii pomiędzy Slumpton Dumpton i Great Twitching. Kto chciałby zabrać głos jako pierwszy?”.

Poza raportem komisji ministerialnej na tej samej półce stało obszerniejsze i nowsze dzieło zatytułowane *A, B, C i M: cała prawda o numeracji dróg* autorstwa Andrew Emmersona i Petera Bancrofta. W pracy tej wyczerpująco — słowem tym posługuję się tutaj z rzadką precyzją — wyjaśniono historię i metodologię brytyjskiej numeracji dróg.

Z zaskoczeniem się dowiedziałem, że drogi są numerowane zgodnie

z określonym systemem, ale potem sobie przypomniałem, że jest to system brytyjski, co oznacza, że w niczym nie przypomina systemów stosowanych w innych krajach. Pierwsza zasada, na której opiera się każdy brytyjski system, brzmi, że jego systemowość musi być pozorna. Tutaj tkwi sedno sprawy. Zasada ta odróżnia brytyjskie systemy od wypracowanych przez pospolitsze nacje. W odniesieniu do dróg działa to następująco: kraj dzieli się na sześć sektorów wyznaczonych przez drogi A wychodzące z Londynu. Zaczynamy więc od przebiegającej w osi północ-południe A1 (Londyn-Edynburg), a potem zgodnie z ruchem wskazówek zegara przechodzimy do A2 (Londyn-Dover), A3 (Londyn-Portsmouth) i tak dalej aż do A6 (Londyn-Carlisle). Drogi te dzielą kraj na sektory w kształcie klinów (wyobraźmy sobie Anglię jako niestarannie pokrojoną pizzę). Co do zasady, wszystkim drogom w danym klinie przypisuje się tę samą cyfrę początkową, czyli na przykład A11 i B1065 znajdują się w sektorze 1 (to znaczy między A1 i A2), natomiast A30, A327 i B3006 znajdują się w sektorze trzecim. Teoretycznie zatem, jeśli wybudzisz się ze śpiączki, nie wiedząc, gdzie jesteś, wystarczy ustalić numer drogi i jeżeli zaczyna się od cyfry jeden, to już wiesz, że jesteś gdzieś pomiędzy Londynem a Edynburgiem na wschód od A1, ale na zachód od A2, i wychodząc od tej informacji, możesz odpowiednio zaplanować swoje dalsze życie.

Cechą, która sprawia, że brytyjski system numeracji dróg fascynuje takich ludzi jak Emmerson i Bancroft, jest to, że system ten nie działa, bo działać nie może. Jak powiadam, na tym polega jego genialność. Po pierwsze, żeby móc przemieszczać się przez kraj, drogi muszą opuszczać wyznaczone im sektory. Na przykład A38 zaczyna się w strefie trzeciej, ale podczas podróży z Devonu do Nottinghamshire wkracza do sektorów czwartego, piątego i szóstego. A41 zaczyna się i kończy w strefie piątej. Nazywa się A41, ponieważ — przepraszam, nie wiem, dlaczego tak się nazywa. Zasada — nie wymyśliłem sobie tego, bo to jest nie do wymyślenia — mówi, że drogi mogą się zapuszczać do innych stref bez utraty cyfry początkowej pod warunkiem, iż robią to zgodnie z ruchem wskazówek zegara, ale od tej reguły również istnieją wyjątki.

Inną osobliwością brytyjskiego systemu — kiedy w tym rozdziale posługuję się słowem „system”, wyobraźcie sobie, że za każdym razem robię z palców królicze uszy — jest istnienie wielu nieciągłych dróg. A34 prowadzi z Winchester do Oksfordu, a następnie całkiem znika, by pojawić się ponownie sto kilometrów dalej w Birmingham. Podobnie zachowuje się A46, która biegnie z Tewkesbury do Coventry, gdzie na jakiś czas odechciewa jej się żyć (każdy, kto był kiedyś w Coventry, bez problemu to zrozumie), a potem wyskakuje znowu w Leicester i podąża aż do Lincoln. (Być może biegnie nawet dalej, ale nikt tego nie sprawdził). Nieciągłości te, mówią Emmerson i Bancroft, dostarczają niezawodnego źródła „niewinnego rozbawienia”. Zgadzam się z nimi w całej rozciągłości.

„Fascynującym zajęciem — kontynuują autorzy — jest poszukiwanie brakujących numerów skrzyżowań, na przykład Junction 3 na autostradzie M1”. W rzeczy samej. Jakże często wszyscy się zastanawialiśmy, gdzie wcięło to skrzyżowanie. Odpowiedź: miał z niego wychodzić łącznik do A1, którego nigdy nie zbudowano. I pomyśleć, że są ludzie, którzy potrzebują alkoholu albo seksu, żeby się dobrze bawić.

Z mojego doświadczenia wynika, że wszystkie brytyjskie systemy tak wyglądają. Weźmy język angielski, z jego ortografią, gramatyką i interpunkcją. Tylko Brytyjczycy mogli wymyślić taką pisownię jak *eight* i *island*, pozbawioną jakichkolwiek związków z fonetyką, albo słowo *colonel*, w którym próżno szukać litery „r”, mimo że się ją wymawia. Albo spójrzmy na brytyjską konstytucję, która nie jest spisana na jednym kawałku pergaminu z nagłówkiem „Konstytucja”, jak można by oczekiwać, tylko rozsiana po różnych szufladach i szafach na dokumenty, a zapewne również starych kufrach, do których klucz zaginął w czasach Anny z Kleve. Nikt nie wie, co jest w brytyjskiej konstytucji, ponieważ istnieje ona wyłącznie jako ideał. Albo weźmy stare pieniądze, wszystkie te floreny, półkorony czy półtrzenie pensa i wyobraźmy sobie czasy, kiedy ludzie musieli dodać *tuppence ha’penny* do jednego szylinga i czterech cycusiów czy czegoś w tym guście.

Często się sugeruje, że Brytyjczycy robią to wszystko po to, żeby mieć radochę z dezorientowania cudzoziemców, ale jest to hipoteza z gruntu błędna. Brytyjczycy mają gdzieś cudzoziemców. Brytyjczycy robią te wszystkie rzeczy po to, żeby zdeorientować samych siebie. Nie mam pojęcia, z czego to wynika, ponieważ Brytyjczycy nie chcą mi powiedzieć. Nie da się z nimi o tym porozmawiać, ponieważ idą w zaparte. Jeśli zasugerujesz Brytyjczykom, że któryś z brytyjskich systemów — powiedzmy miary i wagi — jest trochę dziwny albo nielogiczny, natychmiast się wkurzą i powiedzą:

— Nie mam pojęcia, o czym gadasz.

— Przecież tam jest pełno bezsensownych jednostek takich jak buszle, baryły i beczki — zwracasz im uwagę. — Nie sposób się połapać.

— To ty nie możesz się połapać — prychnie Brytyjczyk. — Pół beczki to dzban, pół dzbana to szklanica, pół szklanicy to haust, a pół haustu to łyk. Co jest w tym nielogicznego?

Nie da się nic z nich wyciągnąć w tej sprawie, więc nie wiem, dlaczego to robią, tak samo jak nie wiem, dlaczego szerokie rzesze społeczeństwa brytyjskiego oglądają *Mirandę* albo uważają, że dżem poprawia smak ciasta. Po prostu tak mają.

Co powiedziawszy, muszę przyznać, że z upływem lat zaczynałem dostrzegać pewne zalety niesystematyczności. Przede wszystkim dzięki nim nie staniesz się Szwajcarem, a za to warto zapłacić każdą cenę. Poza tym niesystematyczność wnosi w życie element różnorodności i nieprzewidywalności, dzięki któremu najprostsze przedsięwzięcia stają się interesującym wyzwaniem.

Porównajmy poruszanie się po Londynie z poruszaniem się po Paryżu. Jak każdy wie, Paryż jest podzielony na *arrondissements*, ponumerowane zgodnie z ruchem wskazówek zegara od centrum. Po dziesięciu minutach oglądania mapy Paryża zrozumiesz ten system na zawsze. Londyn organizuje się według okręgów pocztowych. Najzupełniej logicznie okręgi te zaczynają się od centrum, czyli obok W1 mamy W2, a WC1 sąsiaduje z WC2, ale potem wszystko się sypie, ponieważ poza centrum Londynu okręgi są ponumerowane zgodnie z nazwami sortowni, a to oznacza, że SW6 styka się z SW18, a N15 z N4 i N22 natomiast SE2 leży



dwadzieścia kilometrów od SE1. (Poruszając się na wschód od SE1, przecinasz kolejno SE16, SE8, SE10, SE7, SE18 oraz róg SE28).

Skutki praktyczne są takie, że aby zrozumieć system londyński, trzeba mu poświęcić wiele lat studiów. Gdybyś nie odrobił tego zadania i próbował się przemieścić z SE1 do E4, mógłbyś wylądować w każdym punkcie brytyjskiej stolicy. W Londynie roi się od ludzi, którzy mieszkają w bramach albo pod wiaduktami kolejowymi, ponieważ nie mogli znaleźć E4. Wszyscy przyjęli błędne założenie, że miejsce to znajduje się we wschodnim Londynie, podczas gdy każdy, kto przestudiował plan miasta, wie, że E4 znajduje się w strefie północnej — jest to najbardziej wysunięty na północ ze wszystkich londyńskich okręgów pocztowych. I właśnie z tego powodu nazywa się E4.

Sytuacja ta ma pewną złą stronę, a mianowicie łatwo jest przekroczyć pewną granicę i tak bardzo się zainteresować numeracją dróg, londyńskimi okręgami pocztowymi czy jakimś innym obszarem wiedzy tajemnej, że zanim się zorientujesz, jesteś członkiem jakiegoś stowarzyszenia i abonentem kwartalnego biuletynu, a może nawet musisz jeździć na płatne wycieczki autokarowe. (W tym stadium powinieneś skorzystać z pomocy lekarskiej). W literaturze przedmiotu można znaleźć skrajne przypadki ludzi, którzy stoją na peronie stacji kolejowej w Doncaster i zapisują w zeszyciku numery znamionowe lokomotyw. Do takich ludzi pod żadnym pozorem nie wolno się zbliżać.

Nie zamierzam przekonywać, że rozumiem brytyjskie systemy, ale mogę powiedzieć, że pewnego pięknego wiosennego poranka, kiedy nasza historia ponownie rusza z miejsca, jechałem na zachód przez Hampshire i Dorset zasadniczo drogami B3006, A31 i A354, ale z interesującą nieciągłością na A3090 między Hockley Viaduct i Oliver's Dribbling Battery, a po zasięgnięciu na stacji benzynowej porady w kwestii najlepszej trasy między Romsey i Blandford Forum dotarłem koło południa do Lyme Regis.

Mam wielką słabość do Lyme Regis wynikającą prawie wyłącznie z faktu, że kiedy moja żona i ja byliśmy młodzi i ubodzy, w pewien wietrzny weekend

postanowiliśmy zaszaleć i przenocowaliśmy w pewnym tamtejszym hotelu. Z tego pensjonatu na szczycie klifu rozciągały się dalekie widoki na zimne morze. Kiedyś był to chyba prywatny dom i najlepsze czasy miał już za sobą, ale dla nas oznaczał szczyty luksusu, ponieważ miał swój bar, a kolacje ubogacał wózek ze słodyczami. Uwierzcie mi, kiedy wózek każdego wieczoru wjeżdżał z klekotem, załadowany smakołykami, wszystkie głowy w jadalni skwapliwie się obracały. Hotel prowadził zagoniony, drażliwy mężczyzna, który toczył nieustanną walkę z hotelową infrastrukturą. Pamiętam, jak w maleńkim barze zamówiłem piwo i przez następne dziesięć minut obserwowałem, jak właściciel niecierpliwie naciska dźwignię i z kraniku dobywają się głównie kasznięcia i prychnięcia. W końcu zaprezentował mi szklankę mniej więcej w trzech czwartych wypełnioną pianą do golenia.

— Muszę wymienić beczkę — burknął niezadowolonym tonem, najwyraźniej uznawszy zamówienie przeze mnie piwa za przejaw postawy roszczeniowej, i zniknął w jakichś drzwiach. Od tej pory już nigdy nie widzieliśmy go w barze.

Lyme Regis pozostaje ładnym miasteczkiem, z bardzo stromą główną ulicą o nazwie Broad Street, prowadzącą znad zatoki Lyme między prześliczne zadrzewione wzgórza, które dawniej były zabudowane wyłącznie dużymi wiktoriańskimi domami, ale dzisiaj doszło do nich niemałe grono publicznych parkingów. Lyme Regis najwyraźniej ma kłopoty z zaspokojeniem potrzeb parkingowych szerokiej rzeszy ludzi, którzy chcą pojeździć po wąskich uliczkach tej miejscowości i zostawić auto na słońcu, a sami rozejrzeć się za przekąskami i upominkami. Przez jakiś czas podstawowymi towarami w brytyjskich sklepach z pamiątkami były kubki, ściereczki i inne artykuły kuchenne z napisem „Zachowaj spokój i nie poddawaj się” (myślałem kiedyś, żeby zamówić sobie koszulkę z napisem „Zachowaj spokój albo odpierdol się, twój wybór”, ale nigdy tego nie zrobiłem), teraz jednak największe wzięcie mają deseczki z takimi dewizami jak:

„Żyj dobrze, dużo kochaj, często się śmieję”

albo

„Ta kuchnia jest przyprawiona miłością”

albo

„W życiu nie chodzi o to, żeby poczekać, aż burza minie. W życiu chodzi o to, żeby nauczyć się tańczyć w deszczu”.

Każdy sklep z pamiątkami w Lyme Regis, a jest ich wiele, oferował co najmniej kilka takich wywieszek. Miałem ochotę nalepić na nich ostrzeżenia o treści „Uwaga: te wywieszki mogą wywoływać bulimię”, ale zgaduję, że jest na nie popyt. Chodziłem po Lyme Regis ucieszony konstatacją, że w moim życiu zakupy mam już w większości za sobą. Jedną z wielkich zalet starości jest świadomość, że masz prawie wszystko, czego będziesz potrzebował. Oprócz kilku nietrwałych artykułów pierwszej potrzeby, takich jak żarówki, baterie i żywność, prawie niczego nie potrzebuję. Nie muszę już kupować mebli, książek, dekoracyjnych misek, dywaników, poduszeczek z napisami wyrażającymi moje odczucia w stosunku do zwierząt albo wynoszenia śmieci, worków na termofor, spinaczy, gum do majtek, puszek farby na czarną godzinę, zaschniętych pędzli, rozmaitej długości odcinków kabla elektrycznego czy rozmaitych metalowych przedmiotów, które teoretycznie mogą się pewnego dnia przydać do jakiegoś jeszcze niewymyślnego celu. Dzięki wielu latom podróżowania na koszt innych ludzi dysponuję dożywotnim zapasem mydła, małych buteleczek szamponu, aromatycznych balsamów, zestawów do szycia i ochraniaczy na buty. Mam ponad tysiąc sto czepków kąpielowych i brakuje mi tylko powodu, żeby ich używać. Finansowo tak dobrze się przygotowałem, że mam pieniądze w wielu walutach, które już nie istnieją.

Szczególnie konsekwentny jestem w kwestii garderoby. Dotarłem do takiej fazy życia, że chcę donosić wszystkie posiadane przeze mnie ubrania i nie kupić już niczego nowego. Sądzę, że wielu mężczyzn w określonym wieku pokiwa głową na zgodę, kiedy powiem, że kiedy nosisz coś tak długo, aż możesz to z czystym sercem wyrzucić, masz poczucie wielkiej satysfakcji — jak z dobrze wykonanej

roboty. Nie zawsze jest to łatwe. Mam koszulę od L.L. Beana, którą próbuję donosić od prawie dwudziestu lat, a wkładam ją do dwudziestu razy miesięcznie. Zdarzyło mi się umyć nią samochód i wyczyścić kratę grilla. Nienawidzę tej koszuli. Nieszczerólnie mi się podobała, kiedy ją kupowałem. Ale ją donoszę, choćbym miał od tego umrzeć.

Chodziłem więc po Lyme Regis z trochę zarożumiałą miną, zaglądałem w witryny i myślałem sobie: „Nie, nie potrzebuję kosza dla psa, deseczki z sentymentalną dewizą, nowego thrillera napisanego z błogosławieństwem i być może niewielką pomocą Jamesa Pattersona ani niczego innego, co sprzedają w Lyme Regis, ale bardzo dziękuję, że mi to wszystko oferujecie”.

Wypiłem kawę w stylowej knajpce, a potem zszedłem na nabrzeże i przespacerowałem się wzdłuż Cobb, wspaniałego krętego falochronu rozreklamowanego przez Johna Fowlesa w *Kochanicy Francuza*, i podziwiałem stamtąd nadmorskie widoki.

Maszerowałem tym odcinkiem wybrzeża już kilka razy i uważam go za wcielenie piękna krajobrazu. Kiedy po raz pierwszy przyjechałem do Dorset, wszyscy nazywali ten odcinek wybrzeżem Dorset, ale teraz jest to miejsce światowego dziedzictwa UNESCO, Wybrzeże Jurajskie, co niewątpliwie brzmi znacznie bardziej imponująco. Dostrzegam pewien paradoks w fakcie, że Wielka Brytania dała światu większość najważniejszych terminów geologicznych — dewon, kambr, sylur, ordowik — ale akurat ten obszar, który wszyscy znają, zawdzięcza swoją nazwę francuskiej Jurze, mimo że najlepszym miejscem na świecie do oglądania jurajskich ostańców jest właśnie Dorset.

Istnieje, a przynajmniej kiedyś istniała rewelacyjna ścieżka na zachód od Lyme Regis do Seaton, która miejscami wisi przyczepiona do urwiska. Duże tablice na obu końcach ostrzegały, że przez następne jedenaście kilometrów ścieżka jest niedostępna z morza, ziemi i powietrza oraz że jeżeli wpadniesz w jakieś tarapaty, ekipa ratownicza nie ewakuuje cię stamtąd helikopterem. Spacer wydawał się dzięki temu przyjemnie niebezpieczny i zuchwały. Nawet się nie domyślałem, jak bardzo niebezpieczny i zuchwały. Na początku 2014 roku oderwał się duży

kawałek urwiska, zabierając ze sobą ścieżkę, ale na szczęście bez żadnych jej użytkowników. Później ścieżkę przekierowano górą; wydaje się mało prawdopodobne, aby oryginał został jeszcze kiedyś udostępniony.

Niestabilne klify Dorset pochłonęły wiele ofiar w ludziach i nieruchomościach. W kronikach historycznych zapisało się nazwisko Richarda Anninga, który w 1810 roku spadł z klifu w Lyme Regis i poniósł śmierć na miejscu. O samym Anningu nic więcej nie wiadomo, ale do historii przeszła jego córka Mary. Miała zaledwie dziesięć lat, kiedy zginął jej ojciec, zostawiając rodzinę w biedzie, ale Mary natychmiast znalazła sposób zarabiania na życie: wykopywała i sprzedawała skamieliny znalezione na brzegu morza. Mary uchodzi za osobę, do której odnosi się łamaniec językowy *She sells seashells by the seashore*.

Powiedzieć, że Mary Anning miała smykałkę do wykopalisk, to nic nie powiedzieć. Podczas swojej z górą trzydziestoletniej kariery znalazła pierwszego brytyjskiego pterodaktyla, pierwszego całego plezjozaura i najlepszego ichtiozaura. Tego rodzaju skamielin nie da się schować w torebce. Ichtyozaur miał pięć metrów długości. Wykopywanie tych dinozaurów wymagało wielu lat ostrożnej, cierpliwej pracy. Plezjozaur pochłonął dziesięć lat życia Mary. Anning nie tylko sprawnie kopała, ale również wykonywała precyzyjne opisy i pierwszorzędne rysunki, dzięki czemu zaskarbiła sobie szacunek i przyjaźń wielu czołowych geologów i przyrodników z tego okresu. Ale ponieważ ważne znaleziska były rzadkie, a prace postępowały powoli, większość życia spędziła w niedostatku, jeżeli nie w nędzy. W domu, w którym mieszkała, mieści się dzisiaj muzeum, które jest ze wszech miar godne polecenia: jeśli będziecie kiedyś w Lyme Regis, koniecznie się tam wybierzcie.

Mary Anning została zapamiętana również dlatego, że ludzi z jej otoczenia prześladował nieprawdopodobny pech. Oprócz tego, że jej ojciec spadł z klifu, jedna z siostr zginęła w pożarze domu, a trójkę pozostałego rodzeństwa zabił - piorun. Mary, która siedziała tuż koło nich, jakimś cudem przeżyła.

Chętnie zostałbym tam dłużej, ale miałem spory kawałek drogi do pokonania. Znajdowałem się sto kilometrów od Totnes w Devonie, gdzie zarezerwowałem

pokój, a każdy, kto podróżował w lecie po tym regionie, wie, że w Południowo-Zachodniej Anglii sto kilometrów to bardzo daleko. Na dodatek chciałem zatrzymać się po drodze w Torquay.

## II

Brytyjczycy to pomysłowy naród. Nie podlega to dyskusji. Ich wkład w wygodę i wiedzę świata zdecydowanie przekracza to, czego można by proporcjonalnie oczekiwać od małej wyspy na Morzu Północnym. Jakiś czas temu japońskie Ministerstwo Międzynarodowego Handlu i Przemysłu przeprowadziło badania poziomu wynalazczości w różnych krajach i ustaliło, że w epoce nowożytnej Wielka Brytania wytworzyła pięćdziesiąt pięć procent „ważnych wynalazków” wobec dwudziestu dwóch procent dla Ameryki i sześciu procent dla Japonii. W głowie się nie mieści. Ale czerpanie korzyści z tych wynalazków to zupełnie inna sprawa, czego doskonały przykład można znaleźć w Torquay, w osobie zapomnianego dzisiaj Olivera Heaviside’a.

Heaviside urodził się w 1850 roku w Londynie, ale znaczną część życia spędził w Torquay, dystyngowanym letnisku zbudowanym nad uroczą zatoką przy odcinku południowego wybrzeża Devonu odrobinę na wyrost nazywanym Riwierą Angielską. Torquay pozostaje ładnym, staroświeckim miasteczkiem z dostojną promenadą, paroma urodziwymi budynkami i portem malowniczo wypełnionym jachtami, a wszystko na tle wzgórz upstrzonych różowymi i kremowymi willami. Do jednej z tych willi, w której mieszkał, pracował i zmarł Heaviside, w pierwszej kolejności skierowałem swoje kroki.

Heaviside był niski, drażliwy i niedosłyszający, przy czym między tymi dwiema ostatnimi cechami zapewne istniał jakiś związek. Miał płomiennorude włosy, brodę i nieustannie obląkaną minę, jeśli wierzyć zachowanym do dzisiaj fotografiom. Dzieci za nim łąziły i rzucały w niego różnymi rzeczami. A jednak Heaviside przypuszczalnie był najwybitniejszym wynalazcą, o którym nikt nie słyszał.

Heaviside był samoukiem. W młodości przez kilka lat pracował w biurze

telegrafu, ale jako dwudziestoczerolatek rzucił tę pracę i już nigdy nie miał innej. Przeprowadził się do Devonu i poświęcił prywatnym badaniom elektromagnetyzmu. Pracując w mieszkaniu nad sklepem muzycznym swojego brata w Torquay, dokonał szeregu przełomowych odkryć. Ludzie od lat się dziwili, jak to możliwe, że sygnały radiowe podążają za krzywizną Ziemi, a nie odlatują w kosmos. Nawet Marconi nie potrafił wyjaśnić, w jaki sposób jego komunikaty radiowe docierają do statków położonych za horyzontem. Heaviside wydedukował, że w górnej atmosferze musi być warstwa zjonizowanych cząstek, od których odbijają się sygnały radiowe. Nazwano ją warstwą Heaviside'a.

Największą zasługą Heaviside'a było jednak wymyślenie sposobu na wzmocnienie sygnału telefonicznego przy jednoczesnej eliminacji zakłóceń — obie te rzeczy uważano dotychczas za niemożliwe. Znaczenie odkrycia Heaviside'a trudno byłoby przecenić. Dało ono początek telekomunikacji zamiejscowej, a tym samym zmieniło świat.

Dom Heaviside'a stał przy Lower Warberry Road, bardzo przyjemnej ulicy mieszkaniowej pośród wzgórz nad zatoką, z wieloma kamienicami, z których część zaadaptowano na mieszkania albo domy starców. Przychodzą mi do głowy gorsze miejsca na dokonanie żywota niż stara kamienica nad zatoką Tor. Heaviside mieszkał w kremowym budynku schowanym za wysokim murem. Miał w nim tylko parę pokoiów na piętrze. Po jego śmierci budynek przez jakiś czas funkcjonował jako pensjonat, a potem stopniowo popadał w ruinę. W 2009 roku wybuchł tam pożar, prawdopodobnie przypadkowo spowodowany przez dzikiego lokatora. Do dzisiaj pozostaje pusty, ukryty za wysokim ogrodzeniem i zabity deskami. Na budynku podobno jest niebieska tabliczka upamiętniająca Heaviside'a, ale z drogi jej nie widziałem. Nie sądzę, żeby zbyt wiele osób przychodziło popatrzeć na dawny dom wybitnego wynalazcy.

Trudno w to uwierzyć, ale Heaviside nie opatentował swojego wynalazku. Wniosek patentowy złożyła firma telekomunikacyjna AT&T, która nie miała nic wspólnego z tym odkryciem — a jedną z największych korporacji świata w dużej części stała się dzięki swojej niekwestionowanej pozycji lidera telefonii

zamiejskowej. Heaviside mógł zostać multimilionerem; tymczasem ostatnie lata życia spędził w zgorzknieniu i biedzie, mieszkając kątem w Torquay, a dzieci obrzucały go gumą do żucia.

To niezwykle, jak często Brytyjczycy wynajdują lub odkrywają coś bardzo ważnego dla świata, a potem nie czerpią z tego żadnych korzyści. Lista rzeczy wynalezionych, odkrytych lub udoskonalonych w Wielkiej Brytanii, z których kraj ten skorzystał w niewielkim stopniu lub wcale, obejmuje komputery, radar, endoskop, teleobiektyw, holografię, zapłodnienie in vitro, klonowanie zwierząt, pociągi na poduszce magnetycznej i viagrę. Jedyne brytyjskie wynalazki, na których Brytyjczycy wciąż zarabiają, to silniki odrzutowe i antybiotyki. Właśnie przeczytałem interesującą książkę *The Compatibility Gene* [Gen kompatybilności] pióra Daniela M. Davisa, profesora Uniwersytetu Manchesterskiego, który zwraca uwagę na rozbieżność losów dwóch badaczy medycznych, Derricka Brewertona w Wielkiej Brytanii i Paula Terasakiego w Stanach Zjednoczonych, którzy w latach siedemdziesiątych prawie jednocześnie dokonali tego samego przełomowego odkrycia w rozumieniu genów. Terasaki założył firmę, aby wykorzystać komercyjny potencjał swojego odkrycia, i tak bardzo się wzbogacił, że mógł sobie pozwolić na jednorazowe datki w wysokości 5 milionów dolarów. Z kolei Brewerton napisał książkę o artretyzmie i przewodniczył komisji na rzecz ocalenia plaży w pobliżu jego domu na południowym wybrzeżu. Ktoś musi mi wyjaśnić, dlaczego taki rozwój wydarzeń wydaje mi się nieunikniony.

Heaviside nie był jedynym sławnym mieszkańcem tej pochylonej i przyjemnej dzielnicy. Przy Middle Warberry Road, w domu, który wtedy nazywał się Shearbridge, a obecnie występuje jako Kinbrae, urodził się komik Peter Cook, i postanowiłem teraz tam podejść. Upłynęło trochę czasu, zanim się zorientowałem, że chociaż te dwie ulice są równoległe do siebie i należą do tej samej rodziny, najwyraźniej zerwały stosunki, bo prawie nic ich ze sobą nie łączy. Trochę się więc nachodziłem, zanim dotarłem do Kinbrae, który okazał się sporawym budynkiem niezbyt udatnie podzielonym na mieszkania. Trochę przed nim bezrefleksyjnie postąłem, a potem, nadal bezmyślnie, przyjemnymi ulicami wróciłem na dół do



miasta.

Było dopiero parę minut po trzeciej, więc miałem czas na herbatę i rozejrzenie się po Torquay. Tego dnia czas mijał jakoś wyjątkowo powoli. Kiedy wróciłem do miasta, Torquay sprawiało wrażenie zaskakująco cichego. Zauważyłem sympatyczną na oko kawiarnię, ale kiedy do niej dotarłem, jakiś mężczyzna właśnie ją zamykał.

— Przepraszam, ale już zamykamy — powiedział.

— Och — zareagowałem zaskoczony. — O której zamykacie?

— O piątej.

— Och — powtórzyłem. — A teraz jest która?

Spojrzał na mnie jak na niedorozwiniętego umysłowo.

— Piąta.

— No jasne. — Pokazałem mu swój zegarek. — Bateria nawala.

Pokazał w stronę pobliskiego zakładu zegarmistrzowskiego.

— Chyba mają tam czynne do wpół do szóstej. Może dostanie pan baterię.

Podziękowałem mu i poszedłem do zegarmistrza. Za ladą siedział około pięćdziesięcioletni mężczyzna z apatyczną miną. Sprawiał takie wrażenie, jakby co najmniej od dwunastu godzin nie poruszył żadnym mięśniem. Podałem mu zegarek i wyjaśniłem, że bateria się kończy.

Oglądał zegarek przez pół sekundy i oddał mi go.

— Nie zajmujemy się tym — stwierdził beznamiętnym tonem.

— Czym się nie zajmujecie? Zegarkami?

— Marką Mondaine.

— A zna pan kogoś, kto się zajmuje?

Wzruszył ramionami.

— Może pan spróbować u Jonesa.

W rzeczywistości wymienił inne nazwisko, ale ponieważ mam dobre serce, posłużyłem się pseudonimem. Udało mi się wyciągnąć od zegarmistrza nazwę ulicy i skinienie głową w ogólnym kierunku tej ratunkowej możliwości.

— Dziękuję panu — powiedziałem, a potem gwałtownym ruchem pochyliłem

się nad ladą i dźgnąłem go mocno w oczy dwoma palcami. To znaczy tylko to sobie wyobraziłem i od razu zrobiło mi się różniej na sercu.

Pospieszyłem do Jonesa — z jakiegoś powodu sprawa zaczęła mi się wydawać pilna — i stanąłem przed obliczem człowieka o równie sympatycznym usposobieniu.

Wyjaśniłem mu naturę mojego problemu i podałem zegarek. Rzucił na niego okiem i oddał mi.

— Nie mogę panu pomóc.

— Dlaczego?

— Nie mamy na stanie baterii. Przykro mi.

Widziałem, że wcale nie jest mu przykro, ale doceniałem fakt, że przynajmniej to powiedział. Podziękowałem i wyszedłem. Najwyraźniej było za późno, żeby jeszcze cokolwiek zrobić w Torquay, toteż wróciłem do samochodu i ruszyłem mniej więcej w kierunku Totnes. Całkiem lubię Torquay, któregoś dnia może pojedę tam znowu, ale już teraz mogę oświadczyć, że w temacie baterii do zegarków mam ich w dupie.

## Rozdział 11

# Devon

Czasem nie opłaca się być pierwszym. Wielka Brytania nie tylko wynalazła kolej żelazną, ale również zapalała do podróży koleją większym entuzjazmem niż inne narody, skutkiem czego zbudowała znacznie większe od potrzebnych możliwości przewozowe. Tory przecinały każdy skrawek kraju. Na wyspie Wight, o powierzchni trzystu osiemdziesięciu jeden kilometrów kwadratowych, było osiemdziesiąt osiem kilometrów torów obsługiwanych przez osiem odrębnych spółek.

Przed nacjonalizacją kolei w 1948 roku system był przestarzały, nieskoordynowany i garściami tracił pieniądze. Własnością nowego państwowego przedsiębiorstwa kolejowego były nie tylko pociągi, stacje, warsztaty naprawcze i tym podobne, ale również pięćdziesiąt cztery hotele, siedem tysięcy koni, tabor autobusowy, trochę kanałów i doków, agencja turystyczna Thomas Cook i studio filmowe. Spółka była tak zróżnicowana i nieporadnie zarządzana, że nikt nie wiedział, ile osób zatrudnia — szacunki mieściły się w przedziale od sześciuset trzydziestu dwóch tysięcy do sześciuset czterdziestu dziewięciu tysięcy.

W 1961 roku sytuacja była tak fatalna, że premier Harold Macmillan polecił ministrowi transportu Ernestowi Marplesowi, żeby zrobił z tym wszystkim porządek. Marples już wtedy budził kontrowersje. Jako współzałożyciel Marples, Ridgeway & Partners, firmy budowlanej, zbił majątek na budowie dróg dla państwa, a potem został członkiem rządu. Kiedy posłowie opozycji zwrócili uwagę, że nadzorowanie projektów państwowych przez ministra, którego spółka może na nich skorzystać, jest sytuacją korupcyjną, na Marplesa zaczęto wywierać presję, żeby pozbył się swoich udziałów. Minister postanowił sprzedać udziały jednemu ze

wspólników z zastrzeżeniem, że po odejściu z urzędu będzie mógł je odkupić po pierwotnej cenie. Kiedy mu powiedziano, że to również byłoby nieetyczne, wymyślił znacznie prostsze rozwiązanie: sprzedał udziały spółce potajemnie kontrolowanej przez jego żonę.

Do zadania konsolidacji kolei Marples wyznaczył Richarda Beechinga, który pobierał astronomiczne wynagrodzenie w wysokości dwudziestu czterech tysięcy funtów rocznie, dwa razy więcej od premiera. Beeching był postawnym, nadętym mężczyzną z cienkim wąsikiem, nieestetycznym przedziałkiem i rażącym brakiem doświadczenia w dziedzinie, którą miał się zajmować. Z wykształcenia był lekarzem, a pracował jako dyrektor techniczny spółki chemicznej ICI. Na kolei znał się nie lepiej od pierwszego lepszego pasażera, ale był sprawnym administratorem, a poza tym niepotrzebny był wizjoner, aby dostrzec, że kolej trzeba zreformować. Beeching zamówił ekspertyzę, która pokazała, że sytuacja jest jeszcze gorsza, niż sądził. Niektóre linie prawie w ogóle nie przewoziły pasażerów. Na przykład pociągami między Invergarry i Fort Augustus w Szkocji jeździło zaledwie sześć osób dziennie. Króciutka linia z Llangynog do Mochnant w Walii średnio zarabiała funta na dzień. Ustalono, że połowa sieci kolejowej odpowiada za dziewięćdziesiąt sześć procent dochodów przedsiębiorstwa, a połowa za pozostałe cztery procent. Narzucającym się rozwiązaniem było zamknięcie nierentownych połączeń. W marcu 1963 roku Beeching opublikował sążnisty dokument zatytułowany *Kształtowanie brytyjskich kolei*, ale powszechnie nazywany raportem Beechinga, w którym zaproponował likwidację dwóch tysięcy sześciuset trzydziestu sześciu stacji (około jednej trzeciej wszystkich), dwustu odcinków i około ośmiu tysięcy kilometrów torów.

Gdyby Beeching ograniczył się do mało eksponowanych fragmentów sieci, prawdopodobnie nie ściągnąłby na siebie chóru potępień, ale w reformatorskim zapale zarekomendował również zamknięcie szeregu ważnych stacji — Inverness, King's Lynn, Canterbury, Stratford-upon-Avon, Hereford, Salisbury, Chichester, Blackburn, Burnley i wielu innych — wywołując wściekłą reakcję.

Ostatecznie żadnej z tych stacji nie zamknięto. Wiele spośród cięć, które później

nastąpiły, nie miało nic wspólnego z planem Beechinga. W 1964 roku po władzę sięgnęła Partia Pracy z własnym programem racjonalizacyjnym. Nowy premier Harold Wilson oszczędził znane stacje, ale zamknął dodatkowych tysiąc czterysta, o których Beeching w ogóle nie wspominał. Cięcia szczególnie boleśnie dotknęły nadmorskie miasta w Południowo-Zachodniej Anglii. Połączenia straciły Lyme Regis, Padstow, Seaton, Ilfracombe, Brixham i wiele innych miejscowości. Według specjalistów wiele z tych lotnisk już nigdy się nie podniosło po tym ciosie. Istniał kiedyś Ekspres Wybrzeża Atlantyckiego. Czy nie byłoby cudownie, gdybyśmy dzisiaj mieli taki pociąg? Najszybsze połączenie z zachodnim wybrzeżem, z Paddington do Penzance, oznacza pięć i pół godziny jazdy ze średnią prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Jechałem tym pociągiem kilka razy. To jest jak *rigor mortis* z walorami krajobrazowymi.

Po skończonej robocie Beeching wrócił do ICI, a za swoje zasługi w patroszeniu kolei dostał tytuł szlachecki. Chociaż nie można go obarczać odpowiedzialnością za wszystkie cięcia, które mu się powszechnie przypisuje, nie był bohaterem. Około jednej trzeciej proponowanych przez niego cięć było krótkowzrocznych albo szkodliwych. Istnieją podejrzenia, że dane do raportu celowo gromadzono w okresach zmniejszonego ruchu — na przykład w nadmorskich miejscowościach wypoczynkowych poza sezonem — żeby pewne linie wyglądały na słabo wykorzystywane. Jednym z połączeń, które Beeching chciał skasować, była linia Exeter–Exmouth. Połączenie uszło spod topora i teraz przewozi milion pasażerów rocznie, co sugeruje, że analizy z raportów Beechinga nie zawsze były wiarygodne, a nawet uczciwe.

Marples również otrzymał tytuł szlachecki, lecz niewiele później uciekł z kraju w celu uniknięcia aresztowania pod zarzutem defraudacji środków publicznych. Zmarł w 1978 roku we Francji, już nigdy nie wróciwszy do Wielkiej Brytanii i nie okazawszy ani śladu skruchy.

Dzięki panom Beechingowi, Marplesowi, Wilsonowi i innym po Devonie i Kornwalii nie mogłem podróżować pociągiem. Jak się ze smutkiem przekonałem,

jazda autobusem też była wykluczona ze względu na ubóstwo połączeń. Z Totnes do oddalonego o trzydzieści cztery kilometry Salcombe musiałbym jechać z trzema przesiadkami, ale autobusy kursują tak rzadko, że podróż w obie strony zajęłaby mi kilka dni.

Pozostawał więc tylko samochód, którym w tych regionach jeździ się w żółwym tempie. Wszystkie drogi były wąskie, pełne ślepych zakrętów i zwężeń. W każdej miejscowości przy głównej drodze parkowały sznury samochodów, skutkiem czego dwa auta nie mogły się precyzyjnie obok siebie i kierowcy musieli się na przemian przepuszczać. Przebiegało to w zaskakująco życzliwej atmosferze, ponieważ wszyscy kierowcy byli wyrozumiali i nikt nie oszukiwał. Anglicy w najlepszym wydaniu — jak Anglia, która kiedyś istniała wszędzie: ludzie byli wrażliwi na potrzeby innych, wychodząc z założenia, że bliźni odwzajemnią im się tym samym.

W jednej z miejscowości stanąłem przed domem, który wrzynał się w jezdnię, i naliczyłem dwadzieścia osiem samochodów, które precyzyjnie się obok mnie, a ich kierowcy wyciągali w moją stronę rękę w ramach podziękowania. Wszystkie auta, chcąc nie chcąc, należały do konwoju, który powoli sunął przez południowy Devon. W końcu jakiś kierowca mignął mi światłami, żebym przejechał, i okazało się, że prowadzę za sobą drugi konwój na dwadzieścia kilka samochodów. Oczekiwano teraz ode mnie, że przy zwężeniach wcisnę się w lukę między dwoma sznurami nadjeżdżających z przeciwnej strony aut. Z pewnym zaskoczeniem stwierdziłem, że odpowiedzialność ta sprawia mi niemałą przyjemność i mogę z satysfakcją zameldować, że skutecznie doprowadziłem jadących za mną kierowców do Salcombe bez większych strat czasowych.

Salcombe to słynna miejscowość żeglarska, malowniczo usytuowana na rozległych zielonych wzgórzach schodzących do nierzecznie ładnej zatoczki. Kiedy ostatni raz tam byłem, około dwudziestu lat temu, można było wjechać do miasteczka i zaparkować koło przystani, ale te czasy dawno minęły. Dzisiaj trzeba zostawić samochód na parkingu około półtora kilometra od centrum. Z daleka zobaczyłem, że do parkingu jest kolejka, ale po drugiej stronie jezdnii zauważyłem puste miejsce na poboczu i pomknąłem tam nagłym, zuchwałym manewrem, który

kilku pełnych podziwu kierowców spontanicznie nagrodziło trąbieniem i miganiem światłami.

Ruszyłem do miasteczka grzbietem wzgórza, na którym znajdował się parking, a potem stromą, krętą drogą koło chat, które nosiły wesołe marynistyczne nazwy i na pierwszy rzut oka było po nich widać, że są to drugie domy — wypielęgnowane, ale bezosobowe. Jak gdzieś wyczytałem, w sezonie letnim liczba mieszkańców Salcombe wzrasta dziesięciokrotnie, z dwóch do dwudziestu tysięcy. Teraz niewątpliwie mieliśmy sezon letni. Ale nawet kiedy Salcombe pęka w szwach, jest przecudnym miasteczkiem. Małe jachty z trójkątnymi żaglami unosiły się na szklistej wodzie przystani jak papierowe stateczki w wannie. W powietrzu wisiał ostry zapach nadmorskiego życia. Mewy skrzeczały i krążyły nad głowami, zrzucając na dachy i chodniki białe bomby rozpryskowe. Nie mam pojęcia, co te ptaki jedzą, ale z pewnością regularnie oddają po tym stolec.

Salcombe jest eleganckie, zamożne i dziarskie. Wszyscy byli ubrani jak Kennedy w Hyannisport. Musiałem wyciągnąć z torby sweter i owinąć sobie wokół szyi, żeby ludzie się na mnie nie gapili. Wszyscy wyglądali dynamicznie, zdrowo i rześko. Przy przemieszczaniu się z miejsca na miejsce nie chodzili, tylko brykali.

Główną ulicą Salcombe jest Fore Street. „Daily Telegraph” uznał ją za szóstą najbardziej hipsterską ulicę w Wielkiej Brytanii. Nie mam pojęcia, jak powstają takie rankingi, ale podejrzewam, że ponieważ chodzi o „Telegraph”, nie ma to wiele wspólnego z metodologią naukową czy jakimiś dogłębnymi przemyśleniami. Sklepy i restauracje bez wątpienia zaliczały się do grona ekskluzywnych. W Casse-Croûte Deli ofertą dnia była tarta z serem brie i szparagami zrobiona na organicznym cydrze, co napełniło mnie radością i ulgą. Ileż to razy musiałem odmówić sobie przyjemności zamówienia tarty z serem brie i szparagami, ponieważ do jej przyrządzenia użyto nieorganicznego cydru. Pomyślałem, że za mojego pobytu na Wyspach jedzenie na początku było dziwne i nieapetyczne, a po mniej więcej piętnastu bezpretensjonalnie smakowitych latach znowu zrobiło się dziwne i nieapetyczne. Może jestem niereformowalnym dzikusiem, ale im szybciej powrócimy do narodowej kuchni opartej na frytkach z sosem pieczeniowym i tak

dalej, tym będę szczęśliwszy. Za moich czasów każdy posiłek w restauracji zaczynał się od koktajlu z krewetkami, a kończył tortem szwarcwaldzkim — uwierzcie mi, wszyscy byliśmy dużo szczęśliwsi.

We wszystkich lokalach w Salcombe nie dało się wcisnąć szpilki. Nie miałem najmniejszych szans na to, żeby usiąść przy stoliku nad filiżanką kawy albo organiczną tartą, postanowiłem więc pójść na spacer. Wróciłem na grzbiet wzgórza, a potem wszedłem na drogę w stronę Kingsbridge. Niecałe dwa kilometry dalej w prawo odchodziła wąska uliczka, która pośród urzekającego krajobrazu prowadziła do przypominającego fiord ujścia Kingsbridge. Z mojej pozycji na górze widziałem, jak rzeka wciska swoje chude ramiona w rozmaite szczeliny. Mapę OS zostawiłem w samochodzie, więc nie znałem układu bocznych drózek, ale pomyślałem, że przespaceruję się na dół do następnej miejscowości i może znajdę tam jakiś sympatyczny, zapomniany pub, w którym zjem obiad. Wspomnianą dróżką, która dosyć stromo schodziła do morza, uszedłem kilkaset metrów, nic nie widząc zza gęstych żywopłotów po obu stronach, a potem wyszedłem zza zakrętu i przerażony zobaczyłem jakąś maszynę, która zmierzała w moją stronę, ocierając się oboma bokami o żywopłot. Nie miałem gdzie się przed nią schować, więc nie było innego wyboru, jak tylko żwawym krokiem pomaszerować z powrotem na górę z nieprzyjemną świadomością, że gigantyczna maszyna, od której nie byłem w stanie się oddalić, mogła mnie w każdej chwili rozplaszczyć jak gumę do żucia. Od czasu do czasu odwracałem głowę i za pomocą mimiki dawałem kierowcy znać, iż jest mi bardzo przykro, że blokuję przejazd i że w ogóle istnieję oraz że nie jestem w stanie iść szybciej, ale na jego ponurej, zastygłej twarzy nie dostrzegłem ani śladu serdeczności czy współczucia. Kiedy przyspieszałem, on robił to samo. Na górze zgiąłem się wpół i próbowałem złapać oddech, a on minął mnie bez żadnego gestu podziękowania.

— Nie ma za co, buraku zasrany! — zawołałem, ale moje słowa chyba nie zraniły go tak głęboko, jak bym sobie życzył. Mogę tylko mieć nadzieję, że później się zreflektował i ogarnęły go wyrzuty sumienia albo paskudnie zachorował i umarł.



\*

Wróciłem do samochodu i pokonałem trzydzieści kilka kilometrów kolejnymi powolnymi, ale krajobrazowo wybitnymi drogami do Torcross, położonej na stromej pochyłości nad Start Bay. Na północ od Torcross ciągną się wydmy zwane Slapton Sands, tak podobne do plaż normandzkich, że wiosną 1944 wykorzystano je do próby generalnej przed planowanym desantem. W warunkach pełnej tajności trzydzieści tysięcy amerykańskich żołnierzy przywieziono na zatokę i zapakowano na szalupy, żeby poćwiczyli schodzenie na brzeg, ale dziewięć niemieckich torpedowców przypadkowo zauważyło te działania i zaczęło swobodnie krążyć pośród szalup, wyrzucając je z wody i wywołując potężne zamieszanie. Wygląda na to, że nikt po stronie aliantów nie pomyślał o zabezpieczeniu ćwiczeń, toteż łodzie podwodne mogły sobie bez przeszkód grasować pośród żołnierzy.

Wśród obserwatorów tej rzezi był sam Eisenhower. Nikt dokładnie nie zna liczby ofiar, szacunki mieszczą się w przedziale od sześciuset pięćdziesięciu do dziewięciuset pięćdziesięciu. Na tablicy informacyjnej w Torcross widnieje informacja, że zginęło siedmiuset czterdziestu dziewięciu amerykańskich żołnierzy i marynarzy. Tak czy inaczej tej nocy poległo znacznie więcej Amerykanów niż podczas desantu na plaży Utah niewiele ponad miesiąc później. (Na plaży Omaha liczba ofiar była znacznie większa). Był to najbardziej jednostronny pogrom wojsk amerykańskich podczas drugiej wojny światowej, ale mało kto o nim słyszał, ponieważ informacje o tej katastrofie utajniono, częściowo dla podtrzymania morale żołnierzy, a częściowo z powodu ogólnej atmosfery tajności wokół przygotowań do inwazji. Najbardziej zdumiewa to, że Niemcy, którzy przypadkiem natrafili na wielkie ćwiczenia desantowe po drugiej stronie morza naprzeciwko półwyspu Cherbourg, nie zdali sobie sprawy, że szykuje się inwazja w północnej Francji.

Tutaj przynajmniej nie przegoniła mnie żadna maszyna. Wyszedłem na wysokie wzgórze nad Torcross — dosyć męczący marsz, ale się opłaciło. Płaski wierzchołek wzgórza pełnił funkcję pastwiska, o czym zaświadczały liczne krowie

placki, ale na szczęście żadnego bydła nie było. Widok obejmował rozległą zatokę Start, jedną z najładniejszych w Anglii. Na wyniosłości o nazwie Start Point stoi latarnia morska. Na północy w Stoke Fleming wznosi się inna wieża — prawdopodobnie kościelna, jak uznałem po długim namyśle — a między nimi rozpościera się pyszna, niewymuszenie doskonała kombinacja pól, wsi, gospodarstw rolnych i wędrownych dróg.

W tym momencie zza krzywizny wzgórza wyłoniło się stado krów, które postanowiły przyjrzeć mi się z bliska. Nie były agresywne, tylko durnowate. Chciały tylko ze mną pobyc. Ale oczywiście jak tylko podeszły bliżej, zrobiły się płochliwe, a to oznaczało, że mogły wpaść w panikę i rozdeptać mnie na placek o kształcie i konsystencji zbliżonej do połyskujących pamiętek, które zawsze pozostawiają po sobie krowy. Nie chciałem wpędzać ich w panikę, więc z wyrazem stoickiej rezygnacji na twarzy pozwoliłem im się odprowadzić do furtki. Zszedłem z powrotem na dół i udałem się na spacer po wydmach, gdzie zapadałem się po kostki, ale przynajmniej w piasek, a nie bydlęce odchody.

Spragniony herbaty pojechałem do zabytkowego miasta Dartmouth, słynącego z malowniczego położenia nad rzeką Dart oraz z Królewskiego Kolegium Marynarki Wojennej.

Przy wjeździe do Dartmouth koło drogi stał podświetlony znak, który mnie poinformował, że pod żadnym pozorem nie wolno mi wjeżdżać do miasta, powinienem bowiem skorzystać z parkingu na obrzeżach, a do centrum dojechać komunikacją publiczną. Chciałem jednak sprawdzić, czy mnie nie okłamują, i wjechałem do miasta. Nie okłamali mnie. Dartmouth pękało w szwach i nie dało się tam zaparkować, więc jednokierunkowymi ulicami wróciłem pod górę na bardzo odległy parking, na którym należało się zatrzymać już za pierwszym razem. Parking kosztował pięć funtów, co uznałem za skandaliczne w świetle faktu, że chciałem się tylko napić herbaty i już naraziłem się na ogromne niedogodności, żeby wesprzeć gospodarkę miasta, ale później trochę się udobruchałem, kiedy zauważyłem, że po czternastej cena spada do trzech funtów. Pojechałem autobusem do centrum i przespacerowałem się w towarzystwie kilkudziesięciu tysięcy innych

osób, w większości należących do tej samej kohorty wiekowej i socjoekonomicznej co ja. Uświadomiłem sobie, że taka czeka mnie przyszłość: starość spędzana na człapaniu po takich miejscowościach jak Dartmouth, wizyty w sklepach i herbaciarniach, narzekanie na tłumy i drogie, niewygodne systemy parkowania na obrzeżach miasta, park-and-ride.

W Dartmouth roilo się kiedyś od uroczych sklepów, ale trzeba uczciwie przyznać, że było to ponad dwadzieścia lat temu, kiedy w większości małych miast roilo się od uroczych sklepów. Teraz spotykałem na swojej drodze prawie wyłącznie małe, zatłoczone kawiarnie i sklepy z pamiątkami, w których można kupić deseczki z idiotycznymi sentencjami. Dartmouth przez wiele lat mogło się poszczycić znaną niezależną księgarnią Harbour Books, którą prowadził Christopher Milne, syn A.A. Milne'a, ale w 2011 roku została zamknięta. Z zadowoleniem odnotowałem więc fakt, że w mieście pojawiła się nowa księgarnia, Dartmouth Community Bookshop, prowadzona przez fundację non-profit. Jest bardzo mała i położona przy bocznej uliczce, ale przynajmniej działa i mam nadzieję, że mieszkańcy Dartmouth ją wspierają. Wszedłem do środka i porozmawiałem z kierowniczką, Andreą Saunders, która mi powiedziała, że interes kwitnie, co mnie ucieszyło. Ale jeśli pominąć książki z jej księgarni, to gdybym dostał bon upominkowy na sto funtów, miałbym problemy z wydaniem tych pieniędzy w Dartmouth, chyba że na drewno na rozpałkę.

Wypiłem herbatę, a potem przetransferowałem się na nabrzeże, szerokie ujście rzeki Dart. Od razu zrobiło się znacznie przyjemniej, a nawet ładnie, i nagle sobie przypomniałem, dlaczego ktoś może z własnej inicjatywy przyjechać do Dartmouth. Kątem oka zauważyłem na oko trzynastoletniego szczawika w koszulce Chelsea, który siedział na przystanku autobusowym i jadł chipsy. Kiedy tamtędy wracałem kilka minut później, chłopaka nie było, a opakowanie po chipsach leżało na ziemi. Metr dalej stał kosz na śmieci. Nie po raz pierwszy w życiu przyszło mi do głowy, że jeżeli Wielka Brytania ma zrobić ze sobą porządek, będzie musiała przeprowadzić mnóstwo eutanazji.

Podczas pobytu w południowym Devon spędziłem dwie noce w Totnes i bardzo mi się tam podobało. Jest to schludna, zadbana miejscowość z ciekawym asortymentem sklepów — zresztą kiedyś mogło się takim poszczycić również Dartmouth. Owszem, kryształów New Age i tym podobnych sprzedawano trochę więcej, niż jest mi do szczęścia potrzebne, ale było również sporo niezłych galerii i sklepów z antykami. Któregoś przedpołudnia w ramach eksperymentu poszedłem do czterech sklepów. W jednym z nich przyjaźnie mnie powitała kobieta mniej więcej w moim wieku, w drugim pozdrowiono mnie milczącym skinieniem głowy i lekkim uśmiechem — niewrogim, ale również niezbyt wylewnym — a w pozostałych dwóch obsługa zupełnie mnie zignorowała.

Sam już nie wiem, co jest gorsze, kosmiczna obojętność przeciętnego brytyjskiego sklepikarza czy też natrętne umizgi ekspedientów amerykańskich. Trudny wybór. Byłem ostatnio w Nowym Jorku i pod wpływem impulsu wszedłem do sklepu Aveda. Moja żona lubi szampony Aveda (moja żona lubi wszystko, co kosztuje więcej, niż powinno) i pomyślałem, że zaskoczę ją małym prezentem.

— Dzień dobry — powiedziała sympatyczna młoda kobieta za ladą — czy mogę panu pomóc w znalezieniu czegoś?

— Dziękuję, tylko się rozglądam — odparłem.

— Jakie ma pan pH? — zapytała.

— Nie wiem. Nie zabrałem ze sobą zestawu do badania gleby.

Poczęstowałem ją moim najprzyjaźniejszym uśmiechem. Nie zorientowała się, że żartuję.

— Próbował pan już naszego nowego wyczynowego szamponu? — zapytała i z całkowicie zbędną zamaszystością wcisnęła mi do ręki cylindryczną zieloną butlę. — W stu procentach zrobiony z roślinnych substancji powierzchniowo czynnych, myje łagodnie, a jednocześnie angażuje zmysły.

— Naprawdę tylko się rozglądam, dziękuję — powtórzyłem.

W rzeczywistości szukałem nalepki z ceną. Jestem hojnym człowiekiem — powie wam to każdy z wyjątkiem tych, którzy mnie trochę lepiej znają — ale są granice tego, ile jestem gotów zapłacić za szampon, nawet dla kogoś, kto urodził

moje dzieci.

Kiedy się schyliłem, żeby sprawdzić jakieś butelki na niższej półce, uświadomiłem sobie, że ekspedientka bada wierzchołek mojej głowy.

— Czy próbował pan naszego szamponu złuszczonego? — zapytała.

Wyprostowałem się.

— Proszę pani, chcę się tylko rozglądać w ciszy i spokoju. Czy byłaby pani uprzejma mi to umożliwić?

— Oczywiście — odparła i odstąpiła o krok do tyłu. Milczała przez nanosekundę, a potem znowu do mnie podeszła. — Poleciałabym panu szampon złuszczonego.

Uświadomiłem sobie, że ekspedientka cierpi na detaliczny zespół Tourette'a, czyli przymus udzielania klientom niechcianych rad. Nie potrafiła tego zwalczyć. Wystarczyło, że czegoś dotknąłem albo na coś spojrzałem, a ona musiała to skomentować. Skończyło się na tym, że wyszedłem. Po stronie plusów należy zapisać, że dzięki niej zaoszczędziłem dwadzieścia osiem i pół dolara.

W związku z powyższym rzucająca się w oczy bierność brytyjskich sklepikarzy trapi mnie w znacznie mniejszym stopniu niż moją żonę. Ale mimo wszystko zadaję sobie czasem pytanie, czy spadłyby im korony z głowy, gdyby mówili do klientów dzień dobry. Czasami nachodzi mnie podejrzenie, że paru klientów mogłoby odwiedzić ich ponownie, gdyby nie dawali im tak ostentacyjnie do zrozumienia, jak bardzo ich drażni, że ludzie do nich przyłożą i macają różne rzeczy. Z drugiej strony, jak konsekwentnie zwraca mi uwagę żona, niezależnie od tego, jak serdecznie zostaną przywitani, i tak nic nie kupię, bo według mnie wszystko kosztuje za dużo, a zresztą niczego więcej w życiu nie potrzebuję.

Z Totnes ruszyłem do Dartmoor, krainy wzgórz i wrzosowisk, dzikich kuców i rachitycznych mostków nad przepastnymi wąwozami. Właśnie przeczytałem *In Search of England* H.V. Mortona, książkę często zaliczaną do klasyki, zapewne przez ludzi, którzy jej nie przeczytali, bo jest dosyć okropna. Powstała w 1927 roku i składa się głównie z opowieści o tym, jak Morton jeździ samochodem po Anglii

i zwalnia co trzydzieści kilometrów, żeby zapytać o drogę stojącego na poboczu kmiotka w chałacie. W każdej z odwiedzonych przez siebie wsi Morton znalazł bezrobotnego mężczyznę z dziwnym akcentem i odbył z nim rozmowę.

Po przyjeździe do Dartmoor zatrzymał się w Widecombe-in-the-Moor i zapytał wspartego na jesionowej lasce starszego pana, czy naprawdę śpiewają starą pieśń ludową *Jarmark w Widecombe-in-the-Moor*, z której słynie ta miejscowość i w której figuruje wujek Tom Cobby.

— Sie rozumi — zareplikował mężczyzna. — Śpiwomy, jak świentujemy abo przódy hymn idzie.

Z lektury *In Search of England* można wynieść wrażenie, że Anglia to wesoła, przyjazna kraina zamieszkała przez sympatycznych półgłówków z komicznym akcentem, należy więc uznać za swego rodzaju paradoks, że według wielu krytyków autor tej książki uchwycił esencję narodu angielskiego. Żeby było jeszcze bardziej paradoksalnie, Morton zraził się później do Anglii, ponieważ jak dla niego była za mało faszystowska. W 1947 roku wyjechał do Republiki Południowej Afryki i przeżył tam ostatnie trzydzieści dwa lata swojego życia, zapomniany przez świat, ale szczęśliwy, że ma służących, na których może sobie pokrzyczeć. Z jego książki zapamiętałem tylko tyle, że Widecombe-in-the-Moor jest według niego prześliczne, i chciałem sprawdzić, w jakim stopniu takie pozostało. Z radością informuję, że miejscowość nadal urzeka. Ma bardzo ładny kościół ze wspaniałą wieżą, błonia i sklepy i jest wtulone w symfonię skalistych wzgórz. Powiedziałem dzień dobry do starszego pana koło przykościelnego cmentarza, ale nie odpowiedział mi „Sie rozumi” i w ogóle nie rzucił żadną zabawnie rustykalną frazą.

Pojechałem między wzgórz, zatrzymałem samochód na gruntowym parkingu przeznaczonym zapewne dla piechurów i wysiadłem razem z moją niezawodną laską i mapą. Pogoda była wspaniała, a wzgórz usiane owcami, dzikimi kucami i granitowymi ostańcami o nazwie *tors*. W Dartmoor pada prawie tysiąc milimetrów deszczu rocznie, co czyni ten region jednym z najwilgotniejszych w Anglii — niebagatelne osiągnięcie. Z powodu niskiej przepuszczalności gruntu

woda zbiera się w tak zwanych puchowych łożach — sadzawkach pokrytych mchem. Praktycznie nie sposób ich odróżnić od reszty terenu, skutkiem czego ludzie z zewnątrz często do nich włączają i znikają z zaskoczonym gulgotem, a przynajmniej takie krążą opowieści. Nie uwierzyłem w tę historię, ale na wszelki wypadek trzymałem się wyznaczonych szlaków.

Za żadne skarby świata nie potrafiłem znaleźć na mapie swojej lokalizacji. Nie potrafiłem nawet umiejscowić Widecombe-in-the-Moor. Silny wiatr cały czas próbował złożyć za mnie mapę. (Dopiero później, po powrocie do samochodu, uświadomiłem sobie, że mapa jest wydrukowana obustronnie i należało ją odwrócić). Niezależnie od tego, gdzie dokładnie byłem, miałem cudowny spacer ze światowej klasy widokami. W końcu dotarłem do punktu triangulacyjnego, a to zawsze jest pasjonujące wydarzenie, ponieważ z reguły oznacza, że dotarłeś na szczyt. Punkt triangulacyjny, w skrócie *trig*, to betonowy słupek zwieńczony mosiężną blaszką, do której kiedyś mocowało się instrument geodezyjny w celu sporządzenia dokładnej mapy topograficznej. Z każdego punktu triangulacyjnego widać dwa inne, co oznacza, że stanowi wierzchołek trójkąta. Nie do końca rozumiem, jakim cudem seria trójkątów daje w wyniku mapę Wielkiej Brytanii — proszę, nie piszcie do mnie w tej sprawie; nie mówię, że chcę to wiedzieć — ale daje i tylko to się liczy. Sarah Palin dała swojemu synowi na imię Trig. Ciekawe, czy ma świadomość, że na jej dziecko wołają „Betonowy słupku!”.

W latach 1932–1962 całą Wielką Brytanię ponownie opomiarowano, co tłumaczy, skąd się wzięło tyle słupków. Dzisiaj oczywiście robi się to wszystko za pomocą satelitów i słupki nie są potrzebne, toteż wiele z nich znika, albo przez zaniedbanie, albo na skutek celowych działań, co uważam za smutne.

Podejrzewam, że gdzieś w Wielkiej Brytanii istnieje Towarzystwo Słupków Triangulacyjnych. Spodziewam się również, że stowarzyszenie to, ponieważ napisałem powyższe słowa, poprosi mnie o wystąpienie na jego dorocznym zjeździe. Z góry zastrzegam, że tęsknię za słupkami triangulacyjnymi, ale nie do tego stopnia.

# Kornwalia

## I

Od pewnego czasu wyznaję pogląd, że każdy powinien mieć prawo nie lubić tuzina rzeczy bez konieczności uzasadniania lub wyjaśniania komukolwiek swojej antypatii. Nazywam to instynktownymi fobiami.

Moje instynktowne fobie są następujące:

1. Spodnie w kolorze łososiowym i mężczyźni, którzy je noszą.
2. Ludzie którzy posługują się słowem *stonking*<sup>3</sup>.
3. Menu degustacyjne.
4. Rodzice każdego dziecka o imieniu Tarquin.
5. Ludzie którzy tak szybko podają swój numer telefonu na końcu długiej wiadomości na poczcie głosowej, że musisz tego słuchać kilka razy i w końcu prosisz kogoś innego, żeby razem z tobą posłuchał, ale mimo to nie udaje ci się spisać tego numeru.
6. Słowa typu konfa zamiast konferencja.
7. Czerwony guzik BBC.
8. Większość recenzentów książek, ale w tej chwili zwłaszcza Douglas Brinkley, podrzędny amerykański naukowiec i okazjonalny krytyk, którego przenikliwość i wielkoduszność bez najmniejszego problemu zmieściłyby się w protonie i jeszcze zostałyby miejsce na echo.
9. Nazwy kolorów takie jak tabaczkowy czy tango, które nic nie znaczą.
10. Pisownia *mic* zamiast *mike* w sensie „mikrofon” (Może jeszcze zaczniecie pisać *bic* zamiast *bike*?)



11. Meryl Streep, kiedy jest urocza.
12. „Skomunikujemy się” w znaczeniu „zadzwonimy” albo „napiszemy”.
13. Czajniki bez czerwonej lampki sygnalizującej, że są włączone.
14. Popołudniowe sztuki teatralne w Radio 4.
15. Harry Redknapp.

Wiem, że wyszło tego więcej niż dwanaście, ale ponieważ ja to wymyśliłem, przysługuje mi kilka dodatkowych punktów. Można by sądzić, że jazda po angielskim West Country letnią porą trafi na moją listę, ale się nie kwalifikuje, ponieważ nie jest to fobia instynktowna, tylko oczywista i racjonalna. Z tego samego powodu nie umieściłem na mojej liście Theresy May czy mężczyzn, którzy noszą apaszki. Musi to być coś, z czym niektórzy ludzie niekoniecznie się zgodzą, a nikt nie będzie polemizował ze stwierdzeniem, że jazda po West Country letnią porą jest koszmarem.

Przeprawa przez most Tamar, który ma tylko jeden pas w kierunku zachodnim, zajęła mi ponad godzinę. Co oni sobie myśleli, kiedy go budowali? Było to w 1961 roku, czyli w okresie, w którym wszędzie próbowali puścić autostrady, ale w tym jednym miejscu, w którym parę dodatkowych pasów bardzo by się przydało, postanowili przyoszczędzić. Gratulacje dla drogowców.

Za Plymouth samochody wloką się przez parę kilometrów, a potem cofają kilkaset metrów, żeby dotrzeć do ronda. Mniej więcej przez dziesięć minut każdy poruszał się półmetrowymi skokami, przeciskał przez rondo, rozpędzał na odcinku około trzech kilometrów i powtarzał całą tę żmudną procedurę przed kolejnym rondem.

W takim stylu brnąłem przez Kornwalię, mijając zjazdy na Looe, Polperro i Fowey. Z początku myślałem, że skoczę przyjrzeć się paru z tych miejscowości, ale wszystkie drogi nad morze były ślepe i na końcu każdej z nich widziałem długie sznury kamperów i samochodów obładowanych rowerami i kajakami, wiedziałem zatem, że dotarcie na miejsce zajęłoby mi godzinę, a potem nie znalazłbym miejsca na zaparkowanie samochodu. Mimo to, tuż za St Austell, śmiertelnie znudzony

impulsywnie skręciłem do Mevagissey.

Rzadko się zdarza, żebym natychmiast bardziej pożałował czegoś, o czym wiedziałem, że od razu tego pożałuję. Droga do Mevagissey była kręta, wąska i często nieruchliwa. Minęły całe wieki, zanim dotarłem na obrzeża Mevagissey, gdzie znajdował się gigantyczny parking.auta stały w kolejce do wjazdu. Zapytałem parkingowego, czy nie mógłbym po prostu zawrócić. Powiedział, że oczywiście, a potem mnie rozpoznał, co mnie ucieszyło. (Nie zdarza się to zbyt często. Spytajcie dowolnego autora). Nazywał się Matthew Facey i był właścicielem, a nie parkingowym. Parking od lat należy do jego rodziny i latem pochłania mu czas, ale prawdziwą pasją Matthew jest fotografia. Zajrzałem później na jego stronę internetową i muszę przyznać, że jest bardzo dobrym fotografem. W każdym razie miło sobie pogawędziliśmy i zachęcał mnie, żebym wrócił po sezonie, co obiecałem zrobić.

W drodze powrotnej do A390, głównej drogi do Penzance, gdzie zamierzałem spędzić najbliższą noc, minąłem tablicę Zaginione Ogrody Heligan i w ostatniej chwili gwałtownie skręciłem w boczną dróżkę, wprowadzając pewne niespodziewane urozmaicenie w życie dwóch rowerzystów i kierowcy kampera. Nie słyszałem wcześniej o tej atrakcji, ale ciekawiło mnie, jak można zgubić ogrody. Okazuje się, że Zaginione Ogrody Heligan są dziełem Tima Smita, Holendra, który od lat mieszka w Anglii i jest twórcą popularnego Projektu Eden, dwadzieścia kilometrów na północ po drugiej stronie St Austell.

Heligan było kiedyś wielkim majątkiem, położonym wysoko na pofałdowanym wzgórzu nad morzem, z czeladzią obejmującą dwudziestu dwóch ogrodników. Potem jednak przyszły ciężkie czasy i ogrody pozarastały chwastami. Kiedy w latach dziewięćdziesiątych pojawił się Smit i jego wspólnik John Nelson, ogrody od siedemdziesięciu lat nie były pielęgnowane. Heligan i Nelson postanowili je odrestaurować. Było to monumentalne zadanie. Po siedemdziesięciu latach niewiele z nich zostało. Cztery kilometry leśnych drózek pochłonęła natura. Szklarnie się pozawalały. W otoczonych murkami ogródkach jeżyny osiągnęły dwa metry wysokości. Przed rozpoczęciem prac trzeba było uprzątnąć siedemset

pięćdziesiąt zwalonych drzew. Zadanie wydawało się niewykonalne, ale Smit, który skończył archeologię na Uniwersytecie Durham, zabrał się do niego z charakterystycznym dla jego zawodu rygorem. Skutek jest taki, że po latach ciężkiej pracy ogrody odrestaurowano i dzisiaj są piękne i zatłoczone, na co najzupełniej zasługują.

Zajmują ogromną powierzchnię, w dużym stopniu leśną, i muszę przyznać, że byłem wdzięczny za możliwość rozprostowania nóg po wielu godzinach podróży samochodem. Leśne alejki zdają się ciągnąć kilometrami. Początkowo sądziłem, że kompleks Heligan składa się tylko z lasu i paproci, ale potem dotarłem do okolonego murem ogródka kwiatowego, który mienił się wszystkimi kolorami tęczy i był pełen roztańczonych motyli. W oddali widać było morze, w postaci jasnyniebieskiego pasa zbliżonego kolorystycznie do nieba. Wszystko wyglądało bardzo ładnie. W restauracji wzmocniłem się herbatą i kawałkiem ciasta — po brytyjsku ostrożnie smacznego, czyli satysfakcjonującego, ale nie aż tak pysznego, żebyś przez miesiąc miał ochotę na drugi kawałek — i wróciłem na drogę, czując się wspaniale odrestaurowany, zupełnie jak samo Heligan.

Przez wiele lat każdej wiosny jechałem pociągiem z Londynu do Penzance i spędzałem tam noc, by następnego dnia przemieścić się na wyspy Scilly i wziąć udział w maratonie Tresco. Wydarzenie to organizowała Fundacja Mukowiscydozy, a ja pełniłem w nim funkcję motywacyjną, to znaczy sam nie biegłem, tylko zagrzewałem mijających mnie zawodników do walki pomocnymi, aczkolwiek rozpraszającymi uwagę okrzykami. Maraton Tresco to jedna z najwspanialszych rzeczy, których w życiu doświadczyłem. Odbywał się w tym samym czasie co maraton londyński, a istniał dlatego, że szef kuchni w hotelu na wyspie, cudowny człowiek, który nazywa się Pete Hingston, uświadomił sobie, że nie da rady pobiec w Londynie dla swojej chorej na mukowiscydozę córki Jade, bo na Tresco o tej porze roku zawsze jest mnóstwo turystów. Razem ze swoją małżonką Fioną zainicjował więc maraton Tresco, który szybko stał się znanym wydarzeniem.

Ponieważ wysepka Tresco jest mała i może pomieścić tylko określoną liczbę gości, listę uczestników ograniczono do stu biegaczy, dzięki czemu zawody były zarazem ekskluzywne i kameralne. Są na świecie ludzie, którzy kolekcjonują maratony, i Tresco należało w tym gronie do białych kruków. Bardzo trudna była również sama trasa. Ze względu na rozmiary wyspy biegacze musieli ją okrążyć osiem razy, co oznaczało konieczność ośmiokrotnego pokonania długiego podbiegu. Rzadko się zdarza, żeby na trasie maratonu było osiem podbiegów.

Wielu zawodników zgłosiło się ze względu na to, że mieli w rodzinie osoby chore na mukowiscydozę, rodzeństwo, partnerów czy dzieci. W jednym z maratonów wziął udział sam chory. Trudno o coś bardziej heroicznego i poruszającego niż osoba chora na mukowiscydozę, która z powodzeniem biegnie w maratonie. Fantastyczna sprawa. Po dobiegnięciu do mety Pete wracał do hotelu i cały wieczór gotował.

Jedyną wadą wyjazdu do Tresco jest konieczność dostania się tam. Dawniej istniały na to dwa sposoby. Pierwszy z nich to przeprawa promowa. Wybrałem ją podczas mojej pierwszej wizyty i muszę powiedzieć, że wyglądało to trochę dziwnie. Wszyscy pasażerowie — nie było ich zbyt wielu — zeszli pod pokład i położyli się na różnych powierzchniach, które udało im się znaleźć. Wielu zakrywało twarze płaszczami, jakby się przed kimś chowali. Zaraz po wyjściu promu z portu bufet zamknięto. Wszystko to mocno mnie zaskoczyło. Kiedy wypłynęliśmy na otwarte morze, statkiem zaczęło kiwać i rzucać, ale w jakiś osobliwie powściągliwy sposób. Nie jestem najbardziej doświadczonym z marynarzy, ale parę razy w życiu płynąłem promem — między innymi przez kanał Beagle w Ameryce Południowej, który jest nie tyle drogą wodną, ile trampoliną dla statków — i mogę powiedzieć, że nigdy czegoś takiego nie doświadczyłem. Nie były to wielkie turbulencje, tylko swoisty dygot, który powoli wywierał swój skumulowany efekt. Jak mi później wyjaśniono, problem polega na tym, że prom musi mieć płaskie dno, aby nie utknąć na mieliźnie koło St Mary's, głównego portu Scillies. To oznacza, że nawet w bezwietrzne dni statek podskakuje na wodzie jak korek, a kiedy mocniej powieje, są szanse na dołączenie do

elitarnego grona ludzi, którym udało się w życiu zwymiotować na sufit.

Pewien człowiek z Tresco (dałem słowo, że nie ujawnię jego tożsamości) powiedział mi, że przeprowadzał się kiedyś z Penzance zimą i kiedy prom dotarł do Land's End, gdzie prądy morskie Cieśniny Kaletańskiej, Morza Irlandzkiego i Północnego Atlantyku tworzą pienisty wir, statek przestał posuwać się do przodu. Prawie przez dwie godziny podskakiwał w miejscu na falach, aż w końcu wiatr zelżał, pływy zmieniły kierunek czy coś w tym rodzaju — w każdym razie statek nagle ruszył przed siebie i dokończył czterdziestokilometrową przeprawę. Ale kiedy dotarł do St Mary's, z powodu zbyt wysokich fal nie mógł wejść do portu.

— Kapitan zapowiedział, że spróbuje jeszcze raz i jeśli się nie uda, będziemy musieli zawrócić i popłynąć do Penzance, po jeszcze bardziej wzburzonym morzu — relacjonował mój informator.

Przysięgam, że nie przesadzam: wziąłem koło ratunkowe i poważnie zastanawiałem się nad tym, żeby skoczyć za burtę i zaryzykować dopłynięcie do brzegu. Tak ciężko potrafi być. Na szczęście wody na chwilę się uspokoiły i zdołaliśmy zacumować. W życiu nie widziałem, żeby dwadzieścia osób szybciej się wyokrętało.

Drugi sposób przedostania się na wyspę to lot gigantycznym helikopterem. Ta metoda również nie budziła we mnie zbyt wielkiego entuzjazmu, ponieważ nie była całkiem niezawodna. W 1983 roku, kiedy połączenie to obsługiwały British Airways, helikopter na Scillies rozbił się podczas wietrznej pogody i dwadzieścia osób poniosło śmierć. Kilka razy poleciałem helikopterem i zawsze było w porządku, ale miałem poczucie, że jednostka ta powinna raczej trafić do sekcji Imperialnego Muzeum Wojny poświęconej wojnie koreańskiej. W 2012 roku przeloty helikopterem zlikwidowano ze względów ekonomicznych i tam, gdzie w Penzance znajdowało się kiedyś lądowisko, dzisiaj jest gigantyczny hipermarket Sainsbury's. Od tej pory, jeśli ktoś chce się dostać na Scillies, musi albo zmierzyć się z dygocącym promem, albo polecieć małym samolotem z Exceter, Newquay bądź Land's End.

W 2010 roku, po dziesięciu latach heroicznego istnienia, maraton Tresco

również zlikwidowano z przyczyn ekonomicznych, po wycofaniu się sponsora. Maraton Tresco oszedł do lamusa. Nie ma co się oszukiwać: żyjemy w przygnębiających czasach.

\*

Ucieszyłem się, że znowu jestem w Penzance. Hotel, w którym zawsze nocowałem, był w remoncie, więc żona zarezerwowała mi pokój w butikowym hotelu na drugim końcu miasta. Zostawiłem bagaż i ruszyłem w miasto, chcąc się przespacerować przed kolacją i zobaczyć, jak bardzo Penzance się zmieniło od mojego ostatniego pobytu.

Penzance powinno być bajeczne. Jest niezwykle malowniczo położone naprzeciwko wyspy St Michael's Mount — jeden z najbardziej romantycznych widoków w Anglii. Ma długi, przyjemny deptak i przystań, która mogłaby być urocza, wystarczyłaby odrobina farby i wyobraźni plus parę lasek dynamitu. Uliczki są wąskie i urzekające. Szeregowe domy roztaczają sąsiedzką aurę, a z wielu rozciągają się cudowne widoki. Coś fantastycznego — wstajesz rano, podchodzisz do okna i wiesz po wyglądzie morza, jaka będzie tego dnia pogoda.

W Penzance nie ma ani jednej rzeczy, która nie byłaby obiecująca, a mimo to miasto jest smutne i podupada. Zafrapowała mnie liczba firm, które zlikwidowano od mojej ostatniej wizyty. Restauracja Buttery zniknęła. W wielu sklepach było ciemno i pusto. Pub London Inn nadal funkcjonował, ale chyba nie najlepiej, bo właściciele poczuli się zobowiązani do wywieszenia następującej informacji: „To jest *public house*, a nie publiczna toaleta”. Ucieszyło mnie, że zajęli stanowisko w tej sprawie, ale jeżeli obwieszczenie to miało posłużyć jako zachęta do skorzystania z ich usług, to na mnie nie podziałała. Restauracja indyjska Ganges, w której wiele razy jadłem kolację, również odeszła do lamusa, choć akurat to nieszczęśliwie mnie zdziwiło: lokowała się w przedziale między kiepską a fatalną, ale raczej bliżej tej drugiej granicy. Na ogół byłem jedynym klientem. Przyznaję, że nigdy nie musiałem długo czekać na jedzenie.

Naprzeciwko Gangesu znajdował się dobry pub Turk's Head. Zajrzałem przez okno i zobaczyłem, że panował tam, jak to bywa w sobotnie wieczory, wielki ścisk, więc poszedłem trochę dalej do innego dobrego pubu przy tej samej ulicy, Admiral Benbow, w którym było jeszcze tłoczniej. Wróciłem zatem do Turk's Head i precisiłem się do baru. Na piwo musiałem czekać całe wieki, ale kiedy się odwróciłem z kuflem w garści, z radością zobaczyłem, że zwolnił się stoliczek koło drzwi. Usiadłem i zapytałem przechodzącą obok kelnerkę, czy dałoby się co zjeść. Z radością przyjęła ode mnie zamówienie, ale uczciwie uprzedziła, że będę musiał trochę poczekać. Przez resztę wieczoru mniej więcej co czterdzieści minut przynosiła mi coś do stolika z zapewnieniem, że o mnie nie zapomniła. Zaopatrywała mnie w różne rzeczy, które jej zdaniem mogły mi pomóc w późniejszej konsumpcji potraw — solniczka, pieprzniczka, zawinięte w papierową serwetkę sztuczce — ale w ramach jednego z kursów przyniosła kromkę chleba z masłem, którą łyknąłem jak żaba muchę. Koło dwudziestej czterdzieści dostałem miskę zupy, parującą i pyszną, a po kolejnej długiej przerwie przyszło danie główne, czyli ryba z frytkami. Oczekiwanie na te potrawy urozmaiciło mi przybycie spodeczka z sosem tartarskim, osełki masła i wielu kufli piwa. Zorientowałem się również, że po wypiciu pewnej ilości tego trunku kolacja przestaje mieć większe znaczenie.

Koło dziesiątej kelnerka zapytała, czy życzę sobie jakiś deser, ale szybko doszliśmy do wniosku, że raczej nie pożyję wystarczająco długo, żeby zdążyć go zjeść, uzgodniliśmy zatem, że ograniczymy się do jeszcze jednego piwa i rachunku. W sumie miałem wspaniały wieczór — ale czy jest na świecie człowiek, który nie ma świetnej zabawy po wypiciu siedmiu czy ośmiu piw?

Z doświadczenia tego wyniosłem jeszcze jedną naukę: człowiek potrafi tak się upić, że przez dwa kilometry oddala się od swojego hotelu, a potem przez trzydzieści minut okrąża budynek zaskoczony, czemu hotel obłożono rusztowaniem, a klucz nie pasuje do żadnych drzwi. Nie pamiętam żadnych szczegółów późniejszych wydarzeń, ale następnego dnia rano obudziłem się na swoim łóżku we właściwym hotelu, w jednym bucie, ale poza tym w kompletnym

stroju, w takiej pozie (i adekwatnym do tego samopoczuciu), jakbym właśnie spadł z drzewa.

## II

Czy to nie zdumiewające, jak wielu ludzi na świecie nas nienawidzi? Większość z nich nigdy nie spotkamy, a przecież naprawdę nas nie lubią. Nienawidzą nas wszyscy twórcy oprogramowania w Microsoftzie i większość osób, które odbierają telefony w agencji turystycznej Expedia. Pracownicy TripAdvisor by nas nienawidzili, gdyby nie byli takimi zasranymi idiotami. Nienawidzą nas wszyscy pracownicy hoteli, którzy mają kontakt z klientami, oraz wszyscy bez wyjątku pracownicy linii lotniczych. Nienawidzą nas wszyscy ludzie, którzy kiedykolwiek pracowali dla British Telecom, łącznie z tymi, którzy zmarli przed naszym urodzeniem; BT zatrudnia w Indiach całe rzesze personelu pomocniczego tylko po to, żeby nas nienawidził.

Jednak pod względem natężenia nienawiści do nas nikt nie może się równać z ludźmi, którzy budują angielskie przystanki autobusowe. Nie mam pojęcia, z czego to wynika, ale ich *idée fixe*, która pozwala im jakoś dotrzeć do każdego kolejnego dnia pracy, jest dążenie do tego, żeby ani jeden użytkownik przystanku autobusowego na terenie Zjednoczonego Królestwa nie spędził choćby jednej chwili w komfortowych warunkach. Dla osiągnięcia swojego celu dają ci do siedzenia czerwoną plastikową listwę pochyloną pod takim kątem, że wystarczy chwila nieuwagi, abyś się ześliznął jak jajko sadzone z teflonu.

Wspominam o tym dlatego, że następnego dnia po śniadaniu poszedłem na spacer wzdłuż morza i minąłem nowy przystanek autobusowy, który nie miał nawet pochylonej listwy, tylko wspartą na trzech nogach rurkę — jak od rusztowania, ale bardziej błyszcząca. Podszedłem i z ciekawości wypróbowałem to siedzisko — było to bolesne doświadczenie. Ciekawe, jak by sobie z tym poradził emeryt. Poza tym przystanek był brzydki. Kiedyś przystanki przypominały wiejskie chaty, miały dwuspadowy daszek i zintegrowane drewniane ławki. Teraz są tylko oklejonymi



reklamami tunelami aerodynamicznymi.

Nasuwa się pytanie, dlaczego obiekty małej architektury muszą być takie okropne. Wielka Brytania miała kiedyś swoisty instynkt do wytwarzania przedmiotów codziennego użytku, które uprzyjemniały życie. Chyba żaden inny naród na świecie nie wymyślił większej liczby przedmiotów, które potrafią budzić sympatię i poczucie więzi — czarne taksówki, piętrowe autobusy, szyldy pubów, wiktoriańskie latarnie, czerwone skrzynki pocztowe i budki telefoniczne, absurdalnie niepraktyczny, ale ujmujący kask policyjny i mnóstwo innych rzeczy. Nie zawsze były one szczególnie efektywne i rozsądne — otworzenie żeliwnych drzwi budki telefonicznej przy silnym wietrze wymagało niemal nadludzkiego wysiłku — ale nadawały życiu pewien charakterystyczny rys, który odróżniał Wielką Brytanię od reszty świata. Dzisiaj prawie bez wyjątku już ich nie ma. Nawet londyńskie czarne taksówki ustępują miejsca minivanom mercedesa z automatycznymi drzwiami i kierowca na ciebie krzyczy, jeśli próbujesz sam je otworzyć, a policjanci noszą żółte kamizelki, w których wyglądają jak kolejarze remontujący tory. W niezliczonych dziedzinach życia świat wokół nas robi się coraz bardziej tandetny. Mnie się to zupełnie nie podoba.

Zmierzałem do Mousehole, słynącej z urody wioski rybackiej. Korzenie dziwnej nazwy<sup>4</sup> (którą wymawia się „mołz-ul”) są przedmiotem sporów, ale najprawdopodobniej pochodzi ona od jakiegoś starego kornwalijskiego słowa. Miejscowość leży około pięciu kilometrów od Penzance. Pogoda była wspaniała, a ruch mały, jak to w niedzielę. Wody zatoki połyskiwały kojąco. Między Newlyn a Mousehole zobaczyłem starą stację ratownictwa morskiego w Penlee i zatrzymałem się, bo wiedziałem, że jest to znane miejsce, ale nie pamiętałem z czego. Szczegółów, które wyparowały mi z pamięci, dostarczyła tablica informacyjna koło przystani. Trzydzieści kilka lat temu miał tutaj miejsce akt wielkiego, ale tragicznego heroizmu.

Dziewiętnastego grudnia 1981 roku mały frachtowiec „Union Star” podczas dziewiczej podróży z Holandii do Irlandii wpadł w tarapaty na wzburzonym morzu

u wybrzeża Kornwalii. Przez cały dzień mocno wiało, a wieczorem sztorm osiągnął natężenie dwunastu stopni w skali Beauforta — od wielu lat nienotowane w tej okolicy. Oprócz pięcioosobowej załogi „Union Star” przewoził również żonę i dwie nastoletnie córki kapitana, żeby rodzina mogła spędzić razem święta w Irlandii. Po wielu godzinach zmagania ze sztormem silniki się zepsuły i statek zaczął bezradnie dryfować. Kiedy SOS dotarło do pubu w Mousehole, kapitan stacji ratowniczej Trevelyan Richards wybrał ośmiu ludzi i natychmiast wyruszyli do Penlee. Po przybyciu na miejsce wsiedli na kuter ratowniczy i z najwyższym trudem dotarli do dryfującego statku, zdołali się ustawić koło jego burty i przejął na pokład cztery osoby. Przy piętnastometrowych falach było to niesamowite osiągnięcie.

Kapitan Richards dał znać do bazy, że wiozą cztery uratowane osoby, a potem wróca po resztę. Był to ostatni jego komunikat. Śledczy uznali, że chwilę później fale rzuciły jednym statkiem o drugi i oba zatoniły. Tak czy inaczej szesnaście osób straciło życie. Stacja ratunkowa Penlee przestała działać, ale sam obiekt pozostawiono jako pomnik tamtej nocy.

Dopiero w Penlee przyszło mi do głowy, jak wspaniałą organizacją jest Royal National Lifeboat Institution, zrzeszająca ochotniczych ratowników morskich. Sami pomyślcie. Statek wysłał sygnał SOS i osiem osób — nauczyciele, hydraulicy, właściciel pubu — rzuca wszystko i wyrusza na morze, niezależnie od pogody, bez zadawania pytań; narażają własne życie, żeby pomóc obcym. Czy można sobie wyobrazić coś odważniejszego i szlachetniejszego? RNLI — wyczytałem to wszystko później — to ochotnicza organizacja w całości finansowana z dobrowolnych datków. Utrzymuje dwieście trzydzieści trzy stacje wokół wybrzeża Wielkiej Brytanii i notuje średnio dwadzieścia dwa wezwania dziennie. Każdego roku ratuje życie przeciętnie trzystu pięćdziesięciu osobom. Kiedy myślę o takich sprawach, to mi się wydaje, że Wielka Brytania jest najwspanialszym krajem na świecie.

Kwestia ta jeszcze bardziej pogłębiła mój zachwyt dla Mousehole, która i bez tego jest prześliczną miejscowością, z wąskimi i wariacko pozakręcanymi ulicami.

Przez wiele z nich nie przecisną się auta, a niektóre zaułki bardziej przypominają schody niż ulicę. U stóp wsi znajduje się mała przystań otoczona falochronem. Kiedy tam przyjechałem, był odpływ i łodzie leżały ukośnie na wodorostach i mule. Morze migotało w porannym słońcu. Wyspa St Michael's Mount po drugiej stronie zatoki przypominała kamienny galeon. Nad przystanią był uroczy pub Ship Inn. Stąd właśnie wyruszyli ratownicy tej feralnej nocy. Na przedniej ścianie wisiała tablica upamiętniająca byłego właściciela Charlesa Greenhaugh, jednego z ośmiu mieszkańców Mousehole, którzy wtedy zginęli. Dotarłem do Mousehole wcześniej rano w niedzielę, więc wszystko było pozamykane, w związku z czym trochę położyłem, porozkoszowałem się widokiem i w refleksyjnym nastroju wróciłem do Penzance.

Po powrocie do miasta wyjąłem z samochodu atlas, otworzyłem go na Kornwalii i zacząłem się zastanawiać, co dalej ze sobą zrobić. Moje spojrzenie przypadkiem padło na miejscowość, w której od czterdziestu lat nie byłem i zapomniałem o jej istnieniu: Tintagel.

Problem następnego celu podróży został rozwiązany. W sumie nie wiem, dlaczego postanowiłem pojechać akurat do Tintagel, ponieważ nie mam stamtąd żadnych ważnych czy radosnych wspomnień. Podczas pierwszej wizyty nawet mi się nie spodobało, ale poczułem swego rodzaju przymus, żeby znowu zobaczyć tę miejscowość. Pewnie zainteresowałam się nią dlatego, że od czterdziestu lat jej nie widziałem. Ciekawiło mnie, ile sobie przypomnę, jeśli w ogóle cokolwiek.

Na wypadek, gdybyście nie wiedzieli, Tintagel to miasteczko plus cypel z ruinami zamku tradycyjnie kojarzonego z królem Arturem. Rozwaliny zamku stoją wysoko nad huczącym morzem na ponurym odcinku wybrzeża Kornwalii między Newquay i Bude. Odległość od A39, głównej drogi przez północną Kornwalię, wynosi zaledwie kilkanaście kilometrów, ale labiryntem prowadzących tam dróg jedzie się tak powoli, jakby dystans był znacznie większy. Podczas tej pierwszej wizyty doszedłem do Tintagel piechotą, nie zdając sobie sprawy, że za każdym razem, kiedy będzie przejeżdżał samochód — na szczęście nie zdarzało się

to zbyt często — będę zmuszony wciskać się w żywopłot, a na dodatek z osłupieniem odkryłem, że droga jest znacznie dłuższa i bardziej zawija, niż to wynikało z parocentymetrowej kreski na mojej mapie. W pewnym momencie, kiedy z otwartą mapą stałem zdezorientowany na nieoznakowanym skrzyżowaniu, zatrzymał się koło mnie zdezelowany przedpotopowy samochód i przednia szyba opadła ze zgrzytem.

— Idzie pan do Tintagel? — spytała kobieta dystyngowanym głosem.

Pochyliłem się i zajrzałem do środka. Na siedzeniu pasażera zobaczyłem drugą kobietę.

— Tak, do Tintagel — potwierdziłem.

— Niech pan wskakuje. Podwieziemy pana.

Z wdzięcznością precyzyjnie przesuwałem się na tylne siedzenie, już fabrycznie niewielkie, a na dodatek wypełnione pod sufit walizkami i sprzętem turystycznym. Siedziałem z kolanami naciągniętymi na uszy. Ruszyliśmy z potężnym rykiem silnika — jeden z nielicznych momentów w moim życiu, kiedy poczułem przeciążenie. Nie wiem, jaki to był samochód, ale kobieta tak prowadziła, jakby była Stirlingiem Mossem i startowała w wyścigu na Nürburgringu. Sprawiała wrażenie niskiej i niemal idealnie okrągłej. Jej towarzyszka, kobieta w podobnym wieku, była wysoka i szczupła. Pomyślałem sobie, że mogłyby pójść na bal przebierańców jako liczba dziesięć.

Ta okrągła — kierowca — zaczęła mnie nękać pytaniami. Co robię Wielkiej Brytanii? Gdzie do tej pory byłem? Szczególnie usilnie chciała się dowiedzieć, co mi się podoba, a co nie podoba na ich małej wyspie. Dyplomatycznie odpowiedziałem, że wszystko mi się podoba.

— Musi być coś, co się panu nie podoba — upierała się.

Natychmiast zdałem sobie sprawę, że stoję na z góry straconej pozycji, więc odpowiedziałem, że naprawdę wszystko mi się podoba.

— Musi być coś, co się panu nie podoba — drążyła.

— Niech się pan zastanowi — nalegała jej towarzyszka.

— Przyznam, że nie przepadam za tutejszym bekonem — powiedziałem.

— Nie lubi pan naszego bekonu — powiedziała okrągła kobieta i zobaczyłem w lusterku wstecznym, że jej lewa brew wygięła się w łuk prawie pod sufit. — A cóż takiego dolega angielskiemu bekonowi?

— Po prostu jest inny. Amerykański bekon jest chrupiący.

— I uważa pan, że chrupiący bekon jest lepszy?

— Po prostu do takiego się przyzwyczailem.

— Kiedy byłam w Sunt Lewey — powiedziała nagle chuda — jadłam coś, co nazywali *hotcakes*, gorącymi ciastkami. Wyobrażasz sobie — ciastka na śniadanie.

— To nie są ciastka — zaprotestowałem.

— Doskonale pamiętam, że nazywają się *hotcakes* — nie ustępowała chuda.

— Jak wyglądają, moja droga? — spytała mała okrągła.

— Przypominają nasze racuchy.

— Bo to są racuchy, tylko inaczej się nazywają — wyjaśniłem, ale kobiety już mnie nie słuchały.

— I Amerykanie jedzą je na śniadanie?

— Codziennie.

— Nadzwyczajne!

— Przedziwny naród. Jedzą coś, co nazywa się *pizza pie*, paszteciki pizzowe.

— Na śniadanie?

— Nie, na obiad i kolację. Ale to nie ma nic wspólnego z pasztecikiem, to jest rodzaj chleba z sosem pomidorowym i serem.

— Brzmi okropnie.

— No i jest całkiem okropne — zawyrokowała jej towarzyszka.

— Je pan paszteciki pizzowe? — zapytała mnie okrągła oskarżycielskim tonem. Przyznałem, że mi się zdarza. — I woli pan to od angielskiego bekonu? — Pytanie było dla mnie zbyt skomplikowane, więc zacząłem poruszać ustami, ale nie wyszły z nich żadne słowa. — To bardzo dziwne, że lubi pan paszteciki pizzowe, ale nie angielski bekon. Nie wydaje ci się to zaskakujące, moja droga? — zapytała okrągła chudej.

— Nader osobliwe — zgodziła się z nią przyjaciółka. — No ale jeśli mam być

całkowicie szczerą, Amerykanie w ogóle są nader osobliwi.

Okragła przyglądała mi się uważnie w lusterku wstecznym.

— Czego jeszcze pan nie lubi?

Zamierzałem kontynuować strategię dyplomatyczną, ale na przekór samemu sobie i zdrowemu rozsądkowi odparłem:

— Szczerze mówiąc, za parówkami też nie przepadam.

— Za naszymi parówkami? Nie lubi pan naszych parówek?

— Wolę amerykańskie.

Ponownie wykluczono mnie z rozmowy.

— Jadłaś w Sunt Lewey parówki, moja droga? — zapytała okragła przyjaciółkę.

— Tak i były nader osobliwe. Małe i dosyć pikantne.

— Oj, nie brzmi to zachęcająco.

— Owszem — zgodziła się z nią chuda.

Okragła znowu patrzyła na mnie krytycznie.

— Mam nadzieję, że nie przymierają głodem w tym kraju. Najwyraźniej nic panu nie smakuje.

Stwierdzenie to było bliskie prawdy, ale odpowiedziałem:

— Nie, poza tym wszystko mi smakuje.

Po mniej więcej pięciu minutach dodałem:

— Nawiasem mówiąc, wymawia się Saint Lewis, a nie Sunt Lewey.

Moje słowa skwitowano milczeniem i uświadomiłem sobie, że nasz eksperyment z transatlantyckiej przyjaźni dobiegł końca. Na głównym parkingu w Tintagel nasze drogi się rozeszły i na odchodnym zdążyłem usłyszeć, jak chuda mówi do okragłej:

— Nader osobliwy. I dosyć niekulturalny, nie uważasz?

Teraz zostawiłem samochód na tym samym obszernym parkingu i wypuściłem się na główną ulicę. Nie miałem żadnych wspomnień z miejscowości Tintagel i natychmiast się zorientowałem, z czego to wynikało. Miasteczko, zasadniczo złożone z jednej ulicy obstawionej sklepami, w których sprzedawano głównie

badziewie spod znaku New Age, absolutnie niczym się nie wyróżniało. Tłoczyło się od turystów, w kawiarniach i herbaciarniach nie było ani jednego wolnego stolika.

Zamku też nie pamiętałem, ale to również nie powinno zbytnio zaskakiwać, ponieważ nie ma tutaj niczego godnego zapamiętania — kilka szczerb muru na położonej sześćdziesiąt metrów nad poziomem morza, porośniętej trawą skalnej platformie. Początki zamku Tintagel giną w pomroce dziejów. Do kronik historycznych trafił w XII wieku za sprawą Geoffreya of Monmouth i jego *History of Kings of Britain*. Historyk ten opowiada, że król Brytanii Uther Pendragon zakochał się w pięknej żonie księcia Kornwalii. Przerażony księżę kazał zamknąć żonę w kamiennej twierdzy na półwyspie Tintagel, a sam ruszył wojować w jakiejś odległej krainie. Uther nie zamierzał sobie odmawiać smakowitego kąska i polecił swojemu sprytnemu czarodziejowi Merlinowi, żeby go zamienił w sobowtóra księcia i pod taką postacią uzyskał wstęp do zamku. Tam dopiął swego z żoną księcia, która niczego nie podejrzewała (a w każdym razie się nie poskarżyła), i tym samym księżę został pierwszym odnotowanym w źródłach kornwalijskim rogiaczem. Jakiś czas potem piękna księżna odkryła, że jest w ciąży. Owocem tego zespolenia był król Artur.

Historia ta budzi wiele zastrzeżeń, między innymi takie, że Geoffrey pisał tę relację sześćset lat po fakcie i najprawdopodobniej wszystko zmyślił. Jeśli Artur istniał, mógł być jedną z wielu postaci historycznych, z których tylko część miała jakiegokolwiek związku z Kornwalią. Niewykluczone, że gniazdo Artura, Camelot, mieściło się na drugim końcu kraju, we Wschodniej Anglii. Istnieje w miarę wiarygodna hipoteza, że nazwa Camelot pochodzi od Camulodunum, jak Rzymianie nazywali Colchester w Essex. Jedno jest pewne — Artur, Uther, Merlin i inni bohaterowie powyższej opowieści nie widzieli zamku Tintagel na oczy, ponieważ w tamtych czasach nie był jeszcze wybudowany.

Z grzeczności rozejrzałem się dookoła i przeczytałem tablice informacyjne, zszedłem na poziom morza obejrzeć dzieło natury, które nosi nazwę Jaskinia Merlina (znowu bez żadnych podstaw historycznych), i ponownie wdrapałem się

na klify. Po powrocie do wsi stwierdziłem, że ludzi nie ubyło i prawie nikt z nich nie szedł zwiedzić zamku, ponieważ najwyraźniej zadowalało ich oglądanie w sklepach świeczek, kart do tarota i tym podobnych.

Podczas mojej pierwszej wizyty przed wielu laty po obejrzeniu zamku wróciłem na parking z nadzieją, że moje nowe znajome zlitują się nade mną i przetransportują mnie na łono cywilizacji — było miarą mojej desperacji, że się z tą nadzieją nie rozstawałem — ale miejsce po ich samochodzie było puste. Wyszedłem więc na drogę, którą przyjechaliśmy, prawdopodobnie nie zastanawiając się zbytnio nad tym, jakie to nierozsądne, żeby tuż przed zmrokiem opuścić jedyne zamieszkane miejsce w promieniu wielu kilometrów. Nie mam pojęcia, czego się spodziewałem, ale po krótkim czasie byłem głodny, zmarznięty i w gruncie rzeczy zgubiony. W tym właśnie momencie natrafiłem na samotny dom — zapewniam, że historia ta jest w stu procentach prawdziwa — przed którym stała tablica z napisem „Pensjonat”. Jeszcze zanim dotarłem do drzwi, usłyszałem, że wewnątrz toczy się burzliwa dyskusja, która natychmiast ucichła, jak tylko zadzwoniłem. Po dłuższej chwili rozmemłana kobieta nieznacznie uchyliła drzwi. Nie odezwała się, ale jej spojrzenie mówiło samo za siebie: „Czego?”.

— Ma pani wolny pokój? — spytałem.

— Pokój? — powtórzyła zdumionym tonem, jakby zapomniała, że ogłasza swój dom jako pensjonat. Potem najwyraźniej sobie przypomniała i powiedziała: — To będzie funt.

Kiedy wypowiedziała słowo *pound*, jak zawsze skołowany nie pomyślałem o brytyjskiej walucie, tylko o innym znaczeniu, a mianowicie „psiarnia”, i uznałem, że gospodyni opisała warunki panujące w proponowanej mi kwaterze, ale wyjaśniła, że chodziło jej o cenę.

Zaprowadziła mnie do pokoju na parterze z tyłu. Było tam trochę chłodno i spartańsko — wąskie łóżko, szafka nocna, komoda i tylko zimna woda w umywalce — ale czysto.

— Czy można coś zjeść w okolicy? — zapytałem.

— Nie.



— Och.

— Mogę coś panu naszykować. Dużo nie mam.

— Byłoby wspaniale — odparłem ze szczerą wdzięcznością, bo umierałem z głodu.

— To będzie pana kosztowało kolejnego funta.

— Może być.

— Niech pan tutaj zaczeka, przyniosę, jak będzie gotowe.

Zostawiła mnie w pokoju. Prawie natychmiast w pobliskim pomieszczeniu rozległy się przerażające krzyki. Nie miałem wątpliwości, że zostałem wciągnięty w spór, który się toczył przed moim przybyciem. Przez następne pół godziny drzwi i szuflady trzaskały, a gniewne głosy były nieustannie podniesione. Coś ciężkiego, być może toster, huknęło o ścianę. Potem hałasy nagle ustały. Po chwili drzwi mojego pokoju się otworzyły i kobieta wniosła tacę. Pyszny, ogromny posiłek obejmował wielki kawał ciasta i puszkę piwa.

— Niech pan zostawi tacę za drzwiami, jak pan skończy — powiedziała i wyszła.

Kłótnię wznowiono, jeszcze głośniejsze i wścieklej. Starłem się jeść jak najciszej, pełen obaw, że zaraz wtargnie do mojego pokoju ponad dwumetrowy dryblas w ogrodniczkach i z siekierą w garści, ale scenariusz ten się nie zrealizował. W pewnym momencie kobieta wrzasnęła i powiedziała „Odłóż to”, a potem padały hasła typu „Ani się waż” i „No dalej, chora kanalio”. Były też odgłosy przepychanek i stukot przewróconego krzesła. Na chwilę znowu ucichło, po czym wróciła awantura i rzucanie przedmiotami. Nie wiedziałem, czy powinienem interweniować, czy uciekać przez okno. W końcu usiadłem na skraju łóżka i zjadłem ciasto. Było pyszne.

O ósmej położyłem się do łóżka — nie było nic innego do roboty — i w ciemnościach przysłuchiwałem się kłótni. Mniej więcej po godzinie swary przeniosły się na górę, gdzie trwały z przerwami z grubsza do jedenastej, a potem nareszcie ucichły i wszyscy zasnęliśmy.

Rano rozmemłana gospodyni przyniosła mi na tacy gigantyczne i pyszne

śniadanie.

— Musi pan iść, jak pan skończy — oznajmiła. — Wychodzę i nie chcę pana zostawiać samego z nim.

Położyła tacę na komodzie, wzięła ode mnie dwa funty i wyszła. Parę chwil później usłyszałem warkot silnika samochodu.

Śniadanie zjadłem w jakieś siedemnaście sekund, zebrałem swoje rzeczy i po raz pierwszy od przybycia do tego domu opuściłem swój pokój. W korytarzu stał mężczyzna, który poprawiał przed lustrem krawat. Spojrzał na mnie beznamiętnie i wrócił do krawata. Wyszedłem i bez oglądania się za siebie żwawym krokiem przemierzyłem sześć kilometrów, które dzieliły mnie od Boscastle. Wsiadłem w pierwszy autobus, który się napatoczył. Było to w 1972 roku. Nie licząc kilku wizyt w Penzance, od tej pory ani razu nie byłem w Kornwalii.

---

<sup>3</sup> W slangu miejskim „świetne”, „super”.

<sup>4</sup> Mousehole — dosł. „Mysia dziura”.

## Starożytna Brytania

**W** *Zapiskach z małej wyspy* nie oddałem Stonehenge sprawiedliwości, ale w tamtych czasach ono samo nie oddawało sobie sprawiedliwości. Parking i biuro informacji turystycznej wygodnie, ale nieatrakcyjnie znajdowały się blisko kamiennego kręgu, tuż obok ruchliwej A344. Punkt informacyjny miał w sobie całą gościnność i urok pakamery. Ekspozycja była oszczędna, a bufet brudny. Wszystko razem funkcjonowało w społecznym obiegu jako narodowy skandal.

Cóż za metamorfoza! Dzisiaj, dyskretnie schowane za pobliskim wzgórzem, wznosi się eleganckie nowe centrum informacji turystycznej, przeszklone i zapraszające, z dużą salą ekspozycyjną, z której można się bardzo dużo dowiedzieć o obiekcie między innymi za pośrednictwem technologii z epoki kosmicznej. Stary parking, punkt informacyjny i spory odcinek A344 zlikwidowano i obsiano trawą, z dobroczynnym skutkiem. W pewnym okresie istniały plany, żeby bardzo ruchliwą A303, która objeżdża kompleks od południa, puścić tunelem, dzięki czemu Stonehenge stałoby się niemym, samotnym cudem, którym kiedyś było, ale plan ten ostatecznie odrzucono jako zbyt kosztowny. Mimo to dzięki niedawnym usprawnieniom Stonehenge jest tysiąc razy lepsze niż jeszcze parę lat temu.

Nie wszyscy są do końca zadowoleni z nowych porządków. Dla wielu amerykańskich turystów Stonehenge to tylko jeden z etapów ekspresowej jednodniowej wycieczki z Londynu, która obejmuje również zamek Windsor i Bath, a czasem także Stratford-upon-Avon. Kiedyś tego gatunku goście mogli kompleksowo zwiedzić Stonehenge — zobaczyć głazy, rozejrzeć się po sklepie z pamiątkami, z konsternacją odkryć, że nie można kupić nachos ani pizzy, nabyć

pudełko toffi, żeby mieć czym zaspokoić głód do czasu, kiedy trafi się jakieś prawdziwe jedzenie, złożyć wizytę w ubikacji, wdziąć na siebie plastikowe ponczo, ponieważ przyszedł czas na to, żeby zrobić z siebie durnia, wsiąść z powrotem do autokaru i odjechać — mniej więcej w dziesięć minut. Teraz, kiedy centrum informacyjne znajduje się ponad półtora kilometra od głązów, tyle czasu zajmuje sam dojazd do obiektu, a ludzie, którzy chcą zaliczyć południe Anglii w jeden dzień, nie mają go tak wiele na zbyciu.

Ja jednak byłem zachwycony od chwili przyjazdu. Cena za wstęp, czternaście funtów dziewięćdziesiąt pensów, dobyła z mej gardzieli tylko krótki okrzyk bólu. Nowa ekspozycja była świetna — w każdym razie najlepsza z możliwych, ponieważ przygotowanie takiej ekspozycji to niezwykle trudne zadanie. Trzeba zaspokoić potrzeby ludzi, których inteligencja, zainteresowania i sprawność językowa lokują się na wszystkich możliwych poziomach, a jednocześnie należy zapewnić ciągłość ruchu, żeby nie robiły się korki, co oznacza, że ludzie nie powinni długo stać przy żadnym eksponacie. Przy uwzględnieniu tego wszystkiego ekspozycja zasługuje na maksymalną notę.

Znaczna część naszej wiedzy na temat Stonehenge jest zaskakująco świeżej daty. Przez większość mojego życia sądzono, że Stonehenge powstało około 1400 roku przed naszą erą, ale dzisiaj wiadomo, że jest o tysiąc lat starsze, a znaczna część fos i wałów ziemnych pochodzi z jeszcze wcześniejszego okresu. Cursus, trzykilometrowa owalna fosa, datuje się na setki lat wcześniej, podobnie jak wiele spośród kurhanów i dróg procesyjnych. Coś przyciągało ludzi do tego miejsca, na długo zanim zdecydowano się postawić tutaj głązy. Ludzie przyjeżdżali ze wszystkich stron — z kontynentalnej Europy i gór Szkocji — ale prawdopodobnie nigdy się nie dowiemy, w jakim celu.

Nie ma niczego bardziej tajemniczego niż sam wielki kamienny krąg. Stonehenge, które widzimy dzisiaj, zbudowano z dwóch gatunków kamienia: sarsenu, bardzo twardego piaskowca, z którego składają się gigantyczne głązy ustawione na sztorc, oraz dolerytu, którego użyto do budowy mniejszych kręgów zewnętrznych. Sarsen przywieziono z terenów w literaturze przedmiotu często

określanych jako pobliskie, ale spróbujcie przeciągnąć kilkudziesięciotonowy głaz na odległość trzydziestu paru kilometrów i zadajcie sobie pytanie, czy nadal macie ochotę użyć słowa „pobliski”. Dzisiaj stoi siedemnaście wielkich głazów, ale kiedyś mogło ich być trzydzieści. Mniejsze, ale liczniejsze doleryty — w sumie około osiemdziesięciu — przebyły dwieście dziewięćdziesiąt kilometrów z Marlborough Downs w zachodniej Walii. Rzecz absolutnie niezwykła. Skąd mieszkańcy nizinnej Anglii wiedzieli o istnieniu specjalnych kamieni na wierzchołku góry w dalekiej Walii? Jeżeli uważali te kamienie za święte, jak najprawdopodobniej było, to dlaczego nie zbudowali sanktuarium na miejscu? Po co zadawać sobie tyle trudu i wlec głazy aż na Nizinę Salisbury? Nie chodziło o to, żeby dokończyć wielki kamienny krąg, który dzisiaj widzimy. Wiemy, że doleryt sprowadzono do Stonehenge pięćset lat przed budową tego kręgu. Również o tym wiemy dopiero od 2009 roku. Tak jak ze wszystkim, co wiąże się ze Stonehenge, im więcej się dowiadujemy, tym bardziej staje się to wszystko dziwne i niewytłumaczalne.

Na początku lat siedemdziesiątych, kiedy po raz pierwszy przyjechałem do Stonehenge, można było swobodnie chodzić pośród kamieni, dotykać ich, opierać się o nie i siadać na nich. Niewiele później, dla ochrony kamieni, wprowadzono zakaz opuszczania otaczającej sanktuarium ścieżki, z czego trudno być zadowolonym. Problem częściowo rozwiązano w ten sposób, że koło nowego centrum informacyjnego postawiono dwie pełnowymiarowe repliki, doleryt i sarsen. Turyści mogą dotknąć i obejrzeć z bliska oba rodzaje kamienia, zanim zobaczą oryginały, co jest bardzo pomocne. Sarsen to piaskowiec, ale twardszy od granitu. Głaz koło centrum informacyjnego leży na boku na drewnianych rolkach, co ma obrazować hipotetyczną metodę transportu głazów w czasach prehistorycznych. Genialny pomysł, ponieważ taki sposób prezentacji pozwala natychmiast ogarnąć ogrom i ciężar kamieni.

Większość ludzi dociera do kręgu Stonehenge specjalną kolejką, ale nieliczni koneserzy wolą iść na piechotę — znacznie lepsza opcja, ponieważ daje możliwość aklimatyzacji i uzyskania poczucia skali. Głazy pojawiają się w polu widzenia

w odległości około kilometra i trochę w dole, kiedy wychodzi się z niewielkiego zagajnika na wierzchołku długiego, niskiego wzgórza.

Na pierwszy rzut oka wydają się zaskakująco niepozorne, a nawet mikre — w końcu wszyscy jesteśmy przyzwyczajeni do widoku katedr i innych potężnych gmachów — ale przy odrobinie wysiłku można sobie wyobrazić wrażenie wywierane przez kamienny krąg na ludziach, którzy nigdy wcześniej nie widzieli konstrukcji o choćby zbliżonych rozmiarach. Nie wymaga natomiast żadnego wysiłku, żeby dać się porwać pięknu i majestatowi tego wszystkiego. Natychmiast zdajesz sobie sprawę, że jest to jedna z najpiękniejszych i najbardziej niezwykłych rzeczy stworzonych przez ludzi, a na dodatek całkowicie bezprecedensowych. W Stonehenge zadziwia nie tylko energia i umiejętności organizacyjne potrzebne do budowy tego sanktuarium, ale także wizja, która się za tym kryła.

Jak oni to zrobili? Jak wpadli na ten pomysł, jak przekonali setki ludzi do włączenia się w to przedsięwzięcie, jak znaleźli i wybrali odpowiednie kamienie, przeciągnęli je przez kraj, nadali im pożądany kształt i odpowiednio ustawili? Prawdopodobnie na zawsze zostanie zagadką, jak ktoś mógł wymyślić taką harmonijną kompozycję w świecie, w którym nic podobnego nie istniało. Wszystko to było dziełem ludzi, którzy nie umieli wytapiać metali i jedyne ostre narzędzia, jakimi dysponowali, były zrobione z kości albo rogów zwierząt.

Dlaczego wybrano akurat to miejsce? Odpowiedzi nie znamy i trudno nam jest nawet spekulować na ten temat. Lokalizacja nie wyróżnia się niczym szczególnym. W pobliżu nie płynie większa rzeka, nie ma też żadnych cudów natury. Materiały niezbędne do budowy Stonehenge znajdowały się bardzo daleko. Musiały istnieć inne miejsca, do których pielgrzymom łatwiej byłoby dotrzeć. A przecież z jakiegoś powodu cała rzesza ludzi włożyła mnóstwo energii i refleksji w stworzenie jednej z najdoskonalszych struktur w dziejach ludzkości. Precyzja tego wszystkiego zapiera dech. Teren jest pochyły, ale budowniczy to uwzględnili, różnicując wysokość pionowych kamieni, żeby poziome płyty leżały idealnie poziomo. Głazy nie stoją na wierzchu jak kostki domina na blacie stołu, ale są wpuszczone w ziemię, czasem na głębokość dwóch i pół metra, żeby się nie

przewróciły. Ktoś chciał, żeby cztery i pół tysiąca lat później nadal stały. Boki płyt poziomych są delikatnie zakrzywione, wpisując się w okrąg. Pomnik został wykonany niezwykle pieczołowicie.

Wygląda jednak na to, że po wszystkich tych staraniach Stonehenge wykorzystywano nie dłużej niż przez dwa pokolenia, a następnie porzucono. Dlaczego tak się stało? Ze wszystkich zagadek związanych z tym obiektem ta chyba jest największa.

Jak można się domyślić, wszystko to wprawiło mnie w refleksyjny nastrój. Powoli podchodząc na długie, niskie wzgórze, zastanawiałem się niezobowiązująco, co by stworzyli budowniczy Stonehenge, gdyby dysponowali spychaczami i wywrotkami do przewożenia materiałów, i komputerami do projektowania. Co by stworzyli, gdyby mieli wszystkie narzędzia, których my dzisiaj używamy? Kiedy osiągnąłem wierzchołek wzgórza i otworzył się przede mną widok na centrum informacyjne z kawiarnią i sklepem z pamiątkami, kolejkę i gigantyczny parking, zdałem sobie sprawę, że odpowiedź mam przed oczyma.

\*

Wybierałem się do Norfolk, ale w Muzeum Historii Naturalnej w Londynie mieli specjalną wystawę poświęconą Wschodniej Anglii, na którą od jakiegoś czasu czekałem, więc wstąpiłem tam po drodze. Muzeum Historii Naturalnej to wspaniały, przeładowany ozdobami budynek z gigantycznym holem zdominowanym przez szkielet tyranozaura, który stoi w takiej pozie, jakby miał za chwilę rzucić się do przodu i pożreć wszystkich wchodzących, co zresztą w dzisiejszych czasach nie byłoby takim złym pomysłem.

Muzeum Historii Naturalnej zapamiętałem jako naćkane różnymi rzeczami i prawie bezkresne. W długich korytarzach na dole, zalanych miękkim światłem i ciszą, stały wysokie szklane gabloty z najprzeróżniejszymi zwierzętami. Czuję się jak w zamrażniętym zoo. Zwierzętom można było przyjrzeć się dokładnie, oglądać ich niezmiennie spojrzenie, futra i muskulaturę, wyrobić sobie poglądy na

ich krzepę lub rączność, zadumać się nad różnorodnością i przemyślnością życia. Fascynujące, a nawet zachwycające. Przede wszystkim jednak zapamiętałem Muzeum Historii Naturalnej, w którym dzięki śladowej liczbie zwiedzających panowała cisza jak w bibliotece.

Teraz można już o tym tylko pomarzyć. Wszędzie wrzawa, jaskrawe światło, a długą galerię z wypchanymi zwierzętami w szklanych gablotach zastąpił sklep z pamiątkami. A ściśle mówiąc, z zabawkami. Minęły czasy, kiedy dało się zaimponować dzieciom piórnikiem i gumką do mazania. Teraz czułem się tam dokładnie jak w sklepie dziecięcym Hamley's.

Tłum był głośny, gęsty i w większości zagraniczny. Z atmosfery przypominało to bliskowschodni bazar albo ulicę wokół stadionu piłkarskiego przed ważnym meczem. Zero przyjemności. Przebiłem się przez ścisk na specjalną wystawę zatytułowaną *Milion lat historii człowieka*, która dotyczyła pierwszych mieszkańców Wielkiej Brytanii. Od kilku tygodni chciałem ją zobaczyć, ale zależało mi na tym szczególnie teraz, kiedy wybierałem się do Wschodniej Anglii, bo tam właśnie zaczyna się historia człowieka na Wyspach Brytyjskich.

Jak się okazuje, przez Brytanię przewinęło się mnóstwo różnych ludów. Kraj zajęto i porzucono co najmniej siedem razy. Peregrynacje te nie zawsze układają się w sensowny schemat. Pół miliona lat temu Brytanię zamieszkiwała spora grupa ludzi, ale potem mniej więcej przez sto tysięcy lat najprawdopodobniej nie było tam nikogo, mimo że panował wtedy łagodny klimat i było pod dostatkiem żywności. Z kolei w epokach lodowcowych ludzie byli gotowi pokonać wszelkie przeszkody, żeby się tam dostać. W długim okresie paleolitycznym ludzie zasiedlali, a potem opuszczali Brytanię jakby na przekór temu, co doradzała im natura. I chyba pozostało tak do dzisiaj.

W 2000 roku archeolog amator Mike Chambers podczas spaceru wzdłuż plaży w Happisburgh w hrabstwie Norfolk zauważył sterczący z morskiej skały kawałek wygładzonego krzemienia na głębokości, na której coś takiego nie miało prawa się znaleźć. Ściągnął zespół zawodowych archeologów, którzy przez następne pięć lat wykopali kolejne trzydzieści dwa kawałki wygładzonego krzemienia — czyli



działa rąk ludzkich — pozostawione przez ludzi tak bardzo odległych od nas w czasie, że nic o nich nie wiemy. Człowiek z Happisburgh nie był człowiekiem współczesnym. Nie przypominał nawet Johna Prescottta. Z reguły zalicza się ten lud do gatunku *Homo antecessor*, co znaczy „pierwsi ludzie”, ale jest to tylko hipoteza. Nie pozostawili żadnych bezpośrednich śladów swojej bytności na tym świecie, tylko kamienne wytwory swojej przemyślności. Tak czy owak byli najstarszym ludem znalezionym do tej pory w Brytanii, żyjącym prawie milion lat temu (stąd tytuł wystawy).

Przed przybyciem *Homo sapiens* Brytanię na jakiś czas odwiedziły co najmniej dwa inne gatunki ludzi: *Homo heidelbergensis* i *Homo neanderthalensis* (potocznie zwany neandertalczykiem). Jedyne inne stałe osadnictwo, obecne, datuje się sprzed zaledwie dwunastu tysięcy lat, co oznacza, że Brytania należy do krajów najpóźniej zasiedlonych przez człowieka współczesnego. W tym sensie jest znacznie młodsza od obu Ameryk i Australii.

Wystawa spełniała wszelkie kryteria dobrej ekspozycji — przemyślana, ciekawa, bogata w informacje, wciągająca, dyskretnie oświetlona, pogrążona w błogiej ciszy. Oprócz mnie było tylko dwóch zwiedzających, bez wątpienia ze względu na dosyć wysoką cenę biletu: dziewięć funtów. Kuratorzy zebrali mnóstwo eksponatów, które nigdy wcześniej nie były wystawiane w jednym miejscu — najstarszą czaszkę neandertalczyka w Brytanii, najstarszą włócznię świata, pięściaki i drapaki w najróżniejszych kształtach i rozmiarach, między innymi te znalezione w Happisburgh — można więc było prześledzić całą historię osadnictwa ludzkiego na przestrzeni prawie miliona lat. Najbardziej pasjonujące były jednak dwa naturalnych rozmiarów i bardzo wiarygodne modele — neandertalczyka i wczesnego człowieka współczesnego. Wykonało je dwóch braci z Holandii, Adrie i Alfons Kennis, geniusze — to naprawdę nie jest zbyt mocne słowo — od rekonstrukcji ciał ludzkich. Modele zrobiono w ten sposób, żeby wyglądały jak indywidualności, a nie archetypy, toteż miało się wrażenie, jakby się przebywało w jednym pomieszczeniu z prawdziwym, żywym neandertalczykiem i równie prawdziwym dawnym człowiekiem współczesnym — niesamowite przeżycie.

Neandertalczyk był niski — jakieś metr sześćdziesiąt z kawałkiem — ale solidnie zbudowany i prymitywny z wyglądu. Neandertalczycy są dla nas niezwykle zagadką. Na przykład mieli mózgi większe od naszych. Przeżyli parę epok lodowcowych, ale nie zostawili żadnych śladów tego, żeby nauczyli się szyć. Przez wiele lat sądzono, że nie krzyżowaliśmy się z nimi, ale dzisiaj wiemy, że jesteśmy w dwóch procentach neandertalczykami. Nie rozumiem, dlaczego kwestia ta budziła tak wielki opór naukowców. Jeśli rozejrzemy się wokół siebie, to zobaczymy mnóstwo ludzi, z którymi ktoś sypia, mimo że bezspornie wyglądają mniej nęcąco niż niejedna neandertalska panna siedząca przy ognisku. Do genetycznych darów, które przekazali nam w spadku neandertalczycy, prawdopodobnie należą rude włosy — o ileż bylibyśmy bez nich ubożsi! Przy neandertalczyku wczesny człowiek współczesny sprawiał wrażenie delikatnego, bez mała cherlaka. Był o kilkanaście centymetrów wyższy, ale zdecydowanie mniej krzepki. Nie ulega kwestii, że neandertalczycy bez problemu by nas pobili, nie wyłączając ich kobiet, co być może tłumaczy, dlaczego mamy w sobie tylko dwa procent neandertalczyka, a nie na przykład pięćdziesiąt. Sam bym nie zaczął takiej herod-baby w knajpie.

Trochę dalej stał gipsowy model *Homo antecessor*, który z jakiegoś powodu miał bardzo nieszczęśliwą minę. *Homo antecessor* to nieznaną wcześniej gatunek odkryty w 1994 roku w północnej Hiszpanii. Do tej pory nigdzie indziej nie znaleziono jego szczątków. Nie ma absolutnie żadnej pewności, że lud z Norfolk był przedstawicielem *Homo antecessor*. Owszem, żyli w tej samej epoce, ale mogli należeć do zupełnie innego gatunku, łącznie z jeszcze nam nieznanym. Model zaprezentowany w Muzeum Historii Naturalnej sugerował, że ta człekopodobna istota była pocziwa, ale niezbyt rozgarnięta, jednak to również są tylko domysły.

Jak można było przewidzieć, wystawa kończyła się sklepem z kiczowatymi pamiątkami. W sumie nie mam pretensji do władz muzeum. Takie są skutki, kiedy instytucjom kulturalnym zabrania się pobierać opłaty za wstęp, a jednocześnie każe w dużym stopniu zarabiać na swoje utrzymanie. Wcale bym się nie zdziwił, gdybym podczas następnej wizyty zobaczył w tym miejscu Tesco Express.

Poszedłem rzucić okiem na resztę muzeum. Większość ekspozycji była przestarzała i zużyta. Sala poświęcona zwierzakom pełzającym, która chyba nic się nie zmieniła od czasu, kiedy w latach osiemdziesiątych zabrałem tam własne dzieci, jest utrzymana w bezlitośnie żartobliwym tonie, od którego nóż otwiera mi się w kieszeni. Wiele tabliczek się pozacierało i niedługo placówkę trzeba będzie przemianować na Muz um Hist rii Na uralnej. Opisom rozpaczliwie brakowało entuzjazmu i treści. W dziale ekologicznym zdjęcie delfina, który radośnie i przyjaźnie wystawił głowę z wody, opatrzone komunikatem, które przytaczam tutaj *in extenso*: „W 2004 roku posłowie wystosowali apel o położenie kresu połowom okonia w południowo-zachodniej Anglii na skutek presji działaczy ekologicznych o zmniejszenie liczby delfinów, które każdego roku toną w sieciach trawlerów”. Bardzo przepraszam, ale musimy przyjrzeć się trochę uważniej temu idiotycznemu stwierdzeniu. Po pierwsze, od 2004 roku upłynęło już sporo czasu. Czy coś się od tamtej pory wydarzyło? Z tym opisem na pewno nic. Ilu posłów apelowało o podjęcie działań, trzech czy pięciuset? Uchwalili jakąś ustawę, a jeśli tak, to czy jest egzekwowana? Istniał jakiś powód, że zatroskanie wzbudziły akurat okonie w południowo-zachodniej Anglii? Dlaczego nie wokół całej wyspy — dlaczego nie na całym świecie? Informacja ta od samego początku była niepełna i nierzetelna, a teraz jest po prostu nieaktualna i przynosi wstyd muzeumologii czy jak tam oni to nazywają. Całe muzeum tak wyglądało. Wypchane zwierzęta w szklanych gablotach, którymi kiedyś zachwycali się moje dzieci, schowano do magazynu, zapewne dlatego, że uznano je za zbyt staroświeckie jak na dwudziestopierwszowieczną ekspozycję.

Na półpiętrze koło holu głównego po jednej stronie był kiedyś dobry dział antropologii, a po drugiej kolejne wypchane zwierzęta. Dziś zamiast działu antropologii mamy pusty korytarz, a naprzeciwko kawiarnię — jedną z co najmniej pięciu w całym gmachu. Powoli do mnie dotarło, co się tutaj dzieje. Muzeum Historii Naturalnej nie stać już na dalsze bycie placówką muzealną, więc władze cichcem zamieniają je w kompleks gastronomiczny. Kiedy przyprowadzę do tej placówki moje wnuki, usiądziemy sobie nad napojami i powiem im, jak tam kiedyś

było. „Widzicie ten automat do lodów? Kiedyś tam stała gablota z niedźwiedziem polarnym. Dopijcie, zabiorę was na dół i pokażę, gdzie kiedyś był płetwal błękitny. Kupimy sobie trochę karbowanych frytek”. Pod względem walorów edukacyjnych będzie gorzej niż dawniej, ale finansowo powinienem wyjść na swoje.

Za nową kawiarnią na górze stała samotna gablota i w pierwszej chwili pomyślałem, że natrafiłem na jakiś przeoczony relikw z czasów, kiedy muzeum było pasjonujące i ciekawe, ale był to fałszywy alarm. Gablota reklamowała Down House, rezydencję Karola Darwina w Kencie. Zero informacji o życiu i osiągnięciach Darwina, nic o wyprawie „Beagle”, teorii ewolucji i tym podobnych, tylko rekomendacja do zwiedzenia domu przyrodnika.

W zaproszeniu nic jednak nie napisali, jak wygląda sytuacja prowiantowa, więc postanowiłem nie ryzykować.

# Wschodnia Anglia

## I

**W** cudowny, słoneczny letni poranek szedłem ścieżką wzdłuż wybrzeża Norfolk między Holkham i Blakeney. W pewnym momencie po wyjściu z zakrętu stwierdziłem, że jakaś kobieta z psem chwilowo zatarasowała drogę. Postąłem razem z nią i obserwowaliśmy, jak pies boleściwie wyciska z siebie trzy miękkie pastylki.

— Nie wydaje się to pani trochę obrzydliwe, prosto na ścieżkę i w ogóle? — zapytałem tonem człowieka, który chce po prostu uzyskać informację.

— Jestem stąd — odparła, tak jakby to wszystko wyjaśniało. Wyszczekana baba.

— I to daje pani prawo do tego, żeby pozwalać psu srać na ścieżki?

— Przykryję to — odparła rozdrażnionym tonem, jakbym robił wielką aferę o nic. — Niech pan patrzy. — Przysypała kupę cienką warstwą ściółki, zamieniając wyraźnie widoczne zagrożenie w rodzaj fekalnej miny przeciwpiechotnej. — Gotowe — podsumowała i spojrzała na mnie z pełną satysfakcji miną, jakby jej zabieg wszystko rozwiązywał.

Długo się jej przyglądałem z niemal nabożnym podziwem, a potem wysoko uniosłem laskę i bez emocji metodycznie zatłukłem ją na śmierć. Kiedy zupełnie znieruchomiała, stoczyłem jej obszerne i odziane w drogi, markowy płaszcz ciała ze ścieżki w porośle trzciną trzęsawisko, w które się zapadła z przyjemnym gulgotem. Następnie spojrzałem na mapę i kontynuowałem spacer, zastanawiając się, czy w Blakeney jest jakiś lokal, w którym dostałbym o tej porze herbatę.

Lubię Norfolk. Mieszkałem tam od 2003 do 2013 roku i nabrałem przekonania,

że nie ma w tym hrabstwie nic, czego nie dałoby się naprawić za pomocą kilku wzgórz i odrobiny zmienności genetycznej. Jak mawiał mój syn Sam: „Norfolk: za dużo ludzi, za mało nazwisk”.

Norfolk nie ma powalających urodą zakątków, ale niektóre obszary, zwłaszcza długie wybrzeże północne, są co najmniej bardzo ładne. Przez kilkanaście kilometrów między Wells-next-the-Sea (urocza nazwa!) i Cley przylegają do niego rozległe solne bagniska. Przecinają je kanały, niektóre całkiem głębokie, podczas przypływu zaskakująco szybko wypełniające się wodą. W chłodnej, kłębiastej mgle, która nadciąga z nad Morza Północnego, łatwo jest zgubić drogę i nagle się znaleźć na coraz mniejszej bagiennej wyspie.

Wielu mieszkańców Londynu kupuje w północnym Norfolk drugie domy, stąd przydomek Chelsea-on-Sea. Ale w porównaniu z West Country panowała tu błoga cisza. Połączenia autobusowe w tym rejonie są najlepsze i najinteligentniej rozwiązane we wszystkich, jakie znam. Obsługująca je firma Coasthopper kilka lat temu pozbyła się powolnych dużych autobusów i zastąpiła je flotą busów o nazwie Hoppers, które w założeniu kursują co najmniej raz na pół godziny w każdą stronę. Firma wywiązuje się ze swojej obietnicy, dzięki czemu z jej usług bardzo chętnie korzystają zarówno miejscowi, jak i przyjezdni. Jeden z kierowców powiedział mi kiedyś z dumą, że ze wszystkich działających na prowincji firm autobusowych Coasthopper przewozi najwięcej pasażerów. Kiedy ktoś maszeruje nadmorską ścieżką, to w każdej chwili może zrezygnować, jeżeli się zmęczy albo nadejdzie sztorm. Po drugie, można zaparkować samochód w Holkham albo Wells, przejść nad morzem do Sheringham i wrócić do samochodu busem. Taką właśnie obrałem metodę.

Po drodze jest kilka ładnych miejscowości z cegły i krzemienia, zwłaszcza Blakeney i Cley, ale ja lubię zatrzymywać się na obiad w lokalu Cookie's w Salthouse. Cookie's, które w Ameryce nazwano by *crab shack*, istnieje od zawsze. Kiedyś pełno tam było odręcznie napisanych wywieszek, które z gniewem mówiły klientom, czego nie wolno im robić. Zakazy te obejmowały zajmowanie miejsca bez pytania, domaganie się stolika przed złożeniem zamówienia, próby

wymuszenia odstępstw od wydrukowanego jadłospisu, a przede wszystkim konsumpcję artykułów niezakupionych w lokalu, włączając w to tlen i morskie widoki, jeśli dobrze sobie przypominam. Rozglądałem się za wywieszką z napisem: „A tak w ogóle to może byście się wszyscy odpieprzyli i zostawili nas w spokoju?”.

Od tamtej pory zdecydowanie się uspokoiłi, to znaczy wywieszki są mniej liczne i bardziej powściągliwe — i muszę przyznać, że trochę mi żal. Lubię lokale z odrobiną charakteru. W każdym razie jedzenie jest świetne i całkiem niedrogie. Możecie mnie besztać, ile chcecie, byleście nie liczyci sobie zbyt słono. Zamówiłem wielki talerz owoców morza i były boskie.

Za Salthouse szlak przebiega blisko morza po piasku i kamyczkach, a także wierzchem wysokich wydm, potem zaś wspina się na wielkie łąki dwadzieścia kilka metrów nad poziomem morza. Po prostu prześlicznie. Wybrałem się na bardzo długą wyprawę — trzydzieści kilometrów z Holkham do Sheringham — ale trasa biegła w większości po płaskim. Zanim dotarłem do Sheringham, powietrze rozdarł ostry gwizd, tak głośny, że aż mną szarpnęło, i z prawej minęła mnie ciuchcia ciągnąca za sobą długą smugę białego dymu. Była to North Norfolk Railway. Pociąg jechał spory kawałek ode mnie, ale widziałem, że jest wypchany po brzegi. Setki szczęśliwych ludzi odbywały osiemnastominutową podróż z Holt do Sheringham z prędkością znacznie mniejszą od tej, z którą przybyli do Norfolk, i znacznie mniej wygodnym środkiem transportu, toteż czuli się jak w raj.

Niewiele rzeczy równie niezawodnie wprawia mnie w zdumienie, jak Brytyjczycy, którzy dobrze się bawią, a mówię to z pewnym ostrożnym podziwem. Potrafią czerpać głęboką i długotrwałą przyjemność właściwie z niczego. Dajcie im środek transportu, który odchodził do lamusa w latach powojennych, a hurmem do niego pobiegną. Wiedzieliście, że w Wielkiej Brytanii kursuje sto osiem pociągów parowych — jakieś sto sześć więcej niż potrzebuje którykolwiek kraj — obsługiwanych przez osiemnaście i pół tysiąca ochotników? Coś niezwykłego, ale dzięki takim sprawom w Wielkiej Brytanii są tysiące mężczyzn, którzy nie będą

potrzebowali viagry, dopóki jeżdżą pociągi parowe.

Przy czym pociągi parowe to tylko niewielka część „brytyjskich rozrywek, które nikogo innego nie cieszą”. Na Wyspach istnieje również Stowarzyszenie Miłośników Wież Ciśnień, Stowarzyszenie Badaczy Glinianych Rur, Zespół Badawczy do spraw Buteleczek na Pigułki, Stowarzyszenie Znaków Duchów (znajduje wyblakłe komunikaty na ścianach budynków, a potem się nimi podnieca) i Towarzystwo Miłośników Rond. Domyślcie się, do czego zmierzam? Istnieją na tym świecie ludzie, którym nie trzeba przystawiać pistoletu do skroni, żeby w czasie wolnym podróżowali po kraju i szukali najatrakcyjniejszych i najbardziej satysfakcjonujących rond. (Po czym poznają, że takie znaleźli?).

Natrafiałem ostatnio na stronę internetową Stowarzyszenia Bocznych Linii Kolejowych, które istnieje po to, żeby odwiedzać mało wykorzystywane linie kolejowe i bić im pokłony. Oto fragment biuletynu opisującego całodniowe wydarzenie z 2013 roku, w którym wzięło udział 160 (słownie: sto sześćdziesiąt) osób: „Na pierwszym dostępnym rozjeździe za stacją Parson Street skręciliśmy w bocznice szlakową i zostaliśmy na niej aż do Bristol Temple Meads, gdzie wjechaliśmy na bocznice manewrową, zawróciliśmy na Bristol East Junction i z zaledwie jednonminutowym opóźnieniem dotarliśmy na peron dziewiąty. Mając na koncie trzysta dwie mile i sześćdziesiąt jeden semaforów, pożegnaliśmy się z załogą pociągu, konduktorami i pasażerami, po czym zaczęliśmy przeliczać wielką stertę formularzy zgłoszeniowych do Maratońskiego Odcinka Specjalnego, które udało nam się zebrać tego dnia!”.

Znak interpunkcyjny na końcu tego ostatniego zdania napełnia moje serce radością. Była to tylko niewielka część działalności Towarzystwa Bocznych Linii Kolejowych. Oto parę innych całodniowych wydarzeń: „Toton Centre do Trowell Junction”, „Thrumpton West Junction do Retford West Junction (górnny peron drugi)”, „Dinting West Junction do Dinting East Junction, z ominięciem Glossop” (trudno im się dziwić) i moje ulubione „Irk Valley Junction do Oldham Mumps”.

Nie jestem w stanie wyrazić, jak wielką napełnia mnie to otuchą. Kiedy dopada mnie chandra, kiedy zaczynam myśleć, że moje życie jest bezsensowne i puste,



wchodzę na stronę jednego z tych stowarzyszeń, czytam o ich najnowszych wycieczkach i uświadamiam sobie, jak bogate wiodę życie.

W Sheringham wskoczyłem do zgrabnego busa Hoppera i wróciłem do Holkham po swój samochód. A dokładnie nie swój, tylko wypożyczony w Norwich. Nie miałem ochoty go brać, ale bez samochodu nie da się zwiedzić Wschodniej Anglii. Potem pojechałem do Sheringham, z wielkim trudem znalazłem miejsce do parkowania i na moich zmęczonych, starych nogach przemierzając miasto, odrobinę się rozejrzałem.

Sheringham to najsympatyczniejsze niezbyt atrakcyjne miasteczko, jakie znam. Nie powala urokiem, nie ma chyba ani jednego porządnego pubu i nie olśniewa restauracjami, ale może się poszczycić niedużym ładnym teatrem i mnóstwem znakomitych sklepów, jakie na pozostałych obszarach świata prawie zupełnie zniknęły: warzywniak, rybny, dwie masarnie, księgarnia z papierniczym i znakomity sklep żelazny Blyth and Wright, w którym sprzedają wszystko. Sklepy te wciąż można znaleźć w Sheringham między innymi dlatego, że miasto przez czternaście lat skutecznie walczyło o to, żeby uniemożliwić Tesco otwarcie w centrum dużego marketu. Ale Tesco jest nieustępliwą firmą i po kilkunastu latach cierpliwych, podstępnych zabiegów ostatecznie postawiło na swoim. Zajrzałem do Tesco i zobaczyłem tam niemało ludzi, ale na High Street też ich nie brakowało. Wstąpiłem do sklepu — prawdziwego, niesieciowego — po butelkę wody i zapytałem właściciela, czy powstanie Tesco odbiło się na jego interesach. Ponuro skinął głową.

— Już wcześniej było ciężko, a teraz nie idzie żyć. Niech pan wróci za kilka miesięcy, gwarantuję panu, że wielu sklepów na tej ulicy już nie będzie.

— To smutne.

— Po prostu tragedia.

— Z drugiej strony — zwróciłem mu uwagę — ma pan tu brudno jak w chlewie, nie powiedział mi pan dzień dobry, jak wchodziłem, i wygląda pan na żalosego starego pierdołę.

— Ma pan absolutną rację. Powinienem się bardziej starać, prawda?

— Dużo bardziej — zgodziłem się z nim. — Ale niestety nie będzie się pan starał. Będzie pan dalej zrzedził, jakby winę za pana plajtę ponosili wszyscy inni, tylko nie pan.

— Z ust mi pan to wszystko wyjął. Dziękuję panu, że pomógł mi pan stać się lepszym sklepikarzem i być może nawet lepszym człowiekiem. Mam nadzieję, że jeszcze mnie pan odwiedzi.

Ta rozmowa oczywiście się nie odbyła. Sklepikarz wydał mi resztę bez słowa podziękowania i bez dania mi najmniejszego powodu, żebym jeszcze kiedykolwiek przekroczył progi jego sklepu, smutas zasrany.

Przenocowałem w hotelu Burlington, dużym, ciemnym budynku na nabrzeżu, do którego mam jakąś niewytłumaczalną słabość. Za każdym razem zadaję tam sobie pytanie, czy nie jestem jedynym gościem, ale jakimś cudem hotel utrzymuje się na powierzchni. Być może moje co półroczne wizyty pozwalają im wyjść na swoje. Podczas wieczornej toalety włączyłem telewizor akurat na lokalne wiadomości, które w tej części świata zawsze zawierają materiał o zamknięciu jakiejś fabryki w Lowestoft. Zdumiewa mnie, że zostały tam jeszcze jakieś zakłady do zamknięcia, ale reporterom zawsze się udaje znaleźć jeszcze jeden. Na ogół fabryka jest ostatnią brytyjską przedstawicielką jakiejś zapomnianej branży.

„Ostatnia wężalnia krasnorostów na terenie Wielkiej Brytanii po stu sześćdziesięciu latach istnienia zamyka podwoje — komunikuje prezenter grobowym tonem. — Dwustu pięćdziesięciu pracowników, z których część jest związana z firmą od XVIII wieku, idzie na bruk”. W kolejnych dniach dowiemy się o likwidacji ostatniej brytyjskiej obdzieralni skorupiaków, przykrawalni stalowych kołnierzy, wygładzalni ostryg czy innego przedsiębiorstwa o nieprawdopodobnie brzmiącej nazwie. Tego wieczoru nie dosłyszałem, który z rzadkich zawodów wykonywali zwalniani pracownicy, ponieważ suszyłem włosy i po wyłączeniu suszarki zdążyłem zarejestrować tylko to: „Personelowi zaproponowano alternatywne zatrudnienie w zakładach produkcyjnych spółki w mieście Ho Chi Minh”.

Wypucowany, odświeżony, różowy i odziany w czyste ubranie, napiłem się czegoś w pustym barze hotelowym, zjadłem kolację w prawie pustej pobliskiej restauracji, wróciłem do pokoju, padłem na łóżko i spałem jak niemowlę.

## II

Rano przywitało mnie za oknem słońce zasnutę deszczem. Po śniadaniu w dużej, ale pustej jadalni Burlingтона pojechałem trzydzieści parę kilometrów wzdłuż wybrzeża do Happisburgh, odludnej, ale urodziwej wsi mniej więcej w połowie drogi między Sheringham a Great Yarmouth. Nad miejscowością góruje estetyczna, wysoka latarnia morska z trzema czerwonymi pasami. Z tablicy informacyjnej na parkingu dowiedziałem się, że jest to jedyna „niezależnie zarządzana latarnia morska na terenie Uk”. Bardzo przepraszam, ale naprawdę wam się wydaje, że pisownia „Uk” jest poprawna? Po co chodziliście do szkoły? Po co nauczyciele tak się z wami męczyli? Poza tym małym popisem analfabetyzmu Happisburgh sprawiało całkiem przyjemne wrażenie. Nawiasem mówiąc, nazwę wymawia się „hajsburra”, w wersji skróconej „hajsbrrrrrr”. Norfolk specjalizuje się w dziwnej wymowie nazw miejscowości. Hautbois to *hobbiss*, Wymondham to *lindum*, Costessey to *kozzy*, Postwick to *pozzik*. Ludzie często pytają, z czego to wynika. Nie jestem pewien, ale moim zdaniem takie są skutki sypiania z bliskimi krewnymi.

Happisburgh rzadko przyciągało uwagę osób z zewnątrz przed 2000 rokiem, kiedy znalezione tam przez archeologów kamienne drapaki datowano na dziewięćset tysięcy lat temu. Były to najstarsze zabytki kultury materialnej kiedykolwiek znalezione na północ od Alp. Nie muszę chyba mówić, że środowisko naukowe przeżyło ogromne zaskoczenie.

W tamtym czasie na całym świecie nikt inny nie przebywał tak daleko na północy. Ci ludzie oddalili się od Afryki bardziej niż ktokolwiek inny. Coś niezwykłego. Mając cały świat dla siebie, wybrali Happisburgh — a przecież nie organizowano jeszcze wtedy tutaj seansów filmowych w każdy drugi wtorek

miesiąca. Ale ludziom się wydaje, że w Happisburgh mało się dzisiaj dzieje.

Ówczesne Happisburgh oczywiście nie przypominało dzisiejszego. Wielka Brytania była wtedy połączona z resztą Europy i Happisburgh leżało nad ujściem Tamizy do morza. Dzisiaj Tamiza uchodzi do Morza Północnego sto pięćdziesiąt kilometrów dalej na południe, ale milion lat temu była to szeroka i obfitująca w składniki odżywcze delta.

Ten odcinek angielskiego wybrzeża od stuleci toczy przegraną batalię z morzem. Wysokie na kilkanaście metrów klify składają się przede wszystkim z luźnego piasku i wszędzie się osuwają. Na przestrzeni dziejów mnóstwo domów wpadło do morza, a wiele innych przymierza się do tego. W niektórych miejscach domy stoją przy świeżej krawędzi klifu. Stroma ścieżka koło parkingu prowadziła do morza, ale przyjechałem do Happisburgh podczas przyływu i plaża znajdowała się pod wodą. Zszedłem tak nisko, jak się dało, ale nie było czego oglądać, więc wróciłem na szczyt klifu i poszedłem na północ w stronę parkingu kamperów.

Poniżej parkingu znajdowało się miejsce, w którym rok wcześniej żywiły odsłoniły pradawne odciski stóp. Sztorm zmył przykrywającą je warstwę piasku i odciski stóp sześciu osób w kamieniu ujrzwały światło dzienne przypuszczalnie po raz pierwszy od czasu, kiedy prawie milion lat temu powstały w miękkim mule. Są to najstarsze odciski stóp na świecie poza Afryką. Archeolodzy sfotografowali je i zbadali, a potem pozwolili naturze, żeby znowu je zasłoniła. Krawędzie klifu są tutaj niebezpiecznie niestabilne, ale z najwyższą ostrożnością podszedłem na skraj skarpy i spojrzałem na dół. Dokładnie pode mną, tam, gdzie fale uderzały o urwisko, było miejsce, w którym znaleziono odciski stóp. Oczywiście nic nie zobaczyłem, ale było to niesamowite uczucie: stać prawie dokładnie w miejscu, w którym niecały milion lat temu maszerowali poprzednicy człowieka współczesnego.

Happisburgh było również scenerią jednej z najgorszych brytyjskich tragedii morskich. W 1801 roku jeden z największych brytyjskich okrętów wojennych, HMS „Invincible”, został wepchnięty podczas sztormu na piaszczystą łachę

i złamał się na pół. Czterystu marynarzy utonęło w lodowatej wodzie. Fale wyrzuciły na brzeg około stu dwudziestu zwłok, które pochowano na cmentarzu kościoła Mariackiego. Przespacerowałem się tam teraz. Jest to charakterystyczny kościół z kwadratową dzwonnica o wysokości trzydziestu trzech metrów — całkiem sporo, ale na tle bezkresnego, pustego nieba Norfolk wieża wydaje się jeszcze wyższa. Kościół stoi w bezpiecznej odległości od brzegu, obliczono jednak, że przy obecnym tempie wietrzenia skały morze pochłonie go za jakieś siedemdziesiąt lat. W związku z tą tragiczną perspektywą rząd brytyjski robi to, co robią wszystkie rządy, kiedy problem nie wymaga natychmiastowych działań, czyli nic.

Przejechałem jakieś dwadzieścia kilometrów z powrotem w stronę Sheringham, krętymi drogami wśród bujnych, rozświetlonych pól uprawnych dotarłem do nadmorskiej miejscowości Overstrand. Trudno uwierzyć, ale była to kiedyś jedna z najmodniejszych miejscowości wypoczynkowych w Europie. Na początku XX wieku osoba odwiedzająca Overstrand w letnie popołudnie mogła spotkać Winstona Churchilla, Ellen Terry, Henry’ego Irvinga czy Sidneya i Beatrice Webbów. Overstrand funkcjonuje jako „miasteczko milionerów”. Lord Hillingdon, właściciel Overstrand, przebywał w swojej rezydencji tylko przez dwa tygodnie w roku, ale trzymał tam w pogotowiu trzech kamerdynerów i całą armię pośledniejszej służby na wypadek, gdyby pojawił się nieoczekiwane, ale nigdy tego nie zrobił.

Mnie interesowała posiadłość Sea Marge i zapomniany magnat, który ją zbudował, sir Edgar Speyer. Człowiek ten był Niemcem, który spędził większość życia poza krajem przodków. Urodził się w 1862 roku w Nowym Jorku w bogatej niemieckiej rodzinie, a po dwudziestce wyjechał do Anglii pilnować rodzinnych interesów. Zbił majątek jako finansista, w dużej mierze na londyńskim metrze, i został szczodrym mecenasem sztuki. Kiedy koncerty muzyki klasycznej The Proms w Royal Albert Hall wpadły w tarapaty finansowe, Speyer wkroczył do akcji i uratował to przedsięwzięcie. Zakumplował się z królem Jerzym V, naszym

starym znajomym z Bognor, przyjął obywatelstwo brytyjskie, otrzymał tytuł szlachecki za swoje zasługi dla sztuki i został członkiem królewskiej Rady Przybocznej. Hojnie wspierał szpitale i sfinansował wyprawę Roberta Falcona Scotta na Antarktydę. W kieszeni płaszcza martwego podróżnika znaleziono list do Speyera.

Speyera można by uznać za ideał człowieka, gdyby nie fakt, że chciał, aby Niemcy wygrały wszystkie wojny i zawładnęły światem. Jak wiadomo, niektórzy Niemcy tak mają. Pałac Speyera to sążnisty gmach w stylu elżbietańskiego dworu, który stoi na szczycie nadmorskiego urwiska. Podczas pierwszej wojny światowej krążyły plotki, że Speyer dawał z tarasu sygnały niemieckim okrętom. Obraz przerażający, ale trochę nedorzecznym. Po pierwsze, o czym miałyby ich informować? („U nas ciut deszczowo, a u was?”) Nie miał dostępu do informacji, które Niemcy mogliby z pożytkiem wykorzystać w działaniach wojennych, i raczej nie narażałby się na oczywiste ryzyko, że ktoś go nakryje.

Prawdziwy problem Speyera polegał na tym, że był Żydem w czasach, w których nawet najbardziej oświeceni członkowie społeczeństwa brytyjskiego przejawiali co najmniej oznaki antysemityzmu. Lord Northcliffe, właściciel „Daily Mail”, przemawiał w imieniu swojego pokolenia, kiedy w kontekście mnogości żydowskich przedsiębiorców w Anglii stwierdził sarkastycznie: „Niedługo będziemy musieli publikować rubrykę towarzyską w jidysz”.

Northcliffe nie znosił Speyera i bezlitośnie go prześladował. Ostatecznie Speyer uciekł do Ameryki w cieniu podejrzeń. Komisja parlamentarna pozbawiła go odznaczeń i przyklepiła mu etykietkę zdrajcy, którym był w tym sensie, że chciał, aby Wielka Brytania przegrała wojnę.

Dzisiaj w Sea Marge mieści się hotel. Nielegalnie wszedłem na jego grunty i znad muru ogrodu patrzyłem na morze, a potem zajrzałem do środka, zadając sobie pytanie, czy ktoś mnie zaczepi, ale mnie to ominęło. Nie zauważyłem niczego, co by przypominało o istnieniu Herr Speyera, więc poszedłem rzucić okiem na miasteczko, które było schludne i fascynująco normalne.

To istny cud, że zachowało się w takim stanie. Norfolk to najgorzej

skomunikowane angielskie hrabstwo — zero autostrad, dróg ekspresowych jak na lekarstwo, połączenia kolejowe w większości fatalne. Kiedy się tutaj przeprowadziliśmy, kolej obsługiwała spółka WAGN, co natychmiast rozszyfrowałem jako „We Are Going Nowhere”, „Jedziemy Donikąd”, dziś natomiast funkcjonuje tutaj firma holenderska, ale nie udało mi się dostrzec żadnej poprawy. W rezultacie przedostanie się na wschodnie wybrzeże Norfolk wymaga ogromnych zasobów hartu ducha i czasu współwystępujących z ekscentrycznym pragnieniem znalezienia się na wschodnim wybrzeżu Norfolk.

Tuż za Overstrand jest Cromer, kolejne stare nadmorskie letnisko z okazałym zabytkowym Hotel de Paris. Nie mam pojęcia, skąd oni biorą klientów. Ja przyjechałem do Cromer, żeby obejrzeć molo, które uważam za najlepsze i najładniejsze w kraju. Kiedyś było w Wielkiej Brytanii około stu takich obiektów, ale dzisiaj została z tego ledwo połowa, przy czym wiele z nich — przychodzi na myśl Bognor, a raczej by przyszło, gdyby od dawna nie było martwe — się wali albo nie zasługuje na swoją nazwę. W 2013 roku zimowy sztorm poczynił w miejscowości wielkie spustoszenia i brano nawet pod uwagę wyburzenie miasteczka, co byłoby niewypowiedzianą tragedią, ale na szczęście je wyremontowano i wygląda jak nowe.

Kilka lat temu, kiedy Daniel, Andrew i ja szliśmy wzdłuż tego odcinka wybrzeża, Daniela niezmiernie ucieszyło odkrycie, że teatr na molo wystawia spektakl z piosenkami z czasów drugiej wojny światowej, a wśród wykonawców jest jego dawny znajomy z pracy. Uparł się, żebyśmy poszli na poranek. Kręciłem nosem na ten pomysł, ale poszliśmy i świetnie się bawiłem. Publiczność dopisała, składała się głównie ze starszych ludzi, którzy przyjechali autokarami. Sądzę, że Daniel, Andrew i ja byliśmy jedynymi widzami, którzy nie nosili pieluch. Wykonawców było tylko troje, ale za to znakomitych. Na rzecz spektaklu przemawiało również to, że trwał niewiele ponad godzinę, a piosenkarka była ładna i uzdolniona. Poza tym ucieszyło mnie, że teatr na molo jest wykorzystywany do jakiegoś innego celu niż tylko oddawanie hołdu królowej.

Cromer to przyjemna, staroświecka miejscowość, którą porządnie zwiedziłem, a potem wróciłem do Sheringham i tam jeszcze raz trochę połąziłem po miasteczku z braku lepszych pomysłów. Potem udałem się do hotelu Burlington, w którym siedziałem bez ruchu do momentu, kiedy wypadało zejść na dół na drinka.

### III

Nie można pojechać do wschodniej Anglii i nie odwiedzić Sutton Hoo. To znaczy można, ale byłoby to bez sensu. Historia Sutton Hoo zaczyna się od podpułkownika Franka Pretty'ego, który przez pierwsze pięćdziesiąt lat życia głównie zbijał bąki, a potem w krótkim okresie bardzo wiele dokonał. Poślubił starą pannę (a dokładnie pannę w średnim wieku) Edith May, wprowadził się do jej wielkiej posiadłości Sutton Hoo, spłodził syna, a potem nagle wziął i umarł, w dniu swoich pięćdziesiątych szóstych urodzin.

Pani Pretty, która została sama ze swoim synem w opustoszałym, wielkim domu, rozwinęła w sobie zainteresowanie spirytualizmem, a także dwudziestoma kilkoma trawiastymi kopcami położonymi na wrzosowisku około pięciuset metrów od jej domu. Uznała, że trzeba je rozkopać, i skontaktowała się w tej sprawie z muzeum w Ipswich, które odesłało ją do Basila Browna, człowieka dosyć niezwykłego.

Brown był parobkiem i złotą rączką bez wykształcenia archeologicznego. W wieku dwunastu lat rzucił szkołę, ale rozpoczął samokształcenie i uzyskał eksternistyczne dyplomy z geografii, geologii, astronomii i rysunku. Zainteresowałem się nim już w czasach, kiedy mieszkałem w Norfolk, ponieważ odkryłem, że poślubił dziewczynę z naszej wsi i mieszkał z nią przez jakiś czas w sąsiedniej posiadłości Church Farm. Przez całe życie mówił z wiejskim akcentem z Norfolk, a jego wygląd i zachowanie nasuwały porównania do fretki, ale przede wszystkim był archeologicznym geniuszem. Prawie cały wolny czas poświęcał jeżdżeniu na rowerze po hrabstwie i szukaniu potencjalnych stanowisk archeologicznych, do czego miał niesamowitą intuicję.

Brown zgodził się sprawdzić posiadłość pani Pretty, ale nie sądził, że coś



znajdzie. Wszyscy wiedzieli, że kopce zostały w przeszłości gruntownie przeszukane. Zapewne właśnie dlatego zlecenie to otrzymał Brown, a nie jakiś renomowany archeolog. Pani Pretty zaoferowała Brownowi niewielką pensję i kwaterę w chałupie szofera, a także przydzieliła mu do pomocy dwóch pracowników majątku. Brown i jego zespół nie mieli specjalistycznych narzędzi. Posługiwali się wygrzebanym ze spiżarni dzbankami, miskami i sitami. Do najdelikatniejszych zadań używali pędzelków do ciasta z kuchni i miechów z biblioteki. W lecie 1938 roku Brown przekopał tunele przez trzy kopce, ale nic nie znalazł. Niezrażony wrócił następnego lata i rozkopał coś, co dzisiaj się nazywa Kopiec nr 1. Prawie od razu znalazł kawałek metalu, w którym poprawnie rozpoznał nit okrętowy, i wydedukował, że było to miejsce pochówku na statku. Trzeba go podziwiać za przenikliwość, ponieważ w Wielkiej Brytanii nie istniała tradycja grzebania ludzi na statkach — do dzisiaj nie znaleziono ani jednego innego przypadku — a poza tym kopiec był oddalony o około półtora kilometra od morza. Nigdzie na świecie nie znaleziono grobu na statku tak daleko w głębi lądu. Jedyną pracą naukową, którą mógł się wspomóc Brown, był wydany w 1904 roku po norwesku gruby tom opisujący wykopanie statku wikingów „Oseberg” w zachodniej Norwegii.

Należy pamiętać, że Brown nie znalazł statku, tylko jego odcisk — tropy czegoś, co dawno zniknęło. Przypominało to próbę odkopania cienia. Archeolog amator został jednak sownie wynagrodzony za swoje wysiłki, znalazł bowiem największy skarb w dziejach brytyjskich wykopalisk — klejnoty, monety, złoto, srebro, zbroje, broń i przeróżne ozdoby. Dobra te pochodziły aż z Egiptu i Bizancjum. Nikt nie wie, kogo na statku pochowano i czy w ogóle kogoś pochowano, ponieważ nie zawierał żadnych szczątków. Być może ciało strawiły zawarte w glebie kwasy albo też lokatora grobu skremowano i rozsypano prochy pośród skarbów. Najczęściej wymienia się w tym kontekście Raedwalda, króla Wschodnich Anglów, ale są to wyłącznie domysły.

Kiedy uświadomiono sobie wagę tego odkrycia, do akcji wkroczyli państwowi archeolodzy i Basila brutalnie odsunięto na bok. Przez wiele lat jego udział w tym

odkryciu albo pomijano, albo bagatelizowano. Za typową można uznać ocenę archeologa Richarda Dumbrecka, który opisał Browna jako „podobnego do fretki” i stwierdził, że człowiek ten kopał „jak terier goniący szczura. Wściekle machał łopata, przyklejoną ziemię ocierał o nogę i od czasu do czasu przerywał, żeby obejrzeć swoje postępy i udeptać to, co właśnie rozkopał... Smutna rzecz, ale gdyby zdobył odpowiednie wykształcenie, mógłby być z niego znakomity archeolog”. Chyba nie skłamię, jeśli powiem, że gdyby Dumbreck zdobył odpowiednie wykształcenie, mógłby być z niego całkiem przyzwoity człowiek.

Odkrycie skarbu w Sutton Hoo nastąpiło w najbardziej niefortunnym momencie, tuż przed wybuchem wojny, na czas której prace wykopaliskowe wstrzymano. Posiadłość pani Pretty przejęło wojsko i wykorzystano — niewiarygodne, ale prawdziwe — jako poligon czołgowy. Po wojnie archeolodzy zastali ślady gąsienic przecinające wykopaliska. Pani Pretty przekazała odzyskany skarb British Museum. Do dzisiaj jest to największy dar dla tej placówki otrzymany od żyjącej osoby. Konserwacja znalezisk zajęła wiele lat. Największym wyzwaniem był złoty hełm, który rozpadł się na ponad pięćset kawałków. Zespół ekspertów składał go do 1951 roku, ale inni eksperci natychmiast zwrócili uwagę, że zrekonstruowanego hełmu nie da się włożyć na głowę. Okazało się również, że kilka kawałków zostało, bo nigdzie nie pasowały. Przez dwadzieścia lat osoby zwiedzające British Museum oglądały ewidentnie spartaczony hełm. W 1971 roku ponownie go rozebrano i poskładano do dzisiejszej postaci, wykorzystującej wszystkie elementy i powszechnie uważanej za poprawną. Jest to jeden z najbardziej frapujących eksponatów w British Museum.

Basil Brown przez kolejne dwadzieścia lat jeździł po Wschodniej Anglii na rowerze, a czasem dalej, znajdował saskie i rzymskie zabytki, a niekiedy całe zagrody czy osady. W 1961 roku przeszedł na emeryturę, a zmarł szesnaście lat później, w wieku osiemdziesięciu dziewięciu lat. Od czasu do czasu jeździł do British Museum, żeby obejrzeć skarb z Sutton Hoo. Nigdy go formalnie nie uhonorowano za jego znalezisko.

Długi spacer po posiadłości był bardzo przyjemny. Kopce znajdują się dosyć

daleko od ośrodka informacyjnego. Jest ich około dwudziestu, wszystkie znacznie niższe niż pierwotnie na skutek prac wykopaliskowych i grabieży, a kilku prawie nie widać. Dzisiaj można zwiedzić również dom państwa Prettych, urządzonego w stylu z epoki. W każdej sali wisiała laminowana karta z informacjami o życiu pani Pretty w tej rezydencji. Zauważyłem wiele błędów ortograficznych i interpunkcyjnych, nad czym można ubolewać, ale kuratorzy przynajmniej spróbowali zawrzeć tam jakieś użyteczne informacje. Nie pamiętam, czy dom był otwarty w 2009 roku, kiedy poprzednim razem przyjechałem do Sutton Hoo, no ale ja przecież nie pamiętam, co widziałem dwa tygodnie temu.

Ośrodek informacyjny jest elegancko urządzone i jasny, a ciekawa ekspozycja zawiera dużo użytecznej wiedzy i daje dobre wyobrażenie o tym, jak wyglądał grób w momencie powstania i wiele stuleci później, kiedy został znaleziony. Jak się rzekło, skarby są w British Museum, ale wystawa obejmuje bardzo dobre repliki. W bufecie kupiłem kanapkę i herbatę. Dotychczasowe przeżycia wprowadziły mnie w tak dobry nastrój, że nie zrzędziłem nawet w duchu, kiedy kanapka, która kosztowała dwa razy więcej, niż żądają w rozsądnym świecie, okazała się trochę sucha. No może jednak trochę pozrzędziłem w duchu, ale na głos nie marudziłem, co niewątpliwie należy uznać za oznakę postępu.

Następnie pojechałem do Aldeburgh na wybrzeżu Suffolk. Aldeburgh to estetyczne, urodziwe miasteczko dobrze zaopatrzone w modnych detalistów. Jest tam Fat Face i Joules, sklep browaru Adnams, kilka niesieciowych butików i kawiarni czy dobra księgarnia. Ktoś musi mi wyjaśnić, z czego to wynika, że Aldeburgh i Southwold, kolejna miejscowość wypoczynkowa parę kilometrów dalej, prosperują i świetnie się prezentują, podczas gdy tak wiele innych nadmorskich miejscowości dogorywa. Nie może się to wiązać z dostępnością i pięknem okolicy — do Aldeburgh i Southwold trudniej się dostać niż do Bognor czy Margate, a pod względem uroków natury nie umywają się na przykład do Penzance — więc naprawdę nie rozumiem, o co tutaj chodzi.

W ambitniejszych czasach, kiedy robiłem odcinek programu telewizyjnego

*Panorama* na temat problemu śmieci Wielkiej Brytanii — we wzruszająco naiwnym przekonaniu, że szerokie rzesze ludności postanowią coś w tej sprawie zrobić — asystowałem przy sprzątaniu plaży w Aldeburgh zorganizowanym przez Marine Conservation Trust i przeprowadziłem rozmowy z tymi poczciwcami. Dowiedziałem się od nich, że na każdym kilometrze wybrzeża Wielkiej Brytanii leży przeciętnie czterdzieści sześć tysięcy sztuk śmieci, przede wszystkim kawałeczków plastiku, z których niemało trafia do żołądków ptaków. W jednym z badań stwierdzono, że w żołądkach dziewięćdziesięciu pięciu procent fulmarów wyrzuconych na brzeg Morza Północnego znajduje się plastik — średnio czterdzieści cztery kawałki. Nawiasem mówiąc, mnóstwo żółwi dławi się przezroczystymi torbami foliowymi, ponieważ myślą je z meduzami.

Od ludzi sprzątających plażę dowiedziałem się również, że każdego roku ze statków spada około dziesięciu tysięcy kontenerów, a w niektórych przypadkach kontenery otwierają się po latach i ich zawartość wypływa na powierzchnię. Jedną z ochotniczek, artystka Fran Crowe, pokazała mi opakowanie po chipsach — jedno z kilku tysięcy wyrzuconych na plażę w Aldeburgh. Resztki chipsów dawno się rozpuściły, ale same opakowania były absolutnie nienaruszone. Na opakowaniu znalezionym przez Fran Crowe widniała cena trzy pensy i data przydatności do spożycia 31 grudnia 1974. Spędziło czterdzieści lat pod wodą, zanim dołączyło do śmieciowej fiesty w hrabstwie Suffolk.

Jak już wspomniałem, podczas jednej z wizyt na wyspach Scilly zauważyłem mnóstwo przezroczystego plastiku połyskującego na plaży w Tresco i okazało się, że są to worki do kroplówek, produkowane przez firmę z Lancashire, ale opatrzone tekstem po hiszpańsku.

— Takie rzeczy ciągle się zdarzają — powiedziała Fran.

Podczas jednej z akcji znalazła na plaży setki siodełek rowerowych. Zdarzyło jej się również znaleźć komputery, lodówki i odkurzacze. Wygląda na to, że pływać umie znacznie więcej przedmiotów codziennego użytku, niż się powszechnie sądzi.

Przenocowałem w Dunwich, w bardzo sympatycznym pubie Ship. Dunwich to przedziwna miejscowość, w tym sensie, że prawie już jej nie ma. W XII wieku był

to jeden z najważniejszych angielskich portów, prawie trzy razy większy od bristolskiego i niewiele mniejszy od londyńskiego. W liczącym cztery tysiące mieszkańców mieście stało osiemnaście kościołów i klasztorów. W 1286 roku potężna wichura zdmuchnęła czterysta domów, a kolejne sztormy w 1347 i 1560 roku zburzyły znaczną część pozostałych. Dzisiaj większość pierwotnego Dunwich znajduje się pod wodą. Kościół św. Piotra stoi prawie czterysta metrów od brzegu, ale niektóre osoby, na bakier z rzeczywistością akustyczną, utrzymują, że jeśli ktoś dobrze nadstawi ucha, późną nocą usłyszy dźwięk dzwonów. Dzisiaj z Dunwich została restauracja przy plaży, kilka domów, klasztor w ruinie i gwarny pub.

Wieczorem, za wszelką cenę chcąc opóźnić moment, kiedy nie pozostanie mi nic innego, jak zacząć pić, wyruszyłem na długi spacer i wylądowałem na plaży. Na horyzoncie sunęły ładnie oświetlone statki, zapewne zmierzające z albo do położonego o rzut beretem na południe Felixstowe.

Właśnie przeczytałem, że Felixstowe jest dzisiaj największym na świecie eksporterem pustych kartonowych pudeł. Świat przysyła Wielkiej Brytanii swoje produkty, a Wielka Brytania odsyła z powrotem pudła. Nie chodzi o to, że Wielka Brytania skrupulatniej od innych krajów zbiera makulaturę, lecz o to, że inne kraje jej nie eksportują, tylko poddają recyklingowi. Wielka Brytania woli wysyłać zużyte opakowania za granicę, żeby profesjonalnie się nimi zajęli fatalnie opłacani ludzie w dalekich krajach. W 2013 roku Zjednoczone Królestwo wyeksportowało ponad milion ton tektury, w proporcji do liczby ludności bijąc na głowę kolejny kraj na liście.

Przepełniony patriotyczną dumą wróciłem do Ship wypić prywatny toast za moją przybraną ojczyznę.

# Cambridge

**N**a peronie dworca kolejowego w Cambridge wisiał plakat reklamujący książkę Jeremy’ego Clarksona. Autor miał ujmująco zdołowaną minę, a podpis brzmiał: „*Dads. Everything they say. Everything they do. Everything they wear. Its completely wrong*” („Tatusiowie. Wszystko, co mówią. Wszystko, co robią. Wszystko, co na siebie wkładają. Jest kompletnie od czapy”). Cóż za subtelny humor. W zwrocie „*Its*” brakowało co prawda apostrofu, ale trudno wymagać od Clarksona, żeby pilnował interpunkcji na plakatach. Z drugiej strony wydawnictwo Penguin chyba powinno dbać o takie rzeczy.

Dotarliśmy do stadium, w którym wiele osób nie tylko nie zna podstawowych zasad interpunkcji, ale najwyraźniej nie ma świadomości, że istnieją jakieś podstawowe zasady. Wiele osób — autorzy plakatów dla dużych wydawców, napisów dla BBC, listów i reklam dla ważnych instytucji — zdaje się sądzić, że duże litery i znaki interpunkcyjne to posypka, którą dowolnie okrasza się dany zbiór słów. Oto nagłówek reklamy prywatnej szkoły w Yorku, która ukazała się na łamach pewnego czasopisma: „*Ranked by the daily Telegraph the top Northern Co-Educational day and Boarding School for Academic results*”. Wszystkie wielkie litery wprowadzono tutaj metodą losową. Czy autor naprawdę uważa, że tytuł gazety poprawnie zapisuje się w formie „*daily Telegraph*”? Czy naprawdę można być tak mało spostrzegawczym?

Otóż można. Niedawno dostałem e-mail z Ministerstwa Dzieci, Szkół i Rodzin z zaproszeniem do wzięcia udziału w akcji mającej na celu podniesienie świadomości społecznej w zakresie jakości nauczania w Zjednoczonym Królestwie. Oto początek tej wiadomości dokładnie w przesłanej mi postaci: „*Hi*

*Bill. Hope alls well. Here at the Department of Children Schools and Families...".*

W jednej liczącej czternaście słów linijce autorka popełniła trzy elementarne błędy interpunkcyjne (dwa brakujące przecinki, jeden brakujący apostrof; więcej nie powiem) i pomyliła nazwę własnego ministerstwa — a należy do grona osób, których zadaniem jest promowanie edukacji. Podobny motyw pojawił się w otrzymanym przeze mnie niedawno liście od pani pediatry, która zaprosiła mnie do wystąpienia na jakiejś konferencji. Autorka dwukrotnie posłużyła się słowem „*children's*”, które napisała na dwa różne sposoby, oba błędne. Była specjalistką od dzieci zatrudnioną w szpitalu dziecięcym — jak często musisz widywać dane słowo i jak wielką rolę musi ono odgrywać w twoim życiu zawodowym, żebyś zauważył, jak się je pisze?

Mnóstwo ludzi porzuca całe obszary gramatyki, czego nie rozumiem. Oglądałem kiedyś w telewizji film dokumentalny Briana Coxa, który stał na polu w Meksyku i opowiadał o chrząszczach bombardierach: „Bombardier i ja [*and me*], i w ogóle wszystkie żywe stworzenia, są narażone na to samo zagrożenie... Ja i mój przyjaciel chrząszcz wypracowaliśmy to samo rozwiązanie”. Nie chciałbym zostać źle zrozumiany: mam wielki szacunek do Briana Coxa. Ten człowiek ma wielki mózg, obejmujący wiele stref czasowych naraz, i z reguły nienagannie posługuje się językiem, więc dlaczego, na litość boską, mówi „*the bombardier beetle and me*”, skoro bez cienia wątpliwości byłoby normalniejsze i bardziej eleganckie, gdyby powiedział „*the bombardier beetle and I*”? Trochę później oglądałem film dokumentalny nakręcony przez innego wybitnego młodego naukowca, Adama Rutherforda, który powiedział: „Ja mam tylko trzydzieści trzy kręgi w moim kręgosłupie, ale Belle [*boa dusiciel*] ma ich trzysta cztery, a przecież o tym, ile kręgów mam ja i ona [*me and her*], decyduje ta sama garstka genów”.

Potem oglądałem powtórkę *Stu pociech*, z następującym dialogiem:

Jake: Dlaczego muszę zaopiekować się Karen?

Hugh Dennis: Bo ja, mama i Ben [*me and Mum and Ben*] będziemy na przyjęciu u rodziców Bena.

W prawdziwym życiu Hugh Dennis pobierał wykształcenie w Cambridge i gra

nauczyciela, który naprawdę nie powinien popełniać takich błędów.

Potem usłyszałem, jak Samantha Cameron, żona premiera, mówi do dziennika telewizyjnego „Ja i dzieci [*me and the kids*] pomagamy mu w tym, żeby nie oderwał się od ziemi”.

Mam na ten temat do powiedzenia tylko jedno: Przestańcie.

\*

Sądziłem, że w niedzielę w Cambridge będzie spokojnie, ale srogo się rozczarowałem. Ulice kłębiły się od turystów i zakupowiczów, jak podczas jakiegoś święta, ale był to zwykły niedzielny młyn, ludzie spędzali dzień wolny od pracy na leniwych wędrówkach po sklepach, dorzucając do tego obiad, ewentualnie gorący napój i lekko podsuszoną drożdżówkę w przelocie. Dawnymi czasy jedynymi ludźmi, których widywało się w niedzielne przedpołudnia w dzielnicy handlowej, byli bezdomni grzebiący w śmieciach. W niedzielę można było kupić tylko papierosy, słodycze, mleko i gazety. Jeśli ktoś zapomniał zrobić w sobotę zakupy żywnościowe, na kolację jadł Smarties i popijał mlekiem.

Od tamtej pory świat się zmienił. Na ulicach Cambridge było więcej ludzi, niż ich mieszkało w tym mieście. Niektóre ulice były zapchane miejscowymi, a niektóre głównie turystami. Co kilka kroków jakaś radosna młoda osoba wciskała mi ulotkę reklamującą jakiegoś rodzaju wycieczkę — autokarową, pieszą, śladami duchów, autobusową z wysiadkami. Każde wejście do sklepu, miejsce wokół stojaka z pocztówkami i w ogóle każda dostępna przestrzeń w pobliżu każdego zabytkowego budynku była rojna od zagranicznej młodzieży, z reguły z identycznymi plecaczkami. Chciałem napić się kawy, ale w kawiarniach nie dało się wetknąć szpilki, więc poszedłem do domu handlowego John Lewis, wychodząc z założenia, że na najwyższym piętrze znajdę tam lokal z wolnymi stolikami i widokami na miasto. W tym domu handlowym zawsze jest lokal z widokami na miasto i tutaj też był, ale kolejka ciągnęła się aż po sklep z pamiątkami typu „Zachowaj spokój i walcz dalej”. Co najmniej dwadzieścia kilka osób nie dotarło



jeszcze do mokrych plastikowych tac. (Dlaczego tace u Johna Lewisa zawsze są mokre? Czy właścicielom się wydaje, że to przyciąga klientów?) A może by tak zakraść się za kogoś, kto ma problem z wyborem między pain aux raisins a pucharkiem owocowym, albo kto koniecznie musi dostać odrobinę musztardy Dijon do swojej parówki i wstrzymuje całą kolejkę do czasu, kiedy jakieś nieszczęsne popychadło przyniesie z piwnicy nowy słoik, albo kto po dotarciu do kasy zdał sobie sprawę, że nie ma przy sobie pieniędzy i musi wysłać ekipę poszukiwawczą, żeby sprowadziła Clive'a — nie, nie umiałem się na to zdobyć. Zrezygnowałem więc z kawy i poszedłem pooglądać telewizory, bo to właśnie robią mężczyźni u Johna Lewisa. Było nas ponad trzystu, z poważnymi minami przechadzaliśmy się między rzędami telewizorów i analizowaliśmy każdy z osobna, mimo że zasadniczo niczym się od siebie nie różniły, a poza tym żaden z nas nie potrzebował telewizora. Potem obejrzałem laptopy — stukiałem w klawisze, podnosiłem i opuszczałem ekrany, kiwałem z namysłem głową jak sędzia na konkursie hodowli warzyw — a na koniec ustawiłem się w kolejce do słuchawek Bose. Po założeniu słuchawek natychmiast znalazłem się w tropikalnej dżungli — w samym środku, akustycznie zanurzony — i słuchałem krakania ptaków i szmerów w ściółce. Potem znalazłem się na Manhattanie w porze szczytu, otaczały mnie niewyraźne głosy i trąbienie klaksonów. Potem spadł oczyszczający wiosenny deszcz z okazjonalnymi grzmotami. Wierność była niesamowita. Potem otworzyłem oczy i na powrót znalazłem się u Johna Lewisa w niedzielę w Cambridge. Może nie należy się dziwić, że w kolejce do słuchawek stało za mną sześć osób.

Przespacerowałem się na Trumpington Street do Muzeum Fitzwilliama, według mnie najwspanialszego skarbu Cambridge. Odkryłem je całkiem niedawno. Zawsze sądziłem, że jest małe i uroczo naćkane eksponatami, jak muzeum sir Johna Soane'a w Londynie, a tymczasem okazało się wielkie, wystawne i przestronne, jak British Museum przetransportowane na podrzędną ulicę w Cambridge. W odróżnieniu od wszystkich innych instytucji w tym mieście panował tam umiarkowany ruch. Na dodatek w bufecie były wolne stoliki. Tłumiąc okrzyk

radości, zamówiłem Americano i kawałek ciasta orzechowego, mały, suchy i drogi, czyli tak jak lubią Anglicy, i dwadzieścia minut później, odświeżony, mogłem przystąpić do eksploracji przepastnych sal i korytarzy Fitzwilliama.

Przyszło mi do głowy, że nie mam pojęcia, kim był pan Fitzwilliam, więc później to sprawdziłem. Richard Fitzwilliam, siódmy wicehrabia Fitzwilliam, nie dokonał w życiu zbyt wiele, oprócz tego, że spędził znaczną jego część we Francji, gdzie spłodził trójkę nieślubnych dzieci z tancerką baletową. Poza tym jego życie prywatne jest „owiane tajemnicą”, jak można przeczytać w *Oxford Dictionary of National Biography*, wydawnictwie, które niejedno wie na temat zjawisk owianych tajemnicą. Fitzwilliam zmarł w 1816 roku w stanie bezzennym, ale przed śmiercią przekazał swoją kolekcję sztuki i dużą sumę pieniędzy Uniwersytetowi Cambridge, żeby zbudował muzeum jego imienia. Z czego uczelnia lojalnie się wywiązała.

Muzeum Fitzwilliama generalnie nie przyciąga zbyt wielkiej uwagi, ale w 2006 roku trafiło na czołówki gazet za sprawą niejakiego Nicka Flynna, który potknął się o niezawiazaną sznurówkę i strącił z parapetu trzy cenne wazy z czasów chińskiej dynastii Qing, skutkiem tego rozbiły się w drobny mak — szkody wyniosły od stu do pięciuset tysięcy funtów, zależnie od tego, na ile skrupulatnie sobie to wygooglujesz. Z dostępnych w internecie fotografii miejsca zdarzenia wynika, że potknięcie się Flynna prawdopodobnie było najgorszą odsznurowkową wywrotką w dziejach ludzkości, ponieważ ofiara zdołała oczyścić parapet na odcinku prawie pięciu metrów, co poskutkowało tysiącami kawałeczków ceramiki na podłodze. Policja aresztowała Flynna, podejrzewając go o celowe działania, ale sprawę szybko umorzono. „Uważam wręcz, że wyświadczyłem muzeum przysługę — powiedział Flynn »Guardianowi«. — Mnóstwo ludzi przychodzi obejrzyć ten parapet, więc liczba zwiedzających musiała wzrosnąć. Powinni mnie wziąć do rady muzeum”. Władze muzeum nie zastosowały się do tej sugestii, czemu trudno się dziwić. Zamiast tego napisały do Flynna list z uprzejmą prośbą, żeby w przewidywalnej przyszłości się u nich nie pojawiał. Żadnymi innymi możliwościami prewencyjnymi nie dysponowały.

Przeczytałem, że wazy posklejano i znowu są wystawiane, teraz już bezpiecznie

za hartowanym szkłem. Spytałem o nie pracownicę i skierowała mnie do gabloty, do której przed chwilą zaglądałem — tak dobrze naprawili, że praktycznie nic nie widać. Musiałem mocno wyteńczyć wzrok, żeby dostrzec jakieś ślady uszkodzeń. Jako człowiek, któremu nigdy nie udało się niczego tak skleić, żeby niechcący nie dolepić trzech innych rzeczy, byłem pod ogromnym wrażeniem.

Spędziłem w Fitzwilliamie półtorej godziny, nie licząc czasu spędzonego na konsumpcji, a potem przemaszerowałem za róg ulicy do Muzeum Instytutu Badań Polarnych im. Scotta, jednego z najlepszych małych muzeów kraju, które niestety okazało się zamknięte. Udałem się zatem do Muzeum Historii Nauki im. Whipple'a, które również było nieczynne, oraz do Muzeum Nauk o Ziemi im. Sedgwicka i Muzeum Archeologii Klasycznej, także nieczynnych. Muzeum Zoologii było w remoncie. Z radością się dowiedziałem, że Muzeum Archeologii i Antropologii jest czynne w niedziele, ale kiedy tam dotarłem, właśnie zamykali.

— Może przyjdę jutro — powiedziałem.

— W poniedziałki mamy nieczynne — odparł woźny.

Nie pozostało mi więc nic innego, jak popałętać się po mieście. Szczęśliwy traf sprawił, że poszedłem na skróty boczną uliczką Free School Lane i natrafiłem na budynek, w którym w latach 1874–1974 mieściło się słynne Laboratorium Cavendisha. Usłyszałem kiedyś od kogoś, że żaden inny mały skrawek ziemi prawdopodobnie nie wytworzył takiej ilości przełomowego myślenia, jak te kilkaset na kilkaset metrów w centrum Cambridge. Przebywali tutaj Isaac Newton, Charles Darwin, William Harvey, Charles Babbage, Alan Turing, John Maynard Keynes, Louis Leakey, Bertrand Russell i cała rzesza innych wybitnych naukowców, których nie zdążylibyśmy tutaj wymienić. Uniwersytet Cambridge może się poszczycić największą liczbą noblistów ze wszystkich uczelni świata, mianowicie dziewięćdziesięcioma, przy czym prawie jedna trzecia tych ludzi pracowała w tym anonimowym budynku przy Free School Lane. Tablica na ścianie informowała, że w 1897 roku J.J. Thomson odkrył tutaj elektron, ale nie sposób się było dowiedzieć, że Francis Crick i James Watson odkryli tutaj DNA, James

Chadwick, Max Perutz strukturę białka i tak dalej. Nobla dostało dwudziestu dziewięciu pracowników Laboratorium Cavendisha — niewiele krajów na świecie może się poszczycić taką liczbą noblistów z nauk ścisłych. W 1962 roku Nobla dostało czterech pracowników: James Watson i Francis Crick z fizjologii lub medycyny oraz Max Perutz i sir John Kendrew z chemii.

W 1953 roku Crick i Watson zostali tutaj sfotografowani na tle modelu cząsteczki DNA, która wyglądała jak zbudowana z klocków meccano. Spytałem kiedyś kogoś z laboratorium, dlaczego model ten — bez cienia wątpliwości najśłynniejszy model naukowy w XX wieku — nie jest nigdzie wystawiany. Usłyszałem, że model do zdjęć był inny od tego, którym się posługiwali, bo tamten został zdemontowany. Na potrzeby fotografów Crick i Watson musieli złożyć nowy model. Ludzie zaczęli zabierać jego kawałki na pamiątkę i wiele z nich trafiło później na rynek kolekcjonerski. Można powiedzieć, że model reduplikował się jak prawdziwe DNA, ponieważ po świecie krąży dzisiaj więcej odcinków, niż pierwotnie istniało od 1953 roku.

Moją ulubioną osobą związaną z Cavendish jest Max Perutz, który przez czterdzieści lat życia badał budowę jednego białka, hemoglobiny. Zadanie było tak skomplikowane, że samo wymyślenie, jak się do tego zabrać, zajęło mu piętnaście lat. Perutz prawdopodobnie był największym hipochondrykiem ery nowożytnej. Nosił przy sobie kartę z zaleceniami żywieniowymi w pięciu językach i w każdym lokalu, w którym się stołował, przekazywał ją kuchni. Odmawiał przebywania w pomieszczeniach, w których niedawno palono świece albo które sprzątno z użyciem szeregu powszechnie stosowanych roztworów i środków odkażających (choć z drugiej strony chciał, żeby jego otoczenie było gruntownie odkażone). Z powodu chronicznego bólu kręgosłupa na sympozjach często się zdarzało, że przedstawiał prelegenta, a następnie kładł się przed mównicą. Bywało nawet, że sam wygłaszał wykłady na leżąc.

Jestem również miłośnikiem sir Lawrence'a Bragga, który w 1915 roku otrzymał Nagrodę Nobla za pracę nad krystalografią rentgenowską. Później został prezesem Instytucji Królewskiej w Londynie. Kochał swoją pracę, ale tęsknił za

ogrodnictwem, więc przez jeden dzień w tygodniu odpłatnie pielęgnował ogród przy domu w South Kensington. Zatrudniająca go kobieta nie miała pojęcia, że jej ogrodnik należy do najwybitniejszych brytyjskich naukowców. Pewnego dnia jej znajoma, która przyszła na herbatę, wyjrzała przez okno i zapytała:

— Moja droga, dlaczego laureat Nagrody Nobla sir Lawrence Bragg przycina twój żywopłot?

Późnym popołudniem wróciłem na dworzec kolejowy. Chciałem pojechać pociągiem do Oksfordu, ale się okazało, że spóźniłem się o prawie pięćdziesiąt lat. Linia Cambridge–Oksford — czule nazywana Varsity Line albo Brain Line — została zlikwidowana w 1967 roku i dzisiaj najszybsza podróż między tymi dwoma miastami (oddalonymi o sto trzydzieści kilometrów) zajmuje ponad dwie i pół godziny i wymaga dwóch przesiadek.

Postanowiłem zrobić sobie przerwę w Londynie i pojechać do Oksfordu następnego dnia rano. Kupiłem bilet i poszedłem na peron numer jeden, peron londyński. Kiedy mieszkałem w Norfolk i regularnie dojeżdżałem do Londynu, za każdym razem musiałem się przesiadać w Cambridge. Na ogół wyglądało to w ten sposób, że kiedy wysiadłem z jednego pociągu, widziałem oddalający się koniec drugiego. Dworzec w Cambridge nie ma zatem przede mną żadnych tajemnic i wiem z doświadczenia, że zarządzający nim ludzie nie lubią zdradzać zbyt wielu informacji. Każda wizyta na tym dworcu jest jak występ w teleturnieju *Would I Lie to You?* [Zgadnij, czy mówię prawdę]. Tym razem na peronie pierwszym zatrzymał się pociąg, który wyglądał zupełnie jak pociąg do Londynu, ale na ekranach pojawiła się informacja, że „pociąg kończy bieg”, co w miarę jednoznacznie wskazywało, że wsiadanie do niego byłoby nierozsądne, ponieważ za chwilę ruszy do parowozowni w Royston czy jeszcze bardziej beznadziejnym mieście, a wtedy dopiero naprawdę się dowiemy, co to znaczy mieć przechłapanie.

Pięćset osób przez jakieś dziesięć minut stało i patrzyło na pusty pociąg. W końcu znalazło się paru odważniejszych, którzy wsiedli, i rozpętało się istne stampedo — tak jak wtedy, kiedy otworzyli Terytorium Oklahoma dla osadników. Wszyscy musieliśmy jednak być przygotowani do natychmiastowej ewakuacji,

gdyby się okazało, że pociąg naprawdę jedzie do Royston na przegląd techniczny (albo do kasacji, co byłoby jeszcze lepszym pomysłem). Historia w końcu przyznała nam rację: pociąg od samego początku wybierał się do Londynu. Wygraliśmy teleturniej i w nagrodę mogliśmy pojechać do stolicy na siedząco. Kilkadziesiąt osób, które pozostały na peronie, ponieważ zaufały informacji na ekranach, miało z kolei możliwość wystąpienia w nowym teleturnieju zatytułowanym *Stanie w przejściu między wagonami przez całą drogę do Londynu*.

Zauważyłem, że z mojego miejsca przy oknie mam dobry widok na plakat z Jeremym Clarksonem, który wcześniej zauważyłem, co natchnęło mnie do nowych rozmyślań o głupocie w uniwersalnym wymiarze tego zjawiska. Czytałem niedawno o tak zwanym efekcie Krugera-Dunninga, po raz pierwszy opisanym bez tych dwóch pracowników Uniwersytetu Cornell w stanie Nowy Jork. Efekt Krugera-Dunninga polega z grubsza na tym, że jesteś za głupi, aby wiedzieć, jaki jesteś głupi. Według mnie nieźle to opisuje całą ludzkość, zadałem więc sobie następujące pytanie: a co, jeżeli wszyscy głupiejemy mniej więcej w tym samym tempie i nie zdajemy sobie z tego sprawy, ponieważ cofamy się umysłowo wszyscy razem? Ktoś powie, że zaobserwowalibyśmy spadek wyników testów na inteligencję — ale może dotyka nas rodzaj degradacji umysłowej, który w testach na inteligencję nie wychodzi? Może znajduje odzwierciedlenie tylko w tym, że na przykład podejmujemy nierozsądne decyzje albo pogarsza nam się gust? To by tłumaczyło na przykład sukces serialu *Mrs. Brown's Boys*.

Wszyscy wiemy, że długotrwałe oddziaływanie ołowiu na mózg może poważnie obniżyć jego sprawność, ale ustalenie tego zajęło naukowcom kilkadziesiąt lat. Może nasz mózg zatruwa jakaś jeszcze bardziej podstępna substancja z innego obszaru codziennego życia? Kiedy ostatni raz to sprawdzano, liczba związków chemicznych używanych w świecie rozwiniętym wynosiła ponad osiemdziesiąt dwa tysiące, a większość z nich — według jednego z szacunków osiemdziesiąt sześć procent — nigdy nie została przetestowana pod kątem oddziaływania na ludzi. Weźmy jeden przykład: na co dzień spożywamy albo wchłaniamy znaczące ilości bifenoli i ftalanów, składników opakowań żywności. Może przechodzą przez

nas nieszkodliwie, a może robią z naszymi mózgami to, co kuchenka mikrofalowa z plastikowym pojemnikiem fasoli w sosie pomidorowym. Nie wiemy. Ale kiedy spojrzymy na to, co się dzieje w telewizji co wieczór w dzień powszedni, trudno nie zadać sobie tego pytania. To wszystko, co chciałem powiedzieć na ten temat.

## Oksford i okolice

### I

**P**o długich rozważaniach doszedłem do wniosku, że brytyjski system odznaczeń jest niedobry. Zdaję sobie sprawę, że narażam się na zarzut obłudy, ponieważ kilka lat temu sam przyjąłem takie odznaczenie. Od dawna jednak funkcjonuję w ten sposób, że próżność stawiam wyżej od zasad.

Rzeczonym odznaczeniem był honorowy Order Imperium Brytyjskiego — honorowy dlatego, że nie jest to w gruncie rzeczy prawdziwy order, ponieważ przyznaje go minister, a nie królowa. W ramach krótkiej uroczystości przypięła mi go do piersi ówczesna minister kultury Tessa Jowell, przesympatyczna kobieta. W uzasadnieniu napisano, że odznaczenie to otrzymuję za zasługi dla literatury, co było z ich strony bardzo miłe i wielkoduszne, ale ja nie piszę książek dla literatury, tylko dlatego, że lubię to robić i płacą mi za to, więc w gruncie rzeczy dostałem medal za zasługi dla samego siebie. I na tym właśnie polega problem z odznaczeniami. Zasadniczo ludzie są odznaczani za bycie sobą, co w wielu przypadkach najzupełniej wystarcza, żeby się załapać na jakiś order.

W Ameryce istnieją tylko dwa sposoby na to, żeby się doczekać oficjalnych pochwał ze strony państwa. Sposób pierwszy: w pojedynkę likwidujesz niemieckie stanowisko artyleryjskie, jednocześnie niosąc rannego kumpla na plecach na jakąś wyniosłość o dramatycznie brzmiącej nazwie typu Porkchop Hill albo Cemetery Ridge, za co kongres nagrodzi cię Medalem Honoru. Sposób drugi: finansujesz budowę skrzydła szpitala, wyższej uczelni albo czegoś w tym rodzaju. Inaczej niż w Wielkiej Brytanii, nie dopisujesz sobie nic do nazwiska, tylko dopisujesz



nazwisko do nazwy jakiegoś obiektu. Blask niezasłużonego prestiżu niczym się jednak nie różni. Realna różnica polega na tym, że w systemie amerykańskim z całej tej historii zostaje skrzydło szpitala, a w Wielkiej Brytanii tylko cymbał w gronostajach.

Podnoszę tę kwestię dlatego, że zmierzałem w stronę pałacu Blenheim, gniazda arystokratycznego rodu Marlborough, którego osiągnięcia na przestrzeni ostatnich jedenastu pokoleń można by wydrapać igłą na orzeszku ziemnym. Ktoś był dla mnie taki miły, że dał mi w prezencie karnet na zwiedzanie pałacu z podwieczorkiem w cenie, a ponieważ voucher niedługo wygasał, ja zaś planowałem wizytę w okolicy, zrobiłem rezerwację.

Blenheim to bez wątpienia niezwykły gmach i szczerze się ucieszyłem na ten wyjazd. Nie wiem dokładnie, co poszło nie tak — może dostałem się tam niewłaściwymi drzwiami, stanąłem w niewłaściwej kolejce albo z moim biletem nic innego mi nie przysługiwało, w każdym razie dołączono mnie do grupy czternastu innych nieco zdezorientowanych ludzi i zafundowano nam coś, co nazywało się „Blenheim: nieopowiedziana historia”. W ramach tej audiowizualnej przygody przemierzyliśmy siedem sal na piętrze. Jakaś pani wygłosiła gadkę wstępną, po czym zostawiła nas w małym pomieszczeniu i patrzyliśmy z milczącą zgrozą, jak zamykają się za nami automatyczne drzwi. Od tego punktu wszystko było zautomatyzowane. W każdej sali słuchaliśmy nagranych komentarzy i oglądaliśmy parę robotów — na przykład księcia, który siedział za biurkiem i szarpanymi ruchami pisał coś ptasim piórem, które nie dotykało papieru. Po dwóch minutach takich rozrywek otwierały się kolejne drzwi i słyszeliśmy polecenie przejścia do następnego pomieszczenia. Byliśmy nie tyle zwiedzającymi, ile więźniami.

Każda sala dotyczyła innego okresu historii pałacu, a ogólna idea prawdopodobnie była taka, żebyśmy mogli wyrobić sobie wyobrażenie o roli Blenheim Palace w dziejach narodu brytyjskiego. Jeśli tak, to niezbyt się udało, bo prezentacja była dosyć niespójna. W dwóch salach za żadne skarby świata nie potrafiłem odgadnąć, co się dzieje. Pierwsza ekspozycja dotyczyła

dziewiętnastowiecznych planów wystawienia w pałacu sztuki teatralnej — nie wyjaśniono, jaki to ma związek z czymkolwiek — a druga odpowiadała o tym, jak Consuelo Vanderbilt, ówczesna pani na włościach, w 1939 roku spotkała się z osiemnastowiecznym służącym. Żaden element wystawy nie zawierał istotnych informacji ani nie dostarczał prawdziwej rozrywki. Sale były małe, duszne i zatłoczone. Co gorsza, jeden z członków grupy bezgłośnie, ale smrodliwie popierdywał. Na szczęście byłem to ja, dzięki czemu doznania zapachowe doskwierały mi znacznie mniej niż innym. Po mniej więcej dwudziestu minutach tych audiowizualnych hopsztosów taśmociąg wyrzucił nas w sklepie z pamiątkami, gdzie naszą uwagę skierowano na wiele innych obiektów na terenie majątku, w których mogliśmy wydać pieniądze — na herbatę i babeczki, na rośliny doniczkowe, na markowe rydle w centrum ogrodniczym, na przejażdżkę kolejką i inne bzdury.

Miałem rezerwację na podwieczorek z szampanem w tak zwanej Sali Indyjskiej. Zjadłem i wypilem ze smakiem, ale najbardziej podobało mi się to, że nie ja płacę trzydzieści pięć funtów, które sobie zaśpiewali za ten przywilej.

Później pospacerowałem po pięknych pałacowych gruntach i poszedłem do nobliwego miasteczka Woodstock tuż obok posiadłości. Kiedy przyjechałem do Woodstock podczas pracy nad *Zapiskami z małej wyspy*, był tam pełny asortyment sklepów, w tym rękawicznik, fryzjer męski, masarnia, antykwariat i mnóstwo sklepów z antykami. Niestety wiele z tych placówek przepadło w dziejowej pomroce, ale księgarnia nadal istnieje i doszły delikatesy, których poprzednim razem nie zauważyłem. Osią tematyczną Woodstock są jednak dzisiaj samochody, zaparkowane po prostu wszędzie, powciskane w każdy kąt, a przy High Street — ulicy, która się kończy pod bramą pałacu — rozmieszczone tak gęsto, że ciężko było przejść na drugą stronę. W oknach wielu domów wisały plakaty wyrażające zaniepokojenie propozycją budowy tysiąca pięciuset domów na skraju miasteczka. Jako że dzisiaj w Woodstock jest tysiąc trzysta domów, protesty wydały mi się najzupełniej uzasadnione, zwłaszcza że grunty przeznaczone pod budowę znajdują się w obrębie zielonego pasa wokół Oksfordu. Właścicielem tej ziemi jest pałac

Blenheim, który podobno musi ją sprzedać, ponieważ potrzebuje czterdziestu milionów funtów na remont.

Problem dużych osiedli w takich miejscowościach nie polega tylko na tym, że deweloperzy zagarniają ziemię, ale że nowa zabudowa zaczyna dominować nad starą. Woodstock przestanie być Woodstockiem, jeśli obok postawi się nowe miasto z błyszczącym supermarketem i parkiem biznesowym. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że Oksford potrzebuje nowych mieszkań, ale z pewnością istnieją rozsądniejsze i bardziej inteligentne rozwiązania niż walnięcie tysiąca pięciuset nowych domów na wielkim polu i liczenie na to, że istniejące drogi, przychodnie, szkoły średnie i wszystko inne poradzi sobie z takim błyskawicznym podwojeniem obciążeń. Tak sobie pomyślałem, że może należałoby wprowadzić przepis zobowiązujący deweloperów do tego, żeby przez pięć lat mieszkali na wybudowanym przez siebie osiedlu.

Przenocowałem w Woodstock, a rano pojechałem do Oksfordu eleganckim autobusem, bardzo niebieskim w środku i na zewnątrz oraz bardzo czystym. Takiego autobusu się spodziewałem podczas podróży z Bognor do Hove. Obite granatową skórą siedzenia były nadzwyczaj wygodne. Zająłem miejsce na górze i rozkoszowałem się widokami. Z komunikacji autobusowej korzystało całkiem sporo ludzi, ale znacznie mniej niż z samochodowej. Wszystkie drogi w stronę Oksfordu były zakorkowane — stało się na dojazdach do rond, w kolejkach do stacji benzynowych, a przede wszystkim na rogatkach samego miasta. Nie chcę być upierdliwy, ale czy tylko ja zadaję sobie pytanie, czy najlepszym rozwiązaniem problemów Oksfordu jest dogęszczenie przedmieść?

Oksford padł ofiarą własnej atrakcyjności. Chce tam mieszkać więcej ludzi, niż miasto jest w stanie wygodnie pomieścić — i trudno ich o to winić. Pomijając kwestię komunikacji, jestem gotów nominować Oksford do tytułu miasta brytyjskiego, które najbardziej poprawiło swoją jakość. W *Zapiskach z małej wyspy* potraktowałem siedzibę najstarszego brytyjskiego uniwersytetu dosyć surowo, ale nie dlatego, że było źle, lecz dlatego, że było nie dość dobrze. Wychodzę

z założenia, że pewne piękne i zabytkowe miasta — Oksford, Cambridge, Bath i Edynburg, by wymienić tylko cztery — są szczególnie zobowiązane pozostać pięknymi i zabytkowymi, a odnosiłem wtedy wrażenie, że Oksford od dawna tego nie rozumie.

Jakże to się wszystko zmieniło! W ostatnich latach wszędzie wyrastają nowe budynki, w tym bardzo oryginalne. High Street zamknięto dla ruchu, dzięki czemu znacznie przyjemniej się nią spaceruje, jest również trochę eleganckich sklepów i restauracji, a także sympatyczny hotel. Jak czytałem, na niezrównany uniwersytecki zespół muzeów, zwłaszcza na Ashmolean, wydano miliony. Koło dworca kolejowego powstawał jakiś nowy wielki kompleks. Kiedy tamtędy przechodziłem, można było odnieść wrażenie, że budowlańcy koncentrują uwagę na usuwaniu zdrowych drzew i korkowaniu ruchu, ufam jednak, że te niedociągnięcia niedługo zostaną naprawione. Pomysł — jak zgaduję — polega na tym, żeby przed ludźmi wychodzącymi z wielkiego stojaka na rowery, czyli dworca kolejowego, otwierał się reprezentacyjny prospekt, czemu można tylko przyklasnąć. Kiedy przyjechałem do Oksfordu w 1995 roku, podczas pracy nad moją książką, szczególnie krytycznie wyraziłem się o Warden's Lodgings przy Merton College, które porównałem, jeśli mnie pamięć nie myli, do podstacji elektrycznej. Otóż parę lat temu gmach został wyremontowany w dyskretniejszym i subtelniejszym stylu. Dzisiaj Warden's Lodgings, aczkolwiek nowoczesne, doskonale harmonizują z zabudową średniowiecznej ulicy, przy której stoją. Rektor sir Martin Taylor zaprosił mnie na małą uroczystość, podczas której przeciąłem wstęgę. Była to jedna z najdumniejszych chwil w moim życiu. Teraz przeszedłem się Merton Street, obejrzałem budynek z podziwem i swego rodzaju ojcowską czułością, a następnie ruszyłem na spacer po mieście. Zwiedzałem zarówno eleganckie, jak i zapyziałe dzielnice, od czasu do czasu zaglądałam w witryny sklepowe i zanurzyłem się w czeluściach Blackwell, mojej ukochanej księgarni przy Broad Street, ale zasadniczo po prostu łąziłem bez celu.

Koło południa zrobiłem rundę po University Parks, które tak naprawdę są tylko jednym parkiem, ale tak pięknym, że używają w stosunku do siebie *pluralis*

*maiestatis*. Wyszedłem z parku w okolicy kolegiów nauk ścisłych i znalazłem się przed Muzeum Historii Naturalnej oraz Muzeum Pitta Riversa, zlokalizowanymi w jednym budynku.

Te od zawsze znakomite muzea w ostatnich latach, dzięki hojnie finansowanym i pomysłowym pracom remontowym, doprowadzono do stanu bliskiego doskonałości. Nie zdawałem sobie z tego sprawy, ale budynek — neogotycki kolos, który roztaczał wokół siebie dosyć przytłaczającą atmosferę, dopiero niedawno ponownie otworzył podwoje po czternastomiesięcznej renowacji, która objęła wyczyszczenie i uszczelnienie ośmiu i pół tysiąca szyb dachowych, dzięki czemu światło spływa dzisiaj od góry, nadając wnętrzu nastrój świeżości i przestronności, którego tam nie było za czasów nikogo z żyjących obecnie ludzi. Tak to musiało wyglądać zaraz po oddaniu gmachu do użytku. Muzeum jest nie tylko ciekawe i pouczające, ale również urządzone z wyobraźnią, przyjazne dla zwiedzającego i rozrywkowe — takie powinny być wszystkie muzea, ale rzadko spełniają te oczekiwania. A kolekcje są po prostu bajeczne. Każda szklana gablota to istna wyspa cudowności.

Muzeum — jego oficjalna nazwa brzmi Muzeum Historii Naturalnej Uniwersytetu Oksfordzkiego — powstało w 1860 roku. Jego częstym gościem był Charles Dodgson, który oparł szereg postaci z opowieści o Alicji na tutejszych eksponatach, między innymi na przedstawiającym ptaka dodo obrazie holenderskiego artysty Jana Savery'ego. Jak wiadomo, Dodgson to w pewnym sensie dwóch ludzi w jednym ciele. Dzisiaj pamiętamy go jako Lewisa Carrolla, ukochanego twórcę opowieści dla dzieci, ale jego koledzy z Oksfordu znali go jako nieśmiałego, jękającego się matematyka, autora *An Elementary Treatise in the Formulae of Plane Trigonometry* i nie całkiem niewinnego adoratora małych dzieci. Być może nikt z ówczesnych oksfordzkich naukowców nie uświadamiał sobie, że Dodgson w wolnym czasie tworzył rymy, które miały wejść do historii literatury, na przykład taki pastisz znanej arii z opery *The Bohemian Girl* Michaela Williama Balfe'a:

*Śniłem, że pałacowe ściany się wokół mnie złociły  
I przeróżne oślizłe paskudztwa po nich łąziły.*

Gablota dotycząca Dodgsona i Alice Liddell (córkę dyrektora jego kolegium, Christ Church) zawiera ptaka dodo, który wygląda jak żywy, ale jest to tylko model, ponieważ nie zachowały się na świecie żadne ptaki dodo, nawet wypchane. W 1755 roku ostatni przedstawiciel tego gatunku — nie wiadomo, czy wypchany, czy nie — został wrzucony do ogniska przez dyrektora muzeum Ashmolean, który uznał, że ptak zaczyna podśmierdywać, udowadniając tym samym, że idioci nie są wynalazkiem naszej epoki. Inny pracownik muzeum próbował wyciągnąć ptaka z ogniska, lecz ocalał tylko nadpaloną głowę i część nogi. Te jedyne uratowane z pogorzelniska szczątki ostatniego na świecie ptaka dodo trafiły do gabloty.

Muzeum Historii Naturalnej łączy się z Muzeum Pitta Riversa, wyspecjalizowanym w antropologii i wypchanym — prawie po sam sufit — cudowną kolekcją obiektów etnograficznych, dyskretnie oświetlonych i artystycznie zaaranżowanych. Powstało później od sąsiada, w 1884 roku, i również przeszło ostatnio renowację. Swoją nazwę zawdzięcza Augustusowi Henry'emu Lane'owi Foxowi Pittowi Riversowi, bogatemu właścicielowi ziemskiemu, który należał do najpaskudniejszych i najwredniejszych ludzi w dziejach świata. Bił swoje dzieci, w tym dorosłe córki, znęcał się nad pracownikami swojego majątku i pewnego razu eksmitował małżeństwo ponadosiemdziesięcioletnich staruszków z chałupy na terenie posiadłości, mimo że nie mieli gdzie się podziać, a chałupa stała potem pusta. Kiedy się dowiedział, że jego żona przygotowała przyjęcie bożonarodzeniowe dla mieszkańców wsi, zamknął wszystkie bramy majątku na kłódkę, żeby nie mogli się dostać do środka. Był jednak poważnym uczonym i zgromadził wybitną kolekcję skarbów, które przekazał uniwersytetowi oksfordzkiemu. W rezultacie Oksford może się dzisiaj poszczycić jednym z najlepszych muzeów antropologicznych na świecie.

Zamierzałem tylko rzucić okiem na oba muzea, ale spędziłem tam prawie trzy godziny, a i tak nie obejrzałem nawet tego, co chciałem zobaczyć. Ekspozycje nie

tylko są niezwykle ciekawe, ale również zawierają użyteczną wiedzę. Na piętrze Muzeum Historii Naturalnej, w rzędzie gablot wzdłuż jednej ze ścian, można znaleźć prawie pełen zestaw wypchanych brytyjskich ptaków, przy czym każda gablota poświęcona jest określonemu środowisku życiowemu — łąka, las, pobrzeże, pola uprawne — dzięki czemu można wszystkie ptaki powiązać w pamięci ze środowiskiem, w którym mamy największą szansę je spotkać. Każdy ptak był opatrzony symbolem wskazującym, czy jego liczebność w Wielkiej Brytanii rośnie, spada czy utrzymuje się na stałym poziomie. (Niepokojąco duży odsetek ptaków notuje spadek populacji). Nigdy w życiu nie dowiedziałem się tak dużo, tak szybko i tak bezboleśnie. Zawsze się zastanawiałem, jakie są różnice między tymi wszystkimi gatunkami brytyjskich czarnych ptaków — gawrony, wrony, kruki i tak dalej — a tutaj wszystko miałem podane na tacy. Oczywiście nic już nie pamiętam (mam sześćdziesiąt trzy lata), ale przez chwilę wiedziałem i byłem zachwycony. Nowa kawiarenka też była doskonała.

Po wyjściu z muzeum postanowiłem uwieńczyć świetny dzień przechadzką do Iffley. Właśnie przeczytałem *Unwrecked Britain* pióra świętej pamięci bohaterkiej Candidy Lycett Green, która wymieniła Iffley jako swoje ulubione miejsce na Wyspach, toteż uznałem, że warto rzucić okiem. Pomysł ten miał tę dodatkową zaletę, że idąc Iffley Road, minąłem coś, co od lat chciałem zobaczyć: bieżnię, na której wiosną 1954 roku Roger Bannister jako pierwszy przebiegł milę w czasie poniżej czterech minut.

Niesamowita historia. Bannister był młodym londyńskim lekarzem. Nie miał trenera i trenował zaledwie pół godziny dziennie. W dniu biegu poszedł rano do pracy i po południu przyjechał z Londynu pociągiem. Po przybyciu do miasta poszedł do domu znajomego w północnym Oksfordzie — co najmniej trzy kilometry od dworca — na sałatkę z szynką, po czym dał się odwieźć na bieżnię. Trudno sobie wyobrazić okoliczności mniej sprzyjające światowej klasy wynikowi. Bieżnia była wykonana z popiołu, a nie jest to nawierzchnia, po której wygodnie się biega. Bannister od ośmiu miesięcy nie brał udziału w żadnych zawodach.

Jeszcze całkiem niedawno przepisy dotyczące biegów, w których próbowano ustanawiać rekordy świata, były dosyć mało rygorystyczne. Szesnaście lat wcześniej, kiedy Brytyjczyk Sydney Wooderson przebiegł milę w rekordowym czasie czterech minut i sześciu sekund, jednemu z innych biegaczy pozwolono wystartować dwieście pięćdziesiąt metrów dalej, żeby mógł posłużyć za zająca. Teraz jednak zasady były znacznie bardziej surowe i Bannister nie mógł liczyć na specjalną pomoc.

Bannister osiągnął rekordowy czas, pokonując granice ludzkich możliwości. Fotografia z jego rzutem na taśmę należała do ikonicznych obrazów mojego dzieciństwa. Poza fotografem i kilkoma urzędnikami prawie nikt nie widział biegu. Zwycięski czas wyniósł trzy minuty pięćdziesiąt dziewięć i cztery dziesiąte sekundy. Jak napisał sam Bannister w swojej autobiografii, za metą był „prawie nieprzytomny”.

Bieżnia nadal istnieje, dzisiaj nazywa się Sir Roger Bannister Track, ale gruntownie ją zmodernizowano i otoczono płotem, toteż z zewnątrz nie widać za wiele. Kiedy tam stałem, przyszło mi do głowy, że od wielkiego biegu Bannistera minęło dokładnie sześćdziesiąt lat. Dzisiaj prawie nikt już nie pamięta, że rekord przetrwał zaledwie kilka tygodni. W następnym miesiącu pobił go w Finlandii Australijczyk John Landy.

Iffley Road to ruchliwa i nieszczerólnie estetyczna ulica przelotowa, która z każdym krokiem robiła się coraz brzydsza, aż w końcu zacząłem zadawać sobie pytanie, czy mój pomysł z tą małą przygodą nie był chybiony. Potem jednak, skręciwszy w boczną ulicę na rozwidleniu o nazwie Iffley Turn, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zostałem przeniesiony do wsi pośród wzgórz Cotswold, a w każdym razie do czegoś bardzo przypominającego wieś pośród wzgórz Cotswold. Jest to miejscowość w większości skupiona przy jednej ulicy, z wiejskimi domami, paroma pubami i starym kamiennym kościołem z kwadratową wieżą. Kościół pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny zbudowano pod koniec XII wieku, a w latach 1232–1241 przebywała tutaj słynna anachoretka, czyli



pustelniczka, Annora. Mieszkała w dobudowanej do ściany kościoła celi z oknem na wewnątrz, żeby mogła oglądać nabożeństwa. Anachoretka była w gruncie rzeczy dobrowolnym więźniem. Nie mogła opuszczać celi, ale mogła rozmawiać przez okno z odwiedzającymi ją ludźmi i miała służącą, która się nią opiekowała, więc warunki bytowe nie należały do wyjątkowo spartańskich. Cella dawno nie istnieje.

Jestem wdzięczny Candidzie Lycett Green za przedstawienie mi poety Keitha Douglasa, który dobrze znał Iffley, ponieważ mieszkała tutaj jego ukochana. Podczas drugiej wojny światowej, walcząc na froncie, Douglas pisał dla tej młodej kobiety przejmujące wiersze:

*Zagwiżdż, a usłyszę  
i przyjdę innego wieczoru, kiedy ta łódź  
tylko z tobą popłynie do Iffley;  
gdy leżysz i spoglądasz w górę, wypatrując burzy,  
ten chłodny dotyk nie zapowiada deszczu;  
to moja dusza, która delikatnie całuje cię w usta.*

Douglas zginął w Saint-Pierre koło Bayeux kilka dni po desancie normandzkim w 1944 roku i leży pod jednym z tych krzyży, których całe rzędy widuje się na cmentarzach wojskowych. Miał dwadzieścia cztery lata.

Wróciłem do Oksfordu nadrzecznym szlakiem i nie spotkałem po drodze żywej duszy.

## II

Następnego dnia w porze otwarcia muzeum Ashmolean stałem już pod jego drzwiami. Jest to kolejne znakomite muzeum, które poddano ostatnio kosztownej renowacji — poszło na nią sześćdziesiąt jeden milionów funtów. Od zewnątrz wygląda tak jak zawsze — królewsko i srogo, jak British Museum — ale do tego odstręczającego gmaszyska sprytnie wsunęli schludny i przyjazny nowy budynek z dwukrotnie większą niż poprzednio przestrzenią ekspozycyjną. Każda sala jest

dzisiaj strefą miękko oświetlonych uroków, pełną wspaniale zaaranżowanych cudowności.

Powstałe w 1683 roku Ashmolean to najstarsze muzeum państwowe w Europie. Swoją nazwę zawdzięcza Eliasowi Ashmole'owi, mimo że większość pierwotnych zbiorów zgromadziła rodzina Tradescantów. Ashmole tylko je odziedziczył, ale starczyło mu przyzwoitości, żeby przekazać muzeum w darze Oksfordowi, z pewnymi warunkami dotyczącymi utrzymania obiektu. W XIX wieku zbiory przyrodnicze przeniesiono gdzie indziej — do muzeum po drugiej stronie miasta, które zwiedzałem dziś wcześniej — natomiast Ashmolean skupiło się na sztuce i archeologii. To jedno z najbardziej zachwycających muzeów na świecie. Spędziłem prawie godzinę w galerii klasycznych posągów zawierającej zbiory earla Arundela. Posągi nieszczególnie mnie interesują, ale historia zgromadzenia kolekcji i cudem unikniętej utraty zbiorów, opowiedziana na serii tablic, jest tak wciągająca, że wszystko przeczytałem, a potem obejrzałem stojące między tablicami posągi. Zanim się spostrzegłem, minęła godzina.

Osobą najbardziej kojarzoną z Ashmolean w późniejszych czasach jest sir Arthur Evans, którego w 1884 mianowano kustoszem, żeby wyciągnął placówkę z zapaści po latach zaniedbań. Kierował muzeum przez dwadzieścia cztery lata, a na przełomie stuleci, jako czterdziestodwulatek, wyjechał na Kretę i odkrył pałac w Knossos, a razem z nim starożytną cywilizację minojską. Znalazł tam gliniane tabliczki z inskrypcjami wykonanymi dwoma rodzajami tajemniczego pisma, które nazwał pismem linearnym A i pismem linearnym B. Nikt nie potrafił ich rozszyfrować, chociaż wielu próbowało. W 1932 roku Evans poznał ucznia liceum Michaela Ventrisa i pokazał mu część tabliczek. Ventris wpadł w obsesję i cały wolny czas, najpierw jako student, a potem młody architekt, poświęcał próbom złamania szyfru. W 1952 roku, dwadzieścia lat po pierwszym spotkaniu z Evansem, ogłosił, że rozszyfrował pismo linearne B. Niesamowite osiągnięcie, zwłaszcza jeśli zważyć, że Ventris nie był zawodowym kryptologiem, nie znał starożytnych języków i pracował na pełny etat w innym zawodzie. Jakiś czas potem późnym wieczorem wsiadł w Londynie do samochodu i na obwodnicy Barnet

z dużą prędkością wjechał w tył zaparkowanej ciężarówki. Miał trzydzieści cztery lata i nikt z jego otoczenia nie znał żadnych powodów, dla których miałby chcieć popełnić samobójstwo. Pismo linearne A do tej pory nie zostało rozszyfrowane.

W Ashmolean wystawiono wybór tablic z pismem linearnym B — opatrzonych znakomitą opowieścią o jego rozszyfrowaniu — oraz wiele innych zabytków z Knossos.

W części poświęconej cywilizacji minojskiej spędziłem prawie godzinę przy jednej gablocie i zdałem sobie sprawę, że w tym tempie nie zdążę dotrzeć przed śmiercią na najwyższe piętro, toteż przyspieszyłem. Mimo to dalsze zwiedzanie zajęło mi kolejne trzy godziny. Niesamowite miejsce.

Złakniony świeżego powietrza, postanowiłem się przejść do Wytham Woods, porastającego pagórkowaty teren lasu na zachodnich krańcach miasta. Wytham Woods to zapewne najgruntowniej przebadany las świata. W 1942 roku подарowano go uniwersytetowi oksfordzkiemu i od tej pory jest wykorzystywany do wszelkiego rodzaju badań botanicznych, ekologicznych i zoologicznych. Rozpoczęta w 1947 roku kontrola populacji ptaków to najdłuższe biologiczne badania terenowe na całej ziemi, a na innych obszarach lasu obserwuje się nietoperze, jelenie, owady, drzewa, mchy, gryzonie i prawie wszystko, co żyje i co potrafi się rozmnażać w klimacie umiarkowanym.

Wytham Woods (przy okazji: wymawia się „łajtham”) leży zaledwie pięć czy sześć kilometrów od centrum Oksfordu, ale na piechotę niełatwo jest tam dotrzeć, trzeba się bowiem przedostać na drugą stronę Tamizy oraz bardzo ruchliwej zachodniej obwodnicy A34, a potrzebna do tego infrastruktura nie jest zbyt rozbudowana. Wydedukowałem, że najprzyjemniej będzie się szło przez Port Meadow, rozległe tereny zalewowe nad rzeką, ale miałem dziwne trudności z ich znalezieniem. Momentami szedłem ulicami willowymi blisko Port Meadow, czasem ulicami willowymi nie tak blisko Port Meadow, czasami znajdowałem się na terenie rezerwatu przyrody, który znajdował się niedaleko Port Meadow, ale z całą pewnością stanowił odrębny byt, momentami brodziłem przez mokradła, o których lokalizacji nie miałem pojęcia. W końcu nastąpiła chwila, kiedy mogłem

z przekonaniem uznać, że znajduję się na Port Meadow, ale w dalszym ciągu był to odludny, nieodwiedzany przez nikogo zakątek świata. Na pewnym odcinku miałem wokół siebie całą masę koni, niektórych rozbrykanych w niezbyt przychylnym dla przechodnia sensie tego słowa. Z tłoczącymi się do głowy myślami o stratowaniach maszerowałem żwawym krokiem, ale na szczęście konie nie zwracały na mnie uwagi.

Na drugim końcu łąki czekała na mnie miejscowość Wolvercote, mocno oddalona od zamierzonego celu wyprawy, więc ruszyłem drogą w stronę wsi Wytham, u stóp Wytham Woods. Podczas tego przyjemnego spaceru minąłem Trout Inn, która wystąpiła w mniej więcej tysiącu odcinków *Spraw inspektora Morse'a*, a także ruiny opactwa Godstow. Spojrzałem na mapę i stwierdziłem, że od wsi Wytham nadal dzieli mnie spory dystans. Porwałem się na znacznie poważniejsze przedsięwzięcie, niż sądziłem.

Wytham to urocza wieś, z pubem, wiejskim sklepem, kościołem i... w gruncie rzeczy na tym koniec. Jednego mi jednak brakowało: wskazówek, jak się dostać do Wytham Woods. Niezależnie od tego, w którą uliczkę się zagłębiałem, natrafiałem na znaki, które informowały mnie opryskliwie, żebym sobie stamtąd poszedł: „Prywatna rezydencja”. „Wstęp wzbroniony, prywatna droga”. „Brak przejazdu, teren prywatny — tylko upoważnione pojazdy”. Z mojej mapy wynikało, że las jest poprzecinany ścieżkami, ale nie było żadnych wskazówek, jak się do niego dostać. Nie zauważyłem żadnego drogowskazu i nie miałem kogo zapytać.

W końcu przy jednej z bocznych uliczek zobaczyłem znak kierujący do stacji terenowej, co brzmiało obiecująco, ale po kilkuset metrach marszu nie znalazłem ani stacji terenowej, ani żadnych ścieżek, a las, widoczny na sąsiednim wzgórzu, zdawał się oddalać, zamiast przybliżyć. Sporo się już nachodziłem, a musiałem jeszcze wrócić do Oksfordu, więc perspektywa pokonania kolejnych paru kilometrów pod górę mniej mnie zachwycała niż trzy godziny wcześniej. Na tym polega problem z poruszaniem się na piechotę — dotarcie do celu pochłania tak wiele czasu i energii, że na miejscu niewiele ci ich zostaje.

Wróciłem do wsi. Sklep był nieczynny i nadal nie miałem kogo zapytać o drogę.

Przeczytałem na tablicy informacyjnej, że wieś jest w większości własnością uniwersytetu oksfordzkiego, a jej mieszkańcy wynajmują od niego domy, więc takie zachowanie wydało mi się trochę niepotrzebnie niezyczliwe. Od znajomego, który mieszka w Oksfordzie, dowiedziałem się później, że Wytham Woods nie jest ogólnodostępny. Może nie potraktują cię paralizatorem, tak jakby to zrobili w Kalifornii, ale też nie powitają cię z otwartymi ramionami. Dopiero wtedy przyszło mi do głowy, że skoro prowadzą tam precyzyjne badania, skoro porozstawiali różne karmniki, czujniki i sidła, to nie mogą sobie pozwolić na to, żeby ludzie włączyli się tam z psami albo jeździli na rowerach górskich, więc wybaczyłem im dla dobra nauki.

Poza tym było wpół do szóstej, prawie pora na drinka, więc wróciłem do Wolvercote, wypłem w Trout Inn piwo i wsiadłem w autobus do Oksfordu — przyznaję, że takie rozwiązanie całkiem mnie zadowoliło.

# Midlands

## I

**K**upiłem ostatnio nowy laptop. Miał fabrycznie zainstalowane oprogramowanie — nazywa się chyba Microsoft Gestapo — które pozwala firmie wtargnąć do komputera o dowolnej porze dnia albo nocy, ustawić wszystkich pod ścianą i zainstalować nowe oprogramowanie. Nie wiem, co to nowe oprogramowanie robi ani dlaczego nie wsadzili go do komputera w fabryce, ale niewątpliwie jest dla nich ważne, żeby wsadzić je teraz. Przy mniej więcej co drugim odpaleniu laptopa otrzymuję następujący komunikat: „Aktualizacje są gotowe dla twojego komputera. Chciałbyś zainstalować je teraz (zalecane) czy mamy ci o tym przypominać co piętnaście sekund przez resztę wieczności?”.

Z początku się podporządkowywałem, ale aktualizacje łądowały się godzinami i nie wywierały zauważalnego wpływu na jakość mojego życia, więc zacząłem uprawiać małą dywersję i resetować komputer w trakcie aktualizacji. Uwierzcie mi: nie wolno tego robić. Następny komunikat brzmiał: „Wznowienie instalacji. Nigdy więcej nie próbuj podobnych numerów. Pamiętaj: wiemy, że 10 marca przez całe popołudnie oglądałeś wideo nakręcone w domu przez Paris Hilton. Powiemy o tym twojej żonie. Jesteśmy Microsoft. Nie pogrywaj z nami. Aktualizacje ściągają się w czternaście godzin”.

Kiedy komunikat o aktualizacjach wyskoczył mi w pociągu z Londynu do Birmingham, po stoicku to zaakceptowałem i porzuciłem nadzieję, że w najbliższej przyszłości uda mi się popracować. Zamiast tego przyjrzałem się trzem obcym ludziom, którzy siedzieli razem ze mną przy kameralnym stolyczku. Wszyscy byli

w służbowych strojach, ale wszystko wskazywało na to, że podobnie jak ja nie pracują. Mój sąsiad oglądał film — założę się, że jego szef o tym nie wiedział — i to kiepski. Od razu się zorientowałem, że jest kiepski, bo ciągle coś wybuchało, a główną rolę grał Liam Neeson. Pasażerowie z naprzeciwka trzymali w dłoniach smartfony jak modlitewniki, zahipnotyzowani tym, co widzieli na ekranach. Prawie wszyscy ludzie w zasięgu mojego wzroku trzymali w ręce telefon i gorączkowo operowali kciukami. Dwaj młodzieńcy, którym najwyraźniej nie udało się odpowiednio wyćwiczyć kciuków, spali ze słuchawkami na uszach. Tylko jeden mężczyzna z laptopem i jakimś dokumentem zdawał się wykonywać odpłatną pracę.

Kwestia ta zainteresowała mnie dlatego, że rząd chce puścić na tej linii szybki pociąg HS2, żeby zdynamizować gospodarkę kraju. Idea jest taka, że jeżeli ludzie dojadą do Birmingham dwadzieścia minut wcześniej, więcej popracują, a te dodatkowe dwadzieścia minut łącznie przełożą się na wielkie góry funtów dla gospodarki. Skutek ten budzi we mnie pewne wątpliwości, ponieważ z moich doświadczeń wynika, że jeżeli dasz komuś dodatkowe dwadzieścia minut, to napije się kawy. Wy byście tak zrobili i ja też bym tak zrobił. Każdy tak robi, jak dostanie nadliczbowe dwadzieścia minut.

Przeciwnicy HS2 przekonują, że nie ma potrzeby dowozić ludzi do Birmingham szybciej, ponieważ mogą pracować w pociągu. Moi kumple z wagonu zademonstrowali jednak, że w pociągach ludzie nie pracują. Nie jestem zresztą pewien, czy gdziekolwiek pracują.

Niedługo przed tą podróżą moja żona i ja zamówiliśmy w sklepie przy Fulham Road w Londynie sofę i w pewną majową sobotę, pierwszy dzień długiego weekendu, przyjechaliśmy z Hampshire do Londynu, żeby sfinalizować transakcję. Po dotarciu na miejsce zobaczyliśmy pod sklepem trzy inne pary. Drzwi były zamknięte, a wewnątrz pogrążone w ciemnościach. Była dziesiąta, a z wywieszki wynikało, że w soboty mają czynne od dziewiątej trzydzieści. Po kolei zaglądaliśmy do środka przez szklane drzwi, tak jakby każdy z nas sądził, że zauważy coś, co inni przegapili. Nie było żadnej informacji, dlaczego sklep jest

nieczynny. Właściciele smartfonów uruchomili kciuki i poinformowali resztę towarzystwa, że na stronie internetowej sklepu również nie ma żadnego zawiadomienia. Jeden z klientów zadzwonił do sklepu i usłyszeliśmy wewnątrz dzwonek, ale oczywiście nikt nie odebrał, bo nie było komu. Mniej więcej po dwudziestu minutach wszyscy skapitulowaliśmy i rozeszliśmy się każdy w swoją stronę. Trzy dni później, z czystej ciekawości, zadzwoniłem do sklepu i poprosiłem o wyjaśnienie.

— A, tak — powiedziała młoda kobieta z arystokratycznym akcentem — mieliśmy zamknięte z powodu długiego weekendu.

— Dzień wolny był w poniedziałek, nie w sobotę.

— Zamknęliśmy na cały weekend.

— Nie wywiesiliście informacji w oknie ani nie zamieściliście na stronie internetowej. Kilka osób stało tam przez was jak głupki.

— No tak — odparła takim tonem, jakby to było interesujące, lecz nic niewnoszące spostrzeżenie; uświadomiłem sobie, że dziewczyna prawie na pewno lakieruje paznokcie albo czyta e-maile.

— Wie pani co, jest pani rozpieszczoną, bezmózgą pindą — powiedziałem.

A dokładniej pomyślałem, na głos zaś wyrecytowałem jakiś żalony lament w stylu brytyjskim i się rozłączyłem. W takich sytuacjach człowiek albo kapituluje, albo przenosi się do innego kraju.

Naprawdę nie rozumiem, jak Wielka Brytania to robi. Ma szóstą największą gospodarkę świata, ale nie bardzo widać, żeby cokolwiek produkowała. Whitbread nie warzy już piwa. Tate 2 Lyle nie rafinuje już cukru. Tylko pięć spośród największych brytyjskich firm produkuje cokolwiek na terenie Zjednoczonego Królestwa. Pozostało tak niewiele przedsiębiorstw przemysłowych, że „Financial Times” musiał usunąć słowo „przemysłowy” z indeksu Financial Times Industrial Average, swojego podstawowego miernika koniunktury. Kiedy byłem dzieckiem, Wielka Brytania produkowała jedną czwartą towarów świata (trzeba jednak uczciwie przyznać, że moje bycie dzieckiem miało z tym bardzo niewiele wspólnego); teraz odsetek ten wynosi dwa i dziewięć dziesiątych procent i maleje.



Dzisiaj Wielka Brytania robi silniki odrzutowe Rolls-Royce i wszystkie słiczki marmolady na świecie, ale to już chyba prawie wszystko.

Jak się wydaje, właścicielami ogromnej większości firm, które się ostały, są cudzoziemcy. Francuskie korporacje są właścicielami sklepów zabawkowych Hamley's, whisky Glenmorangie, telefonii komórkowej Orange, firmy farmaceutycznej Fisons i koncernu energetycznego EDF. E.ON i Npower należą do Niemców, a Scottish Power do Hiszpanów. United Biscuits, producent McVitie's Digestives, Jaffa Cakes i Hula Hoops, jest własnością PAI, francusko-amerykańskiego prywatnego funduszu inwestycyjnego, ale ostatnio chęć jego zakupu wyraziła firma chińska. Do cudzoziemców należy Jaguar, Blue Circle Cement, British Steel, Harrods, browar Bass, większość głównych lotnisk, kilka spośród najważniejszych zespołów piłkarskich oraz wydawnictwo, które opublikowało niniejszą książkę. Mniej niż połowa funkcjonujących na terenie Wielkiej Brytanii największych koncernów ma urodzonego w tym kraju prezesa.

Sosy HP i Daddies wytwarza się w Holandii, smarties w Niemczech, a rowery Raleigh w Danii. RBS, upadły bank szkocki będący własnością rządu brytyjskiego, w 2010 roku udzielił amerykańskiemu konglomeratowi spożywczemu Kraft kredytu na zakup Cadbury's, najbardziej znanego brytyjskiego producenta czekolady. Kraft obiecał, że nie zamknie fabryki Cadbury's koło Bristolu, ale była to ściema. Zaraz po podpisaniu umowy kredytowej Kraft zlikwidował fabrykę i wysłał maszyny do Polski.

Moim zdaniem takie rzeczy mają znaczenie. Kiedyś ludzie byli dumni z tego, co Wielka Brytania dawała światu, ale teraz nie mogą nawet być pewni, co ich kraj daje sobie samemu. Jeżeli sprzedasz się obcym, musisz zaakceptować fakt, że ludzie z innych krajów będą decydować o tym, jakie jesz herbatniki, gdzie mieszane są twoje sosy, czy twoje banki mają takie lokalnie znaczące nazwy jak „Britannia” bądź „Halifax” lub też zapożyczyły swoją nazwę od jakiegoś hiszpańskiego miasta, w którym nikt nigdy nie był, a bezrobocie wynosi tam czterdzieści procent.

A jednak Wielka Brytania rozkwita. To jest cud. Jak ona to robi? Nie mam

pojęcia. Na pewno nie dlatego, że ciężko pracuje w pociągach.

HS2 mnie fascynuje. Pomysł jest tak szalony, że trzeba odstąpić o krok do tyłu i obejść go całego, żeby go ogarnąć. Na początek weźmy koszty. Zaczęto bodajże od siedemnastu miliardów funtów, a kiedy ostatni raz dotarły do mnie informacje na ten temat, suma wzrosła do czterdziestu dwóch miliardów, ale teraz na pewno jest dużo wyższa, ponieważ koszty tych wielkich projektów zawsze pęcznieją szybciej, niż ktokolwiek potrafi wstukać liczby. W odniesieniu do wielkich projektów z całą pewnością można przewidzieć tylko to, że niczego nie da się z całą pewnością przewidzieć. Eurotunel kosztował dwa razy więcej i wozi dwa razy mniej pasażerów, niż przewidziano. HS1, starszy brat HS2, w 2006 roku miał przewieźć dwadzieścia pięć milionów pasażerów, jak z przekonaniem prognozowano, a tymczasem nigdy nie osiągnął nawet połowy tej liczby i ani razu nie słyszałem, żeby ktoś się chwalił zdynamizowaniem przez to połączenie gospodarki w Ashford czy Ebbsfleet.

Niezależnie od tego, jakie będą ostateczne koszty HS2, za wszystkie te dziesiątki miliardów bez wątpienia można by kupić mnóstwo rzeczy bardziej przydatnych dla społeczeństwa niż szybszy przejazd do Birmingham. Dochodzi do tego dewastacja krajobrazu. Linia kolei wysokich prędkości nie ma w sobie niczego uroczego. Jest to autostrada dla pociągów. Stanowiłaby trwałą, bardzo hałaśliwą, jaskrawo widoczną bliznę na znacznym obszarze klasycznego brytyjskiego krajobrazu, a wieloletni okres budowy ciężko by zaburzył życie setki tysięcy ludzi. Gdyby owocem tego przedsięwzięcia było coś naprawdę wspaniałego, to może taką cenę należałoby uznać za uzasadnioną, ale szybki pociąg do Birmingham nigdy nie będzie wspaniały, nigdy nie będzie niczym więcej, jak tylko szybkim pociągiem do Birmingham.

Zadziwiająca, ale nowa linia nie umożliwia dotarcia do większości miejsc, do których ludzie mieliby rozsądny powód pojechać. Pasażerowie z północy zmierzający do Heathrow będą musieli się przesiąść w Old Oak Common razem z bagażem i ostatnie dwadzieścia kilometrów pokonać inną linią. Dotarcie do

Gatwick będzie jeszcze trudniejsze. Żeby złapać pociąg do Europy, będą musieli wysiąść na Euston, a następnie pokonać kilometrowy odcinek dzielący ten dworzec od St Pancras. Padła propozycja, żeby zainstalować w tym celu ruchomy chodnik. Wyobrażacie sobie, że pokonujecie kilometr na ruchomym chodniku? Poszukajcie osoby, która wpadła na ten pomysł, a ja w tym czasie znajdę bat.

Teraz przedstawię moją koncepcję: czas podróży utrzymujemy na obecnym poziomie, ale podstawiamy tak wygodne i przyjemne pociągi, że ludzie nie będą chcieli, aby podróż się skończyła. Spędzony w pociągu czas poświęcą na oglądanie z okien wszystkich lśniących nowością szpitali, szkół i boisk sfinansowanych za zaoszczędzone miliardy funtów, a w ramach premii dostaną jeszcze starannie wypielegnowany krajobraz. I drugie rozwiązanie: na początku składu podstawić lokomotywę parową, wszystkie siedzenia wymienić na drewniane, a pracowników etatowych zastąpić wolontariuszami. Gwarantuję, że ludzie będą tłumnie ściągali z całego kraju, żeby się przewieźć.

W obu tych wariantach jeśli zostaną jakieś pieniądze, to być może część z nich należałoby przeznaczyć na zainstalowanie w pociągach toalet, których nie splukuje się bezpośrednio na tory, dzięki czemu siedząc na peronie w Cambridge czy Oksfordzie i smętnie konsumując kanapkę od WHSmith, nie będę musiał patrzeć, jak kosy walczą o poszarpane strzępy ludzkich odchodów i papieru toaletowego. Powiedzmy sobie szczerze — i bez tego zjedzenie kanapki od WHSmith jest trudnym zadaniem.

Ostatni raz byłem w Birmingham w 2008 roku, kiedy Kampania na rzecz Ochrony Wiejskiej Anglii zainicjowała akcję antyśmieciową pod hasłem „Stop the Drop” i wysłała mnie na konferencje wszystkich trzech głównych partii, żebym spróbował uzyskać poparcie polityków dla tego przedsięwzięcia. Przedziwne doświadczenie. Najpierw pojechałem do Bournemouth i rozmawiałem z niewielką grupą liberalnych demokratów — tak niewielką, że gdyby nasze spotkanie odbyło się w hotelowej windzie, zostałyby jeszcze miejsce na wózek z kanapkami, ale w 2008 roku liberalni demokraci nie mieli żadnego wpływu na brytyjską politykę (ludzie

zapominają, że jest to ich ustawienie fabryczne), toteż nie miało to większego znaczenia.

Udałem się do Manchesteru na śniadanie z posłami Partii Pracy, ale nikt się nie stawił — frekwencja dosłownie zero — można więc mówić o spektakularnej porażce, aczkolwiek załapaliśmy się na górę pączków, które mogliśmy zabrać do domu.

Zostali jeszcze konserwatyści w Birmingham. Zarezerwowali dla nas trochę czasu w programie samej konferencji, co wydawało się znacznie bardziej zachęcające. Miałem okazję zwrócić się nie tylko do partyjnych funkcjonariuszy, ale również do całego narodu za pośrednictwem telewizji, toteż naprawdę ciężko pracowałem nad swoim przemówieniem. W dniu wystąpienia poszedłem do centrum konferencyjnego w Birmingham, gdzie obficie mnie upacykowano i postawiono za kulisami. Kiedy prowadzący wywołał moje nazwisko i wyszedłem na scenę, powitały mnie najcichsze oklaski, jakie kiedykolwiek słyszałem w miejscu publicznym. Na sali siedziało około trzydziestu osób, przy czym sześć z nich ostentacyjnie spało, a reszta chyba nie żyła. Strasznie mnie kusilo, żeby powiedzieć: „Mam od razu zaczynać czy zaczekamy, aż przyjadą worki na zwłoki?”. Wygłosiłem swoje przemówienie i oddaliłem się bez zakłócania snu tym wszystkim, którzy nadal oddychali. Jak się później dowiedziałem, konferencje partyjne zawsze tak wyglądają. Sala się zapełnia tylko na czas przemówienia lidera.

Na dworzec wróciłem przez Victoria Square i New Street, od pewnego czasu zamknięte dla ruchu. Nie mogłem uwierzyć, jak bardzo się w mieście poprawiło. Pomyślałem sobie wtedy, że powinienem któregoś dnia wrócić i lepiej się mu przyjrzeć. I teraz nadszedł ten dzień.

Po moim pierwszym przyjeździe do Birmingham uznałem, że należy mu się pierwsze miejsce na liście celowo brzydkich miast. W moich rodzinnych stronach nie brakowało urbanistycznej szpetoty, która była jednak w większości niezamierzona. Tymczasem Birmingham wyglądało na specjalnie tak zbudowane, żeby porażało brzydotą, i podejrzenie to później się potwierdziło. Winowajcą był

sir Herbert Manzoni, inżynier miejski w latach 1935–1963, który uważał stare budynki za „bardziej sentymentalne niż cenne” i chciał zbudować zupełnie nowe Birmingham. To ten człowiek wypełnił miasto wewnętrznymi obwodnicami, zatechłymi i paskudnymi przejściami podziemnymi, zajmującymi pół dzielnicy węzłami komunikacyjnymi i brutalistycznymi wieżowcami — krótko mówiąc, to Manzoni sprawił, że Birmingham mogłoby się ubiegać o tytuł najszkaradniejszego miasta na świecie.

W Birmingham Museum & Art Gallery jest fascynująca sala poświęcona wizji Manzoniego. Można tam obejrzeć między innymi gigantyczną makietę proponowanej dzielnicy urzędowej utrzymanej w stylu, który można by nazwać „Canberra spotyka się z nazistowską Norymbergą”. Na ścianach koło makiety są pięknie wykonane wizjonerskie rysunki, na których miasto przecinają suto przybrane zielenią autostrady, a równoległe do nich biegną aleje z wysoką zabudową publiczną, do których przylegają kolejne obszary zielone. Miejscami wygląda to całkiem nieźle. Problem w tym, że większości tej wizji nie zrealizowano, a to, co zbudowano, szybko podupało. W ponad dwustu komunalnych wieżowcach stwierdzono poważne problemy konstrukcyjne i w okresie dwudziestu pięciu lat od ich powstania większość zburzono.

Manzoni zrównał z ziemią wiele spośród najlepszych budynków w Birmingham, lecz litościwie oszczędził Birmingham Museum & Art Gallery. Ta wspaniała instytucja nadal olśniewa salami pełnymi skarbów, między innymi jedną z najlepszych ekspozycji malarstwa prerafaelitów w całym kraju. Parę lat temu doszedł do tego tak zwany Staffordshire Hoard, anglosaskie łupy znalezione w 2009 roku kilka centymetrów pod powierzchnią ziemi na farmie koło Lichfield. Placówka ta dysponuje również najlepszym i najbardziej stylowym bufetem w całym wszechświecie. Spędziłem radosne parę godzin na buszowaniu po licznych salach, a potem położyłem po mieście, będąc pod ogromnym wrażeniem poprawy, która się tam dokonała.

Birmingham naprawdę poczynił wielkie postępy w przywracaniu się do stanu używalności, mam jednak obawy, że okres ten dobiega końca. Po mojej wizycie

miasto dopadła epoka oszczędności budżetowych i magistrat ogłosił potężne cięcia wydatków. W ramach tych planów dwie trzecie pracowników miejskich straci zatrudnienie. Otwarta w 2013 roku biblioteka, która kosztowała sto osiemdziesiąt dziewięć milionów funtów, musi się zadowolić zredukowanym o połowę personelem, a godziny otwarcia obcięto z siedemdziesięciu trzech do czterdziestu tygodniowo. W całym mieście zlikwidowane zostaną boiska piłkarskie i place zabaw. Obraz z kamer monitoringu nie będzie już śledzony przez całą dobę. Zamiast stawać się miastem coraz zieleńszym, czystszy i sympatyczniejszym, Birmingham będzie coraz bardziej zapyziałe, brudniejsze i mniej bezpieczne. To się nazywa wizja urbanistyczna.

Wszystkie te zabiegi mają na celu zaoszczędzenie trzystu trzydziestu ośmiu milionów funtów w ciągu czterech lat. Wydaje się, że jest to ogromna i niezbędna do życia suma, ale w rzeczywistości daje to jednego funta i czterdzieści pensów tygodniowo na mieszkańca. Ciekawe, co ci wszyscy farciarze z Birmingham zrobią z tym dodatkowym zastrzykiem finansowym. Być może wykorzystają tego jednego funta i czterdzieści pensów na umilanie sobie tych dwóch dodatkowych dwudziestu minut, które zaoszczędzą na podróżach koleją.

Dziękujemy ci, rządzie brytyjski, że nas wszystkich wzbogaciłeś.

## II

Pojechałem do Ironbridge, miasteczka w Shropshire tak dumnego ze swojego żelaznego mostu, że wzięło od niego swoją nazwę. Jest to zresztą piękna konstrukcja, a na dodatek pierwszy żelazny most na świecie — ba, pierwszy poważniejszy żelazny obiekt na świecie.

Most i przemysł hutniczy, który umożliwił jego powstanie, były dziełem trzech pokoleń mężczyzn, z których każdy nazywał się Abraham Darby. Pierwszy Abraham Darby był kwakerskim przedsiębiorcą, który około 1706 roku przyjechał do Coalbrookdale, jak wówczas nazywało się Ironbridge, z takim planem, że będzie produkował lepsze garnki kuchenne. Do wytapiania żelaza zamiast węgla

drzewnego zaczął używać koksu, który pali się w wyższej temperaturze i daje lepszy produkt. Jego syn i wnuk, Abrahamowie II i III, rozbudowali interes, postawili szereg wielkich pieców, wytwarzali gigantyczne ilości żeliwa i generalnie byli ojcami angielskiej rewolucji przemysłowej. Żelazny most zbudował Abraham III, chcąc pokazać, że dla jego firmy nie ma rzeczy niemożliwych. A zatem panowie Darby dali światu nie tylko epokę żelaza i stali, ale również marketing.

Do zaprojektowania mostu Abraham Darby III zatrudnił mieszkańca Ironbridge Thomasa Pritcharda, co mogło budzić zaskoczenie, ponieważ Pritchard nie był z wykształcenia inżynierem ani architektem, tylko cieślą, chociaż od pewnego czasu parł się również projektowaniem. W swoim portfolio miał parę kościołów, a nawet jeden most, aczkolwiek stosunkowo niewielki i drewniany. Nigdy wcześniej nie zbudował niczego większego z żeliwa, ale w tamtym czasie nie było na świecie nikogo, kto mógłby się tym pochwalić. Dokonany przez Abrahama Darby'ego III wybór okazał się natchniony, ponieważ zaprojektowany przez Pritcharda most należy do najwybitniejszych konstrukcji tamtej opoki. Jest elegancki i estetyczny, a jednocześnie w pełni funkcjonalny. Każdy element spełnia jakąś konstrukcyjną rolę, ale też bardzo przyjemnie się na niego patrzy. Jak się teraz przekonałem, od mostu nie sposób oderwać oczu. Podejrzewam, że mało kto potrafiłby oprzeć się pragnieniu obejrzenia go pod wszystkimi możliwymi kątami. Krótko mówiąc, most jest nieskończenie porywający. Biedny Pritchard nie miał okazji go zobaczyć. Na skutek jakiegoś nagłego, lecz nieodnotowanego w kronikach nieszczęścia zmarł dwa dni przed Bożym Narodzeniem w 1777 roku, zaledwie miesiąc po rozpoczęciu robót i prawie cztery lata przed oddaniem mostu do użytku. Miał pięćdziesiąt cztery lata.

Ironbridge to niespodziewanie zaciszne i ładne miasteczko na zboczu stromego, lesistego wąwozu nad rzeką Severn. Dzisiaj istnieje prawie wyłącznie w celu zaspokajania potrzeb turystów, ale robi to w doskonałym stylu. Sklepy są ciekawe i urodziwe, kawiarnie i pensjonaty też robią bardzo dobre wrażenie. Wypiłem pyszną kawę (z gratisowym ciasteczkiem, co zawsze umiem docenić), a potem łaziłem koło sklepów i zajrzałem w kilka witryn. Zapewne kupiłbym poduszeczkę

albo pled, gdyby nie fakt, że pani Bryson ma już całkiem spore kolekcje tych przedmiotów. Zdarzało mi się z zaskoczeniem odkryć w naszym domu, że jeżeli dostatecznie długo pogrzebiesz w stertach poduszek i koców, to na ogół znajdziesz pod spodem sofę albo łóżko. Na dole miasteczka był pub z tablicą informującą, że każdy może za darmo skorzystać z toalety — komunikat tak życzliwy, sympatyczny i wyjątkowy, że natychmiast umieściłem ten lokal na czele listy moich ulubionych pubów w Shropshire, Ironbridge zaś stało się moją ulubioną miejscowością.

Jakieś półtora kilometra w głąb wąwozu od mostu znajduje się miejsce, gdzie kiedyś buchały płomieniami piece Darbych — czyli gdzie zaczęła się rewolucja przemysłowa. Dzielnica ta, niegdyś permanentnie rozżarzone fabryczne piekło, dzisiaj jest skupiskiem podlegających ochronie budynków na czele z wielką ceglana hutą, w której urządzono muzeum. Wstęp kosztował dziewięć funtów i dwadzieścia pięć pensów, ale jak stwierdziłem ku swojej cichej satysfakcji, przysługiwał mi funt zniżki z tego tytułu, że jestem certyfikowanym staruszkiem. W jeszcze lepszy nastrój wprowadziło mnie odkrycie, że bilet uprawnia również do zwiedzenia „domów Darbych”, co wtedy nic mi jeszcze nie mówiło. Kontroler biletów zasugerował, że powinienem zacząć właśnie tam, ponieważ do muzeum przed chwilą wpuszczono trzy autokary młodzieży szkolnej, która przez następne dwadzieścia do trzydziestu minut będzie ganiała po całym obiekcie ścigana przez zestresowanych nauczycieli, a kiedy uda się ich wszystkich spędzić na specjalny ogrodzony teren, zjedzą przywieziony ze sobą suchy prowiant.

Podziękowałem mu za troskliwość i przespacerowałem się do oddalonych o kilkaset metrów domów Darbych. Okazało się, że są to dwa osiemnastowieczne budynki mieszkalne, z których rodzina Darbych mogła pilnować przez okna huty. Domy były przyjemnie umeblowane i dawały pewne wyobrażenie o tym, jak żyli ich pierwotni mieszkańcy, pomijając dym, sadzę i drgania ziemi, które uprzykrzały im życie w czasach funkcjonowania zakładu. Na stoliku w salonie leżała książka Arthura Raistricka zatytułowana *Kwaczy w nauce i przemyśle*, którą przez chwilę wertowałem i tak mnie wciągnęła, że usiadłem z nią na krześle i czytałem mniej



więcej przez pół godziny. Nie zdawałem sobie sprawy, że w czasach Darbych kwakrzy byli prześladowaną i poniżaną mniejszością. Ponieważ nie dopuszczano ich do polityki i pracy akademickiej, realizowali się w przemyśle i handlu, zwłaszcza — z nieznanego powodu — w bankowości i produkcji czekolady. Spośród kwaków wywodziły się bankowe rody Barclayów i Lloydów, a także czekoladowi magnaci Cadbury, Fry i Rowntree. Ponieważ Wielka Brytania paskudnie traktowała kwaków i wiele innych mniejszości, sprawiły one, że stała się bardziej dynamicznym i zamożnym krajem. Nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby być niemiłym dla kwakra, ale jeśli Wielka Brytania ma dzięki temu znowu stanąć na nogi, jestem gotów to rozważyć.

Między domami Darbych a muzeum stał tak zwany Stary Piec — w tym miejscu skrzęsano pierwszą iskrę rewolucji przemysłowej. Jeszcze w latach pięćdziesiątych ubiegłego stulecia mało kto pamiętał o znaczeniu zakładów Darbych. Stary Piec przykrywały nagromadzone przez dziesięciolecia warstwy gleby i gruzu, toteż trzeba go było odkopać jak starorzyską willę. Dzisiaj wygląda to zupełnie inaczej. Elegancka, przeszklona z przodu konstrukcja chroni piec przed żywiołami. W środku przewodnik oprowadzał kilkunastoosobową grupę. Piec hutniczy, który jak dla mnie niczym się nie wyróżniał, zyskał rangę bezcennego zabytku. Uważnie przysłuchiwałem się słowom przewodnika — oczywiście udając, że tak naprawdę moje zainteresowanie budzi obłuzowane gniazdko tuż koło niego — ale okazały się zbyt techniczne jak na mój rozum.

Uświadomiwszy sobie, że muszę pogłębić swoją wiedzę, jeżeli pragnę zrozumieć hutnictwo, udałem się do właściwego muzeum i poznałem całą masę faktów na temat mokrego pudlingowania, suchego pudlingowania, wytapiania i procesu Bessemera, które wpadały mi do głowy i natychmiast z niej wyskakiwały, ale chociaż niczego się nie nauczyłem, poczułem się dziwnie oczyszczony. W muzeum wystawiano również dużą kolekcję przedmiotów z żeliwa — krzesła jadalnianych, mebli ogrodowych, dekoracyjnej stolików, piecyków, sprzętów kuchennych, a nawet waz stołowych. Ekspozycja zawierała wiele pięknych eksponatów.

Nacieszywszy tym wszystkim oczy, poszedłem do ubikacji poćwiczyć mokre pudlingowanie, a potem pomaszerowałem na przystanek i czekałem, aż autobus zabierze mnie z powrotem do XXI wieku.

## Jakie to orzeźwiająca!

### I

**N**a temat Skegness wszyscy wiedzą jedno, a mianowicie, że jest orzeźwiająca. U korzeni tego przekonania leży plakat z 1908 roku autorstwa ilustratora Johna Hassalla: radosny i barczysty rybak pomyka po plaży nad podpisem „Skegness jest TAKIE orzeźwiająca”. Znakomita ilustracja, która przeszła do historii pod nazwą „Wesoły Rybak”, ale mnie szczególnie zafrapował fakt, że nie ma tam żadnej wzmianki o słońcu, figlujących pływakach, przejażdżkach na ośle, leżakach ani innych tradycyjnych nadmorskich rozrywkach. Mężczyzna jest ubrany przeciwdeszczowo i zupełnie sam, a przecież jego obraz plus cztery proste słowa rozślawiały Skegness — do tego stopnia, że setki tysięcy ludzi się tam wybrały. Hassall dostał za swoją pracę dwanaście gwinei. Oryginał wisi w ratuszu. Bardzo chciałem go zobaczyć, ale budynek był zamknięty, ponieważ przyjechałem do Skegness w weekend.

Był to najbardziej deszczowy weekend tego lata. Po drodze samochodem z Hampshire rozchlapywałem kałuże, opony chlupotały, a wycieraczki wahały się tak monotonnie, że wariowałem z nudy i w końcu zacząłem fantazjować o tym, że spróbuję przeskoczyć rów i wyląduję na czterech kołach na polu ziemniaków. Najgorsze, co mogło mnie spotkać, to śmierć, a to nie wydawało mi się takie złe w zestawieniu z dalszą jazdą do Skegness. Lincolnshire leży daleko od czegokolwiek, a samo Skegness uciekło na sam koniec hrabstwa.

W końcu dotarłem na miejsce, zameldowałem się w pensjonacie, zostawiłem bagaże i ruszyłem w miasto. Kiedy już się dobrze rozejrzałem, skulony przed

bębniącym deszczem, stwierdziłem, że wszystko, co mi tam nie odpowiada, dałoby się naprawić, gdyby przenieść Skegness tysiąc trzysta kilometrów na południe. Była to najbardziej tradycyjna angielska nadmorska miejscowość wypoczynkowa, jaką w życiu widziałem — mnóstwo jasnych neonów i hałaśliwych podcieni sklepowych plus przyprawiający o mdłości zapach waty cukrowej, którego nie potrafił poskromić nawet ulewny deszcz. Na nabrzeżu królowała urodziwa wieża zegarowa koło estetycznego parku o nazwie Tower Gardens. Ludzie stali w bramach albo pod markizami. Nieliczni jedli rybę z frytkami, ale większość po prostu stała i gapiła się na smętny, mokry świat. Nie dostrzegałem w tym niczego orzeźwiającego.

Główną ulicę, Lumley Road, przemierzyłem z góry na dół. Na jednym końcu znajdował się staroświecki sklep Allison's, handlujący ubraniami z gatunku tych, które nosili nasi dziadkowie, ale tylko frajer by się skusił, skoro w prowadzonych przez fundacje dobroczynne sklepach z używaną odzieżą można było kupić oryginały. Jeszcze dalej był pub Stumble Inn<sup>5</sup>, przed którym stał mężczyzna sprawiający takie wrażenie, jakby przez ostatnie dwadzieścia pięć lat niczym innym się nie zajmował. Prócz tego na centrum Skegness składało się kilka ulic z typową mieszanką sklepów „wszystko za funta”, biur telefonii komórkowej, zakładów bukmacherskich i kawiarni. Przy bocznej ulicy Roman Bank placówka o nazwie Hydro Health and Beauty reklamowała imponujący asortyment terapii, z których większość wydawała mi się niezbyt lecznicza albo wręcz nielegalna: złuszczenie glikolowe, usuwanie żyłek, zastrzyki botoksu, wypełniacze skórne, hydroterapia okrężnicy. Jak widać, Skegness oferuje pełen zakres usług. Może jestem za bardzo wybredny, ale jeśli kiedyś uznam, że moja okrężnica wymaga przepłukania, na pewno nie zwrócę się z tym do kosmetyczki w Skegness. Jednak, podobnie jak w wielu innych obszarach życia, najwyraźniej jestem tutaj w mniejszości, ponieważ w odróżnieniu od wielu sąsiadów spa miało bardzo liczną klientelę.

Na tym w gruncie rzeczy kończyło się centrum Skegness. Po zakończeniu wstępnego rekonesansu skierowałem się wzdłuż brzegu na północ i poszedłem za

drogowskazem do obozu wakacyjnego Butlina — po cichu tęskniłem za odwiedzeniem tego miejsca od mojego pierwszego lata spędzonego w Anglii milion lat temu. Wiązało się to z kilkoma dużymi pudłami czasopisma „Woman’s Own”.

Kiedy zacząłem pracować w Holloway Sanatorium, szpitalu psychiatrycznym w Virginia Waters (wiadomo to z *Zapisków z małej wyspy*), skierowano mnie na Oddział im. Tuke’a na poddaszu głównego budynku. Rozciągał się stamtąd widok na boisko do krykieta, o którym wcześniej wspomniałem. Pacjenci na oddziale byli sympatyczni i sterowalni, a swój obłęd uprawiali z niemałym animuszem. Funkcjonowali w stanie permanentnej farmakologicznej błogości, dzięki czemu prawie nie wymagali nadzoru. Sami się ubierali, na ogół w to, co trzeba, byli uprzejmi i posłuszni i nigdy się nie spóźniali na posiłki. Sami ścielili sobie łóżka, z różnym skutkiem.

Każdego dnia po śniadaniu przełożony pielęgniarek pan Jolly przewalał się przez oddział jak północny wiatr, zrywając pensjonariuszy z krzeseł i muszli klozetowych, żeby ich odkomenderować do pielęgnacji ogrodu albo na kilka godzin lekkiej terapii zajęciowej. Sam gdzieś przepadał aż do podwieczorku. „Niech pan nikogo nie wpuszcza, chyba że co najmniej na noszach”, rozkazywał mi na odchodnym i przez następne sześć czy siedem godzin miałem wszystko pod swoją pieczę.

Nigdy wcześniej nie powierzono mi pieczy nad czymkolwiek w dorosłym świecie i traktowałem tę odpowiedzialność poważnie. Przez pierwsze przedpołudnie maszerowałem po oddziale jak kapitan Bligh przeprowadzający inspekcję pokładu „Bounty”. Powoli mi jednak zaświtało, że piecza nad czterdziestoma pustymi łóżkami i wspólną łazienką nie wiąże się ze zbyt wielkim prestiżem ani satysfakcją, zacząłem więc rozglądać się za rozrywkami. Oddział nieszczególnie w nie obfitował. W świetlicy było trochę gier i puzzli, ale gry wymagały drugiego zawodnika, a puzzle były albo wymieszane, albo rażąco zdekompletowane. W licznych komórkach znalazłem tylko detergenty, drabinę i sztuczną choinkę pozbawioną kilku gałęzi. Potem jednak, w głębi jednej

z komórek, natrafiłem na pięć albo sześć pudeł „Woman’s Own”, tygodnika oferującego optymistyczne porady i pouczenia dla gospodyni domowej. Kolekcja zawierała prawie wszystkie egzemplarze od 1950 roku do tamtej chwili. Pojedynczo przeciągnąłem wszystkie pudła do dyżurki.

Tak zaczęła się moja edukacja z życia i kultury Wielkiej Brytanii. Przez resztę tego długiego, spokojnego późnego lata i wczesnej jesieni siedziałem za biurkiem pana Jolly’ego ze stopami opartymi o wysuniętą szufladę i od czasu do czasu sięgałem do pudła z „Woman’s Own”, jak do bombonierki, po kolejne porcje wiedzy o brytyjskich zwyczajach. Każde słowo czytałem z zainteresowaniem i pożytkiem. Poznałem życiorysy Hattie Jacques, Adama Faitha, Douglasa Badera, Tommy’ego Steele’a, Almy Cogan i wielu innych ludzi, o których nigdy wcześniej nie słyszałem. Dowiedziałem się o łzach ukrytych za uśmiechami księżniczki Małgorzaty, a także o tym, że wszyscy będziemy musieli wziąć się w garść i dojść do ładu z rozstrajającym dziesiętnym systemem walutowym, który niedawno został wprowadzony. Dowiedziałem się, że z cheddara można zrobić ekscytujący przysmak, jeżeli pokroić go w kostkę i powtykać weń wykałaczki. (Z kolejnych wydań czasopisma wynikało, że prawie każdy artykuł spożywczy można uczynić ekscytującym, jeśli naszpikuje się go wykałaczkami). Dowiedziałem się, jak własnoręcznie uszyć sobie kostium kąpielowy i zbudować ogrodowy staw. Dowiedziałem się, że nie istnieje jadalna substancja, której Brytyjczycy by nie wkładali do pieczonego ziemniaka. Dowiedziałem się, że można podbić cały świat i przywieźć do domu tylko jeden dressing do sałatek.

Wszystko było dla mnie nowe, każda kolejna strona zawierała jakieś objawienie. Oto samochód z trzema kołami. Co za niezwykła rzecz! Co za cudownie poroniony pomysł! Oto miasto, w którym ludzie raz do roku gonią za serem staczającym się ze wzgórza. W sumie czemu nie? Oto coś, co nazywa się *blancmange* i można to jeść na deser, oto rozrywka o nazwie *morris dance*, oto napój, który nazywa się woda jęczmienna. Przez to jedno lato dowiedziałem się więcej niż przez wszystkie wcześniejsze lata razem wzięte.

I właśnie pławiąc się w tym bezkresnym morzu fascynacji, po raz pierwszy

napotkałem takie zjawiska, jak Skegness, Billy Butlin i kariera brytyjskiego obozu wakacyjnego. Butlin wychowywał się w Kanadzie, ale będąc młodym człowiekiem, przyjechał do Wielkiej Brytanii i zbił fortunę jako europejski dealer samochodów Dodgem. Podczas pracy w tej branży poznał Harry'ego Warnera, emerytowanego kapitana armii i właściciela wesołego miasteczka i restauracji na wyspie Hayling koło wybrzeża Hampshire (niedaleko Bognor Regis). W 1928 roku Butlin przejął kierowanie wesołym miasteczkiem, a potem wpadł na pomysł z kolonią letnią — gigantycznym kompleksem, w którym ludzie mogliby spędzić tydzień nad morzem za rozsądną cenę obejmującą wyżywienie. W 1936 roku, na dawnym polu rzepy tuż pod Skegness, otworzył pierwszy Butlin's Holiday Camp, który składał się z sześciuset maleńkich domków i od początku cieszył się wielkim powodzeniem. Butlin zaczął budować kolonie letnie w całym kraju, a potem w jego ślady poszły organizacje kościelne, kluby młodzieżowe i związki zawodowe. Brytyjski Związek Faszystów miał dwie kolonie letnie. Kilka obozów stworzył były wspólnik Butlina, kapitan Warner, a także przedsiębiorca Fred Pontin.

Nie potrafię wyrazić, jak bardzo mnie to zafascynowało. Nie mieściło mi się w głowie, że ludzie płacą za pobyt w czymś takim. Kolonistów budził głos z głośnika, którego nie mogli wyłączyć ani ściszyć, wzywano ich na posiłki w wielkich stołówkach, zaganiano do różnych poniżających codziennych konkursów, a po jedenastej wieczorem nie wolno im było opuszczać domków. Butlin wymyślił wakacje oparte na modelu obozu jenieckiego, ale ponieważ zaproponował to akurat Brytyjczykom, byli zachwyceni.

Trzeba przyznać, że w mikroskopijnych domkach był dywan, światło elektryczne, bieżąca woda i obsługa hotelowa. Większość klientów nie zaznała wcześniej takich luksusów, a wielu nie miało ich nawet we własnych domach. Na czterech obozowiczów przypadała jedna łazienka na zewnątrz. Za trzy funty tygodniowo klienci dostawali trzy posiłki dziennie, wieczorne rozrywki (od zabaw tanecznych po inscenizacje Szekspira) i takie zajęcia jak pływanie, łucznictwo, kręgle i jazda na kucykach. Brzmiało to przyjemnie, ale mimo wszystko dalej nie rozumiałem, dlaczego ludziom tak bardzo się to podobało, dopóki nie przeczytałem

tuż przed obecną podróżą książki *Holiday Camps in Twentieth-Century Britain* Sandry Trudgen Dawson, historyka z Uniwersytetu Północnego Illinois, z której się dowiedziałem, że tak naprawdę chodziło o seks. „Wiele kelnerek — pisze Dawson — było prostytutkami” — nadaje to nowe znaczenie hasłu reklamowemu „Butlin’s — zastaniesz tam takich ludzi, jakich najbardziej chciałbyś poznać”. Nie mniej rozbuchany był seks nieodpłatny. Pracownicy posuwali innych pracowników i tylu gości, ilu zdołali. W niektórych obozach, donosi Dawson, pracownicy płci męskiej mieli tajny system punktacji: pięć punktów za przespanie się z klientką, dziesięć za zwyciężczynię konkursu piękności, piętnaście za żonę kierownika obozu. Grupy nastolatków przyjeżdżały wyłącznie ze względu na perspektywę seksu z innymi nastolatkami bez przyzwoitki.

Złotą epoką kolonii letnich były lata powojenne. Obóz Butlina w Skegness miał swoją kolejkę jednoszynową i małe lotnisko. Na początku lat sześćdziesiątych na kolonie letnie wyjeżdżało dwa i pół miliona ludzi. Normalne hotele i pensjonaty nad morzem patrzyły bezradnie, jak spadają im obroty. W ramach nieco desperackiej próby konkurowania z obozami hotelarz J.E. Cracknell wymyślił „Sel-Tels”, skrót do hoteli samoobsługowych, w których nie byłoby personelu, ale goście mogliby swobodnie korzystać ze wszystkich udogodnień, tyle że sami musieliby zadbać o zaopatrzenie. Mama ugotowałaby kolację w hotelowej kuchni, zaniósłaby jedzenie czekającej w jadalni rodzinie, a potem pozmywała naczynia, co nie wiązałoby się z żadnymi dodatkowymi kosztami. Pomysł nie chwycił, czemu trudno się dziwić. Nie chwyciły też inne zabiegi niezależnych hotelarzy.

Wszystko wskazywało na to, że zjawisko kolonii letnich przetrwa do końca świata, ale w momencie jego największego rozkwitu wszystko zaczęło się sypać. Nadejście tanich pakietów wczasowych oznaczało, że za plażowanie w śródziemnomorskim słońcu płacono się mniej niż za dygotanie przez tydzień u Butlina. Ludzi starszych i rodziny z dziećmi zaczęła odstraszać nastoletnia klientela, ponieważ przejawiała skłonność do bójek i obfitych wymiotów. Postawione przed koniecznością cięcia kosztów, obozy wakacyjne oszczędzały na konserwacji i stawały się coraz bardziej zapyziałe. W pewnym obozie na wyspie



Wight — trzeba uczciwie przyznać, że nienależącym do Butlina — warunki były tak fatalne, że czterystu wakacjuszy zbuntowało się i odmówiło zapłaty. Degrengolada dotyczyła jednak wszystkich obozów. Wiele lat temu, kiedy ja wyjechałem za granicę w związku z moją pracą, żona zabrała dzieci do obozu Butlina w walijskim Pwllheli. Zarezerwowali cztery noce, ale po południu drugiego dnia dzieci błagały, żeby je zabrać gdzieś, gdzie pościel nie będzie się lepiała, a one same nie będą napadane w celach słodyczowo-rabunkowych przez zdziczałą młodzież koło zjeżdżalni. Jedno z moich dzieci powiedziało mi później z ręką na sercu, że kiedy wstrzymało się oddech, siedząc w klozecie, można było usłyszeć, jak pleśń się rozmnaża.

W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych trzy największe firmy obsługujące obozy wakacyjne, Butlina, Warnera i Pontina, sprzedano spółkom Rank Organisation, Scottish and Newcastle Breweries, Coral Leisure i Grand Metropolitan Hotels, które weszły w ten biznes w naiwnym przekonaniu, że są w stanie odwrócić negatywne trendy. Wszystkie się pomyliły. Większość obozów zamknięto. Kiedy już się wydawało, że wszystkie kolonie są skazane na zagładę, firma rodzinna Bourne Leisure wykupiła, odświeżyła i zmodernizowała trzy obozy — Skegness, Bognor Regis i Minehead — i jak na razie sobie nie krzywdzi.

Czytałem, że w Skegness zachowali jeden z pierwotnych domków z 1936 roku, żeby ludzie mogli docenić, jak bardzo kolonie się zmieniły, i zależało mi na tym, żeby go zobaczyć. Ruszyłem po nasiąkniętym gruncie w stronę Butlin's i pokonałem całkiem spory dystans, ale nie napotkałem niczego oprócz deszczu i wydmowych rozłogów. Zatrzymałem młodego rowerzystę i zapytałem, jak daleko jeszcze do Butlin's. „Kilometry”, powiedział i pojechał dalej. Jak się okazuje, obóz wakacyjny Butlina w Skegness nie znajduje się w Skegness tylko w Ingoldmells, ponad sześć kilometrów dalej przy A52. Zaglądnąłem w półmrok przez okulary, które przypominały okna w saunie, i postanowiłem, że spróbuję jeszcze raz następnego dnia rano.

Przemoczony do nitki wróciłem do pokoju, żeby się wysuszyć i przebrać. Z ciekawości sprawdziłem w internecie dane VisitEngland — Angielski

Zarząd Turystyczny tak się ostatnio przemianował w ewidentnym przekonaniu, że jeżeli zlejesz ze sobą w nazwie dwa słowa, wyjdiesz na hipsterskiego i nowoczesnego, a nie trochę zdesperowanego i wymagającego zmiany kierownictwa — które wprowadziły mnie w osłupienie. Jak się okazuje, do Skegness przyjeżdża pięćset trzydzieści siedem tysięcy turystów rocznie, skutkiem czego jest to dziewiąta najczęściej odwiedzana miejscowość w Wielkiej Brytanii, a wśród letnisk nadmorskich trzecia, po Scarborough i Blackpool. Wizytujący Skegness wydają więcej pieniędzy niż ludzie przyjeżdżający do Bath, Birmingham czy Newcastle upon Tyne. Kto wie, może przyjeżdżają na hydroterapię okężnicy.

Kiedy upłynęło już dostatecznie dużo czasu, aby można było z czystym sumieniem ogłosić nadejście wieczoru, udałem się do dużego, zatłoczonego, bezpłatnego pubu na jedno piwo przed kolacją, którą zjadłem w spokojnej restauracji indyjskiej Gandhi. Jedzenie było w porządku, ale nie znajdowało zbyt wielu amatorów. Nie mając ochoty wracać do samotności pokoju hotelowego, nie spieszyłem się z konsumpcją jalfrezi i wypilem o jedną za dużo gigantyczną butelkę piwa Cobra, uprawiając się w refleksyjny, ale dobry nastrój. Przy drzwiach spędziłem całkiem sporo czasu na bezskutecznych próbach wtargnięcia do prawego rękawa kurtki, aż w końcu jakiś młody pracownik restauracji przybył mi na odsiecz.

— Dziękuję panu — powiedziałem, następnie podzieliłem się z nim koncepcją uatrakcyjnienia lokalu, która właśnie na mnie spłynęła. — Powinniście to przerobić na restaurację tematyczną o Elvisie, „Love Me Tandoor”.

Zostawiłem go z tym pomysłem i trochę niepewnym krokiem zagłębiłem się w noc.

## II

Następnego dnia rano pojechałem do Ingoldmells i znalazłem obóz Butlina, z czym nie miałem większych trudności, był to bowiem gigantyczny kompleks, który przypominał obóz jeniecki. Okalało go groźne, ostro zwieńczone ogrodzenie, które

ewidentnie służyło bardziej do tego, żeby nie wypuszczać ludzi na zewnątrz, niż nie wpuszczać ich do środka. Wejścia strzegły szlaban i budka strażnika. Powiedziałem ochroniarzowi, że chcę tylko rzucić okiem na pierwotny domek, ale ze szczerym żalem mnie poinformował, że nie może mnie wpuścić. Musiałbym kupić bilet dzienny, ale kasę otwierali dopiero za dwie godziny, a bilet kosztował dwadzieścia funtów. Doszliśmy do zgodnego wniosku, że to kupa pieniędzy za możliwość obejrzenia osiemdziesięcioczeroletniego domku, i po tej konstatacji powiedzieliśmy sobie do widzenia.

Przyznaję bez bicia, że już wcześniej zastanawiałem się nad rezerwacją pobytu w obozie wakacyjnym, ale obraz samotnego mężczyzny, który kręci się po kolonii Butlina i przypatruje ludziom, nawet mi wydawał się trochę zboczony. Co by było, gdyby ktoś mnie pod tym kątem zaczepił albo jeszcze gorzej — rozpoznał? Co by było, gdyby banda zdziczałej młodzieży napadła na mnie w celach rabunkowych? Nie chciałem nawet myśleć o konsekwencjach. („Bryson zatrzymany, widziano go, jak koło zjeżdżalni dawał dzieciom słodycze”). Rozczarowany zawróciłem i pojechałem na północ do Grimsby.

Na początku XX wieku Grimsby było największym portem rybackim na świecie. Nie w Wielkiej Brytanii, nie w północnej Europie, ale na świecie. Widziałem zdjęcia wyższych od człowieka stosów molwy — dużej dorszowatej ryby, od której kiedyś się roiło w brytyjskich wodach — na nabrzeżu w Grimsby. Każda ryba miała około dwóch metrów. Żaden z żyjących dzisiaj rybaków nie widział takiej dużej molwy. W 1950 roku flota rybacka z Grimsby złowiła tysiąc sto ton molwy. Dzisiaj roczny połów wynosi osiem ton. A przecież molwa to tylko jedna z wielu ryb, na które zarzucano sieci. Dorsz, halibut, łupacz, manta, zębacz i inne gatunki, o których większość z nas nie słyszała, leżały na nabrzeżu w zdumiewających, ale niemożliwych do utrzymania ilościach. W ciągu jednego pokolenia włóki trawlerów ogołociły dno Morza Północnego, zamieniając je w podmorską pustynię. W 1950 roku kutry z Grimsby dostarczyły na brzeg sto tysięcy ton dorsza, a dzisiaj ledwo dobijają do trzystu ton. Łączny połów spadł z prawie dwustu tysięcy do zaledwie sześciuset pięćdziesięciu ośmiu ton rocznie — a według oceanografa

Calluma Roberta z Uniwersytetu w Yorku wyjałowione Morze Północne nie jest w stanie wyżywić nawet tak mizernych ilości ryb. W swojej fascynującej książce zatytułowanej *Ocean of Life* Roberts pisze, że ministerstwa rybołówstwa w Europie każdego roku uzgadniają kwoty połowów przeciętnie o jedną trzecią większe od zalecanych przez naukowców.

Ale w porównaniu z resztą świata o Europie można powiedzieć, że niesie kaganek oświaty. Pośród wielu zdumiewających i przygnębiających faktów Roberts przytacza między innymi listę wszystkich morskich stworzeń przypadkowo zabitych przez kuter rybacki na Oceanie Spokojnym przy okazji zgodnego z prawem połowu zaledwie dwieście jedenaście sztuk mahi-mahi, czyli dorady. Pośród zaplątanych w sieci martwych stworzeń, które wyrzucono za burtę, były:

488 żółwi,

455 płaszczek i mobuli,

460 rekinów,

68 żaglicowatych,

34 makairy,

32 tuńczyki,

11 solandrów,

8 mieczników,

4 samogłowy.

Taka metoda połowu była zgodna ze wszystkimi międzynarodowymi protokołami. Haczyki na włókach miały certyfikaty potwierdzające, że są „przyjazne dla żółwi”. Cała rzecz służyła temu, żeby dwieście jedenaście osób mogło zjeść na kolację mahi-mahi.

Grimsby całkowicie rozminęło się z moimi oczekiwaniami. Wyobrażałem sobie zwarte miasteczko z siecią wąskich uliczek wokół otoczonego falochronem portu, coś na kształt kornwalijskiej wioski rybackiej, tylko na nieco większą skalę. Tymczasem port w Grimsby był ogromny i mocno oddalony od samego miasta. Centrum nie było zwarte, urokliwe i małomiasteczkowe, tylko po wielkomięjsku

zapyziałe, z ruchliwymi ulicami, przez które niebezpiecznie się przechodziło. Między centrum a portem ciągnęła się pozbawiona duszy strefa pudełkowatych marketów, które nie miały zbyt wielu klientów. Na drucianym ogrodzeniu wokół marketu budowlanego Homebase wisiał utrzymany w dziwnie radosnej stylistyce transparent z informacją, że sklep niedługo zostanie zamknięty. Kilka innych zlikwidowanych zakładów okalały pasy sięgających co najmniej po kostki odpadków. Trawnik przed posterunkiem policji był zaśmiecony puszkami po piwie i innym paskudztwem. Co to za miejscowość, w której ludzie mogą bezkarnie wyrzucać śmieci na trawnik posterunku policji? Co to za policja, która nie sprząta własnego terenu?

Udało mi się dostrzec parę rodziników w tym zakalcu. W John Pettit and Sons, staroświeckiej masarni przy Bethlehem Street (czynnej od 1892 roku, jak informował szyld), tłoczno było od miejscowej klienteli, co mnie niezmiernie ucieszyło — życzę im sukcesów. Ujął mnie również zakład fryzjerski, który nazywał się Curl Up and Dye<sup>6</sup>. To jednak w gruncie rzeczy wyczerpuje zbiór wszystkich jaśniejszych punktów w Grimsby.

Nad pudełkowatymi marketami dominował wielki ceglany budynek dawnego młyna, Victoria Mills. Coś fantastycznego. Gdyby go przenieść do Battersea, byłby pełen luksusowych loftów, a tutaj powoli popadał w ruinę. Dach porastały różne zielska. Jak się później dowiedziałem, połowę budynku rzeczywiście przekształcono na mieszkania — i to ekskluzywne — ale właścicielem drugiej połowy była firma, która uporczywie nie wywiązywała się ze swoich zobowiązań konserwatorskich. Jak podał „Grimsby Telegraph”, w czerwcu 2013 roku miejscowy sąd wymierzył jej za to grzywnę w wysokości pięciu tysięcy funtów. Przedstawiciele spółki nie stawili się na rozprawie. Z okna na ósmym piętrze wyrastał spory krzak. Z całą pewnością nie wyglądało to na budynek, o który ktoś z miłością dba.

W pobliżu, na nabrzeżu szerokiej rzeki Freshney, stał duży, całkiem estetyczny budynek, w którym mieścił się Ośrodek Dziedzictwa Rybackiego, czyli muzeum, które dotyczyło nie tylko rybołówstwa i było bardzo ciekawe. Na parterze

odtworzono wnętrza lokalnego pubu i baru rybnego z lat dwudziestych i trzydziestych. Ze szczególnym zainteresowaniem odnotowałem informację, że mieszkańcy Grimsby przychodzili do baru z własnymi rybami, które smażono im za pensa od sztuki. Najlepsza była ekspozycja przedstawiająca wnętrze kambuza statku podczas sztormowej pogody. Makietę ustawiono ukośnie, toteż wszystko zastygło w przechylonej pozie. Ośrodek spełniał wszelkie cechy dobrego muzeum — ciekawe, urządzone z wyobraźnią, niezwykle wciągające, bogate w użyteczną wiedzę.

Nie brakowało też oczywiście ciekawostek o rybach — na przykład, że jeden turbot potrafi wyprodukować czternaście milionów jaj. Zdaję sobie sprawę, że poza kontekstem nie brzmi to nadmiernie fascynująco, ale czytałem tę tablicę jednocześnie z dwoma innymi zwiedzającymi i chóralnie wydaliśmy z siebie nieco afektowane, ale szczere „Ooo”, jak Kenneth Williams w filmie z cyklu *Carry On*. Wszystkie opisy były przemyślane, inteligentne i wolne od błędów ortograficznych czy interpunkcyjnych. Ktoś powinien tam przywieźć personel Muzeum Historii Naturalnej w Londynie, a potem zostawić i sprowadzić na jego miejsce ludzi z Grimsby.

W sklepie z pamiątkami długo wertowałem fascynującą książkę zatytułowaną *Grimsby: historia największego portu rybackiego świata*, przedstawiającą wzrost i tragiczny upadek tej niegdyś wspaniałej miejscowości. Jak się dowiedziałem, Grimsby w większości samo sprowadziło na siebie problemy. Podczas gdy rybacy ogołacali morze z prawie wszystkiego, co w nim pływało albo spoczywało na piaszczystym dnie, władze miejskie wyburzały prawie wszystkie najpiękniejsze zabytki i pomniki Grimsby. Zniknął cmentarz Doughty Park, wszystkie kina, teatry i dobre hotele, a także wiele spośród najładniejszych kamienic. Dziewiętnastowieczną giełdę zbożową, która przypominała prototyp rakiety kosmicznej, najpierw przekształcono w toaletę publiczną — jakby w ramach wstępnego upokorzenia — a potem zburzono. Można było odnieść wrażenie, że Grimsby usiłuje zatrzeć wszelkie ślady swojej dawnej świetności. Trzeba przyznać, że operacja ta zakończyła się powodzeniem. Można powiedzieć, że Grimsby

zasługuje na swój dzisiejszy los.

Z tą niezbyt apetyczną pożywką dla myśli wróciłem do samochodu i pojechałem w znacznie przyjemniejsze miejsce: gdzie indziej.

---

<sup>5</sup> *Stumble* (ang.) — „potykać się”.

<sup>6</sup> Gra słów: „zrób sobie loki i farbowanie” albo „zwiń się w kłębek i umrzyj”.

## Peak District

### I

W dzieciństwie często chodziłem w niedzielne popołudnia do kina Ingersoll, jakieś półtora kilometra od mojego domu w Des Moines. Było to kino z jedną z salą (multipleksy należały wtedy do rzadkości), więc oglądałem to, co akurat wyświetlali. Największe hity najwyraźniej tam nie docierały, pokazywano filmy, które przechodziły bez większego echa, często europejskie. Zdarzało się, że oprócz mnie było tylko paru widzów. W rezultacie obejrzałem — i w wielu przypadkach z czułością pamiętam — filmy, o których prawdopodobnie zapomniwały nawet występujące w nich gwiazdy: *Intrygantkę* z Seanem Connerym i Giną Lollobrigidą; przejmujące *Unman, Wittering and Zigo* z Davidem Hemmingsem; *Śmiech w ciemnościach* z Nicol Williamson i zmysłową Anną Kariną. Często sobie myślałem, że w naszym liceum przydałoby się kilka takich jak ona.

W wielu z tych filmów nie mniej od fabuły podobała mi się sceneria — pokryte sadzą budynki w Londynie, szalone korki w Rzymie, skąpane w słońcu wille na śródziemnomorskich *corniches*. Dotyczy to zwłaszcza toczącego się niespiesznie, ale błyskotliwego filmu *Dziewica i Cygan*, opartego na noweli D.H. Lawrence’a, z Joanną Shimkus i Franco Nero w rolach głównych. To rozmarzone dzieło zawierało wiele nastrojowych ujęć z wrzosowiskami w tle. W jednej ze scen kamera przesunęła się wzdłuż gigantycznej kamiennej tamy i zbiornika pośród niemego krajobrazu lesistych wzgórz i wrzosowisk. Zbudowana z wielkich kamiennych bloków zapora wyrastała jak góra z zielonej wody. Na każdym końcu



wieńczyła ją dekoracyjna baszta. Wyglądało to niezwykle malowniczo i nie mogłem zrozumieć, dlaczego tama nie jest znaną atrakcją turystyczną. Uwierzcie mi, w stanie Iowa na pewno by była. Po seansie wróciłem do domu i film natychmiast wypadł mi z pamięci.

Trzydzieści lat później, kiedy z moimi przyjaciółmi Andrew i Johnem chodziliśmy po Peak District, w miejscowości Howden Moor natrafiliśmy na lesiste zbocza i moje pole widzenia nagle wypełniła flankowana basztami zapora z tego filmu. Natychmiast ją rozpoznałem. Była trochę mniejsza, niż oczekiwałem, ale pod każdym innym względem po prostu wspaniała, równie majestatyczna i piękna, jak ją zapamiętałem. Zbiornik Derwent zbudowano na początku XX wieku, żeby dostarczał wodę do Sheffield, Derby, Chesterfield i innych starych miast przemysłowych w okolicy Peak District. Teraz, po latach zamieszkiwania w Wielkiej Brytanii, już rozumiem, dlaczego zapora nie zalicza się do grona znanych atrakcji turystycznych. Zjednoczone Królestwo jest tak napchane różnymi cudownościami — zamkami, pałacami, twierdzami na wzgórzach, kamiennymi kręgami, średniowiecznymi kościołami, wyciosanymi w zboczach gór gigantycznymi figurami i tym podobnymi — że wiele z tego ginie w tłumie. Zagęszczenie dziedzictwa narodowego w Wielkiej Brytanii nie przestaje mnie zadziwiać. Gdyby zapora Derwent znajdowała się w Iowa, trafiłaby na tablice rejestracyjne, w okolicy powstałby kemping i parking dla kamperów, a prawdopodobnie również centrum handlowe. Tutaj stoi anonimowa i zapomniana, dostarczając chwilowej rozkoszy dla oczu spacerowiczom.

Pozwolę sobie podać kilka liczb. W Wielkiej Brytanii jest czterysta pięćdziesiąt tysięcy zabytkowych budynków, dwadzieścia tysięcy zabytków starożytności, dwadzieścia sześć obiektów z Listy Światowego Dziedzictwa UNESCO, tysiąc sześćset dwadzieścia cztery parki i ogrody o znaczeniu historycznym, sześćset tysięcy stanowisk archeologicznych (każdego dnia znajdowane są kolejne, a inne rujnowane), trzy i pół tysiąca zabytkowych cmentarzy, siedemdziesiąt tysięcy pomników wojennych, cztery tysiące obiektów o szczególnym znaczeniu naukowym, piętnaście i pół tysiąca średniowiecznych kościołów i dwa i pół tysiąca

muzeów ze stu siedemdziesięcioma milionami eksponatów. Kiedy ma się tak ogromną skarbnicę, wielu rzeczy szokująco się nie docenia, ale jest również bardziej pozytywny skutek dysponowania takim bogactwem: można mieć coś absolutnie urzekającego prawie wyłącznie dla siebie, tak jak to było w moim przypadku ze zbiornikiem Derwent.

Zbiornikiem zarządza spółka komunalna Severn Trent Water, która zbudowała niewielki ośrodek informacji turystycznej z bufetem i parkingiem, który był prawie pusty, kiedy tam przyjechałem. Wokół zbiornika prowadzi piękny szlak, którym można również dotrzeć do dwóch innych zbiorników, Howden i Ladybower, także urodziwych.

Zbiornik Derwent zasługuje na uwagę z jeszcze jednego względu: kiedy brytyjski inżynier Barnes Wallis wynalazł osławione podskakujące bomby, właśnie tutaj podczas drugiej wojny światowej przeprowadzono słynne ćwiczenia z rozbijania zapór. Bomby miały odbijać się od wody jak płaski kamień przy „puszczaniu kaczek”, a następnie uderzyć o tamę, z oczywistymi konsekwencjami. Pomysł nie sprawdził się jednak w praktyce. Nisko lecące samoloty stanowiły łatwy cel dla niemieckich artylerzystów — czterdzieści procent eskadry nie wróciło z pierwszej misji — a bomby wybuchły nieszkodliwie w wodzie albo odbijały się od zapory i detonowały na okolicznych polach. Tylko jedna zapora doznała poważniejszych uszkodzeń; na zalanym terenie utonęło tysiąc siedemset osób, ale byli to głównie alianccy jeńcy, czyli Barnes Wallis zabił więcej swoich niż wrogów. Ale co tam — było to jedno z tych genialnych osiągnięć militarnych, które można było wpisać (obok radaru i maszyny Enigma) na listę świadectw brytyjskiej pomysłowości i niezłomności ducha. W 1955 roku o podskakujących bombach nakręcono film, które uwielbiają twórcy ramówki BBC Two. Chyba mi się nie zdarzyło, żebym nie obejrzał *Dam Busters*, kiedy dopadła mnie grypa.

Przespacerowałem się nad zbiornikami Derwent i Howden, ciesząc oczy widokiem cienistego lasu i zalanej słońcem wody, zdumiony, że taką ilość piękna mam wyłącznie dla siebie. Wracając na parking, minąłem okazały kamienny

pomnik owczarka Tipa, który, jak informował napis, „przez piętnaście tygodni czuwał przy zwłokach swojego pana, Josepha Tagga”. Piętnaście tygodni to kawał czasu, a trzeba dodać, że Tagg leżał na smyczy psa. To znaczy nie wiem, jak dokładnie wyglądała ta historia, ale osobiście wolałbym sfinansować pomnik, który by przekazywał następującą informację: „Ku pamięci psa, który poszedł po pomoc, kiedy jej potrzebowałem”.

Zafrapowało mnie, że pomnik Tipa jest większy od pomnika uczestników nalotów na zapory, ale potem sobie przypomniałem, że ja jestem w Anglii, a Tip był psem.

Kilka kilometrów na zachód od doliny Derwent wznosi się Kinder Scout, najwyższy punkt Peak District — sześćset trzydzieści sześć metrów nad poziomem morza. W 1932 roku miał tutaj miejsce znany akt nieposłuszeństwa obywatelskiego: robotnicy z Manchesteru i Sheffield w ramach protestu przeszli przez wrzosowiska, na których diuk Devonshire polował na głuszce. Ponieważ działali na rzecz udostępnienia krajobrazu dla piechurów, postanowiłem złożyć im hołd, skoro już znalazłem się w tej okolicy. Zaparkowałem samochód w ślicznej wiosce Hayfield i pokonałem około półtora kilometra, które dzieliło mnie od Bowden Bridge, gdzie doszło do tego nielegalnego wtargnięcia na grunty diuka. Nie pożałowałem tego wysiłku. Po drodze minąłem wiejską chatę z niebieską tabliczką, która informowała, że urodził się tutaj wybitny aktor charakterystyczny Arthur Lowe — kapitan Mainwaring w serialu komediowym *Armia tetryków*. Doskonale obrazuje to przewagę turystyki pieszej nad zmotoryzowaną, ponieważ z samochodu w życiu nie zauważyłbym tabliczki, co dowodzi, że życie piechura jest nie tylko zdrowsze, ale również bogatsze.

Kinder Scout nie jest szczytem, tylko trawiastym płaskowyżem, często widocznym z Manchesteru i Sheffield. Robotnicy z tych miast spoglądali na niego rozmarzonym wzrokiem ze swoich brudnych ulic i traktowali jako swoje wzgórze, miejsce, gdzie mogli w weekendy odpocząć i zaczerpnąć świeżego powietrza, co przez wiele lat robili. W latach dwudziestych diuk Devonshire zamknął jednak

Kinder Scout dla publiczności, ponieważ strzelał tam do głuszców. Jak można się domyślić, ludzie byli bardzo niezadowoleni i w kwietniu 1932 roku pięćset osób, głównie robotników fabrycznych, zebrało się przy Bowden Bridge koło Hayfield, aby w ramach protestu przemaszerować przez grunty diuka.

Łowczy diuka, którzy wiedzieli o tym przedsięwzięciu, czekali za mostem i kazali protestującym zawrócić. Doszło do krótkiej i ujmująco pozbawionej poważniejszych konsekwencji potyczki. Jeden z łowczych stracił przytomność, prawdopodobnie na skutek przypadkowego ciosu, ale poza tym nikt nie ucierpiał i robotnicy dotarli na Kinder Scout. Władze zareagowały dosyć histerycznie, a mianowicie aresztowały przywódców grupy i postawiły im zarzut wtargnięcia na cudzy teren. Pięć osób skazano na kary do pięciu miesięcy więzienia — rażąco nieproporcjonalnie do popełnionego czynu. Wywołało to falę gniewu i niezadowolenia, która rozlała się daleko poza Derbyshire. „Masowe wtargnięcie”, jak się dzisiaj pisze o tym wydarzeniu, stało się symbolicznym momentem w dziejach walki klasowej i brytyjskiego krajobrazu. W innych krajach toczą się walki polityczne i religijne, a w Wielkiej Brytanii stawką jest to, kto ma prawo chodzić po smaganym wiatrem wrzosowisku. Uważam to za zachwycające.

Wysiłki protestujących nie poszły na marne. Cztery lata później parlament powołał komisję do spraw tworzenia parków narodowych. Potem włączyła się w to druga wojna światowa, ale w 1951 roku Peak District stał się pierwszym angielskim parkiem narodowym. W świetle symbolicznej wagi zbiorowego wejścia w szkodę pomnik tego wydarzenia jest co najmniej skromny — tabliczka na tyłach parkingu przybita na wysokości kilku metrów do ściany kamieniołomu i częściowo przesłonięta przez roślinność. Gdybym nie wiedział, gdzie jej szukać, to w życiu bym jej nie zauważył. Napisano na niej po prostu: „Masowe wtargnięcie na Kinder Scout rozpoczęło się spod tego kamieniołomu 24 kwietnia 1932 roku”. Po drugiej stronie drogi wąska ścieżka nad strumieniem prowadzi do początku szlaku pieszego na Kinder Scout. Pogoda była piękna, a okoliczności przyrody wspaniałe, ale czytałem wcześniej, że na Kinder Scout i z powrotem idzie się sześć godzin, a ja musiałem dotrzeć do Buxton po drugiej stronie Peak District, gdzie

zarezerwowałem pokój, przeszedłem więc tylko jakieś półtora kilometra — akurat tyle, żebym mógł się porządnie napatrzeć na Kinder Scout — i wróciłem do samochodu. Tam również nie spotkałem żywej duszy.

Buxton to stare uzdrowisko, zbudowane przede wszystkim z kamienia, głównie w XVIII wieku. Pavilion Gardens, zajmujące dziewięć hektarów w centrum miasta, to chyba najbardziej urzekający miejski park w całym kraju. W Buxton jest znakomita opera, parę okazałych hoteli i okazały budynek z nietypową kopułą, w którym kiedyś mieścił się szpital, a dzisiaj jest tutaj filia uniwersytetu w Derby. W środku miasta stoi dom zdrojowy trochę przypominający słynny Royal Crescent w Bath, z tą jednak różnicą, że budynek w Buxton popada w ruinę, odkąd stwierdzono w nim wady konstrukcyjne. Istnieją plany przekształcenia go w hotel, ale w dniu mojej wizyty nadal był zabity deskami i otoczony płotem — smutny los jak na zabytek klasy A. Problem tkwi w tym, że Agencję Rozwoju Midlands, która obiecała pięć milionów funtów na remont, zlikwidowano w 2012 roku, zanim zdążyła wypłacić te pieniądze. Dlaczego mnie to nie dziwi?

Przeszedłem się po mieście, a potem, z braku lepszych pomysłów, zacząłem zaglądać w witryny sklepowe. Szczególnie spodobał mi się sklep z odzieżą męską Potter's, który istnieje od 1860 roku i nadal ma sporo klientów, co w dzisiejszych czasach wydaje się nie tyle osiągnięciem, ile cudem. Napaliłem się na pewne koszule, którymi handlowali, wyłącznie ze względu na nazwę: Seidensticker Splendesto<sup>7</sup>. Zeznałem w innym miejscu pod przysięgą, że niczego już w życiu nie potrzebuję — ale kto potrafiłby się oprzeć takiej nazwie? Jeśli koszula nazywa się Splendesto, gotów jestem ją nosić nawet pod kilkoma warstwami ubrania. Nazwa jest tak dobra, że zasługuje na leksykalizację jako stopień wyższy od *splendid*. Wymyśliłem nawet dla nich hasło reklamowe: „Splendesto — dla tych, którym *splendid* nie wystarcza”.

Dorastałem w epoce, kiedy ludzie cenili dobre nazwy. Były to czasy, w których pralki miały cykle wirowania Luxe-o-Matic spin cycles, kosiarki miały przyciski startu Trigger-Torque, a gramofony miały głośniki Vibro-Sonic. Nawet ubrania

ekscytująco się nazywały. Mój ojciec sprawił sobie kiedyś dwustronną kurtkę McGregor Glen Plaid Visa-Versa Reversible i czerpał wielką przyjemność z pokazywania ludziom, również zupełnie obcym, że może ją odwrócić na drugą stronę, uzyskując w ten sposób drugą, nadliczbową kurtkę. „Dlatego nazywa się Visa-Versa”, wyjaśniał takim tonem, jakby objawiał jedną z tajemnic wszechświata. Nigdy nie mówił na nią „moja kurtka” albo „kurtka”, tylko „moja Visa-Versa Reversible”. Samo wypowiedzianie tej nazwy sprawiało mu przyjemność. Rozumiem to.

Teraz możemy już o tym tylko wspominać. Dzisiejsze nazwy nic nie znaczą. Weźmy Starbucks z ich rozmiarami kubków — Venti, Trenta i Wanko Grande czy jakoś tak. Wielkie korporacje na całym świecie mają nazwy, które nic nie znaczą — Diageo, Lucent, Accenture, Aviva. Kiedyś miałem polisę ubezpieczeniową od Windsor Life, a teraz firma nazywa się ReAssure. Wyśmienita nazwa, jeśli postanowią wejść w produkcję pieluch dla ludzi starszych, ale dla ubezpieczyciela po prostu fatalna.

Tęskniąc za ekscytującymi nazwami towarów w moim życiu i zaglądając w witrynę Potter's, poczułem autentyczne ukłucie zazdrości wobec ludzi, którzy mają możliwości robić zakupy w takich enklawach dawnych czasów. Ruszyłem w dalszą drogę i fantazjowałem, że od czasu do czasu zaglądam do Potter's, między innymi dla przyjemności językowej.

— Dzień dobry — mówię w mojej fantazji. — Parę tygodni temu zamówiłem dwie Splendesto i pomyślałem, że może już przyszły.

— Już patrzę, panie Bryson — mówi kierownik i wiedzie palcem w dół ogromnej, oprawionej w skórę książki zamówień. — Powinny przyjść w środę — informuje mnie.

— A co z moim brązowym płaszczem Lloyd, Attree & Smith w stylu Donegal z patkami ze sztucznego zamszu na łokciach?

— Już sprawdzam. A, płaszcz też będzie w środę.

— Znakomicie. Zagładnę znowu w środę. Na razie wezmę bokserki Sloggi Shur-Fits w kolorze miętowozielonym z wiśniową lamówką.

— Oczywiście. Zapakować?

— Nie, włożę na miejscu.

Wieczorem, czując się wygodnie w moich nowych Sloggi Shur-Fits („takie modne, że będziesz je nosił na spodniach”), niespiesznym krokiem udałbym się do pubu na aperitif, a następnie zjadłbym kolację w jakimś sympatycznym małym bistro blisko ogrodów. Zresztą dokładnie tak teraz postąpiłem, poza tym że niestety nie miałem nałożonych na wierzch spodni Sloggi Shur-Fits.

Wieczór był bardzo udany. Zabierając talerz, kelnerka spytała, czy mi smakowało.

— Och, splendesto — odparłem ze szczerego serca.

Następnego dnia rano obudziłem się żwawy i chętny do życia, bo słońce świeciło, a ja miałem przemierzyć na nogach szlak Monsal, który ciągnie się na odcinku czternastu kilometrów między Buxton i Bakewell, tunelami, wąwozami i przepięknymi rozłogami. Pierwotnie był to odcinek linii kolejowej z Manchesteru do Derby, w 1968 roku zlikwidowanej. Z ekonomicznego punktu widzenia przedsięwzięcie to od początku nie miało większego sensu, ponieważ okolica jest mało zamieszkana. Jedną z najważniejszych stacji, Hassop, zbudowano w gruncie rzeczy do prywatnego użytku mieszkańców majątku Chatsworth. Po zamknięciu linii kolejowej przekształcono ją w trasę rowerową i pieszą, z której korzysta znacznie więcej ludzi niż w czasach, kiedy jeździły tamtędy pociągi. Cudowny spacer.

Najbardziej olśniewa skrzyżowanie Monsal Dale z majestatycznym wiaduktem Headstone. Monsal Dale obfituje w uroki natury, ale stumetrowy wiadukt rozpięty wysoko nad zielonymi łąkami i rzeczką Wye podnosi ją na jeszcze bardziej hipnotyzujący poziom. Po jego powstaniu w 1863 roku krytyk sztuki John Ruskin wygłosił przeciwko niemu słynną tyradę, twierdząc, że dolina została okrutnie rozłupana, żeby „każdy głupiec z Buxton mógł w pół godziny dotrzeć do Bakewell, a każdy głupiec z Bakewell mógł w pół godziny dotrzeć do Buxton”. Historię tę często przytacza się na dowód, że dana rzecz ze znienawidzonej może stać się

hołubioną. Trzeba jednak zastrzec, że wiadukt Headstone ma ogromne walory estetyczne, ponieważ został starannie zaprojektowany. Jak sądzicie, jak bardzo dzisiejsze spółki kolejowe cenią sobie walory estetyczne? Mniej niż wcale? To jest poprawna odpowiedź. W latach siedemdziesiątych, kiedy wiaduktowi groziło zburzenie, wybuchł skandal większy od wywołanego przez Ruskina.

Niedaleko Monsal Dale otworzył się przede mną widok prawie tak dobry i jeszcze bardziej zabytkowy od tego, który doprowadził Ruskina do szewskiej pasji: szlak wychodzi z tunelu do nadobnej doliny, nad którą góruje biały budynek w stylu georgiańskim, na pierwszy rzut oka dwór ziemiański. W rzeczywistości jest to Cressbrook Mill, przędzalnia bawełny postawiona przez Richarda Arkwrighta w 1779 roku (i osiem lat później odbudowana po pożarze). Jest to zapewne najurodziwszy zakład przemysłowy, jaki w życiu zobaczycie, i być może najważniejszy, ponieważ zmienił świat. Do spółki z położonym kilka kilometrów dalej Cromford Mill przędzalnia zapoczątkowała system fabryczny. Wszystko, co wytwarza się dzisiaj na ziemi, wywodzi swoje korzenie z tego zacisznego zakątka wiejskiego w Derbyshire. Arkwright budował swoje fabryki w wąskich dolinach Derbyshire, ponieważ dysponował tam mnóstwem wody do zasilania maszyn, a także dlatego, że na tych odludnych terenach przędzalniom mniej groziło obłężenie przez rozwścieczonych tkaczy, których jego nowe metody pozbawiły pracy. I wreszcie łatwiej mu było wyzyskiwać pracowników. Cressbrook Mill opierała się głównie na pracy sierot, które traktowano gorzej niż skandalicznie.

Po upływie połowy stulecia przemysł bawełniany zatrudniał ponad czterysta tysięcy osób. Prawie wszystkie późniejsze branże, na których Wielka Brytania zbudowała swoją potęgę — przemysł stoczniowy i finansowy, budowa kanałów i kolei żelaznych, rozwój imperium — tutaj miały swoje korzenie. Taki paradoks: Wielka Brytania zbudowała swoją wielkość na bawełnie, a bawełna nie rośnie na Wyspach i sprowadzano ją akurat z tej części imperium, którą Zjednoczone Królestwo utraciło i nad którą nie miało kontroli. Kariera Derbyshire jako ośrodka rewolucji przemysłowej nie trwała zbyt długo. Wraz z rozrostem przemysłu bawełnianego potrzebne były większe fabryki i większe rzeki, toteż produkcję



przenoszono do Manchesteru czy Bradford. Derbyshire na powrót ugrzęzło w malowniczym zapomnieniu. Dzisiaj w Cressbrook Mill mieszczą się luksusowe lofty.

Zakończyłem dzień w Ashbourne, kolejnym bardzo przyjemnym miasteczku, w którym można było znaleźć sklepiki, jakich nie uświadczysz nigdzie indziej: sklep z serami, cukierenka, szewc, co najmniej dwie masarnie, warzywniak, staroświecki sklep z zabawkami, kilka pubów i parę gustownych sklepów z antykami. Na jednym końcu miasta ciągnęły się Memorial Gardens, sympatyczne, ale znacznie mniej wspaniałe niż Pavilion Gardens w Buxton, a na drugim końcu stał urodziwy kościół św. Oswalda, z wysoką, pełną wdzięku wieżą, która przywodzi na myśl katedrę w Salisbury na trochę mniejszą skalę.

Wszedłem do przytulnie wyglądającego pubu i zauważyłem, że mają w repertuarze bitter z browaru Ringwood w moich stronach.

— Robią też bardzo dobry lager — powiedziałem do barmana dla podtrzymania rozmowy.

— Sami robimy bardzo dobre lagery — odparł taki najeżony, jakby usłyszał ode mnie, że ma brzydką żonę.

— Nic nie sugerowałem na temat waszych lagerów — stwierdziłem skonsternowany. — Pomyślałem sobie po prostu, że może pan nie słyszał o tym dobrym piwie.

— Powtarzam, że już mamy bardzo dobre lagery — uciął i wydał mi resztę.

„A z pana jest trochę palant”, pomyślałem i usiadłem ze swoim piwem przy stoliku w kącie, pod oprawioną w ramki fotografią z gazety, na której widać, jak ciężarówka, w której zawiodły hamulce, przebiła przednią ścianę pubu. Po rozmowie z barmanem zrobiło mi się żal, że mnie to ominęło.

Tuż przed wyjazdem z domu włożyłem do plecaka plik listów do mnie przesłanych na adres jednego z moich wydawców i teraz je wyjąłem. Kiedy ktoś zarabia na życie pisaniem książek, uświadamia sobie, że co prawda nie wszyscy ludzie, którzy piszą do autorów, są dziwni, ale wszyscy dziwni ludzie piszą do

autorów. Pewien człowiek z Huddersfield napisał do mnie ostatnio, że niektóre z moich książek bardzo mu się spodobały i wpadł na pomysł, żebyśmy na dwa tygodnie zamienili się domami, bo on lepiej by mnie poznał, gdyby pomieszkał wśród moich rzeczy, a ja miałbym okazję pokarmić jego tropikalne rybki. „Jeszcze nie powiedziałem żonie, w oczekiwaniu na pozytywną odpowiedź”, napisał. Inny mężczyzna chciał napisać książkę *Wielkie brytyjskie śniadanie*, ale pisanie nie było jego mocną stroną, toteż zaproponował mi, żebyśmy razem pojeździli po kraju: on jadłby śniadania i je opisywał, a ja przekładałbym jego doświadczenia na słowa. Zaproponował mi podział zysków w proporcji siedemdziesiąt do trzydziestu, ponieważ to on wpadł na ten pomysł, a poza tym ja mam już kupę kasy. Inny człowiek napisał, że w 1974 roku pracował jako pilot dla nadleśnictwa w Kanadzie i kiedyś podwiózł pewnego młodego człowieka z rudą brodą z Goose Bay w Nowej Fundlandii do Halifaxu w Nowej Szkocji. Zapadło mu w pamięć szczególnie to, że młodzieniec miał na sobie szkocką kraciatą spódnicę, i chciał się dowiedzieć, czy podróżując po Nowej Fundlandii, zdarzyło mi się włożyć na siebie coś takiego.

W korespondencji trafiają się inne niespodzianki i teraz zostałem obdarzony jedną z nich. Z bąbelkowej koperty wyjąłem egzemplarz sygnałny książki Kena Jenningsa *Maphead* o geograficznej pasji pewnego człowieka. Nie sądziłem, że może mnie to zainteresować, ale po przebiegnięciu wzrokiem kilku pierwszych stron byłem wciągnięty po uszy. Okazało się, że wbrew okładkowym zapowiedziom, z których wynikało, że książka opowiada o radościach dostarczanych przez geografię, chodzi w niej głównie o to, że Amerykanie stali się kompletnymi ignorantami geograficznymi.

Jennings opowiada o adiunkcie z Uniwersytetu Miami Davidzie Helgrenie, który rozdał studentom pierwszego roku puste mapy świata i poprosił ich o zlokalizowanie trzydziestu znanych miejsc. Spodziewał się różnych rezultatów, ale studenci prawie niczego nie potrafili znaleźć. Jedenastu mieszkańców Miami nie umiało zlokalizować Miami. Historia ta trafiła do „Miami Herald”, a następnie podjęły ją media ogólnokrajowe. Dziennikarze prasowi i telewizyjni robili z Helgrenem wywiady. Jak Uniwersytet Miami zareagował na tę sytuację? Zwolnił

Helgrena, a potem innego pracownika uczelni, który wystąpił w jego obronie.

Dowiedziałem się również od Jenningsa, że dziesięć procent studentów nie potrafi znaleźć na mapie Kalifornii albo Teksasu, a mniej więcej jedna piąta Amerykanów nie potrafi znaleźć na mapie Stanów Zjednoczonych. Jak to możliwe, żeby nie umieli znaleźć na mapie własnego kraju? Jennings cytuje odpowiedź uczestniczki konkursu Miss Teen USA, którą poproszono o wyjaśnienie, dlaczego tak wielu Amerykanów nie potrafi znaleźć na mapie nawet własnego kraju. Dziewczyna odparła z pełną powagą i przekonaniem:

Osobiście uważam, że Amerykanie z USA nie potrafią tego zrobić, ponieważ w naszym kraju są ludzie, którzy nie mają map, i uważam, że nasza edukacja jest taka jak w Południowej Afryce i, no, w Iraku, i wszędzie w takich no, i uważam, że powinni, nasza edukacja tutaj w USA powinna pomóc USA, no, powinna pomóc Południowej Afryce i powinna pomóc Irakowi i krajom azjatyckim, żebyśmy byli w stanie zbudować naszą przyszłość, dla naszych dzieci.

Bogu niech będą dzięki, że przynajmniej nadal jesteśmy tak elokwentni jak dawniej. Nie zamierzałem pić kolejnego piwa, ale książka tak bardzo mnie bawiła, że wróciłem do baru i zamówiłem kolejne, abym mógł jeszcze trochę poczytać, aczkolwiek tym razem roztropnie nie wspomniałem barmanowi o żadnych innych piwach, które w życiu piłem, bo mógłby wziąć to do siebie.

Po powrocie do stolika przeczytałem, że według Sarah Palin Afryka to jest państwo. Miałem cudowny wieczór.

## II

Brytyjczycy bywają ujmująco wrażliwi. W 1980 roku rząd powołał Fundusz Upamiętnienia Dziedzictwa Narodowego, z którego miano finansować ocalenie

różnych zagrożonych rzeczy, ale w żadnym miejscu nie zdefiniował dziedzictwa. W rezultacie władze Funduszu mogą ocalać, co tylko zechcą, jeżeli uznają, że wpisuje się to w ogólną kategorię dziedzictwa. Trudno sobie wyobrazić system bardziej podatny na kretynstwo i nadużycia, a jednak doskonale funkcjonuje. Uratowano dzięki niemu najróżniejsze skarby, od dzieł sztuki po zagrożone gatunki ptaków, ale moim zdaniem najlepiej wydano pieniądze, które poszły na ocalenie Calke Abbey, następnego przystanku na mojej trasie.

Na przekór nazwie Calke Abbey nigdy nie było opactwem — właściciele uznali, że taka nazwa brzmi ciekawiej — lecz wielkim majątkiem ziemskim w południowym Derbyshire, o powierzchni około dwunastu tysięcy hektarów. Przez czterysta lat mieszkała tutaj rodzina Harpur Crewe, której cechą charakterystyczną była „wrodzona nietowarzyskość”, jak to ładnie ujmuje przewodnik. Przez ostatnie sto pięćdziesiąt lat ich panowania na włościach większość członków rodziny prawie nie opuszczała posiadłości i nikogo do siebie nie zapraszała. W księdze gości z XIX wieku nie znaleziono ani jednego wpisu. Pierwszy samochód pojawił się na podjeździe w 1949 roku, a elektryczność podciągnięto w 1962 roku.

Przed pierwszą wojną światową Calke Abbey zatrudniało sześćdziesiąt osób, ale później majątek podupadł, i pod koniec nie zatrudniano nikogo. Kiedy Charles Harpur Crewe zmarł w 1981 roku — nie spisawszy testamentu, debil jeden — jego bratu Henry’emu przywalono tak ogromny podatek spadkowy, że same odsetki rosły o półtora tysiąca funtów dziennie. Henry nie miał z czego zapłacić, więc przekazał dom National Trust. Instytucja ta podjęła genialną decyzję o utrzymaniu budynku w stanie zastanym. Nazywają pałac „niereprezentacyjnym”, co doskonale oddaje sytuację.

Ostatni poważniejszy remont majątku miał miejsce na początku lat czterdziestych XIX wieku. Po śmierci Vaunceya Harpura Crewe, dziesiątego barona, w 1924 roku rodzina stłoczyła się w jednym niewielkim kącie budynku. Kiedy w 1985 roku zjawił się National Trust, otworzono drzwi pokoiów, do których przez ponad pięćdziesiąt lat nikt nie wchodził. Cały dom był zmurszałym

zakrzywieniem czasoprzestrzeni.

Wziąłem udział w oprowadzaniu z siedemnastoma innymi osobami i bardzo mi się podobało. Nie szczędzono nam czasu — trwało to aż dziewięćdziesiąt minut — a elokwentna i sympatyczna przewodniczka wiedziała po prostu wszystko. National Trust wykonał świetny numer: zatrzymał rozpad budynku, nie tracąc atmosfery zaniedbania i degrengolady. Farba odłaziła, a tynki były chropawe. W pewnym momencie oparłem się o ścianę i jeden z innych uczestników wycieczki szepnął do mnie z wielką satysfakcją, skwapliwie pokazując ruchami głowy, że totalnie usmarowałem sobie kurtkę na plecach. Zdjąłem ją, a ponieważ jego słowa się potwierdziły, teraz obaj energicznie kiwaliśmy głowami. Oprócz mebli i całej menażerii wypchanych zwierząt dom zawiera również wybitną kolekcję skarbów archeologicznych, z których większość znalazł na terenie majątku nasz stary znajomy Basil Brown z Sutton Hoo, jak się z przyjemnością dowiedziałem.

Wszystko tak bardzo mnie zachwyciło, że postanowiłem zawrzeć rozejm z National Trust i poszedłem prosto do kasy, żeby wypełnić formularz członkowski. Nie miałem pojęcia, na co się piszę — musiałem dostarczyć dwa zestawy odcisków palców i prześwietlenie płuc oraz złożyć przysięgę, że kupię volvo i ortalionową kurtkę — ale zwrócono mi pieniądze za wstęp do Calke Abbey, co niezmiernie mnie ucieszyło, jak się zapewne domyślacie.

Jechałem do Rutland odwiedzić syna, który mieszka z rodziną koło Oakham. Jeden z moich wnuków obchodził urodziny, a ja nie mam w zwyczaju opuszczać rodzinnych uroczystości, na których dają tort. Spodziewano się mnie jednak dopiero koło piątej i ucieszyło mnie, że mam cały dzień na wałęsanie się po tym absolutnie rozkosznym zakątku Anglii. Zielona, pagórkowata kraina na terenie Leicestershire, Northamptonshire i Nottinghamshire jest po prostu przepiękna, ale prawie nikt poza mieszkańcami tych hrabstw o tym nie wie.

Niedaleko Calke Abbey jest wioska Coton in the Elms, szczyca się tytułem najbardziej oddalonej od morza miejscowości brytyjskiej, toteż nie mogłem się oprzeć. Najbardziej oddalony od morza punkt leży na terenie Church Flatts Farm,

oficjalnie siedemdziesiąt i dwadzieścia jeden setnych mili (sto dwanaście kilometrów i dziewięćset dziewięćdziesiąt metrów) od najbliższego kawałka wybrzeża. Jakiś przechodzień zaznaczył to miejsce zwiniętym starym dywanem wciśniętym w żywopłot. Zatrzymałem samochód koło bramy gospodarstwa, wysiadłem i chwilę postąłem, dumny z tego, że jestem najmniej zasoloną osobą w Wielkiej Brytanii. Po kilkunastu sekundach zdałem sobie sprawę, że lepiej już nie będzie, choćbym tak stał nie wiadomo jak długo, więc wsiałem z powrotem do samochodu i pojechałem dalej, ale z trwałym poczuciem satysfakcji i układem pokarmowym w pełni przygotowanym na tortowe rozkosze.

---

<sup>7</sup> Od *splendid* (ang.) — „świetny”.

# Walia

**M**usiałem wyjechać na jakiś czas do Ameryki, żeby wygłosić serię odczytów. Wyjazdy do Ameryki zawsze dobrze mi robią. W końcu stamtąd pochodzę. W telewizji pokazują bejsbol, ludzie są przyjaźni i optymistyczni, nie zamartwiają się o pogodę, jeśli pogoda nie daje powodów do zamartwiania się, a kostek lodu można mieć ile dusza zapragnie. Przede wszystkim jednak wizyta w Ameryce pozwala mi spojrzeć na resztę świata z dystansu.

Weźmy dwa drobne doświadczenia, które mnie spotkały po przybyciu do hotelu w centrum Austin w Teksasie. Recepcjonistka chciała wypełnić kartę meldunkową i spytała mnie o adres, co było dosyć naturalne. Nasz dom nie ma numeru, tylko nazwę, a wiedziałem z autopsji, że amerykański komputer nie umie sobie poradzić z takim zboczeniem, więc podałem adres londyński. Dziewczyna wpisała numer budynku i nazwę ulicy, a potem zapytała:

— Miasto?

— Londyn — odparłem.

— Czy mógłby pan to przeliterować?

Przyjrzałem się jej uważnie, żeby sprawdzić, czy nie żartuje, a ponieważ nie żartowała, przeliterowałem.

— Kraj?

— Anglia.

— Czy mógłby pan to przeliterować?

Przeliterowałem. Postukała w klawisze i powiedziała:

— Komputer nie akceptuje Anglii. Naprawdę jest taki kraj?

Zapewniłem ją, że tak.

— Proszę spróbować Wielka Brytania — zasugerowałem.

To również przeliterowałem — dwa razy (za pierwszym razem zrobiło nam się za dużo „t”) — ale komputer dalej kręcił nosem. Zasugerowałem Zjednoczone Królestwo, UK i GB, które jednak nie znalazły uznania. Nic innego nie przychodziło mi do głowy.

— Zaakceptuje Francję — powiedziała po dłuższej chwili dziewczyna.

— Słucham?

— Możemy wpisać „Londyn, Francja”.

— Poważnie?

Skinęła głową.

— To niech pani wpisze.

Wstukala „Londyn, Francja” i system był zadowolony. Dokończyłem procedurę zameldowania, podniosłem torbę i z plastikowym kluczem do pokoju w garści podszedłem do oddalonego o kilka kroków rzędu wind. Kiedy otworzyły się drzwi jednej z nich, zobaczyłem w środku jakąś młodą kobietę, która nie zamierzała wysiadać, co mnie trochę zdziwiło, bo winda przyjechała z góry i teraz tam wracaliśmy. Po mniej więcej pięciu sekundach jazdy kobiecie nagle rozbłysły oczy i zapytała:

— Przepraszam, czy to była recepcja?

— Ta duża sala z recepcjonistką i obrotowymi drzwiami na ulicę? Owszem, to była recepcja.

— Kurde — rzuciła ze strapioną miną.

Ani przez moment nie sugeruję, że incydenty te są typowe dla Austin, ogólnie Ameryki czy coś takiego. Skłoniły mnie jednak do refleksji, że nasze problemy są poważniejsze, niż do tej pory sądziłem. Myślę, że kiedy normalnie funkcjonujące dorosłe osoby nie potrafią zidentyfikować Londynu, Anglii albo hotelowej recepcji, przyszedł czas na poważne pochylenie się nad problemem. Najwyraźniej ma on charakter globalny i szybko się rozprzestrzenia. Wcale nie mam pewności, jak należy zaradzić temu kryzysowi, ale na podstawie naszej dotychczasowej wiedzy sądzę, że powinniśmy zacząć od poddania Teksasu kwarantannie.



Myślałem o tym wszystkim, siedząc w MOP przy autostradzie M4 koło Bristolu. Zmierzałem na daleki zachód Walii i nie mogłem się już doczekać, ale jedzie się tam kawał drogi, a ja zgłodniałem, więc postanowiłem zjeść śniadanie. Wzruszająco naiwnie wyobraziłem sobie, że będę spacerował z tacą po restauracji samoobsługowej sieci Granary, z boksami, błyszczącymi sztuczkami i szerokim, aczkolwiek nieszczególnie apetycznym wyborem dań na ciepło, wyszło jednak na jaw, że Granaries i inne restauracje przy autostradach pozniwały. Dzisiaj kierowcy mają do dyspozycji tylko strefy gastronomiczne obsługiwane przez sieci fast foodów. Skończyło się na crudwich wypełnionej jakąś jedzeniopodobną jasnożółtą substancją — o ile mnie pamięć nie myli, kanapka nazywała się Breakfast Crudwich — torebce ociekających tłuszczem frytek i wodnistej kawie w papierowym kubku. Pogryzając kanapkę i zamartwiając się o degradację umysłową współczesnego człowieka, wyjąłem z plecaczka dokument zatytułowany *Niewykwalifikowani i nieświadomi tego: O tym, jak trudności z rozpoznaniem własnej niekompetencji prowadzą do zawyżonej samooceny*. Są to wspomniane kilka rozdziałów wcześniej słynne badania Davida Dunninga i Justina Krugera z Cornell University w Nowym Jorku, które zapoczątkowały nową dyscyplinę naukową, a mianowicie głupologię.

Jest to artykuł naukowy, toteż zawiera trochę żargonu: „umiejętności metapoznawcze”, „efekty regresyjne”, „analiza korelacji diagnostów” i tak dalej, ale zasadnicza teza tekstu brzmi, że jeżeli jesteś naprawdę głupi, to nie tylko głupio postępujesz, ale również nie zdajesz sobie z tego sprawy, ponieważ jesteś za głupi. Nie twierdzę, że wszystko zrozumiałem, co w kontekście artykułu o głupocie daje powody do zmartwienia, ale niektóre fragmenty miały dosyć techniczny charakter. Weźmy na przykład to zdanie: „Uczestnicy z górnego kwartyła nie popełnili jednak błędu niedoszacowania swojego surowego wyniku testu,  $M=16,9$  (subiektywny) kontra  $16,4$  (obiektywny),  $t(18) 1,37, ns$ ”. Przeczytałem to zdanie osiem czy dziesięć razy, razem ze zdaniami, które je poprzedzały i następowały po nim, ale od piątego słowa dalej nic nie rozumiem. Przynajmniej mam jednak świadomość, że nie rozumiem, co wskazuje, że jestem tylko przeciętnie, a nie groźnie głupi.

Praca Krugera i Dunninga niezaprzeczalnie jest przełomowa, ale artykuł powstał w 1999 roku, a od tego czasu świat gna do przodu jak szalony, o czym się właśnie przekonaliśmy w Teksasie. Wyraźnym niedociągnięciem badania Krugera-Dunninga jest brak wskazówek, jak ocenić własne kwalifikacje umysłowe. Niezmiernie mnie to martwiło, więc kiedy podjąłem jazdę na zachód Walii, w społecznikowskim duchu sporządziłem test pozwalający ocenić, czy my sami nie stajemy się niebezpiecznie głupi. Lista w żadnym razie nie pretenduje do miana wyczerpującej, ale powinna wam dać pewne ogólne wyobrażenie, czy wasza sytuacja stwarza powody do niepokoju. Oto kilkanaście pytań, które powinniście sobie zadać:

1. W restauracji tajskiej przynoszą wam potrawę ugarniowaną wykrojonym z marchewki dekoracyjnym kwiatkiem. Czy naprawdę wierzycie, że tylko wasz talerz został w ten sposób wyróżniony w tym tygodniu?
2. Czy wydaje się wam, że jeżeli dostatecznie długo poklepiecie się po kieszeniach, zaginione przedmioty na powrót się pojawią?
3. Czy jeśli ktoś, kto ma na dłoniach rękawice kuchenne, przynosi wam jedzenie i mówi: „Ostrożnie, talerz jest bardzo gorący”, to dotykacie talerza dla sprawdzenia, czy nie jesteście robieni w konia?
4. Czy sądzicie, że jeśli po wizycie w solarium nie widzicie, że wasze powieki są białe, to nikt inny tego nie widzi?
5. Jeśli (tutaj zwracam się wyłącznie do mężczyzn) wybieracie się na wakacje i kupujecie coś, co ma nogawki za długie, żeby zasługiwało na miano szortów, ale za krótkie, żeby zasługiwało na miano spodni, jesteście w stanie pokazywać się w tym w miejscach publicznych bez uczucia zażenowania?
6. Jeśli winda długo nie przyjeżdża, czy naciskacie wielokrotnie guzik w nadziei, że ją w ten sposób ponaglicie?
7. Czy wierzycie, że kubek w waszym pokoju hotelowym przebywał w pobliżu zmywarki albo płynu do mycia naczyń, a nie tylko został na

chybicka przepłukany zimną wodą nad umywalką?

8. Czy zdarza wam się wydać siedemdziesiąt funtów na koszulkę z nadrukowanym konikiem i graczem w polo w nadziei, że wasze życie seksualne stanie się dzięki temu bardziej satysfakcjonujące? (Satysfakcjonujące życie seksualne mają w tej chwili ludzie, którzy sprzedali wam tę koszulkę za siedemdziesiąt funtów).
9. Czy w sytuacji, kiedy po wrzuceniu przez was siedmiu albo ośmiu monet do automatu ostatnia zostaje zwrócona, wrzucacie ją ponownie? Dlaczego?
10. Czy wydaje się wam, że podczas prowadzenia samochodu na autostradzie potraficie spisać listę pytań w notatniku rozłożonym na udzie bez niebezpiecznego zjazdu na drugi albo nawet trzeci pas?
11. Czy rozumiecie wykonywany przez brytyjskich kierowców przy wyprzedzaniu gest polegający na energicznym machaniu dłonią z góry na dół?

Nie jest tego wiele, ale mam nadzieję, że okaże się pomocne. Powrócimy do tego tematu po dotarciu do Tenby, a na razie zostawmy wszystkich tych rozjuszonych kierowców, skręćmy w spokojną i krętą A4066 i doliną rzeki Taf pojedźmy do urodziwej wioski Laugharne.

W miejscowości Laugharne (wymawia się *larn*) w latach 1949–1953 mieszkał poeta Dylan Thomas, w domu o nazwie Boathouse, i napisał tam jedno ze swoich najlepszych — i jak się okazało, przedśmiertnych — utworów. Zaparkowałem samochód koło dostojnych ruin zamku Laugharne i kierując się bardzo pomocnymi znakami, ruszyłem brukowaną alejką wzdłuż szerokiego ujścia rzeki Taf. Na porośniętym drzewami wzgórzu natrafiłem na zawieszoną na skraju skarpy słynną chatkę, w której Thomas pisał. Chata jest zamknięta na głucho, ale można zajrzeć do środka przez okno. Wygląda to tak, jakby Thomas właśnie poszedł do hotelu Brown's w Laugharne napić się czegoś przed obiadem i zaraz wróci. Stały tam dwa drewniane krzesła, stół zasłany papierami, regał z książkami, a na podłodze leżały zwinięte w kulkę kartki papieru. Warunki dosyć spartańskie, ale otoczenie

przepiękne. Jak można przeczytać na stronie internetowej Boathouse, Thomas napisał tutaj *Under Milk Wood* i *Nie wchodź łagodnie do tej dobrej nocy* (mnie się jednak wydaje, że wiersz powstał później).

Trochę dalej, nie mniej malowniczo usytuowany niż chatka pisarza, jest sam Boathouse, w którym Thomas mieszkał ze swoją żoną Caitlin i dziećmi. Kupiła go dla nich niezwykle hojna przyjaciółka i mecenas poety Margaret Taylor (żona historyka A.J.P. Taylora). Dzisiaj mieści się tutaj muzeum z mnóstwem interesujących pamiątek po Thomasie. Dom jest bardzo mały, ale przytulny i sympatyczny. Spodziewałem się tłoku — na 2014 rok przypadała setna rocznica urodzin Thomasa — ale oprócz mnie muzeum zwiedzały tylko dwie osoby.

Na ścianie na górze wisiała pierwsza strona „South Wales Argus” z 10 listopada 1953 roku z informacją o śmierci Thomasa w Nowym Jorku po spektakularnej pijackiej balandze (z drugiej strony całe jego życie było spektakularną pijacką balangą). Wiadomość dnia dotyczyła jednak tajemniczego zniknięcia małżeństwa rolników Johna i Phoebe Harriesów z ich jedenastoakrowego gospodarstwa rolnego nieopodal we wsi Pendine. Ciała znaleziono mniej więcej tydzień później w płytkim grobie. Zostali zatłuczeni na śmierć. Młody daleki krewny Johna, Ronald Harries, został uznany przez sąd za winnego tej zbrodni i powieszony wiosną następnego roku, jako jeden z ostatnich przestępców straconych w Walii. Zaciekało mnie, że gazeta poświęciła tej sprawie znacznie więcej miejsca niż zapiciu się poety na śmierć.

Nad zatoką Carmarthen, dwadzieścia siedem kilometrów od Laugharne, leży stara nadmorska miejscowość wypoczynkowa Tenby. Słyszałem, że jest urocza, ale okazała się urzekająca — pastelowe domy, bajkowe hotele i pensjonaty, pełne charakteru kawiarnie, znakomite plaże i cudowne widoki. Wszystko, czego można oczekiwać od nadmorskiego kąpieliska. Jak to możliwe, że nigdy wcześniej tutaj nie byłem?

Tenby stoi na cyplu o stromych zboczach wysoko nad licznymi plażami, do których dociera się malowniczymi zygzakowatymi ścieżkami, i sprawia wrażenie

zawszą otoczonego wodą. Długie, szerokie plaże w czasie mojej wizyty były zupełnie puste. Nie jestem plażowiczem, o czym chyba już wspomniałem, ale te plaże kusiły nawet mnie.

W Tenby urodził się artysta Augustus John i spędził nieszczęśliwe dzieciństwo w domu przy Victoria Street, niedaleko biegnącej wzdłuż klifu Esplanady. Kiedy miał sześć lat, jego matka zmarła na podagrę (sam cierpię na podagrę, ale nikt mi nie powiedział, że jest to śmiertelna choroba), skutkiem czego wychowywał się w milczącym, ponurym domu, w którym rządził jego pogrążony w żałobie, nieczuły ojciec. Według legendy mały Augustus nie przejawiał żadnych talentów artystycznych, ale kiedy jako siedemnastolatek skoczył do wody z jakiejś skały koło Tenby, rozbił sobie głowę i wynurzył się jako „zakrwawiony geniusz”. Brzmi to niezbyt prawdopodobnie — mnóstwo razy wałnąłem o coś głową, jednak żadnych talentów mi od tego nie przybyło — ale w każdym razie od tego momentu Augustus rysował i tak się wyrobił, że John Singer Sargent ogłosił go najlepszym rysownikiem od czasów renesansu.

Schodziłem z góry na dół prawie wszystkie ulice w Tenby i nie minąłem chyba ani jednego domu, którego nie chciałbym kupić. Spacerowałem po plażach, podziwiając jachty na przystani i widoki na wyspę Caldey trzy kilometry od brzegu.

Po mojej wizycie w miejscowej gazecie ukazał się artykuł o turystach z mojej ukochanej ojczyzny, którzy w swoim wypożyczonym samochodzie ustawili GPS, żeby ich poprowadził z Tenby na wyspę Caldey. Nawigacja kazała im zjechać pochylnią jachtową na plażę, a następnie zanurzyć się w bezmiarze błękitu, i według dziennikarza gazety wykonali pierwsze polecenie. Dałbym wszystko za usłyszenie ich rozmowy, kiedy jechali w stronę morza. Auto ugrzęzło w piasku w połowie plaży, pozbawiając moich rodaków szansy na stanie się pierwszymi zmotoryzowanym osobami w historii, które dotarły na wyspę Caldey z głębin morskich. Turyści nie podali dziennikarzowi swoich nazwisk, ale powiedzieli, że są z Illinois.

Domyślcie się zapewne, do czego zmierzam — choroba się zaostrza

i rozprzestrzenia.

\*

Następnego dnia rano pojechałem do St Davids, miejscowości położonej w najbardziej wysuniętym na zachód punkcie walijskiego stałego lądu, nad spienionymi, rozbijającymi się z hukiem o skały falami zatoki St Brides. St Davids podaje się za najmniejsze miasto brytyjskie, co należy rozumieć w ten sposób, że jest to najmniejsza miejscowość na Wyspach, która ma swoją katedrę. Pod każdym innym względem należy ją uznać za wieś, ale jest to wieś urocza, na trochę oddalonym od morza wzgórzu, śliczna i zamożna, z masarnią, sklepem National Trust, maleńką księgarnią (ale grunt, że sprzedającą książki), a nawet sklepem odzieżowym sieci Fat Face.

Miasto i katedra zawdzięczają swoją nazwę patronowi Walii, który mieszkał tam bardzo dawno temu. Nic o nim wiedziałem, więc przed wyjazdem z domu sprawdziłem go w *Oxford Dictionary of National Biography*. Idę o zakład, że każdy, kto spróbuje przeczytać hasło o świętym Dawidzie w tym słowniku, najdalej w jednej trzeciej straci przytomność. Oto typowe zdanie: „Jednak deklaracja, że Dawid był przeznaczony do świętości, miała również na celu potwierdzenie augustyńskiej ortodoksji hagiografa Rhigyfarcha, a także antycypację zwieńczenia kariery Dawida na synodzie w Llanddewibrefi (drugi 7), gdzie wygłosił kazanie wymierzone w herezję pelagiańską”. Udało mi się wydedukować, że Dawid żył w VI wieku, że lubił stać po szyję w zimnej wodzie oraz że według relacji kronikarzy zmarł w wieku stu czterdziestu siedmiu lat.

Katedra jest wyśmienita i ciekawa. Oprócz mnie zwiedzały ją tylko dwie osoby. Najbardziej zafrapował mnie fakt, że posadzka jest przechylona pod wyraźnie widocznym kątem. Położona w pobliżu ołtarza kulka całkiem szybko by się stoczyła w północno-zachodni róg kościoła. Zapytałem o to kościelnego, sympatycznego i imponującego rozległą wiedzą dżentelmena, który nazywał się Philip Brenan.

— Owszem, podłoga jest przechylona pod znacznym kątem — zgodził się ze mną entuzjastycznie. — Co ciekawe, z całą pewnością zbudowano ją tak celowo, ponieważ wszystkie nadproża, parapety i tym podobne są idealnie poziome. Gdyby przechył wynikał z osiadania gruntu, one również przebiegałyby ukośnie. Na szczęście nic zatem nie wskazuje na wady konstrukcyjne. Ale jest to rzeczywiście dziwna rzecz, której nikt nie potrafi wyjaśnić.

Pokazał mi trochę innych osobliwości. Łuki między filarami wzdłuż nawy głównej są romańskie, nie licząc skrajnych, po gotycku ostrołukowych, aczkolwiek trochę nieporadnie asymetrycznych. Tego również nikt nie potrafi wyjaśnić. Pan Brennan pokazał mi również, że ściany zewnętrzne nieznacznie rozchodzą się na boki.

— Wszystko to zrobiono celowo, ale nikt nie wie dlaczego — powiedział.

Największą ciekawostką jest lokalizacja katedry: u stóp stromego wzgórzach, w zagłębieniu, toteż kościół jest widoczny dopiero z bardzo niewielkiej odległości. Miejscowość, która powstała później, stoi nad nim na wzgórzu. Można by pomyśleć, że budowniczy chcieli ukryć katedrę przed światem.

Przez całe przedpołudnie radośnie buszowałem po St Davids i całym przepięknym cyplu. W Pembrokeshire większość klifów jest zaokrąglona — przypomina grzbiety wielorybów — co owocuje niezwykłymi i zapadającymi w pamięć widokami, w kategorii nadbrzeżnych krajobrazów prawie bezkonkurencyjnymi.

Po południu pojechałem do Fishguard, miejscowości, którą bardzo chciałem zobaczyć. Wiązały się z nią bardzo czułe wspomnienia, co może trochę zaskakiwać, bo spędziłem tam tylko osiem czy dziewięć godzin czterdzieści lat temu i większość tego czasu przespałem. Latem 1973 roku, kiedy jeździłem autostopem po Europie i zmierzałem do Irlandii, jakiś życzliwy kierowca ciężarówki późną nocą wysadził mnie w centrum Fishguard. Pamiętam, że znalazłem się koło małego parku naprzeciwko rzędu sklepów z markizami. Światło latarni ulicznej kojarzyło mi się z obrazem Edwarda Hoppera. Po prostu enklawa doskonałości pośród marności tego świata. Pochodziłem trochę po miasteczku, ale

nie znalazłszy niczego lepszego, wróciłem do malutkiego parku, rozłożyłem śpiwór i spałem na zroszonej trawie. Następnego dnia obudziłem się bardzo wcześnie, kiedy Fishguard nadal spało, stromą, krętą drogą zszedłem do portu i wsiadłem na pierwszy prom do Rosslare.

Tak wyglądała cała moja przygoda z Fishguard, ale teraz byłem tak napalony, że zaparkowałem samochód niedaleko głównej ulicy i poszedłem na spacer po miasteczku przed zameldowaniem się w pensjonacie. Okazało się, że Fishguard to jakiś dziwoląg. Trzy duże puby na rynku — Abergwaun Hotel, Farmers Arms i Royal Oak — były nieczynne, podobnie jak Ship and Anchor trochę dalej przy High Street. Kilka placówek handlowych zwinęło interes, ale nadal funkcjonowały księgarnia, kwiaciarnia i kawiarnia połączona ze sklepem z pamiątkami — czyli firmy, które przy spadku koniunktury na ogół likwiduje się jako pierwsze. Ze znalezieniem mojego noclegu sprzed czterdziestu lat miałem spore problemy, ponieważ rzekomy park okazał się kawałkiem trawy. Sklepy naprzeciwko nadal istniały, ale nie miały markiz ani w ogóle niczego szczególnego.

Zatrzymałem się w Manor Town House, stylowym pensjonacie z hipnotyzującymi widokami na morze z tylnych okien — zdecydowanie najprzyjemniejszy pensjonat ze wszystkich, w których nocowałem podczas tej podróży. Prowadzili go sympatyczni państwo Chris i Helen Sheldonowie. Odbyłem z Chrisem długą rozmowę o Fishguard i zachodniej Walii. Region ten przeżywa duże problemy gospodarcze — PKB wynosi tam zaledwie dwie trzecie unijnej średniej, która też nie rzuca na kolana, ponieważ obejmuje takie kraje jak Bułgaria i Rumunia — ale przyjeżdża tutaj dużo turystów, ze względu na urodę wybrzeża Pembrokeshire. W rezultacie takie miejscowości jak Tenby czy St Davids prosperują i olśniewają urodą, Milford Haven czy Haverfordwest klepią biedę, a Fishguard i kilka innych miejscowości nie do końca wie, do której kategorii należy.

Chris mi powiedział, że puby na rynku splajtowały stosunkowo niedawno, ale poprzedziło je kilka innych. Przetrwał na szczęście maleńki i znakomity Fishguard Arms naprzeciwko pensjonatu. Kiedy tam zajrzałem koło wpół do siódmej, w barze



od frontu przebywało pięciu miejscowych. Widok obcego człowieka wyraźnie ich zaskoczył, ale skinęli do mnie przyjaźnie głowami.

Z zakupionym piwem udałem się do małego stolika w rogu. Kiedy tak siedziałem, pogrążony w błogim zadowoleniu, i obserwowałem wznoszące się w mojej szklance złote bąble szczęścia, uświadomiłem sobie, że człowiek za barem przygląda mi się całkiem życzliwym wzrokiem.

— Wygląda pan jak Bill Bryson — powiedział.

Nigdy nie wiem, jak mam reagować w takich sytuacjach.

— Naprawdę? — odparłem durnowato.

— Widziałem Billa Brysona na Festiwalu Siana dwa lata temu i wygląda pan zupełnie jak on.

Widzicie zatem, jak głęboko wypalam się w świadomości ludzi. Ten człowiek spędził w moim towarzystwie dziewięćdziesiąt minut, a mimo to nie był pewien, czy mnie rozpoznaje.

Musiałem się zdekspirować i wyjaśnić, dlaczego przyjechałem do ich nadobnego miasteczka, wywołując niemałe zainteresowanie. Dowiedziałem się od nich wszystkiego o Fishguard i jego historii — bywalcy pubów zawsze wszystko wiedzą — między innymi tego, że Fishguard jest ostatnią miejscowością brytyjską, na którą najechała zagraniczna armia. Było to w 1797 roku, kiedy do portu zawinęła spora francuska ekspedycja pod dowództwem siedemdziesięcioletniego Amerykanina Williama Tate'a, licząc na to, że Walijscy przyłączą się do walki z monarchią. Walijszykom nie spodobało się jednak, że ktoś na nich najeżdża, i otworzyli ogień. Ponieważ armia Tate'a składała się z przestępców i ludzi zaciągniętych do wojska siłą — no i nie ma co owijać w bawełnę: byli to Francuzi — poddała się bez zbędnej zwłoki. Dwunastu najeźdźców rzuciło broń i podniosło ręce do góry, kiedy żona rolnika wycelowwała do nich z muszkietu. Wszystkich najeźdźców, podobno razem z samym Tate'em, odesłano z powrotem do Francji z pouczeniem, żeby już nigdy nie robili takich numerów — i zastosowali się do tego. Z ciepłymi uczuciami wobec Fishguard i Fishguard Arms, a także z chlupoczącym w żołądku jednym piwem za dużo, pożegnałem się z moimi

nowymi przyjaciółmi i poczłapałem na poszukiwania kolacji.

\*

Następnego dnia rano pojechałem na terminal promowy, żeby się rozejrzeć. Dzisiaj wygląda to dosyć smutno. Kiedy płynąłem do Irlandii w latach siedemdziesiątych, przez terminal Fishguard przewijało się prawie milion osób rocznie, a dzisiaj liczba ta wynosi trzysta pięćdziesiąt tysięcy i cały czas spada. Do Irlandii kursują tylko dwa promy dziennie, przy czym jeden odpływa o wpół do trzeciej w nocy, a drugi o wpół do trzeciej po południu. Między tymi godzinami nic się tutaj nie dzieje.

Pojechałem dalej na północ do Aberystwyth, najważniejszego miasta na tym odcinku wybrzeża, drogą między morzem a górami Preseli. Wzgórza były duże i ponure, a wrażenie ponurości spotęgował nagły szkwał i deszcz, który spływał na gołe zbocza całymi ścianami. Pośród tych turni, teraz zasnutych szarym kłębowiskiem, leżało źródło gładów, które ściągnięto do Stonehenge. Nie mieściło mi się w głowie, że mieszkańcy Niziny Salisbury w ogóle wiedzieli o ukrytych pośród tych odległych wzgórz kamieniach, a co dopiero postanowili przytaskać osiemdziesiąt tych kolosów do siebie. Ten starożytny świat obfituje w tego rodzaju zagadki.

Smętne i stare Aberystwyth kuliło się w ulewnym deszczu wokół zatoki w kształcie półksiężyca. Jest to jednocześnie stare nadmorskie kąpielisko i miasto uniwersyteckie, jedna z licznych filii Uniwersytetu Walijskiego — w związku z czym oczekiwałem ożywionej aktywności i przy dobrej pogodzie może bym się doczekał, ale w deszczowy dzień miasto przedstawiało się mizernie. Na ulicach nie było studentów ani w ogóle nikogo. Zaparkowałem blisko morza i ruszyłem długą, krętą, przyozdobioną kałużami promenadą. Poprzedniej zimy sztorm poważnie uszkodził deptak i teraz go remontowano, ale tego dnia maszyny stały beczynnie. Po jednej stronie deptak kończył się uderzająco brzydkim mołem. Ze zdjęć wynika, że kiedyś wyglądało całkiem estetycznie, ale później obudowano je czymś, co przypominało pomalowaną sklejkę. Jak ludzie uzyskują pozwolenia na takie

zbrodnie? Za mołem wznosił się cypel z wielkim pomnikiem wojennym, postacią kobiecą w dziwnie erotycznej pozie. Oglądałem ją przez chwilę z deszczem spływającym mi za kołnierz, a potem poszedłem na kawę. Następnie połąziłem po centrum, udając, że z zainteresowaniem zaglądam w witryny sklepowe, ale uświadomiłem sobie, że robię z siebie durnia, więc z chlupotem wody pod podeszwami wróciłem do samochodu i ruszyłem dalej.

Pojechałem w głąb lądu, mijając po drodze śliczny Devil's Bridge, diabelski most, i przejeżdżając przez dwa atrakcyjne uzdrowiska, Llandrindod Wells i Builth Wells. Od czasu do czasu stawałem, żeby się rozejrzeć i ponownie przemoczyć, a po trzeciej ruszyłem w stronę Brecon Beacons. Jest to słynący z urody region dużych wzgórz i zielonych dolin, ale unosząca się w powietrzu wilgoć i nieustanny deszcz nie pozwalały mi docenić jego piękna. W sumie miałem okropny dzień.

W radiu ciągle gadali o zbliżającym się szkockim referendum i zadałem sobie pytanie, dlaczego Walijczycy są tacy potulni. Władze centralne traktują ich jeszcze gorzej od ich szkockich kuzynów, a wszędobylskie napisy po walijsku stanowią widomy znak, że Walijczycy w nie mniejszym stopniu od Szkotów są odrębnym narodem. Myślę, że na miejscu Walijczyków bym się buntował. Zresztą przez jakiś czas niektórzy się buntowali. W latach 1979–1993 odnotowano około dwustu podpałek drugich domów Anglików na terenie Walii. Do odpowiedzialności pociągnięto tylko jednego sprawcę, niejakiego Siona Robertsa, który w 1993 dostał wyrok siedmiu lat więzienia, chociaż z całą pewnością nie był prowodyrem całej akcji, ponieważ kiedy zaczęły się podpalenia, miał zaledwie siedem lat. Po zapadnięciu wyroku na Robertsie podpalenia ustały równie nagle, jak się zaczęły, i Walia ponownie była piękną, spokojną krainą.

Kiedy przez szerokie doliny zbliżałem się do celu podróży, Crickhowell, zaczęło się wypogadzać, słońce powoli rozwiało mgłę i załało zbocza złocistym światłem, a na niebo wypłynęły bufiaste chmury. Na zachodzie nad wzgórzami opalizowała prawie idealna tęcza. Walia zachwycała.

Crickhowell to urzekająca, zamożna miejscowość z dobrymi sklepami i ładnymi domami. Zameldowałem się w hotelu Bear, dawnym zajeździe, i zaraz poszedłem

rozprostować kości i nacieszyć się faktem, że jestem suchy. Na wizerunku Crickhowell jest tylko jedna skaza, a mianowicie ruch samochodowy. Na wszystkich drogach wyjazdowych było gęsto od samochodów jak na jakiejś trasie przelotowej, ale w końcu udało mi się zejść nad rzeczkę Usk i ścieżką wzdłuż jej brzegu dotarłem do pięknej doliny.

Zajrzałem do mojej niezawodnej mapy OS i uświadomiłem sobie lekko zbulwersowany, że tuż za wzgórzami przede mną ciągnie się dolina Rhondda, nie tak dawno temu stanowiąca największe na świecie zagęszczenie kopalni węgla kamiennego. Na jedną z tamtejszych miejscowości, Aberfan, w 1966 roku osunęła się hałda żużlu. Do dziś pamiętam, że siedziałem przy stole kuchennym pięć tysięcy kilometrów dalej i ze zgrozą czytałem o nagłej śmierci nauczycieli i uczniów. Miałem czternaście lat i bodajże jedyny raz w całym okresie dorastania wyrwałem się z mojego kosmicznego zaabsorbowania samym sobą, żeby pomyśleć o innych.

Innych szczegółów już nie pamiętałem, ale po powrocie do pokoju hotelowego poczytałem o tej tragedii w internecie. Opowieść jest krótka: pewnego dnia rano w październiku 1966 mieszkańcy Aberfan usłyszeli straszliwy łoskot, a kiedy podnieśli głowy, zobaczyli, że spadają na nich tysiące ton górniczych odpadów. Gigantyczna hałda żużlu, którą przez lata beztrąsko usypywano na zboczu nad miasteczkiem, obluzowała się i osunęła. Zmiażdżyła szkołę i jej najbliższą okolicę. Stu szesnastu uczniów i dwudziestu ośmiu nauczycieli poniosło śmierć. Gdyby hałda osunęła się pół godziny wcześniej, przed otwarciem szkoły, życie prawie wszystkich tych osób zostałoby oszczędzone. Gdyby doszło do tego następnego dnia, dzieci byłyby na feriach i nikt by nie ucierpiał. Trudno o większego pecha.

Lord Robens, prezes Narodowej Rady Węgla, przed wizytą w Aberfan pojechał najpierw na uniwersytetu w Surrey, żeby oficjalnie odebrać nominację na kanclerza — niesłychana arogancja. Nie poczuwał się do żadnej winy, osobiście czy instytucjonalnie, za tę katastrofę. Ludzie z całego świata przesyłali pieniądze na odbudowę Aberfan, ale Rada, która miała specjalny fundusz na takie cele, dała pięćset funtów każdej rodzinie, która straciła dziecko, i to dopiero po

udowodnieniu, że była z nim zżyta. W tym samym czasie Rada potajemnie przelała z tego funduszu sto pięćdziesiąt tysięcy funtów i przeznaczyła je na posprzątanie po tragedii spowodowanej przez własne zaniedbania. Śledczy ustalili, że Rada ponosiła całkowitą odpowiedzialność za osunięcie się hałdy, i zmuszono ją do zwrotu tych pieniędzy, ale nikt nie został ukarany za śmierć tak wielu osób.

Z tą smętną myślą w głowie poszedłem do hotelowego baru i w głęboko refleksyjnym nastroju wypilem przedkolacyjne piwo.

## Rozdział 21

# Północ

Jedną z pierwszych rzeczy, które rzuciły mi się w oczy — a raczej w uszy — po przyjeździe do Wielkiej Brytanii, była cisza. Stany Zjednoczone — piszę to w mniej krytycznym duchu, niż mogłoby się wydawać — funkcjonują w nieustannej bezmyślnej wrzawie. Ameryka to hałaśliwy kraj. Jesteśmy hałaśliwymi ludźmi. Mamy donośne głosy. Siedząc w zatłoczonej amerykańskiej restauracji, można śledzić rozmowy przy wszystkich stolikach. Jeżeli facet oddalony od ciebie o piętnaście metrów ma hemoroidy, to się o tym dowiesz, na ogół wraz z informacją, jakiej maści używa oraz czy wciera ją dwoma czy trzema palcami. (Jesteśmy nie tylko hałaśliwi, ale również wylewni w aspekcie medycznym).

Hałas jest w Ameryce wszechobecny. Kelnerki krzykiem informują kucharzy o zamówieniach. Kierowcy autobusów krzyczą na pasażerów. Pracownicy odprawy na lotniskach warczą: „Następny!”. Barmani u Starbucka krzyczą: „Consuelo, pana zamówienie jest gotowe!”. (Wolę im nie podawać prawdziwego imienia). Głosy z zaświatów w hipermarketach bez ustanku naciskają na ciebie, żebyś skorzystał z oferty specjalnej albo wypełniają powietrze cienko zawołowanymi komunikatami, że na dziale naczyń kuchennych ktoś ma atak serca. („Uwaga: wydarzenie horyzontalne w alejce numer siedem”). Ruchome chodniki powtarzają raz po raz, że docierasz do końca i musisz rozpocząć przygotowania do samodzielnej lokomocji.

W porównaniu do Ameryki Anglia była cicha jak jedna wielka biblioteka. Nawet komunikaty na lotnisku poprzedzał delikatny dźwięk „ding-dong”, niezwykle kojący, a następnie miękki kobiecy głos informował, że pasażerowie mogą

wchodzić na pokład samolotu do Kuala Lumpur z godziny piętnastej trzydzieści cztery. No i ta uprzejmość: głosy w Anglii nie rozkazywały, tylko grzecznie prosiły.

To wszystko już minęło. Wielka Brytania również zrobiła się hałaśliwa, przede wszystkim za sprawą telefonów komórkowych. Dziwna rzecz: Brytyjczycy nadal mówią szeptem, kiedy dzielą się z kimś poufnymi informacjami twarzą w twarz, ale daj im telefon komórkowy, siedzenie w wagonie kolejowym i chorobę przekazywaną drogą płciową, a roztrąbią o niej całemu światu. Jakiś czas temu jechałem w porze szczytu zatłoczonym pociągiem ze Swindon do Londynu, kiedy jakiś idiota parę rzędów dalej włączył tryb głośnomówiący. Cały wagon mógł wyraźnie usłyszeć każde słowo. Fascynująca sprawa. Nieczęsto się słyszy obu uczestników rozmowy, zwłaszcza kiedy obaj są kretynami. Nasz przyjaciel z wagonu najwyraźniej siedział otoczony kolegami z pracy — wracali z jakiegoś regionalnego zebrania — i rozmawiał z innym kolegą, który przebywał w biurze. Uszy bolały od słuchania tych bredni. Z całej rozmowy nie zapamiętałem nic, tylko to, że człowiek z biura zapytał troskliwym tonem: „Jak się czuje ten twój kaszalot?”, co poskutkowało nagłym wyłączeniem trybu głośnomówiącego i znacznym przycichnięciem rozmowy. Człowiek w biurze najwyraźniej nie wiedział, że jego wypowiedzi słyszy cały wagon ludzi. Wszyscy otaczający mnie współpasażerowie uśmiechnęli się radośnie i wrócili do lektury. Nic bardziej nie jednoczy Anglików ze sobą niż bycie świadkami zasłużonego upokorzenia.

Rozmyślałem o tym teraz, ponieważ jechałem pociągiem z Londynu do Liverpoolu i otaczali mnie ludzie z telefonami komórkowymi. Niedaleko za moimi plecami jakaś młoda kobieta prowadziła ożywioną i bardzo długą rozmowę z przyjaciółką, przestrzegając żelaznej zasady, że wszystko trzeba powtórzyć trzy razy: „To jest fujara. Totalny fujara. Mówiłam ci milion razy, Amber, że to totalny fajtłapa, fujara... Mówiłam jej, ale ona nie chciała mnie słuchać. Ona nigdy nie słucha. Ona nigdy niczego nie słucha... To jest dokładnie w stylu Dereka, prawda? Cały Derek. Derek nigdy się nie zmieni. Co za fujara...”.

Po drugiej stronie przejścia młoda kobieta toczyła dokładnie taką samą

rozmowę, tylko w jednym z języków słowiańskich. Kiedyś miałem w takich sytuacjach poczucie, że znalazłem się w pułapce bez wyjścia, ale teraz nie jestem już bezbronny. Pogrzebałem w plecaczku i wyjąłem zapinane na zamek błyskawiczny etui ze słuchawkami — tym samym modelem, który testowałem niedawno w domu handlowym w Cambridge. Opowiedziałem o nich żonie i kupiła mi je w ramach prezentu niespodzianki z okazji rocznicy ślubu. Tak naprawdę chciałem czerwony sportowy samochód, ale słuchawki też mogą być — są po prostu niezwykłe. Poczułem się tak, jakbym wrócił do Wielkiej Brytanii, którą kiedyś znałem. Nie słucham na nich muzyki ani w ogóle niczego, tylko rozkoszuję się ciszą. Cudowna sprawa. Jakbym lewitował w przestrzeni kosmicznej.

Młoda kobieta po drugiej stronie przejścia nadal trajkotała, ale teraz mogłem to poznać tylko po tym, że poruszała ustami. Rozejrzałem się wokół siebie i zobaczyłem, że prawie wszystkim ludziom wokół mnie dyndają z uszu kable. Czy to nie jest interesujące, że dysponujemy całą tą technologią, która pozwala nam robić wszystkie te cudownie, teoretycznie stymulujące rzeczy, ale wykorzystujemy ją w celu ucieczki w prywatną przestrzeń, w której możemy być bezmyślni?

Włączyłem laptop. „Instalowanie aktualizacji 911 z 19 267”, poinformował mnie.

Zamknąłem więc oczy i unosiłem się w przestrzeni jak Sandra Bullock w *Grawitacji*, ale mniej rozhisteryzowany. Zanim się obejrzałem, dotarliśmy do Liverpoolu, a ściąganie aktualizacji prawie dobiegło końca.

Do Liverpoolu przyjechałem na mecz piłkarski Everton–Manchester City. Nie będę udawał, że było to dla mnie — a nawet dla wielu spośród zapalonych kibiców piłkarskich — wydarzenie wielkiej wagi, pasjonował się nim natomiast mój zięć Chris, który oddałby za Everton życie. Może to trochę zaskakiwać, ponieważ wychowywał się trzysta kilometrów dalej w Somerset. Fanem Evertonu został z tej prostej przyczyny, że drużyna ta wygrała pierwszy mecz piłkarski, jaki oglądał w telewizji, a także dlatego, że spodobały mu się ich niebieskie koszulki (miał wtedy dziesięć lat). Uważam to za wzruszające, a jednocześnie godne ubolewania.



Przez wszystkie te lata kibicowania nigdy nie widział meczu rozgrywanego przez Everton u siebie, więc jego ukochana żona, a moja ukochana córka, kupiła mu cztery bilety na dzisiejszy mecz: dla niego, dla jego dwóch synków i dla mnie. Dzień męskich rozrywek — nie mogłem się doczekać.

Chris i jego chłopcy — ośmioletni Finn i sześciolatek Jesse — przyjechali z Londynu dzień wcześniej i byliśmy umówieni w centrum miasta na obiad. Wyłowilem ich z tłumu idących w moją stronę Chapel Street, bez cienia żenady ubranych jak do konkursu „Ile rzeczy z napisem »Everton« potrafisz naraz włożyć?”.

Wygraliby walkowerem, ponieważ w całym centrum Liverpoolu nikt oprócz nich nie miał na sobie niczego z napisem „Everton”. Jeśli ktoś zainteresuje się tym tematem, dość szybko odkryje, że FC Everton nawet we własnym mieście funkcjonuje jak coś na kształt tajnego stowarzyszenia.

Zjedliśmy obiad i pojechaliliśmy taksówką na stadion, a dokładnie w miejsce oddalone od stadionu o kilometr, bo w dniu meczu bliżej nie da się dotrzeć, a to z powodu dziesiątek tysięcy ludzi ubranych w koszulki, szaliki, czapki i inne plemienne wyróżniki Evertonu — widok ten sprawił moich wnuków w osłupienie. Ci chłopcy mieszkają na przedmieściach Londynu. Wszyscy ich koledzy kibicują Chelsea albo Arsenalowi. Nigdy nie widzieli innego kibica Evertonu, a tutaj mieli ich wokół siebie cztery tysiące, jakby umarli i poszli do nieba, aczkolwiek było to niebo zaludnione głównie przez ludzi z wielkimi brzuchami i tatuażami na szyjach.

Siedziba FC Everton nie znajduje się w Everton, ale w Walton, sąsiedniej dzielnicy pełnej zabitych deskami pubów, zapyziałych szeregowych domów i pustych działek usłanych budowlanym gruzem. Wyszukajcie sobie „Walton, Liverpool”, a wyskoczą wam takie nagłówki jak: „Ram-raiders<sup>8</sup> biorą na cel sklep monopolowy w Walton”, „Gang włamywaczy z Walton aresztowany”, „Dwaj mężczyźni aresztowani po ataku z nożem w Walton”. W życiu nie widziałem tak obskurnej dzielnicy i trzymałem się blisko Chrisa, który jest londyńskim policjantem, a także, co w tym kontekście istotniejsze, emerytowanym mistrzem Policji Metropolitalnej w bokserskiej wadze średniej. Chłopcy i ja trzymaliśmy się

jego kurtki.

Stadion Evertonu nazywa się Goodison Park i jest to najbardziej historyczny stadion piłkarski nie tylko w Anglii, ale na całym świecie. Powstał w 1892 roku i dzisiaj jest najstarszym wciąż istniejącym stadionem piłkarskim zbudowanym specjalnie do uprawiania tej dyscypliny sportu. Brzmi to oczywiście bardzo prestiżowo, ale w praktyce oznacza, że nawet takie kraje jak Liberia czy Burkina Faso mają nowocześniejsze stadiony. Jednak ze względu na nobliwą historię tego obiektu po wejściu na stadion przybraliśmy pełne czci oblicza i zaczęliśmy poszukiwania naszych siedzeń, a raczej mikroskopijnych, podobnych do imadeł numerowanych płytek, które zwyczajowo nazywane są siedzeniami.

Były potwornie niewygodne i takie wąskie, że mieścił się na nich tylko jeden pośladek naraz, ale w końcu oba tak mi zdrętwiały, że nic nie czułem.

Zaczął się mecz. Uwielbiam oglądać sport na żywo. Zabrałem ze sobą małą lornetkę i przez większość pierwszej połowy oglądałem to, czego nie widać w telewizji, na przykład, co robią bramkarze, kiedy gra toczy się na drugiej połowie (stoją z rękami na udach, od czasu do czasu parę razy podskakują, kręcą szyją i znowu stoją), albo co robią zawodnicy, kiedy piłka jest gdzieś daleko. Najbardziej podobało mi się obserwowanie sędziów bocznych, którzy ganiłi tam i z powrotem, jakby udawali żyrafy.

Nie pierwszy raz zauważyłem, że jestem jedyną osobą, która dobrze się bawi na meczu piłkarskim w Anglii. Reszta kibiców — obu drużyn — była nieustannie zestresowana i wkurzona. Siedzący za mną mężczyzna co chwila wpadał w rozpacz.

— Dlaczego on to zrobił? — biadolił. — Co on sobie myślał? Dlaczego nie podał?

Po chwili powtarzał to wszystko jeszcze raz. Jego kolega miał jakieś zastrzeżenia do osiemnastowiecznej niemieckiej metafizyki, ponieważ w kółko powtarzał „*fucking Kant*”. Nie pytajcie mnie, jaki to miało związek z rozgrywającymi się na naszych oczach wydarzeniami, ale za każdym razem, kiedy Evertonowi nie udało się strzelić gola, nazywał piłkarzy „bandą *fucking Kants*”.

— Czemu oni to zrobili? — jęczał mężczyzna pogrążony w rozpacz.

— Bo są *fucking Kants* — odpowiadał z goryczą jego towarzysz.

Do przerwy utrzymał się wynik zero do zera. Ponieważ faworytami meczu byli przeciwnicy, naiwnie powiedziałem do Chrisa:

— Musisz być w miarę zadowolony.

— Chyba żartujesz! Straciliśmy tyle okazji. Graliśmy fatalnie.

Wyglądał na zdruzgotanego. W drugiej połowie Manchester City strzelił gola i w naszym sektorze zapanowała atmosfera jak w celi skazańców, ale potem Everton wyrównał i zrobił się karnawał. Kiedy sędzia odgwizdał koniec meczu przy wyniku jeden do jednego, sądziłem, że drużyna gospodarzy uratowała twarz, ale po naszej stronie boiska znowu była grobowa atmosfera.

Postanowiłem spojrzeć na sprawę od optymistycznej strony.

— W końcu to tylko mecz — zwróciłem uwagę filozoficznie.

— *Fucking Kant* — podsumował nie mniej filozoficznie mężczyzna za moimi plecami.

Wieczorem Chris, chłopcy i ja chodziliśmy po centrum miasta i byliśmy oszołomieni — jak każdy, kto przyjeżdża dzisiaj do Liverpoolu, ponieważ centrum zostało od podstaw odbudowane. Serce miasta stanowi dzisiaj inwestycja Liverpool One — siedemnaście hektarów ekskluzywnych nowych mieszkań, restauracji, kin, hoteli, domów handlowych i sklepów. Po prostu nowe miasto. Zjedliśmy kolację w Pizza Express i ogólnie balangowaliśmy — jak przystało na czterech facetów, którzy ruszyli w tango — mniej więcej do wpół do dziewiątej, a potem ogłosiliśmy fajrant i wróciliśmy do hotelu.

Następnego dnia po śniadaniu odprowadziłem Chrisa i chłopców na dworzec Lime Street, gdzie wsiedli w pociąg do Londynu. Byłem już więcej niż nasycony Liverpoolem, więc obok katedry anglikańskiej poszedłem do dzielnicy Welsh Streets.

Podczas poprzednich rządów Partii Pracy John Prescott wymyślił obłąkany projekt o nazwie Pathfinder Initiative, który polegał na zburzeniu czterystu tysięcy

domów, w większości wiktoriańskiej i edwardiańskiej szeregówki, w północnej Anglii. Prescott twierdził, bez przytaczania żadnych dowodów, że ceny nieruchomości są za niskie z powodu nadpodaży. Na szczęście Prescottowi zabrakło inteligencji albo energii na pełną realizację planu, ale zanim go powstrzymano, zdążył zrównać z ziemią trzydzieści tysięcy domów, wydając na to dwa miliardy dwieście milionów funtów publicznych pieniędzy. A zatem kiedy inne resorty mówiły o potrzebie budowy setek tysięcy nowych domów, jedno z ministerstw tego samego rządu dążyło do zburzenia jak największej ich liczby. Trudno o większe wariactwo.

Obłąkane ambicje Prescottta z największym zapałem wdrażano w regionie Merseyside, gdzie wykupiono i obrócono w gruzy cztery i pół tysiąca domów, w których ludzie wygodnie sobie żyli i nikomu nie wadzili. Trudno uwierzyć, ale władze miasta nadal chcą burzyć domy, przede wszystkim w dzielnicy Welsh Streets (ochrzczonej tak ze względu na walijskie nazwy ulic) na skraju Princes Park. Jest to dzielnica przytulnych, zasiedziałych domów szeregowych, za jakie w Fulham czy Clapham ludzie są gotowi zapłacić fortunę. Tutaj jednak stoją puste, z przyśrubowanymi do drzwi i okien arkuszami blachy, czekając na niepotrzebną rozbiórkę. Ciężko przygnębiający widok, toteż wróciłem do centrum przez dzielnicę uniwersytecką, gdzie zabudowa jest przyjemna i doceniana, a Liverpool nie sprawia wrażenia miasta zarządzanego przez idiotów.

Ponownie poszedłem na dworzec Lime Street, żeby wsiąść w pociąg do Birkenhead Park po drugiej stronie rzeki Mersey. Tablica odjazdów nie mówiła, jak się tam dostać, więc poszedłem do informacji, gdzie obsłużył mnie młody Amerykanin, co mnie mocno zaskoczyło. Rozmowa szybko zeszła na Chicago White Sox, prawdopodobnie po raz pierwszy w dziejach brytyjskiej informacji kolejowej. Mój krajan odpowiednio mną pokierował i dwadzieścia minut później znalazłem się przy wejściu do Birkenhead Park.

Jest to typowy duży park wiktoriański, z placami zabaw, boiskami, zagajnikami, malowniczym jeziorkiem z łódkami i rustykalnym mostkiem. Pary spacerowały,

psy i dzieci baraszkowały. Mężczyźni w szortach ganiali za piłką na boisku. Słowem, widok typowy dla wielkowiejskiego parku w niedzielne przedpołudnie, ale Birkenhead wyróżnia się z tłumu: jest to najstarszy park miejski na świecie.

Zaprojektował go wielki Joseph Paxton, były główny ogrodnik w majątku Chatsworth, który tak go zakomponował, żeby przypominał grunta wiejskiej rezydencji. Park otworzono w 1847 roku na pięćdziesięciu hektarach dawnych nieużytków. Prawie nie sposób sobie dzisiaj wyobrazić, jakie to było nowatorskie. Istniało coś na kształt parków, przede wszystkim w Londynie, głównie na gruntach królewskich, na Kensington Gardens czy Regent's Park, ale wstęp był ograniczony — z reguły nieformalnie, ale nie zawsze — do przedstawicieli klas wyższych. Birkenhead specjalnie zbudowano dla rozrywki wszystkich obywateli i cieszył się ogromnym powodzeniem.

Cztery lata po jego otwarciu Frederick Law Olmsted, dziennikarz amerykański, zwiedzał na piechotę północ Anglii. Kiedy wstąpił w Birkenhead do piekarni, właściciel mu powiedział, żeby rzucił okiem na nowy park. Olmsted był tak zachwycony, że wrócił do Ameryki i został architektem krajobrazu. Zaprojektował nowojorski Central Park, a potem ze sto innych parków na terenie całej Ameryki Północnej. Innymi słowy, wszystkie parki publiczne świata tutaj mają swoje korzenie.

Po powrocie na dworzec Lime Street wsiadłem do pociągu do Manchesteru. Telepaliśmy się przez monotony krajobraz złożony z bagnistych gospodarstw rolnych i zapyziałych przedmieść. Nigdy byście na to nie wpadli (miałem dzień pod hasłem „Nigdy byście na to nie wpadli”), ale jest to bodaj najbardziej historyczny odcinek kolei na całej planecie: dziesięciokilometrową linią łączącą Liverpool z Manchesterem jeździły pierwsze pociągi pasażerskie.

Moje zainteresowanie wzbudził wiktorianin William Huskisson, niegdyś powszechnie szanowany — w pewnym okresie widziano w nim nawet kandydata na premiera — ale dzisiaj pamiętany przede wszystkim jako pierwszy człowiek w dziejach, którego przejechał pociąg. To przełomowe wydarzenie towarzyszyło

oficjalnemu otwarciu linii kolejowej z Liverpoolu do Manchesteru, którą teraz jechałem, w dniu 15 września 1830 roku. Ośmiuset najwybitniejszych Europejczyków, z premierem Wielkiej Brytanii diukiem Wellingtonem na czele, przybyło do Liverpoolu, żeby przeżyć coś zupełnie nowego, czyli przejechać się z dużą prędkością urządzeniem nieporuszonym siłą mięśni. Rozgadane towarzystwo zapakowano do ośmiu osobnych składów.

W połowie drogi, w Newton-le-Willows, pociąg Huskissona zatrzymał się, żeby uzupełnić wodę w kotle. Większość pasażerów wysiadła, żeby rozprostować kości i pogawędzić ze sobą. Kiedy stanęli przy torach, zaprojektowana przez George'a Stephensona „Rakieta”, najszybszy i najsłynniejszy pociąg tamtych czasów, nadszła w ich stronę drugimi torami z zawrotną prędkością ponad trzydziestu kilometrów na godzinę. Dzisiaj potrzeba trochę wyobraźni, aby uwierzyć, że widok zbliżającego się z taką prędkością pociągu każe ludziom rzucić się do ucieczki, ale ponieważ nigdy wcześniej nie widzieli maszyny poruszającej się na boki, byli odrobinę zdezorientowani, ale najbardziej ze wszystkich Huskisson. Zaczął ganiać we wszystkie strony i niefortunnym zbiegiem okoliczności znalazł się między „Rakieta” a jej punktem docelowym, z przewidywalnie makabrycznymi konsekwencjami.

Ciężko poturbowanego Huskissona wsadzono do pociągu, który go przed chwilą potrącił, i czym prędzej zawieziono do Eccles, najbliższego miasta. Huskisson mógł mieć satysfakcję — przy jego stanie umysłu najprawdopodobniej z tej możliwości nie skorzystał — że jest najszybciej przemieszczającym się człowiekiem w dziejach, ponieważ „Rakieta” rozpędziła się do prędkości pięćdziesięciu sześciu kilometrów na godzinę. Przetransportowano go do wikarówki w Eccles, gdzie zajął się nim miejscowy lekarz, ale obrażenia były zbyt poważne i Huskisson zmarł tego samego dnia wieczorem.

Kilkaset metrów za stacją w Newton-le-Willows, po prawej stronie, jadąc w kierunku Manchesteru, na ścianie małego budynku technicznego wisi tablica upamiętniająca tragiczną śmierć Huskissona. Widać ją tylko z okien pociągu i trzeba dobrze wyteńczyć wzrok. Mnie udało się ją zauważyć — chociaż nie

przeczytać treść, ponieważ pociąg jechał o wiele za szybko — i z dużym prawdopodobieństwem byłem jedynym pasażerem, który znał historię tej linii, z jeszcze większym prawdopodobieństwem tylko mnie to obchodziło, ale już na pewno jako jedyny nie słuchałem muzyki ani nie krzyczałem na dziecko.

Wzdłuż trasy orszaku pogrzebowego Huskissona w Liverpoolu ustawilo się pięćdziesiąt tysięcy osób, a na znak żałoby zamknięto w mieście wszystkie sklepy i fabryki. Siedemnaście lat po jego śmierci wdowa zamówiła posąg Huskissona, z niedocieczonych powodów ubranego w rzymską togę, i sprezentowała go londyńskiemu towarzystwu ubezpieczeniowemu Lloyd's. Prezent nie przypadł firmie do gustu i kiedy pani Huskisson odeszła z tego świata, posąg został przekazany londyńskiej radzie miejskiej, która też go nie chciała, ale znalazła dla niego mieszkanie w Pimlico Gardens, jednym z najmniejszych i najrzadziej odwiedzanych parków w Londynie, gdzie od stu lat jest bardzo ceniony przez gołębie jako ubikacja, ale poza tym nikt nie zwraca na niego większej uwagi. Moim zdaniem najzupełniej zasłużenie.

Na Piccadilly w Manchesterze poszedłem do męskiej ubikacji, żeby się wysikać (w tych czasach na ogół jest to moja pierwsza czynność po przyjeździe dokądkolwiek), i odkryłem, że w Manchesterze kosztuje to dzisiaj trzydzieści pensów. Jeszcze bardziej mnie zirytowało, że bramki przyjmują tylko monety dziesięcio- i dwudziestopensowe i nie wydają reszty. Czy zrobienie maszyny, która wydaje dwadzieścia pensów, jeśli wrzucisz pięćdziesiąt, jest aż takie trudne?

Westchnąłem i poszedłem do strefy gastronomicznej kupić herbatę, żeby pozyskać odpowiedni asortyment drobnych monet, a ponieważ byłem głodny, nabyłem również kanapkę. Zapłaciłem po cenach na wynos, mimo że usiadłem zaledwie trzy metry dalej, czyli pokonałem mniejszy dystans niż w większości sytuacji, kiedy jem „na miejscu”. Wydaje się trochę dziwne, że wysokość podatku zależy od tego, czy przejdiesz przez drzwi. Nigdy zresztą nie rozumiałem idei podatku od wartości dodanej. Weźmy moją kanapkę. Gdzie się kryje wartość dodana? Ja z całą pewnością niczego nie dodaję. Z każdym kęsem zmniejszam

wartość kanapki, która w końcu cała znika razem ze swoją wartością. Wszelka wartość dodana musi pochodzić od sprzedawcy. W takim razie dlaczego ja mam płacić za niego podatek? Chyba rozumiecie, dlaczego jestem zdezorientowany.

Koncepcja opodatkowywania żywności zjadanej w restauracji, a nie wynoszonej na zewnątrz, moim zdaniem jest stawianiem sprawy na głowie. Nagradzamy w ten sposób ludzi za to, że zabierają ze sobą w świat opakowania, które często kończą jako śmieci, obciążamy zaś tych, których resztki są odpowiedzialnie utylizowane wewnątrz budynku, a ich talerze i sztućce mają większe szanse na to, że zostaną umyte i ponownie wykorzystane. Ja bym zrobił na odwrót.

Z mojego doświadczenia wynika, że w wielu lokalach typu Starbucks i Pret à Manger nie zawsze zadają sakramentalne pytanie „na miejscu czy na wynos”, a już na pewno nie sprawdzają, czy nie skłamałeś — dlaczego miałbyś mówić im prawdę, skoro nagradzają cię za to tylko metalową tacą? Brytyjczycy wydają dwanaście miliardów funtów rocznie na jedzenie na wynos. Gdyby obłożyć je VAT-em, wpływy podatkowe wyniosłyby dwa miliardy czterysta milionów funtów. Można by za to wybudować mnóstwo szkół i szpitali albo po prostu skuteczniej sprzątać ulice i może kupić kubły na śmieci. W rozwiniętym świecie nie ma ani jednego kraju, na którego ulicach byłoby mniej kubłów na śmieci niż w Wielkiej Brytanii. W świecie rozwiniętym nie ma też ani jednego bardziej zaśmieconego kraju niż Wielka Brytania. Czy ktoś dostrzega jakiś związek między tymi dwoma faktami?

VAT od żywności byłby jednym z pierwszych podatków, jakie bym wprowadził. Obciążona byłaby nim również biżuteria dla mężczyzn, głupie kucyki (w sensie fryzur), chodzenie z otwartym parasolem, mimo że deszcz przestał padać, esemesowanie podczas chodzenia, słuchanie muzyki na słabo wygłuszonych słuchawkach, chodzenie o wiele za wolno w zatłoczonych miejscach, tatuaże na palcach, paćkanie chodników farbą, odpowiadanie na pytanie tekstem typu „Co było wcześniej, jajko czy kura?”, posiadanie irytująco małego psa i automaty, które nie wydają reszty. Sądzę, że w ciągu kilku miesięcy zlikwidowalibyśmy deficyt budżetowy.



Jedząc kanapkę, obserwowałem ludzi, którzy za trzydzieści pensów przechodzili przez bramkę toalety. Wszystkie trzy bramki cały czas miały robotę. Oszacowałem, że co dziesięć sekund ktoś przez nie przechodził. Daje to pięć funtów i czterdzieści pensów na minutę, czyli ponad trzy tysiące funtów dziennie. Jeżeli ostrożnie założymy, że taki ruch utrzymuje się przez dziesięć godzin dziennie sześć dni w tygodniu, uzyskamy sumę około miliona funtów rocznie za prawo do oddania moczu. Nadaje to zupełnie nowe znaczenie określeniu „strumień dochodów”. Tych pieniędzy bym nie opodatkowywał, tylko schował do własnej kieszeni.

Postanowiłem nie nocować w Manchesterze. Była niedziela i nie mogłem znieść myśli o tym, że miałbym w niedzielny wieczór spacerować po martwym centrum miasta. Sporo opowiadałem o Manchesterze w *Zapiskach z małej wyspy*, a później wielokrotnie tam wracałem i mogę z radością zakomunikować, że ogromnie się tam poprawiło. Powinniście sami przyjechać i to zobaczyć, ale nie róbcie tego w niedzielę.

Ja ostrzyłem sobie zęby na coś innego: Alderley Edge. Przeczytałem w „The Economist”, że jest to jedno z dziesięciu najbogatszych miast Anglii. Na cztery tysiące sześćset mieszkańców przypada tam siedemset osób z górnego przedziału dochodowego (mówiąc po ludzku, milionerów). Alderley Edge jest położone pośród ładnego krajobrazu dwadzieścia pięć kilometrów na południe od Manchesteru i słynie jako miejsce zamieszkania prawie wszystkich najlepszych piłkarzy i trenerów z północy. Mieszkają tam albo mieszkają takie gwiazdy jak Cristiano Ronaldo, Rio Ferdinand, Carlos Tevez, David Beckham, Wayne Rooney, Alex Ferguson, Mark Hughes i mnóstwo innych, a także szereg gwiazd *Coronation Street*. Jeśli wierzyć Google, wiele z nich spędza czas na rozbijaniu swoich ferrari, kolekcjonowaniu mandatów za przekroczenie prędkości i robieniu ze swoimi domami różnych rzeczy, które nie podobają się sąsiadom. Ale są też tacy, którzy wiedzą spokojny żywot. Poznałem kiedyś kobietę, która mieszkała w Alderley Edge w tym samym czasie, co państwo Beckhamowie, i usłyszałem od niej, że często widywała ich w supermarkecie Waitrose czy na High Street, gdzie robili to samo,

co wszyscy inni ludzie. W tamtych czasach David Beckham nigdzie na świecie nie mógł wysiąść z limuzyny, żeby nie obkoczyły go tłumy, ale w Alderley Edge mógł chodzić sobie ulicami jak normalny człowiek. Wydało mi się to zachwycające.

Z radością zobaczyłem, że Alderley Edge to bardzo atrakcyjna miejscowość, z urodziwą, zadbaną główną ulicą. Nie ma tam księgarń czy zbyt wielu użytecznych placówek z artykułami metalowymi albo rzeźników, zachwyca natomiast wybór kawiarni, restauracji i winiarni. Spodziewałem się zobaczyć coś na kształt Beverly Hills, z wypasionymi domami schowanymi za wysokimi murami zaopatrzonymi w automatycznie otwierane bramy, a tymczasem nie było tego zbyt wiele. Owszem, większość domów była duża, ale nie w ostentacyjnym stopniu, i ogólnie wszystko wydawało mi się względnie powściągliwe i gustowne. Napełniło mnie to dziwną mieszanką rozczarowania i otuchy.

Wieczorem zajrzałem do pubu De Trafford i z zadowoleniem zobaczyłem stolik zasłany weekendowymi dodatkami do gazet. Generalnie nie czytam już gazet, więc czekała mnie niemała gratka.

Postanowiłem rzucić gazety w kąt kilka lat temu, po przeczytaniu w „The Times” długiego reportażu o studencie dziennikarstwa z Cornwall College w Camborne, który wymyślił, że pojedzie do Stanów Zjednoczonych, żeby wyśmiać wszystkie te idiotyczne przepisy, o których każdy słyszał. W artykule podano trzynaście przykładów tych zabawnych przepisów — w Południowej Dakocie nielegalne jest zaśnięcie w serowni; w mieście Jonesborough w stanie Georgia nie wolno mówić „Oh, boy”; w Carmel, stan Nowy Jork, mężczyzna nie może wyjść z domu w marynarce i spodniach od różnych garniturów; w Baltimore niezgodne z prawem jest zabieranie lwa do kina. Jak napisano w „The Times”, pomysł polegał na tym, że student miał jeździć po Ameryce, łamać różne przepisy, żeby go aresztowano, a potem wrócić do kraju i napisać o tym książkę.

Tak się złożyło, że znajomy z City University w Londynie poprosił mnie o wygłoszenie dorocznego wykładu na temat praktyk dziennikarskich,

postanowiłem więc wykorzystać ten artykuł do omówienia kwestii rzetelności brytyjskiej prasy. Skontaktowałem się z dwunastoma z trzynastu miejscowości przytoczonych przez „The Times”, aby zapytać o dziwne przepisy. W Jonesborough w stanie Georgia nie udało mi się nikogo namierzyć, ponieważ Jonesborough w stanie Georgia nie istnieje. W pozostałych przypadkach zadzwoniłem albo napisałem do szefa policji, burmistrza czy innej osoby, od której mogłem oczekiwać, że będzie dysponowała potrzebnymi informacjami. W dwóch przypadkach nie udało mi się uzyskać odpowiedzi, a we wszystkich innych urzędnicy mnie zapewnili, że dany przepis nie istnieje i nigdy nie istniał. Pewna osoba z urzędu burmistrza Baltimore stwierdziła, że jeżeli ktoś w ich mieście zabierze lwa do kina, najprawdopodobniej rzeczywiście zostanie aresztowany, ale wprowadzenie takiego zakazu wydawało się zbędne, więc nigdy tego nie zrobiono. Krótko mówiąc, wszystkie podane w artykule przepisy zostały zmyślane.

Podsumujmy: młody student dziennikarstwa nie pojechał do Ameryki, nie napisał książki, nie został aresztowany i nie podał ani jednej prawdziwej informacji, a mimo to „The Times” poświęcił mu prawie całą stronę. Ja dałbym za to chłopakowi najwyższą ocenę. Co się tyczy redaktorów odnośnego działu „The Times”, to chyba ktoś powinien odbyć z nimi poważną rozmowę.

Nie jestem aż taką mimozą, żebym przestał czytać gazety z powodu jednego głupiego artykułu, ale przestałem je czytać regularnie i szybko się przekonałem, że wcale za nimi nie tęsknię. Dawno, dawno temu najjaśniejszym punktem mojego tygodnia był powrót do domu z „Sunday Times” i „Observer” i lektura zabawnych reportaży Clive’a Jamesa z dalekich krajów, recenzje Juliana Barnes’a z programów telewizyjnych czy długie eseje Martina Amisa. Nie chcę dyskredytować całego pokolenia dziennikarskich starań, ale przyjrzyjcie się dzisiejszym weekendowym gazetom. Wziąłem teraz do ręki jeden z dodatków.

*Jeżeli złoty jest wystarczająco dobry dla Amal Clooney, to jest wystarczająco dobry dla Anny Murphy*, brzmiał tytuł materiału z pierwszej strony. Od razu zastrzegam, że nie mam nic przeciwko żadnej z tych osób. Nic o nich nie wiem i z całego serca życzę im w życiu szczęścia. Co się jednak tyczy kolorów ubrań,

które będą nosiły tego lata, obchodzi mnie to tyle co gówny pantofelka.

„Szybko się nauczyłam, żeby nigdy nie chodzić w złotym — zwierzyła się pani Murphy w swojej pierwszej wypowiedzi, a potem przyznała z rozbijającą szczerością: — To tylko pokazuje, jak kiepsko się na tym znałam”. Nawet nie próbowałem rozgryzać tego wywodu, więc przewróciłem stronę i znalazłem artykuł podpowiadający szesnaście sposobów na „podrasowanie” moich sałatek. Zadałem sobie pytanie, co powiedziałyby moja żona, gdybym jej zasugerował, że powinniśmy podrasować nasze sałatki. W innym miejscu znalazłem wskazówki dotyczące tego, czym się kierować przy wyborze serum do twarzy (bardzo wysoką ceną na etykiecie) i jak seksownie wydymać usta, utrzymany w niezwykle poważnym tonie artykuł o kwestiach transpłciowych, który tak naprawdę był tylko pretekstem do pokazania nowych zdjęć Bruce’a Jennera w przebraniu, i mnóstwo podobnych rzeczy. Czy rzeczywiście ja się starzeję, czy raczej wszystkie osoby poniżej trzydziestego roku życia zatrzymały się na poziomie rozwoju dziesięciolatka? Przejrzałem jeszcze parę dodatków weekendowych, a ponieważ nie różniły się wiele od tego pierwszego, odłożyłem gazetę na bok i wyjąłem z torby książkę.

Nawiasem mówiąc, znam pewną historyjkę o Davidzie Beckhamie. Występuje w niej mój wydawca i przyjaciel Larry Finlay, którego po raz ostatni spotkaliśmy w prologu (oczy mu pulsowały). Pewnego dnia niedawno temu Larry wracał z londyńskich targów książki czy czegoś w tym guście i po drodze do domu zajrzał do pubu w Little Venice. Przy stoliku czytał przesłany do wydawnictwa maszynopis książki i w pewnym momencie ktoś zapytał:

— Możemy się do pana przysiąść, Larry?

Larry podniósł wzrok i zobaczył Davida Beckhama z innym mężczyzną.

— Oczywiście — powiedział zdumiony Larry i przesunął swoje papiery na bok, żeby zrobić im trochę miejsca.

— Dziękuję, Larry — powiedział David Beckham.

— Skąd pan wie, jak mam na imię? — zapytał Larry, zadziwiony, ale dumny, że został rozpoznany przez tego celebrytę.

— Bo jest napisane „Larry” na pana identyfikatorze, Larry — powiedział wesoło David Beckham.

Miło sobie pogawędzili i Larry mi powiedział, że David Beckham to niezwykle sympatyczny człowiek. I powiem wam z ręką na sercu, że wiadomość ta bardzo, ale to bardzo mnie ucieszyła.

Siedząc teraz nad książką i piwem, myślałem o tej optymistycznej historii i marzyłem o tym, żeby dosiadł się do mnie ktoś sławny, ale potem sobie uświadomiłem, że i tak bym go nie rozpoznał, bo nie czytam już gazet.

---

<sup>8</sup> Złodzieje, którzy taranują witrynę sklepu samochodem.

# Lancashire

## I

Pojechałem pociągiem do Preston, gdzie przesiadłem się na inny, tak rozklekotany i zdezelowany, że chyba rozpoczynał żywot w kopalni węgla.

Za oknami przesuwały się bezkresne dzielnice przemysłowe i ogólne zmęczenie materiału, a potem nagle znaleźliśmy się w małej oazie nadobności, czyli w Lytham. Wsiadłem i zobaczyłem niezwykle urodziwą stację — a dokładniej była stacją, dzisiaj przerobioną na bistro, ale peron nadal funkcjonował. Niewielki park oddzielał budynek od centrum miasteczka. Nieduże Lytham jest zbudowane z różowoczerwonej cegły, zamożne, wypucowane na glanc, przyjemnie wiktoriańskie, z wielką płachtą trawnika nad ujściem rzeki Ribble, nad którą stoi malowniczy biały wiatrak z czarnymi skrzydłami. Dalej, za odbijającymi blask słońca mokradłami, roztaczały się zamglone widoki na oddalony o kilkanaście kilometrów na południe Southport.

Zostawiłem bagaże w hotelu Clifton Park przy Lytham Green i wyruszyłem pieszo do Blackpool, położonego trzynaście kilometrów dalej na wybrzeżu. Spory kawałek drogi, ale się opłaciło. Brukowana promenada prowadzi aż do St Anne's, kolejnej małej enklawy północnej elegancji. Niebo było szare i ciężkie, jak sterta mokrych ręczników, ale deszcz nie padał, a morskim powietrzem cudownie się oddychało. Byłem bardzo szczęśliwy.

Wędrowiec idący do Blackpool widzi miasto na długo, zanim do niego dotrze, dzięki wyniosłej Blackpool Tower, odpowiedzi Lancashire na wieżę Eiffla. Wersja z Blackpool jest na oko dwa razy niższa od oryginału, ale wydaje się taka wielka,

bo wyrasta samotnie spośród niskiej zabudowy. Powstała zaledwie pięć lat po konstrukcji paryskiej.

Blackpool ma lśniąca nowością promenadę. Miasto wydało na jej remont sto milionów funtów, przede wszystkim w celu wzmocnienia nabrzeża, ale przy okazji miasto zyskało trzy kilometry szerokiego, artystycznie pozawijanego i z gruntu przyjemnego deptaka. To coś więcej niż promenada, to rzeźba, po której można chodzić. Zakręca i opada, rozwarstwia się na kilka poziomów, ma rampy, na których z pewnością fantastycznie jeździ się na desce i schody, na których można usiąść. Jest to najładniejsza promenada na świecie pod warunkiem, że konsekwentnie kierujesz wzrok w stronę morza, a nie miasta, ponieważ pocziwe stare Blackpool nie powala dzisiaj urodą.

Kiedy po raz pierwszy przyjechałem do Wielkiej Brytanii, Blackpool odwiedzało dwadzieścia milionów osób rocznie, czyli tyle, co jedna trzecia ludności. W następnych latach liczba ta spadła o ponad połowę. Blackpool od zawsze należało do kąpielisk z niższej półki, ale w tamtych czasach nikogo to nie raziło i wszyscy doskonale się bawili. Dzisiaj miasto przeżywa poważny kryzys i popada w ruinę, ulice są puste za dnia i odstręczające w nocy.

Według „Blackpool Gazette” ponad sto lokali gospodarczych w centrum miasta stoi pustych, a sto pięćdziesiąt hoteli wystawiono na sprzedaż. W czerwcu 2014 roku „Guardian” ogłosił New Kimberley, z prestiżowo nadmorską lokalizacją, najgorszym hotelem w Wielkiej Brytanii, ponieważ jego właściciel, Peter Metcalf, otrzymał wyrok osiemnastu miesięcy więzienia za piętnaście poważnych naruszeń przepisów bezpieczeństwa, takich jak brak alarmów przeciwpożarowych, zamknięte na głucho wyjścia awaryjne i dostarczanie wody tylko do połowy z dziewięćdziesięciu pokoi. Wcześniej skazano go za dwadzieścia naruszeń przepisów związanych z żywnością i odebrano hotelowi licencję na sprzedaż alkoholu.

Wszystkie dane statystyczne na temat Blackpool wprawiają w przygnębienie. W latach 2004–2013 miasto straciło prawie jednaście procent miejsc pracy, co mu zapewniło pod tym względem trzecie miejsce w kraju, po Gloucester i Rochdale.

W 2013 roku uznano je za najbardziej niezdrowe miasto brytyjskie. Blackpool notuje najwyższy odsetek zgonów związanych z alkoholem. Aż czterdzieści procent tutejszych kobiet w ciąży pali papierosy. Mężczyźni żyją pięć lat krócej niż mieszkańcy reszty kraju. Podobnie jak wiele innych nadmorskich miast Blackpool stało się wylęgarnią nędzarzy. Klientami hotelu New Kimberley nie byli wakacjusze, którzy dawno przestali przyjeżdżać, tylko biedni i na wpół bezdomni miejscowi, którzy mieszkali w obskurnych, zawszonych pokojach, bo na nic innego nie było ich stać. Jeżeli degradacja Blackpool będzie nadal postępowała w takim tempie, niedługo wszystko będzie tak wyglądało.

A szkoda, bo Blackpool ma wszelkie zadatki na przyjemne kąpielisko. Powietrze jest zdrowe, widoki piękne, plaże olbrzymie. Blackpool Tower to jedna z najbardziej optymistycznych budowli w Wielkiej Brytanii. Miasto dysponuje dwoma molami, najwspanialszą salą balową na świecie, wesołym miasteczkiem z tradycjami, kilkoma dobrymi teatrami i całym mnóstwem pięknych wiktoriańskich budynków.

Blackpool musi tylko przywrócić w mieście bezpieczeństwo i czystość oraz zapewnić przyjezdnym placówki, w których warto wydawać pieniądze — porządne sklepy, teatry z dobrym repertuarem i czyste, kuszące restauracje. Osobiście przekazałbym wszystko koncernowi hotelowo-gastronomicznemu Wetherspoon, który najwyraźniej umie zapewnić klasie pracującej przyjemny pobyt w sympatycznym otoczeniu po rozsądnej cenie. Co stoi na przeszkodzie, żeby zarządzali Blackpool?

Oto jeszcze bardziej zakręcony pomysł: a może by rząd się w to zaangażował? Zadania, które stoją przed Blackpool — ogarnąć się, stworzyć porządne miejsca pracy, wyremontować hotele i restauracje, poprawić ofertę rozrywkową, przestać odstraszać rodziny z dziećmi — z pewnością najlepiej się realizuje metodą skoordynowanych projektów z dotacjami, bodźcami finansowymi i ukierunkowanymi inwestycjami. A co się dzieje w rzeczywistości? Jak przeczytałem w „Guardianie”, najświeższy duży pomysł rewitalizacyjny w Blackpool polega na usprawnieniu systemu park-and-ride i zainstalowaniu na



głównych parkingach ładowarek do samochodów elektrycznych. Może jestem człowiekiem małej wiary, ale nie wróżę temu projektowi sukcesu.

Gdyby oddano Blackpool pod moją opiekę (nie mówię, że chciałbym opiekować się miejscowością, w której ulubionym zajęciem jest wypicie, a potem szybkie zwrócenie dużych ilości piwa), pierwszą rzeczą, którą bym zrobił, byłoby przywrócenie tradycyjnych nadmorskich widowisk. Rozpacz bierze, jak bardzo zeszło to na psy. Całe nabrzeże było wyklejone plakatami reklamującymi covery Elvisa i Queen albo rewie komediowe zespołów z takimi nazwami jak Cirque de Hilarious, o których nikt nie słyszał. Coś bardzo ważnego zostało utracone.

Przed laty spędziłem miesiąc w Blackpool na zlecenie „National Geographic” i z dziennikarskiej rzetelności obejrzałem wszystkie spektakle. Szczególnie zapamiętałem duet Little and Large, niewiarygodnie świetny. Ci inteligentni i sympatyczni ludzie fantastycznie nawiązywali kontakt z publicznością — kiedy upatrzyli sobie wśród widzów jakąś ofiarę, zawsze mieli dowcipną uwagę na temat jej zawodu, rodzinnego miasta, współmałżonka czy ubioru. Nigdy się tak dobrze nie bawiłem w teatrze. Po spektaklu poszedłem do nich za kulisy i zbulwersowany zobaczyłem, jacy są wykończeni. Występy na żywo przed publicznością to najwyraźniej ciężki kawałek chleba. Pan Little (który niewiele później miał przeszczep serca — nic dziwnego, że wyglądał na zmęczonego) przekonywał, że nie mają następców, że są ostatnimi wykonawcami musicalowymi. Nie przywiązywałem wtedy większej wagi do jego słów, ale oczywiście miał rację.

Później od czasu do czasu zabierałem nasze młodsze dzieci na nadmorskie spektakle i zawsze były znakomite. Widzieliśmy na przykład świetnych Krankies w Pavilion Theatre w Bournemouth. Snoby mogą się wypchać. Muzyka była głośna i zaraźliwa, żarty przaśne, ale śmieszne, a numery cyrkowe i magiczne sprawnie wykonane. Wszystko przebiegało wartko i z rozmachem. Brytyjczycy byli kiedyś mistrzami tego rodzaju rozrywki, której dzisiaj już nie ma. Bardzo mnie to zasmuca.

Przeszedłem spory kawałek drogi wzdłuż brzegu, koło kolejnych dogorywających hoteli. Zbliżała się pora święta światła<sup>9</sup> — ludzie ściągają z całej

pólnocy, żeby się zachwycać spektaklem żarówek. Ta niewinna tradycyjna rozrywka coraz bardziej jednak koliduje z nową blackpoolską tradycją picia i awanturowania się. Trzy dni po mojej wizycie w centrum miasta zebrało się około pięciuset młodych ludzi i zaczęli wszystko na chybił trafił demolować. Podnosili wszystko, co wpadło w ręce, i rzucali tym w policjantów. Prasa nie sprecyzowała, z jakiego powodu miejscową młodzież tak bardzo rozpierała energia, ale zapewne chodziło o burzliwą reakcję chemiczną, która następuje po właniu dużych ilości piwa do niewielkich rozmiarów mózgu. Trzech policjantów odniosło obrażenia i aresztowano dwunastu osobników w wieku trzynastu do dwudziestu dwóch lat. A Blackpool postawiło kolejny krok w stronę samobójstwa.

Tą samą drogą wróciłem do Lytham. Kiedy dotarłem do końca promenady, odwróciłem się i po raz ostatni spojrzałem na stare kąpielisko. Właśnie zapalały się światła w nadbrzeżnych lokalach rozrywkowych. Wieża strzeliście górowała nad miastem. Z oddali Blackpool wyglądało wspaniale.

Robiło się późno; kiedy doczłapałem do Lytham, zapadał już zmierzch, a ja byłem zmęczony, ale na szczęście tuż za moim hotelem mieścił się znakomity pub Taps o właściwościach regeneracyjnych, a parę budynków dalej restauracja indyjska Moshina (ocena za higienę: pięć — brawo, koledzy) — połączone działanie tych dwóch lokali sprawiło, że przez jakiś czas potem darzyłem Lytham i cały świat ciepłymi uczuciami. Po kolacji przespacerowałem się po mieście i z radością skonstatowałem, że Lytham jest jeszcze ładniejsze, niż oceniłem podczas mojego wstępnego, pobieżnego rekonesansu. Ze znakomitych staroświeckich sklepów najbardziej mnie zachwycił salon mody męskiej George Ripley's. Enklawa innej epoki — sklep z gatunku tych, w których sprzedawano swetry w pasy i jodełkę, bluzy z kieszeniami na zamek, krawaty z wzorami przypominającymi bąbelki szampana oglądane przez człowieka na halucynogenach albo kurtki ze spiczastymi kołnierzami, których można użyć jako broni w ulicznej bójce. Nie pragnąłem wejść w posiadanie żadnego z tych ubrań — jak już ustaliliśmy, jestem wiernym miłośnikiem Splendesto — ale bardzo ucieszyła mnie wiadomość, że są jeszcze na

świecie ludzie, którzy chcą nosić coś takiego. Niechaj panu Ripleyowi darzy się jak najlepiej.

W pobliżu natrafiłem na „Tom Towers’ Tasty Cheese Shop, est. 1949”, co mi bardzo zaimponowało, ale po chwili zobaczyłem jeszcze bardziej nobliwe Whelan’s Fish and Chips, „est. 1937”. Obie placówki prezentowały się doskonale. Miasto mogło się również poszczycić staroświeckim domem handlowym Stringers i urodziwą księgarnią Plackitt and Booth. Z informacji w witrynie wynikało, że do miasta niedługo zawita Victoria Hislop, i mam wielką nadzieję, że dobrze się tam bawiła.

W świetle tego wszystkiego nominowałem Lytham do tytułu najlepszego małego miasta północnej Anglii i dla uczczenia tej okoliczności wtoczyłem się do rażnego lokalu Ship and Royal na kusztyczka przed snem.

## II

Jedną z rzeczy, które imponują mi w Belgii — mówimy tutaj oczywiście o bardzo krótkiej liście — jest niezawodność rozkładów jazdy pociągów. Można mieć pewność, że pociąg z 14:02 do Gandawy nie tylko odjedzie punktualnie, ale również zrobi to z peronu drugiego. Numery peronów są wręcz wydrukowane na rozkładach jazdy.

Ludzie kierujący brytyjską siecią kolejową trochę luźniej podchodzą do kwestii przewożenia ludzi z miejsca w miejsce. Niedługo po naszej przeprowadzce do Norfolk w 2003 roku automat na dworcu King’s Cross w Londynie nie chciał mi sprzedać biletu do Wymondham, ustawiłem się więc w długiej kolejce i w końcu miałem okazję wyjaśnić swój problem mężczyźnie, który odpowiedział kiedyś na następujące ogłoszenie spółki British Rail: „Poszukujemy nieprzyjemnego smutasa do kontaktów z klientami”.

— Musi pan iść na Liverpool Street, żeby dojechać do Wye-mund-ham — powiedział beznamiętnym tonem, błędnie wymawiając nazwę. (Poprawna wymowa brzmi *lindum*). — Pociągi do Wye-mund-ham stąd nie odjeżdżają.

— Od miesiąca jeżdżę stąd do Wymondham przez Cambridge.

— Nie może pan — powiedział.

— Chodzi panu o to, że jest to fizycznie niemożliwe czy zabronione?

— Jedno i drugie.

— Kiedy ja od miesiąca to robię. Proszę popatrzeć — powiedziałem i wyjąłem z kieszeni stary bilet z jednoznacznym tekstem: „Wymondham do stacji londyńskich via Cambridge”.

Obejrzał bilet, ale odrzucił ten wniosek dowodowy.

— To jak będzie? — zapytał. — Ludzie czekają.

— Poproszę bilet w jedną stronę do Cambridge — westchnąłem.

— Stamtąd nie dostanie się pan do Wye-mund-ham — obiecał mi złowieszczym tonem.

— Zaryzykuję — odparłem, a on wzruszył ramionami i dał mi bilet do Cambridge, gdzie kupiłem bilet do Wymondham, ale spóźniłem się na pociąg, który odjechał, kiedy ja stałem w kolejce po bilet do Wymondham. Napisałem zażalenie i kiedy następnym razem udałem się do automatów biletowych na dworcu King's Cross, pozwoliły mi kupić bilet do Wymondham. A zatem dzięki mnie możecie dzisiaj podróżować z King's Cross do Wymondham, aczkolwiek wam tego nie zalecam, bo gówno tam jest do oglądania. Pod tym względem Wymondham przypomina Belgię.

Powody do rozmyślań o tym wszystkim miałem następnego dnia rano, kiedy rażno zeskoczyłem z pociągu z Lytham do Preston, zamierzając się przesiąść na pociąg o dziesiątej czterdzieści pięć do Kendal. Trzymałem w ręku kartkę z instrukcjami, które wskazywały, że plan jest rozsądny, ale na monitorach ani wiszących na ścianach rozkładach nie było pociągu z dziesiątej czterdzieści pięć, ani do Kendal, ani do żadnej innej stacji. Poszedłem więc do informacji i zapytałem o to mężczyznę w okienku.

— Ach — powiedział z błyskiem w oku, jakbym poruszył jakąś niezwykle interesującą kwestię. — Ten z dziesiątej czterdzieści pięć do Kendal jest podany

jako z dziesiątej trzydzieści pięć do Blackpool North.

Wpatrywałem się w niego przez dłuższą chwilę. Głos w mojej głowie mówił: „Jeśli ktoś się spodziewa pociągu o dziesiątej czterdzieści pięć do Kendal i słyszy, że tak naprawdę to jest pociąg z dziesiątej trzydzieści pięć do Blackpool North, może dostać wylewu”.

— Ale dlaczego? — dociekałem.

— Widzi pan, bo pociąg dzieli się tutaj na dwie części. Połowa jedzie do Blackpool North, o dziesiątej trzydzieści pięć. W tym momencie pozostała część składu staje się pociągiem z dziesiątej czterdzieści pięć do Windermere, który zatrzymuje się w Kendal. Na monitorach brakuje miejsca, żeby to wszystko pokazać, więc nie umieszczamy wszystkiego, żeby nie dezorientować pasażerów.

— Ale ja jestem zdezorientowany.

— I na tym polega problem! — zgodził się ze mną entuzjastycznie. — Próbując uniknąć zamętu, jeszcze go pogłęбилиśmy. Prawie codziennie przychodzą do mnie ludzie i pytają, gdzie jest pociąg z dziesiątej czterdzieści pięć. Pokazać panu, gdzie trzeba stanąć?

— Byłoby mi bardzo miło.

Odprowadził mnie na peron trzeci i ustawił w bardzo konkretnym miejscu.

— Pociąg przyjedzie o dziesiątej dwadzieścia osiem. Pod żadnym pozorem nie wolno panu wsiadać do żadnego z pierwszych czterech wagonów, bo wyląduje pan w Blackpool North.

— Właśnie stamtąd przyjechałem.

Pokiwał znacząco głową.

— Tym bardziej. Musi pan wsiąść do jednego z ostatnich czterech wagonów.

— Czyli mam stać w tym miejscu? — zapytałem, pokazując na swoje stopy, tak jakby przesunięcie się o kilka centymetrów w prawo lub w lewo mogło doprowadzić do katastrofy.

— Tak jest, i proszę nie wsiadać do następnego pociągu ani jeszcze następnego, tylko do trzeciego z kolei. — Spojrzał na mnie z lekko zatroskaną miną. — Wszystko w porządku?

Pokiwałem stanowczo głową, a potem stałem i czekałem. Na przeciwległym peronie zobaczyłem niewielką grupę trainspotters z podkładkami i notatnikami. Wszyscy wyglądali jak ludzie, którzy nigdy nie uprawiali seksu z niczym, czego nie można później schować do szafy. Próbowałem sobie wyobrazić, jak wygląda reszta ich życia, skoro jazda pociągami wyczerpuje część rozrywkową, ale mnie to przerosło.

Przejechały dwa pociągi, a potem migocący monitor potwierdził, że następny będzie pociąg z dziesiątej trzydzieści pięć do Blackpool North, ale ma dwie minuty opóźnienia. Przyszło więcej ludzi, wielu w towarzystwie pracownika stacji, który ustawiał ich w konkretnym miejscu, usilnie pokazując na stopy. Możecie sobie zatem wyobrazić falę konsternacji, która przetoczyła się przez peron, kiedy o dziesiątej dwadzieścia dziewięć przyjechał jakiś pociąg. Nasz pociąg z nawiązką odrobił opóźnienie czy jest to zupełnie inny pociąg? Skąd mamy to wiedzieć? Nie widzieliśmy wokół siebie żadnych pracowników kolei, a bałem się opuścić swoje miejsce, ponieważ surowo mi tego zakazano, ale na szczęście stojący za mną mężczyzna zgłosił się na ochotnika, że pójdzie się dowiedzieć. Poszedł i wszelki ślad po nim zaginął. Po kilku minutach wsiadłem do tego pociągu i siedząca w wagonie starsza para zapytała mnie nerwowo, czy to jest pociąg do Windermere.

— Tak mi się wydaje — powiedziałem, zajmwszy miejsce naprzeciwko nich — ale powinniśmy być gotowi do natychmiastowego wyskoczenia.

Pokiwali głowami i chwycili mocno za torby. Chwilę później zakomunikowano przez głośniki, że istotnie jest to pociąg do Windermere, a pasażerowie, którzy wybierają się do Blackpool North, powinni się przesiąść do jednego z czterech pozostałych wagonów. Jeden mężczyzna z naszego wagonu pospiesznie się ewakuował.

Moi nowi przyjaciele okazali się małżeństwem z Widnes, które jechało na wycieczkę do Windermere. Przygotowali piknik złożony wyłącznie z rzeczy, które wymagają mnóstwa uwagi: buteleczki z nakrętkami, plastikowe pojemniki, które trzeba otwierać w odpowiedniej kolejności, miniaturowy słoiczek dżemu, którego zakrętka otwierała się z przyjemnym *pok*. Mieli dwa jajka na twardo, które bardzo

starannie obrali, układając fragmenty skorupki na serwetce z precyzją kryminologa, jakby sądzili, że może wystąpić konieczność ponownego ich poskładania. Podejrzewam, że w ten sposób wypełniali sobie czas.

Doskonale się ze sobą dogadywaliśmy. Poczęstowali mnie herbatnikiem pełnoziarnistym w czekoladzie, a ja im powiedziałem, że podczas mojej ostatniej wizyty w Lake District podróżowałem z Windermere do Wymondham, toteż wydrukowane na moim bilecie skróty brzmiały: z „WDM” do „WMD”. Podałem pod dyskusję kwestię, czy jestem pierwszą uhonorowaną w ten sposób osobą.

— Nie zdziwiłabym się — powiedziała z podziwem kobieta.

— Niedługo później jechałem z Diss do Liss — dodałem.

— Och — zachwyciła się kobieta.

— Podejrzewam, że to również niewiele ludzi robi.

— Też tak sędzę.

— To były piękne chwile — podsumowałem i wszyscy pograżyliśmy się w rozmarzonym milczeniu.

Z moimi nowymi przyjaciółmi pożegnałem się w Kendal, gdzie miałem zarezerwowany samochód, ponieważ z Lake District poruszanie się komunikacją publiczną jest praktycznie niemożliwe. Kiedy nadeszła epoka kolei żelaznej, poeta William Wordsworth i inne osoby o wyrafinowanym i romantycznym usposobieniu zajadle się sprzeciwiały inwazji kolejowego hałasu i dymu, a także wycieczkowiczów z ostatnich warstw społecznych do ich hołubionych dolin, toteż kolej dociera tylko do granicy Lake District. Dzięki temu nigdy tam nie powstały gigantyczne fabryki i wielkomięjskie dżungle, ale z drugiej strony współczesny podróżny właściwie nie ma wyboru, jak tylko poruszać się samochodem.

Postanowiłem objechać jeziora od zachodu, od strony morza, czyli znacznie spokojniejszą trasą niż przez Windermere i Ambleside. Dwadzieścia minut później zmierzałem do przyjemnego starego letniska Grange-over-Sands na północnym brzegu zatoki Morecambe. Kiedy moje dzieci były małe, dużo jeździliśmy do

Grange; była to miejscowość z prostymi rozrywkami — tratwy na pych, huśtawki i śliczny mały park z jeziorkiem i kaczkami, które można było karmić, a także sympatyczną herbaciarnią, do której mieliśmy wielką słabość. Od wielu lat nie byłem w Grange i z radością zobaczyłem, że miejscowość nadal jest urodziwa, chociaż liczba wakacjuszy i zlikwidowanych sklepów nie napawa optymizmem. Po stronie plusów należy zapisać, że Higginson's of Grange, najlepszy rzeźnik i producent pasztecików na świecie, nadal funkcjonował i przyciągał tłumy klientów. Kupiłem pasztecik z wieprzowiną, poszedłem do parku i znalazłem ławkę z nadwodnymi widokami na Morecambe. Paszteciki były pyszne. Brytyjczycy to z pewnością jedyny naród na świecie, który potrafi udanie wykorzystać flegmę do celów kulinarnych.

Morecambe Bay być może jest najpiękniejszą zatoką w Wielkiej Brytanii. Podczas odpływu znika z niej większość wody. Można stać na piasku w miejscu, w którym całkiem niedawno było dziesięć metrów wody i na odwrót. Powodów do zmartwienia nastrocza to drugie zjawisko, ponieważ przyływ nadchodzi bardzo szybko, ale nie równą tyralierą jak armia najeźdźców, lecz strużkami i potokami, które mogą cię otoczyć i odciąć od brzegu. Zdarza się, że ktoś idzie na spacer i za późno zauważa, że znajduje się na wielkiej, ale stopniowo się kurczącej mieliźnie. Największa tragedia miała miejsce w lutym 2004 roku, kiedy co najmniej dwudziestu jeden zbieraczy małży — nikt nie zna dokładnej liczby, bo wszyscy byli nielegalnymi imigrantami z Chin — utonęło w zatoce, ponieważ źle ocenili tempo przyływu albo nie zdawali sobie sprawy z tego zjawiska. Za zebrane małże płacono im dziewięć pensów od funta.

Kilka lat temu nakręciłem serial telewizyjny oparty na *Zapiskach z małej wyspy*, co wymagało dwóch miesięcy podróży po kraju z ekipą filmową. Pewnego dnia przyjechaliśmy do miejscowości, której nie rozpoznałem.

— Gdzie my jesteśmy? — zapytałem.

— W Barrow-in-Furness — odparł mój przyjaciel i producent Allan Sherwin pogodnym tonem.



Przez te spędzone razem z nim tygodnie zorientowałem się, że umysły producentów działają inaczej niż umysły normalnych ludzi.

— Dlaczego jesteście w Barrow-in-Furness, Allan? — zapytałem.

— Bo w Bolton się nie dało, stary — powiedział.

— Słucham?

— Nie udało nam się uzyskać pozwolenia na filmowanie w Bolton.

— I zamiast tego wybrałeś Barrow-in-Furness?

Zmarszczył brwi i zaczął wyliczać na palcach uzasadnienia dla tej decyzji.

— To jest miasto w północnej Anglii. Przemysłowe. Przeżywa kryzys. Nazwa zaczyna się na B. Spełnia wszystkie kryteria, co nie?

— Nigdy tutaj nie byłem. Nie pisałem o Barrow-in-Furness w mojej książce.

— Jasne, ale tutaj pozwolili nam filmować — wyjaśniał mi cierpliwie i uściśnął przyjaźnie ramię. — Wymyślisz, co masz powiedzieć. Będzie super.

Filmowaliśmy więc przez jeden dzień w Barrow-in-Furness, ale kompletnie nic nie zapamiętałem o tym mieście, więc pomyślałem, że skoro już jestem w okolicy, to sprawdzę, czy coś mi się przypomni.

Barrow-in-Furness zalicza się do tych angielskich miejscowości, w których diabeł najgłośniej mówi dobranoc. Stoi na własnym półwyspie kilometry od czegokolwiek, a drogi dojazdowe są bardzo wolne. Kiedyś funkcjonował tu przemysł — tutejsza huta stali, dawno zlikwidowana, była największa na świecie, ale dzisiaj miejscowość słynie z tego, że jest zapomniana i pogrążona w kryzysie. W słoneczne przedpołudnie nie wyglądała aż tak źle. Zaparkowałem auto na skraju dzielnicy biznesowej i wyruszyłem zwiedzać. Ulice były szerokie, czyste i zabudowane imponującymi kamienicami z czerwonego piaskowca, świadectwami epoki wielkości miasta. Na każdym skrzyżowaniu było rondo z kwiatami i pomnikiem jakiejś zapomnianej znakomitości. Przez jezdnię nie byłem w stanie odczytać napisów, a nie zamierzałem narażać się na wpadnięcie pod samochód tylko w celu uzyskania informacji, że patrzę na posąg Josiaha Gubbinsa, wynalazcy klapy dla kotów. Podsumowując, obrzeża Barrow-in-Furness wyglądały w porządku — czyste, względnie zamożne, szanujące swoją przeszłość. Jednak im

dalej w las, czyli do centrum, tym gorzej to wyglądało.

Osią dzielnicy biznesowej była długa, kręta ulica zamknięta dla ruchu, na której panował spory tłok, aczkolwiek odnosiłem wrażenie, że ludzie raczej spotykają się tam ze sobą, niż robią zakupy. Wszędzie stały kilkusobowe grupki mężczyzn, prawie bez wyjątku wytatuowanych i groźnych z wyglądu, co skojarzyło mi się z więziennym wybiegiem. Na co drugim albo co trzecim budynku wisiała tablica „do wynajęcia”. W oknie pogrążonego w ciemnościach sklepu Savers, należącego do sieci dyskontów kosmetycznych, wisiała informacja odsyłająca do najbliższej filii w Morecambe. Jeżeli ktoś ci mówi, że w Morecambe przyjemniej zrobisz zakupy, to powinieneś sobie uświadomić, że sięgnąłeś dna.

Wstąpiłem do kawiarni Costa i nagle, dosyć zaskakująco, znalazłem się w świecie elegancko ubranych, normalnie funkcjonujących społecznie ludzi. Wzmocniłem się kawą, a następnie wróciłem na więzienny wybieg, dotarłem do końca strefy pieszej i wkroczyłem do swoistego lasu tablic „do wynajęcia” oraz mężczyzn z genetycznie agresywnymi psami, które szarpały za smycze — doszedłem do wniosku, że wykorzystałem już całą pulę przyjemnych rozrywek w centrum Barrow-in-Furness. Wróciłem do samochodu i wyruszyłem do bardziej znajomej Kumbrii, z owcami, zielonymi wzgórzami i psami, które można pogłaskać bez ryzyka utraty dłoni.

---

<sup>9</sup> Święto światła (ang. Illuminations) — co roku na początku września ośmiokilometrową promenadę w Blackpool ozdabia się ponad pięciuset tysiącami żarówek.

## Rozdział 23

# Jezióra

**W** 1957 roku Wielka Brytania z mnóstwem rzeczy doskonale sobie radziła. Wciąż produkowała około jednej piątej wszystkich towarów przemysłowych świata. Posiadała rekordy prędkości na ziemi, na morzu i w powietrzu, a teraz odzyskała rekord w biegu na jedną milę: w lipcu tego roku Derek Ibbotson odebrał go Australijczykowi Johnowi Landy’emu z czasem trzy minuty pięćdziesiąt siedem i dwie dziesiąte sekundy.

Brytyjski przemysł lotniczy zajmował drugie miejsce na świecie po amerykańskim. Komputer Ferranti Atlas był najszybszy na świecie — szybszy nawet od wyprodukowanego przez IBM. Wielka Brytania właśnie zbudowała bombę wodorową — co przekraczało bojowe możliwości intelektualne wszystkich innych krajów poza Stanami Zjednoczonymi i Związkiem Sowieckim. W Sellafield na wybrzeżu Kumbrii postawiła pierwszą na świecie działającą elektrownię jądrową.

Dopiero kiedy przeczytałem trochę na ten temat przed obecnym etapem podróży, zdałem sobie sprawę z niezwykłych osiągnięć Wielkiej Brytanii w dziedzinie atomistyki. Jak się okazuje, w 1944 roku, kiedy druga wojna światowa dogasała, Winston Churchill i Franklin Roosevelt podpisali porozumienie, w ramach którego oba kraje zobowiązywały się do powojennej wymiany informacji na temat rozwoju broni i energii jądrowej. Ale potem Roosevelt zmarł i dwa lata później Kongres uchwalił ustawę McMahona, na mocy której udzielanie jakichkolwiek informacji na temat wykorzystywania — również pokojowego — energii jądrowej stronom trzecim, nie wyłączając Wielkiej Brytanii, podlegało karze śmierci. Wielka Brytania musiała zatem rozwijać energetykę jądrową i budować bomby wodorowe

całkowicie niezależnie. Robiła to szybko i skutecznie, co wymownie świadczy o jej ówczesnej potędze.

A zatem z nadejściem 1957 roku Wielka Brytania była światowym liderem, ale potem wszystko się posypało, przy czym proces ten miał swój początek w Sellafield (ówczesnym Windscale). W październiku 1957 roku, podczas rutynowych prac konserwacyjnych, reaktor się przegrzał i w jego wnętrzu wybuchł pożar, po czym szybko się okazało, że nikt nie wie, co należy zrobić. Rdzeń reaktora w Sellafield był chłodzony powietrzem i zakładano, że nie może się przegrzać, toteż nie istniała procedura awaryjna na wypadek, gdyby jednak doszło do czegoś takiego, a dalsze chłodzenie reaktora powietrzem oznaczałoby podsycając płomieni. Pozostawało gaszenie pożaru wodą, ale nikt nie wiedział, co się stanie, kiedy rozgrzany rdzeń reaktora poleje się wodą. Istniały obawy, że doprowadzi to do wybuchu — wprawdzie termicznego, a nie jądrowego, ale materiał radioaktywny dostałby się wysoko do atmosfery i skaził rozległe obszary Europy i Północnego Atlantyku. Trzeba byłoby ewakuować co najmniej Lake District i kilkaset kilometrów kwadratowych Kumbrii na wiele lat, a może nawet dekad, bo stałyby się strefą zakazaną dla ludzi. Jeden z najcudowniejszych krajobrazów świata zostałby utracony na co najmniej jedno pokolenie. Koszty wizerunkowe i finansowe dla Wielkiej Brytanii byłyby kolosalne.

Ostatecznie woda zadziałała jak należy i do wielkiej katastrofy nie doszło. Kilka skopków mleka trzeba było wylać, a owce przez kilka lat świeciły w ciemnościach, ale generalnie udało się z tego wyjść obronną ręką. Był to jednak gigantyczny cios wizerunkowy, który oznaczał, że Brytyjczycy utracili zaufanie do energii jądrowej i inaczej niż Francuzi nie wykorzystują jej na większą skalę.

Muszę powiedzieć, że nie mam ani odrobiny zaufania do przemysłu jądrowego od czasu, kiedy kilka lat temu przeczytałem w „New Yorkerze” artykuł o wielkich zakładach Hanford w stanie Waszyngton. Kombinat ten jest być może najbardziej nieodpowiedzialnym osiągnięciem człowieka współczesnego. W latach 1943–1980 zakłady w Hanford wypuściły miliony litrów płynnych odpadów zawierających

stront, pluton, cez i sześćdziesiąt trzy inne niebezpieczne toksyczne substancje do wód gruntowych dorzecza Kolumbii. Część emisji była przypadkowa, ale większość zamierzona. Inżynierowie z Hanford zatruli wodę, a potem bezwstydnie przekonywali, że jest zdrowa i czysta, powołując się na testy na łososiach i przekonując, że aby napromieniowanie osiągnęło wykrywalny poziom, trzeba byłoby zjeść setki kilogramów łososa na jednym posiedzeniu. Zachowali jednak dla siebie informację, że łososie nic nie jedzą, kiedy przebywają w rzece Kolumbia, ponieważ przypływają tutaj tylko na tarło, które trwa za krótko, żeby pochłonęły znaczące ilości radiacji. Z drugiej strony, o czym naukowcy również wiedzieli, ale nie podzielili się tą wiedzą ze społeczeństwem, u wielu innych wodnych istot — skorupiaków, planktonu, alg i wszystkich ryb przebywających w rzece na stałe — stężenie radioaktywności średnio sto tysięcy razy przekraczało naturalny poziom. Przeuroczy ludzie.

Czytałem to wszystko z bolesnym zdumieniem — naprawdę nie zdawałem sobie sprawy, że Amerykanie mogą tak oszukiwać innych Amerykanów — i miałem nadzieję, że przykład brytyjski okaże się mniej skandaliczny. Tymczasem jeśli jest mniej skandaliczny, to niewiele. Brytyjscy urzędnicy zachowywali się może nie tak arogancko, ale nie mniej obłudnie. W 1972 roku Wielka Brytania i inne mocarstwa jądrowe świata podpisały tak zwaną Konwencję Londyńską, która zakazywała usuwania silnie skażonych odpadów radioaktywnych do morza z pokładów statków. W porozumieniu nie wspomniano jednak o rurociągach, więc Wielka Brytania pompowała nieznaną ilość ton niebezpiecznych odpadów do Morza Irlandzkiego, bez większego wyobrażenia i troski o konsekwencje. Według Jacoba D. Hamblina, ekologa z Uniwersytetu Stanowego w Oregonie, do końca lat osiemdziesiątych kierownictwo elektrowni Sellafield naraziło całą Europę na działanie większych ilości radiacji niż „wszystkie inne zakłady nuklearne, testy jądrowe, katastrofa w Czarnobylu i hermetycznie zamykane odpady stałe”, a jednocześnie przekonywało, że wiernie stosuje się do porozumienia londyńskiego.

W Sellafield do dzisiaj jest mnóstwo toksycznych materiałów, w tym największe

na świecie zapasy plutonu (dwadzieścia osiem ton), ale nikt nie wie dokładnie, co się tam pałęta, ponieważ dokumentację prowadzono bardzo nierzetelnie. Według „Observera” obiekt B30 w Sellafield to najbardziej niebezpieczny budynek w Europie, a jego sąsiad zajmuje drugie miejsce na tej liście. W obu tkwią powoli ulegające rozpadowi radioaktywnemu pręty paliwowe i skażone kawałki metalu i maszyn.

W czerwcu 2014 roku brytyjski Nuklearny Urząd Likwidacyjny (trudno o bardziej złowieszczą nazwę) ogłosił, że koszty neutralizacji odpadów nuklearnych w Sellafield wyniosą siedemdziesiąt dziewięć miliardów sto milionów funtów. Dyrektor tej instytucji John Clarke powiedział dziennikarzowi „Financial Times”: „Musimy się teraz dowiedzieć, co jest w tych obiektach i jak to usunąć”.

Myślę, że mogę panu w tym pomóc, panie Clarke. Jest tam nagromadzony przez pół stulecia zabójczy, napromieniowany złom, który należało przynajmniej zarejestrować, kiedy go tam składowano. Czekał na go zadanie Clarke nazwał „podróżą odkrywczą” — raczej nie takich słów oczekujemy od szefa operacji dekontaminacyjnej.

W rezultacie koszty gospodarcze stosunkowo krótkiego funkcjonowania zakładu w Sellafield okazały się nieporównywalnie większe od korzyści, a na dodatek mamy teraz całe góry zabójczo skażonych materiałów, które pozostaną niebezpieczne przez jakiś milion lat. Nie jestem ekspertem, ale na pierwszy rzut oka wygląda na to, że ludzie nie dorośli jeszcze do tego, aby powierzać im paliwo nuklearne.

Pod koniec lat pięćdziesiątych, kiedy filmowałem wspomniany serial telewizyjny na podstawie *Zapisków z małej wyspy*, poszliśmy do ośrodka informacyjnego w Sellafield. Było to szpanerskie, pełne gadżetów muzeum, które z przekonaniem sławiło bezpieczeństwo, niezawodność i fascynującą naturę energii atomowej. Pamiętam, że ekspozycję przyjemnie się oglądało, aczkolwiek propaganda trochę raziała. Było to chyba jedyne miejsce na świecie, gdzie pluton przedstawiano jako coś sympatycznego. W tamtych czasach Sellafield odwiedzało dwieście tysięcy osób rocznie, ale później liczba ta najwyraźniej gwałtownie spadła, bo kiedy podjechałem teraz pod główną bramę Sellafield, pragnąc

odświeżyć wiedzę o zaletach energii atomowej, strażnik mi powiedział, że ośrodek informacyjny zamknięto w 2012 roku.

Rozczarowany pojechałem do St Bees.

St Bees to wieś, a także szkoła prywatna z urodziwymi budynkami na rozległych gruntach. Nie wiem, czy jest to dobra szkoła, mogę jednak powiedzieć, że lista sławnych absolwentów składa się wyłącznie z Rowana Atkinsona. Samego St Bees zawsze wyobrażałem sobie jako poczciwego człowieka w kapeluszu pszczelarskim — ukochanego przez owady patrona miodu — ale St Bees to w rzeczywistości była kobieta, irlandzka księżniczka, która uciekła w ten zakątek Kumbrii przed narzuconym jej małżeństwem z wikingiem. Nie miała nic wspólnego z pszczołami. Jej prawdziwe imię, Bega, dotarło do nas w zniekształconej postaci. Niektórzy historycy twierdzą nawet, że taka osoba nie istniała.

Wieś St Bees znajduje się na zachodnim końcu słynnego Coast-to-Coast Walk, szlaku od wybrzeża do wybrzeża, łączącego Morze Irlandzkie z Północnym, skutkiem czego z reguły kręci się tam co najmniej kilku piechurów, albo świeżych i pełnych zapału, albo wypompowywanych, zależnie od tego, czy zaczynają, czy kończą swoją wyprawę. Była to moja druga wizyta w St Bees; w 2000 roku dotarłem tam w ramach zorganizowanej przez mojego przyjaciela Jona Davidsona wycieczki w celach charytatywnych po Lake District. Jon jest profesorem biologii na Uniwersytecie Durham, lecz nigdy nie zanudza słuchaczy swoją wiedzą fachową. (To znaczy czasem trochę zanudza, kiedy wpadnie mu w oko nietypowy łupek albo coś w tym rodzaju). W 2006 roku syn Jona, Max, mój największy bohater na świecie, w wieku czterech lat zachorował na białaczkę. Trochę później jego los podzielił Jon. Nie zaraził się od Maxa — w końcu białaczka nie jest chorobą zakaźną — doszło zatem do kosmicznie tragicznego zbiegu okoliczności. Czy można sobie wyobrazić większego pecha? Na szczęście obaj wyzdrowieli i w 2010 roku Jon zainicjował wydarzenie o nazwie Max Walk, którego celem jest zbieranie funduszy na badania związane z białaczką i chłoniakiem. Pomysł polegał na tym, że on i jego wieloletni przyjaciel Craig Wilson mieli pokonać Coast-to-

Coast Walk z zachodu na wschód, a inni znajomi mogli do niego dołączać na całej trasie albo w jakiejś jej części. Mnie udało się wygospodarować czas tylko na pierwsze trzy dni, ale pozwoliło nam to przejść przez Lake District z St Bees na wybrzeżu do Patterdale — czterdzieści dwie i cztery dziesiąte mili (sześćdziesiąt osiem kilometrów i dwieście czterdzieści metrów). Morderczy wysiłek, ale pogoda była wspaniała i chyba nigdy w życiu mi się nie zdarzyło, żebym nieprzerwanie oglądał tyle piękna, a jednocześnie trzymał się za serce i błagał o litość.

Poszedłem teraz nad morze, żeby ponownie zobaczyć punkt startowy, a potem pokonałem kawałek drogi w stronę starej latarni morskiej, ale robiło się późno, a ja byłem głodny, więc wróciłem do pensjonatu i wziąłem prysznic, a następnie udałem się do lokalu Queens, żeby się posilić. Ponieważ był dzień powszedni, panowała tam przyjemna cisza. Jakaś para dumiała przy stoliku nad sztućcami, najwyraźniej czekając na przybycie jedzenia, a przy barze siedziało dwóch mężczyzn i na tym chyba koniec. Poprosiłem o piwo i zapytałem, czy mogę zamówić również jedzenie.

— Musiałby pan czekać co najmniej godzinę — odparł mężczyzna za barem ze strapioną miną. — Mamy dzisiaj urwanie głowy.

— Przecież tu nikogo nie ma! — prychnąłem.

Barman ponuro pokazał głową w stronę kuchni.

— Kucharz został zupełnie sam — powiedział takim tonem, jakby kucharz czołgał się na brzuchu ostrzeliwany przez nieprzyjaciela. Wchodzili też inni ludzie i pytali o jedzenie, ale barman odsyłał ich z kwitkiem. Skąd się bierze ten problem z jedzeniem w pubach? Wypiłem piwo i poszedłem na drugą stronę ulicy do hotelu Manor House, ale tam z kolei nie było ani jednego wolnego stolika. Pomaszerowałem więc do samej wsi, gdzie była jeszcze jedna opcja, bistro Lulu, i tam spożyłem wieczerę. Mam tylko jeden komentarz: jedzenie było pięknie opisane w menu.

Nie mając jeszcze ochoty kłaść się do łóżka, poszedłem na kolejny spacer i w nocy St Bees podobało mi się nie mniej niż za dnia. Z każdego szeregowego domku przez zaciągnięte zasłony dobywał się przytulny blask. Jedynym zgrzytem



były ciężkie żaluzje przeciwwłamaniowe na drzwiach i oknach wiejskiego sklepu, tak jakby spodziewano się ataku dywizji czołgowej Rommla. Trudno o bardziej przygnębiający obraz braku zaufania niż sklep obłożony metalem. Na ulicach - Hackney czy Toxteth wygląda to dostatecznie nieprzyjemnie, ale na wsi powinno być zabronione.

Następnego dnia rano wróciłem na drogę wzdłuż wybrzeża, biegnącą wysoko nad Morzem Irlandzkim. Niewielu odwiedzających Lake District przyjeżdża nad morze, a jest to ciekawe doświadczenie. Po jednej stronie ciągną się długie widoki marynistyczne, po drugiej górzyste pojezierze imponuje swoim ogromem i pięknem, a pośrodku widać wyjątkowo zapyziałe, biedne miasteczka — tak jakby od Barrow-in-Furness poodrywały się małe kawałki i zostały w tym miejscu wyrzucone na brzeg. Problemy tego regionu wynikają z jego izolacji. Poza likwidowanym Sellafield nie bardzo jest gdzie tutaj pracować. Po stronie plusów należy zapisać fakt, że chociaż perspektywy życiowe wyglądają ponuro, widoki rzucają na kolana.

Po drodze do Keswick przez Cockermouth zobaczyłem drogowskaz, z którego wynikało, że boczną drogą można dojechać do Loweswater. Wydawało mi się, że całkiem dobrze znam Lake District, a tutaj było jezioro, o którym nigdy nie słyszałem — a w każdym razie nie przypominałem go sobie — więc w ostatniej chwili skręciłem i pojechałem zbadać sprawę. Droga była wąska i powolna, ale otwierała przede mną zapierające dech w piersiach widoki. Całe pojezierze to bezapelacyjnie najpiękniejsze miejsce na świecie, ale ten jego zakątek bił inne na głowę. Miałem go wyłącznie dla siebie. Nie licząc paru gospodarstw rolnych, odnosiło się wrażenie, że od lat nikogo tutaj nie było. Na ekstremalnie wąskiej drodze musiałem ciągle uważać, żeby się nie otrzeć o bezzaprawowy murek, więc co chwila się zatrzymywałem, żeby odpocząć i pooglądać widoki. W końcu zostawiłem samochód na poboczu i przeszedłem około kilometra od podnóża Loweswater do sąsiedniego jeziora Crummock Water, skąpaną w słońcu majestatyczną doliną, nad którą czuwały strzeliste szczyty. Nie widziałem wokół

siebie żywej duszy. Mogłem równie dobrze zostawić samochód na środku drogi.

Byłem teraz w samym sercu Parku Narodowego Lake District. Dla Amerykanina brytyjski park narodowy to jakiś dziwoląg, ponieważ nie jest to park, tylko pewien obszar uznany za szczególnie cenny ze względu na walory widokowe, a także za sprzyjanie trzem zajęciom, którym Brytyjczycy najchętniej się oddają na prowincji: chodzeniu, jeźdźeniu na rowerze oraz drzemaniu w zaparkowanym na poboczu samochodzie. Amerykańskie parki narodowe to obszary dzikie, na których nikomu nie wolno mieszkać (nie licząc paru ranczerów), natomiast brytyjskie to zwykłe kawałki krajobrazu z gospodarstwami rolnymi, wsiami i miasteczkami targowymi oraz dużą domieszką turystów — w przypadku Lake District bardzo dużą.

W 1994 roku zbierałem materiały do artykułu dla „National Geographic” o Lake District. W tamtych czasach Krainę Jezior odwiedzało dwanaście milionów osób rocznie, a teraz cztery miliony więcej. Do Ambleside, jednego z głównych miast, przyjeżdżało do jedenastu tysięcy samochodów dziennie, a dzisiaj bywa ich ponad dziewiętnaście tysięcy. Wszyscy ci ludzie muszą się zmieścić na terenie o bardzo skromnej powierzchni. Park Narodowy Lake District ma tylko sześćdziesiąt trzy kilometry długości i pięćdziesiąt trzy kilometry szerokości. Innymi słowy, Kraina Jezior przyjmuje cztery razy więcej gości niż cztery razy większy Park Narodowy Yellowstone. W dniach urlopowego szczytu potrafi się tutaj zwalić ćwierć miliona ludzi.

Zasadniczo park bardzo dobrze sobie z tym radzi. Większość tłumów koncentruje się w kilku miejscowościach — przede wszystkim w Ambleside, Grasmere i Bowness. Wystarczy przejść kilkaset metrów dowolnym szlakiem, a często ma się całe zbocze wzgórza dla siebie. I tak właśnie teraz postąpiłem. Tuż za Buttermere natrafiłem na nieutwardzony parking, na którym stały tylko dwa samochody (w jednym z nich, nie bujam, spało dwoje ludzi), i postanowiłem wybrać się stamtąd na małą przechadzkę. Krajobraz wyglądał dziwnie znajomo i uświadomiłem sobie po zerknięciu na mapę, że znajduję się w niższych partiach Haystacks, góry, na którą w 2010 roku wszedłem z Jonem Davidsonem i jego przyjaciółmi. Od dołu przytłaczała swoim ogromem. Góry w Lake District są

niewysokie — najwyższa Scafell Pike, jakieś półtora kilometra od miejsca, w którym teraz stałem, ma dziewięćset siedemdziesiąt osiem metrów nad poziomem morza — ale muskularne i strome. Jeśli bezwiednie wejdiesz na jedną z nich, twój organizm cię o tym poinformuje.

Stara zagadka brzmi, ile jest jezior w Lake District. Odpowiedź: jedno, bo tylko Bassenthwaite Lake ma w nazwie słowo „jezioro”. Wszystkie inne akweny zaznaczają swój akwaticzny charakter za pomocą terminów „mere” (na przykład w Windermere i Buttermere), „water” (na przykład w Crummock Water i Coniston Water) oraz „tarn” (na przykład w... zresztą system jest tak prosty, że z pewnością już go rozgryźliście). Tych ostatnich są całe setki, przy czym niektóre niewiele przekraczają rozmiarami kałuże. Bardziej naukowa odpowiedź brzmiałaby zatem, że w Lake District jest szesnaście jezior i setki obiektów, które każda rozsądna osoba nazwałaby stawami. Wybór najpiękniejszego z nich to niezwykle trudne zadanie, ale dokładnie pamiętam, że patrzyłem kiedyś na Derwent Water od strony Skiddaw i pomyślałem, że tak musi wyglądać niebo. Nad samym jeziorem nigdy nie byłem i postanowiłem teraz naprawić to zaniedbanie.

Keswick, najważniejsza miejscowość nad Derwent Water, to moim zdaniem najprzyjemniejsze miasteczko Krainy Jezior. Od mojego poprzedniego pobytu główną ulicę zamknięto dla samochodów, na czym wiele zyskała. Z radością zobaczyłem, że Bryson's Tea Room (est. 1947) wciąż ma się doskonale. Zszedłem nad jezioro i przespacerowałem się kawałek wzdłuż brzegu. Krystalicznie czysta, rozmigotana woda rozpościerała się na tle poszarpanych kamiennych gór i pogryzanej przez owce trawy. Paręset metrów od brzegu jest zalesiona wysepka Derwent Island z okazałą rezydencją. Tablica informacyjna autorstwa National Trust uświadomiła mnie, że ekscentryczny osiemnastowieczny właściciel rezydencji Joseph Pocklington co roku urządzał zawody, w ramach których „mieszkańcy Keswick próbowali dokonać inwazji na wyspę, a on strzelał do nich z armat”. Widać z tego, że na pojezierzu ludzie umieją się bawić. Bardzo chętnie obejrzałbym wyspę, nawet gdyby nikt mnie nie ostrzeliwał, ale wymagałoby to jakichś specjalnych zabiegów biurokratycznych, więc zadowolilem się godziną

przechadzką wzdłuż brzegu jeziora.

Keswick lubię między innymi ze względu na liczne sklepy z ekwipunkiem turystycznym. Jest to raj dla ludzi wyznających zasadę, że im więcej goreteksu, tym lepiej. Odwiedziłem placówkę handlową George Fisher's — tamtejszy asortyment plecaków, bidonów i szeleszczących ortalionowych kurtek tak mnie zachwyił, że poczułem się zobligowany coś kupić. Wybrałem bardzo sprytny metalowy klips, którym można ze sobą połączyć dwa przedmioty — na przykład bidon i plecaczek — i najzupełniej mi nie przeszkadzało, że nie dysponowałem dwoma przedmiotami, które można by ze sobą połączyć. Mogą się kiedyś pojawić, a ja będę na to przygotowany. Ekspedient pokiwał z szacunkiem głową, rozpoznając we mnie członka bractwa, aczkolwiek z drepczącego końca spektrum.

— Wybieramy się na szlak? — zapytał.

— Na Cape Wrath — odparłem solennym tonem.

— Kawał drogi — skomentował z pełną podziwu miną.

— Tak — zgodziłem się z nim nie mniej uroczyście, licząc na to, że mnie rozpozna i przez resztę dnia będzie mówił do klientów: „Był dzisiaj u mnie Bill Bryson. Kompletował sprzęt przed ekspedycją na Cape Wrath”. Klienci odpowiedzą na to: „Rany boskie! Odważny człowiek. Chyba pójdę kupić parę jego książek”. Nie rozpoznał mnie jednak, więc moje marzenie się nie ziściło. Koło kasy stała książka zatytułowana *Peter Livesey: Opowieści o legendzie wspinaczki skałkowej*. Znałem Pete'a Liveseya. Mieszkał parę kilometrów od nas w Malhamdale w Północnym Yorkshire w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. Wiedziałem, że jest zapalonym skałkowcem, ale nie wiedziałem, że jest legendą — dał mi się za to poznać jako niezwykle skromny człowiek. Kupiłem książkę, poszedłem z nią na pierwsze piętro do małej kawiarni na zapleczu i zacząłem czytać, jednocześnie jedząc kanapkę. Sprawność i odwaga Liveseya mi zaimponowały. Dopiero teraz się dowiedziałem, że rok po naszym wyjeździe z Malhamdale zmarł na raka trzustki. Biedak miał zaledwie pięćdziesiąt cztery lata.

Oprócz mnie w kawiarni była czteroosobowa grupa klientów złożona z dwóch

małżeństw we wczesnym wieku emerytalnym, prawdopodobnie spędzali razem wakacje. Byli elegancko ubrani i mówili z wykształconymi, południowymi akcentami. Każde z nich zamówiło kawę i ciastko, toteż rachunek musiał ich wynieść jakieś dwadzieścia funtów. Kiedy wstałem do płacenia, przy kasie znajdowała się już kobieta z tej ekipy. Odebrała resztę i wrzuciła datek do miski koło kasy z napisem „Napiwki”. Miska stała trochę za wysoko, żeby pani mogła dojrzeć jej dno, więc zapewne założyła, że jej moneta zniknie w tłumie innych, ale mnie udało się sprawdzić, że w misce była tylko samotna dziesięciopensówka.

Czy to jest tylko moja obsesja, czy takie rzeczy to stałe elementy brytyjskiego życia — mam tutaj na myśli ludzi, którzy pozwalają sobie na skandaliczne zachowania, kiedy im się wydaje, że nikt na nich nie patrzy. Nie twierdzę, że cechę tę przejawiają wyłącznie Brytyjczycy albo że jest wśród nich powszechna. Twierdzę tylko, że kiedyś tego prawie nie było, a dzisiaj się to widuje na każdym kroku. Wielka Brytania, do której przed laty przyjechałem, opierała się na założeniu, że zawsze należy postępować zgodnie z zasadami, niezależnie od tego, czy ktokolwiek wie o tym, co robisz. Nie rzucało się śmieci na ziemię, nie opróżniało puszek z farbą przy krawężniku, nie pozwalało psu srać na ścieżkę ani celowo nie zajmowało dwóch miejsc do parkowania i tak dalej. Mogłeś nie zostawiać napiwku — w końcu byłeś Brytyjczykiem — ale nie udawałeś, że dajesz duży napiwek, podczas gdy w rzeczywistości wrzucałeś parę groszy. Takie dziadostwo nie wchodziło w skład ówczesnej brytyjskiej kultury. Nikomu nie przychodziło do głowy, żeby zachowywać się jak palant. Dzisiaj mnóstwo ludzi nie kieruje się tym, czy postępują słusznie, ale tym, czy ktoś ich widzi. Sumienie funkcjonuje tylko w obecności świadków. Skąd się to wzięło? Czy nie należałoby podjąć jakichś działań w sytuacji, kiedy ta choroba dotyka nawet na oko sympatycznych staruszek w kurtkach od Berghausa?

Pojechałem do Bowness-on-Windermere, stolicy i centrum turystycznego Lake District. W przewodnikach nazywają Bowness miastem tętniącym życiem, co tak naprawdę oznacza „potwornie zatłoczone”, rojne od gości, w większości

siwowłosych, którzy przechadzają się żółwim krokiem, zaglądają w witryny, nie wiedzą, co mają ze sobą zrobić między kolejnymi czajniczkami herbaty, i nie mogą się doczekać powrotu do domu. Odkąd dwadzieścia lat temu przyjechałem do - Krainy Jezior, pisząc artykuł do „National Geographic”, liczba gości wzrosła średnio o jedenaście tysięcy i większość z nich trafia do Bowness, nie bardzo wiedząc, po co tutaj przyjechali. Trzeba przyznać, że nabrzeże w Bowness bardzo ładnie się prezentuje. Windermere to największe jezioro Lake District, co go jednak pod tym względem szczególnie nie nobilituje. Ma tylko szesnaście kilometrów długości, niecałe osiemset metrów szerokości w najszerszym miejscu i miejscami tylko parę metrów głębokości. Należy do najintensywniej zbadanych jezior świata, w dużej mierze dzięki staraniom Freshwater Biological Association, które ma tutaj swoją siedzibę i zanurza w wodach jeziora swoje sieci i zlewki już od 1929 roku, pokonując pod tym względem większość innych instytucji, które monitorują słodkowodne akweny w sposób ciągły.

Jak już być może zdążyliście sami wywnioskować, Brytyjczycy to najbardziej zapaleni badacze natury na naszej planecie. Jeżeli coś oddycha, podryguje czy choćby leży beczynnienie jak porosty, obwąchują to ze wszystkich stron. Istnieją stowarzyszenia od mszaków, wijów, równonogów, glonów, meszkowatych, mięczaków czy muchówek, no i oczywiście Brytyjskie Stowarzyszenie Porostów i kilkadziesiąt innych organizacji zbierających, konserwujących i badających maleńkie żywe stworzenia, których istnienia większość z nas w ogóle albo prawie w ogóle sobie nie uświadamia.

Kiedy używam słowa „badać”, nie wzywam imienia nauki nadaremno. W latach 1976–2012 wolontariusze z Brytyjskiego Projektu Monitorowania Motyli pokonali pięćset trzydzieści sześć tysięcy kilometrów „motylich działek” — czyli arbitralnie wyznaczonych kwadratów terenu — żeby spisać kondycję krajowych motyli. Inne organizacje z nie mniejszym zaangażowaniem liczą ćmy, nietoperze, żaby, chruściki, ważki, ziemiorkowate, słodkowodne płazińce i w ogóle wszystko, co się rusza. Istnieje nawet Projekt Rejestracji Pleśni [Mould], którego dyrektor — tak się cieszę, że mogę wam to zakomunikować — mieszka w Mold. Niektóre odkrycia

tych ludzi są ciekawsze, niż można by się spodziewać. W przydomowym ogródku w Norfolk znaleziono stonogę, której nie widziano nigdzie indziej na świecie. Gatunek mchu wcześniej zarejestrowany tylko na kampusie Uniwersytetu Stanforda w Kalifornii znaleziono również koło ścieżki w Kornwalii. Nikt nie potrafi odpowiedzieć na pytanie, jakim cudem roślina ta zamieszkuje dwa tak odległe od siebie siedliska, ale można być pewnym, że jest to przedmiot ożywionych dyskusji na bankietach wieńczących konferencje o mchach.

W związku z artykułem do „National Geographic” spędziłem przedpołudnie nad jeziorem z młodą biologką z Freshwater Biological Association i nie rozumiałem ani słowa z tego, co do mnie mówiła. Odszukałem teczkę z notatkami z tego dnia i pozwolę sobie teraz przytoczyć typowy fragment: „Ocena biotyczna — dychotomiczna? Rotifera, ostracoda, anostraca. B. trudne do zmierzenia. Perspektywy nie najlepsze. Diptera pupae. B. niepokojące!”.

W końcu przestałem robić notatki, a później w ogóle przestałem jej słuchać i delektowałem się widokami, a ona bez przerwy trajkotała i zanurzała w wodzie pojemniki. Naszą łodzią sterował strażnik parkowy Steve Tatlock, który mi powiedział, że w okresach największego ruchu turystycznego po Windermere może pływać nawet tysiąc sześćset motorówek — oszałamiająca liczba jak na tej wielkości jezioro, wszystkie pędzą jak szalone, wiele ciągnie za sobą narciarzy wodnych i przecina flotyllę żaglówek, łodzi wiosłowych, kanadyjek, dmuchanych materaców, a nawet wytrzymałych pływaków, wytwarzając hałas, zagrożenie i dokuczliwe, przyprawiające o chorobę morską fale. Anglia nie dysponuje zbyt wieloma jeziorami i po większości z nich nie wolno pływać motorówkami, więc może nie należy się dziwić, że ludzie dostają świra, kiedy mają możliwość otworzyć przepustnicę na Windermere.

Tatlock mnie zapytał, czy chciałbym przeżyć to, co przeżywają narciarze wodni. Oczywiście, że chciałem. Kazał pani biolog schować rzeczy do plecaczka, a potem dodał gazu i pomknęliśmy z prędkością normalnie widywaną tylko w kreskówkach, skakaliśmy po wodzie, ledwo dotykając jej powierzchni. Wyglądało to po piracku, ale ze względu na wczesną porę mieliśmy kilka hektarów wody wyłącznie dla

siebie.

— Wyobraźcie sobie, że tysiąc sześćset innych motorówek robi to samo — krzyknął Tatlock — na pełnym gazie pływają we wszystkich kierunkach. Kompletne szaleństwo.

W 2005 roku, po trzydziestu latach sporu, na Windermere wprowadzono ograniczenie prędkości do dziesięciu mil na godzinę, co uczyniło jezioro znacznie atrakcyjniejszym dla tych, którzy cenią sobie ciszę i spokój. Jednak dla wszystkich istot, które żyją w jeziorze i wokół niego, rzeczywistość przedstawia się mniej różowo. Często dochodzi do wykwitów alg, a liczebność ryb od lat spada. Zresztą w całym kraju natura ma coraz bardziej pod górkę. W 2013 roku konsorcjum organizacji ekologicznych opublikowało raport zatytułowany *Stan natury*, w którym stwierdzono, że maleje liczebność około dwóch trzecich brytyjski gatunków roślin i zwierząt, w niektórych przypadkach w niebezpiecznym stopniu. Od końca lat sześćdziesiątych liczba ptaków lęgowych spadła o czterdzieści cztery miliony. W dłuższym okresie z brytyjskiego krajobrazu zniknęło czternaście gatunków mchów i przyłaszczek, a także dwadzieścia trzy gatunki pszczoł i os. Jak się okazuje, z liczeniem swoich zasobów naturalnych Wielka Brytania radzi sobie doskonale, lecz z ich ochroną już trochę gorzej.

Muszę jednak przyznać, że w tamtym dniu wszystko wyglądało pięknie i zdrowo. Woda przy brzegu była czysta, a owady, które śmigały nad jej powierzchnią, sprawiały wrażenie szczęśliwych, w każdym razie na moje oko, pod tym względem z pewnością niezbyt fachowe. Dotarłem do przystani promu, który pływa do Sawrey, i tam również zajrzałem do wody. Na dnie leżało puste opakowanie po papierosach. Wyłowiłem je, otrząsałem z wody i rozejrzałem się za koszem na śmieci, ale żadnego nie było, więc westchnąłem, wycisnąłem opakowanie z grubsza do sucha i schowałem do kieszeni. Uświadomiwszy sobie, że nie potrafię wiele więcej zdziałać w kwestii stanu natury w Windermere i w ogóle większości innych trapiących naszą planetę problemów, wróciłem do samochodu i pojechałem dalej.



# Yorkshire

**N**oc spędziłem w Kirkby Lonsdale, nieoficjalnej stolicy Doliny Lune. O tym niezwykle pięknym regionie mało kto słyszał, ale to samo można powiedzieć o wielu innych obszarach tej części kraju. Lake District i Parki Narodowe Yorkshire Dales tak bardzo dominują w powszechnej wyobraźni, że reszta północno-zachodniej Anglii lokuje się w błogiej nieświadomości. Pojedź do Forest of Bowland czy Eden Valley, a będziesz je miał prawie wyłącznie dla siebie. Dolina Lune pod względem widokowym nie ustępuje Lake District (aczkolwiek nie ma tutaj żadnego jeziora) czy pobliskim Dales, ale czy ktokolwiek słyszał o Dolinie Lune?

Kirkby Lonsdale to sympatyczne, zamożne i zwarte miasteczko. Kiedyś roilo się tutaj od sklepów ze swetrami z miejscowej wełny, galeriami rzemiosła i tym podobnymi, w większości wypartymi przez restauracje i kawiarnie, co zapewne odzwierciedla dzisiejsze preferencje świata.

Następnego dnia rano pojechałem do Sedbergh, atrakcyjnego miasta, które leży w granicach administracyjnych Kumbrii, ale historycznie należy do Yorkshire, a dokładnie do regionu West Riding. Sedbergh jest znane przede wszystkim jako siedziba istniejącej od XV wieku szkoły prywatnej o takiej samej nazwie, ale ostatnio walczy o renomę „angielskiej stolicy księgarskiej”, ponieważ dysponuje jedną dużą, znakomitą księgarnią połączoną z antykwariatem i kilkoma innymi, mniejszymi placówkami księgarskimi. Jest tam też niezgorszy sklep turystyczny, znakomity sklep żelazny, trochę kawiarni i delikatesów — jednym słowem, więcej niż można by oczekiwać od małej i położonej na uboczu miejscowości. W całym miasteczku udało mi się znaleźć tylko jeden naprawdę brzydki budynek, siedzibę

British Telecom. Zastanawiam się, czy istnieje albo istniała firma, która przyniosła światu więcej szpetoty i ogólnego niezadowolenia. Ktoś musi mi wyjaśnić, jak to jest, że BT nie umie przesyłać sygnału szerokopasmowego z jednego pokoju do drugiego w Hampshire, ale jeśli zadzwonisz z reklamacją, błyskawicznie połączy cię z drażliwym gościem w Bengaluru. Ale to jest oczywiście zupełnie inna sprawa.

Poszedłem na kawę do kawiarni na głównej ulicy. Lokal ten najwyraźniej wziął sobie do serca kwestię księgarskiej stołeczności, bo dawał klientom do dyspozycji książki do czytania podczas konsumpcji. Natychmiast wpadła mi w oko pozycja zatytułowana *You Only Live Once* [Żyje się tylko raz] autorstwa brytyjskiej bogini numer jeden Katie Price. Być może żyje się tylko raz, jak przenikliwie zauważa pani Price (zresztą w sprawach o egzystencjalnym wymiarze bardzo niewiele uchodzi jej uwadze), ale niektórym ludziom świadomość ta najwyraźniej nie przeszkadza w nieustannym powtarzaniu tej mądrości. Jak się z zaskoczeniem dowiedziałem, była to jej piąta autobiografia. Niemalé osiągnięcie, jeśli zważyć, że pani Price ma jakieś dwadzieścia pięć lat (choć niektóre jej narządy mogą być trochę starsze). Oprócz wciągających propozycji autobiograficznych pani Price napisała również pięć powieści. A przecież działalność pisarska jest tylko dodatkiem do prowadzenia międzynarodowego imperium biznesowego i przemierzania drogi życiowej z piersiami, z których każda waży ze trzydzieści kilo.

Książka *You Only Live Once* dotyczyła tylko pewnego wycinka bogatego i burzliwego życia pani Price, ale we fragmencie tym zmieściły się dwa małżeństwa, trochę dzieci i szereg związków. Rozdział pierwszy, zatytułowany *Za bardzo zakochana*, zgrabnie wszystko podsumowywał. Bardziej intrygująco zatytułowany był rozdział szósty, *Pink Up My Pony* [Doróżuj mojego kucyka]. (Zdecydowanie dla mnie za trudne, dopiero co zjadłem śniadanie). Książka dotyczyła przede wszystkim małżeństwa autorki z Alexem Reidem. Poznali się zapewne w dżungli na antypodach w związku z programem telewizyjnym Channel 5 zatytułowanym *Jem robaki za pieniądze* (zgaduję na podstawie zdjęć). Pobrali się w lutym 2010 roku, a jedenaście miesięcy później wzięli rozwód. Moje

młodzieńcze pryszcze przetrwały dłużej.

Sprawdziłem, kto opublikował ten wspomnieniowy klejnot literatury, i okazało się, że Random House, mój osobisty wydawca. Należałem do rodziny Katie Price. Byliśmy poślubieni jednemu koncernowi. Czy wydawnictwo zaprosiło mnie na choćby jeden wieczór autorski pani Price? Chciałaby dusza do raju.

\*

Teraz przejdźmy do Yorkshire. Kocham Yorkshire i jego mieszkańców. Podziwiam ich za bezpośredniość. Jak stwierdziłem w *Zapiskach z małej wyspy*, jeżeli chcesz się dowiedzieć o swoich wadach, nigdzie nie znajdziesz bardziej pomocnych ludzi. Przez osiem lat mieszkałem w Malhamdale, niedaleko obecnego miejsca pobytu, i do rzadkości należały dni, kiedy jakiś zrzędlawy tubylec nie znalazł czasu na dopomożenie mi w rozpoznaniu co najmniej jednego z moich deficytów.

Kocham Malhamdale i tęsknię za nim, ale zamiast wracać na stare śmieci, postanowiłem zwiedzić jakieś mniej mi znane obszary Dales i wybrałem się do Dentdale. Jeśli dolina ta jest z czegokolwiek znana, to jako jeden z głównych przystanków na trasie słynnej Settle-to-Carlisle Railway, bodaj najbardziej malowniczej, a jednocześnie najcudowniejszej i zbędnej linii kolejowej Anglii. Wymyślił ją w latach sześćdziesiątych XIX wieku James Allport, dyrektor generalny Midland Railway, któremu zachciało się zbudować linię kolejową do Szkocji. Linie wzdłuż wschodniego i zachodniego wybrzeża już istniały, więc Allport postanowił pójść przez środek. Można się było przebić tylko przez najbardziej ponury, odludny i pusty odcinek Gór Pennińskich, sto szesnaście kilometrów tak nieregularnego i głęboko pofałdowanego krajobrazu, że inżynierom musiał śnić się po nocach. Projekt wymagał czternastu tuneli, w tym dwuipółkilometrowego w Blea Moor, i dwudziestu jeden wiaduktów, w tym kilku potężnych. O rentowności można było z góry zapomnieć. Kiedy Allportowi i jego współpracownikom nareszcie zaświtało, że projekt jest kompletnie obłąkany, złożyli do parlamentu wniosek o uchylenie ustawy, ale posłowie sadystycznie

odmówili.

Głównym inżynierem Allport mianował młodego Charlesa Sharlanda, o którym wiadomo tylko tyle, że pochodził z Tasmanii i miał dwadzieścia parę lat. Niewyobrażalną trudność zadania, jakie przed nim postawiono, dodatkowo pogłębiał fakt, że linię trzeba było budować pośród głuszy. Sharland spał w konnym wozie i godzinami pracował w ulewnym deszczu albo zacinającym śniegu. Na dodatek był ciężko chory na gruźlicę. Jak można było przewidzieć, wszystko to go wykończyło i niedługo przed oddaniem linii do użytku wyjechał do Torquay na leczenie. Niewiele później zmarł, nie doczekawszy się przejazdu pociągu linią, którą współtworzył. Podczas pobytu w Torquay chciałem obejrzeć jego miejsce zamieszkania, ale najwyraźniej był człowiekiem za bardzo anonimowym, żeby ktokolwiek zarejestrował jego bytność w tym mieście. Ale przynajmniej mogłem się teraz przyjrzeć zbudowanej przez niego linii kolejowej.

Otwarto ją 1 maja 1876 roku i od początku służyła raczej jako kosztowna zabawka. Z przyczyn praktycznych tory nie przebiegały w pobliżu wielu miejscowości, z których pociągi miały zabierać pasażerów. Stacja Kirkby Stephen leży dwa i pół kilometra od wsi Kirkby Stephen, a stacja Dent o sześć i pół kilometra — i dwieście metrów wyżej — od wsi Dent.

Jechałem tą trasą kilka razy. Widoki na tę srogą część Dales są rewelacyjne, ale osiągnięć inżynieryjnych z pociągu za bardzo nie da się podziwiać. W tym celu trzeba stanąć obok torów. Zatrzymałem samochód pod wiaduktem w Dent Head i wysiadłem. Wiadukt o długości niecałych dwustu metrów ma dziesięć przęseł i wznosi się trzydzieści metrów nad dnem doliny. Nie brzmi to jakoś szalenie spektakularnie, ale widok w trzech wymiarach jest oszałamiający. Musiałem tak bardzo zadrzeć głowę, że straciłem równowagę i o mało się nie przewróciłem.

British Rail przez lata usiłowały zamknąć tę linię i w dużym stopniu im się to udało. Stacja Dent przez szesnaście lat była zamknięta, a wieloma innymi prawie w ogóle się nie zajmowano. Dzisiaj jednak linia ta może posłużyć za wzorzec tego, ile można osiągnąć dzięki inteligentnemu zarządzaniu i marketingowi. W każdą stronę kursuje siedem pociągów, a liczba pasażerów wzrosła z dziewięćdziesięciu

tysięcy w 1983 roku do miliona i dwustu tysięcy w 2013 roku.

Pocztówkowym symbolem linii Settle-to-Carlisle jest czterystumetrowy wiadukt Ribbleshead rozpięty nad doliną rzeki Ribble. Ma dwadzieścia cztery przęsła, a jego najwyższe punkty znajdują się trzydzieści trzy metry nad okolicznym krajobrazem. British Rail od lat chciały go zastąpić równoległym nowoczesnym mostem ze stali, ze względu na koszty utrzymania. To by oczywiście zrujnowało jeden z klasycznych widoków w Yorkshire. Na szczęście zwyciężył zdrowy rozsądek, pieniądze znaleziono i wiadukt odrestaurowano. Tu oczywiście tkwi sedno sprawy: jeśli masz mnóstwo ładnych rzeczy i chcesz je zachować, nie możesz żałować na nie kasy, bo inaczej się zmarnują. Myślę, że właśnie podsumowałem współczesną Wielką Brytanię.

Spokojnymi bocznymi drózkami jechałem przez cudowny krajobraz. Droga powoli się wspinała na wyżej położone tereny, z bardziej posępnymi i kamienistymi, ale nadal przepięknymi widokami. Kontrast między zielonymi dolinami ślicznie cętkowanymi stadami bydła mlecznego a samotnymi, szumiącymi wysoczyznami sprawia, że tutejszy krajobraz nigdy nie przestaje oczarowywać.

Na Garsdale Head, samotnej przełęczy położonej kilometry od czegokolwiek, minąłem słynną Moorcock Inn (albo Błaganie Nimfomanki, jak ją osobiście nazywam), a potem zjechałem do ruchliwego, rojnego od turystów miasteczka Hawes, przez które jako pierwszy człowiek w dziejach przejechałem bez zatrzymywania się na godzinne zagłębienie w witryny sklepowe. Pozostanie dla mnie niezgłębioną tajemnicą, dlaczego ze wszystkich miejsc na świecie ludzie wybierają akurat to. Ja wolałem Swaledale i Wensleydale, dwie spośród najbardziej urzekających dolin. Zostawiłem samochód w Thwaite i poszedłem do pobliskiej wsi Muker, ścieżką przez pastwiska bydła mlecznego, które na szczęście mnie nie molestowało. Potem wróciłem do auta i pojechałem do Askrigg, niegdyś pękającego w szwach od turystów i autokarów, ponieważ nakręcono tutaj serial telewizyjny *Wszystkie stworzenia duże i małe* na podstawie książek Jamesa Herriota, ale dzisiaj jest tu dosyć spokojnie, w związku z czym na pewno

przyjemniej się tutaj żyje, aczkolwiek trudniej się sprzedaje pamiątki, herbatę czy deseczki z dewizami życiowymi.

Kilka kilometrów za Askrigg leży znany z urody wodospad Aysgarth. Nie jest to może Niagara, ale wody rzeki Ure kilkoma małymi kaskadami spadają na kolejne stopnie z wapienia, a niedobory dramatyzmu wodospad rekompensuje urodą; poza tym zawsze przyjemnie jest popatrzeć, jak jakiś idiota wpada do wody, próbując przejść na drugi brzeg rzeki po wystających kamieniach. Podczas mojej wizyty chlupnął w odmęty jakiś młodociany kretyn, ku ubawieniu wszystkich obecnych.

W końcu dotarłem do Leyburn, pełnego samochodów miasteczka targowego. Zatrzymałem się koło restauracji na placu Penley, w której zjadłem pikantny wrap kajeński. Zadałem sobie pytanie, jakie prawdopodobieństwo William Hill przyznałby trzydzieści lat temu prognozie, że mieszkańcy miasteczek w Yorkshire będą kiedyś jedli pikantne wrapy kajeńskie.

Leyburn nie należy do najbardziej atrakcyjnych miejscowości, ale jest to punkt wypadowy do cudownego, sekretnego spaceru. Za sklepami na zachodnim krańcu rynku zaczyna się drewniana kładka o nazwie Leyburn Shawl, która ciągnie się ponad trzy kilometry wysoko nad dnem doliny Wensleydale i zapewnia wspaniałe widoki. Według legendy nazwa pochodzi o tego, że Maria, królowa Szkotów, upuściła tutaj swój szal podczas próby ucieczki z pobliskiego zamku Bolton, w którym była przez sześć miesięcy więziona w 1568 roku. Szkopuł w tym, że słowo *shawl* po raz pierwszy odnotowano w 1662 roku, kiedy dawno już nie istniała szyja Marii do owinięcia. Słownik oksfordzki nie wymienia elementu krajobrazu jako jednego ze znaczeń słowa *shawl* i chyba czas nadrobić to zaniedbanie. Życie potrafi czasem gorzko rozczarować.

Kawałek za kładką — całkiem spory kawałek, jak się okazuje — znajduje się śliczna wieś Preston-under-Scar, a dalej zaskakujący, samotny słup zwany zamkiem Bolton, który stoi jak gigantyczna zapomniana figura szachowa na zboczu wzgórza. Z przyczyn, które daleko wykraczają poza mój zakres wiedzy, zamek nazywa się Bolton Castle, a wieś u jego stóp Castle Bolton. Zamek Bolton datuje się z końca XIV wieku i emanuje swoistym srogim urokiem. Wstęp

kosztował osiem i pół funta, czyli więcej, niż byłem gotów zapłacić — z grubsza cztery razy więcej. Poza tym robiło się już bardzo późno. Uświadomiłem sobie, że jestem bardzo daleko od Leyburn. Dotarcie do zamku zajęło mi prawie dwie godziny, co oznaczało, że do samochodu dotrę po piątej, a potem czekała mnie jeszcze mniej więcej godzina jazdy. Razem wzięwszy, moje małe zboczenie z trasy, aczkolwiek bardzo przyjemne, oznaczało, że mogę się spóźnić na tańsze piwo. Pożegnałem się więc z Bolton Castle Bolton i z dodatkową sprężystością w nogach ruszyłem do Leyburn po mój niezawodny wypożyczony samochód.

Noc spędziłem w Barnard Castle, przyjemnym miasteczku targowym nad rzeką Tees w hrabstwie Durham. Przybyłem o wiele za późno, żeby zdążyć zwiedzić słynne muzeum Bowesa, co mnie zasmuciło. Zamiast tego w zapadającym zmroku pospacerowałem po miasteczku i bardzo mi się spodobało. Z zainteresowaniem zobaczyłem, że pod numerem czterdziestym piątym przy ulicy Galgate urodził się C. Northcote Parkinson, co upamiętniała tablica na ścianie domu. Nikt inny nie potrafił tak wiele wycisnąć z jednego zdania. Jego najczęściej cytowany aforyzm brzmi: „Praca rozszerza się tak, aby wypełnić czas dostępny na jej ukończenie”, i nosi nazwę prawa Parkinsona. Prawo to sformułowane zostało w przezabawnym eseju dla „The Economist” napisanym w 1955 roku, kiedy Parkinson wykladał na Uniwersytecie Malaya w Singapurze. Na podstawie tego eseju powstała niewielka książeczka zatytułowana *Prawo Parkinsona*, która stała się światowym bestsellerem, a jej autor został człowiekiem bogatym i bardziej znanym, niż ktokolwiek na to zasługuje, za jeden dosyć oczywisty pomysł. Parkinson wykladał gościnnie na Harvardzie i w Berkeley i jeździł po świecie z odczytami, za które płacono mu astronomiczne pieniądze. Napisał wiele innych książek, między innymi powieści, ale już nigdy choćby w niewielkim stopniu nie powtórzył sukcesu *Prawa Parkinsona*. Zarabiał jednak tyle pieniędzy, że uciekł do rajy podatkowego na wyspie Guernsey. Zmarł w 1993 roku w wieku osiemdziesięciu trzech lat, przez trzydzieści pięć lat nie zrobiwszy niczego ciekawego. Niemniej jednak *Oxford Dictionary of National Biography* poświęca mu tysiąc pięćset słów, a biednemu

Charlesowi Sharlandowi, zapomnianemu ojcu linii kolejowej Settle-to-Carlisle, ani jednego. Los bywa okrutny.

W Barnard Castle jest wiele pubów, z których większość wygląda całkiem obiecująco. Zajrzałem do Old Well Inn na napitek przed wieczerzą i nie pożałowałem swojego wyboru. Na sąsiednim stoliku leżało niedawne wydanie czasopisma branżowego „Pub and Bar”, które zacząłem czytać z zainteresowaniem, a potem z podziwem, ponieważ artykuły były nie tylko ciekawe, ale również sprawnie napisane — jak często mamy okazję coś takiego powiedzieć w dzisiejszych czasach? Szczególnie wciągnął mnie artykuł o pubie White Post w Rimpton Hill na granicy Dorset i Somerset. Granica między hrabstwami przebiega przez sam środek baru. W dawnych czasach, kiedy w Dorset i Somerset obowiązywały różne przepisy dotyczące sprzedaży alkoholu, z wybiciem dziewiątej wieczór ludzie musieli się przenosić z sali do sali, żeby móc legalnie pić pół godziny dłużej. Nie wiem dlaczego, ale poczułem ukłucie nostalgii za dawnymi czasami.

Później poszedłem do restauracji indyjskiej na curry i przez następne dziesięć godzin dręczyły mnie zupełnie innego rodzaju ukłucia. Nie powiem, że majaczyłem, ale miałem bardzo dziwne sny. W pewnym momencie obudziłem się z refleksją, którą wtedy uważałem za genialną i oryginalną, toteż zapisałem ją w notesie, a potem o niej zapomniałem.

Rano natrafiłem na nią przy pakowaniu. Brzmiała następująco: „Po stronie plusów należy zapisać, że Jimmy Savile zawsze będzie martwy”.

Jeżeli moja refleksja zawierała jakieś minusy, to niestety ich nie zanotowałem.



## Durham i północny wschód

**P**rzed stacją metra Gloucester Road w Londynie była kiedyś otwarta przestrzeń z dużym trawnikiem, porośniętym hardą krzewiną i otoczonym murkiem, na którym ludzie mogli usiąść, żeby zjeść kanapkę albo poczekać na znajomych. Bez rewelacji, ale przyjemne.

Pewnego dnia rada dzielnicy zlikwidowała ogródek i przekształciła otwartą przestrzeń w betonową pustynię. Kiedy tamtędy przechodziłem jakiś czas później, paru urzędników w jasnożółtych kamizelkach stało pośród wykreowanego przez siebie niedawno pustkowia i robiło notatki na podkładce z klipssem. Zapytałem ich, dlaczego zlikwidowali ogródek, i usłyszałem, że gminy nie mają środków na dalszą pielęgnację takich obiektów. A ja sobie pomyślałem: czy naprawdę już do tego doszliśmy w tej naszej skąpej, potwornie zniechęcającej epoce, którą na stałe zamieszkujemy, że nie stać nas nawet na kilka roślinek do ogródka na placu przed stacją metra?

Zarejestrujcie to pytanie w pamięci, przenieście się wraz ze mną na północ do pięknego starego miasta Durham i stańcie przed majestatyczną kamienną bryłą tamtejszej katedry. Spędziłem kiedyś przyjemne przedpołudnie oprowadzany przez katedralnego architekta Christophera Downsa. Szczerze mówiąc, to zaskoczyło mnie odkrycie, że katedra, nawet taka wielka i stara, musi zatrudniać na cały etat architekta. Stare budynki mają to do siebie, że lubią się walić i potrzeba nieustannej uwagi, żeby temu zapobiec. Poza wszystkim kamień nie jest tak długowieczny, jak mogłoby się wydawać. Po kilkuset latach działania wiatru i deszczu nawet twarde kamień zaczyna się kruszyć i pękać. A kiedy do tego dojdzie, powiedział mi Christopher, kamieniarze starannie odkuwają stary kamień i wsuwają nowy.

Zaskoczyło mnie to. Nie mogliby wyjąć starego kamienia i obrócić o sto osiemdziesiąt stopni?

Moją architektoniczną naiwność skwitował pobłażliwym spojrzeniem.

— Na głębokość kamienie mają tylko od piętnastu do dwudziestu centymetrów — wyjaśnił.

Jak się okazuje, inaczej niż sobie zawsze wyobrażałem, ściany katedry w Durham nie są zbudowane z litego kamienia, lecz składają się z dwóch warstw kamienia o podanej przez Christophera grubości rozdzielonych ponad półtorametrową przestrzenią, którą budowniczcy wypełnili gruzem i polnymi kamieniami, a następnie zalali kleistą zaprawą.

Innymi słowy, katedra w Durham, podobnie jak wszystkie inne wielkie stare budowle, to zasadniczo gigantyczna kupa gruzu przytrzymywanego dwiema cienkimi warstwami obrobionego kamienia. I tutaj pojawia się naprawdę sensacyjna wiadomość: ponieważ kleistą zaprawę wlewano między dwie nieprzenikalne bariery, powietrze nie miało do niej dostępu, toteż bardzo długo schła — około czterdziestu lat. Wysychaniu zaprawy towarzyszyło bardzo powolne osiadanie całej konstrukcji, co oznaczało, że progi, nadproża i tym podobne trzeba było poprowadzić pod niewielkim kątem i dopiero po zakończeniu czterdziestoletniego procesu osiadania budynku ustabilizowały się w idealnie poziomej pozycji. Niesamowita historia — ludzie pieczołowicie zadbali o doskonałość, której wielu z nich nie miało okazji zobaczyć.

Nie jestem ekspertem od tych spraw, ale idę o zakład, że jesteśmy dzisiaj dużo bogatsi niż w XI wieku, więc jak to możliwe, że oni znaleźli środki na wybudowanie czegoś tak wspaniałego i długowiecznego jak katedra w Durham, a nas nie stać na utrzymanie sześciu krzewinek na trawniku przed stacją metra? Moim zdaniem to jest kompletnie poronione.

Nie jestem tutaj obiektywny, ale moim zdaniem Durham to chyba najsympatyczniejsze małe miasto na naszej planecie — przyjazne, mądre, pomyślane, troskliwie konserwowane i bardzo piękne. W *Zapiskach z małej wyspy*

sformułowałem parę komplementów pod adresem Durham i tamtejszy uniwersytet dał mi doktorat *honoris causa*. Kiedy przyjechałem odebrać dyplom, powiedziałem im jeszcze trochę miłych rzeczy i zrobili mnie kanclerzem. Można więc powiedzieć, że jest to jakby moje miasto.

Poza brytyjskim światem akademickim prawie nikt nie wie, na czym polega stanowisko uniwersyteckiego kanclerza. Kiedy mój przyjaciel sir Kenneth Calman, ówczesny wicekanclerz Durham, w 2005 roku poprosił mnie o objęcie tej funkcji, moje pierwsze pytanie brzmiało:

— Co robi kanclerz?

— Ach — odparł tonem, z którego przebijała mądrość wieków. — Kanclerz jest trochę jak bidet: każdy lubi go mieć, ale nikt do końca nie wie, do czego służy.

Kanclerz jest szefem uniwersytetu, ale w praktyce nie odgrywa żadnej roli i nie ma żadnej władzy. Uczelnią naprawdę kieruje wicekanclerz.

— Twoje zadanie — powiedział mi Ken — to nie przeszkadzać, emanować życzliwością i dwa razy do roku przewodniczyć uroczystości wręczenia dyplomów.

Przez sześć lat to właśnie robiłem i byłem zachwycony. Czułem się jak Królowa Matka i Święty Mikołaj w jednej osobie.

Brytyjczycy świetnie robią sporo rzeczy, często nie zdając sobie z tego sprawy, co w największym stopniu dotyczy zapewnienia ludności wyższego wykształcenia. Porównajmy sytuację na uniwersytetach brytyjskich i amerykańskich. Jak wszyscy wiedzą, amerykańskie uniwersytety dysponują astronomicznymi środkami. Kapitał żelazny Uniwersytetu Harvarda wynosi trzydzieści dwa miliardy dolarów — więcej niż PKB większości krajów. Yale ma dwadzieścia miliardów, Princeton i Stanford po osiemnaście, a listę kosmicznie bogatych amerykańskich uczelni można by długo ciągnąć.

W moim rodzinnym stanie Iowa jest niezwykle szacowny college Grinnell, o którym poza Środkowym Zachodem prawie nikt nie słyszał, z tysiąc sześćset osiemdziesięcioma studentami i kapitałem żelaznym w wysokości półtora miliarda dolarów — czyli więcej niż wszystkie brytyjskie uniwersytety razem wzięte z wyłączeniem Oksfordu i Cambridge. W Stanach Zjednoczonych jest w sumie

osiemdziesiąt jeden uniwersytetów z kapitałem żelaznym powyżej miliarda dolarów.

A przecież dochodzą do tego gigantyczne sumy z czesnego, programów sportowych i wielu innych źródeł. Na przykład Uniwersytet Stanowy Ohio zarabia sto piętnaście milionów dolarów rocznie na programach sportowych, z czego około czterech milionów — płonę ze wstydu, kiedy to piszę — pochodzi od darczyńców. Tak, oczy was nie mylą. Ludzie dają cztery miliony dolarów drużynie futbolowej Uniwersytetu Stanowego Ohio, żeby ją było stać na lepszych zawodników — a może nawet, kto ich tam wie, na lepsze cheerleaderki. Cztery miliony dolarów to mniej więcej tyle, ile wynosi kapitał żelazny brytyjskiego Uniwersytetu Exeter. Tylko dwadzieścia sześć brytyjskich uniwersytetów może się poszczycić kapitałami żelaznymi przewyższającymi sumę, którą drużyna futbolowa Uniwersytetu Stanowego Ohio otrzymuje każdego roku od prywatnych darczyńców.

Tematem tym zainteresowałem się parę lat temu, kiedy siedziałem podczas kolacji obok kwestarza Uniwersytetu Wirginii, który wspomniał jako najnaturalniejszą rzecz na świecie, że właśnie zaczęli pięcioletnią kampanię zbierania funduszy, która miała przynieść trzy miliardy dolarów. Do realizacji tego zadania uczelnia zatrudniła dwieście pięćdziesiąt silnie zmotywowanych osób. Ich szef zarabiał pięćset tysięcy dolarów rocznie — więcej od wszystkich innych pracowników uniwersytetu poza trenerem drużyny futbolowej. Innymi słowy, Uniwersytet Wirginii przeistoczył się w potężną maszynę do pozyskiwania funduszy.

Wyznaczony cel został osiągnięty, za co niewątpliwie należy się aplauz, ale teraz trzymajcie się mocno: w rankingu „Timesa” (powszechnie uchodzącym za najbardziej miarodajny) Uniwersytet Wirginii zajmuje sto trzydzieste miejsce wśród wyższych uczelni świata. Osiemnaście znacznie skromniej finansowanych brytyjskich uniwersytetów zajęło wyższe miejsca. W rankingu „Timesa” Uniwersytet Wirginii lokuje się mniej więcej na poziomie brytyjskiego Uniwersytetu Lancaster, z tysiąc razy mniejszym kapitałem żelaznym. Czy to nie

jest zadziwiające?

Zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę, że mimo tak mizernych funduszy trzy uniwersytety brytyjskie znajdują się w światowej pierwszej dziesiątce, a jedenaście w pierwszej setce. Innymi słowy, Wielka Brytania, której mieszkańcy stanowią jeden procent ludności świata, ma jedenaście procent najlepszych uniwersytetów, a także może się poszczycić prawie dwunastoma procentami wszystkich cytowań i szesnastoma procentami najczęściej cytowanych badań.

W mojej ocenie próżno byłoby szukać innego obszaru brytyjskich działań, który przy tak małych środkach finansowych dawałby światu tak wiele korzyści. Jest to chyba najwybitniejsze osiągnięcie Brytyjczyków.

Jedno z najdziwniejszych doświadczenie w moim życiu miało miejsce na starej i nobliwej przeprawie mostowej Elvet Bridge w Durham. Zupełnie wypadło mi z pamięci, ale teraz sobie o nim przypomniałem, przechodząc przez most po drodze do katedry. Elvet Bridge datuje się na XII wiek, a na dodatek jest wąski, toteż zamknięto go dla ruchu. Często z niego korzystałem, kiedy przyjeżdżałem do Durham z okazji kongregacji (tak oficjalnie nazywa się uroczystość wręczenia dyplomów), ponieważ prowadziła przez niego droga z mojego hotelu do katedry, w której odbywały się immatrykulacje, w niezwykle podniosłej atmosferze.

Kiedy spieszyłem się do katedry na pierwszą immatrykulację, w której brałem udział, poczułem dziwne pragnienie spojrzenia w bok, nie mam pojęcia dlaczego. Dokładnie pode mną, jakieś dziesięć metrów niżej, dwie młode mamy z wózkami rozmawiały ze sobą na alejce biegnącej wzdłuż wartkiej, wezbranej od deszczu rzeki Wear. Dziecko jednej z nich weszło niezauważone na pochylnię dla łodzi. Stopień okazał się za wysoki jak na możliwości chłopczyka, który stracił równowagę i chlupnął do wody. Zanurzył się cały, a potem wypłynął poziomo z twarzą pod kilkoma centymetrami wody i z beźmiernie zaskoczoną miną. Nawiązaliśmy kontakt wzrokowy — wspólnie przeżywaliśmy ten niespodziewany moment. Chłopiec znajdował się w wirze koło pochylni, po chwili bezruchu zaczął się bardzo powoli obracać i przesuwać w stronę głównego nurtu rzeki.

Trwało to wszystko bardzo krótko, ale dla mnie — dla malca zapewne też — przebiegało jakby w paraliżującym zwolnionym ruchu i absolutnej ciszy. Patrzyłem, jak chłopczyk zmierza w objęcia śmierci. Moja twarz miała być ostatnią, jaką w życiu zobaczy. Czy chcielibyście odejść z tego świata z takim obrazem w oczach?

Po chwili czas rzeczywisty nagle powrócił i świat ponownie wypełnił się zgiełkiem. Krzyknąłem, matka się odwróciła, z wrzaskiem podbiegła do brzegu i chwyciła chłopczyka, zanim zabrał go nurt rzeki. Rozczułała się nad nim razem z przyjaciółką, ale widziałem, że nic mu nie dolega. Po kilku chwilach przyjaciółka matki spojrzała w górę i dała mi sygnał „alarm odwołany”, połączony z rodzajem podziękowania. Nic więcej nie mogłem zrobić, a poza tym byłem spóźniony, więc uniosłem dłoń i ruszyłem w dalszą drogę.

Nie jestem religijny, ale muszę przyznać, że to dosyć niesamowite: akurat w tej chwili, kiedy było to tak bardzo potrzebne, spojrzałem z mostu w dół. Powiedziałem o tym przy obiedzie jednemu z członków katedralnej kapituły, który pokiwał solennie głową i pokazał palcem ku niebu, w sensie „To Bóg go uratował”.

Przytaknąłem bez słowa, ale pomyślałem sobie: „Ale dlaczego najpierw wepchnął go do wody?”.

Za Elvet Bridge brukowana kocimi łbami Bailey Street prowadzi na Palace Green, wielki trawiasty plac, na którego jednym końcu wznosi się katedra jak góra z ciosanego kamienia, a na drugim końcu pełni wartę Durham Castle, obecnie część uniwersytetu. Wszedłem do katedry przez masywną dębową bramę i ogrom świątyni po raz dwieście pięćdziesiąty powalił mnie na kolana. Katedra bez wątplenia należy do tych budynków na świecie, które wzbudzają w człowieku pokorę.

W Kaplicy Dziewięciu Ołtarzy na wschodnim końcu katedry jest ogromna rozeta o obwodzie dwudziestu siedmiu metrów, gigantyczny witrażowy kalejdoskop z niezwykle delikatnym kamiennym maswerkiem. Jeden z członków kapituły katedry powiedział mi kilka lat temu, że podczas robót konserwacyjnych dokładnie

zmierzono wszystkie szybki witraża i wysłano uzyskane dane do firmy budowlanej, żeby w swoim superkomputerze policzyła naprężenia konstrukcyjne. Trzy tygodnie później przyszła odpowiedź, zaznaczona jako pilna: „Pod żadnym pozorem nie budujcie tego okna!”.

Spytałem o to katedralnego architekta Christophera Downsa, który uśmiechnął się wyrozumiale. Anegdota okazała się apokryficzna, ale Christopher potwierdził zawarty w niej morał: dzisiaj nikt się nie odważy zbudować takiej rozety.

— Jakimś cudem, bez komputerów i innych wyrafinowanych narzędzi, dokładnie wiedzieli, jak daleko mogą się posunąć — powiedział mi. — Aż trudno w to uwierzyć.

Rozejrzałem się teraz po katedrze, pospacerowałem po krużgankach — które tutaj noszą nazwę College — a potem wróciłem nad rzekę i leśną dróżką dotarłem do kolejnej perły architektury, Prebends' Bridge. Jest to bezapelacyjnie jeden z najbardziej urzekających widoków w Anglii — w górze katedra, a w dole rzeka Wear niespiesznie toczy swoje zielone wody. Obrazek ten niewiele się zmienił od czasu, kiedy w 1817 roku J.M.W. Turner uwiecznił go na swoim słynnym obrazie. Ludzie przyjeżdżają z całego świata, żeby zachwycić się katedrą i delektować tymi widokami, nie doceniając faktu, że wszystkie te cudowności nie potrafią zadbać same o siebie. Prebends' Bridge jest częścią zespołu katedralnego. Kilka lat temu trzeba było przeprowadzić test wytrzymałości. Dziekan katedry Michael Sadgrove powiedział mi, że samo rusztowanie będzie kosztowało sto tysięcy funtów. Zapytałem, ile wrzucają do skarbonki zwiedzający. Przeciętny turysta zostawia czterdzieści pensów, powiedział mi. Ponad połowa w ogóle nic nie daje.

Musiałem pędzić do Newcastle na bankiet, a potem czekała mnie impreza charytatywna zorganizowana przez Północny Instytut Badań nad Rakiem, heroiczną organizację, o której się dowiedziałem przez Jona Davidsona, mojego starego znajomego, który w 2010 roku przeciągnął mnie przez Lake District w ramach marszu charytatywnego z wybrzeża na wybrzeże. Instytutem kieruje profesor H. Josef Vormoor, szef katedry pediatrii na Uniwersytecie Newcastle

i jeden z najwybitniejszych brytyjskich specjalistów od chorób nowotworowych u dzieci.

Pomyślałem o Josefie, ponieważ po drodze do Newcastle słuchałem wiadomości w Radio 4 i usłyszałem, że David Cameron ponowił swoją obietnicę zmniejszenia liczby imigrantów. Zawsze nadstawiam w takich sytuacjach uszu, bo przecież sam jestem imigrantem. Jest nim również Josef, który pochodzi z Niemiec, podobnie jak jego żona Britta, jeszcze bardziej urocza od niego. Britta jest posłanką. Żałuję, że nie z mojego okręgu, bo to bardzo inteligentna i życzliwa kobieta. Krew mnie zalewa, kiedy słyszę te hasła o imigrantach.

Gdyby Josef i Britta wrócili jutro do Niemiec, rząd by to zapisał jako zysk dla kraju. Liczba imigrantów w Wielkiej Brytanii spadłaby o dwa, a tym samym kraj odrobinę by się przybliżył do pewnych wyobrażeń o doskonałości. Najinteligentniejszą znaną mi osobą jest Carlos Frenk z Uniwersytetu Durham, jeden z najwybitniejszych kosmologów świata. Ściąga do swojego instytutu największe talenty. Carlos pochodzi z Meksyku, z bajecznie bogatej rodziny, i nie przyjechał do Wielkiej Brytanii dla pieniędzy. Gdyby jutro wyjechał, to również zostałoby odhaczone jako *per saldo* zysk dla kraju. Naprawdę muszę mówić, jakie to idiotyczne?

Nie sugeruję, że Wielka Brytania nie powinna próbować kontrolować liczby ludności. Mówię tylko, że proces ten powinien polegać na czymś więcej niż tylko zwykłym liczeniu. Żona Jona Davidsona, Donna, również pochodzi z Ameryki. Też jest urocza i wybitnie utalentowana. Projektuje punkty obsługi klienta na całym świecie dla amerykańskiej firmy, czyli zarabia dolary dla brytyjskiej gospodarki, a w czasie wolnym, o czym wspominał bynajmniej nie marginesowo, pozyskuje mnóstwo pieniędzy dla Północnego Instytutu Badań nad Rakiem (NICR). Takich ludzi jak my jest całe mnóstwo. Mieszkamy tutaj dlatego, że podoba nam się ten kraj, mamy brytyjskich małżonków albo jedno i drugie. Pozwolę sobie nieskromnie powiedzieć, że dzięki nam jesteście trochę bardziej kosmopolityczni, być może nawet trochę bardziej dynamiczni i produktywni, miejscami może wręcz bardziej uroczy i wspaniali. Jeżeli uważacie, że jedynymi mieszkańcami waszego kraju



powinni być ludzie, których sami urodzicie, to jesteście idiotami.

Przy okazji: każdy z nas wrzuca więcej niż czterdzieści pensów do katedralnych puszek.

Tego wieczoru wziąłem udział w zorganizowanym przez NICR niezwykle przyjemnym bankiecie na cześć przesympatycznej pani z odzieżowego klanu Barbourów, która niezwykle szczerze zasponsorowała fundację — proponuję, żebyśmy wszyscy w najbliższym czasie kupili coś u Barboura — a następnego dnia pojechałem do Blagdon Hall, majątku gospodarzy marszu charytatywnego.

Blagdon Hall to siedziba rodowa wicehrabiów Ridley. Obecny wicehrabia jest pisarzem i poczciwym człowiekiem lepiej znanym światu jako Matt Ridley. Znam Matta od lat, ale bardzo długo nie miałem pojęcia o jego wicehrabiowskich korzeniach. Dopiero kiedy po raz pierwszy odwiedziłem go w domu i zobaczyłem stojącego w drzwiach frontowych budynku wielkości mniej więcej mojej szkoły średniej, zdałem sobie sprawę, że krew w jego żyłach prawdopodobnie nie jest czerwona.

Na młodszym etapie swojego życia Matt pracował jako dziennikarz „The Economist” i przez jakiś czas siedział w Ameryce. Opowiedział mi, że pojechał kiedyś do Iowa na prawybory i meldując się w hotelu, na ścianie recepcji zobaczył reprodukcję obrazu przedstawiającego osiemnastowieczny angielski dwór ziemiański. Matt nie miał problemów z rozpoznaniem tego obiektu, był to bowiem Blagdon Hall. Oryginał wisiał w jego domu. Matt powiedział do młodej recepcjonistki: „Pewnie mi pani nie uwierzy, ale to jest mój dom”. Zerknęła na rycinę, a potem spojrzała na niego takim wzrokiem, jakby jej właśnie powiedział, że mieszka w zamku Dzwoneczka w Disneylandzie, i dokończyła spisywanie danych, nie odnosząc się do jego uwagi.

Żona Matta, Anya, również urocza i z mózgiem superkomputera, to wybitny neuropsycholog z Uniwersytetu Newcastle. Pochodzi z Ameryki. Ich syn Matthew, studiujący w Cambridge, należał do zespołu ubiegłorocznych zwycięzców University Challenge, czyli niewątpliwie także jest bardzo bystry, podobnie jak ich

przemiła córka Iris. Ich dzieci są Brytyjczykami, ale połowę mózgu i ze trzy czwarte urody odziedziczyły po amerykańskich przodkach.

Nic więcej na ten temat nie powiem.

Marsz jak zawsze zakończył się wielkim sukcesem i był bardzo sympatyczny, ale przede wszystkim pokrzepiający, bo prawie każdy z uczestników miał jakieś doświadczenia z nowotworami u dzieci jako rodzic, brat, siostra albo pacjent. Nie muszę wam mówić, jak to wyglądało, bo jestem pewien, że sami braliście udział w kilku takich marszach. Który Brytyjczyk nie brał? Być może jednak nie zdajecie sobie sprawy, jak bardzo jesteście pod tym względem odosobnieni. Kiedy w 1995 roku przeprowadziliśmy się do New Hampshire i usłyszałem od sąsiadki, że biegnie w bostońskim maratonie, powiedziałem do niej: „Zasponsoruję cię”, a ona spojrzała na mnie przerażona. Myślała, że chcę ją zasponsorować jak Nike albo Adidas, czyli w sensie komercyjnym, że każę jej włożyć na siebie podwójną tabliczkę reklamową z napisami „Kupuj książki Billa Brysona” czy coś w tym rodzaju. Koncepcja biegania, żeby zebrać fundusze na cele charytatywne, była jej zupełnie obca.

Jest to kolejna mała rzecz, której Wielka Brytania zawdzięcza swoją wyjątkowość. Spośród innych warto wymienić sporą liczbę całkiem przyzwoitych imigrantów.

Aha, jeszcze jedno: gigantyczna rzeźba zatytułowana *Northumberlandia*, zaprojektowana przez architekta krajobrazu Charlesa Jencksa i budowana na ziemi oddanej za darmo na ten cel przez Ridleyów, którzy dostarczyli również część finansowania. Matt zaprowadził mnie tam po poprzednim marszu. Jest bardzo dumny z tej rzeźby — i słusznie, bo to wspaniałe dzieło. Długa na czterysta i wysoka na trzydzieści metrów kompozycja przedstawia leżącą kobietę, usypaną z ziemi wydobytej w kopalniach węgla na terenie majątku Ridleyów, a następnie pokrytą alejkami i obsianą trawą.

Ogrom tego dzieła zwala z nóg.

— Jest to największa postać kobieca na świecie — powiedział mi Matt.

Rzeźba cieszy oczy swoim pięknem, ale także przyjemnie się po niej chodzi. Ścieżki prowadzą na czubek głowy, na bliźniacze wierzchołki piersi, wzdłuż ramion, po trawiastych udach. Dawno nie widziałem czegoś tak wspaniałego.

Chętnie bym znowu położył po zakamarkach *Northumberlandii*, ale czekały na mnie inne wyzwania. Przyszedł czas wyruszyć do Szkocji. Moja angielska przygoda dobiegała końca.

## II

Na noc zatrzymałem się w North Berwick, sto czterdzieści kilometrów na północ od Newcastle i sporo za granicą Szkocji. Planowałem następnego dnia rano pojechać do Edynburga, a następnie dalej na północ przez Cairngorms do Inverness, stamtąd zaś do Ullapool i na Cape Wrath. Nie miałem zbyt wiele czasu na zwiedzanie — sezon wypraw na Cape Wrath zbliżał się do końca, ale bardzo się cieszyłem na przejazd przez Highlands. To dziwne, ale nikt nie potrafi dokładnie powiedzieć, w którym miejscu zaczynają się i kończą szkockie Highlands, przychodzi jednak taka chwila, kiedy świat wypełnia się krystalicznym, musującym powietrzem, a góry okrywają swoistą fioletową aurą, więc już wiesz, że tam dotarłeś. Na to właśnie się cieszyłem.

North Berwick bywa mylone z Berwick-upon-Tweed, ale jest to zupełnie inna miejscowość, położona ponad sześćdziesiąt kilometrów dalej na północ nad zatoką Firth of Forth. Nic o niej nie wiedziałem i trafiłem tam tylko dlatego, że miasto leży po drodze do Edynburga. Okazało się urocze — zamożne i urodziwe nadmorskie miasto ze słynnym polem golfowym nad oceanem, uderzająco podobne do St Andrews. Bardzo mi się spodobało.

Zostawiłem w hotelu bagaże i poszedłem do miasta. Wszedłem do sympatycznego pubu Ship Inn i przeczytałem wczorajsze wydanie „East Lothian Courier”, które znalazłem na stoliku. Trafiłem na ciekawy reportaż o akcji zbierania śmieci zorganizowanej przez Forth Coastal Litter Campaign. FCLC nie tylko pedantycznie zbiera śmieci — wielkie brawa — ale również dokładnie je

liczy. Podczas ostatniej akcji zebrano ponad pięćdziesiąt tysięcy sztuk śmieci, w tym pięćdziesiąt pięć zimnych ogni, dwadzieścia trzy słupki drogowe, dwanaście szczoteczek do zębów, czterdzieści trzy rękawiczki chirurgiczne i piętnaście worków kolostomijnych. Najbardziej zastanowiła mnie ta ostatnia pozycja. Jak to wytłumaczyć? Jedna osoba piętnaście razy wyrzuciła po jednym worku do kolostomii czy też grupa użytkowników tych worków urządziła sobie coroczną wycieczkę? Jeżeli to drugie, to mielibyśmy prawdopodobne wyjaśnienie, skąd się wzięły zimne ogni. Niestety dziennikarz „Couriera” nabrał wody w usta w tej sprawie.

Na stronach informacyjnych gazety roiło się od materiałów o pobiciach w pubach — pięć na jednej stronie, wyłącznie z tego regionu — ale wszystko inne dotyczyło wystaw kwiatów, imprez sportowych i ludzi golących głowy na cele charytatywne. Nigdy nie widziałem takiego melanzu dobroci i przemocy współistniejących w jednym miejscu. Kiedy wstałem, żeby pójść po drugie piwo, o mało nie zderzyłem się z mężczyzną zmierzającym w przeciwną stronę. Wykonaliśmy znajomy taniec z boku na bok, w ramach którego dwie osoby niechcący blokują sobie nawzajem drogę. Uśmiechnąłem się bezradnie, jak zawsze w takich sytuacjach, on jednak spojrzał na mnie takim wzrokiem, jakby się zastanawiał nad przedziurawieniem ściany za pomocą mojej głowy. Moim zdaniem na tym polega problem za Szkocją: nigdy nie wiadomo, czy następny człowiek, którego spotkasz na swojej drodze, zaproponuje ci swój szpik kostny czy walnie cię z dyńki.

Następnie zjadłem kolację w restauracji tajskiej przy głównej ulicy, a potem poszedłem nad morze rzucić okiem na pobliski łańcuch wysepek. Jedna z nich, Fidra, podobno posłużyła za inspirację dla *Wyspy skarbów* Roberta Louisa Stevensona, który jako dziecko spędzał tam dużo czasu. Widok był cudowny; nie zawierał żadnych worków do kolostomii.

Nagle zadzwoniła moja komórka i aż mną szarpnęło. Żona mi powiedziała, że w domu jest problem, ale nie mogę wam zdradzić, o co chodziło. Wytoczyłem komuś w Ameryce proces i w ramach ugody zobowiązałem się nie mówić o tej

sprawie. Coś jednak wynikło i musiałem wracać do domu. Highlands musiały  
zaczekać.

## Na Cape Wrath (i znacznie dalej)

### I

**P**rzedostanie się z południa Anglii na Cape Wrath jest związane z dwiema trudnościami. Pierwsza z nich to przedostanie się z południa Anglii na Cape Wrath. Kawał drogi — według Google Maps tysiąc sto kilometrów od tylnych drzwi mojego domu — do pokonania pociągiem, samochodem i promem przez Kyle of Durness, a na koniec minibusem po wyboistym odludziu. Potrzebne są więc rozbudowane przygotowania logistyczne.

Drugim, jeszcze bardziej rozstrajającym elementem tego przedsięwzięcia jest ustalenie, czy w ogóle można się tam przedostać. Na stronie internetowej Cape Wrath zastrzegają, że przeprawy promowe są zależne od kaprysów morskich pływów i pogody, która w tej części Szkocji bywa nieprzyjazna i ekstremalna. Od czasu do czasu zdarza się również, że zamykają cały półwysep, nie ogłaszając tego ze zbyt dużym wyprzedzeniem, kiedy Ministerstwo Obrony Narodowej, które jest właścicielem dziesięciu tysięcy hektarów ziemi na półwyspie, chce tam poćwiczyć strzelanie i rozwalanie różnych rzeczy. Dochodzi do tego fakt, że minibusy kursują tylko przez sześć miesięcy w roku. Jeżeli spóźnisz się na ostatni jesienny prom, będziesz musiał czekać do wiosny.

Chcąc wprowadzić w całe przedsięwzięcie jakiś element pewności, moja żona zadzwoniła, by zrobić dla mnie rezerwację.

- Nie robimy rezerwacji — odparł jej rozmówca.
- Kiedy on przyjeżdża z daleka — nalegała.
- Każdy przyjeżdża do nas z daleka — zauważył trafnie.

— Jakie są szanse, że wsiądzie, jeśli po prostu się pojawi?

— Powinno być w porządku. W tej chwili nie mamy aż tak dużego ruchu. W większość dni nie mamy. W niektóre mamy.

— Nie wiem, jak mam to zinterpretować.

— Jeśli przyjedzie tu wcześniej, powinno być w porządku.

— Jak wcześniej?

— Im wcześniej, tym lepiej. Do widzenia — uciał i się rozłączył.

W deszczowy niedzielny wieczór, z uczuciem ogólnego niepokoju i bez pewności, że dotrę do ostatecznego celu, na dworcu Euston w Londynie wędrowałem wzdłuż legendarnie długiego pociągu Caledonian Sleeper w stronę wagonu K i łóżka, w którym miałem spędzić noc po drodze na północ Szkocji.

Pociąg — muszę to powiedzieć — najlepsze czasy miał już za sobą. Gdybym miał być całkiem szczery, tobym powiedział, że moment, w którym pociąg najlepsze czasy miał już za sobą, minął całkiem dawno, ale było czysto i względnie wygodnie, a na uprzejmość obsługi nie miałem powodu narzekać. Na łóżku leżała ulotka, z której wynikało, że w 2018 roku spółka zakupi siedemdziesiąt pięć nowych wagonów sypialnych, ale na razie ogranicza się do niewielkich usprawnień. W ulotce ze szczególną dumą podkreślono, że cała pościel została „odświeżona”. Nie miałem pewności, jak powinienem to rozumieć. „Odświeżona” jak dla mnie lokuje się o jeden stopień poniżej „wyprana”, ale może w kolejowym żargonie sens jest w inny.

Poszedłem do wagonu restauracyjnego, żeby się czegoś napić. Siedziało tam już kilka osób. Zajrzałem do małego jadłospisu, który stał na stoliku. Cała oferta była z gruntu szkocka i wyjątkowo nieapetyczna dla osoby pochodzącej z Iowa (sądzę, że mogę się wypowiedzieć w imieniu całego stanu).

Dania główne obejmowały haggis, brukiew i kartofle, a przekąski — keks Tunnocka, chipsy o smaku haggis i Mrs Tilly’s Scottish Tablet; to ostatnie nie kojarzyło mi się z jedzeniem, tylko z czymś, co wsypujesz do miednicy z gorącą wodą, żeby w niej zanurzyć zbolące stopy. Wyobraziłem sobie, jak woda musuje bulgoczącymi strumieniami łaskotliwych bąbelków. Szkockie były również

wszystkie napoje, nawet woda. Zamówiłem piwo Tennent's.

Wyciąganie zbyt daleko idących wniosków o charakterze i zamiarach jakiegoś narodu na podstawie jadłospisu w wagonie restauracyjnym jest może mało odpowiedzialne, ale nie mogłem oprzeć się konkluzji, że szkocki nacjonalizm poszedł trochę za daleko. Ci biedni ludzie odmawiają sobie prostych rozkoszy takich jak kit-katy czy pierogi kornwalijskie, bo z przyczyn patriotycznych muszą w siebie pakować brukiew i preparaty do leczenia stóp. Moim zdaniem to lekka przesada.

Dawno temu — chyba na początku lat osiemdziesiątych — byłem w Szkocji podczas piłkarskich mistrzostw Europy i w barze hotelowym Aberfeldy w Perthshire oglądałem bardzo ważny mecz Anglii z Włochami. Już w pierwszych minutach Anglia o mało nie strzeliła gola, ale byłem jedyną osobą na sali, która uniosła ramiona. Kilka minut później bramkę zdobyły Włochy, co wszyscy przywitali z radością i pociągnęli po łyku piwa, a ja pomyślałem sobie: „Oni nie należą do drużyny UK”. Mocno mnie to rąbnęło. Sądziłem, że wszyscy kibicują kuzynom. Ja zawsze kibicowałem Szkocji, Walii, a nawet Irlandii, wychodząc z założenia, że jesteśmy jedną rodziną. Do dzisiaj staram się być wielkoduszny i trzymam kciuki za Szkocję, kiedy nie zależy mi na zwycięstwie jej przeciwnika, ale z tyłu głowy myślę sobie: „Pieprzę ich. Mam nadzieję, że będą musieli się męczyć z Malcią”. Moje życzenie spełnia się zaskakująco często.

W każdym razie ucieszyłem się, kiedy Szkoci zagłosowali w referendum za pozostaniem w Zjednoczonym Królestwie. Lubię Szkotów, zwłaszcza tych, którzy nie patrzą na mnie takim wzrokiem, jakby mieli ochotę przebić ścianę moją głową.

Położyłem się wcześniej spać i spałem jak niemowlę. Obudził mnie steward, który zapukał do drzwi i wniósł tacę ze śniadaniem na gorąco, którego się nie spodziewałem i byłem bardzo wdzięczny temu panu.

— Mamy dwie godziny opóźnienia — poinformował mnie wesoło.

— Och — odparłem.

Odsunąłem zasłonę. Na zewnątrz ciągnęły się Highlands — góry, wąwozy



i wąska czarna droga, która pędziła obok nas. Jakie to ekscytujące obudzić się w innym kraju. W końcu dotarliśmy do stacji Kingussie, na której staliśmy tak długo, że stacjonarność zaczęła się wydawać permanentna. W pociągu panowała cisza z gatunku tych, w których absolutnie wszystko słychać, na przykład rozmowy z innych kabin czy muchę miotającą się w przedśmiertnych konwulsjach koło okna. Wyjrzałem na zewnątrz i rozpoznałem trzy osoby z wagonu restauracyjnego, które stały na peronie i paliły papierosy. Sam też wysiadłem i zobaczyłem mnóstwo ludzi, którzy stali beczynnie. Przechodził wagonowy i powiedział mi, że trochę dalej zepsuł się pociąg towarowy i nasza lokomotywa ruszyła mu na ratunek. Wyglądało na to, że trafiłem do bajki o Parowozie Tomku.

Nie wiem, jak długo staliśmy w Kingussie, bo straciłem rachubę czasu. Mogę tylko powiedzieć, że do Inverness, stacji docelowej, dotarliśmy ponad piętnaście godzin po wyruszeniu z Londynu. Z dworca kolejowego przeszedłem przez dzielnicę przemysłową do centrum, gdzie odebrałem z wypożyczalni samochód, po czym z lekkim sercem i zmotywowany ruszyłem na północny zachód do Ullapool.

Ullapool to schludna wieś przepięknie położona nad Loch Broom około stu kilometrów od Inverness. Zameldowałem się w hotelu i wyruszyłem na spacer, uradowany, że znowu mam możliwość poruszać nogami. W centrum Ullapool roiło się od turystów, którzy jak jeden mąż wyglądali na odprężonych i szczęśliwych. Ullapool to bardzo przyjemna miejscowość, zamożna, przyjazna i bardzo czysta. Większość portu zajmował terminal promów do Stornoway na wyspie Lewis, dzięki czemu nabrzeże robiło funkcjonalne i przedsiębiorcze wrażenie, a poza tym było trochę sympatycznych sklepów i galerii. Wszystko mi się podobało.

Przyszło mi do głowy, że gdyby całą Wielką Brytanię przerobić na coś takiego — gdyby jakimś sposobem wstrzyknąć tę przyjazność, schludność i bezpretensjonalną zamożność takim miastom jak Blackpool i Grimsby — mielibyśmy prawie doskonały kraj. Mogę wam powiedzieć, czego bym oczekiwał? Oczekiwałbym, że przyjdzie rząd, który powie: „Mamy zamiar skończyć z tą niedorzeczną obsesją na punkcie wzrostu gospodarczego kosztem wszystkiego innego. Wielki sukces ekonomiczny nie przekłada się na szczęście narodu. Daje

w wyniku republikanów i Szwajcarię. Skupimy się nad tym, że będziemy krajem pięknym, przyjemnym i cywilizowanym. Będziemy mieli najlepsze szkoły i szpitale, najwygodniejszą komunikację publiczną, najbardziej dynamiczną sztukę, najlepiej zaopatrzone biblioteki, najwspanialsze parki, najczystsze ulice, najbardziej oświeconą politykę społeczną. Krótko mówiąc, będziemy jak Szwecja, ale bez śledzi i z lepszymi dowcipami”. Czy nie byłoby to zachwycające? Ale oczywiście to nigdy się nie zdarzy.

Położyłem się spać o chwalebnie wczesnej porze, a następnego dnia wstałam o piątej, żeby wyruszyć w godzinną podróż na Cape Wrath. Pogoda była piękna, a ja bardziej niż podekscytowany. Przejrzyste powietrze zapowiadało wspaniały dzień. Cały świat dalej tkwił w pieleszach, kiedy ja zmierzałem na północ wąską A835. Wschodzące słońce rozjarzyło wierzchołki górskie jak płyty kuchenki elektrycznej. Krajobraz był majestatyczny — kilometry wzgórz, jezior, otwartego morza i głębokich wąwozów, wszystko tasujące się w coraz to nowe, niewypowiedziane piękne kombinacje. Okolica była o wiele mniej odludna, niż oczekiwałem. Co chwila widziałem małe gospodarstwa rolne, hotele, a czasem nawet niewielkie miejscowości.

We wsi Scourie minąłem znak „Plaża i cmentarz w Scourie” i zestawienie to mnie zauroczyło. („Jutro chowamy babcię. Nie zapomnijcie zabrać kostiumów kąpielowych”). Byłem bardzo szczęśliwy.

Na terminal promowy dotarłem tuż po siódmej trzydzieści, jako pierwszy, i zarezerwowałem sobie miejsce z brzegu. Sceneria była rewelacyjna — fiordopodobna Kyle of Durness na tle majestatycznych gór. Cape Wrath, groźny, ale nęcący, wznosił się kilometr dalej po drugiej stronie cieśniny. Ptaki śmigały tuż nad wodą. Na piaskowej ławicy w oddali kłoda drzewa nagle zbudziła się do życia — foka! — i węzowymi ruchami zsunęła do wody.

Koło ósmej dwadzieścia na drugim brzegu zjawily się dwa busy i kilka minut później na mój brzeg przypłynęła cała masa ludzi. Po chwili pojawił się jakiś pan z ważną miną i ludzie go otoczyli na końcu rampy około sześciu metrów ode mnie.

Wręczali mu pieniądze, a on wydawał im bilety. Na mnie nikt nie zwracał uwagi. Wygramoliłem się na szczyt rampy.

— Przepraszam, ale ja byłem pierwszy — zaprotestowałem do ważniaka.

— Ci ludzie mieli rezerwację — odparł.

W tym miejscu musimy sobie zrobić chwilę przerwy. Wstałem o piątej rano i jechałem dwie godziny, żeby się tutaj dostać, po czym czekałem prawie godzinę. Niestety do pełnej równowagi psychicznej brakowało mi około trzech dużych kubków kawy i tuż za rogiem czaiła się groźna przypadłość medyczna zwana mrowieniem kofeinowym. Nie był to najlepszy moment na nadużywanie mojej wielkoduszności.

— Próbowaliśmy zarezerwować — powiedziałem. — Moja żona dzwoniła i usłyszała, że nie robicie rezerwacji.

— Trzeba było zarezerwować — powtórzył i zwrócił się do kolejnego klienta.

Piorunowałem wzrokiem tył jego głowy.

— Próbowaliśmy zarezerwować, ty piktyjski chamie! — zawyłem w małym pokoju z gumowymi ścianami, który wygospodarowałem w moim mózgu na takie okoliczności.

W prawdziwym życiu stwierdziłem spokojniejszym tonem:

— Kiedy ja próbowałem zarezerwować, ale nam powiedziano, że nie robicie rezerwacji.

— Ach, pewnie trafiliście na Angusa — wyjaśnił.

Nie pamiętam imienia, którym się faktycznie posłużył, ale najwyraźniej uważał, że całkowicie ich to rozgrzesza — skoro odebrał Angus, to nie mogę mieć pretensji, że nadaremno telepałem się taki szmat drogi. Patrzyłem zdeprymowany, jak prowadzi swoich podopiecznych do łodzi.

— Przejechałem tysiąc sto kilometrów — powiedziałem błagalnym tonem.

— Ja przyleciałam z Calgary — zakwiliła pulchnawa kobieta w żółtym skafandrze z kapturem, ucieszona, że mnie przebiła.

— Stul pysk — zaapelowałem do niej w moim pokoju z gumowymi ścianami.

— Jest wolne miejsce — powiedział do mnie przewoźnik.

— Słucham?

— Może pan tam usiąść, jeśli pan chce — wyjaśnił, pokazując głową na puste siedzenie.

Zadziwiony, ale uradowany, wdrapałem się na pokład, lekko, ale intencjonalnie uderzając kobietę z Calgary w tył głowy plecakiem, i usiadłem. Zapłaciłem przewoźnikowi sześć i pół funta za bilet i odbiliśmy od brzegu.

Przeprawa przez *loch* trwała zaledwie pięć minut. Po drugiej stronie wsiadłem do oczekującego busa, zapłaciłem kierowcy dodatkowe dwanaście funtów i kiedy wszystkie miejsca były już zajęte, ruszyliśmy stromą, wyboistą drogą do góry. Od Cape Wrath oddzielało nas osiemnaście kilometrów jałowego półwyspu. Jednak tam dotrę, pomyślałem. Znowu byłem szczęśliwy.

Nazwa Cape Wrath pochodzi nie od angielskiego słowa oznaczającego gniew (w domyśle żywiołów), lecz od staronordyckiego słowa oznaczającego zakręt — łodzie wikingów brały kurs powrotny po wypłynięciu zza tego cypla — ale i tak jest tam dosyć dziko. Jak usłyszeliśmy, zimą prędkość wiatru potrafi przekroczyć dwieście dwadzieścia kilometrów na godzinę. Wody wokół północnej Szkocji, tam gdzie Morze Północne zderza się z Atlantykiem, uchodzą za najbardziej ożywione na świecie. Trochę dalej na wschód zdarzył się tak silny sztorm, że fala uderzyła o położony prawie sześćdziesiąt metrów nad poziomem morza wierzchołek latarni morskiej i wyrwała drzwi z zawiasów. Całkiem asertywna pogoda.

Nasz kierowca, wesołek imieniem Reg, nieustannie trajkotał, omijając dziury w drodze albo biorąc je z rozpędu. Na Cape Wrath oficjalnie prowadzi droga publiczna U70, ale ostatni remont przeprowadzono w 1956 roku, toteż dziur jest więcej niż asfaltu. Przecina wielkie, puste wrzosowiska, z rzadka przyprószone starymi ciężarówkami wojskowymi i pojazdami opancerzonymi, które pełnią funkcję celów artyleryjskich.

Pokonanie osiemnastokilometrowego dystansu między przystanią promów a celem podróży zajęło nam około godziny. Na miejscu powitała nas duża czarno-biała latarnia morska, która stała na wysokim klifie nad wzburzonym morzem.

Zbudował ją w 1828 roku Robert Stevenson, dziadek Roberta Louisa Stevensona. Dzisiaj jest w pełni zautomatyzowana i bezobsługowa. Ma swojego opiekuna, niejakiego Johna Ure, który w jednym z budynków gospodarczych prowadzi bufet, co mnie oczywiście ucieszyło. Ure jest jedynym stałym mieszkańcem półwyspu i z pewnością znajduje się w ścisłej czołówce najbardziej osamotnionych osobników w Wielkiej Brytanii.

Na Cape Wrath nie ma zbyt wiele do roboty. Latarni morskiej nie można zwiedzać, pozostaje więc tylko połączyć dookoła i delektować się widokami albo pójść do bufetu. Ja stanąłem na trawiastym pagórku i przez dłuższą chwilę wiodłem wzrokiem wzdłuż poszarpanych, bardzo pięknych nadmorskich klifów, które ciągną się aż po Dunnet Head. Daleko na wschód, tuż przy brzegu, majaczył jakiś duży masyw skalny i wydedukowałem, że musi to być Hoy, najbardziej wysunięta na południe wyspa Orkadów. Sprawdziłem to później i się okazało, że odległość wynosi sto dwadzieścia pięć kilometrów. Czy z takiej odległości rzeczywiście można coś zobaczyć?

Wykonałem rundę wokół latarni, a potem stanąłem na skraju przepaści za jej plecami, wyciągnąłem szyję i ostrożnie spojrzałem w dół. Odległość do ostrych skał i rozbijających się o nie fal wynosi prawie sto metrów. To naprawdę jest kres Wielkiej Brytanii. Miałem przed sobą wyłącznie roztańczone morze, które ciągnęło się aż po polarną czapę lodową, a po lewej pustkowie Nowej Fundlandii. Stałem tam przez kilka minut z cichą dumą, że jestem najbardziej północnozachodnim człowiekiem w Wielkiej Brytanii. Jak często mamy okazję powiedzieć o sobie coś takiego?

Spodziewałem się, że po dotarciu do Cape Wrath spłynie na mnie poczucie, iż dokonałem czegoś ekstremalnego i heroicznego. Miałem oczywiście świadomość, że nie osiągnąłem granic swoich możliwości fizycznych, żeby tutaj dotrzeć, bo większość podróży do Szkocji smacznie przespałem. Miałem jednak pełne prawo uznać ten moment za przełomowy. Zapewne nie byłem pierwszą osobą w dziejach, która dotknęła obu końców Linii Brysona, ale z całą pewnością jako pierwszy dokonałem tego świadomie.

Stałem więc z dłońmi splecionymi za plecami, mierzyłem się wzrokiem z wiatrem i cierpliwie czekałem, ale żadne wyjątkowe doznanie się nie pojawiło. W końcu zarzuciłem te starania i jeszcze trochę łąziłem po wierzchołku skarpy, a następnie udałem się do bufetu w nadziei, że pan Ure dysponuje sposobami na uzupełnienie niedoborów kofeiny w moim organizmie. Na szczęście dysponował.

## II

Przez kolejne kilka dni jeździłem po Highlands. Pojechałem do Inverness i zwiedziłem pole bitwy w Culloden, gdzie dwa tysiące ludzi poległo w walce z Anglikami, a potem do Glencoe, gdzie podczas osławionej rzezi Campbellów na Macdonaldach padło jeszcze więcej ofiar. Ogarnęła mnie ponura refleksja, że historia Highlands to pięćset lat okrucieństwa i rozlewu krwi, a następnie dwieście lat patologicznego nadmiaru muzyki na dudach. Popłynąłem promem z Port Appin na wyspę Lismore na środku Loch Linnhe i tam też troszkę połąziłem. Było wspaniale, chociaż dużo padało. Najciekawsze doświadczenie przeżyłem koło Glenelg, nad zatoczką z pięknymi widokami na Isle of Skye. Tuż pod Glenelg, na zacisznej polanie, która sprawia wrażenie rzadko odwiedzanej, stoją dwie absolutnie niezwykle konstrukcje. Nazywają się *broch* i występują tylko w Szkocji.

*Broch* to prehistoryczne kamienne wieże, które z reguły mają około dziesięciu metrów wysokości i dwudziestu metrów obwodu u podstawy. Trochę przypominają wieże chłodnicze w elektrowniach jądrowych, a zbudowane są z muru bezzaprawowego, który tworzy dwie ściany rozdzielone warstwą powietrza. Mimo że nie użyto zaprawy, po dwóch i pół tysiąca lat wiele z nich nadal stoi bez większych uszkodzeń. *Broch* koło Glenelg uchodzą za najpiękniejsze na stałym lądzie Szkocji i emanują prostym, dostojnym majestatem. Najbardziej mi się jednak podoba w nich to, że nikt nie ma pojęcia, do czego służyły.

Nie nadawały się na sadyby mieszkalne ani miejsca spotkań, ponieważ nie miały okien i w środku panowały kompletne ciemności. Nie ma żadnych śladów, żeby kiedykolwiek w nich kogoś pochowano. Pojawiły się hipotezy, że były to baszty

obronne, ale stłoczeni w nich ludzie w gruncie rzeczy więziliby samych siebie w ciemnicy, a najeźdźcy mogliby w tym czasie bezkarnie grabić ich plony i trzody. Nie wydaje się to zbyt wiarygodne. Mogły służyć za wieże obserwacyjne, lecz wiele z nich znajduje się miejscach, z których nie było za bardzo czego wypatrywać. Na ogół stoją pojedynczo, ale czasem, na przykład w Glenelg, parami. Konstrukcja wskazuje, że planowano podzielenie ich na piętra, ale prawie wszystkie powstały w miejscach, w których było za mało drewna na podłogi. Krótko mówiąc, *broch* stanowią dla nas nierozwikłaną zagadkę.

Kiedy stałem na tej polanie, przyszło mi do głowy, że jest to jedna z rzeczy, które bardzo lubię w Wielkiej Brytanii: jej niepoznawalność. Jest jej tak dużo — więcej niż jedna osoba jest w stanie zobaczyć, rozgryźć czy zrozumieć. Wielka Brytania zawiera tak ogromne ilości różnych skarbów, że nikt nie potrafi precyzyjnie określić, ile tego jest. Czy to nie wspaniałe? Niedawno przypadkiem przeczytałem artykuł w „Current Archeology” o niejakim Olafie Swarbricku, z zawodu weterynarzu, który spory kawałek życia poświęcił tropieniu wszystkich pradawnych brytyjskich kamieni stojących na sztorc. Prawdopodobnie nikt wcześniej tego nie robił. Swarbrick znalazł tysiąc pięćset dwa kamienie w tysiąc sześćdziesięciu ośmiu miejscach. To znacznie więcej, niż się na pierwszy rzut oka wydaje. Gdyby ktoś postanowił odwiedzać jeden kamień tygodniowo, zobaczenie ich wszystkich zajęłoby mu dwadzieścia lat.

Podobnie jest ze wszystkimi zabytkami historycznymi. Gdyby ktoś próbował zwiedzić wszystkie średniowieczne kościoły w Anglii — samej Anglii — w tempie jeden tygodniowo, skończyłby po trzystu ośmiu latach. Ale już astronomicznych ilości czasu wymagałoby obejrzenie wszystkich zabytkowych cmentarzy, wiejskich dworów, zamków, twierdz na wzgórzu z epoki brązu, gigantycznych postaci wyciosanych w zboczach wzgórz i wszystkich innych konstrukcji. Obejrzenie *broch* zajęłoby całą dekadę, a zwiedzenie wszystkich znanych stanowisk archeologicznych na terenie Wielkiej Brytanii — aż jedenaście i pół tysiąca lat waszego życia.

Chyba już widzicie, do czego zmierzam. Wielka Brytania jest nieskończona. Nie

ma na świecie drugiej krainy, w której na tak małej przestrzeni byłoby tak wiele do oglądania — nigdzie nie ma wspanialszej kroniki rezultatów ciekawych i owocnych działań z tak długiego okresu. Nic dziwnego, że miałem poczucie niekompletności mojej podróży. Nie byłem w stanie zobaczyć tego wszystkiego.

Zabrałem tę myśl ze sobą do domu, a potem do Ameryki, bo musiałem znowu tam polecieć w związku z pracą. Pewnego dnia, niedługo po wycieczce na Cape Wrath, przebywałem w bardzo mało tłoczonym domu handlowym w Indianapolis i próbowałem wypełnić czymś czas, aż tu nagle ekspedientka postanowiła zostać moją nową najlepszą przyjaciółką i mentorką. Chodziła za mną po całym dziale męskim i pomagała mi w rozpoznawaniu wszystkich typów odzieży, której dotknąłem.

— To są nasze krawaty — informowała mnie. — Po drugiej stronie stołu jest ich więcej.

Dziękowałem jej, a ona chrząkała „uhu”. Miała około dziewięćdziesięciu ośmiu lat. W końcu zainteresowała się moim akcentem. Powiedziałem jej, że dorastałem w Iowa, ale od lat mieszkam w Anglii.

— W Anglii? — upewniała się z bezbrzeżnym zdumieniem. — Dlaczego mieszka pan w Anglii?

„Bo w niczym nie przypomina Indianapolis”, brzmiała moja pierwsza i najszczerza myśl, ale oczywiście tego nie powiedziałem, tylko ogólnikowo napomknąłem, że ożeniłem się z Angielką i mi się tam spodobało.

— Uhu — skwitowała. — A tutaj mamy buty.

Kiedy odpoczywałem w pobliskiej strefie gastronomicznej (bo podczas pobytu w Indianapolis czerpałem z życia garściami), przyszło mi do głowy, że pytanie ekspedientki było całkiem zasadne. Dlaczego opuściłem najbardziej rozwinięty gospodarczo kraj świata, gdzie zawsze miałbym niższe podatki, cieplejszy dom, większe porcje jedzenia oraz szybsze i obfitsze gratyfikacje, żeby osiąść na deszczowej wyspie dryfującej po zimnym, szarym morzu?

Tak jak to bywa z większością rzeczy w życiu, które uważamy za oczywiste, nie



miałem na to pytanie gotowej odpowiedzi, w każdym razie przemyślanej. Gdyby ktoś mnie poprosił, żebym wymienił pięć rzeczy, które mi się najbardziej podobają w Zjednoczonym Królestwie, musiałbym zażądać czasu na rozważenie sprawy. Postanowiłem sporządzić listę pięciu powodów, dla których postanowiłem zamieszkać na Wyspach. (Oprócz rodziny i przyjaciół, odnotowuję z kronikarskiego obowiązku). Dzięki wizycie pod kamiennymi wieżami w Glenelg miałem już pierwszy powód: dlatego że Wielka Brytania dostarcza urzekających i niewyczerpanych rozrywek. Nad czterema pozostałymi punktami musiałem jednak trochę się pogłowić.

Wyjąłem notes i zacząłem spisywać wszystkie sympatyczne przymioty Albionu, które przychodziły mi do głowy, w kolejności, w jakiej mi się nasuwały:

Boxing Day (26 grudnia)

Wiejskie puby

Mówienie „jesteś jak jaja psa” w celu wyrażenia czułości albo podziwu

Rolada z dżemem i kremem budyniowym

Mapy Ordnance Survey

Komediowy serial radiowy *I'm Sorry I Haven't a Clue*

Cream tea (podwieczorek z konsumpcją babeczek z dżemem)

Prognoza pogody dla statków

Moneta dwudziestopensowa

Czerwcowe wieczory, koło ósmej

Fakt, że czujesz zapach morza, zanim je zobaczysz

Wioski z niedorzecznymi nazwami typu Shellow Bowells i Nether Wallop

Po przejrzaniu tej listy uświadomiłem sobie, że składa się wyłącznie z rzeczy, których bym w życiu nie spotkał, gdybym nie przyjechał do Anglii. To jest najwspanialsze w byciu cudzoziemcem — oprócz wrodzonych przywiązań kulturowych otrzymuje się również cały szereg nabytych. Moim zdaniem każdy, kto ma dwie ojczyzny, jest w wyjątkowo uprzywilejowanej sytuacji, ale jeżeli drugi kraj jest szczególnie ciekawy, dynamiczny i różnorodny — jeżeli ma podwieczorki

z konsumpcją babeczek, nobliwą historię i dodatkowy dzień wolnego w Święta Bożego Narodzenia — to już w ogóle są psie jaja, jeśli chcecie wiedzieć. Tak w każdym razie brzmi punkt drugi: Wielka Brytania dała mi milion dobrych rzeczy, których bez niej bym nie miał.

Punkt trzeci mówi, że Wielka Brytania jest z gruntu zdrowa na umyśle. Cenię to sobie, kiedy jakiś kraj posiada tę cechę. Muszę z żalem powiedzieć, że kwestia ta również przyszła mi do głowy podczas podróży po ziemi moich przodków. Z góry zastrzegam, że Ameryka to wspaniały kraj. Pomyślmy, jak wyglądałby dzisiaj świat, gdyby Stany Zjednoczone nie włączyły się w drugą wojnę światową i nie stanęły na czele powojennej odbudowy. Ameryka dała nam całkiem znośną współczesność i nie wszyscy są jej za to dostatecznie wdzięczni. Jednak z przyczyn, które wymykają się mojemu pojęciu, stała się również niezmiernie gościnna dla głupoty.

Myśl ta przyszła mi ostatnio do głowy w kawiarni hotelu w Baltimore, gdzie czytałem lokalną gazetę „Sun” i natrafiłem na informację o uchwalonej przez kongres ustawie zakazującej Departamentowi Zdrowia i Usług Społecznych finansowania badań, które mogłyby bezpośrednio lub pośrednio doprowadzić do wprowadzenia ograniczeń w dostępie do broni.

Pozwólcie, że to sparafrazuję. Władze Stanów Zjednoczonych zakazują naukowcom wykorzystywania pieniędzy federalnych do badania przemocy z użyciem broni palnej, jeżeli zachodzi ryzyko, że mogliby znaleźć sposób na zredukowanie tej przemocy. Nie da się przebić takiej głupoty. Gdyby zebrać wszystkich komentatorów Fox News w jednym pokoju i kazać im wymyślić coś bardziej niedorzecznego, do końca życia by nie wymyślili.

Wielka Brytania taka nie jest — i chwała Bogu. W trudnych i budzących emocje kwestiach, takich jak ograniczenie dostępu do broni, aborcja, kara śmierci, nauczanie o ewolucji w szkołach, wykorzystywanie komórek zarodkowych w badaniach medycznych i jak dużo trzeba wymachiwać flagą, żeby zostać uznanym za wystarczająco patriotycznego, Wielka Brytania postępuje spokojnie,

z umiarem i całkiem dojrzałe, a ja ogromnie to sobie cenię.

\*

Mój punkt czwarty to jakość życia. W tempie i skali brytyjskiego życia — docenianiu małych przyjemności, a mówiąc ogólniej, swoistej powściągliwości pod względem zaspokajania rozmaitych apetytów — jest coś, co sprawia, że życie na Wyspach jest dziwnie sympatyczne. Brytyjczycy to jedyni ludzie na świecie, którzy potrafią się autentycznie ożywić, kiedy postawić przed nimi ciepły napój i niewielki herbatnik.

W międzynarodowych porównaniach jakości życia Wielka Brytania zawsze zajmuje bardzo wysokie miejsca. Są narody szczęśliwsze i są narody zamożniejsze, lecz bardzo niewiele jest narodów zarazem szczęśliwszych i zamożniejszych. Wielka Brytania lokuje się również w ścisłej czołówce w kategorii „satysfakcja z życia” — muszę powiedzieć, że mnie to zaskoczyło. Od czterdziestu lat jestem z tym krajem w dość zażyłych stosunkach i nie przypominam sobie, żebym spotkał kogoś, kogo mógłbym nazwać naprawdę usatysfakcjonowanym z życia, ale potem sobie uświadomiłem, że na tym właśnie polega cała tajemnica.

Bo widzicie, Brytyjczycy są zawsze szczęśliwi, kiedy istnieją po temu powody — słońce świeci, a oni trzymają w rękach kubek z herbatą i tak dalej — ale również doskonale im się udaje pozostawać szczęśliwymi w sytuacjach, w których inni by się załamali. Na przykład kiedy spacerują po wiejskich wzgórzach i zaczyna padać, wkładają ortaliony i przyjmują do wiadomości, że czasem tak bywa. Brytyjski klimat uczy cierpliwości i stoicyzmu. Budzi to we mnie najwyższy podziw.

Ale Brytyjczyków od reszty świata najbardziej odróżnia fakt, że kiedy wszystko się sypie i mają wszelkie powody do tego, aby sobie głośno, gorzko i przeciągle pomarudzić, oni są najszczęśliwsi. Stojący na polu minowym z urwaną nogą Brytyjczyk, który ma możliwość powiedzieć do kolegi: „A nie mówiłem?”, jest człowiekiem szczęśliwym. Taka cecha narodowa bardzo mi się podoba.

Punkt piąty znałem od samego początku. Podaję go na koniec, ponieważ jest dla mnie najważniejszy. Nie zaskoczy was zapewne, że chodzi o piękno krajobrazu. Rany boskie, co za osiągnięcie!

Tuż po powrocie do domu z Ameryki pojechałem tam, gdzie cały czas chciałem pojechać podczas pracy nad tą książką, ale jakoś nie udało mi się dotrzeć: pojechałem zobaczyć pradawnego Białego Konia w Uffington. Jest to gigantyczna, stylizowana kredowa figura konia, długości prawie stu dwudziestu metrów, wykuta w zboczu wzgórza w Oxfordshire. Jest uderzająco nowoczesna — wygląda na zaprojektowaną przez Picassa — i bardzo piękna. Znajduje się poniżej jeszcze starszego szlaku zwanego Ridgeway.

I tutaj Anglia robi się naprawdę stara. Ridgeway pełni funkcję gościńca od co najmniej dziesięciu tysięcy lat. Do niedawna nikt nie potrafił dokładnie określić wieku Białego Konia, ale dzisiaj, dzięki metodzie zwanej optycznie stymulowaną luminescencją, wiemy, że koń galopuje po zboczu góry od trzech tysięcy lat. A zatem jest starszy niż Anglia niż język angielski. Przez te wszystkie stulecia ludzie cały czas go konserwują. Gdyby nie wspinali się na zbocze i go nie pielęgnowali, kreda porośłaby trawą i Biały Koń zniknąłby pod chaszczami. Biały Koń to wspaniałe dzieło, ale może za jeszcze wspanialszą należy uznać jego ciągnącą się od trzech tysięcy lat nieprzerwaną konserwację.

Z Ridgeway konia nie widać. Trzeba zejść trochę niżej, ale jest taki duży, że nawet wtedy nie da się w nim rozpoznać wierzchowca. Ze wzgórza rozciągają się jednak fantastyczne, wielokilometrowe widoki. Mówiłem to już wiele razy, ale nigdy dosyć powtarzania: nie ma na świecie krajobrazu, który byłby bardziej misternie ukształtowany, piękniejszy do oglądania i wygodniejszy do przebywania niż brytyjska prowincja. Jest to największy park świata, najdoskonalszy naturalny ogród. I być może najchlubniejsze osiągnięcie narodu brytyjskiego.

My musimy się nim tylko opiekować. Mam nadzieję, że nie żądam zbyt wiele.

# Krótkie posłowie i podziękowania

**W** okresie między opisanymi powyżej wydarzeniami a publikacją książki w Wielkiej Brytanii całkiem sporo się wydarzyło. W czerwcu 2016 roku obywatele Wielkiej Brytanii opowiedzieli się w referendum za wystąpieniem swojego kraju z Unii Europejskiej po czterdziestu trzech latach członkostwa. Premier David Cameron natychmiast podał się do dymisji, a jego miejsce zajęła Theresa May, minister spraw wewnętrznych w jego gabinecie.

Wielu z nas decyzja Brytyjczyków wydawała się rodzajem szaleństwa. Zwolennicy „Brexitu”, jak potocznie nazywano ten pomysł, pocieszali się dziwnym i mało wiarygodnym przekonaniem, że Wielka Brytania jakimś cudem zdoła wynegocjować nowy układ, który pozwoli jej zachować korzyści płynące z unijnego członkostwa, przede wszystkim wolny handel, a jednocześnie zostanie uwolniona od wszystkich niedogodności, takich jak składki członkowskie i swobodny przepływ osób w granicach Unii Europejskiej.

Szkocja, która we wrześniu 2014 roku zagłosowała za pozostaniem w Zjednoczonym Królestwie, teraz znowu zaczęła mówić o wyjściu, a podobne głosy zaczęły dochodzić od strony Irlandii Północnej. Możliwość całkowitego rozpadu Zjednoczonego Królestwa na kilka państw, z których część należałaby do UE, a część nie, zaczęła się wydawać możliwa. Kiedy pisałem te słowa (w sierpniu 2016 roku), na całym świecie nikt nie miał zielonego pojęcia, jak to się wszystko potoczy, ale trudno było sobie wyobrazić w miarę prawdopodobny scenariusz, który nie byłby w jakimś stopniu katastrofalny dla brytyjskiej przyszłości.

Ale mam również radośniejsze wiadomości: w październiku 2014 roku moja córka Felicity — po raz ostatni spotkaliśmy ją w rozdziale 4 w zaawansowanej ciąży — urodziła (Daphne, skarbeczku, dziękuję ci, że jesteś), a miesiąc później, w ramach małej uroczystości w Winchesterze, zostałem obywatelem

Zjednoczonego Królestwa i mogę zadeklarować, że to się nie zmieni aż do czasu, kiedy któreś z nas — to znaczy ja albo Zjednoczone Królestwo — dokona żywota.

Jak zawsze jestem niezmiernie wdzięczny wielu osobom za wsparcie i porady podczas pracy nad tą książką. Przede wszystkim chciałbym podziękować moim redaktorom i wydawcom, którzy mieli do mnie świętą cierpliwość, czyli Larry’emu Finlayowi, Marianne Velmans, Gerry’emu Howardowi i Kristin Cochrane oraz ich koleżankom Katrinie Whone, Suzanne Bridson i Deborah Adams, a także niezwykle wszechstronnemu i utalentowanemu Neilowi Gowerowi za projekt okładki, ilustracje i mapę.

Serdeczne podziękowania należą się również moim życzliwym i wyrozumiałym przyjaciołom: Aosafowi Afzalowi, Johnowi Flinnowi, Andrew Orme’owi, Danielowi Wilesowi, Mattowi i Anyi Ridleyom, Josefowi i Britcie Vormoorom oraz całej rodzinie Davidsonów — Jonowi, Donnie, Maxowi i Daisy.

Jestem niezmiernie wdzięczny za dodatkową pomoc Margaret Paren, dyrektorce South Downs National Park, i jej podwładnym Nickowi Heasmanowi, Chrisowi Manningowi i Ninie Williams; Beth McHattie z English Heritage; Kate Davies i Lucy Barker ze Stonehenge; i Edwardowi J. Davisowi z Davis Wright Tremaine LLP w Nowym Jorku.

Dziękuję całej mojej rodzinie, zwłaszcza mojej córce Catherine za oddaną pomoc sekretarską oraz mojemu synowi Samowi za fotografię autora. Przede wszystkim jak zawsze szczególnie dziękuję mojej ukochanej i nieskończenie cierpliwej żonie Cynthii.